

# ARCHIWUM EMIGRACJI

W poprzednich zeszytach m.in.:

Janusz Kryszak, *O historycznej i kulturowej roli współczesnej emigracji polskiej*

David Williams, *Wygnaniec jako antytwórca*

Jerzy Grot-Kwaśniewski, *Ponad 200 lat temu — pięćdziesięciolecie australijskiej Polonii*

Włodzimierz M. Drzewieniecki, *32 lata działalności Polskiej Fundacji Kulturalnej  
w Buffalo: batalia o dobre imię Polaków w Ameryce*

Zdzisław Kudelski, *O Herlingu-Grudzińskim w „drugim obiegu”*

Listy Andrzeja Bobkowskiego do Mieczysława Grydzewskiego

Mirosław A. Supruniuk, *Czesław Miłosz i Kongres Wolności Kultury*

Czesław Miłosz, *Bieliński i jednorożec*

Rozmowy z Zygmuntem Michałowskim i Stanisławem Frenklem

Mirosław A. Supruniuk, *Instytucje prowadzące badania nad emigracją i Polonią w  
Toruniu: ich zbiory i prace*

Anna Supruniuk, *Materiały do bibliografii emigracji polskiej i Polonii po 1939 roku z lat  
1994–1997*

Redakcja:

Janusz Kryszak (red. naczelny), Mirosław Adam Supruniuk (z-ca red. naczelnego)

Andrzej Kłossowski, Jarosław Koźmiński, Wacław Lewandowski, Dobrochna Ratajczakowa, Anna  
Supruniuk

# ARCHIWUM EMIGRACJI

STUDIA \* SZKICE \* DOKUMENTY

---

ROK 1999

ZESZYT 2

UNIwersytet Mikołaja Kopernika  
TORUŃ 1999

**ARCHIWUM EMIGRACJI**  
ŹRÓDŁA I MATERIAŁY DO DZIEJÓW EMIGRACJI POLSKIEJ PO 1939 ROKU

**VIII**

Pod redakcją  
Stefanii Kossowskiej i Mirosława A. Supruniuka

---

Projekt okładki: Mirosław A. Supruniuk  
Rysunek na okładce: Stanisław Frenkiel

Artykuły przeznaczone do kolejnych numerów pisma powinny być przesyłane w dwóch egzemplarzach wraz z krótkim streszczeniem (w miarę możliwości w j. angielskim) (oraz na HD) na adres:  
Archiwum Emigracji, Biblioteka UMK, Toruń 87-100, ul. Gagarina 13, p. 225, Poland  
tel. (48-56) 611-43-91, 611-43-98, tel./fax (48-56) 652-04-19  
e-mail Archiwum@bu.uni.torun.pl  
[http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum\\_Emigracji](http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum_Emigracji)

Recenzenci tomu: Jerzy Z. Maciejewski, Wojciech Tomasiak

**Kolegium Doradcze:**

Zofia Bobowicz (Francja), Anna Frajlich (USA), Maja E. Cybulska (Anglia),  
Stefania Kossowska (Anglia), Ryszard Lów (Izrael), Krzysztof Muszkowski (Anglia),  
Lech Paszkowski (Australia), Jerzy Pietrkiewicz (Anglia)

© Copyright by Archiwum Emigracji  
© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1999

ISBN 83-231-1083-2

Skład: Joanna Krasnodębska  
Książki serii „Archiwum Emigracji” sprzedaje Księgarnia Uniwersytecka  
Toruń 87-100, ul. Reja 25  
tel./fax (056) 6114298; e-mail [ksiazki@cc.uni.torun.pl](mailto:ksiazki@cc.uni.torun.pl)  
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL, Inowrocław, ul. Cegielną 10/12

## SPIS TREŚCI

### STUDIA

Danuta Mostwin, <i>Rodzina przeszczepiona z perspektywy trzydziestu lat</i> .....	7
<i>Pisarz na wygnaniu a styl</i> .....	23
Nina Taylor, <i>O trzech zrzeszeniach pisarskich</i> .....	39
Jan K. Kapera, <i>Od Guggenheim Museum do Currier Gallery. Jan Lebenstein — Kronika Amerykańska (1958–1998)</i> .....	53

### SZKICE I PRZYCZYNKI

Irena Szypowska, <i>Nagle urodzona miłość (J. Łobodowski w Hiszpanii)</i> .....	69
Jerzy R. Krzyżanowski, „ <i>The March</i> ” W.S. Kuniczaka .....	87
Wacław Lewandowski, <i>Jak pisać o braciach w kraju? — Na marginesie „Listu do brata” Tadeusza Nowakowskiego</i> .....	95
Florian Śmieja, <i>Hiszpański posmak „Katedry sandwiczów” Cz. Straszewicza</i> .....	103

### KORESPONDENCJE — DOKUMENTY — ROZMOWY

Michał Woroniecki, <i>Michał Chmielowiec do Henryka Elzenberga — korespondencja</i> .....	107
Rafał Moczgodan, <i>Michał Chmielowiec</i> .....	
Janusz Kryszak, <i>Jerzy Kosiński do Józefa Chałasińskiego — listy</i> .....	133
Józef Czapski, <i>Rozmowa dla Radia Wolna Europa — rozmawiał Marek Łatyński</i> ..	153
Jan Nowak Jeziorański, <i>Rozmowa z założycielem Rozgłośni Polskiej RWE — rozmawiała Alina Grabowska</i> .....	175
Witold Gombrowicz, „... <i>Spadło na mnie zaproszenie Fundacji Forda</i> ” — rozmowa Jana Winczakiewicza .....	195

### WSPOMNIENIA — BIOGRAFIE — NOTY

Mirosław A. Supruniuk, <i>Litania za poetę. Zdzisław Broncel</i> .....	197
Natan Gross, <i>Haubenstockowie. Janina Koprucka-Haubenstock. Józef Haubenstock</i> .....	199
Róża Nowotarska, <i>Pan Aleksander. Aleksander Janta-Polczyński</i> .....	210
Krzysztof Jeżewski, <i>Wspomnienie w dziesiątą rocznicę śmierci. Konstanty Jeleński</i> ..	225
Zygmunt Nagórski Jr, <i>Adwokat, polityk, pisarz... Zygmunt Nagórski</i> .....	226
Florian Śmieja, <i>Utarczka. Zygmunt Nowakowski</i> .....	228
Krzysztof Muszkowski, <i>Śp. Aniela Raczyńska</i> .....	230
Ryszard Löw, <i>Andrzej Sycz</i> .....	232
Krystyna Łopuszyńska, <i>Lotnik — emigrant — naukowiec. Witold Dowoyna Sylwestrowicz</i> .....	235
Mirosław A. Supruniuk, <i>Kronikarski obowiązek. Tadeusz Wittlin</i> .....	237
Tadeusz Wittlin, <i>Kostek i Tadek</i> .....	238
Lech Paszkowski, <i>Kłopoty pisarzy w Australii. Przygodna gawęda</i> .....	243
Gniewa Wołosiewicz, <i>33 lata mojej pracy w Sekcji Polskiej Radia Francuskiego...</i>	247
Stanisław Łysiak, <i>Oświata w Polskich Oddziałach Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej na terenie Niemiec i Francji</i> .....	250
Mirosław A. Supruniuk, <i>Seminarium kultury i historii polski w Uppsali</i> .....	257
Janusz Kryszak, <i>Notatnik kanadyjski</i> .....	259
Jan Wolski, <i>Fundacja Archivum Helveto-Polonicum</i> .....	261

## RECENZJE — OMÓWIENIA — POLEMIKI

Janusz Kryszak, <i>Nowe książki o emigracji</i> (W. Ligęza, <i>Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych</i> . Kraków 1998; M. Pytasz, <i>Wygnaniec — emigracja — diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika</i> . Katowice 1998).....	263
Marian Kisiel, „ <i>Kontynenty</i> ” — próba całościowego spojrzenia? ( <i>Poetycki krąg „Kontynentów”</i> . Artykuły i szkice. Rzeszów 1997) .....	266
Barbara Czarnecka, <i>Pożegnanie z emigracją?</i> (J. Jarzębski, <i>Pożegnanie z emigracją — o powojennej prozie polskiej</i> . Kraków 1998) .....	269
Wacław Lewandowski, <i>Korespondencja Giedroyc — Stempowski</i> (J.Giedroyc, J. Stempowski, <i>Listy 1946–1969</i> . Warszawa 1998).....	269
Mariusz Wołos, <i>Karol Poznański w zarysie</i> (A. Sudoł, <i>Karol Poznański — ostatni konsul generalny II Rzeczypospolitej. Zarys ważniejszych dokonań</i> . Bydgoszcz 1998)....	275
Edward Zyman, <i>Recenzja czy paszkwil?</i> (J. Jurkszus-Tomaszewska, <i>Kronika pięćdziesięciu lat. Życie kulturalne polskiej emigracji w Kanadzie 1940–1990</i> . Toronto 1995) .....	282

STUDIA

---

# RODZINA PRZESZCZEPIONA<sup>1</sup> Z PERSPEKTYWY TRZYDZIESTU LAT

**Danuta MOSTWIN (USA)**

Od zakończenia II wojny światowej do 31 grudnia 1968 roku, 140 000 obywateli polskich emigrowało do Stanów Zjednoczonych. Wśród nich 20 000 jeńców wojennych, 20 000 żołnierzy polskich z Wielkiej Brytanii, 25 000 rodzin żołnierzy, 35 000 *Displaced Persons* z Niemiec i 40 000 emigracji wprost z Polski.

Ta cyfra, 140 000, była moją podstawą do badań ankietowych. Wypełnione ankiety, które otrzymałam od respondentów to — Rodzina Przeszczepiona. Jej nazwa angielska — *Transplanted Family*.

Nazwę polską zawdzięczam profesorowi Tymonowi Terleckiemu, który wprowadzając mnie na wieczorze w Chicago wiele lat temu, przetłumaczył *ad hoc*, *transplanted* na przeszczepioną.

Pod koniec XX stulecia minie 30 lat od chwili rozpoczęcia pracy badawczej nad Rodziną Przeszczepioną. Było to zamierzenie na szeroką skalę i niepowtarzalne. Przyniosło nie tylko informacje, które stworzyły profil rodziny polskich emigrantów do Stanów Zjednoczonych po II wojnie światowej, ale zastosowało nowe wówczas pojęcia, tożsamości i tożsamości etnicznej, do mierzenia zmian w psychice emigranta spowodowanych kryzysem oderwania od rodzimej kultury i problemami dostosowania się do nowych warunków.

Wzrastające obecnie zainteresowanie tożsamością etniczną, wtedy, (w latach sześćdziesiątych), przeżywało swój debiut. Książki Eriksona, a specjalnie, *Identity, youth and*

---

<sup>1</sup> *The Transplanted Family, A Study of Social Adjustment of The Polish Immigrant Family to the United States After the Second World War. (A Dissertation submitted to the Columbia University School of Social Work, 1971) New York, Arno Press, 1980. Zob. też: D. Mostwin, The Profile of Transplanted Family, The Polish Review 1974, vol. XIX, nr 1, s. 77-89; D. Mostwin, Post-World War II Polish Immigrants in the United States, The Polish American Studies 1969, vol. XXVI, nr 2, s. 5-14.*

*crisis* (1968) cieszyły się ogromną popularnością na kampusach uniwersyteckich. Stało się to jakby z dnia na dzień, a przecież musiało narastać stopniowo. Pamiętam, że w rozmowach studenckich zaczęło się coraz częściej powtarzać zagadnienie kryzysu tożsamości etnicznej. Nie łączono go z etnicznością. Etniczność należała się raczej grupom mniejszościowym, klasie robotniczej, emigrantom, którzy do Ameryki przyjechali pod pokładami okrętów. Emigracji za chlebem.

W okresie eriksonowskim tożsamość etniczna odnosiła się do symbolicznych korzeni czerpiących z głębokich źródeł dziedzictwa. Kryzys wynikał z uświadomienia sobie braku korzeni lub niemożliwości ich odnalezienia.

Rodzina Przeszczepiona reprezentowała emigranta, który chociaż wywodził się ze Europy Wschodniej, różnił się znacznie i pod wieloma względami od swoich poprzedników. Pomimo to do oceny potrzeb, zachowania się i pracy tego nowego, nieznanego emigranta, używano stereotypów, ustalonych wzorów postępowania sięgających zeszłego stulecia.

W pracy nad *Transplanted Family* starałam się uchwycić te zmiany psychiczne, które były rezultatem wielkiej traumy: oderwania od rodzimej kultury. Ten gwałtowny wstrząs powodował u wielu sytuacji kryzysowe zagrożające równowadze emocjonalnej emigranta i jego rodziny. Badania nad tożsamością etniczną nie zakończyły się na Rodzinie Przeszczepionej. Kontynuowałam ten temat w dalszych sześciu badaniach emigrantów (1976, 1977, 1978, 1984, 1987 i 1994). Prace te doprowadziły do wyłonienia nowej wiedzy o procesie zachodzącym w psychice człowieka wykorzenionego (*Trzecia wartość*, KUL, 1995).

Współczesny emigrant polski jest człowiekiem nowym. Nie jest to już ani polski emigrant z przełomu stulecia, bohater opowiadań Sienkiewicza, ani *Displaced person* z lat pięćdziesiątych, ani Solidarnościowiec z badania w roku 1984.

Najnowszy emigrant, przeważnie drugie lub trzecie pokolenie wywodzące się ze wsi, chętnie i szybko zadomawia się w tożsamości *Polish American*. Aby zrozumieć dlaczego tak się dzieje, a jest to według mnie zwrot pozytywny, należałoby zanalizować nową sytuację, w której znalazł się polski emigrant w latach dziewięćdziesiątych.

Nie próbując nawet analizować tej sytuacji, zaznaczę tylko moje ogólnikowe spostrzeżenia. Najnowszy emigrant to przeważnie drugie lub trzecie pokolenie wiejskie. Jest to emigracja zorganizowana, przygotowana, aby na miejscu, w Ameryce, tworzyć małe społeczne wysepki z tendencją ku samowystarczalności. Takie niewielkie jednostki łączą się razem tworząc polską dzielnicę. Handel i rzemiosło są tu w rękach Polaków. Zainteresowani amerykańską polityką (czego nie było u wcześniejszych polskich emigrantów) starają się wpłynąć na legislaturę, aby ulepszyć warunki mieszkalne swojej dzielnicy (np. Greenpoint w Nowym Jorku).

Powróćmy do Rodziny Przeszczepionej. Została w pamięci wielu jako nadzwyczajny zryw, wyczyn społeczny emigracji, która podała sobie rękę w wspólnym wysiłku zadookumentowania swojej obecności.

Dokumentem tym jest książka, teza doktorska Uniwersytetu Columbia, opublikowana w roku 1980 (Arno Press, New York). Informacje w niej zawarte dotyczą emigracji polskiej po II wojnie światowej i odpowiadają na następujące pytania:

1. Kim jest powojenny emigrant polski w Ameryce?
2. Jaki zajął status społeczny?
3. Jakimi drogami dotarł do Ameryki?
4. Jak przekazuje tradycje polskie dzieciom?
5. Czy lojalność jego do Ameryki wyklucza jego lojalność i przywiązanie do Polski?
6. Czy możliwa jest podwójna tożsamość i podwójna lojalność?



## JAK TO SIĘ ZACZĘŁO?

W styczniu 1970, 8700 kwestionariuszy ośmiostronicowych, dużego formatu, z 68 pytaniami ruszyło pod wybrane adresy w 35 stanach Ameryki. Na pierwszej stronie ankiety umieściłam wezwanie o pomoc w wypełnianiu i odsyłaniu kwestionariuszy kończące się następującym apelem: Jest to apel o napisanie prawdy o powojennej fali Polaków w Stanach Zjednoczonych, a tym samym o podniesieniu opinii o Polakach w Ameryce. To ostatnie, opinia o Polakach w Ameryce, nie przestaje być punktem newralgicznym w stosunkach *Polish-Americans* z amerykańskim otoczeniem. Jest to problem aktualny wypowiadany coraz odważniej i inaczej.

Miałam wrażenie słuchając dyskusji wynikłej po niedawnej mojej prelekcji, dyskusji w której zabierali głos młodzi, wysoko wykształceni emigranci i osoby pochodzenia polskiego, że reakcja na *polish jokes* i stereotyp Polaka jako ograniczonego ciemniaka, ulega zmianie. Nie jest to już wybuch emocjonalny. Jest to nowa forma reakcji dążąca w kierunku wyjaśnień, informująca i domagająca się prawdy. Bo ten, który na obrazę reaguje, to już nie wystraszony emigrant ukrywający się przed ośmieszeniem tylko dlatego, że jest Polakiem, ani też upokorzony, wstydzący się swego pochodzenia obywatel USA drugiej kategorii. To reaguje obywatel amerykański polskiego pochodzenia, obrażony i zdecydowany odważnie i rozsądnie bronić swojej godności. Swego honoru. Tak, honoru. Odwieczna polska wartość znów daje znać o sobie. Bez szabli, ostrogi, bez rzucania rękawicy stała się poczuciem osobistej godności, której broni nie tylko samotny rycerz, ale i prawo kraju, którego jest obywatelem.

Studium Rodziny Przeszczepionej wiele zawdzięcza polskim i polsko-amerykańskim instytucjom i organizacjom. Współpracowały ze mną Fundacja Kościuszkowska, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Stowarzyszenie Byłych Więźniów Politycznych, stacje radiowe, prasa polskojęzyczna w Ameryce, Francji i Anglii, Polski Instytut Naukowy w Ameryce, polskie parafie i księża. Specjalnie pomocny był redaktor „Kultury” Jerzy Giedroyc uczyniając wiele miejsca na łamach swego pisma dla informowania o badaniu.

Z 8700 rozesłanych ankiet, 2049 wróciło wypełnione na moje ręce. Otrzymałam 360 listów, które zanalizowałam i jako dodatkowy dokument włączyłam do tezy. Jak na studium emigrantów, były to cyfry oszałamiające.

Po prawie 30 latach narosły nowe pokolenia. Napłynęły nowe fale emigracji. Ci młodzi niewiele wiedzą o problemach rodziny przeszczepionej. A przecież trzeba by się zatrzymać, spojrzeć wstecz i powiedzieć jak wyglądały sprawy zakulisowe? Komu, jakim układom zawdzięczamy to badanie? Dlaczego było tak ważne? Dlaczego 2049 odpowiedzi? Doświadczony *researcher* wie, iż wystarczy ich dużo mniej aby zatwierdzić badanie. Dlaczego po doskonałej pracy Thomasa i Znanieckiego tak długie milczenie o polskich emigrantach i dopiero teraz Rodzina Przeszczepiona? Wiele pozornie nie związanych z sobą przyczyn złożyłoby się na odpowiedź. Postaram się, chociaż częściowo, nie trzymając się chronologii, opowiedzieć historię Rodziny Przeszczepionej tak, jak ją widzę teraz, z perspektywy 30 lat.

## ROK 1969, NOWY JORK

Na Uniwersytecie Columbia, w Szkole Social Work przygotowuję projekt mojej pracy doktorskiej. W tym czasie miałam już poza sobą 13 lat doświadczenia we wszystkich działach opieki społecznej, magisterium uzyskane na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie, pozycję dyrektora prywatnej agencji specjalizującej się w adopcjach, i dwa lata doktorskich studiów na Columbii. Z gotowym zarysem pracy zwróciłam się do dziekana studiów doktorskich z prośbą o jej zatwierdzenie.

Prof. Alfred Kahn, doskonały wykładowca, przyjął mnie gratulując ostatnich egzaminów i zapytał o temat pracy.

Tematem mojej pracy — powiedziałam — jest rodzina przeszczepiona, a dokładniej, „Przystosowanie się rodziny polskich emigrantów po II wojnie światowej do nowych warunków w Ameryce”.

Zadrżałam nagle. Twarz dziekana z zaciekawionej i uprzejmej znieruchomiła w nieprzystępną.

Czy coś źle zrobiłam?

Uśmiechnął się z przymusem. Podałam mu *outline*, którą prędko przeczytał i oddał mi.

Proszę pani — powiedział — ja tej pracy nie mogę zatwierdzić.

Dlaczego? Co się stało?

Proszę, niech pani siada. Nic pani złego nie zrobiła. Niech się pani tak nie denerwuje. Tu chodzi o sprawę emigrantów. Jest od dawna zamknięta. Zakończona. Proponuje pani ankietę. Nikt pani na tę ankietę nie odpowie. Mamy z tym doświadczenie. I gdzie będzie pani szukała tych emigrantów? Oni nie chcą, żeby ich znaleźć... Niech pani sobie weźmie inny temat. Przystępczość młodzieżowa. Albo adopcja. Pani jest w tym expertem. Dostanie pani grant. Każda agencja przyjmie panią z otwartymi ramionami.

Ale panie profesorze, ja mam zupełnie inne informacje — broniłam się — emigranci odpowiedzą, trzeba tylko odpowiednio do nich podejść. Wstał.

Nie. Niestety tego tematu nie mogę zatwierdzić. Strata czasu dla pani i dla Szkoły.

Wyszłam ze spotkania z dziekanem roztrzęsiona. Powstrzymywałam łzy. Poczułam się odrzucona. Zrozumiałam po raz pierwszy w Ameryce, że do końca życia w tym pięknym kraju pozostanę inna. Naturalne pragnienie przynależności, potrzeba korzeni nie spełnia się dla emigranta. Raz wyrwany, pozostaje asteroidą. Nie należący ani tu, ani tam, sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem, sam stwarza siebie i swój świat. Sam, w uporczywym zmaganiu się z sobą, jak jedwabnik wysnuwa z siebie swoją jedyną trzecią wartość. To nie było tylko odrzucenie tematu. To ja w najwrażliwszej sferze mojej osobowości poczułam się odrzucona. Zrozumiałam, że w wyborze tematu kierowała mną nie tylko naukowa ciekawość, ale pasja utrwalenia losów powojennego pokolenia emigrantów. Mojego pokolenia.

## LONDYN, 1945

Tę pasję utrwalania, zatrzymywania odczułam po raz pierwszy w lipcu 1945 roku, w Londynie, kiedy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone cofnęły uznanie rządowi polskiemu na emigracji. Tysiące polskich żołnierzy z utraconych ziem wschodnich nie miało możliwości powrotu do domu. Domu nie było. Pamiętam tę rozpacz. Tragiczny obraz rozpadającej się Polskiej Armii. Długie, nocne rozmowy, w których powtarza się te same argumenty: wracać? nie wracać? Przysłuchuję się. Chłonę obrazy. Dochodzą do mnie szeptem przekazywane wieści: zastrzelił się, otruł się gazem, zabrał go ambulans. Ginęła żywa tkanka narodu. Kim byli, jacy byli, jaki był ich dzień powszedni? Niezapisane, nieutrwalone, albo spisane wiele lat później straci ważność kroniki. Widziałam ogromną potrzebę pisania na gorąco. Ale nie byłam jeszcze gotowa. Z tego okresu powstała jedna niewielka powieść — *Dom starej lady*<sup>2</sup>. Po latach ma wartość dokumentu. Większość pisarzy polskich wspominała niedawną, okrutną przeszłość: obozy, łagry, wspomnienia bitew, albo wracała do łagodzących krajobrazów ich młodości. Codzienne życie przeżywało obok.

---

<sup>2</sup> D. Mostwin, *Dom starej lady*. Londyn 1958.

## BALTIMORE, NAD ZATOKĄ, 1958

Po trzynastu latach to samo odczucie i pasja ratowania przepływającej historii. Ale nie byli to już zdemobilizowani żołnierze, tylko emigranci zabiedzeni, starzy i samotni. Wystraszeni, schorowani ludzie. Wielu z nich nigdy nie nauczyło się mówić po angielsku. Odwiedzałam ich, moich podopiecznych, w dzielnicy polskiej nad zatoką. Z tego okresu zachowały się notatki włączone później do zbioru opowiadań *Asteroidy*<sup>3</sup>.

„Dzielnica oddycha zatoką. Jej niekształtny tułów, obślizgła skorupa potwornego kraba zanurza się w czarnej, cuchnącej wodzie. Ulice — wąskie kręte macki — pełzają, ocierają się o siebie, podobne jedne do drugich, o nazwach dziwacznym, śmiesznym, nieodpowiednich...

Na parterach wąskich kamienic przez otwarte drzwi barów o każdej porze dnia widać mężczyzn w koszulach otwartych pod szyją, w kapeluszach zsuniętych na czoło, z łokciami opartymi o ladę... Mieszkańcy dzielnicy są ludźmi, których przeszłość obrosła zapomnieniem, a przyszłość umarła... Jest to dzielnica cudzoziemców i część miasta, która nazywa się Polish Section.” (*Asteroidy*)

Nie ma już *Polish Section*. Odeszli ludzie, buldożery zniosły ich domy-rudery. Rozsypała się historia. Kilku z nich zostało w moich szkicach *Asteroidy*.

Czułam, że ten sam los zapomnienia, obojętnego przejścia obok może spotkać emigrantów po II wojnie światowej. Była to emigracja rodzinna, często trójpokoleniowa, z przewagą osób z Polski centralnej. Przypominała układ demograficzny Polski Dwudziestolecia. Chciałam ich w jakiś sposób utrwalić, zachować. Wydawało mi się, że praca doktorska oparta o fakty przekazane w ankiecie byłaby tym wymarzonego sposobem.

Spóźnione napływają refleksje:

Czy zarejestrowanie fali polskiej emigracji powojennej do Ameryki, którą, ze względu na charakter rodzinny emigracji nazwałam *Transplanted Family*, było w jakiś sposób ważne? Dla respondentów? Dla następnego pokolenia? Dla sytuacji emigrantów w Ameryce? Wtedy, gdy rozpoczynaliśmy zbieranie informacji w roku 1970, przeszłość historyczna miała dla emigrantów polskich wartość mitu, który nakładał obowiązek przekazania uznanych wartości następnemu pokoleniu. Wierzyliśmy, że tak trzeba, bo jeśli utracimy związek z przeszłością, zginiemy jako naród o odrębnej, bogatej kulturze. Inaczej myśli następne pokolenie (w kraju i na emigracji) odmawiając przyjęcia przekazu, bo przeszłość nie sprawdziła się. Nie przyniosła tego co w chwili obecnej było dla nich najważniejsze: poczucia bezpieczeństwa.

Dlatego też wielu wśród polskiego młodego pokolenia nie zgadza się z kultem przeszłości uważając go za zbyt arbitralny i w swojej skostniałej formie, nieużyteczny. Nie zważając na to, najstarsze pokolenie w przyspieszonym tempie buduje pomniki, aby zdążyć przed nadchodzącym wiekiem XXI. Stary polski kult symboli wyładowuje się w tej gorączkowej akcji pomnikowej. Szanują tę akcję tak, jak szanują prawo głosu każdego człowieka. Nie jest to mój wybór. Wiem, że gdy wszystko ulegnie zniszczeniu, tylko słowo zostanie. Słowo — najtrwalszy pomnik ludzkiej myśli, świadek ludzkich dokonań. Dokonaniem było zmaganie się powojennej emigracji przeżywającej kryzys utraty ojczyzny z trudnościami przetrwania w nieznanym otoczeniu. Ta cicha walka z nostalgią, z ogarniającą depresją nie zawsze kończyła się zwycięstwem. Czy nie należy im się pomnik? Ale stawiać pomnik emigrantom? Za co? Czy za to, że przetrwali? Za to, że mieli odwagę zaczynać nowe życie, że umieli walczyć o swoje miejsce w nowym kraju, za to co Ameryka od nich dostała? A dostała bardzo wiele: wykształcenie i talenty, lojalność

<sup>3</sup> D. Mostwin, *Asteroidy*. Londyn 1965.

najczystsą ze wszystkich grup etnicznych, i młode pokolenie, wychowane w tradycji rodzinnej. Dziwny pomnik, ale może właśnie taka, wykuta z kamienia grupa pracujących emigrantów powinna stanąć obok, albo zamiast gwiazdzistej statuy wolności. Prawda i rzeczywistość obok marzeń i pieśni o wolności.

### ROK 1969, NOWY JORK

Powróćmy do mojej rozmowy z dziekanem. Wysłałam po tej rozmowie roztrzęsiona, wstrzymując łzy. Co robić? Do kogo udać się po radę? Ani przez chwilę nie pomyślałam o tym, aby zmienić temat tezy. Postanowiłam walczyć.

W Nowym Jorku mieszkało kilku wybitnych polskich naukowców. Niektórych znałam osobiście, innych z ich artykułów i książek. Umówiłam się na spotkania, telefoniowałam, pisałam. Byli to doświadczeni, przyjaźnie nastawieni do mnie profesorowie uniwersytetów. Niestety, żaden z nich nie zachęcał mnie do badań emigrantów. Argumenty były podobne. To nie teraz — mówili — to jak pani napisze jakąś niewielką tezę i wtedy z dyplomem w kieszeni, można starać się o grant. Na emigrantów nikt nie da pieniędzy. Poza tym — mówili — to nie jest wdzięczny temat. Nie odpowiadają, nie kooperują. Tu, w tym wypadku powinna być praca całego zespołu. To nie dla pani. Szkoda pani czasu i talentu.

Wydawało mi się, że było coś w temacie polskiego emigranta czego nie mogli, nie chcieli, albo nie umieli mi przekazać. Zbliżał się ostateczny termin zgłaszania prac doktorskich. Byłam przygnębiona. A co gorsze, zaczynałam się wahać: po co ja się w to pcham? Tylko zaszkodzę sobie na uniwersytecie. Niech inni walczą, ja już nie mam sił. I może nigdy nie powstałaby *Transplanted Family* gdyby nie przypadek. A może zrzęczenie losu? Było to krótkie spotkanie i rozmowa z prof. Lukoff. Musiało być jednak niezmiernie ważne, gdyż nie tylko treść rozmowy, ale i tło na którym się odbyła, przemawiają do mnie dwugłosem nie zmienionym przez czas.

Wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych, Szkoła Social Work nie mieściła się jeszcze na kampusie Columbii, ale w pięknym pałacyku na V Avenue. Ściany wykładane boazerią, rzeźbione sufity, wysokie okna, ogromne, ciężkie drzwi. Na podniszczonych już ścianach, posadzkach, parkietach pozostało jeszcze tchnienie dosytu bogatej, młodej, budującej się wtedy Ameryki, nie dotkniętej jeszcze blichтром nowoczesności. Prof. Irving Lukoff wydawał się bardziej niż inni wykładowcy zainteresowany problemami grup mniejszościowych. Profesorze Lukoff — zatrzymałam go — to ważne. Czy może mi pan pomóc? Przystanęliśmy w połowie szerokich, wijących się schodów prowadzących z rozległego halu na piętra, do sypialni z rzeźbionymi sufitami. W sypialniach Carnegie odbywały się teraz wykłady i seminaria dla studentów mojej szkoły. Trochę to przypominało scenę z „Doktora Żiwago” gdy doktor po powrocie z frontu wchodzi do domu rodzinnego. Tłok, biegania po schodach, ludzie nie pasujący do otoczenia. Ale wtedy o tym nie myślałam.

Prof. Lukoff nie był nadzwyczajnym wykładowcą. Wykłady miał słabo zorganizowane, egzaminy zastraszająco trudne, z których cała klasa z wyjątkiem jednego geniusza, dostawała niedostatecznie, albo najwyżej C-. Był jednak przystępnym, sympatycznym człowiekiem i miał doskonałe, szybkie pomysły. Uśmiechnął się. Dostała pani B ze statystyki. Nie cieszy się pani? Bardzo. Tak. Ale to nie o to chodzi. Czy zna pan kogoś na uniwersytecie... Czy jest ktoś specjalizujący się w problemach emigrantów?

Emigranci? To pani jednak uparła się przy emigrantach. No a Margaret Mead? Przecież to jej dziedzina.

Tylko Margaret Mead. Niech pani do niej idzie. Ja? Do niej? Przecież ona mnie nie przyjmie. Przyjmie, czy nie przyjmie, warto spróbować — powiedział i nawet nie spostrzegłam kiedy mi uciekł.

### ROK 1969, NOWY JORK, COLUMBIA, SEMESTR WIOSENNY

Profesor Margaret Mead, antropolog, była jedną z ówczesnych gwiazd Columbii, znaną z podróży na wyspy południowe i swego ostrego języka. Jej książki, a specjalnie te opisujące życie seksualne wśród prymitywnych szczepów wyspiarskich, miały duże powodzenie. Na kampusie Columbii była postacią dobrze znaną. Chodziła zawsze z grubym kosturem-laską, przypominającym gałąź egzotycznego drzewa. Prof. Mead zainteresowała się moim tematem. Była życzliwa, pomocna i przyjęła mnie nie tylko na swoje wykłady, ale i na kurs indywidualnych sesji tak zwanych *tutorials*. Pamiętam moje pierwsze z nią spotkanie. Jako dyrektor Museum of Natural History urzędowała w jego budynku. Dokładnie, w południowo-zachodniej wieży muzeum. Droga na wieżę prowadziła przez sale muzeum. Mijałam szklane gablotki i szafy gdzie prezentowały się różnej wielkości stwory z prahistorii ziemi. Wjechałam windą na ostatnie piętro. Dalej, tajemniczymi drzwiczkami przedostałam się do żelaznych, kręconych schodków. Mrocznie, ciasno, pachniało pleśnią i starymi, wilgotnymi foliarami. Była tu różnorodność wszystkiego: maski dzikich plemion, suszone rośliny, muszle, pakiety, pakieciki, stoiki, pudła i pudełka. Dr Mead uważała, że każda rzecz, każda istota ludzka, każda myśl ma swoją specjalną wartość, zastosowanie w dynamicznym układzie kosmosu. Zziębnięta wyostałam się na ostatni stopień wieży. Znalazłam się w gabinecie dyrektora. Na tle półek piętrzących się do sufitu, zapchanych książkami, maszynopisami i eksponatami z różnych wysp, zwrócona do mnie profilem, z rękami na klawiaturze maszyny, tak, jakby za chwilę miała uderzyć w klawisze, niewielka starsza pani w wieku około siedemdziesiątki siedziała nad czymś głęboko zamyślona. Wyczułam w niej intensywność i dogłębne zaangażowanie w pracę. Z zaufaniem, a jednocześnie nieśmiałością zbliżyłam się do niej. Poczulałam się w roli ucznia, który po bezowocnym szukaniu odnajduje w tajemniczej wieży długo poszukiwanego mistrza. Naokoło cisza. Atmosfera skupienia. Ruch uliczny tu nie dociera. Spojrzała na mnie penetrująco przez binokle: To pani chce badać powojenną polską emigrację?

Skinęłam głową. Podałam jej papiery. Przeczytała uważnie. Zastanawiała się.

Proszę pamiętać, że bierze sobie pani trudny projekt. Trudny, bo pani jest Polką, a musi pani pozostać neutralną.

Zdaję sobie z tego sprawę.

Nie pasuje mi pani do żadnej grupy Polaków, których dotąd znałam. Staram się jakoś panią umieścić.

Jest nas tu w Stanach kilkadziesiąt tysięcy. Dokładnie, grupa którą chcę zbadać liczy 140 000 osób, które emigrowały do Stanów w czasie od końca wojny do 31 grudnia 1968 roku.

Zdjęła ręce z klawiatury, odwróciła się do mnie twarzą i przez chwilę badała mnie wzrokiem. Tak widziana, wydała mi się dużo starsza, zmęczona, i w jakiś sposób w sobie zagłębiona. Powiedziała: Najważniejszym instrumentem w badaniu, które pani chce przeprowadzić jest kwestionariusz. Będzie go pani zmieniać i ulepszać bez końca. Ale przed tym trzeba przeprowadzić badanie próbne. *Pilot study*. Niech pani przeprowadzi wywiady z dwoma krańcowo różnymi osobami z tych 140 000. Proszę to wziąć na taśmę i przepisać na nasze następne spotkanie. Powinna pani przeczytać wszystko co zostało napisane o polskich emigrantach. Myśl jej pracowała w coraz to innym kierunku.

Ciekawe, że panią interesują losy tych 140 000. A my, mieliśmy tu zaraz po wojnie polską grupę bardzo wybitnych naukowców. Wymieniła nazwiska. Dwa z nich znałam. Badali zależności pomiędzy kulturą i charakterem narodowym.

Proszę mi przynieść sprawozdania z zebrań polskiej sekcji — zwróciła się do sekretarki. Sekretarka milcząca, w wieku nieokreślonym, zdjęła z odległej półki dwa drewniane pudełka i teczki z papierami. Będzie to w mojej bibliotece do pani wglądu — powiedziała — ciekawa jestem jak pani na to zareaguje. Jeszcze jedno krótkie, ostre spojrzenie i znów ręce na klawiaturze. Znak, że sesja nasza skończona. Wracając krętymi schodami z odludnej ciszy wieży na głośną ulicę miasta, powtarzałam sobie: Ona jest wspaniała. Wspaniała! To się dobrze, bardzo dobrze zaczyna.

## HISTORIA KWESTIONARIUSZA

Pochłonięta pracą nad konstrukcją kwestionariusza, zafascynowana sesjami na wieży, nie zastanowiłam się, że koszt druku i wysyłki pocztowej kwestionariusza dawno przekroczył możliwości mego budżetu. Podania pisane do instytucji i organizacji polsko-amerykańskich wracały odmowne, albo pozostawiały moje listy bez odpowiedzi. Siedziałam teraz w dużym, słabo oświetlonym halu, w domu na ulicy 65, w Nowym Jorku i czekałam na spotkanie z vice-dyrektorem Fundacji Kościuszkowskiej, dr Eugene Kusielewiczem. Nie spodziewałam się wiele po tym spotkaniu. Wiedziałam jednak, że z każdej udanej lub nieudanej wizyty mogłam wysnuć nowe myśli, z innej perspektywy spojrzeć na moje badanie. Czekałam długo. Nie spostrzegłam, że dr Kusielewicz zeszedł ze schodów i stanął przede mną. Był wysoki, atletycznie zbudowany, bardzo młody i bardzo poważny. Widziałam, że był nieśmiały i pokrywał to surową miną, która przy pierwszym spotkaniu czyniła go nieprzystępnym. Usiadł na drugim końcu bardzo długiego stołu i słuchał cierpliwie mojej relacji o ważności badania polskiej emigracji niepodległościowej. Nie odzywał się aż do chwili kiedy powiedziałam:

Jednym z celów ankiety jest podniesienie opinii o Polakach w Ameryce. Wydaje mi się, że nas nie znają, oceniają na podstawie stereotypu polskiego chłopca-analfabety, który na początku tego wieku imigrował z zabiedzonych terenów pod okupacją, którego nikt nie bronił, ale którego naiwność nieraz nadużywano.

Imigrant taki, onieśmielony usuwał się zamiast zdobywać. Cofał się i chował w swojej etnicznej enklawie gdzie interesowały go tylko sprawy lokalne, a zainteresowanie i udział w sprawach polityczno-gospodarczych i społecznych Ameryki, pozostawiał innym. Tu urodzonym, mądrzejszym.

Eugene Kusielewicz podniósł głowę i twarz mu się zmieniła. Przez chwilę nie odzywał się, a kiedy przemówił głos jego zabrzmiał zupełnie inaczej. Usłyszałam w nim entuzjazm.

Czy pani wie — powiedział — że drugie pokolenie Polaków, pierwsze, które urodziło się w Stanach i zostało wykształcone w szkołach amerykańskich wstydi się swego polskiego pochodzenia? W szkole nigdy nie słyszeli o znaczeniu grupy polskiej w życiu amerykańskim. Inteligentna młodzież. Doszli do wniosku, że w dziedzictwie polskim nie ma nic ciekawego. Lepiej odsunąć się, nie przyznawać. Wielu zmienia nazwiska. A liderzy Polonii nie mogą w to uwierzyć. Nie mają odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Wystarczy przeczytać pracę dr Marie Gutowskiej z University of Massachusetts. Albo badania dr Richarda Kolma z Uniwersytetu Katolickiego w Waszyngtonie. To pani uniwersytet. Powinna pani znać profesora Kolma.

Znam, naturalnie. I bardzo cenię. Czytałam jego pracę *The Identity crisis of Polish Americans*.

Profesor Mierzwa — powiedział Kusielewicz — chciałby panią poznać. Czytaliśmy pani podanie i cała sprawa bardzo nas interesuje. To są tematy, które chcemy popierać. Wydrukujemy pani kwestionariusz i pomożemy w rozprowadzaniu. Fundacja Kościuszkowska będzie stała za panią. To doda ważności badaniu.

Szerokimi, płaskimi schodami wchodziliśmy na piętro tego pięknego budynku, który Stefan Mierzwa uzyskał jako dar Amerykanów dla stworzenia Fundacji.

Był rok 1969. Trzy lata temu w Waszyngtonie słuchałam wykładu profesora Mierzwy. Doskonałą angielszczyzną opowiedział jak umiejąc trochę po polsku, nieco po ukraińsku, a nic po angielsku, wyemigrował ze swojej wsi w Rzeszowskiem do Ameryki. Zegarka nie miał, tylko breloczek od zegarka z podobizną Kościuszki o którym wiedział, że był to *a guy who risked out his neck when Americans were fighting*. Weszliśmy do gabinetu. Przy ogromnym biurku, zanurzony w książkach, niewielki człowiek o świdrującym spojrzeniu małych oczek. Była w nim chytra mądrość, której nie zdobył w Ameryce, ale jako podarunek na drogę ofiarowała mu wieś w Rzeszowskiem. Wyglądał zmęczony, słaby. Przyglądał mi się oceniająco. Przy pożegnaniu powiedział:

A jak by tam trzeba było więcej, to się znajdzie.

## NOWOPRZYBYLI

Tak nas nazywali: nowoprzybyli. Czasami: nowi. Czasem: Dipisi. Nigdy: Polacy. Rzadko kiedy: imigranci. Nowoprzybyłymi zostaliśmy na lata. My mówiliśmy o sobie: Polacy. Czasem: emigranci. Nigdy: wygnańcy. Nigdy: uciekinierzy. W chwili przyjazdu do Stanów nasza znajomość sceny polonijnej równała się zeru. Jeśli zdawało nam się, że coś wiemy, nasza wiedza była bardzo niedoskonała. Po trzydziestu latach wiele się zmieniło. Spójrzmy jak wyglądała ta scena w czasie, gdy 140 000 obywateli polskich, przedmiot mego badania, emigrowało do Stanów Zjednoczonych<sup>4</sup>.

## POLONIA AMERYKAŃSKA

Przyptywają wielkimi falami do nowojorskiego portu. Znajdują się wśród nich ci, którzy w roku 1970 wypełnią ankietę *Transplanted Family*. Prawie 70% uważa się za emigrantów politycznych. W miarę zbliżania się do łądu, rośnie ich niepokój i nabiera znaczenia legendarna Polonia Amerykańska. Wielu łączy z nią nadzieje otrzymania pracy, mieszkania i wprowadzenia w życie nowego kraju. Ale nikt wśród tej grupy emigrantów płynących w nieznaną i niepewną nie wie co ukrywają dwa magiczne słowa: Polonia Amerykańska. Wydawało się, jakoby już sama nazwa była czarodziejskim kluczem otwierającym bramy do spokojnego życia, w atmosferze wolności. Nikt też nie zastanawiał się jak wygląda scena organizacyjna Polonii, scena na której już wkrótce oni sami w swojej nowej roli początkujących emigrantów będą musieli się poruszać.

W okresie od stycznia 1948, do grudnia 1952, najwyższa fala Rodziny Przeszczepionej, bo 48% całości, uderzyła o wybrzeże amerykańskie. Zaledwie połowa emigrantów

---

<sup>4</sup> Zgodnie z oficjalnymi statystykami (*Memo to America: The DP story*) 1952, w dniu 31 grudnia, 1951 roku, w Stanach Zjednoczonych znajdowało się 154 556 osób (wśród 339 520 Displaced Persons) które otrzymały wizy do Ameryki powołując się na obywatelstwo polskie. Liczba ta nie zgadza się ze statystyką Związku Weteranów.

Ponieważ wśród DP powołujących się na obywatelstwo polskie, znajdował się duży odsetek mniejszości, wydaje się, że liczba 140 000 jest bardziej prawdopodobna. Te 140 000 jest moim punktem wyjściowym i całością (*population*) do której będą się odnosić informacje i wnioski otrzymane z próby badawczej (2049 wypełnionych kwestionariuszy), które odpowiednio manipulowane (według zasad *research*) przyniosą w rezultacie psycho-społeczny profil polskiej rodziny emigrującej do Stanów Zjednoczonych po II wojnie światowej.

mogła porozumieć się po angielsku. Ale przecież oczekiwała ich silna, zorganizowana, legendarna Polonia.

Przyjrzymy się ówczesnej Polonii Amerykańskiej, w której tak wielkie nadzieje pokładał powojenny emigrant. Wygasł już patriotyczny zapał hallerczyków. Nie udały się plany organizowania oddziałów polskich w Kanadzie. Ta apolityczność zmieniła się po przystąpieniu Ameryki do wojny. Utworzony w czerwcu 1942 Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP), założony przez najwcześniejszych przybyłych (1940) emigrantów politycznych, trzech byłych ministrów rządu polskiego: Wacława Jędrzejewicza, Henryka Rajchmana i Ignacego Matuszewskiego, podjął rolę głównego politycznego orędownika wolnej i niepodległej Polski.

Chociaż Polonia przed wybuchem wojny i na jej początku nie czuła zaangażowania w sprawy Polski, to jednak poruszeni konfliktem rządu polskiego emigracyjnego i rządu radzieckiego, a także wkroczeniem armii radzieckiej na ziemie polskie, Amerykanie polskiego pochodzenia pod kierownictwem Karola Rozmarka przywódcy ZNP (Związku Narodowego Polskiego) na zjeździe w Buffalo w maju 1944 powołują do życia ogólnokrajową organizację, Kongres Polonii Amerykańskiej. Najważniejszym jego zadaniem jest wywieranie nacisku na administrację Roosevelta w celu uwzględnienia interesów Polski<sup>5</sup>.

Chociaż przed wojną i na jej początku, Polonia nie czuła się zaangażowana w sprawy Polski, to jednak zagrożenie zniszczenia korzeni, atawistyczny lęk utraty mitów dziedzictwa, odświeżył łączność z Polską i wrażliwość na jej wołanie o ratunek.

Polonia Amerykańska, z którą spotka się płynący do swego przeznaczenia emigrant jest siatką organizacyjną w stanie organizowania się. Do czasu powstania Kongresu, był to konglomerat licznych stowarzyszeń, organizacji ubezpieczeniowych, kółek parafialnych, zrzeszeń głównie lokalnych, związków i zjednoczeń. W tym gąszczu trudnym do zorientowania się, nie było organizacji, która podjęłaby odpowiedzialność zbiorową za obywateli amerykańskich pochodzenia polskiego. Odpowiedzialność taka nie była jak dotąd potrzebna. Dopiero wypadki ostatniej wojny uświadomiły liderom Polonii, że scalenie wysiłków poszczególnych organizacji okazuje się w pewnych sytuacjach jedynym sposobem osiągnięcia zamierzonego celu. Zważywszy na łatwość Polaków w zakładaniu organizacji i na ogromne trudności w podporządkowaniu się organizacjom nadrzędnym, Kongres Polonii nie miał łatwego zadania. Pomimo to, działał skutecznie w pomocy emigrantom. Trudności z uzyskaniem pomocy wynikały, moim zdaniem, z braku informacji. Nikt nie poinformował emigranta gdzie i od kogo mógłby pomoc otrzymać. Śledząc losy następujących po sobie fal polskich emigrantów ostatniego trzydziestolecia, nieraz porównuję ich do losu *Transplanted Family*. Stwierdzam z satysfakcją, że wiele się nauczyli: i ci, którzy przyjmują pomoc (emigranci) i ci, którzy ją ofiarują (Polonia Amerykańska).

## ROZPROWADZENIE I POWRÓT ANKIETY

W pierwszym tygodniu stycznia 1970, 8 700 kwestionariuszy ruszyło pod wybrane adresy w 35 stanach Ameryki. Kwestionariusz rozmieszczony na czterech kartkach (ośmiu stronach) zawierał 68 pytań. Skierowany do rodzin, miał osobne miejsca na odpowiedź żony i męża. Na pierwszej stronie zaznaczono petitem że druk ankiety umożliwiło Kościuszko Foundation.

---

<sup>5</sup> W analizie scenarii polsko-amerykańskiej opierałam się o doskonałe opracowanie Stanisława A. Blejwasa *Nowa i stara Polonia: napięcia w społeczności etnicznej*, [in:] *Polonia Amerykańska: Przeszość i współczesność*. Polska Akademia Nauk, 1988. Całość książki omawiam w dalszym ciągu tego eseju.



Już w styczniu nadchodzić zaczęły wypełnione ankiety. Był to jeden z najciekawszych okresów mego życia. Otwierając sterty kopert z różnych zakątków Ameryki, wydawało mi się, że zostałam wciągnięta w jakąś dynamikę wzoru łączącego mnie z nieznaną siłą nakazującą akcję. Nakaz ten był jednocześnie potrzebą, która zaspokojona obniżała *anxiety*.

Bez wydatnej pomocy społeczeństwa polskiego w Ameryce żadna, na większą skalę akcja nie doszłaby do skutku. Czyż więc my wszyscy, których korzenie tkwią jeszcze mocno nad Wisłą, Wartą lub Bugiem uchwyceni jesteśmy siatką współzależności i nakazów kierowanych stamtąd na naszą półkulę?

Pomoc polskiego społeczeństwa w Stanach przy rozprowadzaniu ankiety okazała się spontaniczna. Nieraz, wzruszająca: dołączony do wypełnionej ankiety banknot jednodolarowy „na znaczki”, listy przynoszące historie życia, z których każda zasługiwałaby na książkę. Słowa zachęty. Błogosławieństwa. Oferty pomocy. W nieprzewidziany sposób *Transplanted Family* stworzyła serdeczny, intymny klimat pokrewieństwa.

#### “POLISH IMMIGRANTS TO U.S. SINCE WAR SOCIALLY HIGHER”

Pierwsze wyniki operacji komputerowych przedstawiłam w Bostonie, w grudniu 1970, na dorocznym zjeździe Polish-American Historical Association. Po wykładzie podszedł do mnie reporter z „Boston Herald”. Prosił, abym poszła z nim do redakcji pisma i przekazała mu dokładne wyniki badania Rodziny Przeszczepionej. Informacje, które podałam, a zwłaszcza te dotyczące wykształcenia emigranta w chwili przyjazdu do Stanów, zaskoczyły go.

Na drugi dzień, 28 grudnia, „Boston Herald” zamieścił tłustym drukiem tytuł artykułu. „Wśród powojennych emigrantów — podawał «Boston Herald» — 27% miało wykształcenie uniwersyteckie, 20% studia wyższe rozpoczęte, a 23% ukończyło gimnazjum. 50 lat temu wykształcenie emigrantów z polskiej wsi — donosiła gazeta — było na dużo niższym poziomie, a na przesunięcie się w górę po drabinie społecznej nie wystarczało jedno pokolenie.”

#### PRZESZŁOŚĆ I WSPÓŁCZESNOŚĆ POLONII AMERYKAŃSKIEJ

W okresie powojennym, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, „drugie i trzecie pokolenie emigracji ekonomicznej (starej Polonii)” zaczęło „przechodzić” do otaczającego ją systemu amerykańskiego. Byli to na zewnątrz 100% Amerykanie. Tylko w gronie rodzinnym, wśród swoich, na weselach i uroczystościach cieszyli się swym etnicznym dziedzictwem: pieśnią, ludowym tańcem, obrzędami przekazanymi młodym przez starszych, i lubili mówić między sobą językiem, w którym słowa polskie łączyły się z angielskimi, a angielskie ciągnęły za sobą polskie końcówki. Było to słownictwo swoiste, żargon emigrancki, urobiony przez wcześniejsze pokolenia. Skrótowy, użyteczny wtedy gdy jeszcze nie umieli mówić po angielsku, a polski, który najstarsze pokolenie przywiozło z sobą z rodzinnych wiosek, nie wystarczał.

Druga wojna światowa stworzyła nowe możliwości dla młodzieży polonijnej: służbę w amerykańskich siłach zbrojnych. A że przywilejem weteranów były darmowe studia w wybranym przez nich kierunku, synowie Polonii gremialnie korzystali z tych ułatwień. Po ukończeniu studiów, większość z nich szła do szkolnictwa. Uczyli na poziomie szkoły podstawowej. Później, jeden po drugim dokształcali się i otrzymywali pozycje na uniwersytetach. W ten sposób zaczęła powstawać młoda inteligencja Polonii.

Nie wszyscy z nich zdawali sobie sprawę z sytuacji politycznej w jakiej znalazła się Polska po zakończeniu wojny. Niektórzy o przekonaniach lewicowych, od początku kooperowali z reżymem zamykając oczy na tragiczną sytuację Narodu.

Wymiany studentów i naukowców pomiędzy US i Polską — do czego rząd komunistyczny zachęcał i w czym rząd US nie przeszkadzał — stały się dla nich wielką atrakcją. Były pod wieloma względami korzystne. Podnosiły ich *prestige* na własnej uczelni, umożliwiały bezpłatne wakacje w kraju ich pochodzenia i przynosiły dodatkowy dochód, który zawsze był pożądany. Stały się także kością niezgody pomiędzy organizacjami polskimi i niektórymi polsko-amerykańskimi; terenem wzajemnych oskarżeń, ostrych debat na szpaltach prasy, ostracyzmu, nawet pogróżek z wysyłanymi wyrokami śmierci dla „zdrajców”.

Nieporozumienia i wzajemne zwalczania się nie ograniczają się do Polonii i polskiej emigracji. Jest to zjawisko, które występuje u wszystkich grup etnicznych. Ci, którzy z niemałym wysiłkiem urządzili się, zdobyli miejsce w hierarchii społecznej, nie tylko, że będą bronić swego terytorium i nie dopuszczają nowych, ale nieraz będą im pracę utrudniać.

Działacze ze „starej Polonii” odnieśli się do nowoprzybyłych ze współczuciem, ale i z obawą. Łączyło ich dziedzictwo historyczne, ale dzieliło wiele, a przede wszystkim status społeczny. Wkrótce doszło do konfrontacji i wzajemnych oskarżeń. W konfrontacji pokoleń zauważyłam interesujące zjawisko, które nazwałam daltonizmem emigracyjnym.

### DALTONIZM EMIGRACYJNY

Daltonizm (ślepotą barwną) jest to niewrażliwość na pewne kolory. Przypuśćmy, że podobna niewrażliwość tylko nie na kolory, a na cechy charakterystyczne, zaistnieje w konfrontacji dwóch emigrantów. Każdy z nich widzi w drugim to i tylko to, co chciałby zobaczyć, a więc obraz niepełny, albo przejaśkrawiony i do tego co widzi dostosowuje swój sposób postępowania. Możliwe, że wprowadzenie arbitra, który rozjaśniłby sytuację, pomógłoby w zrozumieniu się przeciwnych stron.

Jednak spokojne wyjaśnianie przyczyn konfliktu jest w środowisku polskim raczej trudne.

Wróćmy do konfrontacji dwóch emigrantów. Emigrant starszy widzi w nowoprzybyłym to, co chce zobaczyć. A chce zobaczyć siebie, swego ojca, matkę lub babkę w pierwszym okresie emigracyjnym. Wzruszenie emocjonalne jest tak silne, że inne cechy nowoprzybyłego błędą. Nie są rejestrowane.

Starszy emigrant nie może w młodszym dostrzec innego człowieka, widzi tylko odbicie samego siebie. Kiedy po pewnym czasie zacznie rozróżniać kolory, czuje się zwykle rozczarowany, a czasem oszukany. Z drugiej strony, nowoprzybyły spodziewa się pomocy i rodzinnego przyjęcia. Jego wyobrażenia o sile Polonii nie została jeszcze zachwiana. Starszy emigrant to „stryjcio z Ameryki”<sup>6</sup>, który wszystko może gdyby tylko chciał. Otrzeźwienie jest szokiem i nieraz prowadzi do zerwania stosunków. W najlepszym razie, skarg na materializm starej Polonii.

Emigracja powojenna, do której należała *Transplanted Family*, była przede wszystkim emigracją niepodległościową. Opuszczenie ojczyzny uważali za zło konieczne. Jechali do Ameryki, aby stąd głosić prawdę o Polsce, kontynuować walkę o niepodległość kraju. Wyjazdy do komunistycznej Polski, i przyjmowanie zaproszeń na przyjęcia do reżymowej ambasady i konsulatów, równało się zdradzie, było bojkotowane.

---

<sup>6</sup> Bohater opowiadania *Stryjcio z Ameryki*, [in:] *Asteroidy*, Londyn 1965.

Emigracja starsza, osiadła, oczekiwała od nowoprzybytych powtórzenia jej własnych, amerykańskich doświadczeń: zaczynania na najniższym szczeblu, ciężkiej fizycznej pracy i stopniowego wspinania się po drabinie społecznej.

Emigracja niepodległościowa oczekiwała, że starsi połączą się z nimi w wysiłku głoszenia prawdy o Polsce i w walce o jej niepodległość.

Choć starszy emigrant wzruszał się tragedią kraju swego pochodzenia, czuł się przede wszystkim Amerykaninem. Znaczenie jego w polityce amerykańskiej było znikome, możliwości wpływu na poprawę sytuacji w Polsce ograniczały się do pomocy charytatywnej.

Postawa niepodległościowa „niezlomnych” bojkotowała jakikolwiek kontakt z reżymem komunistycznym. Należały do tego wspólnie przeprowadzone badania naukowe w Polsce. Emigracja niepodległościowa obawiała się, i jak się okazało słusznie, że obraz jej zostanie w takich badaniach skrzywiony lub pominięty.

Gdyby nie kwestionariusz *Transplanted Family*, który jak podrzucany wiatrem płomień obiegił wszystkie niemal skupiska powojennej emigracji apelując o wzięcie udziału w badaniu, gdyż powinno przynieść w odpowiedziach prawdę o ostatniej emigracji, gdyby nie apel ten podchwycony z entuzjazmem i nadzieją że prawda o nas zostanie, fala emigracji politycznej z lat pięćdziesiątych, jej specjalny charakter pokolenia niepodległościowego roztopiłby się w szerokich badaniach w Polsce prowadzonych przez naukowców z Polski i z Ameryki.

### **POLONIA AMERYKAŃSKA: PRZESZŁOŚĆ I WSPÓŁCZESNOŚĆ. HISTORIA KSIĄŻKI WIDZIANA OZAMI KRONIKARZA**

Prace przygotowawcze do wspólnego przedsięwzięcia badania w Polsce, rozpoczęły się w roku 1976 pod redakcją Hieronima Kubiaka ze strony polskiej, Eugeniusza Kusielewicza i Tadeusza Gromady ze strony w Ameryce. Książka ta, zbiór esejów wydana przez Ossolineum w roku 1988, umniejsza znaczenie społeczne emigracji niepodległościowej, ograniczając jej wpływ do wprowadzania niepokoju (*tension*) pomiędzy starą Polonią i powojenną emigracją. Opublikowana przez prestiżową Polską Akademię Nauk, *Polonia Amerykańska*, nie mówi całej prawdy o Polsce. Znaczenie emigracji powojennej w podniesieniu statusu Polaka w Stanach Zjednoczonych zostało zupełnie ominięte. Praca niepodległościowa, która w okresie groźby zniszczenia narodu polskiego osłabionego wojną i okupacją głosiła prawdę o tym co się działo za żelazną kurtyną, została uznana za charakter polityczny emigracji. A przecież niemal każda rodzina przeczepiona miała kogoś bliskiego w Polsce. Troska więc o prawdę była nie tylko polityczna, ale i społeczna — rodzinna.

O zamierzonym badaniu w Polsce przez polsko-polonijny zespół naukowców, dowiedziałam się w październiku 1978. Poniższe są moje zapiski w dzienniku notowane na gorąco:

*1 października, 1978, niedziela.*

*Dziś o 8:30 rano zbudził mnie telefon z Nowego Jorku od Feliksa Grossa, prezydenta Polskiego Instytutu Naukowego. Profesor Gross był zdenerwowany. Od czasu do czasu przerywał swoim pytającym „proszę?” Chodzi o to studium polonijne, które w angielskim brzmi: „Joint Polish and American Study of the Poles in the U.S.”.*

Andrzej Ehrenkreutz<sup>7</sup> (przewodniczący Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich), przystał nam kopię listu E. Kusielewicza (prezydenta Fundacji Kościuszkowskiej) skierowanego do „contributors” w którym oświadcza, między innymi, że „State Department has promised to cover the round trip transportation of the American participants” do Polski.

Andrzej E. przystał nam również wszystkie „outlines” przyszłych rozdziałów tego studium, które będzie prowadzone pod kierunkiem doc. Hieronima Kubiaka. Sekretariat pracy będzie ulokowany w Polsce. Wydania książki podjęło się Ossolineum. Kościuszeko Foundation też ma przeznaczyć na to trochę pieniędzy.

Wszystko byłoby dobrze, bo potrzebne są studia polonijne i zarejestrowanie ich w historii, ale:

Badanie prowadzi Hieronim Kubiak, silnie związany z partią, a właściwie jej ekspozyturą w Polsce. Praca więc będzie cenzurowana w Polsce.

Emigracja po II wojnie światowej jest już w projekcie książki zminimalizowana, zniekształcona i najwykłej pominięta. Wyjątkiem jest artykuł Stanisława A. Blejwasa „Nowa i stara Polonia, napięcia w społeczności etnicznej”, w którym niełatwe współistnienie przedstawione jest obiektywnie i ze znajomością tematu. Blejwas opiera się między innymi na wynikach badań „Transplanted Family” (Arno Press, 1980).

W projektowanym badaniu doniosta rola historyczna powojennej emigracji, jej myśl niepodległościowa zostaną pominięte.

Wkład kulturalny zostanie przemilczany. Emigracja po II wojnie światowej zostanie wtopiona w okres od roku 1918 do roku 1970. W proponowanym badaniu prawda zostanie ominięta. Jeśli naukowca utożsamiamy z człowiekiem szukającym prawdy, jeśli powierzamy mu historię, najcenniejszy dorobek narodu, jak wytłumaczyć, że prawda o niepodległościowej emigracji polskiej nie zostanie wypowiedziana do końca? Czy możemy tłumaczyć tę tendencję polityką redaktorów, której nikt nie chciał, nie mógł, albo nie uważał za stosowne kwestionować?

Ponieważ zbliża się Dzień Polski w Departamencie Stanu, Andrzej E. prosi, abym w sekcji wymiany kulturalnej jako vice przewodnicząca Rady Studium przygotowała się do zajęcia stanowiska właśnie w tej sprawie omijania, albo (nazwijmy ten manewr) selective inattention.

A teraz wracając do prezydenta Instytutu Naukowego, Feliksa Grossa. Zatelefono- wałam do niego i spytałam czy projekt, o którym mówiliśmy w niedzielę jest mu bliżej znany. Zaprzeczył. Nie! Instytut nie bierze w nim udziału.

Ale dr. Tadeusz Gromada, sekretarz Instytutu, jest jednym z trzech redaktorów — powiedziałam.

To jako jednostka. Do Instytutu nikt się nie zgłaszał.

Powiedziałam mu wtedy, że State Department finansuje przeloty do Polski dla uczestników badania Polonii i że Kościuszeko Foundation też zobowiązało się pokryć część kosztów.

Głos prof. Grossa zmienił się. Powiedział:

Książka o Polonii zostaje zrobiona bez udziału Polonii. Więc to prawda, że Departament Stanu finansuje.

Przyślę panu kopię listu.

Czy wydawnictwo będzie cenzurowane w Polsce?

---

<sup>7</sup> Andrzej Ehrenkreutz, profesor Near Eastern Studies na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor, gdzie wykładał jako pełny profesor w latach 1967–1987, był w roku 1978 przewodniczącym Studium (The North American Study Center for Polish Affairs) i jednym z jego założycieli w roku 1976. Celem Studium była funkcja doradcza dla Kongresu Polonii. Było nim również rozpowszechnianie miarodajnych informacji dotyczących praw człowieka w Polsce. W roku 1987 prof. Ehrenkreutz wyemigrował wraz z żoną do Australii.

*Tak.*

*Chcą utrać element niepodległościowy — powiedział Gross.*

Z profesorem Feliksem Grosse rozmawiałam po przejrzeniu powyższych notatek 19 września 1998. Przypomniałam mu nasze rozmowy telefoniczne 20 lat temu. Dlaczego — spytałam — nie zaproszono Pana, wybitnego socjologa, do badań Polonii?

Bo ja — powiedział pół żartobliwie — byłem na czarnej liście.

Pytam czy czytał książkę *Polonia Amerykańska*. Nie, nie czytał. Dzielę się z profesorem moją oceną tego wydawnictwa:

Niestety materiał naukowy zawarty w książce nie jest ani kompletny, ani zorganizowany. Studiowanie grup ludzkich bez oparcia o teorie psychologiczne, bez głębszej analizy zmian tożsamości jest niewystarczające. Książka jest zbiorem referatów nie dość połączonych wspólną myślą. Nie ma w niej oryginalnego badania, w którym obok socjologa pracowałby psycholog, historyk, antropolog i psychiatra. Książka ta nie spełnia zapowiedzianego zadania i nie może służyć jako obiektywna, źródłowa informacja o Polonii.

Ambicją zespołu autorów, których myśl i wysiłek złożyły się na ten tom, było stworzenie wielowymiarowej syntezy dziejów i współczesnych przemian Polonii w Stanach Zjednoczonych. Należy pogratulować poszczególnym autorom za ich myśl, wysiłek i heurystyczną wartość ich prac. Należy zastanowić się na czym polegała słabość struktury i pracy edytorskiej, która nie doprowadziła do zamierzonej syntezy. Obecność cenzury, względy polityczne (nieobecność emigracji politycznej) obniżyły wartość naukową książki jako obiektywnego dokumentu. Książka pomimo imponującego zbioru informacji, nie staje się wielowymiarową wiedzą o Polonii jak zapowiedział H. Kubiak w słowie wstępnym. Przeciwnie, może wpłynąć na tworzenie błędnych ocen w analizie rzeczywistości polonijnej.

### **RODZINA PRZESZCZEPIONA Z PERSPEKTYWY TRZYDZIESTU LAT**

Pomysł opracowania eseju pod tym tytułem, długo kiełkował w mojej wyobraźni ustępując miejsca „ważniejszym zadaniom”. Kiedy jednak wreszcie powróciłam do krytycznej oceny mojej pracy doktorskiej i okoliczności w których powstawała, temat wciągnął mnie, zainteresował, ale inaczej i w inny sposób. Dotychczasowe moje wypowiedzi związane z tezą ograniczały się do wyliczania faktów statystycznych i wniosków z nich wyciągniętych. Natomiast w eseju z perspektywy 30 lat, ukazuję rodzinę przeszczepioną na tle społeczeństwa polskich emigrantów. Zachowanie się emigrantów, ich żywy udział w procesie twórczym, ich wola przełamania negatywnej opinii o Polakach, dopełnia uzyskany w badaniu psycho-społeczny profil rodziny polskiego emigranta.

Wśród wyników badania zwracały uwagę dane dotyczące zmian w tożsamości etnicznej emigranta. Co to jest tożsamość etniczna? Ta spopularyzowana abstrakcja nie zawsze jest właściwie zrozumiana. Tożsamością etniczną nazywam tę grupę cech charakterystycznych tożsamości, która jest spichlerzem wartości i przekazów kulturowych wyniesionych z socjalizacji rodzinnej.

Emigracja niepodległościowa nie poddawała się zmianom. Odrzucała wartości kultury amerykańskiej chociaż wiele z nich przyjmowała podświadomie. Na pytanie ankiety dotyczące oceny własnej tożsamości, 79% respondentów odpowiedziało, że czuje się przede wszystkim Polakami. Było to 20 lat po wojnie i zmiany w tożsamości, aczkolwiek podświadome, musiały nastąpić. Zaciekły upór trwania przy symbolach wydaje się być jedną z najbardziej charakterystycznych cech Polaka. Nie tylko urodzonego w Polsce, ale i Amerykanina wywodzącego się z polskiego dziedzictwa.

Do badania zmian tożsamości podchodziłam z różnych stron. Szukałam jakie warunki, wpływy, stopień wykształcenia, wiek, płeć, długość pobytu w Ameryce decydują o tym czy emigrant czuje się przede wszystkim Polakiem czy Amerykaninem. Z podziału tego jednak nie byłam zadowolona. Był ograniczający i sztuczny. Wykluczał potencjał działania emigranta, który po szoku zmiany i kryzysach przystosowania się, powinien zmanifestować się w akcie twórczym. Dopiero następne lata badań klinicznych i koncentracja na tożsamości i wartościach wprowadziły mnie na trop fenomenu, który nazywałam Trzecią Wartością. Pojęcie trzeciej wartości zapożyczyłam od Jana Łukasze-wicza, jednego z najwybitniejszych logików XX wieku. Jego trzywartościowy system logiczny oparty jest na nie arystotelesowskim sposobie myślenia. Łukasze-wicz twierdzi, że oprócz propozycji, prawdziwej i nie prawdziwej, istnieje trzecia, która nie reprezentuje ani pierwszej ani drugiej, ale jest niezależną trzecią wartością, rezultatem twórczej, ludzkiej energii, odpowiedzią na potrzeby ewolucji, dostosowaniem się do wymagań nowej sytuacji. Następne moje badania (przeprowadziłam ich siedem na przestrzeni 24 lat otrzymując informacje ankietowe od około 4000 osób)<sup>8</sup> wykazują stopniowy wzrost tożsamości polsko-amerykańskiej. Możliwe, że rozwija się nowa forma identyfikacji etnicznej, a zmieniająca się struktura tożsamości staje się źródłem nowej energii. Emigrant nie odrzuca swego polskiego dziedzictwa, a legitymując się Polish-American zaznacza jego ważność. Jest to wypowiedzenie się poprzez trzecią wartość, która nie jest oznaką podwójności, ale rezultatem interakcji czynników, które dadzą wynik inny niż suma ich oddzielnych działań.

W roku 1970 przeprowadzając badanie *Transplanted Family* nie byłam gotowa, aby ten najbardziej intymny problem emigranta zobaczyć przez pryzmat trzeciej wartości. Nie byli też na te rozważania gotowi moi respondenci, gdyż trzecia wartość rozwija się bardzo wolno i wymaga uniezależnienia się jednostki od przewodnictwa grupy. A to dla emigranta wychowanego w kulturze polskiej jest trudne do przyjęcia.

Bask Lane, 9 grudnia 1998.

---

<sup>8</sup> Sprawozdania z tych badań i artykuły na nich oparte (w języku polskim) zebrane są w książkach: *Trzecia Wartość*. Lublin 1995; *Emigranci polscy w USA*. Lublin 1991. Wśród opracowań w jęz. angielskim na uwagę zasługują: *Ethnic Identity and the Polish Immigrant in America*, *Migration World* 1988, vol. XVI nr 4/5, s. 25–27; *The Unknown Polish Immigrant*, *Migration World* 1989, vol. XXVII nr 2, s. 24–30; *Family Mental Health in Pluralistic Society*, *Social Thought*, Catholic University of America 1978, vol. IV nr 2, s. 21–31; *Uprootment and Anxiety*, *The International Journal of Mental Health* 1976 nr 5; *In Search of Oneself: From the Concept of Ethnic Identity to the Idea of the Third Value*, [in:] *The Polish Diaspora*, vol. II, New York, Columbia Univ. Press, 1993.

## PISARZ NA WYGNANIU A STYL<sup>1</sup>

**Nicolas Nabokov:** Zebraliśmy się przy tym zielonym stole po to, by dyskutować o problemach stylu pisarza-wygnança. Jest to zagadnienie dotyczące wszystkich pisarzy przebywających na wygnaniu, skoro niejednokrotnie są zmuszeni, siłą rzeczy, albo dostosować się do zwyczajów stylistycznych nowego środowiska, albo pisać w języku nie ojczystym. Chciałbym przede wszystkim przedstawić pisarzy zebranych wokół tego stołu i następnie przekazać głos mojemu przyjacielowi **Konstantemu Jeleńskiemu**, polskiemu pisarzowi, który otworzy debatę prezentując problemy tej dyskusji.

Na pierwszym miejscu przedstawiam:

**Jana Cepa**, pisarza czeskiego;

Mojego przyjaciela **Józefa Czapskiego**, malarza i pisarza polskiego, który napisał ostatnio tom esejów o sztuce;

**François Fejtő**, pisarza węgierskiego;

**Ladislasa Garę**, pisarza i tłumacza węgierskiego;

**Juliana Gorkina**, pisarza hiszpańskiego;

**Piotra Rawicza**, pisarza polskiego tworzącego w języku francuskim;

**Szabolcs'a de Vajay**, pisarza węgierskiego;

jeśli chodzi o mnie, to nie jestem pisarzem, występuję tutaj po prostu tylko w charakterze mediatora dyskusji i wezmę w niej udział jedynie jako Nicolas Nabokov-kompozytor.

**K.A. Jeleński:** Wydaje mi się, że są dwa problemy, którym musimy dzisiaj stawić czoło: przede wszystkim kwestia stylu pisarza, który żyjąc na wygnaniu, a więc z dala od macierzystego środowiska językowego, tworzy nadal w języku ojczystym. Jest to problem, na który składa się wiele zagadnień, tylko kilka z nich chciałbym tu wskazać, bo jestem pewny, że dyskutanci zechcą rozwinąć tę kwestię.

Pisarz, który jest odcięty od środowiska żywego, ojczystego języka, ma problemy dość szczególne. Sam mam wielu przyjaciół, żyjących na wygnaniu, doskonale znających

---

<sup>1</sup> Prwdr. w j. francuskim [in:] Arena 1962 nr 6, s. 92–122.

język kraju, który dał im schronienie i tworzących konsekwentnie w swoim ojczystym języku. Niektórzy z nich twierdzą, że to czyni ich styl bardziej klasycznym, bardziej dopracowanym i w jakimś sensie doskonalszym. Inni mówią, że ich styl staje się dużo bardziej osobistym, że personalizuje się w pewien sposób, ponieważ pisarz odseparowany od macierzystego środowiska, w którym jego język rozwija się w sposób żywy i niezależny, usiłuje niekiedy wzbogacić lub podtrzymać kontakt ze swoim językiem, czerpiąc ze źródeł takich jak pisarze archaiczni, słowniki itd..., inaczej mówiąc, istnieje taki moment, kiedy jego język staje się dużo bardziej zindywidualizowany. Odwołam się tu przykładowo do takiego pisarza jak Alexis Remizow; jest to pisarz, który przeżył 40 lat we Francji, zawsze tworzył w języku rosyjskim i był zarazem, jeśli można tak powiedzieć „superrosyjski”, to na wygnaniu właśnie zasłużył sobie na miano najbardziej rosyjskiego z możliwych, ponieważ wzbogacał swój język tak, że stał się on językiem „Remizowa”, rodzajem języka rosyjskiego doprowadzonego do ekstremum.

Istnieje, oczywiście, aspekt społeczny tego zagadnienia: dlaczego tworzyć nadal w języku ojczystym, skoro żyje się na wygnaniu? Są pewni pisarze, którzy wybrali rozmyślnie pisanie w języku kraju, który dał im schronienie, ponieważ ten język pozwala im na dostęp do nowej publiczności, publiczności dużo szerszej. Z drugiej strony, są pisarze, którzy mówią: oczywiście, mógłbym, być może, pisać w języku zachodnim, w języku kraju, który mnie przyjął, lecz wówczas stanę się jednym z tysiąca pisarzy piszących tym językiem, gdy tymczasem kontynuując twórczość w języku ojczystym, zwracam się do publiczności mniejszej, ale zarazem bardziej aktywnej, która reaguje w sposób dużo bardziej wnikliwy na to co piszę.

Jest także inny przypadek, do dyskusowania, o którym niektórzy spośród nas są szczególnie uprawnieni; to przypadek pisarza dwujęzycznego czy wręcz trójjęzycznego, bądź też pisarza, który rozmyślnie zdecydował się wypowiadać tylko w języku, nie będącym jego językiem ojczystym; i tu dostrzegam kilka zagadnień. Istnieje problem psychologii języka, jeśli można tak powiedzieć; wydaje mi się, że pisarz tworzący w kilku językach jednocześnie, zauważa coś w rodzaju rozdwojenia osobowości, czy wręcz potrójną osobowość, jeśli pisze w trzech językach. Duch języka sam w sobie uwydatnia niektóre z tych cech. Znam pisarza, który pisząc jednocześnie po polsku, angielsku i francusku, utrzymuje ciągle, że jego strona najbardziej rozsądna i racjonalna zaznacza się w języku francuskim, tymczasem w języku angielskim ujawnia się jego brak pewności siebie i że czuje się wolny tylko wtedy, kiedy pisze po polsku. Istnieje następnie problem stylu w języku obcym i tu także są możliwe, moim zdaniem, różne sposoby podejścia do tej kwestii. Mamy przypadek pisarza takiego jak Cioran, który pisze językiem niezwykle klasycznym i wydoskonalonym; Cioran sam uczynił siebie pisarzem francuskim i stał się, by tak powiedzieć, pisarzem francuskim w pełnym tego słowa znaczeniu, czyli wszedł do tradycji literatury francuskiej skrajnie klasycznej i niezwykle czystej. Mamy obecnie przy naszym stole Piotra Rawicza, piszącego także w języku francuskim, którego język jest raczej językiem imaginacyjnym, wyobraźniowym, niesie sam w sobie ekwiwalent ziemi ojczystej pisarza. Jest także problem pisarza trójjęzycznego, jak na przykład Nicolas Nabokov, który utrzymuje, że nie jest pisarzem i być może ma rację mówiąc, że jest przede wszystkim kompozytorem, w każdym razie jednak jest człowiekiem, który napisał bardzo piękne książki i to w języku francuskim, angielskim i rosyjskim. On właśnie mógłby opowiedzieć nam o trudnościach, którym stawia czoła ktoś, kto potrafi tworzyć literaturę w trzech językach jednocześnie.

Oto kilka spośród problemów, o których można by dyskutować dzisiaj, a obecnie chciałbym przywołać pierwszy z nich, dotyczący stylu pisarza, kontynuującego na wygnaniu twórczość w języku ojczystym. Chciałbym poprosić Jana Cępa i Józefa Czapskiego o wypowiedź na ten temat.



**Jan Cep:** Muszę powiedzieć na początku, że wówczas kiedy żyłem w swoim ojczystym kraju, pisywałem przede wszystkim nowele i opublikowałem jedynie jeden tom esejów. Od swojego wyjazdu w 1948 roku, opublikowałem jeszcze kilka nowel, ale moją prawdziwą domeną stał się przede wszystkim esej *quasi-filozoficzny*, w szerokim sensie tego słowa. Skoro mam poruszyć problem, do którego aluzję uczynił mój przyjaciel Jeleński, a mianowicie czy czuję się niepewnie w obcym środowisku, to odpowiem że nie, nigdy nie miałem takiego odczucia, jestem ciągle tak samo pewien swego języka ojczystego, jak to było wcześniej, nigdy się nie zdarza, żebym musiał odwoływać się do pomocy słowników; kwestię bogactwa mojego słownictwa, pozostawiam raczej do oceny moich czytelników. Musiałem dość często pisać teksty po francusku. Tylko jednak jeden raz zdarzyło mi się napisać nowelę bezpośrednio w tym języku i było to doświadczenie dość interesujące. Zanim ta nowela ukazała się w czasopiśmie francuskim (które zresztą już nie istnieje; chodzi mianowicie o „Terre Humaine”, redagowaną przez Etienne Borne’a) zaproponowano mi opublikowanie jej po czesku. Mimo, że jestem tłumaczem dość doświadczonego — przetłumaczyłem z dwadzieścia książek z francuskiego i angielskiego, między innymi Bernanosa, Ramuza, Maurycego Baringa — to nigdy tłumaczenie nie sprawiło mi tyle trudności, jak ten przekład samego siebie z francuskiego na czeski; doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie wypowiedziałem się inaczej niż zrobiłbym to w swoim własnym języku, wręcz, że napisałem coś innego. Bez wątplenia nie mógłbym pisać tekstów literackich w obojętnie jakim języku, którego lepiej lub gorzej się nauczyłem. Francuski jest jednak dla mnie tym językiem, którego cechy i dynamikę wewnętrzną zdaję się czuć; nie szukam w słowniku francuskim odpowiednika słowa, które pomyślałem wcześniej w języku ojczystym, jeśli nie nasunie mi się ono natychmiast, symultanicznie z myślą lub uczuciem, które chcę wyrazić, czy nawet wcześniej w jakimś sensie to jest ono dla mnie bezużyteczne. Powiedziałem, że nie opublikowałem książek po francusku. Wydałem kilka tomików moich esejów, ale pisanych po czesku. Jestem jednakże w trakcie pisania czegoś po francusku, dzięki sugestii mojego przyjaciela Pierre Emmanuel, jest to rodzaj autobiografii czy raczej cyklu szkiców autobiograficznych na takie tematy jak: Moja Siostra Trwoga, Pierwsze Twarze, Moja Wiara. itp.. Zabrałem się do pisania ich po francusku. Nie wiem jaki będzie tego rezultat, lecz zdecydowałem się napisać je w tym języku.

**Nicolas Nabokov:** Zanim Józef Czapski zabierze głos, chciałbym dorzucić do kwestii podniesionych przez Jeleńskiego, jeszcze jedną. Alexis Legér — Saint John Perse — powiedział mi kiedyś, gdy był uchodźcą w Ameryce, że poezja francuska bardzo się wzbogaciła przez to, że obca krew znalazła się w żyłach wielu poetów francuskich. Skoro pisarz wygnany czy raczej wydalony z ojczyzny, jak Conrad czy Vladimir Nabokov jest obdarzony niezwykłym talentem językowym, to ten talent sprawia coś w rodzaju odmłodzenia, odnowienia tego języka obcego, w którym wypowiada się on w książkach.

**Józef Czapski:** Chciałbym podjąć tu jeden z problemów zasygnalizowany przez Jeleńskiego. Przywołam tu wręcz komunał, który znaleźć można w gazetach mojego rodzinnego kraju (przypuszczam, że tak samo jest w Czechosłowacji, Rumunii, Polsce i na Węgrzech). Głosi on, że nieszczęśliwi pisarze emigracyjni są rzeczywiście niezdolni do twórczości, ponieważ nie znają już żywego języka swego kraju. W konfrontacji z literaturą polską, którą znam lepiej, to właśnie przekonanie wydaje mi się być zupełnie fałszywe. Cały język polski XIX wieku, na przykład, został stworzony na emigracji. Mickiewicz, który miał wyjątkowy talent językowy, był zarazem niezwykle nieskrępowany w asymilowaniu obcych słów, nie miał zaufania do języka purystycznego i pseudo-klasycznego. O *Sonetach Krymskich*, które są perłami naszej literatury, poeta pseudoklasyczny tamtej epoki, Koźmian, powiedział: „Jest to chyba język Krymu, jest to być może turecki, ale to

nie jest język polski”. Przybywszy w 1832 roku do Francji, po kilku miesiącach pobytu w Paryżu, Mickiewicz pisze artykuły i używa w nich słów francuskich zaledwie nieco przekształconych, które *de facto* stają się słowami polskimi. Najbardziej rosyjski z pisarzy rosyjskich naszych czasów, Remizow, transponował tak samo słowa francuskie na język rosyjski. Kilka miesięcy po przybyciu do Paryża, Mickiewicz przekształcał słowo *ruminer* w „rouminował”; *d’emetue*, „emeta”; *d’éclaireurs* w „eklerery”; i wszystkie te słowa były polskimi odkryciami leksykalnymi. Trzeba dobrze znać język polski, żeby odczuć jak wydają się one jeszcze dzisiaj odkrywcze, niezwykle i dźwięczne.

Inny pisarz, który wykreował współczesny polski język poetycki, to Norwid, zmarły w Paryżu w 1883 roku, który opuścił Polskę w wieku zaledwie 20 lat. Lecz był to język, którego współcześni poeci nie rozumieli, co nie powinno dziwić, bo wprowadzał on konstrukcję nowej frazy, na którą wpływ wywarły lektury francuskie, łacińskie, greckie, włoskie; był to raz jeszcze ten rodzaj pisarstwa, o którym mówi Jeleński, będący pod pewnym względem literaturą osobistą doprowadzoną do ekstremum.

Skoro mówimy o współczesnych pisarzach polskich na wygnaniu, to wymienię tu nazwiska kilku stylistów dużej klasy, takich jak: Stempowski, który karmił się łaciną i znał co najmniej dziesięć języków, jego styl ma charakter klasyczny — i Vincenz, któremu udało się połączyć język polski z językiem huculskim, ukraińskim i żydowskim — jest to język dyszący, skrajnie zindywidualizowany. Oczywiście, istnieje zagrożenie wynikające z braku bezpośrednich kontaktów z językiem „mówionym”, jest nim ryzyko tworzenia w języku skostniałym. Był to chyba przypadek Bunina; zawsze miałem wrażenie, że Bunin był tylko wybitnym uczniem Tołstoja i Turgieniewa, lecz twórcą był Remizow, Remizow, który stworzył język na nowo. Przywołam tu jeszcze takiego pisarza jak Straszewicz, który żył przez lata w Argentynie i Urugwaju. Rozdziały książki, którą właśnie pisze<sup>2</sup>, są doprawdy trudno czytelne dla mnie, ponieważ ten człowiek, obdarzony rzadką wrażliwością na „dźwięczność” słów, wprowadza wariacje, modulacje hiszpańskiego. Dla mnie, Polaka, nie mówiącego po hiszpańsku, jest to już twórczość bardzo trudno czytelna, ale silnie odczuwam to, że i ona też przynosi nowe kombinacje i wzbogacenie języka. Uważam, że literatura tworzona przez emigrantów w ich rodzinnym języku, jest literaturą wzbogacającą sam język ojczysty, który z czasem przyjmuje to co zdołało przeminąć i nie przyjmuje, nie asymiluje innych kreacji słów.

Jeśli chodzi o język pisarzy, którzy tworzą w języku nie ojczystym, to przykładem najbardziej frapującym wydaje mi się być Cioran. Wielki pisarz Claude Mauriac, który jest krytykiem znakomitym i bardzo wnikliwym, uważa go za jednego z najlepszych współczesnych stylistów francuskich, ale jest coś zbyt „doskonałego”, według mnie w jego języku, dlatego pozwolę sobie przeczytać kilka zdań, o tym co sam Cioran na ten temat mówi: „Chcielibyście wiedzieć czy mam zamiar wrócić pewnego dnia do swojego języka ojczystego, czy też chcę pozostać wierny temu i innemu językowi, w posługiwaniu się którym, przypisujecie mi bezzasadnie łatwość, której nie mam i nigdy nie będę miał; gdybym podjął się opowiadać o koszarze, to byłoby to tym samym co ukazać szczegółowo historię moich relacji z tym «zapożyczonym językiem»; z owymi wszystkimi słowami pomyślanymi i przemyślanymi raz jeszcze, wyklarowanymi, wysubtelnionymi aż do nieistnienia, poddany presjom niuansu, pozbawionymi wyrazu bo wyraziły już wszystko, przerażającymi precyzją, obciążonymi zmęczeniem i skrępowaniem, dyskretnymi nawet w wulgarności. Jak zatem chcecie, żebym się do tego przyznał?”

---

<sup>2</sup> Chodzi o nie ukończoną powieść, której fragmenty pod roboczym tytułem *Klips* drukował Cz. Straszewicz w „Kulturze” (1955 nr 7–8; 1957 nr 1) [Red.]. Zob. też pomieszczony w niniejszym tomie przyczynek F. Śmiei na temat języka Straszewicza (s. 103–105).

Kiedy czytam książkę Rawicza *Le sang du ciel* (*Krew Nieba*), która dopiero co się ukazała, to jestem prawie wściekły, że jest ona napisana po francusku, ponieważ całość a wręcz materia tej powieści sugerują, że książka ta powinna być napisana amalgamatem trzech języków, polskiego, żydowskiego i ukraińskiego. Mogłoby to wydać nowego Joyce'a Europy Centralnej. Wydaje mi się, że francuski Rawicza jest straszliwie ugrzeczniony, zbyt akademicki. Kiedy czyta się Céline, Audiberti, to dostrzega się, że można także gwałcić język francuski. Ja sam, wtedy gdy piszę po polsku, to mogę się spierać o każdy przecinek, czy każde słowo będące moją kreacją. We francuskim chcę być dobrze wychowanym, chcę pisać poprawnie i każda uwaga krytyka lub redaktora francuskiego jest dla mnie święta. We francuskim jestem dobrym uczniem bez wyobraźni werbalnej. To właśnie dlatego ja sam osobiście nie mógłbym nigdy tworzyć literatury w innym języku niż ojczysty.

**Nicolas Nabokov:** Chciałbym tylko dorzucić do tego co mówił Józef Czapski, że Conrad i Vladimir Nabokov, przeciwnie do Ciorana, są swobodnymi wirtuozami języka obcego, oni nim grają, zabawiają się wręcz.

**Józef Czapski:** Z Conradem to inna sprawa. Sam mówił, że nie miał być może nigdy tworzyć literatury po polsku, zakochał się w języku angielskim i jestem pewien, że Nabokow też, dzięki czemu właśnie możliwe było nowe wzbogacenie tego języka przez nich obu.

**Piotr Rawicz:** Uwagi Józefa Czapskiego są bardzo trafne, odbieram je jako coś osobistego, rzeczowego i bardzo właściwego. Dostrzegam jedynie pewien problem: tam gdzie Czapski mówi o gwałcie, dotyczy to rzeczywiście gwałtu, myślę jednak, że pisać w obojętnie jakim języku, nawet w ojczystym, to zawsze oznacza gwałcić. Kiedy więc piszemy językiem, który nie jest w pełni ojczysty, to dochodzi do gwałtu do n-tej potęgi, powoduje to powstanie nowej rzeczywistości ważnej lub nie, ale to już inna sprawa. Co do fragmentu, który pan nam przed chwilą przeczytał z Ciorana, to widzę ten sam problem: Cioran mówi o torturze; ale tworzenie literatury jest zawsze torturą do n-tej potęgi, co kreuje nie powiedziałbym — wartości, lecz nowe rzeczywistości, dobre lub złe, nie chce wypowiadać oceny wartościującej.

Mówimy tu o problemie pisarza na wygnaniu. Otóż, myślę, że człowiek, mówiąc krótko, który ponadto tworzy literaturę to zawsze istota wygnana: kontekst geograficzny bądź polityczny może tylko dorzucić coś na ten temat i dorzucić coś historycznego, co ma niekiedy znaczenie minimalne; nie mam wielkiego szacunku do historii, myślę więc, że jeśli chciałoby się wymyślić formułę, która jest warta tego co jest warta, to język dla obojętnie jakiego człowieka, który pisze czy też mówi, jest zawsze więzieniem, obozem koncentracyjnym. To więzienie, ten obóz koncentracyjny według mnie mogą być różne: są obozy bardziej wygodne, są obozy trochę mniej zniewalające, ale sam fakt pobytu w nich jest z pewnością tragiczny jak fakt egzystencji. Chciałbym także powrócić teraz, zgodnie z dobrą czy złą tradycją, do kilku przykładów historycznych. Problem pisarza dwujęzycznego czy trójjęzycznego nie jest z pewnością problemem naszej współczesności. Tak, pojawiały się w czasie tysiącleci problemy pisarzy, którzy pisali językiem dworskim czy językiem oficjalnej kultury, mówiąc jednocześnie innym językiem, jak to się wydarzyło na przykład w Indiach w epoce klasycznej: Kálidasa pisał sanskrytem, lecz ten sanskryt nigdy nie był mówiony, jestem tego pewien. Czy też historia Józefa: język ojczysty Józefa, autora *Wojny żydowskiej*, był z pewnością językiem aramejskim, jego językiem kultury i jednocześnie „wiary”, religii — jest hebrajski, jego językiem wyuczonym, który dostarczył nam niemało udręki i tortur jest grecki. Wydaje mi się, że mówił też po łacinie. Jest także problem osobny: bardzo wielkiego, chyba jednego z największych

szych talentów naszych czasów, wielkiego pisarza polskiego — Witkiewicza. Pragnąłbym, żeby Witkiewicz został przetłumaczony na francuski; uważam, że trzeba by zatrudnić całą ekipę do tego i że jest tylko jeden człowiek, który mógłby, prawdopodobnie stanąć na jej czele, jest nim Queneau, tylko on jeden może z de Obaldia, który czuje dzisiejszy francuski. Witkiewicz oczywiście pisał po polsku, ale jednocześnie jego język zawiera w sobie angielski, francuski, rosyjski, polsko żydowski, znaleźć tam można wręcz cały wolapik... Są także fragmenty francuskie u Tolstoja; jest zresztą mnóstwo podobnych przypadków, które pojawiają się w historii literatury. Co do mojego przypadku osobistego, który nie jest zresztą bardzo istotny, uważam, że są u mnie nieco różne domeny, w których wyrażałem się, bądź usiłowałem się wyrazić od dzieciństwa. I każda z tych domen miała swój język. Są to sprawy być może trudne do zrozumienia dla Francuzów bądź Anglików, inaczej mówiąc, dla ludzi, którzy pochodzą z krajów skoncentrowanych na jednym tylko języku, z tradycjami do centralizacji i temu podobnymi. Pierwsze wiersze, które napisałem w swoim życiu powstały w języku ukraińskim, wieśniacy z okolic mówili po ukraińsku. Książki, które znajdowały się w szafach były książkami rosyjskimi, polskimi, niemieckimi; był język polski w szkole, był kontekst, czy raczej „podtekst”, jeśli można się tak wyrazić, jidysz, hebrajskiego i nie wiem już czego i wszystko to stworzyło jednolity, wewnętrznie skłębiony koktajl lecz całe pisarstwo w swojej głębi jest zawsze skłębione i nie do rozsąplania, i tą, być może pesymistyczną nutą, chciałbym zakończyć.

**Nicolas Nabokov:** Nie trzeba nawet sięgać pamięcią tak daleko w historię, jak to uczynił Rawicz, skoro już w XVII wieku wszystkie traktaty filozoficzne były pisane po łacinie: Kepler pisał po łacinie, połowa dzieł Kartezjusza napisana została w tym języku. A więc kwestia pisania w innym języku jest problemem stale powracającym w literaturze. Byłoby dobrze teraz posłuchać głosu dobiegającego z innej strony Europy; co myśli na ten temat nasz przyjaciel Julian Gorkin, pisarz hiszpański?

**Julian Gorkin:** Mam za sobą obecnie 36 lat wygnania, dzielącego się na trzy etapy, z czego wynika, że opuściłem Hiszpanię jako człowiek bardzo młody. Być może, konsekwencją mojej reakcji skierowanej przeciw reżimowi i kastom hiszpańskim było to, że zacząłem się formować przede wszystkim w atmosferze kultury francuskiej; asymilowałem intensywnie francuski styl i stało się to dużo wcześniej zanim rozpocząłem poznanie hiszpańskiej kultury, literatury i stylu. W trakcie pierwszego okresu wygnania poznałem wielu pisarzy hiszpańskich, także wygnańców, wśród nich było dwóch, którzy ze względu na okoliczności ich pobytu na obczyźnie, inspirację i styl, mogliby posłużyć jako przykład tego, o czym dzisiaj dyskutujemy. Są nimi Miguel de Unamuno, wielki filozof, pisarz i poeta baskijski i Vincente Blasco Ibañez, powieściopisarz walencki. Unamuno, Hiszpan w stu procentach, mówił często: „Jestem nie tylko synem, lecz ojcem Hiszpanii”. Mógł żyć 20 czy 30 lat na obczyźnie i zarazem nie przestał być Hiszpanem, nadal pisał po hiszpańsku, pozostał wierny językowi i stylowi hiszpańskiemu, bez obcych wpływów. A także uczył się już w starszym wieku, duńskiego, aby móc czytać Kierkegarda bezpośrednio w jego własnym języku. U Blasco Ibañeza, przeciwnie, nawet przed emigracją do Francji, można zaobserwować w stylu, inspiracji i budowie jego powieści, nadzwyczajny wpływ literatury francuskiej. Sygnalizuje to pewien problem, jakim jest transplantacja stylu, inspiracji i wpływu innych języków, kultur i stylów. Bez wątpienia, u Blasco Ibañeza jest ona konsekwencją połączenia doskonałej znajomości szkoły naturalistów z pewnymi naleciałościami romantyzmu: z jednej strony należy tu przywołać nazwisko Wiktora Hugo, z drugiej Emila Zoli. Jeden z problemów, który zatem tu stawiam dotyczy zadziwiającej kwestii: kiedy czyta się Unamuno, nawet wtedy gdy traktuje o temacie nierodzinnym, pozostaje on pisarzem hiszpańskim w stu procentach pod

względem inspiracji i stylu; gdy natomiast czyta się pierwsze powieści Blasco Ibañeza, czuje się już wyraźnie wpływ stylu francuskiego. I to nawet, powtarzam, przed jego emigracją do Francji.

Zasygnalizuję teraz państwu inny problem, dotyczący transplatacji języka, jego architektury i stylu. Przed napisaniem powieści zrodzonych w klimacie i realiach latynoamerykańskich, większość pisarzy, zwłaszcza z Ameryki Południowej, naśladowała w języku hiszpańskim, czyniąc to niekiedy źle, literaturę francuską. Problem, o którym mówię pojawił się dopiero później, wraz z wielkim poematem *Martin Fierro*, nieznanego autora zresztą i wielką powieścią Guiraldesa *Don Segundo Sombra*, nazywaną *Don Quichotte „gaucho”* (pasterskim) i nieco późniejszymi powieściami o inspiracjach wenezuelskich Romulo Gallegosa. A więc problem ten pojawił się wówczas, kiedy narodziło się autentyczne dzieło twórczości latynoamerykańskiej. Powieściopisarze ci, dla mnie pozostający hiszpańskimi, ujawnili mi nadzwyczajne tajemnice, które spróbowałem sobie przyswoić. Odnowili język hiszpański, wnieśli do niego nadzwyczajne bogactwo, nie tylko „modyzmów”, lecz także nowych słów, które nazywały nowe rzeczy, zupełnie nieznanne Hiszpanom, do tego stopnia, że Akademia Języka Hiszpańskiego musiała opracować słownik „modyzmów” latynoamerykańskich, w sposób nadzwyczajny wzbogacających mój język ojczysty. *Don Segundo Sombra* jest pełen argentyzmu o wielkim bogactwie. Także Ekwadorczyk Eustasio Ribera, Wenezuelczyk Romulo Gallegos stworzyli podobny język. W każdym razie my, Hiszpanie, zyskaliśmy wiele dzięki literaturze latynoamerykańskiej, są setki słów, które przybywają do nas stamtąd, wzbogacając język hiszpański. Narody tworzą języki, akademie je sankcjonują, co jest oczywiste. Zaczęło się jednak w tym wypadku od transplatacji kultury i stylu hiszpańskiego oraz francuskiego w literaturze, zwłaszcza pisarzy Ameryki Południowej, którzy później zaczęli pisać poezję i powieści nie tylko inspirowane rodzimymi realiami, lecz także używające języka rodzowego swoich krajów, co doprowadziło wręcz do tego, że my, Hiszpanie, nie zawsze rozumiemy niektóre z tych powieści, a niekiedy mamy kłopoty ze zrozumieniem całych zdań.

Kończąc, opowiem państwu coś, co dotyczy mojego własnego doświadczenia. Obecnie, po długich latach wygnania, spędzonych przede wszystkim we Francji, nawet wtedy gdy poruszam temat, bądź kreuję bohaterów hiszpańskich czy też noszących hiszpańskie nazwiska, dostrzegam, że mój styl jest stylem francuskim. W ostatniej swej powieści usiłuję tłumaczyć tragedię hiszpańską, która włożyła „śmierć w ręce”; temat jest hiszpański, bohaterowie oraz opisywana okolica także, ale budowa i styl nie mają nic wspólnego z tradycją powieści niejakiego Baroji, czy też niejakich: Valle-Inclan, Miro bądź Azorina. Także w tomie sztuk teatralnych, który dopiero co ukazał się w Meksyku, wpadłem na coś całkowicie nadzwyczajnego: że byłoby dla mnie niemożliwe napisanie sztuki teatralnej, inspirowanej się realiami hiszpańskimi. Za to w jednej z opublikowanych sztuk wprowadzam motywy rosyjskie, w drugiej węgierskie inspirowane pobytem w Budapeszcie. Czymś bardzo zagadkowym jest to rozdwojenie inspiracji i stylu. Wydaje mi się wręcz, że moim dramatem aktualnym jest to, że mimo chęci zrozumienia hiszpańskich problemów, rzeczywistości, psychiki, młodzieży, czuję, że istnieje przepaść między wszystkim tym i mną samym, dlatego uważam się za kogoś obcego Hiszpanii, odciętego od rodzinnych hiszpańskich korzeni. Wielokrotnie myślałem o tym, że gdybym powrócił pewnego dnia do Hiszpanii, aby walczyć oczywiście za sprawę swego narodu, to nie wiem czy byłbym zdolny mówić tym samym językiem co mieszkający tam moi rodacy, czy tym samym językiem co pisarze hiszpańscy. Potwierdzam raz jeszcze dramatyczne rozdwojenie własnej, hiszpańskiej osobowości.

**Szabolcs de Vajay:** Zamierzam przedstawić panu trzy pytania, na które zresztą już częściowo odpowiedział pan prezentując swoje refleksje. Chciałbym pana zapytać zwłaszcza o to: 1. Czy istnieje język wygnańca? 2. Czy istnieje tematyka wygnańcza? i 3. Czy te dwie sprawy pozostają w korelacji ze sobą? — Myślę, że tu tkwi podstawa naszego problemu, ponieważ w zależności od tego czy odpowiemy na te pytania pozytywnie czy negatywnie, będziemy mogli określić czy kwestia, o której dyskutujemy jest przypadkowa, czy też jest zjawiskiem socjologicznym, będąc ponadto faktem literackim.

Ze swej strony jestem przeświadczony, że istnieje język wygnańca. Problem ten nie nasuwa się jednak tylko wówczas gdy w grę wchodzi dwie różne osoby, z których jedna jest wygnańcem a druga nie, ale także odnośnie tej samej osoby na różnych etapach jej życia: wówczas kiedy jest ona wygnańcem i kiedy nim nie jest. I czy wygnanie to jest dobrowolne czy też nie, pisarz ulega wpływom okoliczności, które są mu narzucone. W jego twórczości to piętno wpisuje się bezspornie. Pomyślcie tylko o Owidiuszu; jego język na wygnaniu jest inny od tego, którym posługiwał się w Rzymie. Można by tu przywołać długą listę innych przykładów, poczynając od Dantego i Mickiewicza aż po St. John Perse'a, który używa w swojej poezji pisanej w czasie wygnania, języka nie będącego jego językiem ani wcześniej, ani też później.

Zakładając więc, że istnieje język wygnańca, przywołajmy teraz drugie pytanie: czy istnieje także tematyka wygnańcza? Uważam, że tak, w każdym razie są ulubione tematy. Pewne okoliczności czy stany psychiczne ewokują od wieków u wygnańca inspiracje, które nie zaistniałyby wówczas gdyby żył on w swoim rodzinnym otoczeniu lub pozostawał na obczyźnie z własnej woli.

Odnosnie jakości tych dwóch kwestii — języka używanego i przywoływanej tematyki — wyróżniłbym „nurt wysoki” i „nurt niski”. „Nurt wysoki” to to, co pan Jeleński nazwał na początku naszej debaty wzbogaceniem stylu zmierzającym bądź ku klasycyzmowi, bądź ku personalizacji, podczas gdy „nurt niski” języka przynosi żargon będący mieszaniną języka źle wyuczonego z językiem dobrze zapomnianym, w którym nie manifestuje się ani krystalizacja, ani też puryfikacja. Jest on być może zjawiskiem interesującym, lecz z literackiego punktu widzenia niewiele jest wart. — Tak samo istnieje według mnie „nurt wysoki” i „nurt niski” odnośnie wybranej tematyki. „Nurt wysoki” odzwierciedla samą psychozę wygnania, jest rodzajem filozofii, tymczasem „nurt niski” wytryska z osobistego resentymentu, który przejawia się w usprawiedliwieniach, żalach, bądź w nagłych nawróceniach.

Po tej dwugłowej definicji należałoby zastanowić się czy istnieje także korelacja między owymi dwoma zjawiskami: stylem wygnańca i tematyką wygnańczą? W pewnej mierze uważam, że tak. Wszyscy mogą się posługiwać językiem tego kraju, w którym rezydują. Nie oznacza to jednak, że jest to język wygnańca, lecz język pewnego „pana, który pisze gdzieś indziej”. Uświadommy sobie różnice między niejakim St. John Persem, który pisze w Ameryce i niejakim Rainerem Marią Rilke, który pisze w Szwajcarii. Rilke nie ma w sobie nic z wygnańca, on pisze po prostu po francusku. Podczas gdy St. John Perse pisząc *Wygnańca* w swoim ojczystym języku nie opowiada po prostu o „własnym wygnaniu” lecz proponuje nam motyw abstrakcyjnego wygnania. Rilke pisze dzieła cudowne z dala od swego kraju rodzinnego i w nie ojczystym języku, dlatego nie jest uważany za pisarza wygnanego. St. John Perse nim jest, chociaż pisze po francusku.

Chciałbym dorzucić jeszcze jedno słowo w sprawie techniki; na czym może polegać jej wzbogacenie bądź przeobrażenie w przypadku pisarza wygnańca? Przede wszystkim wyraża się to w słowniku, który powstaje pod wpływem języka otoczenia. Wzbogaca się on także przez słowa zebrane, odkryte lub zainspirowane przez analogie, jak to słusznie zauważył pan Czapski. Są jeszcze zaadoptowane formuły, przetłumaczone przysłowia, formy literackie czysto techniczne, czy także to zjawisko, które pan Gorkin nazwał „ar-

chitekturą języka”. Może się to przejawiać rzeczywiście na poziomie techniki albo adaptacji form i sposobów wyrazu nie istniejących przedtem. Rozprzestrzenianie się egzystencjalizmu z jednego kraju do drugiego, bez wątpienia zawdzięcza wiele pisarzom emigracyjnym przyjętym przez Paryż po wojnie.

Przed zakończeniem swojego wystąpienia, chciałbym zasugerować, żeby ktoś poświęcił się zbadaniu tych problemów, na przykład pan Cep, który jest doskonałym specjalistą w tej dziedzinie — w formie bądź prezentacji stanu badań, bądź też dokładniejszych ustaleń filozoficznych czy czysto literackich. Te badania mogłyby uwzględnić trzy następujące kwestie: „Czy pisarz-wygnaniec ma swój język, swoją własną tematykę i technikę?” „Jaka jest korelacja między tymi trzema elementami?” „W jakiej mierze przyczyniają się one do zaliczenia pisarza do pisarzy wygnanych?” — Uważam, że o te właśnie trzy kwestie opierają się problemy naszej dzisiejszej rozmowy.

**François Fejtő:** Problemy przywoływane tu są tak różne i tak skomplikowane, że wydaje mi się, iż bardzo trudno jest je usystematyzować. Ograniczę się więc do ukazania kilku tematów uzupełniających refleksję. Na przykład kwestia wpływu długości trwania wygnania na zachowanie wygnańca. Do jakiego momentu pisarz pozostaje wygnańcem, od kiedy zaczyna on odczuwać konsekwencje asymilacji, integracji, zakorzenienia się w środowisku, w którym żyje?

Mówiąc konkretniej, przywołam tu swoje doświadczenie osobiste: kiedy przybyłem do Francji 23 lata temu, czułem się w pełni pisarzem wygnanym, przyjąłem kondycję wygnańca, strzegąc wszelako kontaktów z Węgrami, kontynuując twórczość w języku węgierskim adresowaną do Węgrów i nawet we względnej izolacji, w której żyłem podczas wojny w centralnej Francji, w Lot, moja egzystencja była zorientowana na Węgry, tak jak życie muzułmanina na Mekkę. Tworzyłem po węgiersku dla odbiorców węgierskich, do których mógłbym się zwrócić pewnego dnia. Czyż pojęcie „wygnanie” nie zawiera w sobie poczucia „tymczasowości”, w stosunku do warunków obecnych, nie jest pewną anormalnością czy normalnością nie jest powrót do ojczyzny, koniec wygnania?

Dopiero po wojnie, zdając sobie sprawę ze zmian, które zaszły na Węgrzech, z faktu, że „ojczyzna” stała mi się obca — rodzinę mi zgładzono, przyjaciele umarli, złudzenia zostały rozwiane — to właśnie wtedy zmieniłem orientację, rezygnując na zawsze z powrotu na Węgry, zabierając się do ulepszania mojego francuskiego, oraz do pisania bezpośrednio w tym języku, w miejsce tłumaczenia siebie z węgierskiego na francuski, jak to czyniłem ze swoimi pierwszymi utworami wydanymi we Francji. Tak oto, krok po kroku, zostałem skłoniony do przezwyciężenia trudnej kondycji pisarza wygnanego, który podtrzymuje fikcję, wierząc, że to co prawdziwe jest gdzieś indziej, w jego własnym kraju.

Oczywiście, rozumiem także sytuację Józefa Czapskiego, również pewni spośród moich rodaków żyjących już relatywnie długo na wygnaniu, znajdują się w okolicznościach, w których mogą czy wręcz muszą kontynuować pracę pisarską w języku ojczystym, pozostając w ciągłym kontakcie intelektualnym i duchowym z własnym krajem i jego literaturą. Czapski nie jest chyba nawet wygnańcem. Wszędzie tam gdzie się znajduje, ma Polskę wokół siebie, czy ze sobą. Lecz ci inni, mniej odporni i bardziej otwarci? Pewnego dnia, po jakimś czasie spędzonym na wygnaniu, staną przed pytaniem, czy zapuścili korzenie w nowym gruncie? Ja, na przykład, odkryłem, że ta rewolucja została dokonana przez nieświadomość, w dniu gdy odczułem, że śnię po francusku, czy też że mówię i myślę w swoich snach po francusku. Od tej chwili zacząłem pokonywać tę ogromną nieśmiałość, blokadę jaką miałem wyrażając się po francusku, mimo że od kilku lat byłem już dziennikarzem. Mogłem pisać artykuły prasowe, redagować informacje i komentarze, ale kiedy chciałem dotknąć spraw bardziej osobistych, wyrazić się z pewną

głębią, powiedzmy w sposób nie dziennikarski, czułem się onieśmielony, skrepowany, cofający się przed tym gwałtem, o którym mówił Rawicz.

Ów gwałt na języku francuskim do popełnienia, którego zostałem zmuszony, wydał mi się profanacją. Lubilem przecież ten język i literaturę, tak jak nasz przyjaciel Andras Hevesi, powieściopisarz i eseista węgierski, który przybył do Francji równocześnie ze mną w 1938 roku, wstąpił do armii francuskiej i zginął na polu chwały. „Przybyłem do Francji, aby umrzeć za język Racine’a, Stendhala, de Benjamina Constant i Prousta”, mówił mi gorączkowo w chwili mobilizacji. Lecz wydawało mi się, że umrzeć za język francuski jest łatwiej, niż sypiać z nim, koegzystować, współżyć i połączyć się. Zbyt wiele szacunku szkodzi miłości, nie chciałem powiedzieć i uwierzyć sobie samemu, że już przezwyciężyłem ten wstyd i kompleks niższości. Nie, bo pisanie pozostaje dla mnie „porodem nie bez bólu”, bo budzi trwogę i rozdrażnienia.

Jest jednak i inny aspekt tego problemu, mniej zniechęcający, o którym chciałem powiedzieć. Przypominacie sobie państwo bez wątplenia bohatera *Czarodziejskiej Góry* Tomasza Manna, który w chwili egzaltacji porzuca swój język ojczysty, niemiecki, aby mówić po francusku, zamierzając wyśłowić to, co ma w sobie najbardziej intymnego i to aż tak bardzo intymnego, że we własnym języku nie odważyłby się nigdy tego wyrazić. Jest to po trosze karnawał, z maskami stwarzającymi alibi dla naszej zmysłowości i spontaniczności, które nas wyzwalają i — ukrywając jednocześnie przywracają nas nam samym. W chwili gdy napisałem swoją ostatnią książkę *Dieu et son Juif (Bóg i jego Żyd)* — miałem wrażenie takiego wyzwolenia poprzez maskę; przez ekstazę, w której zatopiłem radość z przezwyciężenia wygnania, miałem też wrażenie „zawładnięcia” językiem francuskim i posłużenia się nim prawie bezwstydnie. Tak oto wyraziłem w tym języku pewne sprawy, dla których w węgierskim nie udałoby mi się nigdy znaleźć właściwej formy.

Ostatnia uwaga. Pan Rawicz, a także pan Nabokov mają z pewnością rację, usiłując sytuować interesujący nas problem w perspektywie historycznej. W konsekwencji czego, kondycja pisarza wygnanego zdaje się nie być niczym nowym dla ludzi Europy Wschodniej i Środkowej. Jest to kondycja, którą wielu pisarzy pochodzących z tych krajów zna od wieków. Myślę tu, na przykład, o naszym Mikesie Kelemenie, twórcy węgierskim z XVII wieku, pisarzu Księcia Rakoczego, który na wygnaniu w Turcji, napisał prozę tak doskonałą, że służyła później jako wzór dla pisarzy krajowych. Myślę także o pisarzach węgierskich „wypędzonych” do Wiednia przy końcu XVIII wieku, którzy zainicjowali odnowienie języka węgierskiego, dzięki bodźcom płynącym z obczyzny. Są jednak i tacy ludzie, dla których słowo „wygnanie” ma znaczenie i siłę ewokacji zupełnie szczególną, są nimi Żydzi. Byłbym skłonny wręcz uważać, że słowo „wygnanie” jest słowem przede wszystkim żydowskim. Zajmowanie się jednak tym aspektem problemu tutaj, odwiódłoby nas zbyt daleko od tematu naszej debaty. Chcę więc jedynie podkreślić, że dla pisarzy Europy Środkowej i Wschodniej pochodzenia żydowskiego, problem wygnania i zakorzenienia się na nowo zdaje się być jeszcze bardziej złożony i zróżnicowany, niż dla ich nie żydowskich rodaków. Bardziej złożony i zróżnicowany, ponieważ od czasu, kiedy władają oni jako ojczystym językiem węgierskim, polskim czy niemieckim, można ujawnić najczęściej istnienie pewnego napięcia, pewnej wewnętrznej sprzeczności, między językiem ojczystym a tym czymś nie wiem jak obcym, co dociera z innego dziedzictwa kulturalnego, ze środowiska niezupełnie zasymilowanego. Ich więź z językiem ojczystym nie jest całkowicie naturalna, pochodzi z wyboru, niekiedy wzruszającego, to właśnie dlatego często tym pisarzom jest trudniej zaadoptować się w warunkach nowego wygnania, niż niektórym naszym rodakom nie mającym takiego pochodzenia. Niekiedy, wręcz przeciwnie, ci pisarze dają dowód większej i szybszej zdolności do asymilacji: jest to mianowicie przypadek Koestlera, którego dwujęzyczność czy trójjęzyczność przynosi



problemy odrębne. Nie jest, być może, przypadkiem to, że spotyka się tyle umysłowości „naturalnie kosmopolitycznych” wśród Żydów, to tak jakby z przyzwyczajenia do wygnania rozpiętego na setki lat, narzuconego przez wieki, nabyli oni pewnej zręczności do zakorzeniania się.

**K. A. Jeleński:** Myślę, że poprosimy teraz Ladislasa Garę, by nam przedstawił problem paralelny, problem pisarza, który jest równocześnie tłumaczem; problem poety, który pisząc w języku ojczystym, ma jednocześnie pasję do transponowania na inny język własnych tekstów. Sądzę, że mamy tu do czynienia z problemem nieco odmiennym, a więc chciałbym, żeby nam pan powiedział, w jaki sposób wygnanie czy fakt życia gdzie indziej może mieć na to wpływ.

**Ladislav Gara:** Jestem raczej tłumaczem, skromnym tłumaczem niż pisarzem, wolę więc mówić o swoich doświadczeniach, o obserwacjach „tłumacza”, które mam nadzieję, będą mogły zainteresować tu zebranych. Lecz przede wszystkim pozwolę sobie odpowiedzieć mojemu przyjacielowi Fejtő, że problem wygnania, o którym mówił, nie jest absolutnie specyficzny dla Żydów. Historia literatury węgierskiej zawsze była wytyczana przez dzieła pisarzy przebywających na wygnaniu. Pierwszy wiersz węgierski, wspomniała *Skarżga Marii*, został stworzony na obczyźnie w Średniowieczu przez anonimowego mnicha węgierskiego. W okresie Renesansu nasz największy poeta epoki, Janus Pannonius — który pisał zresztą po łacinie — był również typem pisarza wygnańca: w młodości przeznaczony do studiów w Rzymie, jak to zauważył jeden z jego krytyków, odczuwał niestanną nostalgię za Węgrami; później, po powrocie do swej ojczyzny, gdy został biskupem Pécs, odczuwał ustawicznie tęsknotę za Rzymem. Mógłbym tu przywołać z dziesiątkę innych przypadków mniej więcej podobnych, ale zwrócimy się ku żyjącym. Kilku spośród naszych najlepszych pisarzy obecnych było na wygnaniu, przynajmniej przez kilka lat. Tak więc, na przykład poeta Gyula Illyés był na początku lat dwudziestych wygnany do Francji, gdzie, jako przyjaciel Cocteau, Tzary, Bretona, Aragona, Crevela i Eluarda, podjął się pisanie po francusku. Dzisiaj, kiedy dokonuje się przeglądu jego twórczości, nie sposób nie skonstatować, że lata wygnania były dla Illyésa jednym z najbardziej płodnych okresów. Stworzył wtedy wiersze w języku francuskim tak wykwintnym, że mogłem umieścić jeden z nich w antologii poezji węgierskiej, która zostanie niebawem wydana po francusku przez Editions du Seuil.

**François Fejtő:** Illyés był raczej turystą czy studentem w tym czasie, niż wygnańcem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Można jedynie powiedzieć tyle, że był w wygnańców, jak to zaświadcza jego piękna powieść *Hunowie w Paryżu*.

**Ladislav Gara:** Wcale nie. Spędził cztery czy pięć lat bez przerwy w Paryżu. Był wtedy emigrantem politycznym. Nie zdecydował się ostatecznie osiedlić na stałe we Francji, a mógłby z powodzeniem zostać pisarzem francuskim. Poznałem niektórych węgierskich pisarzy wygnańców; przetłumaczyłem znaczną ilość ich utworów, miałem więc okazję zaobserwować, że wielu spośród nich, w miarę jak ich pobyt na wygnaniu się przedłużał, ujawnia pewną tendencję do abstrakcji. Z tego względu przypadek Artura Koestlera, pisarza pochodzenia węgierskiego, dwujęzycznego czy nawet trójjęzycznego, jest dość frapujący. Zastanawiam się, czy gdyby Koestler pozostał na Węgrzech, to mogłaby być równie dominująca w jego twórczości, właściwa mu tendencja, być może naturalna, do kreowania bohaterów reprezentujących idee raczej, niż odbijających rzeczywistość bardziej namacalną. Nie sądę. A więc symptom wygnańca przejawia się u niego nie tylko w stylu, lecz również w koncepcji literackiej, a nawet w tematyce. Powieściopisarz węgierski Sandor Marai, który przebywa od wielu lat w Stanach Zjednoczonych, kontynuuje tam swą twórczość powieściową i teatralną, w której jedynie sam wybór pewnych tema-

tów zdradza pisarza wygnanego, natomiast język, styl i wirtuozeria pozostały nieskazitelne, tak jakby nigdy nie opuścił Węgier. Znaleźć coś z tego można również u obecnego tu naszego przyjaciela Szabolcs'a Vajay; czytając jego powieści bądź szkice, odnosi się wrażenia, że jego język ojczysty pozostaje bez najmniejszej skazy i zadziwia bogactwem słownictwa. Przywołać tu także trzeba Laszlo Cs. Szabo, który opuścił Budapeszt czternaście lat temu i przyjął obywatelstwo angielskie, pisze on opowiadania i eseje w języku węgierskim tak doskonałym, że wiele jego utworów mogłoby znaleźć się w węgierskim podręczniku stylistyki.

**François Fejtő:** To, co mówi Gara, skłania mnie do myślenia o innym rodzaju wygnania, które pisarze naszych krajów nazywają „wygnaniem wewnętrznym”. Jest wielu takich „wygnańców wewnętrznych” na Węgrzech i w powojennej Polsce. Ale nie jest to czymś nowym: intelektualista czy pisarz węgierski z czasów Ady, z epoki Attyki Józefa, nie czuł się wolny we własnym kraju, będąc odizolowanym od narodu i zamkniętym w wieży z kości słoniowej. Był to przypadek, na przykład: Cs. Szabo, czy Kerenyi, nawet przed ich wygnaniem „rzeczywistym”. „Wygnanie wewnętrzne” przejawiało się w ich stylu „klasyczną sztywnością”, analogiczną do tej, do której aluzję uczynił Jeleński, będącej zarazem niezaprzeczalnie, jedną z cech charakterystycznych literatury wygnańczej. Jest u człowieka wygnanego mógłbym powiedzieć także, u człowieka izolowanego, kompensacja, wynikająca z braku kontaktu z ludźmi i ich żywym językiem. Wygnaniec zamyka się w cytadeli języka skrajnie wydoskonalonego i kultywuje swój ogród wewnętrzny, skąd komunikuje się z ośrodkami kulturalnymi na obczyźnie — jego ojczyzną duchową. Cs. Szabo był już wygnańcem żyjącym na Węgrzech, teraz kontynuuje wygnanie w Londynie i mówi dokładnie tym samym językiem kosmopolitycznego estety, którym mówił we własnym kraju. Jest to przypadek niejednego z nas.

**Ladislav Gara:** Obojętnie co by powiedzieć, język węgierski Szabo pozostał doskonały. Chciałbym jeszcze przywołać ostatni lecz interesujący przykład. Dotyczy on poety Gabora Bikicha. Twórca ten ujawnił się właśnie na wygnaniu: mieszka aktualnie w Monachium. To na obczyźnie zdołał wykreować język poetycki całkowicie osobisty, zasilany przede wszystkim dziełami wielkich poetów węgierskich XVI i XVII wieku, który kiedyś może wywrzeć silny wpływ, jeśli poezja Bikicha przeniknie na Węgry, na poetów węgierskich pozostających w kraju. Oczywiście, jest to zjawisko dość złożone. Lecz wygnanie wzbogaciło z pewnością bardzo twórczość Bikicha, jak zresztą stało się to również z twórczością takich pisarzy węgierskich jak György Faludy i Tomasz Aczel, by wskazać tu tylko te dwa nazwiska.

**K. A. Jeleński:** Chciałbym dorzucić pewną uwagę do tego co powiedział właśnie Fejtő i Gara; uważam, iż można by tu dokonać pewnej generalizacji, utrzymującej, że pisarze wygnani stają się z jednej strony klasycznymi do ekstremum. Fejtő i Gara przywołali pewne przykłady, mamy zresztą także wśród Polaków takiego pisarza jak Gustaw Herling-Grudziński który, w miarę jak żyje na wygnaniu, staje się rozmyślnie pisarzem coraz bardziej klasycznym i coraz bardziej doskonalącym swój język. Z drugiej strony, mamy takich pisarzy, których język staje się, by tak powiedzieć, szalony na wygnaniu, personalizują go do tego stopnia, że można ich powiązać z kierunkiem ekspresjonistycznym czy nadrealistycznym w literaturze, tworzą bowiem i potęgują jednocześnie: potęgują zjawiska i tworzą język. Witold Gombrowicz, spośród Polaków, jest tego doskonałym przykładem.

Jest jednak także i inne zjawisko, które wydaje mi się być szczególnie interesujące, jest to przypadek, o którym nie mówiliśmy dotąd: przypadek pisarza na wygnaniu, który, nie mając żywego kontaktu z językiem, używanym w danym momencie historycznym w

jego kraju ojczystym, jest w stanie odtworzyć ten język w wyobraźni i uczynić go bardziej prawdziwym od prawdziwego, uczynić go, dosłownie „nadrealnym”. Jest to przypadek Czesława Straszewicza, który spędził 20 lat na wygnaniu i napisał tam po wojnie powieść, której akcja osadzona jest w Polsce w latach 1945–1946. Książka Straszewicza jest jedyną książką, która odtwarza wiernie nie tylko problemy życia Polaków tuż po wyzwoleniu, lecz także sam język, jego rodacy mieszkający w Polsce zaliczają tę powieść do najbardziej realistycznych utworów o tamtych latach, które sami przeżyli, a których nikt z nich nie był w stanie przetransponować na literaturę.

**Julian Gorkin:** Chciałbym zwrócić uwagę na pewien aspekt zagadnienia, który wydaje się mieć tu swój udział: jest różnica według mnie między pisarzami krajów Wschodu i pisarzami Hiszpanii czy Portugalii. Przypuszczam, że pisarz węgierski na wygnaniu tworzy po to, by publikować we Francji, skoro nie ma nadziei na publikowanie na Węgrzech, zwłaszcza gdy wyraża przekonania nam bliskie. Tymczasem pisarz hiszpański na wygnaniu, nawet jeśli stworzy nowy styl i nową „architekturę” pod wpływem literatury kraju, w którym się znajduje, kontynuuje twórczość w ojczystym języku, gdyż wielkim rynkiem wydawniczym dla jego książek jest Ameryka Łacińska. Wszystkie moje aktualne utwory zostały wydane w Santiago de Chile, Buenos Aires i w Mexico, co mi pozwala pracować i tworzyć nadal w języku hiszpańskim. Nie przeszkadza mi to, oczywiście, jak wam mówiłem przed chwilą w tym, by nadal asymilować kulturę, język i styl francuski. Kiedy mówię lub piszę po francusku, to myślę też po francusku, tak że nie muszę siebie tłumaczyć, a kiedy mówię i piszę po hiszpańsku to jestem nadal pełen szacunku dla swojego ojczystego języka, ale także wzbogacam go w jakimś względzie, dzięki inspiracjom francuskim. Są to zresztą języki należące do tej samej rodziny. Chciałbym jednak postawić problem różnicy, jaka istnieje między pisarzami krajów Wschodu na wygnaniu i piszącymi dla odbiorców i wydawców nie swoich krajów a pisarzami hiszpańskimi, którzy, tam gdzie się znajdują (czy będzie to Izrael, jako to się zdarza, czy będzie to Egipt, czy też będzie to Anglia, Niemcy lub Francja) mogą kontynuować pracę w ojczystym języku wiedząc, że mają możliwość wydania swych książek na tak rozległym kontynencie jak Ameryka Łacińska.

**Nicolas Nabokov:** Gorkin poruszył tu ważny problem, ponieważ uważam, że trzeba zróżnicować wygnanie. Rosjanin, będący uchodźcą z Rosji i mieszkający w Anglii, Ameryce czy we Francji, a także Polak opuszczający obszar swego języka słowiańskiego, wstępują rzeczywiście w odmienną rodzinę językową, gdy tymczasem Francuz opuszczający ojczyznę pozostaje często na obszarze języków romańsko-łacińskich; Anglik na wygnaniu będzie miał zawsze do swej dyspozycji *Lingua Franca Anglaise*, które istnieje na całym świecie.

Chciałbym jednakże wrócić do innej sprawy, którą poruszyli Czapski i Rawicz, dotyczącej tortury pisania w języku obcym. Osobiście mogę dorzucić do tego doświadczenie odmienne: odczuwam tę torturę pisząc we wszystkich językach, ponieważ uważam, że wygnanie istotnie powoduje utratę czegoś, co jest bardzo trudne do określenia, a co Jeleński nazwał, jak mi się wydaje, żywym kontaktem z rodzimym środowiskiem, z korzeniami. Zdaję sobie sprawę na przykład, że kiedy piszę, powiedzmy, po angielsku, słowa nasuwają mi się w trzech lub czterech językach, ale nie w angielskim. Niekiedy słowo, które jest mi potrzebne, pozostaje w nieświadomości czy w głębokiej pamięci i nie dociera, kanały łączące pamięć świadomą z tą ukrytą czy nawet pogrzebaną, czy wręcz martwą, jest trudno wskrzesić. Jest to, uważam, we wszystkich przypadkach czymś tragicznym. Dlatego też zazdroszczę wirtuozom takim jak mój kuzyn Vladimir czy też Conrad czy być może autorzy łacińscy tacy jak Św. Augustyn, który mówił czterema językami i bez wątplenia je czuł. Zazdroszczę ludziom, którzy mogą poruszać się w ob-

rębie czterech języków swobodnie, nieświadomie. Uważam, że tu tkwi nasz najważniejszy problem.

**Jan Cep:** Chciałbym zwrócić tu uwagę na pewien zamysł, który jest zresztą więcej niż zamysłem: stanem ducha, konkretnym doświadczeniem, czy co najmniej przecuciem, początkiem doznania: każdy wygnaniec, pisarz bądź nie, czuje się przede wszystkim wykorzeniony, jest bardziej lub mniej — tułaczem. Czyż nie jest to zarazem, w jakimś sensie po prostu kondycją człowieka żyjącego na ziemi i zanurzonego w czasie? Czyż nie zawiera ona w sobie pierwiastków owego wzbogacenia, zakorzenienia w innej ojczyźnie? Czy nie możemy stać się wszyscy, zarówno pisarze, jak i nie, czyż nie możemy stać się wędrowcami, którymi byliśmy, pielgrzymami spotykającymi na wszystkich swoich drogach odbłask Absolutu? I czy to doświadczenie — bądź tylko jego przecucie — nie stało się bodźcem nakłaniającym nas do wyrażania siebie?

**François Fejtő:** Cieszę się bardzo, mogąc skonstatować, że ta sama myśl pojawiła się symultanicznie u Cepsa i u mnie, prosiłem o głos w tym samym momencie co on, aby powiedzieć mniej więcej to samo. A więc, że dyskutując o kondycji pisarza wygnanego, przywołujemy zarazem kondycję człowieka w ogóle, którą można generalnie określić pojęciem „wygnaniec” („wrzucony” w egzystencję, mówi Heidegger). W stosunku do Absolutu, którego człowiek szuka z utęsknieniem, pozostaje on w sytuacji wygnania, separacji, alienacji. Ojczyzna dla niego jest wyobrażeniem, miejscem jego marzeń, celem ostatecznym a nie faktem realnym. Zapytano pewnego razu Joyce’a dlaczego, wcielając Ulissea we współczesność, wybrał obywatela Blooma, którego nazwisko pierwotnie brzmiało Virag, ponieważ urodził się w Budapeszcie. Lecz zanim nazywany był Viragiem, Bloom, bądź przynajmniej jego rodzina, nazywali się Blum, to niemieckie nazwisko zostało nadane im w XVIII wieku, w czasie kiedy to Józef II nakazał wszystkim Żydom w monarchii znaleźć sobie niemieckie nazwisko rodowe.

Otóż Joyce odpowiedział, że wybrał właśnie Blooma-Viraga-Bluma, ponieważ ten węgierski Żyd, naturalizowany Irlandczyk, wyrażał przez samą swą przypadkowość, fundamentalną cechę człowieka jakim jest skazanie na wygnanie, bądź jakby to powiedział mój przyjaciel Axélos, na tułaczkę. Pan Nabokov przywołał nazwisko Św. Augustyna, można by tu przywołać także w związku z tym i z bardziej słusznego powodu, także proroków, którzy byli pisarzami wygnanymi, pierwszymi pisarzami wygnanymi...

W sytuacji tak trudnej jak nasza, można by powiedzieć, że pisarz wygnaniec został wygnany dwukrotnie. Zastanówmy się nad przypadkiem wieśniaka węgierskiego, który osiedla się w Kanadzie: językiem, środkiem wyrazu dla niego istotnym jest jego rzeczywisty język ojczysty i uprawa roli, kontakt z ziemią, niebem i zwierzętami. Odnajduje on mniej więcej to samo w swojej nowej ojczyźnie. Tymczasem pisarz, który opuszcza rodzinny kraj traci jednocześnie swoje narzędzie pracy i swój rynek zbytu. Jest zmuszony zaczynać wszystko od nowa i właśnie ta potrzeba stworzenia wszystkiego od początku, rozjątrzając psychikę, może doprowadzić wygnańca do nieoczekiwanych odkryć i zdobyczy. Ostateczne rozwiązanie może się odsłonić z pomocą talentu i inspiracji jako źródło odrodzenia i głębokiej oryginalności.

**Piotr Rawicz:** W świetle tej dyskusji przyszły mi na myśl słowa Charles-Quint’a. Jeśli się nie mylę, to właśnie Charles Quint powiedział: „Mit einer jeden neu-erlernten Sprache, gewinnt man eine neue Seele”. Znaczy to, że z każdym językiem nowo przyswojonym, nabywacie nową duszę. Otóż w świetle tej dyskusji, można na ten temat powiedzieć tyle, że jest to prawdą, lecz że dotyczy to duszy nieco okaleczonej. Niech nas pocieszy to, że każda dusza jest okaleczona na początku; oto co myślę. Mam poza tym drobną reflek-

sję, całkowicie skromną i praktyczną, która mi przyszła na myśl. Jest to być może sąd wartościujący, wystrzegam się na ogół takich sądów, lecz ten sąd może być użyteczny: a więc skoro tworzy się w języku, który nie jest w pełni ojczysty, a który nim stał się, to jesteśmy z pewnością ulegli wobec pewnych ograniczeń, co może być uznane za fakt negatywny. Z drugiej jednak strony, jesteśmy także — a myślę, że jest to doświadczenie, którego wielu z nas doznało — uległymi wobec pewnej dyscypliny i tę dyscyplinę w niektórych przypadkach można uznać, według mnie, za coś pożytecznego.

**Nicolas Nabokov:** Zbliżamy się do konkluzji naszej debaty. Piotr Rawicz postawił kropkę nad „i”, co może posłużyć za konkluzję: otóż mamy dusze okaleczone i to jest faktem istotnym, stąd pochodzą złożone relacje między językami i stylem.

Tłumaczyła z j. francuskiego Irena Burzacka



# O TRZECH ZRZESZENIACH PISARSKICH

Nina TAYLOR (W. Brytania)

W artykule pt. „Pół wieku Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie” autorstwa Józefa Garlińskiego czytamy, że po cofnięciu uznania przez rządy zachodnie w lipcu 1945 roku:

„W jesieni tego samego roku tak samo postąpił Międzynarodowy PEN-Club, uznając Polski PEN-Club w stolicy Polski. [...] Trzeba się było zorganizować i w jesieni 1945 roku powstał w Londynie Komitet Organizacyjny przyszłego Związku Pisarzy. Na czele Komitetu stanął minister informacji w urzędzie emigracyjnym, publicysta, Stanisław Stroński. Dołączyli doń: Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Stefan Gacki, Tymon Terlecki i Stefania Zahorska. To był początek nowej organizacji pisarzy poza krajem.

Dnia 15 sierpnia 1946 roku odbyło się w Londynie pierwsze organizacyjne zebranie, które powołało do życia Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Uchwalono statut [...]”<sup>1</sup>.

Pomijam różne teksty okolicznościowe o podobnej treści ogłoszone w prasie z okazji jubileuszu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, który obchodzono w Londynie w 1995 roku. Ograniczę się do zacytowania fragmentu z numeru jubileuszowego „Pamiętnika Literackiego”, organu Związku Pisarzy. Powyższa informacja powtarza się tam w mniej więcej identycznym brzmieniu, czyli że na jesieni 1945 roku „Międzynarodowy PEN-Club zawiadamia Polski PEN-Club na Obczyźnie, że cofnie mu uznanie”, oraz że „W Londynie tworzy się Komitet Organizacyjny przyszłego Związku Pisarzy poza krajem”<sup>2</sup>. W tej samej publikacji czytamy m.in.:

„W roku 1946 utworzono w Londynie «Stowarzyszenie Pisarzy Polskich», co wyglądało na rozłam lub powstanie konkurencyjnej organizacji. W istocie była to komórka wydawnicza Związku, która wydała broszurę *Literatura a polityka, Wolne opinie*, a po kilku latach, już bez tej mylącej firmy, wydała sześć książek, tak zw. «żywych» — Mickiewicz, Wyspiański, Conrad, Krasiński, Norwid i Sienkiewicz”<sup>3</sup>.

---

<sup>1</sup> J. Garliński, *Pół wieku Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie*, [in:] *Mobilizacja uchodźstwa do walki politycznej 1945–1990*. Praca zbiorowa pod red. Leonidasa Kliszewicza. Londyn 1995, s. 225.

<sup>2</sup> *Calendarium. 50 lat działalności Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (opracowanie zbiorowe)*. Pamiętnik Literacki (Londyn) 1995 t. 20, s. 61.

<sup>3</sup> J. Garliński, *Pół wieku*, Pamiętnik Literacki (Londyn) 1995 t. 20, s. 13. Gwoli ścisłości serię „Żywych” wydał i firmował Związek.

Niejedno nieporozumienie wkra­dło się do tych kilku zdań. Najłatwiej przyjdzie spro­stować datę założenia Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Powstał w 1946 roku, gdyż dopiero w czerwcu 1946 roku Polski PEN-Club stracił uznanie. Można to sprawdzić bez większego wysiłku, jest to bowiem ściśle i szczegółowo udokumentowane w ówczesnej prasie emigracyjnej i archiwum samego Związku Pisarzy, nie mówiąc o zbiorach prywatnych. Większy szkopał stanowi tzw. „Komitet Organizacyjny”, który — jeśli przyjąć powyższe stwierdzenie — powstał na jesieni 1945 roku, a „minęło niewiele miesięcy” (prawie rok!) zanim przetrworzył się w Związek. Fakt że Stanisław Stroński był podówczas tylko byłym ministrem informacji to już tylko drobiazg.

Żeby trzymać się w miarę możności w ramach logiki czasowej, zacznę od tzw. „komórki wydawniczej Związku”, czyli Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Nigdy nie było ono „komórką” Związku i nie mogło nią być, gdyż powstało o ponad rok wcześniej od Związku. W liście z 23 marca 1945, podpisanym przez ówczesnego ministra informacji i dokumentacji Adama Pragiera, Ministerstwo Informacji zawiadamia, że przyznało Stowarzyszeniu „Polish Writers’ Association” jednorazową subwencję w wysokości £2000 z przeznaczeniem na akcję wydawniczą<sup>4</sup>.

Tymon Terlecki był współzałożycielem obu organizacji. W 15 lat później wspominał:

„Było to w okolicach r. 1945. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie jeszcze nie istniał, Polski PEN-Club, czynny przez całą wojnę, stał się nagle *institutio non grata*. W szczupłym gronie — Stanisław Baliński, Wacław Grubiński, Marian Hemar, Stefania Zahorska i ja — schodziliśmy się regularnie co tydzień na 86 Avenue Road koło stacji podziemnej Swiss Cottage, w staroświeckim białym domu wśród wysokopiennych drzew, w którym mieściło się także ministerstwo informacji i dokumentacji już nie uznane­go rządu Rzeczypospolitej. Zabezpieczyliśmy rozproszone i zagrożone zatar­ką księgozbiory. Przez pewien czas firmowaliśmy «Wiadomości». Urządza­liśmy cykle odczytów i wieczorów literackich. W Anglii ciągle jeszcze uściśniętej reglamentacją papieru i brakiem siły roboczej zabraliśmy się do wydawania książek. Była to sprawa paląca. Naraz zniknęły wszystkie firmy prywatne, zaprzestały działalności wydawniczej organy wojskowe i cywilne. W tych latach chudych, latach posuchy działały tylko dwa skromne ośrodki: Instytut Literacki, prowadzony przez Jerzego Giedroycia w pierw­sz w Rzymie, później w Paryżu, który wydał ponad 20 książek, i Stowarzyszenie Pisarzy w Londynie, które ma na swoim koncie tuzin pozycji”<sup>5</sup>.

Nowe Stowarzyszenie zostało zarejestrowane u władz brytyjskich jako Polish Writers’ Association. Pierwsze walne zebranie członków wyłoniło zarząd, który ukonstytuował się jak następuje: Wacław Grubiński został prezesem, Marian Hemar i Tymon Terlecki — wiceprezesami, Stefania Zahorska — sekretarka, Stanisław Baliński — skarbnikiem<sup>6</sup>. Lata chude były też poniekąd latami koniunktury<sup>7</sup>. Pod koniec roku czytamy w ówczesnej prasie wyrazy życzliwości dla Stowarzyszenia. „Nowej organizacji zasyłamy życzenia jak najszybszego rozwoju i jak najwydatniejszej pracy”<sup>8</sup>. Nieco wcześniej donosił „Dziennik Polski”, że „Stowarzyszenie podjęło prace w dziedzinie literacko-wydawniczej i kulturalno-odczytowej. Jednym z pierwszych zamierzeń Stowarzyszenia

<sup>4</sup> List w Archiwum T. Terleckiego, Oxford (dalej: ATT).

<sup>5</sup> T. Terlecki, *Intelekt i pasja*, Wiadomości 1961 nr 803, s. 2. Por. list Terleckiego do T. Koriana z 22 lutego 1946 roku: „...najbliższe zebranie Stow[arzyszenia] będzie u niej: [czyli Zahorskiej]”.

<sup>6</sup> Ibidem; por. notesik Terleckiego pod datą 12 VI 1972: „Należeli do SPP: Baliński, Hemar, [dopisane na marginesie: Zahorska i Grubiński] ja, Meissner, który już zezował w stronę nowego układu rzeczy i nigdy nie brał żadnego udziału w jego pracach, z daleka Weintraub i Danilewiczowa”.

<sup>7</sup> J. Bielatowicz, *Firmament emigracyjnej literatury*, Ostatnie Wiadomości (Mannheim) 1952 nr 22, s. 3.

<sup>8</sup> Tygodnik Polski (Nowy Jork) 1945 nr 44 (149), s. 16.



jest utworzenie Biblioteki Polskiej w Londynie, której podstawą są księgozbiory, otrzymane w darze od Ministerstwa Informacji i od Rady Narodowej”<sup>9</sup>.

Latem 1945 roku, a może i wcześniej, przystąpiono do drukowania książek. Zachował się brulion listu Tymona Terleckiego z datą 25 września 1945 do kuratora dla spraw autorskich dr. Stanisława Kodzia w sprawie wydania *Nowel warszawskich* Bolesława Prusa<sup>10</sup>. Do powodzenia młodej organizacji przyczyniała się Zofia Kossak-Szczucka „najznakomitsza, najwyższej miary pisarka polska doby współczesnej”, gdy 3 listopada 1945 na prośbę Stowarzyszenia wygłosiła w Ognisku Polskim odczyt pt. „Świadeństwo o Oświęcimiu” o przejściach i wrażeniach w niemieckim obozie koncentracyjnym<sup>11</sup>. Kossak-Szczucka udzielała się niejednokrotnie i niedługo po przyjeździe z kraju mówiła w Związku Polskich Pisarzy Katolickich (sekcja londyńska) o „Postawie duchowej społeczeństwa polskiego w Kraju”<sup>12</sup>. Nowemu Stowarzyszeniu wkrótce przysłała znowu z pomocą, wygłaszając słowo wstępne pt. „Polskie niebo” na wieczorze kolęd Toli Korian, który urządzono w grudniu tegoż roku w Caxton Hall na rzecz Polaków w Niemczech<sup>13</sup>.

Na wiosnę 1946 roku działalność imprezowa rozwijała się dalej. W Ognisku Polskim odbył się pierwszy cykl odczytów poświęcony literaturze polskiej. Prelekcję inauguracyjną o Adamie Mickiewiczu wygłosił 26 marca 1946 Tymon Terlecki<sup>14</sup>. W tydzień później Zbigniew Grabowski mówił o „Romantyzmie europejskim i szansach romantyzmu naszej ery”. Potem po kolei przemawiali: Marian Hemar („Fraszka Krasickiego”), Antoni Bogusławski („Liryka wojenna”), Wiktor Weintraub („Barok sarmacki”), Adam Żółtowski („O filozofii polskiej”) i Stanisław Stroński („Poezja wygnańców”).

Przynajmniej jeden z współzałożycieli łudził się i wyrokował Stowarzyszeniu wielką przyszłość. We wrześniu 1945 r. Stanisław Baliński został wybrany na prezesa emigracyjnego PEN-Clubu polskiego w Londynie. Jak sam później napisał do Stefani Zahorskiej, przyjął ten wybór prowizorycznie. „Chciałem poświęcić się wyłącznie sprawie Polish Writers’ Association, uważając że z czasem Stowarzyszenie może stać się instytucją, zabierającą głos na forum zagranicznym.” W tym samym liście Baliński wyjaśniał swój pogląd na sprawy Penklubowskie: „PEN-Club, jako płaszczyzna działania międzynarodowego, wydawał mi się zawsze instytucją towarzyską, albo co gorzej — polityczną, służącą interesom podporządkowanym nakazom chwili mimo hasel ogólnoludzkich i sloganów humanitarnych”<sup>15</sup>.

Przez kilka miesięcy, właściwie niemal przez rok po zakończeniu wojny, polski PEN Club emigracyjny w dalszym ciągu prowadził swoją działalność kulturalną i urządzał imprezy literackie i towarzyskie. W czerwcu 1945 roku odbył się obiad, w mniemaniu jednego z uczestników „Zupełnie dla mnie bezsensowne przedsięwzięcie. Marychna [Kuncewiczowa — przyp. NT] wystylizowała się w jakieś woale i czerwone guzy. Jej *speech* bardzo się podobał. Przy sposobności tego obiadu poznaliśmy z Zahorską narzeczoną Hemara. (...)”<sup>16</sup>. W kilka dni później w Ognisku Polskim przy Belgrave Square

<sup>9</sup> Dziennik Polski, 8 X 1945, s. 3.

<sup>10</sup> Archiwum „Polski Walczącej” nr inwentarza 1155. O S. Kodziu, por.: S. Legeżyński, *Nekrologia*, [in:] *Literatura Polska na Obczyźnie 1940–1960*. Praca zbiorowa pod red. Tymona Terleckiego T. 2. Londyn 1965, s. 588.

<sup>11</sup> [Ogłoszenie], Dziennik Polski, 30 X 1945.

<sup>12</sup> [Ogłoszenie], Dziennik Polski, 12 IX 1945. Impreza miała miejsce w dwa dni później w Ognisku Polskim, część literacka składała się z *Ballady o Warszawie* Jerzego Brauna, odczytanej przez Miłą Kamińską.

<sup>13</sup> [Ogłoszenia], *Polska Walcząca* 1945 nr 47 (z 1 XII 1945); Dziennik Polski z 6, 11, 13 i 14 XII 1945.

<sup>14</sup> Tekst pt. *Mickiewicz i my*, Wiadomości 1946 nr 3 (z 21 IV 1946), s. 1. Afisz z programem całości zachowany w ATT.

<sup>15</sup> List S. Balińskiego do S. Zahorskiej i T. Terleckiego z 4 kwietnia 1946 roku, [in:] M.E. Cybulska, *Potwierdzone istnienie*. Archiwum Stefani Zahorskiej. Londyn 1988, s. 60.

<sup>16</sup> List T. Terleckiego do T. Korian z 13 czerwca 1945 roku, ATT.

Kunczewiczowa miała wieczór autorski pt. „Dwie Warszawy”, przy współudziale Mili Kamińskiej. Słowo wstępne wygłosił Antoni Bogusławski, a dochód był przeznaczony dla Polaków w Niemczech<sup>17</sup>.

10-tego sierpnia 1945 w Ognisku Polskim przy 45, Belgrave Square PEN-Club zorganizował wieczór poświęcony niedawno zmarłej Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, na którym przemawiali m.in. Stanisław Baliński i Zygmunt Nowakowski. Wiersze poetki odczytała Tola Korian, a przemówienie Tymona Terleckiego pt. „O Marii Pawlikowskiej. (Rzecz czytana w londyńskim PEN-Clubie)” doczekało się kilkakrotnie przedruku<sup>18</sup>.

W kilka tygodni później kolejne zebranie również składało hołd ofiarom wojny. 20 września 1945 w Ognisku Polskim przy Belgrave Square, o godz. 6.15, PEN-Club Polski w Londynie urządził wieczór, poświęcony pisarzom zmarłym w Kraju. Uczestniczyli w nim: Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Wawrzyniec Czereśniewski, Marian Czuchnowski, Zbigniew Grabowski, Wacław Grubiński, Marian Hemar, Zofia Kossak-Szczucka, Mieczysław Lisiewicz, Zygmunt Nowakowski, Andrzej Pomian, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska, Karol Zbyszewski<sup>19</sup>.

Podając listę zmarłych, sprawozdawca prasowy dorzucił też od siebie sporo nazwisk. Referując tę imprezę, pisał m.in., że wieczór „...zamienił się naprawdę w manifestację. PEN-Club ściągnął na tę imprezę imponujące tłumy do sali”. Czytamy dalej:

„Szkice literackie Grabowskiego, Grubińskiego, Nowakowskiego, Pomiana, Tymona Terleckiego, Zahorskiej, Zbyszewskiego oraz utwory poetyckie Balińskiego, Bogusławskiego, Czereśniewskiego, Czuchnowskiego, Hemara i Lisiewicza dały publiczności całość pulsującą życiem, grającą wszystkimi zaletami i blaskami odrębnych talentów autorskich. I ten właśnie element bojowej żywotności był koniecznym i zdrowym akcentem i to było rzeczywiście największą zasługą wieczoru. Umarli przecież nie wracają nigdy — żywi muszą iść dalej!

Wieczór ten zbiegł się również z wydaniem monumentalnej książki pt. *Straty Kultury Polskiej* [...]. Był on żywym uzupełnieniem tej książki... Wieczór ten pokazał również, że ta jedyna w swoim rodzaju publikacja nie powinna zakończyć się na drugim tomie. Powinien wyjść jeszcze 3-ci tom pod tą samą redakcją (Terlecki i Adam Ordega). [...] Zadanie to musi wziąć na siebie PEN-Club Polski w Londynie; społeczeństwo polskie na pewno znajdzie fundusze na wydanie.

Jest to też jeden z rzeczowych wniosków wyciągnięty z wieczoru o klasycznym brzmieniu — *In memoriam* — najlepszego wieczoru literackiego, urządzonego przez PEN w bieżącym roku<sup>20</sup>.

Ale pisarze żyli również współczesnością. Jak gdyby symbolicznie, pod tą samą datą 20 września PEN-Club oraz Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Londynie wystosowały do marszałka Sir B.L. Montgomery’ego depezę podpisaną przez Stefanię Zahorską za

<sup>17</sup> Dziennik Polski z 8 VI 1945.

<sup>18</sup> [Ogłoszenie], Dziennik Polski z 2 VIII 1945; ogłoszenie w „Polsce Walczącej” nr 28 z 14 VII 1945 zaopowiada także udział Mariana Hemara. Tamże również nekrolog Marii z Kossaków Pawlikowskiej. W „Dzienniku Polskim” z 10 VIII zawiadomienie od Męża, że msza św. za duszę Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej odbędzie się w kaplicy St. Paul’s School, Hammersmith. Przemówienie Tymona Terleckiego („Gdy dotykam dziś...”) pt. „O Marii Pawlikowskiej (Rzecz czytana w londyńskim PEN-Clubie)”, Orzeł Biały 1945 nr 37 (172) (z 16 IX 1945) s. 6. Przedruk pt. *Ruina poetyckiego klasycyzmu* [o M. Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej], [in:] *Wiek kłeski. Almanach Historyczno-Literacki*. Londyn, s. 58–61; później, [in:] Maria Pawlikowska, *Ostatnie utwory*. Pod red. Tymona Terleckiego, Londyn 1956; Wyd. II, Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1993.

<sup>19</sup> [Ogłoszenia], Dziennik Polski z 18 IX 1945, 19 IX 1945, 20 IX 1945; Polska Walcząca 1945 nr 36 (z 8 IX 1945). Na afiszu zachowanym w Archiwum T. Terleckiego występują również nazwiska: Maria Kunczewiczowa, Janusz Meissner, Jan Rostworowski, brak tam Zofii Kossak-Szczuckiej. Druk przemówienia Terleckiego pt. *In Memoriam*, W drodze 1946 nr 1 (63) oraz, [in:] *Balast serdeczny. Biblioteka Londyńska*, Londyn 1946.

<sup>20</sup> S. Jazówna, *In memoriam. Na marginesie wieczoru PEN-Klubu polskiego*, Dziennik Polski, 27 IX 1945, s. 3.

PEN-Club Polski i Wacława Grubińskiego za Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Londynie o ułaskawienie Polaków skazanych na śmierć w Paderborn. „Pozostawiamy osądowi Pana wagę ich zbrodni oraz wszystkie okoliczności łagodzące, lata ich młodości, długoletnich cierpień i zadanych im krzywd — prosimy tylko o łaskę w imię humanitarnych ideałów literatury polskiej. Nie chcemy wierzyć, by Polska nie miała już na świecie przyjaciół, lecz tylko wrogów albo sędziów”<sup>21</sup>.

Czy podejrzewano podówczas, że przyszłość Polskiego PEN-Clubu wisi na włosku, że dni jego są policzone? Tak czy inaczej działalność nie ustawała. Ocalały listy Aliny Wierzbiańskiej do Czesława Kaczkowskiego w sprawie organizowania wieczorów literackich<sup>22</sup>, ocalały listy Terleckiego do Herminii Naglerowej nt. PEN-Clubu we Francji<sup>23</sup>, i do Kazimierza Wierzyńskiego nt. PEN-Clubu w Rzymie i Paryżu<sup>24</sup>. Jako sekretarz Polskiego PEN-Clubu w Londynie Wiktor Weintraub pisał do Kazimierza Wierzyńskiego z gratulacjami z powodu organizacji w Nowym Jorku PEN-Clubu za granicą<sup>25</sup>. Na jesieni 1945 roku Herminia Naglerowa pisała do Tymona Terleckiego z Włoch z prośbą o statut PEN<sup>26</sup>, w parę miesięcy później znowu zwróciła się do niego: „Nasze sprawy penklubowe już Was pewnie doszły, bo Grudziński je wysłał. Czy odniesie to jakiś skutek, zobaczymy. Byłoby dobrze, gdyby się Wam udało poprzeć nasz punkt widzenia”<sup>27</sup>. Chodziło jej o założenie włoskiej sekcji polskiego PEN-u<sup>28</sup>.

Na wiosnę 1946 roku odbył się w Rzymie zjazd pisarzy polskich z terenu Włoch w celu utworzenia sekcji włoskiej PEN-Clubu Polskiego w Londynie. Zjazd poprzedzony został wieczorem autorskim pisarzy 2. Korpusu, który zgromadził w jednej z rzymskich sal odczytowych kilkuset słuchaczy. W dyskusji poruszono „wiele ważnych zagadnień z zakresu życia literackiego we Włoszech. Szczególnie żywo dyskutowane były sprawy utworzenia pisma literackiego, wieczorów dyskusyjnych i literackich oraz stałych wieczorów autorskich [...]”<sup>29</sup>.

Uchwały, jakie zapadły na pierwszym organizacyjnym zgromadzeniu w sekcji włoskiej PEN-Clubu Polskiego w Londynie przyjęto przez aklamację. Stwierdzały m.in.:

„Dopóki Polska nie odzyska niepodległości jedynie pisarze na obczyźnie mają możliwość swobodnej wypowiedzi, władze naczelne PEN-Clubu polskiego nie mogą mieć siedziby w Kraju. Dlatego za prawną władzę PEN-Clubu uznajemy Zarząd Centralny w Londynie i jemu organizacyjnie podporządkowujemy Oddział we Włoszech.

Wierzimy, że pisarze polscy gdziekolwiek piszą i mimo najtrudniejszych warunków, wszędzie iść będą drogą odziedziczoną po wielkiej literaturze polskiej, nie tracąc z oczu naczelnego celu — walki o niepodległość i obrony godności człowieka.

Polscy pisarze, zgrupowani w sekcji włoskiej PEN-Clubu zwracają się z pozdrowieniem do pisarzy kraju, o którego wolność mieli zaszczyt walczyć i w którym obecnie znajdują gościnę. Pisarze polscy wyrażają pewność, że pomiędzy nimi i ich kolegami włoskimi wywiąże się twórcza współpraca, czerpiąca siły ze wspólnej kultury śródziemnomorskiej, z tradycji walk o niepodległość, nienawiści do przemocy i wspólnego poszanowania wolności jednostki”<sup>30</sup>.

<sup>21</sup> Dziennik Polski, 24 IX 1945.

<sup>22</sup> List A. Wierzbiańskiej do Cz. Kaczkowskiego z 27 października 1945 roku. Archiwum Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn (dalej: AZPPnO).

<sup>23</sup> List bez daty T. Terleckiego do H. Naglerowej, *ibid.*

<sup>24</sup> List T. Terleckiego do K. Wierzyńskiego z 1 kwietnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>25</sup> List W. Weintrauba do K. Wierzyńskiego z 5 kwietnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>26</sup> List H. Naglerowej do T. Terleckiego z 2 października 1945 roku, *ibid.*

<sup>27</sup> List H. Naglerowej do T. Terleckiego z 16 grudnia 1945 roku, *ibid.*

<sup>28</sup> Por. list G. Herlinga-Grudzińskiego z 25 marca 1946 roku, *ibid.*

<sup>29</sup> Gazeta Żołnierza, 6 IV 1946. Cyt. za: Dziennik Polski, 26 IV 1946, s. 2.

<sup>30</sup> *Ibid.*

Ukonstytuował się Zarząd: prezes — Gustaw Morcinek, wiceprezes Herminia Naglerowa, członkowie Zarządu: Jan Bielatowicz, Wiesław Wohnout, sekretarz: Gustaw Herling-Grudziński.

Jak było już powszechnie wiadomo, w czerwcu miał się odbyć zjazd PEN-Clubów w Sztokholmie, na który wybierała się delegacja krajowa z Janem Parandowskim. Baliński uważał Parandowskiego „za głównego oponenta, tworzącego sytuację jakże wygodną dla «ostrożnych», a więc dla większości czynnych «penclubowiczów» świata”<sup>31</sup>. Proponował więc „zwołanie Zarządu, omówienie Kongresu w Sztokholmie i naszego, choćby minimalnego wkładu, dobranie nowych ludzi i wybór nowego przewodniczącego do spraw kontaktów zagranicznych. Przy czym proponuję Marię Kuncewiczową, która w maju będzie w Londynie”<sup>32</sup>.

Ożywiła się natychmiast korespondencja pomiędzy polskim Londynem a Polakami we Włoszech nt. zjazdu w Sztokholmie. Terlecki napisał do Józefa Czapskiego w sprawie przedstawicielstwa polskiego<sup>33</sup>. Józef Czapski odmówił udziału w konferencji<sup>34</sup>, a po próbie Zaleskiej przekonywania go na wyjazd do Sztokholmu<sup>35</sup>, zaproponował kontrkandydatury Melchiora Wańkowicza, Naglerowej i Herlinga-Grudzińskiego<sup>36</sup>. Terlecki tymczasem pisał do Herlinga-Grudzińskiego nt. propagowania sprawy Polskiego PEN-Clubu w Sztokholmie<sup>37</sup>, o delegowaniu do Sztokholmu Naglerowej, Wańkowicza i samego Herlinga<sup>38</sup>, prosił też o skontaktowanie się z Wańkowiczem w sprawie Kongresu<sup>39</sup>. Krążyły *aide-mémoire*'y. Herling-Grudziński odpisał Terleckiemu żeby wyjaśnić trudności wizyjowe wyjazdowe we Włoszech i obojętności pisarzy włoskich dla sprawy polskiej<sup>40</sup>.

Mimo że mnożyły się kłopoty, życie kulturalne Polaków nad Tamizą toczyło się dalej. W kwietniu w londyńskim Ognisku Polskim przy 55, Exhibition Road, PEN-Club Polski zorganizował odczyt zbiorowy „na wszystkie istotne i aktualne zagadnienia naszego czasu” pt. „W obliczu chwili”. Udział brali: Antoni Bogusławski, Marian Hemar, Andrzej Pomian, Stanisław Stroński, Tymon Terlecki i Stefania Zahorska. Przewodniczył Stanisław Baliński. Antoni Bogusławski omówił sprawę narodu i narodowości w ówczesnym układzie rzeczy, Stanisław Stroński przemówił o tendencji organizacji świata w związku wyższego rzędu, jak federacje regionalne, kontynenty czy państwo światowe, Tymon Terlecki poruszył zagadnienie kryzysu kultury współczesnej. Stefania Zahorska zarysowała problematykę moralną, a Andrzej Pomian problematykę społeczną, Hemar miał ukazać przeciwieństwa zachodzące między totalizmem, a wolnością jednostki<sup>41</sup>.

Wyżej opisany maraton nie okazał się jeszcze podzwonnym. Miesiąc później, we wtorek 21 maja 1946 roku w sali bibliotecznej Ogniska Polskiego na pierwszym piętrze o godz. 5.30 odbyło się Nadzwyczajne Walne zebranie PEN-Clubu Polskiego w Londy-

---

<sup>31</sup> Z osobą Parandowskiego, którego znał jeszcze z czasów debiutu na łamach „Słowa Polskiego” we Lwowie na początku lat 30-tych, Terlecki wiązał jakieś nadzieje, które zostały potem pokrzyżowane. „[...] poruszyłem sprawę Parandowskiego — jest zagwoźdzona beznadziejnie [...]” — list T. Terleckiego do T. Koriana z 22 sierpnia 1946 roku, ATT.

<sup>32</sup> List S. Balińskiego do S. Zahorskiej i T. Terleckiego z 4 kwietnia 1946 roku, [in:] M.E. Cybulska *Potwierdzone istnienie*, s. 60.

<sup>33</sup> List bez daty w AZPPnO.

<sup>34</sup> List z 8 kwietnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>35</sup> List z 12 kwietnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>36</sup> List z 17 kwietnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>37</sup> List z 16 maja 1946 roku, *ibid.*

<sup>38</sup> List bez daty, *ibid.*

<sup>39</sup> List bez daty, *ibid.*

<sup>40</sup> List z 20 maja 1946 roku, *ibid.*

<sup>41</sup> [Ogłoszenia], *Dziennik Polski*, 3 IV, 5 IV, 6 IV i 8 IV 1946.

nie<sup>42</sup>. Tymczasem polscy pisarze we Włoszech walczyli jak mogli o rację bytu na forum międzynarodowym. Ale, jak pisał potem Herling-Grudziński, „sprawa wysłania delegata do Sztokholmu przybrała w ostatniej chwili bardzo zły obrót, i p. Wiesław Wohnout, który miał nas na Kongresie reprezentować otrzymał ostatecznie odpowiedź odmowną od Poselstwa Szwedzkiego”. Donosił dalej:

„W tym stanie rzeczy jedyną rzeczą, jaką mogłem być jeszcze uczynić było wysłanie Waszego memoriału francuskiego do trzech najpoważniejszych kandydatów włoskich na Kongres Sztokholmski. Otrzymali go: Ignazio Silone, Corrado Alvaro, Mario Vinciguerra. Proszę bardzo o przysłanie nam protokołu obrad kongresowych (możliwie pełnego) zaraz po jego otrzymaniu. Chcielibyśmy się zorientować jak się w Sztokholmie zachowali nasi Włosi”<sup>43</sup>.

Nazajutrz po napisaniu tego listu przez Herlinga-Grudzińskiego, „Dziennik Polski” w Londynie referował dość szczegółowo przebieg obrad w Sztokholmie, gdzie „...dn. 3 czerwca został otwarty uroczystie przez księcia następcę tronu zjazd PEN-Clubu. PEN-Club warszawski reprezentowali Jan Parandowski, Waław Rogowicz i Antoni Słonimski. W kularach zjazdu, jak donosi «Svenska Dagbladet», omawiano sprawę PEN-Clubu w Londynie. Wysłano propozycję, by PEN-Club Polski w Londynie stanowił oddzielne stowarzyszenie. Komitet wykonawczy PEN-Clubu ustosunkował się negatywnie do tego wniosku, motywując to, że «i inne stowarzyszenia przebywające na emigracji zechciałyby to naśladować» oraz że «stanowisko PEN nie pozwala, by jeden kraj był reprezentowany przez dwa kluby, oraz że jest przeciwne wszelkim Penklubom emigracyjnym». Komitet wysuwa projekt, by dany kraj, w którym znajdują się cudzoziemcy-członkowie klubu, pozostający na emigracji, przyjmował ich do własnego PEN-Clubu. Lecz i ten projekt spotkał się ze sprzeciwem. Delegat angielski, przywódca liberałów, Lord Samuel, oświadczył, że nie zastanawiał się jeszcze nad sprawą polskiego PEN-u, która dopiero teraz została wysunięta. Zaznaczył jednak w rozmowie z korespondentem «Svenska Dagbladet», że w zasadzie jest przeciwny projektowi utworzenia różnych PEN-Clubów tych samych krajów pokłóconych ze sobą”<sup>44</sup>.

Koniec końców „PEN-Club Międzynarodowy” odmówił uznania „PEN-Clubowi Polskiemu” poza Krajem, uznał bowiem za swój oddział Polski PEN-Club w Kraju, zgodnie ze statutem, o czym sekretarz M.P.Cl. zawiadomił oddział w Londynie.

Nie przeszkadzało to oczywiście Stowarzyszeniu w prowadzeniu programu artystycznego i wydawniczego. Tego lata Terlecki pracował nad wydawnictwami Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, kończył rewizję Wierzyńskiego (*Krzyże i miecze*), dobierał okładki do Prusa (*Nowele warszawskie*), Hemara (*Lata londyńskie*)<sup>45</sup>. Te trzy pozycje wraz z *Poezjami wybranymi* Mickiewicza ukazały się jeszcze w r. 1946. W lecie też Stowarzyszenie urządziło w Ognisku cykl odczytów dla Zygmunta Nowakowskiego pod ogólną nazwą „Melpomena w negliżu”, m.in. „Teatr jako instynkt” i „Społeczeństwo aktorskie”.

Do ostatniego Walnego Zebrania Polskiego PEN-Clubu doszło dopiero 31 lipca 1946 roku, prawie w dwa miesiące po cofnięciu uznania. Jak wkrótce podała polska prasa nad

<sup>42</sup> W ogłoszeniu w „Dzienniku Polskim” z 17 V 1946 czytamy, że „Członkowie, którzy nie będą mogli uczestniczyć w Zebraniu, proszeni są o przesłanie aktualnych adresów do sekretariatu: 37, Clarendon Drive, London SW15. Pod tym adresem Tola Korian prowadziła kartotekę członków.

<sup>43</sup> List G. Herlinga-Grudzińskiego do S. Balińskiego z 11 czerwca 1946 roku, w którym m.in. pisze „Jak już doniosłem p. Terleckiemu”. List ten albo nie doszedł, albo nie zachował się. W listach G. Herlinga-Grudzińskiego do T. Terleckiego z 4 marca 1946, 30 maja 1946 i 4 września 1946 roku nie ma wzmianki o PEN-Clubie.

<sup>44</sup> Dziennik Polski, 12 VI 1946.

<sup>45</sup> Listy T. Terleckiego do T. Korian z 6, 9, 12 czerwca 1946 roku, ATT. Nakład Prusa kosztował £420 za 2 tys. egzemplarzy, Wierzyńskiego — £140 za 2 tys.

Tamizą, Oddział Polski w Londynie uznał, że zakończył swą działalność, a pisarze polscy w Londynie przystąpili do zakładania nowego zrzeszenia. Słowa jednego z naocznych świadków, zebranie likwidacyjne PEN-Clubu było „...nieprawdopodobnie chaotyczne, męczące, nudne. Kaczkowski miał znowu napad histeryczny gorszy, niż za poprzednim razem — zupełna patologia. Kolację jadłem z Gackim i Pomianem w Ognisku”<sup>46</sup>. W następnym liście czytamy: „Zebranie śródowe, o które pytasz, było szczytem nieprzygotowania i nieporządku. Nie próbowałem temu przeciwdziałać, bo czułem się tak, że mi było wszystko jedno. 2 1/2 godziny zeszło na chaotycznym, bezsensownym gadaniu. Gacki szalał do mnie na temat społecznego niewychowania pisarzy — też zrobił odkrycie!”<sup>47</sup>

W każdym bądź razie 8 sierpnia 1946 „...zebranie organizacyjne nowego Związku poszło gładko. Stroński w takich okazjach jest niezawodny”<sup>48</sup>. Zebranie założycielskie, czyli zebranie konstytucyjne nowego związku, miało się odbyć w tydzień później. W związku z tym trzeba było zajrzeć do starych papierów PEN-Clubowskich, znaleźć statut, spis członków itp.<sup>49</sup> W ten sposób na zebraniu 15 sierpnia 1946 r. powołano do życia Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, uchwalając statut i wybierając władze związku. Wybór Strońskiego na prezesa nie był z góry przesądzony, nie odbyło się przy tym bez konfliktu i starcia ze strony innych członków, gdyż „wybraliśmy po ostrych targach Strońskiego prezesem nowego związku”, a „natychmiast potem Zah[orska] popadła w desperację, że wmotaliśmy się w endecką i «faszystowską» aferę. Czort ją bierz! — jak mawia Pomian”<sup>50</sup>. Wtedy to nowy prezes „opracował statut — wzruszający dokument ścisłości, zwięzłości i prostoty”<sup>51</sup>.

Pierwsze zebranie Zarządu w składzie: Przewodniczący St. Stroński, zast. przew. St. Baliński, sekr. S. Gacki, K. Wierzyński (St. Zj. Am.), G. Morcinek (Belgia), H. Naglerowa (Włochy), A. Bogusławski, J. Kisielewski, A. Piskor, T. Terlecki, S. Zahorska, odbyło się równo w tydzień później<sup>52</sup>. Nowy Związek uporządkował kartotekę członków, pewnie na podstawie spisu członków byłego PEN-Clubu. Łącznie zrzeszył ich blisko 80-ciu. Wedle Stefana Legeżyńskiego, „Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie” składał się z byłych członków „PEN-Clubu Polskiego” oraz pewnej liczby publicystów, którzy wstąpili do organizacji dopiero w 1946 roku lub później”. W związku z tym warto odnotować jego określenie, że „Założycielami Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie byli automatycznie wszyscy członkowie PEN-Clubu Polskiego, a szczególnie ci, którzy zasiadają we władzach Związku”<sup>53</sup>. W oczach współczesnych Związek uchodził widocznie za kontynuatora PEN-Clubu, skoro sprawozdawca „Dziennika Polskiego” nazywa go w nawiasie „dawny Polski PEN-Club w Londynie”<sup>54</sup>.

Maria Danilewiczowa napisała, że „planowano stworzenie organizacji o zasięgu światowym z Wierzyńskim jako superprezesem; sprzeciwili się temu zwolennicy szybkiej akcji (ze Strońskim na czele), obawiający się trudności porozumiewania się na odle-

<sup>46</sup> List T. Terleckiego do T. Korian z 1 sierpnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>47</sup> List T. Terleckiego do T. Korian z 2 sierpnia 1946 roku, *ibid.* W liście od T. Korian do T. Terleckiego z datą 31 lipca 1946 roku: „Jak się powiodło dzisiejsze Walne Zebranie?”

<sup>48</sup> List T. Terleckiego do T. Korian z 10 sierpnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>49</sup> „W związku z tym stwierdziłem bałagan w papierach pani sekretarki: nie mogłem znaleźć ani statutu, ani spisu członków, według którego wysyłałaś ostatnie zaproszenia. W ogóle Twój system kancelaryjny jest do luftu.” *Ibid.*

<sup>50</sup> List T. Terleckiego do T. Korian z 18 sierpnia 1946 roku; zob. również list z 15 sierpnia 1946 roku, *ibid.*

<sup>51</sup> T. Terlecki, *Stanisław Stroński — pisarz i działacz*, *Ostatnie Wiadomości* (Mannheim), 4 XII 1955.

<sup>52</sup> „Myślę o tym z przykrością. Wystarczy mi Stowarzyszenie, gdzie atmosfera przykra, jak nigdy [...]”

List T. Terleckiego do T. Korian z 22 sierpnia 1946 roku, ATT.

<sup>53</sup> Na podstawie „Biuletynu Związku”.

<sup>54</sup> Notatka pt. *Mysłq w Ojczyźnie*, *Dziennik Polski*, 6 XI 1946 z podpisem S.S.K.

głość w okresie, gdy wypadki toczyły się szybko. Było to o tyle słuszne, że już w pierwszych tygodniach istnienia Związku usiłowali podważyć jego istnienie wysłannicy z Kraju, np. Jerzy Borejsza, prowadzący dramatyczne pertraktacje z niezdecydowanymi i namawiający do powrotu obietnicami błyskawicznych karier w wielkich nakładach<sup>55</sup>. Dalej czytamy: „Z wczesnego okresu, jesieni 1945 r., [prawdopodobniej r. 1946] pamiętam zebranie informacyjne, na którym Zofia Kossak naiwnie, choć zapewne szczerze wzywała do powrotu na ojczyste łąny (...)”<sup>56</sup>.

W dwa miesiące po założeniu, 30 października 1946 o godz. 6.15 w Ognisku Polskim, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządził swój pierwszy wieczór zbiorowy pt. „Myślą w Ojczyźnie”. Tego wieczoru na usilną prośbę Terleckiego Marian Hemar zgodził się nie dać spektaklu kabaretowego i sam brał udział w otwarciu nowej organizacji<sup>57</sup>. Prócz Hemara uczestniczyli w nim poeci: Stanisław Baliński (wiersz o Ziemi Nowogrodzkiej), Antoni Bogusławski, Marian Czuchnowski i Ryszard Kiersnowski. Prozę reprezentowali Zygmunt Nowakowski, Maria Kuncewiczowa (fragment powieści czytany przez Hemara), Wacław Grubiński („pełne wdzięku dygresje”), Michał Pawlikowski (uwagi o charakterze historiozoficznym), Stefania Zahorska (rozważania nt. przemian które zaszły w wyniku wojny), Józef Kisielewski (studium o postawie moralnej wobec polskiej rzeczywistości) i Tymon Terlecki (fragment „poważnej rozprawy o emigracji z 1945 r., stawiającej szereg zasadniczych tez o zadaniach Kraju i emigracji”)<sup>58</sup>. Kolejny wieczór pt. „Wspomnienia z wojny” odbył się tuż przed świętami do spółki ze Związkiem Dziennikarzy RP. Udział brali admirał Józef Unrug, Stanisław Kopański, Zygmunt Bohusz-Szysko, Tadeusz Bór-Komorowski, płk A. Gabszewicz i gen. Władysław Anders<sup>59</sup>.

Do dalszej działalności Związku Pisarzy Polskich wróć przy innej sposobności, jest to bowiem temat do monografii. Za to tzw. „Komitet Organizacyjny” jestem już teraz skłonna włożyć między bajki, przynajmniej dopóki nie znajdę dokumentów potwierdzających. Na tle bujnego — jak na owe czasy — życia literackiego, przybiera on postać coraz bardziej widmową, jeśli nie wręcz widzimisiową. Podówczas, gdy prasa tego okresu pełna jest informacji o „Żywych Dziennikach”, o kabaretach lwowskich, o akademiach, o Komitecie wciąż głucho.

Skupię się tymczasem na znacznie krótszej, dającej się ująć w rozmiarach jednego artykułu, biografii Stowarzyszenia, które prowadziło przez cały ten okres dość intensywną działalność. Ponieważ troje pisarzy (Baliński, Terlecki, Zahorska) było w Zarządzie obu organizacji, posiedzenia odbywały się co tydzień, w dzień przed czy po spotkaniach Związku. W siedzibie Stowarzyszenia przy 86 Avenue Road, N.W.3. dokonano 27 września 1946 otwarcia Czytelni Pism Polskich i Angielskich<sup>60</sup>. Walne zgromadzenie ustalono na 2 listopada 1946 z udziałem Marii Danilewiczowej, Detki i Antoniego Bogusławskiego. Zaczęła się rozwijać działalność w innych krajach. Jak donosi „Dziennik Polski” z 11 listopada 1946 w Eppstein odbyło się inauguracyjne posiedzenie Koła Organizacyjnego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Niemczech, utworzonego przy ZASP w Niemczech. „Naczelnym zadaniem Koła jest przegląd dorobku literackiego pisarzy polskich w Niemczech, opieka nad twórczością pisarzy i rejestracja pism polskich w Niemczech”<sup>61</sup>.

<sup>55</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*. Wrocław 1992, s. 137.

<sup>56</sup> Ibid.

<sup>57</sup> List M. Hemara do T. Terleckiego, ATT.

<sup>58</sup> Notatka pt. *Myślą w Ojczyźnie*.

<sup>59</sup> [Ogłoszenie], *Dziennik Polski*, 17 XII 1946.

<sup>60</sup> [Notatka], *Dziennik Polski*, 25 IX 1946.

<sup>61</sup> [Notatka], *Dziennik Polski* z 13 XI 1946.

Przystąpiono również do zorganizowania kolejnego cyklu prelekcji. Otrzymałszy od Balińskiego „długi elaborat z podaniem nazwisk prelegentów i planem działania”, Zahorska miała się zająć ustaleniem z prelegentami dat, wynajęciem sali, przygotowaniem ogłoszeń i wysłaniem zaproszeń (...) <sup>62</sup>. Nowy cykl prelekcji nosił ogólny tytuł „Polska między Zachodem a Wschodem”. Wstęp wynosił 2/6, dla szeregowych w mundurach 1/6 <sup>63</sup>. 20 listopada 1946 Tymon Terlecki wygłosił pierwszy odczyt pt. „Polska a Zachód” w Ognisku. Potem regularnie co tydzień referowali: Stanisław Stroński („Powiew romański”), Zbigniew Grabowski („Polska wobec Niemiec — wobec Anglii”), Wacław Zbyszewski („Polska a świat katolicki”). Ostatni referat przed przerwą świąteczną miał Stanisław Swianiewicz — „Między myślą społeczną Rosji a Zachodu”. Przed rozstaniem się na Boże Narodzenie urządzono 21 grudnia 1946 koncert kolędowy z udziałem Toli Korian. Po krótkiej przerwie noworocznej Tadeusz Sulimirski mówił o „Kulturze pra-Słowian”, Marian Czuchnowski o „Współczesnej kulturze chłopskiej”, Adam Pragier o „Romantyzmie i pozytywizmie”. W maju 1947 roku pod przewodnictwem Tymona Terleckiego Stowarzyszenie urządziło odczyt zbiorowy w sali Ogniska pn. „Rola inteligencji”. Historię inteligencji polskiej, jej funkcję polityczną i społeczną, jej rolę terażniejszą i przyszłą, omawiali prelegenci: Zbigniew Jordan, gen. Marian Kukiel, prof. Stanisław Sukiennicki, Jan Ulatowski i Wiktor Weintraub <sup>64</sup>.

\*\*\*

Nawiązując do wspomnień z życia literackiego na londyńskim bruku Maria Kuncewiczowa pisze w *Fantomach* (s. 209–210): „odrzuciłam ofertę prezesury alternatywnego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich”. Maria Danilewiczowa i Terlecki ostro zareagowali na tę wypowiedź twierdząc, że nikt jej tej prezesury nie oferował <sup>65</sup>. Określenie Stowarzyszenia jako „alternatywne” jest gołosłowne. Z biegiem lat zatarła się pamięć o nim, a z odległości pół wieku jego istnienie zdaje się anomalią lub egzotyką <sup>66</sup>. Faktem jest, że jego powstanie wyprzedziło powstanie Związku o rok. Jego członkowie weszli zupełnie normalnie potem do Związku, byli we władzach tego Związku. Założenie nowego Związku jako spadkobiercy PEN-Clubu bynajmniej nie zagrażało istnieniu Stowarzyszenia, które podówczas jeszcze prowadziło bogaty program imprez literacko-artystycznych. Przeszkadzało tylko — nazewnictwo, nawet dla ówczesnych myślących, jak wynika z listu Kazimierza Wierzyńskiego, przedstawiciela Zarządu Związku Pisarzy w Stanach Zjednoczonych: „Nie orientowałem się, że Stowarzyszenie Pisarzy to co innego, niż Związek, i dopiero Naglerowa otworzyła mi na to oczy” <sup>67</sup>. Problem konkurencji nie wchodził w grę. Po naszkicowaniu projektu wieczorów autorskich, Zahorska pisała: „Wieczory Związku nie wydają mi się przeszkodą w naszej imprezie, która miałaby bardziej kameralny i poważniejszy charakter” <sup>68</sup>.

Jeśli wierzyć Tadeuszowi Sułkowskiemu, wodzirejem całej nowej inicjatywy był Terlecki. W listach do Wacława Iwaniuka opisał program imprez z początku 1949 r. „Organizuje to tym razem Stowarzyszenie Pisarzy. Występy odbywać się będą co dwa tygodnie parami: prozaik i poeta. Są już skojarzone cztery takie pary: [...] ja z Naglerową,

<sup>62</sup> List S. Balińskiego do T. Terleckiego z 16 września 1946 roku, ATT.

<sup>63</sup> Dziennik Polski, 14 XI, 15 XI 1946.

<sup>64</sup> [Ogłoszenie], Dziennik Polski, 24 V 1947.

<sup>65</sup> Notesik T. Terleckiego pod datą 12 VI 1972, ATT.

<sup>66</sup> Por. P. Kądziała, *Instytucje polskiego życia kulturalnego w Londynie*, [in:] *Warszawa nad Tamizą. Z dziejów polskiej emigracji politycznej po drugiej wojnie światowej*. Pod red. Andrzeja Friszke. Warszawa 1994, s. 144–145.

<sup>67</sup> List K. Wierzyńskiego do T. Terleckiego z 25 lipca 1948 roku, ATT.

<sup>68</sup> List S. Zahorskiej do T. Terleckiego z 24 października 1948 roku, *ibid.*



Baliński z Terleckim i Kuszelewska z Bogusławskim (cudowna jest ta ostatnia para). [...] Zdaje się, że oprócz Naglerowej nikt nie może wykrzesać w sobie entuzjazmu — ciekawe czy dopisze sala, bo na ogół na takie szopy ludzie walą jak do cyrku. Chcą, rozumiesz, na własne oczy ujrzeć «nieśmiertelnych»<sup>69</sup>.

Na pierwszym wieczorze właściwie „Publika nie dopisała, ale to wcale nie wadziło. Gorzej, że fragment Zahorskiej był rozpaczliwy, Kazimierz wypadł wdzięcznie. Zelwerowiczówna dość (czytała wiersze Norwida)...<sup>70</sup> W dwa tygodnie później autorski wieczór Sułkowskiego z Naglerową bardziej się udał. „Ludzi było ku naszemu zdumieniu sporo, podobno oboje dobrze się spisaliśmy”<sup>71</sup>. Do programu wieczoru Antoniego Bogusławskiego i Stanisławy Kuszelewskiej włączono nowele Marii Dąbrowskiej, chyba jedynej pisarki krajowej mającej wówczas prawo bytu na wieczorach polskiego Londynu. Mimo pewnych zastrzeżeń te imprezy miały swoje usprawiedliwienie. Oddajemy głos recenzentowi „Dziennika Polskiego”:

„Przedstawiając obu autorów publiczności, dr Tymon Terlecki ujął z najślusniejszego może punktu widzenia cele pisarstwa polskiego na emigracji: nie wolno pisać w Polsce tak jak Naglerowa, bo temat, który obrała sobie [mowa o fragmencie powieści *Sprawa Józefa Mosta* — NT] prowadzi prosto do więzienia «Bezpieki», nie wolno też pisać tak jak Sułkowski, bo czysta poezja, oderwana od życia sztuka, zostały w jeszcze surowszy może sposób postawione za żelazną kurtyną na indeksie”<sup>72</sup>.

Wieczory Stowarzyszenia dostarczały pisarzom swoistego dopingu, zmobilizowały do pisania w sytuacji, gdy o wydawcę było szczególnie trudno. Wedle świadectwa Sułkowskiego: „Swoją drogą takie wieczory dodają ludziom trochę gazu — Sowiński np. częściej stuka na maszynie, przepisuje swoją powieść, której nie znam, i uczciwiej myśli o robocie nad dramatem, którego I akt jest piękny”<sup>73</sup>. Niejeden utwór literacki zawdzięcza — jeśli nie koncepcję lub narodziny, to przynajmniej dalszy rozwój — dorastanie, dojrzewanie, szlif, druk w prasie literackiej, czasem wcielenie książkowe — właśnie tym imprezom. Na tym forum m.in. Baliński czytał swoje przekłady Keatsa, które doczekały się druku książkowego w wydawnictwie Stowarzyszenia. W tamtych latach lokal Ogniska Polskiego służył za salę położniczą żywych tekstów.

Placówka była statutowo wydawnicza. Pierwsze pozycje książkowe ukazały się jesienią 1946 roku — Adama Mickiewicza *Poezje wybrane* z przedmową Jana Lechonia w wyborze Wiktora Weintrauba, Bolesława Prusa *Nowele warszawskie* z przedmową Wacława Grubińskiego, w wyborze i z posłowiem Marii Danilewiczowej, Kazimierza Wierzyńskiego *Krzyże i miecze* oraz Mariana Hemara *Lata londyńskie*. W sumie Stowarzyszenie miało wydać około 15 pozycji. Kierownikiem wydawnictw był Tymon Terlecki. Jak sam przyznał, „...w zespole Stowarzyszenia Pisarzy prowadziłem agendy wydawnicze i byłem akuszerem, a później niańką wszystkich dwunastu książek które ukazały się z jego znakiem”<sup>74</sup>.

Zespół nie mógł jednak funkcjonować bez dysonansów i zgrzytów. Nie wszystko o czym głośno marzono dochodziło do skutku, nie każda inicjatywa zaowocowała, żeby przytoczyć chociażby zapowiedź powieści Stefani Zahorskiej pt. *Noc sędziego Jefferso-*

<sup>69</sup> List T. Sułkowskiego do W. Iwaniuka z 20 stycznia 1949 roku, ogłoszony w szkicu Iwaniuka *Poeta — przyjaciel*, [in:] *O Tadeuszu Sułkowskim*. Pod red. Kazimierza Sowińskiego i Tymona Terleckiego. Londyn 1967, s. 125.

<sup>70</sup> List T. Sułkowskiego do W. Iwaniuka z 25 stycznia 1949 roku, *ibid.*, s. 126.

<sup>71</sup> List T. Sułkowskiego do W. Iwaniuka z 11 stycznia 1949 roku, *ibid.*, s. 128.

<sup>72</sup> (ad), *Wieczór autorski. Powieść H. Naglerowej i wiersze Sułkowskiego*, *Dziennik Polski*, 10 II 1949.

<sup>73</sup> List T. Sułkowskiego do W. Iwaniuka z 11 lutego 1949 roku, W. Iwaniuk, *Poeta...*, s. 128. Dramat pt. *Dzień Dominika. Sztuka w 3 aktach*, wystawiony w Londynie w 1955 r., wydany tamże w 1958 r., doczekał się nagrody literackiej AK.

<sup>74</sup> T. Terlecki, *Intelekt i pasja*, *Wiadomości* 1961 nr 803, s. 2.

na<sup>75</sup>, wstęp do której pt. „Wieczór” przeczytała autorka na wieczorze w Ognisku Polskim. Zdarzało się też, że u któregoś z członków Zarządu maszynopisy przeleżały z rok bez odpowiedzi. Kiedy rozważano możliwość drukowania jednej z powieści Naglerowej, spory wybuchały w Zarządzie<sup>76</sup>.

Nawet w gronie oświeconych trzeba było wojować o książkę. W wiele lat później miał wspomnieć Grubiński, że jego książka wspomnień z Gułagu pt. *Między młotem a sierpem* „ujrzała farbę drukarską dzięki Pańskiemu uporowi w Zarządzie SPP”<sup>77</sup>, czyli dzięki temu co Naglerowa nazywała „Pana Tymona zaciekle walka z Ciemnogrodem”. Książka Grubińskiego zawdzięcza również swój ostateczny kształt ingerencji redaktorskiej: duże cięcia w tekście, rozbitcie na pomniejszych rozdziały, usunięcie pewnej gadatliwej frywolności itp. Na czym polegała praca „niańki” można się przekonać na podstawie paru luźnych kartek z maszynopisu, zachowanych w archiwum Terleckiego.

Bielatowicz napisał, że Stowarzyszenie otrzymaną sumę podzieliło głównie między swoich członków, powierzając im wydanie już to prac własnych, już to opracowanie wybranych klasyków. Przyznał jednak, że wśród pozycji wydawniczych Stowarzyszenia znajduje się kilka cennych dzieł St. Balińskiego, W. Grubińskiego, M. Hemara, K. Wierzyńskiego i in.<sup>78</sup> Poza już wymienionymi pozycjami Stowarzyszenie wydało także następujące tytuły: Bolesław Leśmian *Łąka i Traktat o poezji*; Stanisław Baliński *Wiersze zebrane 1927–1947*; Wacław Grubiński *O literaturze i literatach*; Antoni Bogusławski *Struny na drzewach* (poezje); *Literatura a polityka. Wolne opinie* (Stefan Gacki, Józef Kisielewski, Wacław Grubiński, Marian Emil Rojek, Wiktor Sukiennicki, Tymon Terlecki, Jan Ulatowski i Stefania Zahorska). Pozycja ta zawierała teksty wygłoszone na wieczorze Związku zorganizowanym pod przewodnictwem Strońskiego w ramach prowadzonej przez „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” akcji pomocy powodzianom w Polsce<sup>79</sup>.

Terlecki napisał przedmowę do Ignacego Wieniewskiego *Powrót na Via Appia. Studia i szkice* (1951) i do Jana Lechonia *Karmazynowy poemat*. Opracował wybór publicystyki Adama Mickiewicza *Słowa do emigracji i słowa do Europy* i jako książkę już autorską oddał w ręce czytelników *Polska a Zachód. Próba syntezy*, książkę tematycznie blisko związaną z cyklem odczytów zorganizowanym na samym początku istnienia Stowarzyszenia. Baliński miał jeszcze przygotować do druku wybór *Listy do Kraju Juliusza Słowackiego*, a Marian Hemar jego *Wiersze polityczne*.

Na podstawie korespondencji tego okresu można uzmysłwić sobie nastrój panujący w gronie zrzeszonych literatów. Sądząc z dość licznych napomknien wolno wywnioskować, że życie Stowarzyszenia toczyło się burzliwie. Jak wynika z listu Terleckiego do Antoniego Bogusławskiego, Baliński oskarżył go o „terror”. „Uogólnienie słowem «terror» (z mojej strony) czteroletniego udziału w Zarządzie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich jest równie dowolne jak poprzednie «fakty». Wątpię, czy to określenie obejmuje np. także dwanaście wydanych przeze mnie, wyłącznie przeze mnie, książek Stowarzyszenia (są wśród nich i *Wiersze zebrane* p. Balińskiego). [...] Na tle tej różnicy zdań wyszedłem z Zarządu Stowarzyszenia (...)”<sup>80</sup>. Czyżby inni członkowie Zarządu czuli się dotknięci tą działalnością? Stanisław Baliński usprawiedliwiał się, powołując na „psychopatyczne”

<sup>75</sup> Ibid.

<sup>76</sup> List H. Naglerowej do W. Grubińskiego z 9 stycznia 1951 roku, ATT.

<sup>77</sup> List W. Grubińskiego do T. Terleckiego z 4 maja 1962, ibid.

<sup>78</sup> J. Bielatowicz, *Firmament emigracyjnej literatury*, Ostatnie Wiadomości 1952 nr 22, s. 3.

<sup>79</sup> Dziennik Polski, 8 IV, 11 IV 1947.

<sup>80</sup> List T. Terleckiego do Antoniego Bogusławskiego z 30 czerwca 1950 roku, kopia w ATT.

podłoże swego postępowania<sup>81</sup>. W każdym bądź razie po kłótniach i nieporozumieniach zazwyczaj godzono się i pracowano znowu razem, żeby w parę lat później poróżnić się z innego powodu.

Zresztą swary i niesnaski tamtych niezbyt tłustych lat mają coś z sarmackiej sielanki. Sprawy zadraśniętego honoru załatwiano z reguły po dżentelmeńsku. Gorzej było, kiedy już nie różnica zdań, lecz kłopoty administracyjne utrudniały działalność. Książki Stowarzyszenia zostały przetrzymane przez półtora roku przez „Vistulę”, „która od trzech blisko lat nie wpłaciła żadnych należności, marnując w ten sposób jego dorobek i uniemożliwiając pomyślnie zaczęłą akcję wydawniczą...”<sup>82</sup>.

Nie posiadamy kompletnego *calendarium* Stowarzyszenia. Z późniejszych imprez warto odnotować wystawę druków bibliofilskich Samuela Tyszkiewicza (Mistrza Samuela Typografa Florenckiego) urządzoną w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego od 5 do 19 czerwca 1953<sup>83</sup>. W tym samym okresie w dniach 17 i 18 czerwca 1953 w Ognisku Polskim przy Exhibition Road odbył się koncert Toli Korian. W programie utwory: Audibertiego, Balińskiego, Bogusławskiego, Eliota, Hemara, Iłakowiczówny, Lechonia, Marinettiego, Morgensterna, Préverta, Przyłuskiego, Edith Sitwell, Wierzyńskiego, z muzyką: Bacha, Chopina, Grosza, Grueneberga, Laksa, Moniuszki, Niewiadomskiego, Paderewskiego, Palestra, Ravela, Scarlattiiego, Szymanowskiego, Waltona. Przy fortepianie: Irena Radwańska<sup>84</sup>.

\*\*\*

Z biegiem lat, Stowarzyszenie popadało — oględnie mówiąc — w marazm. Posiedzenia i zebrania odbywały się nadal, co prawda z mniejszą częstotliwością, w kawiarni Ogniska Polskiego, w dość typowym składzie: Stanisław Baliński, Wacław Grubiński, Tymon Terlecki i in. Właściwie jedno z ostatnich spotkań odbyło się 3 kwietnia 1963, kiedy do tego grona dołączył Karol Zbyszewski<sup>85</sup> wraz z Stanisławem Grocholskim i Wojciechem Dłużewskim z „Veritasu” i inż. Leśniowskim z Komitetu Obywatelskiego. Omówiono sprawę książek Stowarzyszenia, które jeszcze w 1949 zostały przeniesione z garażu na Swiss Cottage do lokalu „Veritasu”. Po latach zawieszony działalności dążono — pod naciskiem księgowego i dyrektora banku — do zlikwidowania Stowarzyszenia. Co z kolei było uzależnione od umorzenia zadłużenia Stowarzyszenia wobec Komitetu Obywatelskiego w wysokości £600. Remanent obejmował aż 13.500 nie sprzedanych egzemplarzy. Dalsze dzieje Stowarzyszenia niemożliwe są do odtworzenia; faktem jest, że przed wyjazdem do Ameryki Tymon Terlecki zawiadomił odpowiednie czynniki, że placówka wydawnicza rozwiązała się.

Mimo swoich więcej niż skromnych rozmiarów konspekt wydawniczy Stowarzyszenia przedstawiał wachlarz lektur o dość szczególnym obliczu. Głód książkowy po wojnie sprawił, że zaczęto od przedruku klasyków. W okresie kiedy dopiero zaczął krystalizować się program literacki emigracji, kiedy intensywnie żyło się polityką, włączono do konspektu parę tytułów o wydźwięku politycznym. Zrozumiano potrzebę i obowiązek informowania i wciągania czytelnika angielskiego, stąd też wzięła się inicjatywa wydania

<sup>81</sup> „Kochany Panie Tymonie. Niech Pan nie robi *iunctim* z moim wyjściem z Zarządu, bo moje wyjście ma podkład wybitnie osobowy i «psychopatyczny». (...) Stowarzyszenie, a zwłaszcza Pan, robi dobrą konkretną robotę w warunkach trudnych i niewdzięcznych, a jednak robi tę robotę.” List S. Balińskiego do T. Terleckiego z 18 grudnia 1947 roku, *ibid.*

<sup>82</sup> List T. Terleckiego do A. Bogusławskiego, *ibid.*

<sup>83</sup> [Ogłoszenie], *Wiadomości* 1953 nr 377. *O Nagrodach Wartowniczych dla Wydawców Książki Polskiej*, Dodatek Tygodniowy Ostatnich *Wiadomości* 1953 nr 23 (241).

<sup>84</sup> [Ogłoszenie], *Wiadomości* 1953 nr 377.

<sup>85</sup> List S. Balińskiego do T. Terleckiego, ATT.

w języku angielskim szczupłego tomu pt. *Words on the Wing. Essays, Memories, Short Stories, Aphorisms* z przedmową F.A. Voigta (Londyn 1948), zawierającego teksty m.in. Marii Danilewiczowej, Józefa Wittlina, Herminii Naglerowej („Kazachstan Nights”), Melchiora Wańkowicza, Zygmunta Nowakowskiego i Karola Zbyszewskiego.

Parę jeszcze pozycji tematycznie związanych z cyklem odczytów w Ognisku Polskim traktuje o miejscu Polski w Europie, o polsko-europejskich stosunkach kulturalnych. Odwieczny temat, wielki truizm zakrawający na kompleks, ma przy tym wymiar konkretny, pragmatyczny, i pozostał w dalszym ciągu aktualny. W tamtych czasach deklaracja o przynależności Polski do Europy miała nie tylko przywrócić tożsamość kulturalną skołowaną przez wojnę, była również opozycyjna w stosunku do tego co głoszone w Kraju. Może z tego m.in. wywodzi się to co później Witold Filler wykiął jako euforię europejskości, ogarniającą rzesze emigrantów. Ujęcie tego zagadnienia sięga głębiej w książeczce Ignacego Wieniewskiego, *Powrót na Via Appia* stanowiącej przypomnienie o prażródłach oraz próbę zakotwiczenia tej wspólnej europejskości w kręgu starożytnego Morza Śródziemnego.

Poczesne miejsce zajmuje w konspekcie poezja (Keats, Mickiewicz, Leśmian, Baliński, Bogusławski). Wprowadza przez to do emigracyjnego programu literackiego czynnik estetyczny. Warto przy tym wspomnieć, że Wacław Grubiński, prezes Stowarzyszenia, zawdzięczał przetrwanie w Rosji właśnie postawie estety. W pewnej mierze prace Stowarzyszenia przyczyniły się do położenia podwalin etosu emigracyjnego, zasłużyły się w sformułowaniu światopoglądu polskiego Londynu, określając rolę ideową emigracji i miejsce Polski w dziejach duchowych Europy. Może największą jednak usługę oddały, podkreślając wagę sztuki i słowa artystycznego, o które z czasem przestano wołać, bez którego grozi niebezpieczeństwo rozpolitykowanej grafomanii, a pisanie staje się tylko zaspokojeniem doraźnego zamówienia społecznego.

# OD GUGGENHEIM MUSEUM DO CURRIER GALLERY. JAN LEBENSTEIN — KRONIKA AMERYKAŃSKA (1958–1998)

Jan K. KAPERA (USA)

*Henrykowi Kaston*

„Każdego z takich jak Ty świat nie może  
Od razu przyjąć na spokojne łóżce,  
I nie przyjmował n i g d y, j a k w i e k w i e k i e m.”  
(C.K. Norwid)

Dzieło Jana Lebensteina\* jest czymś tak wyjątkowym i niepowtarzalnym, iż trudno zaliczyć je do jakiegokolwiek szkoły, czy kierunku w malarstwie współczesnym. Jako Samotnik z wyboru, wierny wyznawanym przez siebie zasadom i wartościom, żyje i tworzy z dala od tłumu krytyków sztuki, marszandów, układów, koterii, znajomości, na wskroś uczciwy w kreowaniu dzieła swego życia, wyrastającego z głębokiej zadumy nad sensem człowieczego cierpienia. Jest malarzem ludzkiej miłości i samotności, człowieczego upadku i spotwornienia. Jest przy tym jednak bardziej wrażliwym świadkiem i rejestratorem tego procesu, niżli pragnącym naprawiać świat moralizatorem. Jest artystą, którego cechuje „fundamentalna niewinność istoty śniącej na piersi Boga”, jak nazwał go kiedyś pięknie Janusz Jaremicz<sup>1</sup>. Jego malarstwo jest swoistego rodzaju *Requiem* o dziejach ludzkości.

17 października 1998 roku w Currier Gallery of Art w Manchester, w stanie New Hampshire, otwarto wystawę „Art, Healing and Friendship: The Doktor Albert Grokoest Collection”. Obok prac Beckmana, Rothko, Gardnera, Walsha, publiczność amerykańska

---

\* Jan Lebenstein zmarł po ciężkiej chorobie 29.05.1999 r. w Krakowie.

<sup>1</sup> Jan Lebenstein. *Kocur Pana Boga*, rozmawiał M. Czerwiński i J. Jaremicz, *Art and Business* 1966 nr 3, s. 33.

obejrzeć mogła również obrazy jednego z największych malarzy współczesnych — Jana Lebensteina. Artysta polski przez wiele lat związany był blisko ze zmarłym w 1991 roku doktorem Albertem Grokoest, który pomagał mu w jego problemach zdrowotnych<sup>2</sup>. Akwarele *Totem* z 1958, gwasz *Figure — study for dorsal view of the vertebrate* z 1963, oraz obraz olejny z tegoż roku *L'Veil*, to tylko wybrane trzy dzieła z kolekcji uczonego, liczącej kilkadziesiąt prac polskiego malarza<sup>3</sup>. Wystawa w Currier Gallery przypadła dokładnie w czterdziestą rocznicę pierwszego publicznego pokazu prac Lebensteina w Stanach Zjednoczonych.

Obecność Lebensteina w świadomości amerykańskiej datuje się już od późnych lat pięćdziesiątych. Jesienią roku 1958, młody polski artysta wziął udział w wystawie „Guggenheim International Award” w Solomon R. Guggenheim Museum w Nowym Jorku, gdzie zaprezentował swoją *Small Figure in Blue Frame* z 1957 (obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie). Dopiero jednak rok 1959 stał się dla kariery Lebensteina przełomowym. Na Biennale Młodych w Paryżu otrzymał Grand Prix; jego prace można było wówczas obejrzeć na Biennale w Wenecji, w Sao Paolo, oraz w Kassel na Documenta 2, a także w ramach indywidualnych wystaw w paryskich Galerie Lacloche i Galerie Lambert. Figury osiowe artysty, mieszczące się gdzieś na pograniczu abstrakcji i sztuki informelu, wzbudziły niezwykle żywe zainteresowanie u krytyków, zarówno w Europie, jak i za oceanem. Dużo się o nich mówiło i pisało, co nie uszło uwadze największych muzeów i kolekcjonerów sztuki. Doszło nawet do tego, iż jedni i drudzy za punkt honoru brali sobie posiadanie we własnych zbiorach „Lebensteina”.

Obchodzące hucznie trzydziestolecie swego istnienia Museum of Modern Art w Nowym Jorku zorganizowało na przełomie 1960 i 1961 roku wystawę swych najnowszych nabytków „Toward the «New» Museum of Modern Art”, wśród których znalazło się płótno artysty *Turning Form XXXVI* z 1959 roku podarowane muzeum przez znanego kolekcjonera sztuki Davida G. Thompsona. W grudniowym numerze „The New York Times” ukazał się artykuł Johna Canadaya o tej wystawie, gdzie reprodukcja obrazu Lebensteina znalazła się w towarzystwie *At the Milliner's* Degasa z 1882 i szkicu do *Les Demoiselles d'Avignon* Picassa z 1906 roku<sup>4</sup>.

W tym samym czasie dzieło artysty propagowane było przez znanych nowojorskich kolekcjonerów sztuki, doktora Arthura Lejwę, który poznał młodego malarza w czasie pobytu w Polsce w 1952 roku, i jego żonę Madeleine Chalette-Lejwa. Już w kwietniu 1961 roku, w Galerie Chalette na Madison Avenue, zorganizowali oni wystawę polskiej sztuki współczesnej „Six Contemporary Polish Painters”. Osiem obrazów Lebensteina, pięć olejów i trzy gwasze figur osiowych z lat 1959–1961, znalazło się w doborowym towarzystwie dzieł tak znanych polskich malarzy, jak Stefan Gierowski, Jerzy Tchórzewski, Henryk Stażewski, Jonasz Stern i Bronisław Kierzkowski. Krytyk „Art News”, w swej recenzji z wystawy, podkreślał niezwykle siłą wyrazu obrazów Lebensteina, ich często anegdotyczny charakter, kojarzący mu się z malarstwem Paula Klee i Dubuffeta, a także z malowidłami ściennymi z antycznych grobowców<sup>5</sup>.

Informacja o wystawie ukazała się również w „Arts Magazine”, czasopiśmie o międzynarodowym zasięgu, gdzie obok dzieł innych polskich malarzy, pojawiła się repro-

---

<sup>2</sup> Albert Grokoest (1917–1991), wybitny amerykański specjalista w dziedzinie reumatologii, profesor Columbia University w Nowym Jorku, muzyk, kolekcjoner sztuki. Przez ponad trzydzieści lat przyjaciel Lebensteina i jego lekarz. Zebrał wspaniałą, liczącą prawie sto prac, zbiór obrazów polskiego malarza. Zachowała się niezwykle ciekawa korespondencja pomiędzy nim i artystą.

<sup>3</sup> Inna akwarela Lebensteina o tym samym tytule *Totem*, lecz pochodząca z 1959 roku i dedykowana dr. Grokoest, pokazana została w 1996 roku w Emerson Gallery w Clinton, w stanie Nowy Jork. Na wystawie można było obejrzeć także obraz olejny artysty z 1965 roku *Man with two-headed Beast*.

<sup>4</sup> J. Canaday, *Growing Pains*, The New York Times, 25 XII 1960.

<sup>5</sup> C.S.S., *Six Polish Painters*, Art News 1961 vol. 60, s. 18.

dukcja *Axial Figure Number 38* z 1960 roku<sup>6</sup>. Niecałe dwa miesiące później, na fali zainteresowania sztuką krajów do tej pory oddzielonych Żelazną Kurtyną, Museum of Modern Art zorganizowało przeglądową wystawę współczesnej sztuki polskiej, „Fifteen Polish Painters”. Pojawiły się na niej dzieła artystów już wcześniej wspomnianych, a także najnowsze płótna Tadeusza Kantora, Piotra Potworowskiego, Tadeusza Brzozowskiego, Teresy Pągowskiej, Tadeusza Dominika, Jerzego Kujawskiego, Wojciecha Fangora, Jerzego Nowosielskiego, Mariana Warzechy i Teresy Rudowicz. W ekspozycji znalazło się aż dziewięć obrazów olejnych artysty z serii figur osiowych z lat 1959–1961 oraz dwa gwasze. Większość prac pochodziła z prywatnych kolekcji nowojorskich muzyków, Fredericka Zimmermanna, Lorina Bernsohna, Williama Lincera oraz z Galerie Chalette, a także z Waszyngtonu i Pittsburgha. We wstępie do katalogu wystawy, jej kurator Peter Selz, podkreślał niezwykłą oryginalność figur na osi<sup>7</sup>. Cytował polskiego historyka sztuki Juliusza Starzyńskiego, który w figurach Lebensteina dopatrywał się rozwiązania trwającego w teorii sztuki sporu co do znaczenia, miejsca i roli sztuki abstrakcyjnej i reprezentatywnej<sup>8</sup>. Zachwycał się mistrzostwem wykonania *Axial Figure Number 110*, jej niezwykłym trapezoidalnym kształtem rzuconym na czarne tło płótna, budzącym analogie z jakimś niezwykłym bóstwem czy demonem, straszny ale i pełnym godności, strzegącym swego terytorium. Selzowi wtórował Konstanty A. Jeleński, który zaliczał Lebensteina do czołówki polskiej „nowej fali” w swym świetnym artykule napisanym z okazji wystawy na łamach „Arts Magazine”, będącym niezwykle wnikliwym studium przemian dokonujących się w polskiej sztuce współczesnej po zakończeniu II wojny światowej<sup>9</sup>. Jeleński wyliczał analogie jakie budzi sztuka Lebensteina u krytyki zachodniej, która w figurach osiowych dopatrywała się krzyży z polskich rozdroży, mitologicznych słowiańskich idoli, totemów, pieczęci, spalonych ciał, telegraficznych słupów i innych symboli. Podkreślał niezwykle mistrzostwo rysunku artysty, który dla zabawy, potrafi świetnie naśladować zarówno styl Tiepola, jak i Daumiera czy Picassa. Na koniec Jeleński podzielił się sarkastyczną refleksją nad kompletnym niezrozumieniem głębokiej sztuki artysty przez wielu kolekcjonerów i krytyków, którzy patrząc na „swego Lebensteina” nie potrafili dostrzec pod fizyczną płaszczyzną obrazu, symbolicznej dychotomii, Eros — Tanatos. Dwa teksty pióra Johna Canadaya ukazały się na początku sierpnia również na łamach „The New York Times”<sup>10</sup>. Krytyk podkreślił szczególnie niezwykłość figur osiowych Lebensteina, które wywołały największe wrażenie na publiczności; zwrócił uwagę na twórczość Mariana Warzechy i jego niezwykle piękne papierowe *collage*.

Na przełomie dwóch lat wystawa nowojorskiego muzeum pokazana zastała publiczności w Montrealu i Ottawie w Kanadzie, a także w Minneapolis, St. Louis i Utica w Stanach Zjednoczonych. W 1991 roku *Axial Figure* artysty sprzedano na „Pittsburgh International Exhibition of Contemporary Painting and Sculpture” w Carnegie Institute. Instytut włączył też obrazy Lebensteina do swoich ekspozycji w 1964 (*Figure 184*) i 1967 roku (*The Carpathian*). Gwasz *Personnage* z 1960 roku, zakupiony w Galerie Chalette i ofiarowany San Francisco Museum of Modern Art został pokazany tamże na wystawie w styczniu 1962 roku, a następnie od 1 lutego w University of California Museum of Art w Berkeley.

<sup>6</sup> *Abstract Art from Poland*, Arts Magazine 1961 vol. 35, s. 29.

<sup>7</sup> P. Selz we wstępie do katalogu *Fifteen Polish Painters*, Museum of Modern Art, New York, 1962, s. 11.

<sup>8</sup> J. Starzyński, *Quatre peintres polonais d'aujourd'hui*, Quadrum 1960 nr 8, s. 132–134, 196.

<sup>9</sup> K.A. Jeleński, „L'Art Informel” and Nonconformi, Arts Magazine 1962 vol. 36, s. 56, 58.

<sup>10</sup> J. Canaday, *15 Polish Painters*, The New York Times, 1 VIII 1961; J. Canaday, *Fifteen Polish Painters*, The New York Times, 6 VIII 1961.

Lebenstein odwiedził Czesława Miłosza, którego poznał osobiście w Paryżu w 1959 roku. Poeta pojawił się wówczas na wernisżu indywidualnej wystawy w Galerie Lambert, gdzie artysta pokazał serię gwaszy figur osiowych. Wizyta ta dała początek wielkiej przyjaźni, która łączy obu Mistrzów do dziś, i która zaowocowała m.in. wspaniałymi cyklami grafik Lebensteina do *Księgi Hioba* i *Apokalipsy* w tłumaczeniu Noblisty.

Olbrzymie znaczenie dla kariery artysty miała jego pierwsza indywidualna wystawa w Galerii Chalette na przełomie marca i kwietnia 1962 r. Artysta przedstawił trzydzieści jeden obrazów i rysunków z lat 1959–1961, czyli większości prac ze swego okresu paryskiego uwieńczonego solową wystawą w październiku 1961 w Musée d'Art Moderne de la Ville de Paris, gdzie zaprezentował czterdzieści cztery obrazy. Krytycy nowojorscy nie ukrywali podziwu i nie szczędzili słów uznania dla młodego polskiego malarza. Donald Judd, na łamach „Arts Magazine”, podkreślił niezwykłą różnorodność i bogactwo faktury figur osiowych; zachwycił się formalnymi rozwiązaniami utrzymanej w monochromatycznych szarościach *Figure Number 125*, która według niego była jedną z najlepszych pokazanych na wystawie<sup>11</sup>. Z kolei krytyk „Art News” nazwał Lebensteina jednym z najbardziej prowokujących polskich malarzy młodego pokolenia, analizując strukturę obrazów, niezwykłą technikę artysty, dającą wręcz wrażenie trójwymiarowości. Podkreślał niesamowitość i niezwykłą siłę ekspresji płócien, niepokój, który budzą u widzów<sup>12</sup>. „Dramatycznie dekoracyjne”, i „niezmiernie poruszające” to tylko niektóre z określeń, których użył John Canaday na łamach „The New York Times”, by opisać figury osiowe polskiego malarza<sup>13</sup>. To według niego już nie tylko wystawa — to spektakl, to misterium. Gigantyczne postacie mitycznych kapłanów patrzą z płócien na widzów, swymi szeroko otwartymi oczyma, porażają szkieletowatością, bądź przesadnym bogactwem, kabalistycznymi znakami i insygniami. Najwyraźniej chcą przekazać ludzkości niezwykle ważną wiadomość, przesłanie. Źródłem niezwykłego powodzenia sztuki Lebensteina, Canaday dopatrywał się w nadzwyczajnej kompozycji figur osiowych, które zamiast nużyć widza swą powtarzalnością powodowały reakcję odwrotną, a mianowicie fascynację różnorodnością ich ornamentalnej dekoracyjności. Wykorzystuje ją malarz do spotęgowania ekspresji obrazu, do nawiązania bliższego kontaktu z widzem.

„Musi zaistnieć dialog” — mówił w jednym z wywiadów w 1996 roku — „Sztuka polega na pobudzeniu, wewnętrznym przetwarzaniu świata przez twórcę i odbiorcę. Ten współdziałanie jest niezbędny i niesłychanie kreatywny.”<sup>14</sup> Canaday nie ułatwiał czytelnikom dotarcia do sedna sztuki polskiego artysty, nie starał się uczynić jej „zrozumiałą”, gdyż jak sam podkreślał, nie jest to celem tej twórczości. Sztuka Lebensteina jest bowiem zbyt głęboka, tajemnicza i osobista, by można ją zdefiniować w jakiś banalny sposób.

Decydujący wydaje się zatem, tak podkreślany przez artystę, bezpośredni, intymny i indywidualny odbiór jego sztuki, będącej namacalną ze względu na niezwykłą dekoracyjność, a z drugiej strony, zadziwiająco i niepokojącą swą innością i obcością.

Obszerne i wnikliwe omówienie twórczości młodego polskiego artysty, pióra Umbro Apollonio, ukazało się również na łamach majowego wydania „Art International”<sup>15</sup>. Autor artykułu wystawił niezwykle pochlebną opinię Lebensteinowi i jego sztuce, która ma według niego w sposób najpełniejszy ukazywać czasy, w których przyszło nam żyć. Figury Lebensteina są zatem niejako niemymi symbolami uniwersalnego upadku, szkieletami człowieczej kondycji; są ostrzeżeniem. U jednych budzą grozę i odrazę, innych przyciągają i hipnotyzują barokowym wręcz bogactwem ornamentów i niezwykłością

<sup>11</sup> D. Judd, *Jan Lebenstein*, Arts Magazine 1962 vol. 36, s. 97–98.

<sup>12</sup> L.L., *Jan Lebenstein*, Art News 1962 vol. 61, s. 16.

<sup>13</sup> J. Canaday, *The Mysterious Visitors*, The New York Times, 1 IV 1962.

<sup>14</sup> J. Lebenstein, *Nie jestem Emigrantem*, Rozmawia W. Lipińska, Art and Business 1996 nr 3, s. 35.

<sup>15</sup> U. Apollonio, *Jan Lebenstein*, Art International 1962 nr 5, s. 92–94.



rozwiązań formalnych. Nie sposób przejść obok nich obojętnie, zmuszają do refleksji, do zadania sobie pytania o sens naszej egzystencji tu i teraz. Apollonio kładzie nacisk na niezwykłą umiejętność malarza do przedstawiania tajemników historii ludzkości przy jednoczesnym ukazywaniu losu jednostkowego, indywidualnego. Podkreśla wielki dar artysty w czerpaniu motywów i symboli z pra-źródeł naszej cywilizacji do ukazywania w nowy sposób współczesnych dramatów i klęsk rodzaju ludzkiego. Według Apollonio, Lebenstein zyskał sobie tak niezwykły rozgłos i miejsce w sztuce współczesnej, gdyż pozostał wierny sobie i swym ideałom, głuchy na podszepty krytyków i marszandów oraz obowiązującej mody.

Artysta, który przyjechał z Paryża na czas wystawy, wykorzystywał wolne chwile na zwiedzanie nowojorskich muzeów i galerii; był urzeczony wspaniałymi zbiorami Frick Collection (Vermeer). Na przełomie września i listopada tegoż roku rysunki, gwasze i obrazy olejne Lebensteina zawędrowały z Galerie Chalette do White Museum w Cornell University w Ithaca, w stanie Nowy Jork, gdzie miała miejsce kolejna indywidualna wystawa artysty.

Trzyletnia już współpraca artysty z Galerią na Madison Avenue zaowocowała wystawą w maju 1963 roku. Lebenstein zaprezentował na niej swe ostatnie rysunki i gwasze z cyklu figur osiowych. Recenzent „Art News” podkreślił niezwykły talent polskiego malarza, który przy minimalnych środkach potrafił osiągnąć niebywały efekt<sup>16</sup>. To również moment niezwykłego i autentycznego powodzenia artysty na światowym rynku sztuki. Wspominał o tym jego przyjaciel, Konstanty A. Jeleński, w eseju *Lebenstein — mitotwórca ludzkiej natury* na łamach paryskiej „Kultury”: „Jest to moment międzynarodowej sławy Lebensteina, moment niebezpieczny dla współczesnego artysty, gdyż krytyk, muzeum, galeria, identyfikują nową i oryginalną formę z podpisem i poddany jest on trudno uchwytnemu naciskowi aby skostniał i za tę cenę przeszedł raz na zawsze do «Nomenklatury»”<sup>17</sup>. Nie mogło jednak skostnieć, czy poddać się jakimkolwiek presjom zewnętrznym dzieło, u którego podstawy leży „byt wymyślany na nowo, który implikuje zarówno odosobnienie, jak i wewnętrzny dystans”<sup>18</sup>. Wszelkie próby dialogu z przedstawicielami wiodących galerii, największych muzeów i kolekcji, niezwykle ciepło nastawionych do zdobywcy paryskiego Grand Prix, kończyły się coraz częściej fiaskiem. Artysta, na wskroś uczciwy w tworzeniu dzieła swego życia, wierny swym ideałom i wyznawanym przez siebie zasadom nie potrafił odnaleźć wspólnego języka z zinstytucjonalizowanym zachodnim establishmentem artystycznym, decydującym o nagrodach, stypendiach, cenach obrazów, a w końcu losach i karierach poszczególnych artystów. Jak wspominał dalej Jeleński w *Samotnej drodze Jana Lebensteina*: „Janka Potęga Smaku nie tylko kazała mu «skrzywić się, wycedzić szyderstwo», ale wprost spuścić rozmówców ze schodów. Ze szkodą dla sławy i spraw bytowych — zapewne. Ale z korzyścią wywojowania sobie tej najtrudniejszej dziś do uzyskania pozycji — *d’un artiste maudir*”<sup>19</sup>.

Formy jakie zaczęły przyjmować nowe figury artysty z tego okresu są mniej regularne, mniej ostre; bardziej organiczne, rozmyte. Symetria często zachowana w ogólnym szkielecie figury, została zachwiana przez użycie różnorodnych detali, co spowodowało zwiększenie ekspresji obrazu. Było to efektem przemian, które można dostrzec w twórczości artysty z tych lat. Z figur na osi zaczęły się wyłaniać formy obłe, z licznymi odnóżami, mackami, przypominające kształtem jakieś fantastyczne prehistoryczne stwory. To początek dziejów ludzkości według Lebensteina, to wyłanianie się na powierzchnię *Potwornych zwierząt* i mitycznych bohaterów z *Karnetu intymnego*, który szokował pu-

<sup>16</sup> S.C.F., *Jan Lebenstein*, Art News 1963 vol. 62, s. 14.

<sup>17</sup> K.A. Jeleński, *Lebenstein — mitotwórca ludzkiej natury*, Kultura 1973 nr 10, s. 154.

<sup>18</sup> J. Lebenstein, *Nie jestem Emigrantem*, s. 35.

<sup>19</sup> K.A. Jeleński, *Samotna droga Jana Lebensteina*, Kultura 1985 nr 7/8, s. 19.

bliczność rozbuchaną cielesnością. Ale jak napisał Mariusz Hermansdorfer: „Wszystko jest umowne, wyobrażone, dotyczy idei a nie konkretnego. Powstaje bowiem mit o dziejach ludzkości, o naturze człowieka, o jej archetypach”<sup>20</sup>.

W latach sześćdziesiątych, po zerwaniu współpracy z dotychczasowymi marszandami, Lebenstein wziął jeszcze udział w kilku innych znaczących wystawach zbiorowych. Od 17 grudnia 1962 roku płótna artysty, będące w zbiorach nowojorskiego Museum of Modern Art, powędrowały do National Gallery of Art w Waszyngtonie, gdzie zostały włączone do ekspozycji poświęconej kolekcji Moma. W 1963 roku jego obrazy można było zobaczyć na wystawie „Plastic Art and Contemporary Painting” w Herron School of Art w Indianapolis. Gwasze *Personage* z 1959, szkic do obrazu *Dark Animal* z 1965, oraz *The Old-Fashioned One* z 1960–1961 roku z kolekcji Maryny Kaston oraz szkic do obrazu *Vertical Blue* z 1965 ze zbiorów Ralpha Bernsteina zaprezentowane zostały przez Moma w roku 1966 i 1967 na objazdowej wystawie „Contemporary European Watercolors” w wielu miastach USA i Kanady. W listopadzie 1966 roku, obok dzieł Zbigniewa Makowskiego i Henryka Stażewskiego, szesnaście prac artysty, m.in., *La Bete Verte*, figury osiowe numer 12, 60, 61, 69, 70, 96, oraz rysunki i gwasze można było obejrzeć w Rosary College (obecnie Dominican University) w River Forest, w stanie Illinois, na wystawie „Polish Art from the Collection of M.A. Lipschultz”. Prócz wspomnianych wcześniej „Pittsburgh International”, malarz wziął jeszcze udział w wystawie „Fantastic Drawings in Chicago Collections” na przełomie 1967 i 1968 roku. Była to jedna z pierwszych wystaw otwartego w październiku 1967 roku Museum of Contemporary Art w Chicago.

Koniec lat sześćdziesiątych to w twórczości artysty jeszcze głębszy zwrot ku językowi mitu, symbolu. Tragiczna, ludzko-zwierzęca alegoryka jego wcześniejszych cykli *Creatures Abominables* czy *Carnet Intime* uległa transformacji, by osiągnąć apogeum w cyklu „spektakli” z lat 1970–1971, w których artysta w sposób niezwykle sarkastyczny przedstawił wizję stosunków międzyludzkich we współczesnym społeczeństwie. W dziesięć lat po pierwszej indywidualnej wystawie w Galerie Chalette, David Mann, przy współpracy polskiego mecenasa sztuki, Pani Ewy Pape, zorganizował w Bodley Gallery na Madison Avenue kolejny olbrzymi pokaz najnowszych prac Lebensteina. Na wystawie można było obejrzeć piętnaście olbrzymich formatów płócien, wśród nich *Strasbourg — St. Denis, L'Apogee* z 1969, *Western, La Parquet, Actualités* z 1970, *Image double* z 1971, czy najnowsze *Big Chief, Les dos, Image double II* z 1972 oraz osiemnaście gwaszy i pasteli z lat 1966–1972. O rozdarciu natury ludzkiej napisała pięknie we wstępie do katalogu wystawy znana amerykańska pisarka, przyjaciółka artysty i kolekcjonerka jego dzieł — Mary McCarthy: „Patrząc na jego [Lebensteina] obrazy publiczności w kinie, zafascynowanej ekranem, przyszła mi na myśl jakaś smutna, zdegradowana wersja mitu «Jaskini» [Platona], podobnie jak rozdwojone figury osiowe są echem innego mitu z «Sympozjonu», który mówi nam jak Zeus podzielił na dwoje pierwotnych ludzi, skąd początek bólu i szaleństwa miłości”<sup>21</sup>.

Na łamach „Art News” Al Brunelle wspominał niezwykle sławę jaką cieszył się Lebenstein w Stanach Zjednoczonych przed dziesięciu laty za sprawą swych abstrakcyjnych figur, oraz podkreślał zmianę stylu artysty, który zwrócił się obecnie w kierunku malarstwa figuratywnego i surrealistycznego<sup>22</sup>. John Canaday, który nie mógł znaleźć słów uznania dla twórczości artysty w 1962 roku, na łamach „The New York Times” z 18 listopada 1972 wyraził swe głębokie rozczarowanie najnowszymi dziełami polskiego

<sup>20</sup> M. Hermansdorfer we wstępie do katalogu wystawy *Jan Lebenstein*, Galeria Zachęta, Warszawa, 1992.

<sup>21</sup> M. McCarthy we wstępie do katalogu wystawy *Jan Lebenstein*, Bodley Gallery, New York, 1972. Cyt. za: K.A. Jeleński, *Lebenstein*, s. 153.

<sup>22</sup> A. Brunelle, *Jan Lebenstein*, Art News 1972 vol. 71, s. 68.

malarza. Potwory i monstra, które niegdyś miały głębokie ukryte znaczenie teraz przypominają mu raczej gobliny z dziecięcych bajek. „Nie ma nic bardziej banalnego, niż banalna fantasy” zakończył swą recenzję o wystawie Lebensteina w Bodley, zapatrzony i zauroczony jedynie figurami osiowymi artysty<sup>23</sup>. Nowy sposób wyrazu artysty, nowe środki, głęboka symbolika cyklu „spektakli” nie spotkały się z przychylnym przyjęciem krytyki i marszandów, którzy wciąż czuli się obrażeni nieprzejednanym stanowiskiem malarza, nie poddającego się ich presji i podążającego indywidualną, wybraną przez siebie drogą. Nie zapomnieli również Lebensteinowi „odpowiedzi” jakiej udzielił kilka lat wcześniej jednemu z nich. W rok po wystawie w Bodley, na przełomie lutego i marca 1973 roku, obrazy artysty zostały zaprezentowane w Wyman Gallery w Chicago. Recenzja Franza Schulze na łamach majowego wydania „Art in America” była miazdząca<sup>24</sup>. Powodzenia wczesnych prac artysty dopatrywał się on jedynie w ich niezwyklej brutalności i figuratywności. Zaliczył jego twórczość do nurtu ekspresjonistycznego, raczej retorycznego, niżli genialnego, skupionego pod sztandarem humanistycznego egzystencjalizmu. Wymienił nazwiska takich malarzy, jak: Octave Landyut, Rico Lebrun, Leonard Baskin, którzy podobnie jak Lebenstein, przynajmniej w Ameryce, zostali kompletnie zapomniani. Zarzucił malarzowi, iż jego obrazy, pełne dziwnych, fantastycznych postaci, stworów, nagich kobiet służą jedynie szokowaniu widza, pozbawione są jednak tak głębokiego sensu i nastroju, jak miało to miejsce na przykład w serii „czarnych obrazów” Goyi. Przy tym, gdy Goya był w swym gniewie uczciwy i tragiczny, według Schulze’a, potwory Lebensteina są wydumane i zbyt teatralne. Na koniec krytyk zarzucił Mary McCarthy, iż w swym eseju o artyście, starała się na siłę i bezpodstawnie tłumaczyć jego sztukę na płaszczyźnie filozoficznej. niesprawiedliwe i tendencyjne uwagi Schulze’a mogłyby budzić jedynie uśmiech politowania, gdyby nie fakt, iż opublikowane zostały w tak uznanym i ważnym czasopiśmie artystycznym. Jeszcze raz okazało się, jak potężną siłę ma słowo pisane, i jak olbrzymią władzę mają ci, którzy decydują o karierach i sławie artystów.

Rok 1974 to kolejna próba, tym razem duetu Pape-Ruddy Art Associates, przybliżenia współczesnych nurtów w malarstwie polskim publiczności amerykańskiej na zachodnim wybrzeżu. Na przełomie października i listopada prace Henryka Stażewskiego, Zbigniewa Makowskiego, Anny Günter, oraz Jana Lebensteina zaprezentowane zostały w Los Angeles. W swej recenzji z wystawy, Melinda Wortz, na łamach „Arts Magazine” podkreślała niezwyklej niepokój jaki budzą u widza ostatnie obrazy figuratywne Lebensteina, pełne mitologicznych stworów, fantastycznych zwierząt i nagich kobiet<sup>25</sup>. *Jeux de Faun* i *Leda and the Swan* artysty, zgeometryzowane reliefy Stażewskiego z lat sześćdziesiątych, niepokojące, symboliczno-metaforyczne obrazy Makowskiego m.in., *Going Up Flame* z 1969 roku i surrealistyczne fantazje Günter zawędrowały w grudniu tegoż roku do Huntsville Museum of Art w stanie Alabama. Od 1 października 1974 do 15 września 1975 *Axial Figure 90* z 1960 roku została włączona do inauguracyjnej wystawy w Hirshhorn Museum and Sculpture Garden, będącym częścią Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Na przełomie 1975/1976, olbrzymich rozmiarów płótno artysty *Dialogue Vertebral*, z 1967 pochodzące z kolekcji Martina Lipschultza, znalazło się na wystawie „Jewish Artists of the Twentieth Century” w Spertus Museum of Judaica w Chicago. Ekspozycja w Spertus zyskała pochlebne oceny krytyki i spotkała się z lepszym przyjęciem niż otwarta równolegle w nowojorskim Jewish Museum wystawa „The Jewish Experience”<sup>26</sup>. W tym samym czasie, w Nowym Jorku, malarz otrzymał prestiżową

<sup>23</sup> J. Canaday, *Snow on Print Buyer's Hazard*, The New York Times, 18 XI 1972.

<sup>24</sup> F. Schultze, *Jan Lebenstein at Michael Wyman*, Art in America 1973 vol. 61, s. 106–107.

<sup>25</sup> M. Wortz, *Contemporary Polish Artists at Pape-Ruddy*, Arts Magazine 1974 vol. 49, s. 27.

<sup>26</sup> H. Rosenberg, *Jews in Art*, The New Yorker 1975 vol. 51, s. 64–68.

nagrodę Fundacji Alfreda Jurzykowskiego w dziedzinie sztuk plastycznych za rok 1975. Od 17 listopada do 15 stycznia 1978 roku płótno *Animal II* z serii *Creatures Abominables* z roku 1963 pokazano na wystawie „The Animal in Art” zorganizowanej ponownie przez Hirshhorn Museum, w którego zbiorach znajduje się obecnie kilkanaście prac artysty.

Prawie piętnaście lat miłośnicy twórczości Lebensteina musieli czekać na kolejną wystawę. Nie była to też wystawa indywidualna jego prac, lecz pokaz malarstwa polskiego ze zbiorów Toma Podła z Bellevue, z okolic Seattle, w stanie Washington. W tej, jednej z najbardziej na północny-zachód wysuniętej metropolii, potomek polskich zesłańców na Sybir, zebrał w przeciągu kilkunastu lat kolekcję porównywalną chyba jedynie ze zbiorami Ewy i Wojtka Fibaków. Podobnie jak u tych ostatnich, także w kolekcji Podła znalazło się miejsce dla reprezentantów sztuki współczesnej, w tym dla tworzącego od 1959 roku w Paryżu, Lebensteina. Na wystawie „A Discovering Eye. The Podl Collection” zorganizowanej przez Muzeum Polskie w Ameryce, od 20 marca do 30 maja 1993 roku, została pokazana *Blue Figure* artysty z 1958 roku. Na tejże wystawie przeniesionej w sierpniu do Frye Art Museum w Seattle można było obejrzeć ponadto dwie olejne prace Lebensteina: *Gold Figure* z 1961 oraz *Bêtes de Salon* z roku 1967. Dokładnie dwadzieścia dwa lata po ekspozycji w galerii Michaela Wymana w Chicago, od 5 do 24 września 1995 roku, publiczność amerykańska miała szansę spotkania się z twórczością polskiego malarza na jego indywidualnej wystawie w siedzibie Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku. Niestety, nie był to pokaz najnowszych prac artysty, a jedynie wybór obrazów olejnych i gwaszy z późnych lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych pochodzących z kolekcji zmarłego przed czterema laty doktora Grokoest. Prezentacja malarstwa Lebensteina, połączona ze sprzedażą niektórych prac, miała wspomóc Fundację Dr. Grokoest oraz Orpheus Chamber Orchestra, której był jednym z założycieli. Na wystawie zaprezentowano tak znane prace artysty, jak: *Patagonien* z 1964, *Bete Morte* i *Demode* z 1965, *Ballon-Baba* z 1967, oraz kilkanaście rysunków i gwaszy.

Dzięki bliskim kontaktom kolekcjonera Toma Podła z Galerią 1112 w Chicago, kolejne rewelacyjne prace Lebensteina przedstawione zostały w tejże galerii na wystawie „Contemporary Warsaw Masters”. Na przełomie czerwca i lipca 1966 roku, obok jedenastu uznanych polskich artystów związanych z warszawskim środowiskiem artystycznym, m.in., Stefana Gierowskiego, Jerzego Tchórzewskiego, Adama Myjaka, Henryka Musiałowicza, publiczność miała szansę obejrzenia trzech obrazów artysty z kolekcji Toma Podła. Wspaniałe dyptyk *Points de Vue* z 1967 roku, pokazany na wystawie w Galerie Desbriere w Paryżu w roku 1968, znalazł się na okładce pięknego katalogu towarzyszącego ekspozycji oraz na plakacie. Wyszukaną dekoracyjnością z jednej strony i niezwykłym sarkazmem i ironią z drugiej, uderzały widza wspomniane wcześniej *Bêtes de Salon*. Znawców wczesnej twórczości Lebensteina olśniła z pewnością jego *Drafted Figure* z roku 1958.

Dwa lata po wystawie w Fundacji Kościuszkowskiej wielbiciele talentu artysty mogli obejrzeć jego prace z końca lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych, tym razem podczas indywidualnej ekspozycji zorganizowanej przez Galerię 1112, Towarzystwo Sztuki w Chicago, oraz kuratora kolekcji Dr. Grokoest, Kennetha Browne’a. Od 14 lutego do 9 marca 1997 roku, przy 1112 Milwaukee Avenue, publiczność mogła podziwiać blisko dwadzieścia obrazów artysty z nowojorskiej kolekcji uczonego.

Obecność Lebensteina na kontynencie amerykańskim to nie tylko jego liczne wystawy indywidualne i grupowe, lecz także setki obrazów olejnych, gwaszy, rysunków i grafik rozsianych w licznych zbiorach prywatnych, a także w kolekcjach największych muzeów amerykańskich. Dzieła artysty znalazły uznanie w oczach potentatów przemysłowych, jak nieżyjącego już Davida G. Thompsona z Pittsburgha, polityków, gubernatora i wice-prezydenta USA Nelsona A. Rockefellera i jego brata, filantropa sztuki, Joh-

na D. Rockefellera III, znanego pisarza i publicyście politycznego Josepha Alsopa z Waszyngtonu, muzyka i dyrygenta filharmonii nowojorskiej Fredericka Zimmermanna, którzy byli również znanymi kolekcjonerami i miłośnikami sztuki współczesnej. To właśnie w rękach muzyków nowojorskich oraz ludzi związanych ze światem opery znajdują się wciąż wspaniałe, liczące niejednokrotnie po kilkanaście dzieł, kolekcje obrazów artysty, wiszące w towarzystwie prac Egona Schiele, Oskara Kokoschki, a często i polskich klasyków, jak Stażewskiego, Kierzkowskiego, Fangora, Makowskiego, czy Dominika. Poza Nowym Jorkiem obrazy Lebensteina znaleźć można w kilku kolekcjach w New Jersey — w Hackensack, Trenton, Wallington, Montclair, w Pensylwanii, Oregonie, Kolorado, Kalifornii, Północnej Karolinie, na Florydzie, oraz w Illinois.

*Turning Form XXXVI* z roku 1959, *Axial Figure 110* z 1961, sześć gwaszy, oraz dwadzieścia jeden szkiców figur osiowych z 1961 roku znajduje się w kolekcji Museum of Modern Art w Nowym Jorku. *Axial Figure 84* i *103*, a także gwasz artysty z 1965 roku zdobią wnętrze Fundacji Kościuszkowskiej przy 65 Ulicy na Manhattanie. Obraz olejny *Axial Figure* z 1959 jest w stałej ekspozycji w Snie Museum of Art w University of Notre Dame w Indianie. Obrazy olejne: *Axial Figure* z 1959, *Axial Figure 38, 68, 76, 90* z 1960, oraz *Axial Figure 154* z 1962 i *197* z 1963 roku, a także pięć gwaszy figur osiowych z końca lat pięćdziesiątych z kolekcji Josepha H. Hirshhorna posiada obecnie Hirshhorn Museum w Waszyngtonie. Niewielkich rozmiarów gwasz *Personnage* z 1960 znalazł się w zbiorach San Francisco Museum of Modern Art w 1961 roku. Nie posiada natomiast żadnych prac Lebensteina Carnegie Institute w Pittsburgu, mimo, iż wymieniany jest on w wielu katalogach i opracowaniach twórczości artysty. W ciągu czterdziestu lat, które minęło od wystawy w Guggenheim Museum, artysta obecny był wielokrotnie w Stanach Zjednoczonych. Zarówno z okazji licznych wystaw, wernisaży, spotkań, a także by zwiedzać (zachwycony zbiorami National Gallery w Waszyngtonie), podróżować (większość stanów, liczne parki narodowe, Dinosaur National Monument, gdzie olśniły go na wpół odkryte szkielety prehistorycznych potworów), a w końcu by malować. I tak w czasie wakacji 1981 i 1982 roku powstał genialny cykl olbrzymich rysunków z natury przedstawiających fantastyczne i niepowtarzalne formy Grand Canyon w stanie Kolorado, o którym na łamach paryskiej „Kultury” Krzysztof Pomian pisał, iż: „Przecinając nagromadzone warstwy, kanion czyni... niewidzialne widzialnym, obnaża to, co ukryte, uzewnętrznia, co wewnętrzne: kościec ziemi. Wprowadza na powierzchnię to, co głębokie, ukazuje skałę pod piaskiem. Osiąga więc ten sam efekt, co wyobraźnia Lebensteina, gdy prześwieśla ciało promieniami śmierci lub poddaje wiwiseksi duszę”<sup>27</sup>.

Na zakończenie, posłużę się jeszcze raz cytatem z artykułu Johna Canaday’a na łamach „The New York Times”. Stwierdził on bowiem, i słusznie, iż siła sztuki Lebensteina tkwi w „ukazywaniu tajemnic, o których ludzie zapomnieli, bądź ukryli głęboko w podświadomości, tak, iż nie zdają sobie sprawy, że w nich istnieją. Jego sztuka nie jest do wytłumaczenia, lecz do przeżywania wzruszeń i emocji, które wywołuje. Ze swą techniczną wirtuozerią, niezwykłą dekoracyjnością i kolorem jest ona czymś bardzo obiecującym w stosunku do jałowego pola sztuki współczesnej”<sup>28</sup>.

Myślę, iż słowa te, napisane trzydzieści sześć lat temu, nic nie straciły na swej aktualności.

<sup>27</sup> K. Pomian, *Czas Lebensteina*, Kultura 1985 nr 7/8, s. 26.

<sup>28</sup> J. Canaday, *The Mysterious Visitors*.

## JAN LEBENSTEIN W STANACH ZJEDNOCZONYCH

### Wybrane wystawy indywidualne

- 1962 *Jan Lebenstein*. Galerie Chalette. New York, NY. 20 marca–16 kwietnia.  
*Jan Lebenstein*. White Museum of Cornell University. Ithaca, NY. 25 września–11 listopada.
- 1963 *Jan Lebenstein*. Galerie Chalette. New York, NY. 1–31 maja.
- 1972 *Jan Lebenstein*. Bodley Gallery. New York, NY. 14 listopada–2 grudnia.
- 1973 *Jan Lebenstein*. Wyman Gallery. Chicago, Il. 2 lutego–6 marca.
- 1995 *Jan Lebenstein*. The Kościuszko Foundation. New York, NY. 5–24 września.
- 1997 *Jan Lebenstein*. 1112 Gallery. Chicago, Il. 14 lutego–9 marca.

### Udział w wystawach zbiorowych (wybór)

- 1958 *Guggenheim International Award*. Solomon Guggenheim Museum. New York, NY.
- 1960 *New Europeans*. Contemporary Arts Museum. Houston, TX. 13 października–13 listopada.
- 1960/61 *Toward the „New” Museum of Modern Art*. Museum of Modern Art. New York, NY. 22 grudnia 1960–12 lutego 1961.
- 1961 *Six Contemporary Polish Painters*. Galerie Chalette. New York, NY. 1–29 kwietnia.  
*Fifteen Polish Painters*. Museum of Modern Art. New York, NY. 26 lipca–1 października.  
*Pittsburgh International Exhibition of Contemporary Painting and Sculpture*. Carnegie Institute. Pittsburgh, PA.
- 1962 *Fifteen Polish Painters*. Minneapolis Institute of Arts. Minneapolis, MN. 2–30 stycznia.  
San Francisco Museum of Modern Art, CA. Styczeń.  
University of California Art Museum. Berkeley, CA. Od 1 lutego.  
*Fifteen Polish Painters*. Washington University. St. Louis, MO. 16 lutego–16 marca.  
*Fifteen Polish Painters*. Munson Williams Proctor Institute. Utica, NY. 1 lipca–1 sierpnia.
- 1963 Herron School of Art Gallery. Indianapolis, IN.
- 1962/63 *Paintings from the Museum of Modern Art*. National Gallery of Art. Washington, D.C.

- 1964 *Pittsburgh International Exhibition of Contemporary Painting and Sculpture*. Carnegie Institute. Pittsburgh, PA.
- 1966 *A Pageant of Polish Paintings*. Upton Gallery of the State University of New York. Buffalo, NY 16 kwietnia–3 maja.  
*Polish Art from the Collection of Mr. and Mrs. M.A. Lipschultz*. Rosary College. River Forest, IL. 6–30 listopada.
- 1966/67 *Contemporary European Watercolours*. Museum of Modern Art. New York, NY. Od stycznia 1966 do maja 1967 roku, pokazana m.in. w Southwest Missouri State College w Springfield, MO; State University College w Geneseo, NY; Williams College Museum of Art w Williamstown, TN; Dulin Gallery of Art in Knoxville, TN; Watkins Institute w Nashville, TN.
- 1967 *Six Painters, One Sculptor*. Bundy Art Gallery, New York, NY. 15 lutego–10 kwietnia.
- 1967/68 *Pittsburgh International Exhibition of Contemporary Painting and Sculpture*. Carnegie Institute. Pittsburgh, PA. 27 października 1967–7 stycznia 1968.  
*Fantastic Drawings in Chicago Collections*. Museum of Contemporary Art. Chicago, IL. 19 grudnia 1967–17 stycznia 1968.
- 1969 *American, Israeli, and European Paintings*. La Boetie, New York, NY. 25 lutego–15 marca.
- 1974 *Gunter. Lebenstein. Makowski. Stażewski*. Pape-Ruddy Art Associates. Los Angeles, CA. Październik–listopad.  
*Gunter. Lebenstein. Makowski. Stażewski*. Huntsville Museum of Art. Huntsville, AL. Grudzień.
- 1975 *Transformations*. Andre Zarre Gallery. New York, NY. 10 stycznia–1 lutego.
- 1975/76 *Jewish Artists of the XXth century*. Spertus Museum of Judaica. Chicago, IL. 5 października 1975–30 stycznia 1976.
- 1977 Cork Gallery of the Lincoln Center. New York, NY. Marzec.
- 1993 *A Discovering Eye. The Podl Collection*. Polish Museum of America. Chicago, IL. 20 marca–30 maja.  
*A Discovering Eye. The Podl Collection*. Frye Art Museum. Seattle, WA. 3–31 sierpnia.
- 1996 *Art and Healing. Selections from the Grokoest Collection*. Emmerson Gallery of the Hamilton College. Clinton, NY. 15 stycznia–7 kwietnia.  
*Ars Amandi*. Gallery of „Nowy Dziennik”. New York, NY. Kwiecień.  
*Contemporary Warsaw Masters*. 1112 Gallery. Chicago, IL. 14 czerwca–21 lipca.
- 1998 *Art, Healing and Friendship. The Doctor Albert Grokoest Collection*. The Currier Gallery of Art. Manchester, NH. 17 października–14 grudnia.  
*First International Graphic Exhibit*. Skulski Art Gallery. Clark, NJ. 13 listopada–4 grudnia.

## Lebenstein w muzeach w Stanach Zjednoczonych

Museum of Modern Art, New York

1. *Turning Form XXXVI*  
1959, olej na płótnie
2. *Axial Figure no 110*  
1961, olej na płótnie, 85 1/2x46 3/4 (top)x31 1/2 (bottom) cali
3. *Axial Figure*  
1960, rysunek piórem na papierze, 25x18 7/8 cali
4. *Axial Figure*  
1961, rysunek piórem na papierze, 51 3/4x37 1/4 cali
5. *Axial Figure*  
1961, gwasz na papierze milimetrowym
6. *Figure*  
1962, gwasz i akwarela na papierze, 17 1/4x10 1/4 cali

oraz 21 rysunków na małych kartkach papieru kratkowego i milimetrowego (około 5x5 cali, nieregularne) z 1961 roku — są to szkice figur i figur osiowych.

Smithsonian Institution

Hirshhorn Museum and Sculpture Garden, Washington

1. *Axial Figure (Personage #1)*  
1959, akwarela na papierze milimetrowym i gwasz, 23 9/16x17 1/2 cali
2. *Axial Figure (Personage #2)*  
1959, akwarela na papierze milimetrowym i gwasz, 24 1/8x17 3/4 cali
3. *Axial Figure (Personage #3)*  
1959, akwarela na papierze milimetrowym, 23 7/16x17 3/4 cali
4. *Axial Figure (Personage #4)*  
1959, akwarela, 23 5/8x17 5/8 cali
5. *Axial Figure (Personage)*  
1959, olej na płótnie, 26 3/4x45 1/2 cali
6. *Axial Figure no 38*  
1960, olej na płótnie, 62x22 3/4 cali
7. *Axial Figure no 68*  
1960, olej na płótnie, 79x27 1/2 cali
8. *Axial Figure no 76*  
1960, olej na płótnie, 79x27 1/2 cali
9. *Axial Figure no 90*  
1960, olej na płótnie, 57 3/4x35 3/8 cali
10. *Axial Figure no 154*  
1962, olej na płótnie, 51 1/4x63 3/4 cali
11. *Axial Figure no 197*  
1963, olej na płótnie, 51x31 3/4 cali



12. *Axial Figure*  
1963, gwasz, 11x17 3/8 cali
13. *Animal II* (z cyklu *Creatures Abominables*)  
1963, olej na płótnie, 24 1/8x65 5/8 cali

San Francisco Museum of Modern Art

1. *Personnage*  
1960, gwasz na papierze milimetrym, 22 1/2x16 3/4 cali

The Snite Museum of Art

University of Notre Dame, Notre Dame, Indiana

1. *Axial Figure*  
1959, olej na płótnie, 31 1/2x15 3/4 cali

\*

Museum of Modern Art, New York

Rysunki Lebensteina w Study Collection w Department of Drawings. Podarowane muzeum przez dr. Arthura Lejwę i jego żonę Madeline Chalette-Lejwa, 23 marca 1976 roku. Wszystkie rysunki pochodzą z 1961 roku.

- |  |   |
|--|---|
| <ol style="list-style-type: none"> <li>1. <i>Figure</i><br/>rysunek długopisem na papierze milimetrym, kartka 5 1/2x4 7/8 cali (14x12.4 cm)<br/>podpisany w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 136.76</li> <li>2. <i>Figure</i><br/>rysunek długopisem na papierze milimetrym, kartka 5 3/4x5 1/4 cali (14.5x13.4 cm)<br/>podpis w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 137.76 a–b</li> <li>3. <i>Figure</i><br/>rysunek długopisem na papierze milimetrym, kartka 5 1/2x5 5/8 cali (14x14.3 cm)<br/>podpis w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 138.76</li> <li>4. <i>Figure Axiale</i><br/>rysunek długopisem na papierze milimetrym, kartka 5 7/8x5 5/8 cali (15.1x14.3 cm)<br/>podpis w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 139.76</li> <li>5. <i>Figure Axiale</i><br/>rysunek długopisem na papierze, kartka 5 1/2x5 5/8 in (14x14.3 cm)<br/>podpis w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 140.76</li> <li>6. <i>Figure Axiale</i><br/>rysunek długopisem na papierze,</li> </ol> | <ol style="list-style-type: none"> <li>7. <i>Figure Axiale</i><br/>rysunek długopisem na papierze milimetrym, kartka 5 5/8x5 5/8 cali (14.3x14.3 cm)<br/>podpis w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 141.76</li> <li>8. <i>Figure Axiale</i><br/>rysunek długopisem na papierze, kartka 5 3/4x5 1/4 cali (14.6x13.4 cm)<br/>comp. 5 5/8x2 7/8 cali (14.3x7.3 cm)<br/>podpis w lewym dolnym rogu — <i>Lebenstein</i> 143.76</li> <li>9. <i>Figure Axiale</i><br/>rysunek długopisem na papierze, kartka 5 3/4x5 3/8 cali (14.5x13.7 cm)<br/>podpis w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 144.76</li> <li>10. <i>Figure Axiale</i><br/>rysunek długopisem na papierze milimetrym, kartka 6x4 cali (15.1x10.2 cm)<br/>podpis w dolnym prawym rogu — <i>Lebenstein</i> 145.76</li> </ol> |
|--|---|

11. *Figure Axiale*  
rysunek długopisem na papierze,  
kartka 5 3/4x5 3/8 cali (14.5x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
146.76
12. *Figure Axiale*  
rysunek długopisem na papierze,  
kartka 5 1/2x5 3/8 cali (14x13.2 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
147.76
13. *Figure Axiale*  
rysunek długopisem na papierze,  
kartka 5 3/8x5 3/8 cali (13.7x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
148.76
14. *Figure Axiale*  
rysunek długopisem na papierze,  
kartka 5 1/2x5 cali (14x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
149.76
15. *Figure Axiale*  
rysunek długopisem na papierze milimetrowym,  
kartka 5 3/8x5 cali (13.7x12.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
150.76
16. *Figure Axiale 64*  
rysunek długopisem na papierze milimetrowym,  
kartka 5 3/8x5 3/8 cali (13.7x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
151.76
17. *Figure Axiale no 66*  
rysunek długopisem na papierze milimetrowym,  
kartka 5 3/8x5 1/4 cali (13.7x13.3 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
152.76
18. *Figure Axiale 78*  
rysunek długopisem na papierze milimetrowym,  
kartka 5 3/4x5 3/8 cali (14.2x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
153.76
19. *Figure Axiale 79*  
rysunek długopisem na papierze,  
kartka 5 3/4x5 3/8 cali (14.3x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
154.76
20. *Figure Axiale no 82*  
rysunek długopisem na papierze,  
kartka 5 3/8x5 3/8 cali (13.7x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
155.76
21. *Figure Axiale 97*  
rysunek długopisem na papierze,  
kartka 5 1/2x5 3/8 cali (14x13.7 cm)  
podpis w dolnym prawym rogu — *Lebenstein*  
156.76

## Jan Lebenstein — wybrana bibliografia amerykańska

### Książki

- Art since 1945*. New York 1958  
*Encyclopedia of World Art*. New York 1961  
Seuphor Michel, *Abstract Painting*. New York 1961  
Kranz Kurt, *The Revealing Experience*. New York 1964  
Pellegrini Aldo, *New Tendencies in Art*. New York 1966  
Selz Peter, *Seven Decades. 1895–1965. Cross-currents in Modern Art*. New York 1966  
Arnason Harvard H., *History of Modern Art*. New York 1968  
Kronhausen Eberhard, Kronhausen Phyllis, *Erotic Art*. [2<sup>nd</sup> ed.]. New York 1970  
*Art since Mid-Century. The New Internationalism*. Vol. 1: *Abstract Art*. New York 1971  
*Praeger Encyclopedia of Art*. New York 1971  
*The Hirshhorn Museum and Sculpture Garden*. New York 1974  
Judd Donald, *Complete Writings: 1959–1975*. New York 1975  
Barr Alfred H., jr., *Painting and Sculpture in the Museum of Modern Art. 1929–1967*. New York 1977  
*New Art around the World*. New York 1977  
*Contemporary Art and Artists*. Westport 1978  
*Contemporary Artists*. [2<sup>nd</sup> ed.]. New York 1983  
Jordanowski Stanisław, *Vademecum malarstwa polskiego w USA*. New York 1988  
*Contemporary Artists*. [3<sup>rd</sup> ed.]. Chicago 1989  
*Contemporary Artists*. [4<sup>th</sup> ed.]. New York 1996

### Artykuły

- Michelson Annette, [Paris], *Arts* 1959 vol. 34, S. 17  
Hagen Yvonne., *Jan Lebenstein*, *The New York Tribune*, 23 XII 1959  
Canaday John, *Growing Pains*, *The New York Times*, 25 XII 1960, il.  
Kozloff Max, *New York Letter*, *Art Journal* 1961 vol. 20, S. 57–65, il.  
*Abstract Art from Poland*, *Arts Magazine* 1961 vol. 35, S. 28–29, il.  
C.S.S., *Six Polish Painters*, *Art News* 1961 vol. 60, S. 18  
*Surge of Freedom*, *Newsweek* 24 IV 1961 S. 92, il.  
Canaday John, *15 Polish Painters*, *The New York Times*, 1 VIII 1961, il.  
Canaday John, *Fifteen Polish Painters*, *The New York Times*, 6 VIII 1961, il.  
D'Otrange Mastai Marie Louise, *Fifteen Polish Painters at Museum of Modern Art*, *Apollo* 1961 vol. 75, S. 79–80, il.  
Jeleński Konstanty A., „L'Art Informel” and Nonconformi, *Arts Magazine* 1961 vol. 36, S. 52–59, il.  
Roditi Edouard, *The Turn of the Tide?* *Arts Magazine* 1962 vol. 36, S. 25–28, 78, 80  
Canaday John, *The Mysterious Visitors*, *The New York Times*, 1 IV 1962, il.  
L.L., *Jan Lebenstein*, *Art News* 1962 vol. 61, S. 16  
Umbro Apollonio, *Jan Lebenstein*, *Art International*, V 1962, S. 92–94, il.  
Judd Donald, *Jan Lebenstein*, *Arts Magazine* 1962 vol. 36, S. 97–98  
Field Virginia, *Visit to Poland*, *Art Journal* 1963 vol. 22, S. 158–166, il.  
S.C.F., *Jan Lebenstein*, *Art News* 1963 vol. 62, S. 14  
D'Harnoncourt Rene, *When is Art „Modern Art”?* *The New York Times Magazine*, 24 V 1964, s. 17, il.  
Cogniat Raymond, *The Anguish of a Poet*, *Studio International* 1965 vol. 169, S. 240–245, il.

- Cutler Carol, *Paris not so French*, *Art in America* 1966 vol. 54, S. 106–109, il.
- Whitford Frank, *Polish Commentary: Internationalism and the Present Scene*, *Studio International* 1966 vol. 172, S. 212–215, il.
- Canaday John, *Show on Print Buyer's Hazard*, *The New York Times*, 18 XI 1972
- Genauer Emily, *Art and the Artist*, *The New York Post*, 2 XII 1972, il.
- M.C., *Jan Lebenstein i Jego Świat*, *Tydzień Polski*, 2–3 XII 1972, s. 3, il.
- Brunelle Al, *Jan Lebenstein*, *Art News* 1972 vol. 71, S. 68
- Schultze Franz, *Jan Lebenstein at Michael Wyman*, *Art in America* 1973 vol. 61, S. 106–107
- Wortz Melinda, *Contemporary Polish Artists at Pape-Ruddy*, *Arts Magazine* 1974 vol. 49, S. 27, 31, il.
- Micha Rene, *La Peinture Polonaise Au XX Siecle*, *Art International* 1976 vol. 20, S. 8–13, 22, il.
- Gibson Michael, *The Effect of Gamma Rays on Curators*, *Art News* 1981 vol. 80, S. 161
- Paryskie spotkanie ku czci Jana Lebensteina*. *Nowy Dziennik—Przegląd Polski*, 13 VI 1985, S. 13
- Czapliński Czesław, *W oczekiwaniu na wystawę Lebensteina*, *Nowy Dziennik—Przegląd Polski*, 24 X 1985, S. 12–13, il.
- Czapliński Czesław, *Lebenstein*, *New Horizon* 1986, vol. 14, S. 1, 10, il.
- Lebenstein Jan, *Jedynie Apokalipsa się spełni...* Rozm. A. Przekaziński i D. Wróblewska, *Nowy Dziennik—Przegląd Polski*, 22 I 1987, S. 8–9, il.
- [Profile]. *Jan Lebenstein*, *Periphery* 1995 vol. 1 nr 1, S. 96; oraz ilustracje J. Lebensteina do *Historii W. Gombrowicza*, S. 58–69
- Pietrzyk-Małysa Wanda, *Jan Lebenstein — Demiurg Sztuki*, *Nowy Dziennik—Przegląd Polski*, 3 IV 1997, S. 8–9, il
- Kapera Jan K., *Jan Lebenstein albo o przyjaźni malarza, muzyka i uczonego słów kilka*, *Nowy Dziennik*, 4 XII 1998, S. 9,12, il.

#### Katalogi wystaw

- Six Contemporary Polish Painters*. New York, Galerie Chalette, 1961. Wstęp: Janusz Bogucki
- Fifteen Polish Painters*. New York, Museum of Modern Art, 1961. Wstęp: Peter Selz
- Jan Lebenstein: Paintings, Gouaches, Drawings*. New York, Galerie Chalette, 1962. Wstęp: Jean Cassou. Biografia Artysty: Madeleine Chalette-Lejwa
- Paintings from the Museum of Modern Art*. Washington, National Gallery, 1963
- Polish Art from the Collection of Mr. and Mrs. M.A. Lipschultz*. River Forest, Rosary College, 1966
- Jan Lebenstein: Recent Paintings. Gouaches*. New York, Bodley Gallery, 1972. Wstęp: Mary McCarthy
- A Discovering Eye. The Podl Collection*. Chicago, Polish Museum of America, 1993
- Contemporary Warsaw Masters*. Chicago, The Society for Arts, 1996. Wstęp: Bożena Kowalska

SZKICE I PRZYCZYNKI

---

## ***NAGLE URODZONA MIŁOŚĆ*** **(J. ŁOBODOWSKI W HISZPANII)<sup>1</sup>**

Irena SZYPOWSKA (Warszawa)

„Nagle urodzona miłość  
nie zestarzała się dotąd, nie zwiędła,  
i miasto jest mi dzisiaj jak stara legenda,  
w której się śniło, lecz nic nie ziściło.”  
(J. Łobodowski, *Noc nad Madrytem*)

W 1943 roku po raz pierwszy zobaczył Łobodowski Madryt i spodobało mu się to miasto<sup>2</sup>. W następnym roku spędził w nim kilka miesięcy i bardziej je polubił, a w lipcu 1945 zamieszkał na stałe tam, gdzie „ledwie się sączy chudy Manzanares”.

Pierwszym Polakiem, jakiego spotkał w Madrycie, był Juliusz Babecki, ożeniony z Hiszpanką, ówczesny delegat PCK przy ambasadzie brytyjskiej w Madrycie (pierwszym był książę Władysław Radziwiłł). Rodzina Babeckich zapewniła Łobodowskiemu oparcie i opiekę w pierwszych latach pobytu w Hiszpanii. Delegat cenił przybysza jako wybitnego poetę i inteligentnego rozmówcę, a przy tym erudytę, świetnie znającego historię i dobrze zorientowanego w politycznej sytuacji Europy. Przewidywał trafnie, że jego indywidualność zaznaczy się korzystnie na wspólnych pracach podejmowanych przez Polaków osiadłych w Hiszpanii. To sprawiło, że z poczuciem humoru i wyrozumiałością przyjmował jego prowokacyjny sposób zachowania, zwłaszcza wobec wysoko urodzonych rodaków oraz utytułowanych i nadzwyczaj bogatych cudzoziemców, z którymi Babeccy utrzymywali przyjazne i towarzyskie kontakty. Sympatię tę, bardzo mocno

---

<sup>1</sup> Poniższy tekst zawiera wybrane przez Redakcję fragmenty rozdziałów IX, X i VIII przygotowanej do druku monografii Józefa Łobodowskiego „Od atamana Łobody do *señora Lobo*” autorstwa Ireny Szypowskiej.

<sup>2</sup> Józef Łobodowski w sierpniu 1941 usiłował przedostać się przez Pireneje i Hiszpanię do Anglii. Aresztowany przez policję hiszpańską został osadzony w więzieniu w Figueras, gdzie pozostawał do lutego 1943. (Red.)

odwzajemnioną, odziedziczyła po ojcu Karolina, dodając do tego dziewczęce uwielbienie dla „prawdziwego” poety, przekształcone potem w lojalną gotowość pomocy zawsze, gdy zachodziła potrzeba.

Z tego pierwszego okresu pochodzi żartobliwy list do Linki, napisany przez poetę 12 lipca 1944 roku nad morzem Śródziemnym, dokąd się udał po prostu dla przyjemności na zasłużone powojenne wakacje. Przepisuję ten list z oryginału, który mi ofiarowała adresatka:

„Ohydna Elefantyno!

Jestem w Barcelonie! Wycieczka była cudowna. Sześćset km na pedałach. Komary gryzły, na nogach porobiły się bąble, ale za to kąpałem się w górskich rzekach, widziałem kilka pięknych wschodów i zachodów, słuchałem śpiewu ptaszków, słowem te wszystkie rozkosze, które nigdy nie będą udziałem nędznych mieszczuchów i są niedostępne dla ohydnej Elefantyny, bo by jej nogi w kostkach połamały się zaraz na piątym kilometrze!

Niech żyje poezja i turystyka, czyli turyści piszący wiersze, czyli wiersze chodzące na spacer, czyli poeci uprawiający turystykę! Precz z myślami, tumanami i harryliedkizmem! (Wtrącić tu muszę, że ksiądz Liedtke kierował Towarzystwem Pomocy Polakom — I.Sz.)

Elefantynko! — jestem roztrzępany i zapomniałem na śmierć o jednej rzeczy. W szafie wśród moich szpargałów znajdują się dwie *carpety* żółte z wierszami itd., których potrzebuję. Jeśli będzie jakaś okazja w tych dniach, przysłać proszę koniecznie. Odpisać. Tłumaczyć *Tauromachię*.

Czołem, społem, niebawem. Pozdrowienia dla Koniczka, Taty, Ryłskiego

J. Łobodowski”

Wakacje wakacjami, ale oddawać się wyłącznie rozkoszy słodkiego nieróbstwa — to nie było w stylu Łobodowskiego. Zawsze coś pisał, zawsze miał na warsztacie jakieś wiersze lub artykuły. Ledwie więc dotarł do Barcelony, już odczuł brak swoich żółtych teczek z rękopisami.

Z Karoliną Babecką spotykałam się wielokrotnie w Madrycie w latach 1981–1992. Zwykle zachodziłam po nią do jej butiku *Linkaya* i czekając na wyjście klientki rzucałam okiem na eleganckie kreacje, ale podziwiałam portrety i pejzaże Pedro Borela, znanego malarza, nie żyjącego już męża Karoliny. Potem szłyśmy coś zjeść do którejś z pobliskich restauracji. Obie lubiłyśmy merluzę — pyszną rybę morską z dobrym białym winem. Potem jakiś deser, kawa. Opowiadała mi wtedy o Łobodowskim, z którym pracowali razem w polskiej audycji i w redakcji „Polonii”. Linka jest atrakcyjną kobietą, wysoką i zgrabną, pełną temperamentu, mającą mnóstwo wdzięku i dar zjednywania sobie przyjaciół miłym usposobieniem i poczuciem humoru, gościnnością i bezpośredniością odnoszenia się do ludzi. Już podczas pierwszego spotkania poczułam się dobrze w jej towarzystwie.

Mówiła mi, że zarówno poselstwo jak i PCK pomagały Łobodowskiemu, chociaż było to trudne, bo pił i awanturował się właśnie w takich sytuacjach, które były specjalnie tworzone po to, by uzyskać dla niego jakieś stypendium, dotację, czyli po prostu pieniądze, których zawsze potrzebował. Pewnego razu pani Babecka urządziła przyjęcie dla księcia Hernani i dla księcia Platera. Na stole postawiła wazon z mocno pachnącymi gardeniami, mającymi zagłuszyć ewentualny naturalny zapach poety. Obaj utytułowani przybyli punktualnie, ale na Łobodowskiego trzeba było czekać godzinę. Wreszcie dzwonek, po chwili służąca dyskretnie wywołuje panią. Okazuje się, że *senior Lobo* jak go nazywali Hiszpanie, (*lobo* — znaczy wilk) ledwie się trzyma na nogach. Coś trzeba zrobić. Panie puszczają wody do wanny, w nadziei, że kąpiel go otrzeźwi. *Don José*,

zostawiony sam, wchodzi w ubraniu do wanny i po chwili, ociekający wodą, zjawia się w salonie. Schnie, a jego ubranie czuć coraz bardziej. W dodatku ostentacyjnie zwraca uwagę na efektowny złoty zegarek Platera. Linka zapamiętała, że to się nawet podobało jej ojcu, bo nie przepadał za nadętym właścicielem czasomierza. Ale w tej sytuacji załatwienie subwencji było już nadzwyczaj trudne!

Zapraszano poetę także na wernisaże Pedro Borela. Bywało na nich najlepsze towarzystwo, arystokracja, bankierzy, artyści. O poziomie kulinarnym przyjęć świadczy to, że podawano aperitify od Chicota z Gran Vía, najbardziej znanego lokalu w Madrycie. Łobodowski, jeśliby zrobił dobre wrażenie, mógłby skorzystać ze znajomości z ludźmi tam bywającymi. Korzystał w sposób specyficzny. Pewnego razu rzucił się na wielkiego bankiera jak Don Kichot żądający uznania dla swojej Dulcyniei: „Jeśli nie przyzna pan, że to są najpiękniejsze nogi na świecie (nogi żony malarza) to...” I pokazał swoje muskuły i pięści.

Pewnego razu wydano obiad, na którym Łobodowski miał poznać osobiście profesora Matero, wielką sławę. Panowie przypadli sobie do gustu i lekko zawiani opuścili jednak szczęśliwie dom pani Babeckiej. Od razu pojechali do instytutu podpisać jakąś umowę. Tam jednak *don José* już nie wytrzymał. Gdy profesor opuścił go na chwilę, chwycił drabinę malarską (był remont) i zaczął z nią chodzić po całym gmachu, a potem wszedł do pokoju maszynistek i rzucił się do nóg jednej z nich z wyrazami uwielbienia. Profesor oderwał go z wielkim trudem, wyprowadził i nawymyślał mu w samochodzie. Łobodowski w odpowiedzi tak serdecznie go ścisnął, że fajkę, którą miał w kieszeni, złamał profesorowi zębro.

Ileż takich anegdotek opowiedzieli mi przyjaciele poety w czasie naszych spotkań, kiedy jego już zabrakło! Wynikało z nich, że Łobodowski był nieznośny, ale i kochany, drażniący, ale i pożądanym, nieobliczalny, ale niezastąpiony. Jego odejście polski Madryt boleśnie odczuł. Ale lubili go także Hiszpanie. Na czym opierała się ta sympatia? Może wyjaśni to fraszka:

*Niewyparzeni w gębie i do bitki skłonni,  
niestowni, niezaradni, hardzi, nieporządni;  
gdy trzeba się postawić, własne portki sprzeda,  
a u góry bałagan, a w komorze bieda,  
piękne gesty na wynos i miny kogucie.  
Był tu kiedyś dobrobyt, ale szybko uciekł,  
więc nikogo na świecie nie szacują taniej.  
Czy to fraszka na Polskę? Nie, to na Hiszpanię...*

Łobodowski przybył do Madrytu jako trzydziestoczteroletni mężczyzna, odszedł — z miasta i z tego świata w siedemdziesiątym dziewiątym roku życia. Poznał Madryt i opiewał go w wierszach tak jak Lublin, miasto swej młodości. Z goryczą jednak stwierdzał: „Emigranci nie mają domu, choćby mieszkali w luksusowych willach z pięknym ogrodem i luksusowym samochodem w garażu. Nie mają domu, bo jego fundamenty nie mają pod sobą ojczyźnej ziemi. Ale zdarza się, że ojczyzna staje się obca i dom przestaje być domem”. Tę myśl zapisał jesienią 1974 w dużym niebieskim notesie. Miała ona charakter ogólny, ale odnosiła się przede wszystkim do autora tych słów. Będąc bezdomnym w sensie dosłownym i przenośnym musiał przynajmniej mieć swoje, choćby zastępcze, miejsce na ziemi, swoje miasto. Budował je, chłonąc wszystkimi zmysłami jego kształty, barwy i wonie, wydeptując stopami jego kamienie, studiując jego przeszłość, poznając mieszkańców, wgłębiając się w tajniki mowy.

Najlepszej woli i wielkiego wysiłku wymagało uczynienie Madrytu miastem bliskim i ukochanym, a Hiszpanii przybraną ojczyzną. Czy osiągnął to? Z jego poezji nigdy nie zniknęły zachwyty i tęsknota do ziemi ojczystej, choć pojawił się sentyment do miasta nad Manzanares, sentyment, który w miarę upływu czasu rósł, ale ogarniał raczej miasto z pierwszych lat pobytu, bardziej swojskie i pełne nadziei niż późniejsze — wypełniające się poczuciem niespełnienia.

*Jest późna jesień i jeżeli w Guadarramie  
śnieg wczoraj upadł, lodowaty wiatr  
powieje miastem. Ileż trzeba lat,  
by te ulice tak mocno wydeptać,  
aż stopę twoją poznają na pamięć?  
Wspomnij samego siebie w drzew uśpionych szeptach,  
ich głos na pewno twym myślom nie skłamię,  
jest taki sam jak wtedy, gdy przedwczesna zamieć  
tu cię przyniosła i rzuciła  
na łaskę losu.*

Jest to początek wiersza *Noc nad Madrytem*. Przysłał mi go autor do Warszawy, gdy prosiłam o jakiś utwór przedtem nie publikowany, aby go dołączyć do tekstu rozmowy z nim, drukowanej w „Poezji” w 1988 (nr 6).

Przez czterdzieści pięć lat Madryt zmieniał się, stawał się coraz zamożniejszy, coraz świetniejszy, nabierał rozmachu i upodabniał do innych europejskich metropolii. Łobodowski jednak, podobnie jak rdzenni starzy mieszkańcy, stwierdzał ze smutkiem, że po Madrycie, który był jego miastem, zostały tylko „żałosne szczątki, nieskoordynowane fragmenty, niczym ruiny starożytnego Pestum”. On z sentymentem wspominał biedny powojenny Madryt, będący nie tyle, albo nie tylko, jedną ze wspaniałych stolic naszego kontynentu, ale ośrodkiem życia Kastylii, prowincji pulsującej własnym rytmem. W małym notesie, prowadzonym w kwietniu i maju 1980 roku znalazłam *Requiem dla miłego miasta*<sup>3</sup>, czyli wspomnienie tego, czego już nie ma:

„Chodziły jeszcze przedpotopowe tramwaje, tak powolne, że można było doganiać je w biegu, samochodów widziało się bardzo mało, prawie wszystkie ciągnęły za sobą przyczepki zwane *garaganami*. Bojkot gospodarczy spowodował brak benzyny, owe *garagany* to były piecyki, w których palono drewniane polana i gorące powietrze wraz z gazem dochodziło do motorów. Ach, i jeszcze można było złapać staromodną jednokonną dryndę z tradycyjnym «simonem» na koźle.

Coraz to w ludniejszych miejscach przystawały grające szafy, czyli *organillos*, ciesząc swymi tanecznymi melodiami, ale także ariami z operetek, jakże popularnych w owym okresie, a zwanych tu *zarzuelas*. W niezliczonych barach i kawiarniach urzędowali czyściciele butów, *limpiabotas*, mający swoją stałą klientelę. Można było także kupić u nich papierosy, cygara, bilety na najbliższą *corridę*, a nawet losy loteryjne. Zawód pucybuta nie był uważany za uwłaczający godności osobistej. W nieistniejącym już dziś barze Padilla pracował starszy jegomość, który uprzednio objechał pół świata, nieźle znał francuski i angielski, zwracano się do niego z szacunkiem per *don Ramón* i można było zaobserwować, jak wzięty adwokat, znany doktor albo major w mundurze, po zapłaceniu za wypucowanie butów na glanc, podawali mu ręce, częstowali papierosem i żegnali się uprzejmie: *Gracias, don Ramón, hasta la vista!* (dziękuję, do widzenia!)

<sup>3</sup> Zob. J. Łobodowski, *Podzwonne po miłym mieście*, Wiadomości 1981 nr 3 (1816). (Red.)



W pewnych porach roku pędzili stada owiec do Ekstramadury w poszukiwaniu pastwisk. Dziś już tego spektaklu nie uświadczymy, ale w tamtych czasach widywało się go często: przodem szło paru pasterzy spalonych na brąz przez słońce, za nimi kierdel ciasno zbity w kupę i opędzany z boków przez uważne owczarki. I całe towarzystwo waliło spokojnie przez ulicę Alcalá, Plaza Independencia, Cibeles, Gran Vía, przez sam środek Madrytu. Policjanci pomagali psom, pilnując, aby się żadna owca nie urwała, a nieliczne samochody cierpliwie czekały, aż się ta wiejska ferajna przewali ku południowym dzielnicom stolicy. Niezapomniane wrażenie.”

Szczególnie mocno przeżywał poeta tradycyjne uroczystości odprawiane w Wielkim Tygodniu. Jeszcze teraz w bardzo wielu małych miasteczkach w nocy w Wielkim Tygodniu odtwarzane są na placach i ulicach, w kilku punktach niedalekich od siebie, główne sceny z męki pańskiej i zmartwychwstania. W tym spektaklu bierze udział cała ludność: jedni jako aktorzy, inni jako widzowie. Oglądałam to widowisko w Carabaña, niedaleko Madrytu. Mała dziewczynka, córeczka znajomych, nagle chwyciła mnie za rękę i wyszeptała głosem pełnym współczucia: *pobre Antonio!*, rozpoznając w postaci Chrystusa swego kuzyna przybijanego do krzyża. Za to potem następuje rekompensata: zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu towarzyszą nadzwyczajne efekty świetlne i dźwiękowe — sztuczne ognie i triumfalna muzyka. Wszystkich ogarnia radość i poczucie braterstwa. W Wielki Piątek w samym Madrycie można jeszcze teraz zobaczyć procesję pokutną, w której idą ludzie bosi, w habitach z kapturami nasuniętymi na twarze, niosący krzyże lub ciągnący łańcuchy.

„Trzeba było być w Wielkim Tygodniu w Madrycie i w innych miastach hiszpańskich — pisze Łobodowski. Procesja swoją drogą, ale trzeba było widzieć te tłumy kobiet, głównie młodych dziewcząt, które w Wielki Czwartek i Piątek wylegały na ulice w czarnych, jednakowych sukniach, w równie czarnych koronkowych mantylkach, spiętych na wysokich grzebieniach. Ten strój uzupełniały różańce, modlitewniki i kwiaty: czerwone goździki, albo żałobne fiołki. W tym roku łąziłem parę godzin po ulicach i upolowałem dwie starsze panie tradycyjnie ubrane. Jak szybko zanikają w tym kraju najpiękniejsze zwyczaje!” Dziewczęta w czarnych sukniach i koronkowych mantylkach wkrótce powrócą do naszej opowieści, tymczasem jednak czytamy dalej *Requiem*:

„Madryt jest miastem stosunkowo młodym, stolicą stał się po raz pierwszy za Filipa II, ustalił się w tej roli w kilkadziesiąt lat później, rozrósł się i ozdobił dopiero za Burbonów, głównie za Karola III. Do historii przeszedł bardziej jako znakomity burmistrz Madrytu niż król hiszpański. Z pomników architektury, które powstały za jego panowania, wymienić należy przede wszystkim Łuk Triumfalny na Placu Niepodległości, wsparty na czterech potężnych kolumnach (a więc trzy łuki). Został zbezczeszczonej wielkości portretem Lenina, Stalina i Woroszyłowa. Oczywiście, oglądałem go tylko na fotografii. Gran Vía podczas wojny domowej nazywała się Avenida de Russia.

Najpiękniejszą ulicą w tamtym Madrycie była Castellana, długa arteria idąca jak sierpem rzucił od Cibeles aż na podmiejskie wydmuchy. Domów czynszowych tam prawie nie było — wielkopańskie pałace i renesansowe, barokowe, rokokowe w stylu Drugiego Cesarstwa. Tych pałaców już nie ma, poszły na złom, a na ich miejsce powyrastały masywy banków i bardzo brzydkie drapacze chmur. Chyba właśnie na tym odcinku zadano Madrytowi najgorszy, najbardziej barbarzyński cios. Definitywny i nieodwołalny.”

Wojna domowa skończyła się w 1939 roku, ale zniszczenia były ogromne. Łobodowski pamięta: „*Ciudad Universitaria* (miasteczko uniwersyteckie) leżało w ruinach i dopiero zaczęto je odbudowywać. Przez blisko trzy lata przebiegał tedy front wojny do-

mowej i walka toczyła się często w tym samym gmachu, gdy republikanie siedzieli na dolnych piętrach a *nacionales* (narodowi) na górnych. Zanim przystąpiono do odgruzowania, trzeba było najpierw oczyścić teren od min i pocisków, które nie wybuchły. Najpierw szli saperzy, dopiero po nich murarze.

W 1940 Madryt miał milion mieszkańców. W 1950 — jeden milion sześćset tysięcy, teraz cztery miliony. Stało się to na skutek imigracji. Było dużo nędzy. Po zniszczeniach przewlekłej wojny domowej, Hiszpania miałaby szansę na szybkie odrodzenie, gdyby nie to, że w kilka miesięcy później wybuchła druga wojna światowa. Podczas pierwszej państwa neutralne zarabiały i bogaciły się, teraz stało się odwrotnie. Franco nie dał wciągnąć Hiszpanii do wojny. *El Duce*, Mussolini skończył na rzeźnickim haku w Mediolanie, Franco żył jeszcze trzydzieści lat. Gdy skończył się bojkot dyplomatyczny i gospodarczy, kraj zaczął szybko dźwigać się z gruzów i stawać na nogi. Po paru kolejnych amnestiach rozładowały się więzienia przepełnione uprzednio więźniami politycznymi. Intensywnie rozwijał się przemysł, zarobki szły w górę, choć na dobrobyt trzeba było jeszcze poczekać sporo lat. Zniesiono plagę pierwszego okresu powojennego: kartki żywnościowe [...]. Jeszcze w drugiej połowie lat czterdziestych Madryt zapadał wieczorami w egipskie ciemności, nieco później tonął w powodzi świateł. Większość barów i lokali publicznych pozostawała otwarta do drugiej i trzeciej godziny nad ranem. Śródmieście było bardziej ożywione, ludne o północy niż w południe. Obecnie ludzie idą spać wcześniej, gdyż łożenie w późnych godzinach stało się niebezpieczne. Zbrojne napady, zamachy, porywanie dziewcząt, «asfaltowa dżungla» itp. [...].

...tamtego Madrytu, jaki kiedyś lubiłem już nie ma i nigdy nie będzie. Ach nie! Nie chcę przesadzać! Spotykam jeszcze dość często starsze osoby, których obecność sprawia, że za wcześniej na definitywny pogrzeb. Ale należą do pokolenia odchodzącego.

Na zakończenie tych żalów sprawa najważniejsza i najboleśniej mnie dotykająca. Wina. Przez długi czas o jego fałszowaniu w Hiszpanii nie było nawet mowy. Przyszło z zagranicy razem z innymi nowinkami: z wyjcami na scenach, w radio i telewizji, z łańcuchami, nazywanymi tańcem, z pornografią, z dżinami i innym paskudztwem.

Istnieje porzekadło: *Al pan — pan, al vino — vino*. (Chleb nazywaj chlebem, wino — winem.) Tak było zawsze. A dziś, gdy prosisz szklanekę wina, nie wiesz, czy zrodziła go uczciwa winna latorośl, czy dłoń szalbierskiego chemika. Tylko głębokiej wsi ta zbrodnia jeszcze nie dotknęła [...].

Mieszkam w ciasnym pensjonarskim pokoiku, zawalonym aż do sufitu papierami i książkami, więc nie lubię w nim pracować. Chodzę do baru, piszę teksty ołówkiem, a potem wpadam do pensjonatu, by je szybko przepisać na starym, ale wciąż jeszcze dziarskim Remingtonie (trzydziesty drugi rok w ciągłym użyciu). Oczywiście, przepisywanie gotowych tekstów na maszynie idzie szybko, więc większość czasu spędzam w barze, co wymaga ciągłych wydatków na czerwone wino. Z koniaku zrezygnowałem już dawno, wódkę pijam parę razy w roku od wielkiego dzwonu, whisky tylko podczas rzadszych wypadów do Londynu. Więc czerwone wino (po hiszpańsku *vino tinto*).

Może to tylko podzwonne po moim pokoleniu, po moim sposobie odczuwania i myślenia, po mnie samym, po moich planach i nadziejach? Właśnie wpadła do baru pięcioletnia dziewczynka, moja dobra znajoma z wielkim brytanem, którego trzyma na smyczy, zaraz go uwiąże przy balustradzie schodów i podejdzie do stolika, aby mnie poprosić o pięć peset, lubi grać na rozrywkowej maszynie, a że jest za mała, przystawia krzesło i gramoli się na nie z wielkim trudem.

Bar znajduje się w dzielnicy przylegającej do miasta uniwersyteckiego, więc roi się tu od studentów i studentek, dopiero wchodzących w dorosłe życie. Są mili, radośnie uśmiechnięci, palą papierosy, piją piwo i brzydko klną, co już tu się stało powszechnym obyczajem i nikogo nie dziwi. Politycznie są — prawie wszyscy! — niedorozwinięci, nie

mający pojęcia o śmiertelnych niebezpieczeństwach, zagrażających temu miastu, temu światu i im wszystkim. Nie słyszą dzwonów, bijących na alarm, a mój pesymizm, gdy od czasu do czasu otwieram gębę, przypisują zgorzkniałej starości. Oby ich nieświadomość okazała się słuszniejsza od moich złych przeczuć. Oby!”

W tej samej dzielnicy, możliwe nawet, że w tym samym barze, trzydzieści lat wcześniej także spotykał Łobodowski studentów, ale tamci słuchali go z podziwem i aprobatą, choć niewiele był starszy od nich.

W okresie powojennym działała w Europie Katolicka Organizacja Pomocy Studentom z Krajów Okupowanych przez Komunistów *Pax Romana* zajmująca się byłymi żołnierzami ze wschodniej części Europy. Jej prezesem był Hiszpan Ruiz Jiménez, późniejszy ambasador przy Watykanie i minister oświaty. Zachęcał on młodych do osiedlania się za Pirenejami, gdzie kandydaci na studia mogli liczyć na pomoc instytucji *Obra Catolica de Asistencia Universitaria*. Mieli zapewnione bezpłatne studia, wyżywienie, ubranie, podręczniki i komunikację. Żadne państwo europejskie nie przyjmowało tak chętnie i nie pomagało tak skutecznie. Madryt przeznaczony dla cudzoziemskich studentów sześciopiętrowy gmach w miasteczku uniwersytetu Complutense. W ośrodku studenckim mieszkali oprócz Polaków Ukraińcy (przeważnie dawni członkowie UPA i SS Galizien będący absolwentami polskich gimnazjów ze Lwowa i okolic, często nie znający języka ukraińskiego, ale uprzedzeni do Polaków), Białorusini, Bułgarzy, Węgrzy, Słowacy, Chorwaci i Litwini. Naprzeciwko był drugi dom dla studentów z Ameryki Łacińskiej, stąd bliskie wzajemne kontakty. Działał międzynarodowy chór, odbywały się imprezy sportowe, kwitło życie towarzyskie, tak ważne dla młodych ludzi przebywających z dala od rodzin i dawnych przyjaciół.

Hiszpanie przywiązywali wielką wagę do nowoczesnego i chrześcijańskiego wykształcenia *futuros dirigentes*, którzy w przyszłości mieli zająć w swych krajach wybitne stanowiska pozostając przy tym przyjaciółmi Hiszpanii. Polakami opiekowały się także rodzime organizacje. Najważniejszą było Towarzystwo Pomocy Polakom, pracujące najpierw pod kierunkiem księdza Antoniego Liedtke (który jednak bardzo wcześniej wrócił do Polski i zamieszkał w Tczewie, gdzie opiekował się zabytkowym kościołem) a potem pod kierunkiem Juliusza Babeckiego (późniejszego delegata PCK, jak już wiemy).

Zaraz po wojnie studiowało w Madrycie około pięćdziesięciu Polaków; najliczniejsi byli żołnierzami 2. Korpusu, zdobywcami Monte Cassino, dziewięciu dotarło ze Szwecji (ci nielegalnie opuścili kraj już po wojnie w obawie przed aresztowaniem i więzieniem za powojenną działalność konspiracyjną lub wojenną przynależność do „niesłusznych” organizacji), pewna liczba przybyła z Niemiec, gdzie pracowali przymusowo, niektórzy z Francji.

Łobodowskiemu powodziło się nieźle, potrzebował jednak towarzystwa. Ogromnie się ucieszył na wiadomość, że przyjeżdżają rodacy na studia do Madrytu. Gdy dowiedział się, że pociągiem z Walencji przybywa grupa Polaków, która znalazła się po wojnie w Szwecji, pojechał po nich na dworzec. Zaprzyjaźnił się z nimi, pomagał. Sytuacja Hiszpanii w tym czasie była bardzo trudna, wszystko było na kartki, nie było nawet chleba. Jego przyjaciele, ówcześni studenci, pamiętają do dziś, jak przynosił do akademika kilogramy słoniny i różne inne produkty, a Zbyszek Jankowski z Krakowa, najsprawiedliwszy i najbardziej pedantyczny, wszystko to dzielił po kawałku. „Józio był bardzo dobrym człowiekiem, a w nas zobaczył ludzi, wobec których tę swoją naturalną dobroć mógł realizować.” — Tę opinię po wielokroć i bardzo dobitnie powtarzał najbliższy przyjaciel Józia, Kazimierz Tylko, tak jakby bardzo mu zależało na tym, abym to właśnie zapamiętała przede wszystkim i powtórzyła dalej.

„Dawał wam dużo, ale i wy nie skąpiliście mu siebie, dostawał od was to, czego najbardziej na obczyźnie potrzebował” — odpowiadałam. „Przede wszystkim ważne było to — zgadzał się Kazek — że my byliśmy żywymi reprezentantami rzeczywistości polskiej, a nawet europejskiej, bo Józio i wśród studentów Ukraińców, co już stanowi razem sto osób, miał wysoką pozycję. Wszyscy, absolutnie wszyscy byliśmy zachwyceni jego poezją i stąd on zawsze mógł przedstawić swe utwory przed pierwszą, może nieważną, ale jednak krytyką. Tam, gdzie my i nasi koledzy mieszkali, miały miejsce pierwsze jego publiczne wystąpienia. Był niezrównanym recytatorem swych wierszy oraz dyskutantem w sprawach politycznych, społecznych, w sprawach ogólnych.” Potwierdzał to Mirosław Sokołowski: „Łobodowski miał pewną słabość, nie mówię tego w sensie pejoratywnym, bo wszyscy mamy słabości, u niego był to egocentryzm. Zaczynał każde zdanie od „ja”. Jego osobowość go do tego upoważniała. On potrzebował ludzi, którzy nie tylko go oklaskiwali, ale przede wszystkim słuchali go i znalazł tych ludzi. Łobodowski siedział korzeniami w naszej tradycji. I może to nas łączyło z nim? Bo my byliśmy wychowankami polskiego gimnazjum i liceum, przesiąkniętymi duchem polskiego romantyzmu i w Łobodowskim znaleźliśmy tę cudowną, wspaniałą nutę. Rozmawialiśmy na tej samej fali. Jemu można było coś szczególnego powiedzieć i on to słyszał. Ile razy mi powiedział: «Nie wylewaj waćpan wina!» kiedy potrąciłem szklanekę czerwonego wina, którą on zawsze miał pełną”.

Świeżo upieczeni studenci, mający za sobą nie uczniowską, ale żołnierską przeszłość, potrzebowali towarzystwa tego starszego trochę od nich, ale mającego młodzieńcze usposobienie, mężczyzny, człowieka o obyczajach swobodnych, znającego świetnie historię, czytanego w literaturze, błyskotliwego w rozmowie, tryskającego humorem, mówiącego barwnie i cudownie recytującego swoje wiersze. Uniwersytet kształcił zawodowo i wprowadzał w kulturę Hiszpanii. Łobodowski podtrzymywał poczucie narodowe i rozwijał rozumienie tradycji. I na tej zasadzie powstała nowa bohema, polsko-hiszpańsko-ukraińska, mająca swoje ulubione miejsca, swoje sposoby spędzania czasu. W jednym z barów, początkowo był to Palciacow, położony blisko miejsca zamieszkania studentów, stworzył dla najbliższych „biuro”, w którym co dzień od godziny wpół do szóstej wieczorem „zatrudniał” swoich przyjaciół jako „urzędników”, a młode Hiszpanki w charakterze „sekretarek”. „Atramentem” wypełnione były staroświeckie kwadratowe butelki czerwonego wina rozlewane do „kałamarzy”. „Pracowali” bardzo chętnie, nawet w niedzielę, zaraz po mszy świętej, zaniedbując nieraz spotkania organizowane przez Mariana Walorka, młodego wówczas księdza, byłego więźnia obozu Dachau, przybyłego z Niemiec w charakterze duszpasterza studentów. Na jego wymówki jeden z gorliwszych „urzędników” odpowiedział pewnego razu, że nawet o religii więcej się dowiaduje w „biurze” niż w kościele (co mu ksiądz do śmierci żartobliwie wypominał). Gdy „biuro” zostało zamknięte, utworzyła się „konfederacja barska”, która przetrwała do lat osatnich. Idąc w parafrazy z polską literaturą, można było powiedzieć: „Bar wzięty”.

Po skończeniu studiów wielu Polaków (i Ukraińców) opuściło Madryt, a nawet Hiszpanię, ale zostali ci „konfederaci”, którzy od samego początku najserdeczniej zaprzyjaźnili się z poetą i brali udział w wielu wspólnych poczynaniach. Byli to: Stanisław Ryłski (naprawdę nazywał się Rymaszewski), Kazimierz Tylko i Mirosław Sokołowski.

Stasia Ryłskiego (zawsze tak o nim mówiono) nie znałam osobiście, ale często go wspominano. Pochodził ze szlachty polskiej osiadłej na Białorusi, przed wojną był jednym z założycieli LOT-u i pracował w Polskich Liniach Lotniczych jako księgowy. Podczas wojny służył w pułku lotniczym. Bardzo przez wszystkich lubiany, nazywany był „dobrym duchem polonii”. Gdy tylko ukazał się tomik *Modlitwa na wojnę* 24 czerwca 1947 r. autor подарował go przyjacielowi ze słowami: „Stanisławowi Rymaszewskiemu

przyjazny uścisk dłoni i żeby się modlił o przyszłą dobrą wojnę”. Po śmierci Stasia ta książeczka wróciła do poety. Odnalazłam ją wśród różnych papierów, książek i gazet.

Kazimierz Tylko-Dobrzański urodzony w 1921 r. do gimnazjum chodził w Krakowie. Podczas wojny działał w Armii Krajowej, po wojnie w NSZ. W obawie przed represjami w 1946 uciekł do Szwecji, gdzie zaproponowano mu wyjazd do Madrytu i stypendium *Pax Romana*. Studiował nauki ekonomiczne. Był bardzo aktywny w środowisku studenckim. To on prowadził chór męski, złożony ze studentów dziewięciu narodowości, śpiewający po łacinie, po polsku, rosyjsku i ukraińsku. Po zrobieniu dyplomu pracował w towarzystwie lotniczym Iberia, uważał jednak, że jako Polak nie ma wielkich szans, więc po trzech latach zrezygnował i zajął się sportem, który go zawsze pasjonował. Jeszcze w Polsce uprawiał lekkoatletykę i myślał o udziale w olimpiadzie 1942 roku, do której jednak nie doszło. Uprawiał sport między innymi jako zawodnik i sędzia Real Madrid. Wprowadził na boiska hiszpańskie siatkówkę, nie znaną wcześniej w tym kraju. Własne wszechstronne doświadczenia i przygotowanie teoretyczne wykorzystał tworząc w Instytucie Wychowania Fizycznego (analogiczny do naszej AWF) instytut dokumentacji sportowej najwyższej klasy. Przez jedenaście lat był prezesem Międzynarodowej Organizacji Dokumentacji Sportowej. Wydawał miesięcznik „Deporte dos mil”. Dzięki swej pozycji bardzo pomagał polskim sportowcom. To dzięki niemu polscy lekkoatleci przed każdą olimpiadą odbywali treningi w Hiszpanii na koszt tego kraju. Oczywiście, miało to miejsce wtedy, gdy polski sport stał na niezłym poziomie. Ukoronowaniem działalności Kazimierza Tylko będzie sześciojęzyczny słownik sportowy.

Trzeci z „konfederatów” jest Poznaniakiem. Urodził się w 1923. Brał udział w wojnie jako żołnierz armii generała Andersa. Koniec wojny zastał go we Włoszech. Podjął wówczas studia w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie. Ewakuacja aliantów spowodowała, że musiał opuścić Italię. Przyjechał do Madrytu, by wykorzystać stypendium *Pax Romana*. Zmienił wtedy kierunek studiów na medyczne ze specjalnością kardiologiczną. Po zdobyciu dyplomu pracował cały czas w klinice sławnego internisty Jiménez Diáza, który był jego profesorem. Ożenił się z Hiszpanką i ma dorosłego syna. Nigdy nie zrezygnował z uprawiania sztuki, maluje i rzeźbi. Jest członkiem hiszpańskiego stowarzyszenia lekarzy — pisarzy i artystów. Odkąd zaprzestał pracy zawodowej, więcej czasu poświęca sztuce i ma wiele wystaw. Maluje krajobrazy Hiszpanii, ale tworzy także krajobrazy ojczyste; motyw zaśnieżonych pól, po których suną sanie, galopujące konie, sceny batalistyczne — wszystko dynamiczne, pełne ekspresji, przeniknięte duchem romantyzmu, zbliża się niekiedy tonacją do poezji Łobodowskiego. W rzeźbie króluje koń, sam lub z jeźdźcem. Miro (hiszpańscy i polscy przyjaciele tak skrócili słowiańskie imię malarza) ilustrował poezje przyjaciela, a ostatnio obaj myśleli o wydaniu tomu wierszy o koniach, bogato ilustrowanego.

Staś, Kazek i Miro, miłośnicy poezji i wina — razem z Józiem stanowili trzon „konfederacji barskiej” — to była przyjemna strona ich znajomości. Ale także współpracowali w redakcji „Polonii” i w polskiej audycji, a przede wszystkim wspierali siebie nawzajem i pomagali samotnemu poecie. Każdy z nich pochodził z innej strony Polski i czym innym zajmował się zawodowo, każdy stanowił odrębną silną osobowość i to właśnie ożywiało atmosferę ich spotkań.

Pierwszy raz widziałam ich w polskim kościele w Madrycie przy ulicy Zurbarana, zajmowali pierwszą ławkę i potężnymi głosami śpiewali stare polskie pieśni adwentowe między innymi: „Archanioł Boży Gabriel posłan do Panny Maryjej”..., akcentując z upodobaniem archaiczne końcówki. Było to w pierwszą niedzielę grudnia 1981 roku. Potem wszyscy uczestnicy mszy świętej przeszli do mieszkania księdza prałata Mariana Walorka, duszpasterza Polaków, pełniącego tę misję aż do śmierci, (która nastąpiła w grudniu 1988 roku, w kilka miesięcy po zgonie Łobodowskiego). Zeszło się tam mnó-

stwo osób i dziwne, że pomieścili się w maleńkim mieszkaniu. Ksiądz wrócił właśnie z Rzymu, miał więc o czym opowiadać, a poza tym zawsze było dużo bieżących spraw, którymi żyło polskie środowisko. Moja uwaga skupiła się wtedy na gospodarzu i na poecie. Obu przyjaciół Łobodowskiego poznałam bliżej nieco później. Miało to miejsce w barze Hermanos Portillo. Pewnego razu umówiłam się o późniejszej porze niż zwykle i właśnie wtedy przyszedł Kazek z żoną i Miro. Piliśmy czerwone wino, rozmawialiśmy o sytuacji w kraju, potem o poezji Józia, któremu przyjaciele zarzucali, że nie idzie z prądem czasu, wreszcie próbowaliśmy ustalić słowa starych przebojów, tego o „pięciu chłopcach z Albatrosa” i innego o „Mariannie, która, gdyby była zakochaną, nie spałaby w tę noc, w tę cudną noc”.

Gdy zabrakło Łobodowskiego, wielokrotnie spotykałam się z jego przyjaciółmi. Czasem u Kazka, gdzie gawędziliśmy słuchając świetnie nagranej muzyki, a nawet kiedyś zdarzyło się nam tańczyć, przy czym pan domu i jego żona pokazali niedościgną klasę. Najczęściej jednak spotykaliśmy się w barze (tym samym co zawsze) i wypiszy po lampce wina (przepraszam: Miro pił koniak, co mu *nota bene* miano za złe) przenosiliśmy się do przytulnego mieszkania pani Jadzi Ostrowskiej, gdzie na obszernym, ukwieconym tarasie, w cieniu pięknego modrzewia, wysoko nad dachami Madrytu, wspominaliśmy Józia i rozważaliśmy sprawy polskie.

Pani Jadzia była architektem i do Madrytu przyjechała z Ameryki w 1963, gdy owdowiała, a jej córka i zięć zdecydowali się wrócić do Europy. Od razu nawiązała kontakt z rodakami i bywała zarówno na polskich nabożeństwach jak i na piątkowych kolacjach w Obelisku. Kiedy jednak właściciel restauracji zmarł, a jego syn zdecydował zamknąć wcześniej lokal, bo poza Polakami nikt tam wieczorem nie przychodził, pani Jadzia zaproponowała spotkania w swoim domu. Przez wiele lat co środę przygotowywała na kolacje polskie dania: chłodnik, ulubioną zupę pomidorową z ryżem i różnego rodzaju „kluseczki” (zawsze wspomniano je drobniak). Przychodzili Lobo, Staś, czasem Miro, często i inni, zwłaszcza latem, gdy powysyłali rodziny na wakacje. Pani Jadzia była osobą przemilną, nigdy nie wysuwającą swojej osoby na pierwszy plan. Ceniła Józia jako poetę, podziwiała jego zdolności, inteligencję i nadzwyczajną erudycję, i godziła się z tym, że to właśnie on musiał mieć zawsze rację we wszystkim. Lubiła go i zawsze chętnie pomagała.

Jadzia zmarła 11 czerwca 1992 roku. „Spotykamy się, jak zawsze na pół drogi, czyli w kawiarni «pod Jadzią» (pisał do mnie Miro na Boże Narodzenie 1993) często spoglądając w górę na *atico*, gdzie nadal chwieje się na wietrze stary cyprys, świadek naszych spotkań na tarasie.”

Pewnego razu Kazek pokazał mi starą fotografię: na tle wielkowiejskich kamienic i bezlistnego drzewa cztery postaci: w środku dwie młode panny, po bokach mężczyźni. Panny mają długie czarne suknie do samej ziemi, tak że stóp wcale nie widać, ręce zakrywają koronkowe rękawiczki, w dłoniach różańce z dużymi krzyżami, na głowach koronkowe mantylki upięte na wysokich grzebieniach. Wierna ilustracja opisu Łobodowskiego z *Requiem dla miłego miasta*. Na odwrocie niewyraźnie odcisnięta pieczęć: *Atelier Santiago... Madrid, 22 mar. 1951*. Ustawiłam te dane na uniwersalnym kalendarzu XX wieku — wychodzi: czwartek, Wielki Czwartek!

Są tam przyjaciółki: Amelia i Marisa. Mylił się poeta tylko w tym, że suknie są jednakowe. Amelia ma luźniejszą, z szerszą górą, suknia Marisy ma stanik dopasowany, jest mocno ściśnięta w talii, bardziej podkreśla sylwetkę dziewczyny. Widać wyraźnie, że Marisa jest „wspaniale zbudowana”. (Przypomniało mi się określenie Łobodowskiego, użyte, gdy pytałam, czy Sana — Zuzanna Ginczanka — była naprawdę piękna. Piękna? — powtórzył z zastanowieniem i odpowiedział z przekonaniem: Była wspaniale zbudowana.)

Marisa ma postawę królewską i jest prześliczna: rysy regularne, nos zgrabny, brwi mocno zarysowane. Jej przyjaciółka, Amelia, równa wzrostem, także bardzo ładna, ma ujmujący uśmiech, bardzo dużo wdzięku, ale jest jakby troszkę onieśmielona. Amelia trzyma pod rękę przystojnego Kazia Tylkę, Marisa lekko ujmuje ramię Józia. Obaj panowie są eleganccy, w ciemnych garniturach, krawatach. Józio ma falujące włosy i brwi uniesione jak przecinki. Wszyscy czworo uśmiechnięci.

W Wielki Czwartek 1949 roku obaj poznali przyjaźniące się ze sobą dziewczęta i pewnie dlatego na całe życie zapamiętał Łobodowski i tak bardzo polubił stroje noszone przez mieszkanki Madrytu w okresie Wielkiego Tygodnia. Obaj zakochali się. Kazek po kilku latach narzeczeństwa (w Hiszpanii wypadało, by trwało ono kilka lat i miało swój rytuał, swoje przywileje i ograniczenia), ożenił się z Amelią, wychował dwóch synów i do dziś pozostaje u boku swej pani. Józio, namiętnie zakochany, nie wzbudził wzajemności pięknej i dumnej Marisy. Pisał dla niej wiersze, cierpiał i szalał. Gdy dowiedział się, że ma narzeczonego, poszedł na wydział, na którym tamten studiował i pobił go tak dotkliwie, że został podany do sądu i skazany na grzywnę. Wysłuchawszy wyroku, oświadczył, że gdyby przewidział tak niewysoką cenę, pozwoliłby sobie na więcej.

Jego znajomi dobrze zapamiętali awantury, jakie urządzał, ale wiersze miłosne z tego okresu odkrywają dramat polegający na czym innym niż brak wzajemności, zdrada, odrzucenie. Jest to bezsilność i rozpacz mężczyzny nie będącego w stanie dać ukochanej kobiecie tego, czego ona potrzebuje, tego, czego pragnie. „Nie móc? — to piekło!” — rozpacział Kordian i te słowa nachodzą mnie, gdy czytam wiersze miłosne Łobodowskiego.

Łobodowski mieszkał zawsze w dzielnicy Moncloa, niedaleko uniwersytetu Complutense, najczęściej w tej samej kamienicy, blisko Tylków. Jako swój adres podawał zawsze ich mieszkanie przy ulicy Joaquin María Lopez. Co dzień zachodził do nich co najmniej raz dziennie po pocztę. W latach 1953–1954 przez półtora roku mieszkał nawet u swego przyjaciela. Było to wtedy, gdy ciężko zachorowawszy na gruźlicę, przeszedł bardzo poważną operację płuc, a potem odbywał długą rekonwalescencję. „Ja byłem jego opiekunem, sekretarzem i prawie felczerem, bo przeszło dwa tysiące zastrzyków zrobiłem mu, między innymi dożylnych — opowiadał mi Kazek, pokazując swoje mieszkanie. Tego wysokiego budynku na przeciwko nie było, więc mieszkaliśmy jakby poza Madrytem. Tutaj był Józio, po raz pierwszy w życiu, jak sam twierdził, w królewskich warunkach. Miał zapewnioną opiekę lekarską wszystkich przyjaciół Mirka, Staszka Janczura, który już nie żyje, wielkich specjalistów, którzy go pielęgowali najlepiej, jak mogli. We mnie miał sekretarza, miał opiekunkę — moją narzeczoną.”

Do Kazimierza i Amelii przyłgnał na zawsze. Opowiadała mi Linka Babecka, że gdy po ślubie Tylków został sam w domu, nie wytrzymał i już trzeciego dnia dołączył, by towarzyszyć im w podróży poślubnej. „Amelia jest aniołem — zapewniała mnie z głębokim przekonaniem Linka, kiedy nikt już nie mógł wytrzymać z Łobodowskim, ona wytrwale do ostatnich dni opiekowała się nim.” Kiedy powtórzyłam Amelii, że jest aniołem odrzekła tylko: „On bardzo kochał nasze dzieci”. To prawda. Zawsze wiedział, jak im idzie w szkole, ich marzenia i smutki znał lepiej niż ojciec, całe życie zapracowany. Gdy miał pieniądze, robił im prezenty. Nie mogąc znieść tego, że starszy syn przyjaciół, jego chrześniak, ma gorszy rower niż jego kolega, natychmiast wysłał do Londynu monit o pieniądze i kupił chłopcu rower jeszcze lepszy. Bardzo był przywiązany do pani Amelii. Ciężko przeżywał sympatię, jaką jej okazywali inni mężczyźni. O pewnego Polaka był tak „w imieniu męża” zazdrosny, że miał za złe przyjacielowi, iż „wielbicielowi” żony nie robi awantury i nie wyrzuca go z domu.

Okres rekonwalescencji spędzał Łobodowski bardzo pracowicie. Z inicjatywy Mariana Hemara i Tadeusza Nowakowskiego ogłoszono wtedy subskrypcję jego dzieł, co

spowodowało, że otrzymał cztery tysiące funtów, wielką sumę. Oddalenie trosk materialnych, polepszenie się stanu zdrowia, zwolnienie od wszelkich kłopotów codziennych, otoczenie przyjaźnią, życzliwością i wiarą w jego talent, powodowało, iż mimo że był jeszcze słaby, zabrał się do intensywnej pracy. Przygotował do druku (z pomocą przyjaciela, który wszystko przepisywał na maszynie) tom fraszek i poemat *Uczta zadżumionych*, napisał trylogię powieściową *Komysze, W staniccy i Droga powrotna* — tysiąc czterysta stron prozy; opracował tom wierszy o tematyce ukraińskiej *Złota hramota*. Można przypuszczać, że gdyby nie musiał całe życie borykać się z kłopotami finansowymi, zostawiłby po sobie dzieło o wyższym ciężarze gatunkowym.

\*\*\*

„Mówiłem do was co wieczór...”

Nieliczna kolonia polska w Madrycie bardzo się zespoliła i urosła w siłę w 1949 r., gdy powstała Audycja Polska Narodowego Radia Hiszpanii. Audycja ta zapisała się złotą czcionką w historii Polski i Polonii, jak słusznie twierdzą jej twórcy, a dzięki niej Madryt stał się jednym z ważniejszych ośrodków życia emigracyjnego, oddziałując na kraj i na Polaków rozproszonych po świecie.

Decyzję o nadawaniu różnojęzycznych audycji dla słuchaczy w krajach opanowanych przez komunistów podjął sam generał Francisco Franco po rozmowach z politykami reprezentującymi te kraje. Zadanie to powierzył Ojcu Santiago Morillo, jezuitcie, który przez kilka lat pracował w Dubnie koło Lwowa. Santiago Morillo był poliglotą, znającym osiemnaście języków, w tym słowiańskie, i dobrze orientował się w zagadnieniach Europy Wschodniej i Środkowej. Był organizatorem studiów slawistycznych w Madrycie. To właśnie on wprowadził do świadomości Hiszpanów pojęcie Europy Środkowej i przekonywał zawsze o ważności tego obszaru dla przyszłości kontynentu. Przed powołaniem polskiej audycji ojciec Morillo rozmawiał z byłym ambasadorem Marianem Szumlakowskim i z ministrem pełnomocnym Józefem Potockim, a także z radcą do spraw kultury w Poselstwie Polskim, Henrykiem Łubieńskim. Jako pierwszą zatrudnił spikerkę Karolinę Babecką, młodą, inteligentną, błyskotliwą. Urodzona w Warszawie, a wykształcona w Madrycie świetnie się nadawała do tej roli. Porzuciła tę pracę w 1952, ale zastąpił ją brat, Andrzej. Od razu też podjął pracę spikera Mirosław Sokołowski, student medycyny, wyróżniający się świetną dykcją, jego głos brzmiał w eterze przez dziesięć lat, póki obowiązki zawodowe pozwalały na to. Tłumaczenie listów, przychodzących z Polski powierzono Kazimierzowi Tylce, ale już w maju 1950 awansowano go na redaktora i spikera. Prowadził też kronikę sportową i miscellanea sportowe, ale był tak wszechstronny, że zajmował się również tematyką obyczajową i religijną. Józef Łobodowski od razu stał się *spiritus movens* audycji. Sekretarzem był Stanisław Ryłski.

Pierwszy program w języku polskim nadano 11 stycznia 1949 roku. Wtedy Rząd Londyński uświadomił sobie znaczenie, jakie może mieć głos polski dochodzący z Hiszpanii, jedyne państwa w Europie, które nie nawiązało stosunków z władzami komunistycznymi w Warszawie i oddelegował do prowadzenia audycji wytrawnego specjalistę, znanego z rozgłośni warszawskiej, a potem londyńskiej, Karola Wagnera (prawdziwe nazwisko: Pieńkowski). On to razem z Józefem Łobodowskim stworzył podwaliny tej antykomunistycznej rozgłośni. Kiedy w 1954 roku przeniesiono Wagnera do powstającego wtedy Radia Wolna Europa, kierownictwo sekcji polskiej w Madrycie objął Wojciech Sariusz Zaleski. Była to także postać wybitna, choć nie był z zawodu radiowcem. Zaleski był historykiem górnictwa i hutnictwa śląskiego, publicystą i redaktorem wielu pism



ekonomicznych. Działal w Stronnictwie Narodowym i był jednym z ośmiu założycieli organizacji konspiracyjnych „Pobudka” i „Konfederacja Narodu”. Po wojnie przebywał w Monachium, a po 1951 w Paryżu, gdzie pracował jako rzeczoznawca European Cooperation Administration. W 1954 przeniósł się do Madrytu. Pisał do kwartalnika „Estudios Sobre el Comunismo y Oriente Europeo”. Był członkiem Towarzystwa Literackiego w Paryżu i Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, pisywał do „Kultury” i „Orła Białego”. Zmarł w 1960 roku. Po nim objął redakcję Ludwik Krajewski, występujący jako Kownacki, dobry publicysta, znający języki obce.

Wkrótce Radio Madryt zaczęło nadawać także programy w językach: węgierskim, chorwackim, słowackim, ukraińskim, białoruskim, litewskim, estońskim, łotewskim, chińskim, czeskim, bułgarskim, rumuńskim i albańskim. Rozgłośnia rosyjska była starsza od polskiej. Polska miała nad innymi tę przewagę, że nadawano ją wieczorem, gdy słyszalność była największa i powtarzano rano następnego dnia. Początkowo trwała pół godziny, potem przedłużono ją do godziny.

Każdy program składał się z czterech części: dziennika, komentarza, rozmaitości i pogadanki na temat polityczny, kulturalny, lub gospodarczy. Audycja polska miała autonomię, była wolna od kontroli. Decyzje podejmował Wagner, z którego autorytetem liczyli się wszyscy współpracownicy, nawet nieokiełznany Łobodowski. Wagner pisał tekst dziennika po polsku, mówiono mi, że czasem ze względów kurtuazyjnych umieszczał informacje np. o tym, że generał Franco kogoś przyjął, a na marginesie dodawał uwagę: „tego nie czytać!”. Po nadaniu audycji hiszpańskie tłumaczenie (oczywiście bez uwag na marginesie) przekazywano do archiwum. Łobodowski był nieprzejednany, gdy chodziło o czystość języka i walory literackie programu. On to sprawiał, że pewni autorzy otrzymywali wprawdzie honoraria, ale nigdy nie słyszeli swych audycji.

Wagner i Łobodowski — to nazwiska twórców polskiej audycji radia Madryt. Łobodowski pracował w niej od początku do końca (podobnie jak Kazimierz Tytko) i oddawał się jej całkowicie<sup>4</sup>. Sześć dni w tygodniu słyszano (mimo zagłuszenia) jego tubalny głos, dobrze rozpoznawany przez słuchaczy z Polski, a zniechędzony przez warszawski reżym. Karykaturzyści przedstawiali Łobodowskiego, jak klęczy przed generałem Franco i zbiera monety sypane z rogu obfitości, a Babecką jako żmiję, sączącą jadowite plugawe słowa. Gwoli prawdy, należy powiedzieć, że pensja radiowca wynosiła tysiąc peset, co nie było specjalnie dużo, a Łobodowski taki już był, że nigdy się na pieniądze nie łakomił.

W poniedziałki i piątki poeta wygłaszał pogadanki kulturalne na tematy aktualne, albo wynikające z rocznicy. Mogły one dotyczyć polskiej sztuki ludowej, mieć charakter wspomnieniowy, informowały o nowościach literatury emigracyjnej lub polemizowały z prasą krajową. W środy też miał pogadankę, oficjalnie autorstwa Stanisława Rylskiego, który jednak nie miał zdolności literackich, więc ograniczał się do dania swego nazwiska. Dwa razy w tygodniu prowadził Łobodowski miscellanea, dwa razy w tygodniu przygotowywał całość, włącznie z dziennikiem, przy czym w jego opracowaniu komentarz górował nad informacją. Redagował też kronikę międzynarodową, korzystając w dużym stopniu z komentarzy Wierzbiańskiego i Dąbrowskiego z prasy emigracyjnej. W ostatnim okresie prowadził tę kronikę Kazimierz Tytko. W niedzielę nadawano muzykę i transmitowano nabożeństwa. Jedynie tego dnia znakomity głos Łobodowskiego nie rozbrzmiewał w eterze. Mówiąc do mikrofonu podniecał się tak, że kolega zza reżyserskiej szyby nieraz mu dawał znaki uświadamiające, że logiczność argumentacji jest wystarczająco przekonująca i nie trzeba jej wzmacniać, a raczej zagłuszać, siłą głosu.

<sup>4</sup> Zob. wspomnienie J. Łobodowskiego pt. „*Tu mówi Madryt*”. *Zeszyty Historyczne* (Paryż) 1980 z. 54.

*Mówiłem do was co wieczór. Czerwone światło zapalało się.  
Zapalało się uniesienie, gniew, czasem czułość.  
Słowa biegly w mrok — iskry rzucane na hazard.  
Niekiedy wracały. Wdzięcznością, chropawym słowem  
kogoś, kto chętnie chwycił iskrę na pierś,  
bo sam się od dawna chciał zająć płomieniem.  
(List do kraju)*

Znaczenie Radia Madryt w latach stalinowskich, kiedy nie było jeszcze Radia Wolnej Europy, było bardzo duże. Redakcja otrzymywała wtedy przeciętnie dziesięć listów dziennie od słuchaczy z kraju, co biorąc pod uwagę trudność w wysłaniu korespondencji z Polski do Hiszpanii, było po prostu niezwykle. Wynikało z nich, że radia madryckiego słuchali przede wszystkim robotnicy (40%) i młodzież (30%), głównie przesiedleńcy na ziemię zachodnie — ludzie zmęczeni, rozgoryczeni, ci, którzy nie akceptowali powojennych układów, żywili pretensje do zachodu i tylko w przyszłej wojnie widzieli rozwiązanie. (Pisał o tym J. Łobodowski w artykule *Wołanie o ratunek*, „Kultura” 1951, nr 5.)

Mimo skrupulatnych poszukiwań, nie udało mi się odnaleźć archiwum Radia Oriente. Prawdopodobnie już nie istnieje. Skonstatowawszy to wreszcie, poszłam śladami ojca Santiago Morillo, mając nadzieję, że on zachował swoje prywatne archiwum. Dowiedziałam się, że już nie żyje, ale jego legat złożono w bibliotece Uniwersytetu Katolickiego de Comillas pod Madrytem. Pewnego majowego dnia 1980 roku wsiadłam w podmiejski autobus wypełniony studentami i pojechałam. Z wielką nadzieją przekraczałam próg biblioteki zajmującej osobny budynek usytuowany w centrum uniwersytetu. Stary archiwista ogromnie się ucieszył, gdy mu powiedziałam, czego szukam i z satysfakcją zaprowadził mnie do regałów, na których zgromadzone były książki i pisma w językach słowiańskich. Z dumą zapewnił mnie, że przez te wszystkie lata niczego nie wyrzucił, choć zawsze brakowało miejsca na nowe nabytki i że wszystko leży tak, jak przywieziono od ojca Morillo. Rzeczywiście, nikt tego nie ruszał, nie katalogował, a nawet nie odkurzał. W ciągu paru godzin przejrzałam wszystko, nie było tego dużo i znalazłam parę tomów Łobodowskiego, trochę prasy emigracyjnej, ale nie było nawet śladu czerwonych teczek z tekstami polskich audycji.

O tych czerwonych teczkach mówili mi współpracownicy polskiej audycji: Kazimierz Tytko i Mirosław Sokołowski. Wprawdzie oni sami niczego nie zachowali, ale dali mi adres syna Wojciecha Zaleskiego mieszkającego w Burgos. Napisałem do niego i okazało się, że żona pana Wojciecha, zbierała teksty swojego męża, a syn je nadal przechowuje. Dostałam odbitki pogadank z lat 1956–1960. Dotyczą zagadnień krajowych i życia emigracji polskiej, mówią o polityce, kulturze, religii. Sporo miejsca zajmują polemiki z prasą krajową. Zwróciłam uwagę na pogadankę wygłoszoną przez szefa audycji w siódmą rocznicę jej powstania, czyli 11 stycznia 1956 roku. Zaleski stwierdził, że dewizą Radia Madryt jest „prawda i tylko prawda”. I dodał: „Nie są to próżne przechwałki. Gdy szukamy słów, które rzucić mamy na papier, gdy potem znowu patrzymy na te słowa i powtarzamy je sobie w myśli, by raz jeszcze sprawdzić tekst przed oddaniem go spikerom, nie pytamy siebie, jaki wpływ wywrą te słowa na słuchaczy. Stawiamy jedno tylko pytanie: czy to prawda? W naszych dyskusjach na zarzut, że to lub owo brzmi zbyt pesymistycznie lub zbyt optymistycznie — odpowiadamy argumentem: Być może, ale mówiliśmy prawdę. Dyskusja jest wówczas zamknięta. [...]”

Tak się składa, że wśród obecnych i dawnych współpracowników naszej redakcji są i tacy, którzy z krajów sojusznicznych kierowali swe słowa ku Polsce pod okupacją hitlerowską i tacy, którzy wiele nocnych godzin spędzili wówczas w kraju przy aparatach

odbiorczych, powtarzających głos płynący z tamtej strony. Dlatego znamy straszliwy ciężar odpowiedzialności za słowa, kierowane do ujarzmionego kraju. Nie mogą one budzić nadziei złudnych, bo wówczas przyniosłyby więcej szkody niż pożytku. Nie mogą być narkotykiem, ale nie mogą też być trucizną, która odbiera nadzieję.

Jakże mogłyby ją odbierać, skoro idziemy po drodze prawdy, a prawda musi zwyciężyć. [...] Jakże nędzne wydają się nam te słowa. Jakże szczupłe wydają się nam nasze siły wobec ogromu i trudu zadań, jakie przed nami stoją”.

Hiszpanie po śmierci generała Franco zamknęli audycję i jej archiwum zniszczyli. Pozostawili też pracowników Radia Oriente w trudnej sytuacji materialnej. Ucierpiał na tym przede wszystkim sześćdziesięcioletni wówczas Łobodowski, który utrzymywał się wyłącznie z pracy w radio i z pióra. Gdy zamknięto audycję, ustalono dla niego pewną miesięczną sumę, która wprawdzie wtedy wystarczała na skromne utrzymanie, ale po piętnastu latach znaczyła już niewiele. Skarży się Łobodowski w swym niebieskim notesie z 1980 roku: „Oczywista, mógłbym się urządzić zupełnie inaczej, to znaczy, mądrzej. Gdybym zamiast upierać się przy hiszpańskim winie przeniósł się swego czasu na monachijskie piwo, siedziałbym od kilku lat na emeryturze a i wyszedłbym na nią z zaoszczędzonym grosiwem, a w Madrycie zarabiałoby się niewiele”.

Zaproponował wtedy współpracę pewnej audycji polskiej, nadawanej w jednej ze stolic (może z Paryża?). Ale mu odmówiono mówiąc, że rząd prowadzi politykę pojednawczą, więc nie można angażować kogoś, kto jest znany ze stanowiska antykomunistycznego, nawet jeśli ma się nie wypowiadać na tematy polityczne. „Nazwisko nieodpowiednie.”

\*\*\*

Już w 1945 roku spełnił Łobodowski swą obietnicę pokazania Hiszpanom Polski nie przez okulary niemieckiej firmy Zeissa, przez które przez całą wojnę na Polskę patrzyli, ale z własnego punktu widzenia. Biorę tę książkę do ręki. Okładka zszarzała (może była biała, a może kremowa). Na niej pod nazwiskiem autora: *Por nuestra libertad y la vuestra — Za naszą wolność i waszą*, niżej znak Polski Walczącej, a pod nim druga część tytułu *Polonia sique luchando — Polska nadal walczy*. Ktoś mi bliski spostrzegł ten tom u madryckiego antykwariusza, kupił bez chwili wahania i podarował mi. Było to w maju 1984 roku. Pokazałam tę książkę autorowi. Usprawiedliwił się, że nie znał wtedy dobrze języka hiszpańskiego, ktoś mu zrobił korektę, ale do druku przez pomyłkę poszedł maszynopis bez poprawek, dlatego książka zawiera sporo usterek językowych. Moja znajomość hiszpańskiego nie była pewnie lepsza niż autora, bo przeczytałam bez trudu jego dzieło i nie dostrzegłam błędów.

Na trzystu stronach opisał Łobodowski przebieg ostatniej wojny, pogłębiony licznymi informacjami o historii, geografii i etnografii Polski. We wstępie, tak jak w *Uczcie zadżumionych*, opisuje Paryż świętujący w bezgwiazdną noc majową 1945 zakończenie wojny. On włóczy się po mieście i zatrzymuje się na placu Almá pod pomnikiem wielkiego poety, który przez całe swe dorosłe życie szukał drogi do Polski. Przewiduje, że ten sam dramat będzie udziałem pokolenia żołnierzy 1939 roku. „Nasze pokolenie nie dożyje prawdopodobnie zwycięstwa — pisał proroczo w zakończeniu książki w rozdziale *Nil desperandum*. Żniwo walki, która nas czeka, będzie zebrane przez naszych potomków. Ale życie narodu nie liczy się latami ani wiekami, ale tysiącami lat i los jednego pokolenia nie znaczy wiele.”

Łobodowski odczuwał dzieje w dwóch wymiarach: czasu danego jednostce i narodowi. Niestety, dla siebie i swych współczesnych, nie widział lepszej przyszłości. Jak

Kassandra zawsze przewidywał nieszczęście — i zawsze się sprawdzało. Stał się więc wyrocznią prawdy. W 1956 roku, podczas powstania węgierskiego, gdy powszechna była nadzieja na wyrwanie się Węgrów z obozu sowieckiego, ostro stał się z pracownikami Radia Oriente, a przede wszystkim z kolegami z audycji węgierskiej, nadającymi wtedy w dzień i noc wiadomości z Budapesztu. Wszyscy pragnęli zwycięstwa Węgrów i wierzyli w nie, tylko on jeden krakał, że nie mają żadnych szans, tak, jak nie mieli ich powstańcy Warszawy w 1944.

Podobnie patrzył na wszystkie zrywy następujące co jakiś czas w różnych krajach Europy podbitej przez Sowiety. Źródło nieszczęść widział w przebiegu i zakończeniu wojny, dlatego w jego publicystyce i w rozmowach z nim wciąż powracało pytanie: Czy wojna mogła zakończyć się inaczej?

Hiszpania dzięki polityce generała Franco uniknęła udziału w wojnie światowej i od zakończenia wojny domowej, czyli od pierwszego kwietnia 1939, leczyła swoje rany.

„Nigdy nie byłem i nadal nie jestem bezkrytycznym entuzjastą wojskowo-policyjnych rządów generała Franco, ale wiem także, od jakich niebezpieczeństw Hiszpanię uratował i co dobrego zrobił” — często powtarzał autor *Por nuestra libertad y la vuestra*. Teraz, po wojnie, następował proces liberalizacji i otwierania się na świat. Hiszpania zbliżała się stopniowo do demokracji europejskich i rozwijała gospodarczo przeobrażając się z kraju biednego, z którego emigrowano „za chlebem”, w kraj zamożny, nowoczesnie urządzony. Powracali do ojczyzny emigranci. W 1948 wrócił wielki filozof José Ortega y Gasset, by założyć Instytut Humanistyczny, w którym współpracowali z nim filozof Julian Marías oraz poeta Dámaso Alonso. Coraz większą siłę stanowili studenci; ich strajki i manifestacje w latach pięćdziesiątych wykazały, że nie chcą poddawać się dyktaturze politycznej ani intelektualnej, ani nawet obyczajowej. Do myśli hiszpańskiej przeniknął egzystencjalizm i neopozytywizm, Heidegger i Sartre zyskali zwolenników w kołach akademickich. Szybko odzyskiwała Hiszpania swoją wysoką pozycję w dziedzinie sztuki. Salvador Dalí, wielki surrealista, ale i zwolennik generała Franco, nigdy nie opuścił ojczyzny, co ułatwiło sytuację awangardy. Od 1951 tworzyły się liczne grupy malarzy abstrakcjonistów (najbardziej aktywna była El Paso z Antonio Saurą i Luisem Feito), organizowano wystawy, w 1956 otwarto w Walencji Pierwszy Narodowy Salon Sztuki Nie-figuratywnej, a potem Muzeum Sztuki Abstrakcyjnej w jednym ze średniowiecznych „domów wiszących” w Cuence. Od 1952 działała w Barcelonie „Grupa R” wprowadzając tendencje racjonalistyczne do architektury i budownictwa. Lata sześćdziesiąte zaznaczyły się sukcesami w dziedzinie sztuki filmowej. Tradycje Buñuela podjął Carlos Saura tworząc pełen symboliki film „Anna i wilki” oraz Luís García Berlanga, autor filmów ironicznych („Bienvenidi Mr Marschal”), operujących czarnym humorem także wtedy, gdy jak np. w „La Vaquilla” pokazywał wojnę domową.

W dziedzinie literatury szybko minął okres panowania twórczości (z obu stron) tendencyjnej. Znaczną rolę odgrywali znowu poeci pokolenia 1927: Juan Ramón Jiménez, który w 1956 otrzymał Nagrodę Nobla, Carlos Riba — wielki poeta kataloński i autorytet moralny, od 1943 znów mieszkający w Hiszpanii, Gerardo Diego — kontynuujący przerwana przez wojnę domową ciągłość świetnej poezji kastylijskiej. Byli to twórcy znani, cenieni i przekładani przez Łobodowskiego. Pojawiali się też młodszy, równie utalentowani: Vicente Aleixandre (także laureat Nagrody Nobla), Josep V. Foix, Salvador Espriu i cała nowa generacja, której polski poeta już nie akceptował. Ciągłe jednak tłumaczył hiszpańskich poetów i dramaturgów i co pewien czas drukował swe przekłady Lopego de Vegi, Tirso de Moliny, Calderona de la Barki, Garcii Lorki, Juana Ramona, J.R. Jimeneza i innych, przygotowując w ten sposób pełną antologię poezji hiszpańskiej od wieku XIII, zatytułowaną *Droga do Toboso* i uzupełnioną własnymi wierszami o

ojczyźnie Cervantesa. W Polsce twórczość przekładowa Łobodowskiego była zupełnie nieznana i mało kto zdaje sobie sprawę z rozmiaru straty z tego wynikającej.

Znaczną rolę odgrywały coraz to nowe pisma budzące ożywienie umysłowe, zwłaszcza takie jak „Insula”, „Indice”, „Teoría” czy „Boletín”. Ważną rolę w zaspokajaniu zainteresowania kulturą europejską spełniał miesięcznik, a potem tygodnik „Mundo Literario” redagowany przez Gallego. Było to pismo legalne lecz opozycyjne. Współpracował z nim pisarz i malarz Estaban Sanz, postać bardzo barwna. Sanz był synem szewca z Valladolid. Należał do Falangi. Miał usposobienie awanturnika, mieszkał w Madrycie z prostytutką. Przyjaźnił się z Łobodowskim i nieraz korzystał z jego pomocy. Z tym hiszpańskim malarzem spotkał się w Argentynie Witold Gombrowicz i poświęcił mu kilka zdań w *Dzienniku 1953–1956*:

„Przybyły tutaj na dwa miesiące, sprzedał obrazów za kilkaset tysięcy, zna Łobodowskiego i bardzo go ceni. Pomimo że zarobił w Argentynie sporo forsy, odzywa się o niej bez zapału. «W Madrycie człowiek siedzi przy stoliku kawiarnianym na ulicy i, choć nic konkretnego go nie oczekuje, wie, że wszystko może się zdarzyć: przyjaźń, miłość, przygoda. Tutaj wiadomo, że nic się nie stanie.»

A jednak los sprawił, że mimo początkowej niechęci, Estaban Sanz osiadł na amerykańskim kontynencie i znany jest obecnie jako znakomity twórca przyrodniczych filmów o Andach.

W Walencji, w domu chrzestnego syna Józefa Łobodowskiego, wisi wielkich rozmiarów portret pędzla Estabana Sanza. Poeta jest przedstawiony jako średniowieczny rycerz, w zbroi, z buławą w ręku, na tle sztandaru Ukrainy. Na obrazie widnieje, dawnym zwyczajem, łaciński napis: *Józef Łobodowski dux et hetman cohortium poeticarum delineavit et pinxit E. Sanz.*”

Przez pewien czas *don José*, wciągnięty do redakcji „Mundo Literario” przez swego portrecistę pisywał dla tego pisma, ale jego zapał szybko minął i porzucił redakcję. Przypuszczam, że zrobił to dlatego, że w odróżnieniu od młodych czytelników hiszpańskich niezbyt się interesował literaturą europejską, znajdującą się wówczas pod wpływem modnej filozofii egzystencjalnej i nie miał żadnego zrozumienia dla poezji lingwistycznej autorstwa najmłodszej generacji. „Rewizja ustalonych wartości literackich jest jak najbardziej wskazana i pożyteczna, pod warunkiem wszakże, że w grę wchodzi rzetelna analiza, a nie szczeniackie obrazoburstwo” — pisał w „Orle Białym” w listopadzie 1980 i pogląd ten wyznawał zawsze w teorii i w praktyce. Nie ulegał modom, był wierny sobie i może właśnie dlatego zasłużył na osobne miejsce w dziejach literatury.

Łobodowski interesował się przede wszystkim literaturą polską i sprawami polskimi, dlatego łatwo porzucił „Mundo Literario”, natomiast chętnie przyjął zaproszenie do współpracy z miesięcznikiem „Polonia” i był mu wierny do końca.

„Polonia — revista ilustrada, portavoz de la Cruz Roja Polaca” — organ Polskiego Czerwonego Krzyża, wychodziła od 1955 do 1970 roku pod redakcją Juliusza Babeckiego. Redakcja mieściła się w centrum Maridytu przy ulicy Goyi 6, gdzie przygotowywano także programy radiowe i gdzie w ogóle ogniskowało się życie Polaków. Pismo zapoznawało Hiszpanów z krajobrazem i przeszłością Polski oraz z życiem współczesnym. Łobodowski drukował tam między innymi *Legendę i prawdę o górach Świętokrzyskich*, zakończoną wspomnieniem o Hubalu, legendy lubelskie i historię miasta z ilustracjami Mirosława Sokołowskiego. Inni jako temat brali Tatry, wybrzeże Bałtyku, a także miasta i ziemie odzyskane, uwydatniając słowiańskie i polskie tradycje. W ogóle pisano z życzliwością, wydobywając przede wszystkim osiągnięcia Polaków w gospodarce, kulturze, sporcie. Odnotowywano takie wydarzenia jak powrót arrasów na Wawel, występy polskich artystów za granicą, udział w targach międzynarodowych. Miesięcznik prowadził kronikę życia Polonii: obszernie informował o odczytach wygłaszanych przez Józefa

Potockiego na temat związków Polski i Hiszpanii w przeszłości, drukował nawet całe ich teksty; ogłaszał artykuły Józefa Łobodowskiego o sprawach kultury lub przedrukowywał wygłaszane przezeń odczyty. Można znaleźć w tym piśmie m.in. esej z okazji przyznania Borysowi Pasternakowi Nagrody Nobla (dodajmy, że wiersze zawarte w powieści *Doktor Żiwago* właśnie Łobodowski tłumaczył) i artykuł o Conradzie w stulecie jego urodzin.

Łobodowski ujawniał na łamach tego miesięcznika prawdziwe zainteresowanie polską literaturą współczesną. Przedstawiał sylwetki Sławomira Mrożka, Marka Hłaski i wielu innych pisarzy, których cenił. Co kilka lat dokonywał syntetycznej oceny polskiej literatury i sztuki wskazując na pogłębiający się kontrast między stanem indoktrynacji a poziomem artystycznym. Uprawiał też eseistykę historyczną, pisząc zarówno o Grunwaldzie i Kłusznynie jak i o Monte Cassino. W tym przypadku zwracał uwagę na niewspółmierność między osiągnięciami oręża, a klęskami w polityce. Żywo go interesowała współczesność Polski; na podstawie listów napływających do radia oraz innych źródeł analizował fluktuacje nastrojów i zmienne stany świadomości zbiorowej rodaków: entuzjazm odbudowy, nadzieje Października, rozczarowania schyłku 1957 oraz późniejsze uniesienia i apatie. W pismach polskich: „Wiadomościach”, „Kulturze”, „Orle Białym”, „Dzienniku Żołnierza” prowadził polemiki literackie i polityczne z Miłoszem, Gombrowiczem, Kisielem — w hiszpańskiej „Polonii”, nie powodowany żadnymi bojowymi impulsami, dawał wyraz swym stałym zainteresowaniom. Miał przy tym wyczucie odbiorcy, pamiętał, że pisze dla czytelnika hiszpańskiego.

Pięknie oprawione roczniki „Polonii” udostępniła mi Karolina Babecka, która w coraz większym stopniu współdziałała z ojcem w przygotowywaniu pisma, aż wreszcie stała się rzeczywistą, choć nie oficjalną, redaktorką. Miesięcznik cieszył się protekcją władz Hiszpanii, co wystarczało do jego pomyślnego funkcjonowania. Ze zbytem nie było kłopotów. W każdym numerze zamieszczano listę honorowych prenumeratorów, na której znajdujemy nazwiska ambasadorów wielu państw, gubernatorów licznych prowincji i prezydentów miast hiszpańskich, a także arystokratów i przedstawicieli wyższej hierarchii kościelnej. Wysoko postawione osobistości popierały pismo, ale nie wiadomo, czy je czytały. Wiernymi czytelniczkami „Polonii” były na pewno hiszpańskie żony Polaków, mające okazję co miesiąc dowiedzieć się czegoś nowego o ojczyźnie swych mężów i o sprawach kolonii polskiej, w której życiu uczestniczyły. Języka polskiego przeważnie nie nauczyły się i nigdy nie zobaczyły ojczyzny swych mężów. Przez trzydzieści lat było to niemożliwe, a teraz starszym panom coraz trudniej zdecydować się na pokazanie Polski prawdziwej, różniącej się przecież od legendarnej ojczyzny, o której kiedyś po nocach opowiadali swym żonom. I kraj chyba nie tak piękny i ludzie nie tak szlachetni. Pozostawała „Polonia”, ale dawno już przeminęła, i poezja, która będzie trwać wierna polskiej mowie, ale, niestety, niedostępna tym, co jej nie poznali.

Dzieciom przyjaciół Łobodowski przesłał *Część sentymentalną* swego *Tryptyku zamiast testamentu*. Pisze tam:

*wiem — ten wiersz  
do was nie dojdzie,  
chyba, że wam ojciec przetłumaczy.*

# ***THE MARCH*** **W.S. KUNICZAKA**

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI (USA)

„Historia nie zna ani bohaterów, ani ofiar,  
zna tylko tych, którzy cierpią i tych, którzy innym  
zadają cierpienia.”  
(WSK, Posłowie do powieści)

Twórczością W.S. Kuniczaka, amerykańskiego pisarza wprowadzającego do swych powieści tematykę przede wszystkim polską, zajmuję się od lat przeszło trzydziestu. Od pierwszej recenzji jego powieściowego debiutu *The Thousand Hour Day*, zamieszczonej w „Kulturze” (1967), aż po bieżącą próbę podsumowania całości jego dzieła opublikowaną ostatnio w „Pamiętniku Literackim” (1997), londyńskim roczniku Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, ogłosiłem kilkanaście prac dotyczących Kuniczaka, przy czym nie wszystkie z nich mówiły o jego powieściach, bowiem kilka poświęciłem nowemu przekładowi Trylogii Henryka Sienkiewicza, jaki Kuniczak opracował i wydał w latach 1991–1992. Znakomita większość tych prac ukazywała się w periodykach emigracyjnych, a tylko nieliczne doczekały się po latach przedruku. Jako przykład wymienić należy pierwszą próbę analizy powieści o Wrześniu 1939 r., „Struktura powieści Wiesława Kuniczaka *The Thousand Hour Day*” umieszczoną w krakowskim „Ruchu Literackim” (1972), przedrukowaną następnie w tomie zbiorowym *Druga Wojna Światowa w literaturze polskiej i obcej* (1994). Ale mimo tych samotnych prób wprowadzenia dzieła Kuniczaka na krajowy rynek pisarz i jego twórczość pozostają tam całkowicie nieznane, nie licząc drobnych dziennikarskich wzmianek i wywiadów zamieszczanych z okazji wydania tłumaczenia Trylogii. Wydaje się, że w dalszym ciągu aktualna jest co najmniej dziwna logika, jakiej przykład wykazał „recenzent wewnętrzny” wydawnictwa „Czytelnik”, który opiniował wybór prac do przygotowywanego we wczesnych latach osiemdziesiątych mojego zbioru *Legenda Samosierry i inne prace krytyczne* (1987) i na propozycję włączenia wspomnianego artykułu o powieści Kuniczaka wyraził sprzeciw, argumentując, że „powieść ta, napisana po angielsku i wydana w Ameryce, traktuje o «pol-

skim wrześnieu», ale nie była nigdy tłumaczona na język polski i przeto jest całkowicie w Polsce nieznaną”. Krótko i kategorycznie — nieznaną, więc po co o niej pisać? Ten sposób rozumowania stoi w skrajnej sprzeczności z jednym z podstawowych aksjomatów demokracji, gdyż sprzeciwia się wolności informacji, tak dobitnie wyrażonej amerykańską zasadą *the public has the right to know* — obywatele mają prawo wiedzieć. Wolno przecież wierzyć, że od tego czasu zaszły zmiany nie tylko w systemie politycznym, ale także w sposobie myślenia o literaturze tworzonej zagranicą a zatem nie podlegającej cenzurze, nawet tej wewnętrznej, wydawniczej.

Skoro zaś pojawia się coraz więcej prób przełamania wieloletniego na ten temat milczenia, sądzić też wolno, że nadszedł czas bliższego poznania dzieła Kuniczaka nawet wcześniej, niż w końcu pojawi się ono w polskim przekładzie, jakiego brakuje w kolekcji siedemnastu jego przekładów na języki obce. Mając obecnie wznowienie mojego artykułu o cyklu części pierwszej, chciałbym nieco uwagi poświęcić następnej części trylogii powieściowej Kuniczaka, a mianowicie wielkiej powieści *The March* (Marsz), wydanej przed laty dwudziestu, w roku 1979, przez znany nowojorski dom wydawniczy Doubleday, i do dziś utrzymującej najwyższą rangę artystyczną a także stałą aktualność polityczną, co dla wielu krytyków i czytelników w kraju zdaje się w dalszym ciągu stanowić ważne kryterium oceny książek. Sądzę też, że warto tu przede wszystkim przyrzeć się niezwyklej strukturze tej powieści, jako czynnikowi najważniejszemu, pozostałe kryteria omawiając przy tej sposobności.

O tej największej a zarazem najważniejszej powieści Kuniczaka pisałem wkrótce po jej wydaniu, nazywając ją powieścią polifoniczną. W ogłoszonym w „Polish American Studies”, organie Polish American Historical Society, artykule „W.S. Kuniczak’s *The March*: A Polyphonic Novel” (1980) pisałem:

„Jeśli stosować wolno porównania, *The March* można porównać do symfonii, w której kolejne części, składające się z przeplatających wzajemnie motywów, wspomagają się i uzupełniają, co stwarza harmonijną polifonię motywów, fraz i melodii. W terminach literatury taka harmonijna całość uzyskana została przez przeplatanie się trzech głównych wątków, powiązanych niezliczonymi odnośnikami do poszczególnych postaci, z których każda reprezentuje inny wątek, przez wprowadzanie sytuacji powodujących rozwój sytuacji w innych wątkach, i przez idee wspólne wielu postaciom a przecież skontrastowane, stojące we wzajemnym konflikcie. Tego rodzaju czynniki strukturalne składają się na wspaniałe jednolitą całość. Krótki przegląd kilku aspektów tej skomplikowanej struktury może być pomocny w zrozumieniu tego, jak Kuniczak napisał powieść odznaczającą się wewnętrzną jednością i zewnętrzną pięknnością.”

Te spostrzeżenia zbiegły się z poglądami autora, który w prywatnym liście z dnia 7 października 1977 r. pisał do mnie, że „*The March* [...] to prawdziwa piramida a przecież — w zafaniu — nic z tego co piszę nie jest oparte na strukturze architektonicznej, ale na muzyce. Czy słuchał Pan kiedyś wszystkich symfonii Beethovena kolejno, podczas jednego posiedzenia? To niezły komentarz dla literackich krytyków”. A w trzy lata później dodawał: „Mówiąc marginesowo, czy przypominasz sobie, co Ci kiedyś napisałem o strukturalnej bazie *Marszu*? Oparta została na dziewięciu symfoniach Beethovena, które — jeśli się ich słucha kolejno i bez odrywania się — mają jedność i równowagę zupełnie zdumiewającą”.

Trzy wspomniane tu główne wątki powieści nazwijmy umownie wątkiem polskim, wątkiem żydowskim i wątkiem miłosnym, spletającym oba poprzednie postaciami głównych jej bohaterów, Abła i Catherine.

*The March* rozpoczyna się w tym samym niemal miejscu i momencie, w którym kończyła się pierwsza część trylogii, pod Lwowem w drugiej połowie września 1939 roku. Rozbite polskie oddziały ustępują przed niemiecką przewagą z pełną świadomością



przegranej, lecz bynajmniej nie zakończonej kampanii. Na drogach kłęski, pod niemiłosiernie palącym słońcem, spotykamy bohatera powieści, młodego oficera rezerwy nazwiskiem Abel Abramowski. Zarówno imię jak i nazwisko bohatera mają dla wielowątkowej struktury powieści znaczenie zgoła zasadnicze. Abel jest potomkiem spolszczonej linii żydowskiej rodziny, posiada pełną świadomość duchowego spadku obu tradycji i spadek ten zarówno na płaszczyźnie psychicznej, jak i powieściowej, reprezentuje. A równocześnie uwadze czytelnika nie powinno ujść głębsze znaczenie jego imienia, symbolu ofiary brutalnej przemocy, w książce Kuniczaka reprezentowanej przez Rosję i w wielu przypadkach przeprowadzanej rękami polskich kolaborantów sowieckiego reżimu. Istotnie, pierwsze spotkanie Abła z oddziałem wkraczających Rosjan następuje u progu rodzinnego dworku bohatera, dworku żywcem, jak archetyp, wyjętego ze stronic *Pana Tadeusza*, gdzie Abel staje się świadkiem egzekucji obu swych dziadków, Polaka i Żyda, egzekucji spowodowanej przez złowieszczonego pułkownika NKWD Szymańskiego, który nieraz jeszcze powracać będzie w powieści gdziekolwiek tylko ginąć będą tragicznie Polacy i Żydzi — w Katyniu, na Łubiance, pod Archangielskiem... A w ostatnich rozdziałach powieści dowiemy się, że ten renegat zostanie generałem w armii tworzonej w Rosji przez Berlinga, z którym od pierwszych dni blisko współpracuje.

Ale okrutne morderstwo obu starców nie jest jedyną manifestacją przemocy, Szymański bowiem decyduje się na egzekucję dowiedziawszy się, że jeden z dziadków Abła jest ojcem poszukiwanego przez NKWD międzynarodowego terrorysty Avruma Mendeltorta, który od lat walczy o stworzenie samodzielnego państwa Izraela. W ten sposób już pierwsze dwa rozdziały powieści wprowadzają wszystkie trzy podstawowe jej wątki: historię Abła, konflikt polsko-rosyjski i sprawę walki Żydów o własne państwo. Wzdłuż nich też rozwijać się będzie cała fabuła, przeplatając je i najściślej wzajemnie wiążąc na zasadzie polifonicznej struktury, której Kuniczak raz jeszcze okazał się prawdziwym mistrzem. A równocześnie znaleźć w nich można podstawowe elementy jego stylu — głęboki liryzm opisów i nieodstępną symbolikę każdego niemal zjawiska czy wydarzenia. Dla przykładu zacytujemy jeden tylko typowy fragment, dający pojęcie o stylistycznym mistrzostwie autora tej przecież realistycznej powieści.

„Klucz czapli wiódł swój ostry klin na południe. Ich precyzyjną formację delikatnie podświetlało słońce, tak że przez jeden przedziwny moment wyglądały jak flamingi. Opadające skrzydła ptaków zagarniały powietrze i wykreślały subtelne, srebrzyste wzory na skraju słonecznej tarczy. Smuga cienia narysowana szkarłatem brała niebo w niewolę, a słońce, jakby w przelocie dotknięte skrzydłem magicznego ptaka, stało nieporuszone, zawieszony nad amarantowym listowiem.”

Następne spotkanie czytelnika z Ablem ma miejsce we Lwowie, gdzie młody człowiek odnajduje swą ukochaną, Catherine Modelską i wraz z nią idzie do pustego mieszkania swego tajemniczego stryja Mendeltorta, w poszukiwaniu chwili samotności, odrwania się od atmosfery „wielkiego strachu”, tak charakterystycznego już dla pierwszych dni sowieckiej okupacji miasta. Zawiązany tu wątek miłosny natychmiast łączy się z obu poprzednimi, gdy NKWD aresztuje oboje młodych ludzi, co z kolei rozpoczyna dwuletni pobyt Abła na Łubiance i zesłanie dziewczyny na daleką Syberię, stanowiąc pierwszy etap symbolicznego marszu przez mękę. Losy kochanków, mimo ich rozdzielenia, potoczą się równolegle. Catherine bowiem znajdzie się w obozie razem z grupą deportowanych Polaków, Ukraińców i Żydów, którzy w powieści Kuniczaka są niewątpliwie kontynuatorami postaci z *Anhellego*, poematu o którym Słowacki pisał do Konstantego Gąszyńskiego, że potrzebuje on „komentarza jak Dante, albowiem pisałem go umyślnie zwięźle i z wielką ekonomią detali — kto więc nie popracuje imaginacją własną nad każdym frazesem *Anhellego*, temu wszystko w nim będzie blade”. I jakkolwiek obszerna powieść Kuniczaka nie szczędzi najokrutniejszych nawet „detali”, istotnie wymaga i

ona „popracowania imaginacją”, zwłaszcza od czytelnika amerykańskiego, dla którego została w zasadzie napisana.

W grupie zesłańców nie brak też i ludowego bohatera, zapowiedzianego „trzema ognistymi literami” w poemacie Słowackiego. Gdy po krwawym buncie i spaleniu obozu ruszą oni w swój długi marsz ku wolności, przewodzić im będzie człowiek zwany Kobzą, lwowski dozorca domu, w istocie zdeklasowany inteligent, który dzięki reprezentowanym przez siebie wartościom moralnym stanowi ostry kontrast z grupą pseudointelektualistów, w oczach Kuniczaka będących najczęściej bezpłodnymi demagogami, tchórzami i kolaborantami. Zarówno lwowskie jak i obozowe obrazy tej grupy należą do najbardziej bezkompromisowych ocen środowiska, z którego w rzeczywistości wyszli ludzie tacy jak Wasilewska, Putrament i liczni ich naśladowcy. Dodać warto, że w powieści noszą oni nazwiska niewiele mówiące amerykańskim czytelnikom, dla czytelników polskich jednak charakteryzujące te postaci w sposób satyryczny. Tak np. pseudopisarz nazywa się Mann-Bielecki, bezradna poetka Sierocka, pieśniarka — Agnieszka Dłapanow, pustosłowy profesor Kukła, poeci Banda-Cyganowski, Sobiepan Bogomiły, Zygfryd Bunt i Józef Grynszpan-Magdeburgski... Później pojawi się także ambasador Kot nazwany Mr. Tak-Tak, i wielu innych. Podobnie znaczące nazwiska noszą postaci z innych kręgów, jak np. sowiecki generał Zarubin (osoba i nazwisko autentyczne, dobrze znane z dokumentacji katyńskiej), żyjący straconą sławą Zasławski, smutny żydowski aktywista Traurig, jego późniejsza żona Esterka i in. Podobnie też nazwane zostały postaci o cechach dodatnich, jak ojciec Catherine (jej imię oznaczające po grecku czystość), profesor Modelski, wraz z żoną będący istotnie modelem stylu życia przedwojennego inteligenta, przeciw czemu dziewiętnastoletnia pensjonarka, wychowanica Sióstr Urszulanek, buntuje się gwałtownie, zdecydowana rozpocząć życie jako dorosła kobieta, co prowadzi do schadzki z Ablem. Później Catherine, postać zdecydowanie pozytywna, w chwili najgłębszego upadku w obozowym upodleniu, nazwana zostanie przez zdemoralizowanego młodego sutenera po prostu Kašką. Dodać też warto, że w powieści *Valedictory* (Mowa pożegnalna), stanowiącej trzecią część trylogii, główny bohater, lotnik odznaczający się wszelkimi ludzkimi zaletami i przywarami nazywać się będzie Ludo, jego niemiecki przeciwnik, sprytny i chytry pilot, nosić będzie nazwisko Reinecke itp.

Nawet tak powierzchowne wyliczenie kilkunastu nazwisk pozwala się zorientować w szerokim zakresie postaci występujących w powieści, sędzę jednak, że warto przyjrzeć się nieco bliżej wzajemnym ich powiązaniom, podobnie jak zrobiłem to we wspomnianym eseju na temat pierwszej powieści cyklu, bowiem dopiero wtedy wyraźnie widać, jak mocna jest więź strukturalna łącząca dziesiątki występujących postaci reprezentujących cztery co najmniej grupy narodowościowe — Polaków, Żydów, Ukraińców i Rosjan. Dla zapewnienia możliwie najlepszej przejrzystości wybrałem do załączonego diagramu zaledwie 12 nazwisk postaci najważniejszych i najbardziej zarazem reprezentacyjnych zarówno dla wszystkich trzech wątków jak i całej fabuły. Trzy dotychczas nie wymienione nazwiska, Poremba, Tarski i Langenfeld są głównymi postaciami wątku jak gdyby dodatkowego, a przecież będącego podstawą całej tragedii współczesnych stosunków polsko-rosyjskich, są to bowiem oficerowie więzieni w Kozielsku, skąd Tarski trafi wprost do Katynia, Poremba ucieknie na Syberię, a Langenfeld stanie się czołową postacią wśród oficerów Żydów, którzy na równi z Polakami stali się ofiarami ogólnie tak nazywanej zbrodni katyńskiej (zob. str. 94).

Wątek ten, zdawałoby się dla historii marszu ku wolności uboczny, dominuje w powieści Kuniczaka historycznie i emocjonalnie, toteż zdecydowałem się przetłumaczyć i opublikować dwa jego fragmenty, scenę egzekucji w Katyniu, gdzie ginie Tarski obok ojca Abła, Józefa Abramowskiego, i tysiacy innych oficerów, oraz rozdział zatytułowany „Zorza polarna” opowiadający o zatopieniu w Morzu Karskim barek z polskimi oficerami

mi Żydami, co historycznie nie zostało nigdy ani potwierdzone ani zanegowane, ma jednak tak silną wymowę artystyczną, że mogłem w rezultacie napisać do autora w 1988 roku:

„Wczoraj byłem w New Yorku na Akademii Katyńskiej, podczas której czytałem fragment Twojego «Marszu», co zostało przyjęte w zupełnej, martwej ciszy. Sześćset osób, wśród których było wielu miejscowych Gastarbeiterów mieszkających czasowo «na Greenpoincie» przed powrotem do Polski, siedziało bez jednego szmeru, bez oddechu, w pełnym zasluchaniu w Twoje słowa. Zakończyłem zdaniem: «Oficerowie stali — i śpiewali», a nawet przez chwilę pomyślałem, że powinienem sam zaintonować melodię [hymnu narodowego], którą z pewnością podjęłaby cała widownia, ale gdy skończyłem czytać i spojrzałem w ich twarze poczułem, że nie mogę przerwać oczarowania tą chwilą, podczas której przenieśli się tam, w śmiertelną ciszę Oceanu. Sądzę, Wiesiu drogi, że uczyniłeś wiele dla wszystkich — dla zmarłych i dla żyjących słuchaczy, tak, nawet «na Greenpoincie», nawet w tym ponurym wnętrzu budynku Chrześcijańsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej — że zrobiłeś wielką i trwałą rzecz. Pozwoliłeś im poczuć i raz jeszcze przeżyć ostatnie chwile ich ojców i dziadków tak, jak nikt i zapewne nic innego by nie potrafiło. I chcę Ci za to podziękować w swoim i ich imieniu.”

Dodać nawiasem warto, że z odczytu tego zrodził się pomysł przygotowania antologii *Katyń w literaturze*, którą w 1995 r. opublikowałem włączając obok ponad stu innych utworów oba fragmenty powieści Kuniczaka.

Wielki marsz to przecież nie tylko tragedia ale i tryumf ludzkiej woli nad nieprzewidywanymi zdawałoby się trudnościami. Uciekinier z Kozielska, dr Poremba, podejmuje samotne poszukiwanie swojej deportowanej ze Lwowa rodziny i odnajduje ją w syberyjskiej dziczy, jak nowoczesny szaman prowadząc grupę Ostiaków aż na kraj świata, po to tylko, żeby po zorganizowaniu rozbitcia sowieckiego obozu przekonać się, że jego kilkunastoletnia córka została prostytutką, a jej młodszy brat zajmuje się stręceniem jej obozowym prominentom. A mimo to, mimo rozpacz i rozczarowań, ta właśnie grupa deportowanych Polaków i Żydów ruszy na południe, ku wyzwoleniu, choć nie wszyscy dożyją połączenia się z Armią Polską.

Prowadzony równolegle z polskim wątek żydowski zajął się z nim we wszystkich węzłowych punktach i problemach powieści. Major Langenfeld jest Żydem, przechodzi przez Kozielsk i Łubiankę a w końcu ginie wraz z zatopionymi w Morzu Karskim oficerami, którzy pozostają wierni żołnierskiej przysiędze do ostatniego tchu. Mendeltort, po wielu przygodach trafia do Moskwy, gdzie konferuje z Zarubinem, starając się o sowiecką pomoc w stworzeniu wolnego Izraela. Przeciwny wariant myśli politycznej reprezentuje Meyer, który opowiada się za jak najściślejszą współpracą z NKWD i Związkiem Patriotów Polskich w Moskwie, wierzy bowiem, że opanowana przez Rosjan Polska stać się powinna państwem rządzonym przez Żydów zrzeszonych w partii komunistycznej. Antycypując wypadki historyczne Meyer argumentuje już w 1941 roku mówiąc w rozmowie z Mendeltortem o Berlingu i jego grupie:

„Musisz sobie zdać sprawę, że lepiej jest dla nas objąć władzę w kraju, który znamy i rozumiemy, w którym żyliśmy od wieków, gdzie jesteśmy właścicielami ponad trzydziestu procent przedsiębiorstw handlowych i włókienniczych a także czterdziestu procent handlu detalicznego, lepiej, powiadam, żebyśmy sami tam rządzili zamiast gonić na jakąś dziką pustynię, w warunki do jakich nie jesteśmy przyzwyczajeni, i budować tam zamki z piasku. [...]

To będzie dowództwo polskiej armii Stalina, tak samo, jak Komitet Patriotów Polskich Wandy Wasilewskiej będzie nowym polskim rządem. A ja będę częścią i tego Komitetu i tej armii, a cokolwiek ty zorganizujesz będzie tego Komitetu narzędziem polityczno-wojskowym. Rosjanie wiedzą, że mogą na nas polegać jeśli idzie o współpra-

cę, możemy więc ich wykorzystać. Oni planują przenieść ten Komitet do swojej części Polski i osadzić ich tam jako polski rząd. Jedynym powodem dlaczego tego dotychczas nie zrobili jest tylko to, że nie chcą denerwować Niemców. Ale jeśli Niemcy kiedykolwiek oddadzą swoją część Polski... no cóż, Komitet stanie się rządem w Warszawie. A wtedy będziemy mogli stworzyć taką Polskę, w której wszyscy będziemy mogli żyć. [...]

Każde zmniejszenie granic Polski jest korzyścią dla Azji, a ja nie mam iluzji co do rosyjskich planów dla Polaków i Polski. Ale gotów jestem zapłacić rosyjską cenę ażeby nasz kraj uczynić lepszym dla naszego narodu. Z pewnością, dla niektórych innych narodowości moja Polska nie będzie bardzo przyjemna. Ale nie mogę się tym przejmować. Wierzę, że sprawiedliwość społeczna to nie zwykła frazeologia. Polska dla Żydów miała wszystko poza sprawiedliwością społeczną, społeczną spójnością. A jeśli to stworzymy dla siebie w Polsce, będziemy mieli wszystko czegokolwiek tylko mogli chcieć.”

Wątek ten, ogólnie pomijany przez historyków, znalazł ostatnio niespodziewane potwierdzenie w opublikowanych pośmiertnie przez Berlinga *Wspomnieniach* (1990–1991), gdzie mówi się zupełnie wyraźnie o planach opanowania Polski przez grupę zgromadzonych w Moskwie Żydów. Należy z uznaniem odnotować odwagę Kuniczaka, który całe lata wcześniej, narażając się na bardzo w Stanach Zjednoczonych dotkliwy zarzut antysemityzmu, nie zawahał się przypomnieć korzeni ideologii, która w rzeczywistości oddała w 1944 roku władzę nad Polską ludziom typu Bermana, Minca, Różańskiego i dziesiątkom im podobnych.

Historia Mendeltorta, w pewnych aspektach bliska dziejom autentycznego izraelskiego polityka, Monachema Begina, doprowadza do tragicznego finału, gdy stary terrorysta, znalazłszy się w Palestynie decyduje się na swój ostatni akt agresji i urządza masowy mord w arabskim osiedlu. Nie należy bowiem zapominać, że historia współczesnego Izraela, podobnie jak współczesna historia Polski, rodziła się wśród takich właśnie aktów okrucieństwa, a Kuniczak faktów tych nie usiłuje ukrywać, przeciwnie, eksponuje je z całą siłą wyrazu, jak na prawdziwego pisarza historycznego przystało. Przede wszystkim jednak ukazuje ją poprzez losy i cierpienia poszczególnych jednostek, postaci literackich, historia bowiem, jak pisze, „jest czymś więcej, niż tylko datami, nazwiskami, nazwami miejscowości i rozmiarami grobów. To wszystko jest historyczną statystyką, ale nie prawdą. Prawdą jest to, co dzieje się w sercach i umysłach żywych ludzi — a to coś więcej niż historyczne statystyki, niż fakty i cyfry, niż gwiazdki i odsyłacze”.

I w tym stwierdzeniu leży wielkość historycznej koncepcji powieści Kuniczaka.

Podkreślmy jednak raz jeszcze, że *The March* jest powieścią, a nie zbeletryzowanym zapisem historii. A powieścią rządzą prawa sformułowane dla różnych poetyk jeszcze od czasów Arystotelesa i niewiele od tych czasów zmienione. Pisarz tworzy swoją własną wersję historii kierując się swym własnym kompasem i przedstawiając fakty nie koniecznie tak, jak zarejestrowali je najpełniejsi nieraz badacze, ale tak jak mogły się one być ułożyć, z zachowaniem oczywiście ogólnej zgodności zapisów historycznych z koncepcją powieściową. Są to sprawy zupełnie zasadnicze dla zrozumienia powieści historycznej, a Kuniczak daje wiele materiału do zbadania procesu twórczego wykorzystania faktów dla powieściowego tworzywa. Warto na przykład zauważyć, że w tej ogromnej panoramie losów dwóch narodów, polskiego i żydowskiego, występują po stronie polskiej tylko dwie postaci historyczne działające podczas II wojny światowej na rosyjskiej scenie, Władysław Anders i Zygmunt Berling, sposób zaś ich ukazania może służyć jako seminarny niemal przykład spojrzenia na metody pisarskie autora. Generał Anders, początkowo wspomniany tylko przez Abła w jego reminiscencjach wrześnie kampanii, pojawia się w jednym z początkowych rozdziałów powieści jako pokrwawiony jeniec ze związanymi rękami, wniesiony na noszach przez polskich chłopów konwojowanych przez rosyjski patrol. I mimo swych śmiertelnych niemal ran generał zachowuje całą

żołnierską godność, niezłomną wolę kontynuowania walki i nieustępliwość wobec prześladowców. Całkowity kontrast tej sceny stanowi spotkanie Mendeltorta z Berlingiem. W przededniu wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej jedzie on wraz z reprezentującym NKWD Szymańskim do osławionej „Willi szczęśliwości”, gdzie w podmoskiewskiej miejscowości Rosjanie zgromadzili kilkunastu przyszłych kolaborantów wybranych spośród tysięcy uwięzionych oficerów. W przyciemnionym pokoju śpi tam na przygodnej kanapie człowiek, w którym Mendeltort rozpoznaje ówczesnego pułkownika Berlinga, najstarszego rangą w tej grupie oficera. „Śpiący człowiek — pisze Kuniczak — zamruczał coś, jęknął, obrócił się na bok. Jego powieki drgały jak powieki śniącego psa. W bladym świetle lampy jego skóra przypominała wilgotną teksturę, zbrudzoną i pomarszczoną. Jego wewnętrzne krajobrazy były zapewne pozbawione słońca, pełne zszarzałej trawy, bezlistne, bez ptaków.”

Tego rodzaju krótka charakterystyka postaci jest znakomitym przykładem metaforycznej prozy Kuniczaka, zawsze sięgającej drugiego, głębszego dna przedstawionych obrazów. Fakt, że obaj twórcy polskich dziejów na rosyjskim teatrze wojny ukazani są jako postaci leżące, bezsilne, daje dostatecznie jasny obraz sytuacji, w której losy Polski decydowały się wyżej, ponad ich głowami. Kuniczak jest bowiem powieściopisarzem znakomicie operującym językiem i metodami poezji, symboliki, celnego skrótu wywołującego u inteligentnego czytelnika szereg skojarzeń, które z kolei poszerzają percepcję artystyczną i historyczną. Porównywany przez amerykańskich krytyków do Tołstoja i Solżenicyna pisarz kategorycznie odżegnuje się od tych skojarzeń twierdząc, że samodzielnie wypracował własną metodę twórczą i nie ma nic wspólnego z rosyjskimi pisarzami. Pisał do mnie nie bez zniecierpliwienia w 1972 roku:

„Prawdę mówiąc nigdy nie przeczytałem więcej niż tuzin stron *Anny Kareniny*, a w *Wojnie i pokoju* poddałem się kiedy Pierre wstąpił do francuskiej wolnomularzy. Nie mogę więc wcale mówić o jakimkolwiek rosyjskim wpływie, a moje sceny, takie jak fragment o Antosiu cytowany w Pana eseju [o *The Thousand Hour Day*] są czysto instynktowne, stanowią część mego zawodowego przygotowania i nie zostały u nikogo zapożyczone.”

Ta niechęć do wszystkiego co rosyjskie, tak wyraźna w powieści *The March*, znajdzie jeszcze ostrzejszy wyraz w powieści następnej, *Valedictory*, gdzie czytamy m.in. o ojcu bohatera, panu Toporskim, który był „niemal zawodowym optymistą i czytywał *Wojnę i pokój* do śniadania od przeszło dwudziestu lat, ponieważ (jak mówił) czytanie o tylu zabitych Rosjanach dawało nadzieję na przyszłość”.

Od czasu wydania tej najważniejszej powieści Kuniczaka minęło przeszło dwadzieścia lat, podczas których nastąpiły w Polsce zmiany tak zasadnicze, że trudne do wyobrażenia w okresie, kiedy *The March* powstawał. A mimo to, mimo że istnieje wierne, autoryzowane przez Kuniczaka tłumaczenie książki sporządzone przez Juliusza Kydryńskiego, nie znalazł się ani wcześniej na emigracji, ani obecnie w kraju wydawca gotowy podjąć się jej polskiej edycji. Wydaje się, że nadszedł czas, żeby to poważne zaniedbanie nadrobić z niewątpliwą korzyścią dla polskiej kultury, której powieść W.S. Kuniczaka stanowi mało znaną a przecież istotną część.



# JAK PISAĆ O BRACIACH W KRAJU? — NA MARGINESIE „LISTU DO BRATA” TADEUSZA NOWAKOWSKIEGO

Wacław LEWANDOWSKI (Bydgoszcz)

## LIST DO BRATA

*Gałązką wilgotną  
wiatr o szyby trąca,  
o szyby na ogród  
wspomnień wychodzące.*

*Ojczyzno daleka,  
za wojną, za rzeką —  
wyroku niebieski  
na serce człowieka.*

*Piszesz mi, Braciszku,  
struty obcym winem,  
że plamię nazwisko,  
faszysta w rodzinie.*

*(Cóż to jest nazwisko,  
cóż to jest faszysta?—  
raz się urodziłem,  
umrę i — to wszystko.)*

*Rzucasz mi jak kamień  
rzeczny śliskie słowa:  
„nam takich nie trzeba,  
żyjemy od nowa,*

*my dziś lepszą Polskę  
stawiamy na nogi,  
wracać nie masz po co,  
idź w świat sobie z Bogiem!”*

*Nielatwa to sprawa —  
list po pięciu latach,  
toteż nic dziwnego,  
że mi ręka lata.*

*Moje ty chłopiátko  
obałamucone,  
miast mnie ucałować,  
prawisz mi androny.*

*Serce omotane  
szynelem sołdackim,  
któż Cię w domu płakać  
uczył na Słowackim?*

*Jurasku — głuptasku,  
panie podchorąży,  
list mi Twój dziś w piersiach  
nietoperzem krąży.*

*Skrzydłem czarnym tłucze,  
chłopcze, pośród ruin,  
gdzież ja z takim ptakiem  
w świecie zawędruję?*

*Za drutem — za kratą —  
za nocą niemiecką —  
w studni wspomnień drży mi  
na wodzie twarz dziecka:*

*ja Cię ciągle widzę,  
jak główką chłopięcą  
bijesz w ścianę płacząc  
na rogu Książęcej.*

*Niebo lat dziesięciu  
rwało się w Twym płaczu —  
wróg do miasta butnym  
łaskotem się wtaczał.*

*(Tato imieniny  
miał przed wielu laty:  
Jurek wyseplenił  
papie „Powrót taty” —*

*a gdy ojciec z Dachau  
kolczastego wrócił —  
pocztą — w czarnej skrzynce,  
musałem Cię cucić.)*

*Na strychu — w kominie —  
na sercowej fali  
Londyn gadał nocą  
i mózgi nam palił.*

*Kiedy nam palili  
plecy twardą gumą,  
na pryczy siadałem,  
by o Tobie dumać.*

*Po cóż ja w ogóle  
ci ten wiersz dziś piszę? —  
skąd mi ten sentyment  
literacki przyszedł?*

*Cóż nam z tej poezji  
rzucanej na błękit  
odwiecznej tęsknoty  
i odwiecznej męki?*

*Za spalonym mostem  
serca tęskniącego  
podpłyn ku mnie, słońcem  
porośnięty Brzegu!*

*W słońcu niech się wszystko  
rozpłynie, co było —  
i list Twój i moja  
przedawniona miłość.*

*I kraj nasz zamglony  
za łzami tęsknoty,  
tak nie mój, mój chłopcze,  
jak radość powrotu.*

*Tadeusz Nowakowski  
[Londyn, (?) luty 1948]*



Przytoczony powyżej wiersz Tadeusza Nowakowskiego nigdy nie był publikowany. Zachował się w maszynopisie, obecnie znajdującym się w Bydgoszczy, w zbiorach prywatnych. Autor przechowywał go wraz z brulionem wierszy młodzieńczych, z okresu gimnazjalnego. Maszynopis „Listu do brata” jest częścią ostatecznie nie opublikowanego tomu „Przed wędrownką”. Zbiór ten, przygotowany do druku w Londynie w 1948 roku, prawdopodobnie na przełomie lutego i marca<sup>1</sup>, miał być emigracyjnym poetyckim debiutem Tadeusza Nowakowskiego. Zawierał szesnaście utworów, w układzie tomu „List...” zajmował pozycję dwunastą, wypełniając sobą pięć stron. Zanim autor zdecydował nie oddawać maszynopisu wydawcy i powściągnął w sobie pragnienie laurów poetyckich (decyzja ze wszech miar słuszna, jak wolno sądzić zestawiając artystyczną mizerotę „Przed wędrownką” z wysokiej próby artyzmem *Szopy za jaśminami* — debiutu prozatorskiego z tego samego roku), przekreślił owych pięć stron „Listu...” czerwonym ołówkiem, najwidoczniej wyłączając ten właśnie wiersz z ułożonego już zbioru. Ponieważ poetyka „Listu do brata” jest w pełni zgodna z poetyckim wzorem, patronującym całości tomu, można przypuszczać, że o wykreśleniu tekstu zdecydowały względy pozartyistyczne. Chodziło najpewniej o nazbyt wyrazistą „prywatność” wiersza, który był zapewne poetycką reakcją na autentyczny list, rzeczywiście otrzymany z kraju. W takim świetle rozpatrywany, wiersz ten staje się zapisem o dokumentarnym walorze. Obrazuje trudności pierwszego okresu emigracji, uświadamia, że wybór „bytowania — protestu” na obczyźnie wiązał się, bywało, z utratą więzi z najbliższymi. Nie chodzi tu, warto dodać, o utrudnione podtrzymywanie tej więzi w warunkach postępującej sowietyzacji kraju, (wykluczony kontakt bezpośredni, ograniczony — korespondencyjny), lecz o utratę duchowej i ideowej jedności emigranta z pozostałą w kraju rodziną. W przedostatniej strofie „Listu do brata” mówi się o „przedawnionej miłości” i słowa te można odczytać jako dobitne stwierdzenie rozszerzonego zasięgu politycznych podziałów. To, co dzieliło emigranta od narzuconej krajowi władzy, okazuje się oto linią podziału biegnącą przez dom rodzinny, zatem przez przestrzeń (w znaczeniu przestrzeni duchowej), która powinna być wolna od zmienności historycznego czasu, zanurzona w mitycznym „zawsze”, trwała i niezmienna. Publikacja „Listu...” godziłaby zatem w niezwykle ważny dla Emigracji mit domu rodzinnego — ostoi polskości, źródła, ale i skarbnicy — przechowywalni, wartości zespalających wolną polską zbiorowość. Warto przypomnieć, że wyznawstwo owego mitu Druga Emigracja dziedziczyła po Wielkiej Emigracji polistopadowej, cios w mityczne oblicze rodziny, domu polskiego, byłby zatem wymierzony w narodową tradycję... Być może, w okresie gdy Polacy starali się tę tradycję właśnie przez pobyt na obczyźnie podtrzymywać, obawa przed sprzeniewierzeniem się zbiorowym usiłowaniom Emigracji skłoniła Tadeusza Nowakowskiego do wyłączenia „Listu...” z przygotowywanego debiutanckiego zbioru. Jeżeli tak właśnie było, to autor wykazał się nadmierną delikatnością i ostrożnością w obejściu z rodzinno-narodowym tematem, o czym będzie mowa dalej.

Możliwe jednak, że przyczyna poniechania utworu była, by tak rzec, bardziej realistyczna. Po wygaśnięciu pierwszego uderzenia goryczy, spowodowanego otrzymanym z kraju listem, (cały czas pozostajemy przy rozpatrywaniu wiersza jako poetyckiej reakcji na rzeczywiste zdarzenie), musiała przecież najść na Nowakowskiego myśl, że młodszy brat działał pod przymusem, nie wolno więc tego, co napisał traktować poważnie, w każdym razie w deklarowanej odrazie dla emigranta — „faszysty” nie należy dopatrywać się szczerego i własnowolnego wyznania. Skoro młodszy Nowakowski, nazywany w

<sup>1</sup> Świadczy o tym datowanie wierszy w zachowanym również rękopisie (w maszynopisie datowanie pominięto) — najmłodsze z utworów opatrzone tam dopiskiem „Londyn, w lutym 1948”.

wierszu „panem podchorążym”, odbywał właśnie oficerskie przeszkolenie w „ludowym” wojsku, przymus odcięcia się od brata — emigranta był wielce prawdopodobny. List z kraju nie miałby zatem charakteru prywatnej rodzinnej korespondencji. Byłby po prostu wymuszonym publicznym odcięciem się od „wroga ludu”, takim samym, jakie w systemie sowieckim ogłaszały rodziny skazanych. Być więc może, że autor „Listu do brata” już po napisaniu utworu zdał sobie sprawę z możliwości takiego biegu zdarzeń, jakiego pisząc wiersz nie brał pod uwagę. Stąd obawa, że osądził młodszego brata niesprawiedliwie, (wszak pisząc o „sercu omotanym szynem sołdackim” zakładał indoktrynacyjną skuteczność oddziaływań władzy na młodzieńca), a w konsekwencji rezygnacja z tekstu.

Dodajmy jeszcze, że równie możliwą przyczyną wykreślenia „Listu do brata” z kart tomu „Przed wędrówką” mogła być niechęć do wywlekania na światło dzienne rodzinnych, „domowych” konfliktów, uzasadniona obyczajową tradycją. Równie prawdopodobną jest także chęć zignorowania obraźliwego listu i nieodpowiadania nań w jakiegokolwiek formie. Wykluczyć należy jedynie motywację opartą na stwierdzeniu artystycznej ułomności tekstu, gdyż, jako się rzekło, pod względem artyzmu od reszty wierszy tomu „List...” ujemnie ani dodatnio nie odstaje, nie wyłamuje się też z tonacji zbioru.

## II

Warto jednak zastanowić się, co byłoby, gdyby wiersz T. Nowakowskiego został opublikowany? Jak odebrałaby ten tekst emigracyjna publiczność? Czy istotnie, jeśli założyć, że takie były obawy autora, „List do brata” uznany by został za gest defetyzmu, za przენiewierstwo względem wiary w rodzinę, w dom polski, jako ostoję polskości i wolności? Czy rzeczywiście dostrzeżono by w poetyckiej odpowiedzi na list z kraju odrzucenie tradycyjnego patriotyczno-niepodległościowego dogmatu? — Nie sędzę, chociaż jest oczywistym, że w obszarze „gdymbania” żadna pewność nie daje się uzasadnić. Jeżeli jednak przyrzeć się uważnie wierszowi, jego strategii wobec mitologii narodowyzwoleńczej, wobec polskiego *sacrum*, wreszcie — wobec tradycji literackiej, okaże się, że stwierdzenie duchowej, ideowej rozłączności emigranta z bratem w kraju, zatem to, co ma uzasadniać „przedawnienie” braterskiej miłości, nie jest niczym innym, jak zaledwie chwilowym wybuchem emocji, ekspresją gorzkości. W istocie bowiem braterska jedność emigranta i „krajowca” nie została przekreślona, ani podważona. Nie została, gdyż — po prostu — nikt i nic nie zdołał jej unieważnić. Nie jest to albowiem wyłącznie wspólnota krwi. Jest to znacznie więcej — wspólność ducha, mitologii narodowej i „domowej”. Wspólnota doświadczeń formacyjnych, głębokich podstaw duchowości i myśli, której w dłuższej niż chwilowa czasowej perspektywie nic nie podważą.

Opoką owej braterskiej jedności jest tradycja romantyczna i narodowyzwoleńcza. „List do brata” spisany został na romantyczną, (właściwie: „obiegowo-romantyczną”), nutę: „Lecą liście z drzewa, / co wyrosło wolne...” Przypomina opartą na romantyzmie edukację dziecięcą w polskim domu — „Powrót taty” jako pierwszy popis deklamatorski, formowanie uczuciowości w oparciu o teksty Słowackiego. Odwołuje się do polskiej świadomości ofiary narodowej, ciągłości (i sakralnej logiki) martyrologii narodu. — Stąd poezja „rzucana na błękit” odwiecznej męki i tęsknoty. Silnie eksponuje braterską wspólnotę uczestnictwa w narodowym męczeństwie — wspólne przeżycie wrześniejszej klęski, męczeńskiej śmierci ojca, konspiracyjnych wtajemniczeń doby „niemieckiej nocy”, chociażby tak powszechnych, jak słuchanie audycji londyńskich z nielegalnie przechowywanego radioodbiornika. Wszystko to razem, niejako wbrew żałościwej tonacji wiersza, eliminuje z tekstu możliwość klęski, tzn. trwałego ideowego przeniecowania duchowości młodszego brata pod wpływem komunistycznej „nowej wiary”. Młodzieniec jest „głuptakiem”, „obałamuconym chłopiątkiem”, na chwilę tylko „strutym obcym winem”. Pod

tym powierzchownym otumanieniem tkwi przecie „swój”, brat, polski młodzieniec wyposażony w cały zasób wartości udzielonych mu z narodowego skarbcza. Wpływ toksyn zawartych w „obcym” trunku, jakkolwiek przykrym widokiem się objawia, nie jest przecie nieustanny, minie, gdy nadejdzie otrzeźwienie. Nie trzeba przypominać, że nawet w dziecięciu wychowanym przez „obcych” i tak odezwie się polska niepodległa dusza, bo taka jest kolej rzeczy w porządku narodowej mitologii, opartej o spuściznę romantyzmu. Jakież więc mogą być wątpliwości w przypadku młodzieńca, który nim pod obcy wpływ trafił, przeżył pełnię dzieciństwa w rodzinnym polskim domu, co ważne, w okresie dziejowej zawieruchy i kolejnego etapu narodowej martyrologii! Duchowa przestrzeń swojszczyzny wchłonie go znowu, przyjmie jak syna marnotrawnego, który zbłądził nie dlatego, że jest zły, ale że go złe omotało. Jego powrót w krąg wartości rodzinnego domu jest gwarantowany, bo przewidziany w prawdziwym, Boskim porządku. Stąd obelgę, rzuconą pod jego adresem w myśl wytycznych „nowej wiary”, brat-emigrant odnosi do wieczności, do wiary prawdziwej, ukazując nietrwałość i ludzki, więc nie — Boski, charakter doktryny, która nakazuje obdarzyć uczestnika niepodległościowej Emigracji mianem „faszysty”.

### III

Wiersz Tadeusza Nowakowskiego jest zatem, wbrew — być może — obawom autora, głęboko osadzony w tradycji polskiego pisarstwa „listopadowego”, należy do „listopadowego” nurtu literatury emigracyjnej<sup>2</sup>. Swoisty, właściwy Drugiej Emigracji, wariant „poetyki listopadowej” zaowocował utworami stroniącymi od nowatorstwa artystycznego, których głównym usiłowaniem było wpisanie doświadczeń najnowszej polskiej historii w schematy literackie i w symboliczny system niepodległościowego mitu narodowego. Poetyka ta przejawia się najczęściej w tych dziełach, które lokują akcję w przestrzeni kraju okupowanego lat wojny, lub zniewolonego w powojennym okresie. Przestrzeń jest w tych utworach uporządkowana aksjologicznie — jej pozytywnym centrum jest bohaterska Warszawa, albo polska wieś, ostoja tradycyjnych wartości. Zło ma tu zawsze obce piętno — „obcy”, prześladowcy, poddani są wyraźnej demonizacji, społeczność „swoich” jest sakralizowana. Zdraycy są najczęściej Polakami ukształtowanymi przez obcy wpływ, w oderwaniu od narodowej tradycji, niemal z reguły zresztą nie są Polakami czystej krwi. „Swoi”, nawet zbałamuceni przez „obcych”, odnajdują jednak drogę ku dobru, przeważnie pod wpływem zdarzeń, których symboliczna wymowa porusza w nich wartościowe zasoby zaszczipione w dzieciństwie przez dom rodzinny i edukację religijną. Przestrzeń poddanego komunistycznej władzy kraju jest terenem niegasnącej walki w imię „starych poglądów”, za które „tylu ludzi jeszcze do dzisiaj [...] życie oddaje”<sup>3</sup>. Ostoją polskości

<sup>2</sup> „Listopadową” nazwała Stefania Skwarczyńska poetykę, która opiera się na dogmacie narodowego posłannictwa literatury, w związku z czym żarliwy patriotyzm i łatwość docierania do serc publiczności ceni bardziej niż zasadę artystycznej oryginalności. Zob.: S. Skwarczyńska, *Stefan Garczyński — Juliusz Słowacki. (U podstaw poetyki listopadowej)*. [in:] teże, *Pomiędzy historią a teorią literatury*, Warszawa 1975, s. 62. Stamtąd termin ten przejęła Halina Filipowicz i zastosowała do opisanego zbioru ok. trzydziestu emigracyjnych utworów dramatycznych, których tematem (głównym bądź pobocznym) jest polska konspiracja okresu II wojny i powojennego, lub — generalnie — tradycja polskiej irredenty. Było to pionierskie zastosowanie tego terminu w odniesieniu do literatury Drugiej Emigracji. Zob.: H. Filipowicz, *Temat konspiracyjno-powstańczy we współczesnym dramaturgii emigracyjnym*, [in:] *Teatr i dramat polskiej emigracji 1939–1989*. Praca zbiorowa pod red. I. Kiec, D. Ratajczakowej, J. Wachowskiego, Poznań 1994, s. 223–244.

<sup>3</sup> W. Budzyński, „*Noc przeminęła...*”, Londyn 1952, s. 35. Akcja tej sztuki rozgrywa się „teraz” (sceniczna prapremiera miała miejsce w Londynie, 15 XII 1950 r.), „w budce — domku dróżnika, gdzie w Polsce na odludziu”. Warto dodać, że w sposób typowy dla „listopadowego” schematu w utworze tym zdrajca, konfident bezpieki nawraca się na katolicyzm — i patriotyzm. Impulsem dla przeobrażenia jest zaproszenie prześladowcy do wigilijnego stołu przez patriotę, dróżnika Grzelaka.

jest w tych utworach „polski dom”, zamieszkały przez zwykłych, przeciętnych ludzi. Wśród nich najgoręcej pielęgnuje się miłość ojczyzny, umiłowanie wolności i żarliwy katolicyzm. Rodzinne więzy, zacieśnione tradycyjną obyczajowością, gwarantują nieprawdopodobieństwo trwałych odstępstw od wartości, wokół których zespala się naródowa zbiorowość. W domu, pośród rodziny, trwa Polska, niezależnie od biegu zdarzeń politycznych i dziejowych wstrząsów. Czas, mimo że określony historycznie, jest tu zawsze częścią, etapem narodowej niewoli, zatem — odwiecznego procesu, sakralnie sankcjonowanego, który nie może zakończyć się inaczej, jak tylko zwycięstwem dobra i wypełnieniem się Bożych zamysłów. W częstym użyciu są „listopadowe” utwory eksponaty z narodowo — sentymentalnej rekwizytorni. Równie często stosuje się aluzyjne przywoływanie pieśni z patriotycznych śpiewników i fragmentów utworów romantycznych wieszczów. Zresztą, obficie wykorzystywane są schematy dziewiętnastowiecznego kanonu literatury ojczystej, literackie kalki są tu normą estetyczną<sup>4</sup>. „Poetyka listopadowa”, jak się wydaje, najlepiej zadomowiła się w emigracyjnym dramaturgii, zwłaszcza w okresie „teatru służebnego” lat wojny i pierwszych lat powojennych. Tadeusz Nowakowski, po rezygnacji z pomysłu wystąpienia z tomem poezji, nie zarzucił całkowicie mowy wiązanej. Pisał „listopadowe” wierszowane obrazki sceniczne, w których chętnie wykorzystywał fragmenty utworów pierwotnie umieszczonych w zbiorze *Przed wędrówką*. Przykładem niech będzie bardzo ongi popularna *Jasełka* (trzy wydania w Londynie: 1947, 1948, 1949), w której autor wykorzystał fragmenty „Religii wysiedleńców”, wiersza z 1946 roku, który miał być utworem zamykającym planowany tom poezji. Nie trzeba chyba dodawać, że sceniczne produkcje Nowakowskiego były typowymi realizacjami scenariusza „listopadowego”. Wydaje się, że obfita emigracyjna „listopadowa” produkcja dramaturgiczna traci impet w połowie lat pięćdziesiątych. Nie znaczy to, że później utwory tego typu nie powstawały, jednak na pewno tworzono je mniej licznie. Być może mamy tu do czynienia z zaznaczającym się wyczerpywaniem „listopadowego” schematu. Być też może przyczyną stopniowego zaniku tego rodzaju twórczości było co innego<sup>5</sup>.

#### IV

Rzecz charakterystyczna. Wraz z wysychaniem fali „listopadowego” dramaturgii, wspieranej sporadycznie realizacjami schematu w innych rodzajach literackich (jak np. omawiany wiersz Nowakowskiego), literatura emigracyjna właściwie przestaje być zasilana utworami, których akcja byłaby lokowana w kraju, w powojennej krajowej rzeczywistości, wśród „zwykłych”, przeciętnych ludzi (jeśli nie liczyć nowości spod piór pisarzy przybyłych zza żelaznej kurtyny, jak Czesław Miłosz, Marek Hłasko czy, później, Piotr Guzy). Stan taki będzie trwał lat kilkanaście. Nasuwa się zatem podejrzenie, że ta absencja tematu współczesności krajowej w kilkunastoletnim rozwoju literatury emigracyjnej tłumaczy się względami pozaliterackimi, ściślej — pewną zaporą mentalną i ideologiczną. Dogmatem Emigracji był obraz kraju walczącego, zniewolonego, ale nie — zwyciężonego. Że tam, w Warszawie czy w Łodzi, ktoś znany przed wojną, pisarz, aktor,

<sup>4</sup> Informację o cechach utworów skomponowanych w ramach „poetyki listopadowej” sformułowałem w zależności od ustaleń Haliny Filipowicz, op. cit. Czytelników zainteresowanych szczegółowymi omówieniami poszczególnych emigracyjnych utworów scenicznych, powstałych w ramach opisywanej tu poetyki, odsyłam do tej pracy.

<sup>5</sup> Jan Ostrowski pisał: „Osłabienie [...] tętna twórczości dramatycznej na emigracji w ciągu ostatnich pięciu lat omawianego okresu [tj. do r. 1956, dop. moje, WL] jest następstwem małego zrozumienia, jakie żywy teatr na emigracji miał w tym okresie dla repertuaru emigracyjnego.” J. Ostrowski, *Dramaturgia*, [in:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*. Red. T. Terlecki, Londyn 1964, t. 1, s. 207.

polityk, zgłosił akces do „nowej rzeczywistości”, dokonał samokrytyki, sprzedał się bądź dał zastraszyć — to nie podważało dogmatu. Liczyła się w końcu zdrowa, milcząca większość społeczeństwa, ludzie przeciętni, cisi bohaterowie codzienności, rdzeń narodu, który jest „jak lawa”, duchowo niezmienny, odporny na wpływ rytualnych obrządków obcej władzy, niepodległy i nie dający się zsowietyzować. Świadectwem tej odporności w pierwszych latach powojennych było istnienie zbrojnego podziemia, oddziałów leśnych, działających mimo braku nadziei wsparcia skądkolwiek. Gdy antykomunistyczne oddziały przeszły do historii, nie oznaczało to w optyce emigrantów wygaśnięcia oporu. Zdrowy duchowo naród przestał się bezcelowo wykrwawiać, myślano, trwa niezagrożony w swej duchowej jedności i niepodległości, zbierając siły czeka korzystnej chwili dziejowej. Zatem — walczy nadal, z konieczności nie zbrojną, lecz duchową metodą. Toteż nadal Emigracja pisała słowo „kraj” z wielkiej litery, tą niepisaną regułą ortograficzną podkreślając szacunek dla „Walczącego Kraju”. Tylko nieliczni pisarze-emigranci buntowali się przeciwko tej „ideowej ortografii”, powszechnie przyjętej przez czasopiśma emigracyjne. Wiara w niezłomność krajowego społeczeństwa generalnie nie była na emigracji podważana. Pierwszych zwątpień, mimo sporej dawki optymizmu, musiał dostarczyć brak antykomunistycznych haseł w wydarzeniach „Polskiego Października”. Kolejnych, coraz liczniej odwiedzający Zachód przybysze z kraju, jak się okazywało — nie zawsze myślący jak Emigranci, często odmienni mentalnie, wyraźnie ukształtowani przez inną rzeczywistość. Jednakowoż ukazywanie tych odmienności w emigracyjnych utworach literackich oznaczałoby rezygnację z dogmatu o niezłomności „Kraju”, jak także koniec możliwości postrzegania PRL jako przestrzeni aksjologicznie uporządkowanej, w której siły dobra, „swoi”, nieustannie ścierają się z żywiołem zła — „obcymi”. Pierwszego dobitnego wyłomu w owej „zmowie milczenia” literatury Drugiej Emigracji dokonał Kazimierz Wierzyński, wierszami *Czarnego poloneza* z 1968 roku. Utwory takie jak „Moralitet o korycie”, „Kombinat” czy „Stabilizacja” przynosiły obraz moralnych strat narodu pod komunizmem, demoralizacji i duchowej degrengolady, które budząc współczucie, budzą jednocześnie odrazę. Naród „zaprasowany jak portki” nie był już tym duchowo zespolonym, gorącym jak lawa pod zewnętrzną skorupą — nie był już narodem z emigracyjnego mitu. Po wystąpieniu Wierzyńskiego coraz śmielej rzeczywistość krajowa wkraczać będzie do utworów pisarzy emigrantów, nawet tych, którzy kiedyś chętnie powielali „listopadowe” scenariusze. Jak Tadeusz Nowakowski, którego powieści z lat siedemdziesiątych zdobywają się na analityczne i krytyczne spojrzenie na rodaków z kraju. Co, oczywiście, nie oznacza, że Emigracja wyzbywając się „listopadowej” wizji społeczeństwa krajowego, zrezygnowała z podtrzymywania postulatu „Służby Krajowi”, co jest już jednak osobnym zagadnieniem.

## V

Głównym celem tego szkicu było zasygnalizowanie „ugorującej” problematyki badawczej. Kwestia wizerunku rzeczywistości krajowej w emigracyjnej literaturze wydaje się godną zainteresowania i dyskusji. Rozpatrzenie tej problematyki mogłoby przynieść ważne informacje na temat własnej „linii rozwojowej” literatury Drugiej Emigracji. Rzecz o tyle istotna, że chyba niesłusznie, coraz częściej obraz tej literatury bywa „dopasowywany” do szablonu literackich przełomów krajowych.

Rzecz jasna, napisany w tym celu szkic nie chciał i nie mógł pretendować do funkcji syntetycznego przeglądu zarysowanej problematyki. Stąd obecność uogólnień, nie wspartych szczegółową egzemplifikacją tekstową. Chodziło jednak o wywołanie problemu, nie — rozwiązanie.



# HISZPAŃSKI POSMAK *KATEDRY SANDWICZÓW* CZESŁAWA STRASZEWICZA

**Florian ŚMIEJA (Kanada)**

Niejednemu Polakowi przez wiele jeszcze lat Monachium kojarzyć się będzie z Radiem Wolna Europa, choć może ono być synonimem propagandy albo nieskrepowanego słowa, dywersji lub szczytnej misji informowania i przełamywania cenzury. Dla mnie Monachium to byli przyjaciele i znajomi, w pierwszym rządzie Lala i Wojciech Gniatczyński, ks. Tadeusz Kirschke, Bronisław Przyłuski, Tadeusz Nowakowski i Czesław Straszewicz, ludzie którzy tam znaleźli ambitne zajęcie, przyjazną atmosferę i godziwe zarobki. Podczas jednej z moich wizyt w kafeterii radia Wojciech Gniatczyński, kolega ze studiów w Irlandii, przedstawił mnie Straszewiczowi. Nie pamiętam dokładnie szczegółów ale zapewne wskazał na mnie jako na iberystę, a więc człowieka biegłego w języku kraju, w którym Straszewicz spędził szmat czasu, gdzie umarł i został pochowany.

Nie zdziwi więc fakt, że Straszewicz, który nawoływał piszących emigrantów do zaniechania wspominków i poświęcenia większej uwagi otaczającemu ich światu i ludziom, za tło swojej prozy wybrał Urugwaj i wprzągnął język hiszpański do zdynamiczowania swojej narracji. Temu językowi godzi się bliżej przyrzeć choćby w formie rekonesansu, a później ktoś inny w dokładniejszym studium niejedno jeszcze dopowie.

W pierwszej z dwu nowel, które składają się na *Turystów z bocianich gniazd*, w *Katedrze sandwiczów*, Straszewicz ukazał Polaków na egzotycznej urugwajskiej ziemi otoczonych przez żywioł hiszpański i kazał im mówić swoistym językiem, który w dużej mierze stanowi o uroku tej osobliwej prozy. W rozmowie z Ewelina Żółtowska autor powoływał się na Henryka Sienkiewicza, który narrację swoją nieraz inkrustował słowami czy nawet zwrotami łacińskimi uzyskując w ten sposób artystyczne efekty. Polscy marynarze, którzy zeszli ze statku „Feliks Dzierżyński” w Punta Chata (Montevideo?) nagle znaleźli się wśród ludzi posługujących się językiem hiszpańskim. Aczkolwiek znali kilka uniwersalnych słów angielskich takich jak bicz (*beach* — plaża, wybrzeże), go tu

hel (*go to hell* — idź do diabła), *fifty-fifty* (pół na pół), tomigany (*Tommy gun* — pistolet maszynowy), nersa (*nurse* — pielęgniarka), dżadz (*judge* — sędzia), biczykon (*beachcomber* — włóczący się po brzegu, włóczega), alrajt (*all right* — w porządku), mit-paj (*meat pie*) czy *darling* (kochana) — potrzebowali się pilnie nauczyć najbardziej niezbędnych dla przeżycia słów hiszpańskich.

Miały się nimi okazać w pierwszym rządzie nazwy ichtiologiczne: *pejerey*, *bagrey*, *palomiya*, *boriquita* i *anchoa* pisane na przemian po hiszpańsku i fonetycznie po polsku: *peherey*, *bagrej*. Aby uchwycić koloryt lokalny autor wprowadził do swojej narracji wiele hiszpańskich pojęć, głównie rzeczowników. Niektóre czytelnik polski przyjmuje bez trudu, inne po czasie: *fiesta*, *patio*, *amor* (miłość); *hasmin* (*jasmin* — jaśmin); *cerveza* (piwo) pisane tak jak słowo wymawiano a więc *serveza*; *grapa* (wódka z wyłoczyn winogronowych); *otra vuelta* (jeszcze jedna kolejka); *keryda* (*querida* — kochanie, kochana); *novia* (narzeczona, dziewczyna); bcyklet (*bicicleta* — rower); wokabuler (*vocabulario* — słownik); *mercado* (*mercado* — targ); *almacen* (sklep); *amicycja* (*amicicia* — przyjaźń, znajomość); *czuraski* (*churasco* — rodzaj pączka); *puczero* (*puchero* — potrawa mięsno-jarzynowa); *hornal* (*jornal* — dniówka); *gażega* (*gallego* — Hiszpan emigrant); *verguenza* (wstyd); *basura* (śmieci, gnój); *pedreguż* (*pedregal* — kamienny teren); *kania* (*caña* — wódka z trzciny cukrowej); *cedula* (*cédula* — dowód, dokument); *rinkon* (*rincón* — kąt, róg); *patron* (*patrón* — szef, pracodawca); *mani* (rodzaj orzeszka); *pryncypalne mercado* (*mercado principal* — główny, największy targ); *pensión* (*pensión*, w języku hiszpańskim rodzaju żeńskiego. Ten pensjon to pewnie echo „pensjonatu”); *kiniela* (*quiniela* — loteria, bilet na loterię); *picaflor* (koliber); *cze vos* (*che vos* — ty, poufale); *chau* (cześć); *notisja* (*noticia* — wiadomość, informacja); *zapatero* (szewc); *reparaciones* (naprawa); *arreglo* (sporządzenie); *kaczi-baczi* (*cachivache* — grat, lada-co); *arroz* (ryż); *bario* (*barrio* — dzielnica, przedmieście); *dolor* (ból); *kukaracza* (*cucaracha* — karaluch), *precios moderados* (ceny umiarkowane); *lio* (kłopot, problem); *bolichu* (*boliche* — kram, bar); *lomo* (grzbiet, połędwica); *krijoże* (*criollo* — Kreol, urodzony w Ameryce biały); *ażanamiento* (*allanamiento* — rewizja domowa); *cero-pelo* (ogolony do skóry); *hoy* (dzisiaj); *pajarito* (ptaszek, donosiciel); *frakaso* (*fracaso* — fiasko, rozbiecie się); *kawesa* (*cabeza* — głowa); *kontrabandzista* (*contrabanda* — przemyt); *chancho sucio* (niechlujny wieprzu); *malta* (słód); *eskritura* (*escritura* — pismo, dokument, kontrakt); *malvana* (*malvado* — zły); *tonterya* (*tonteria* — głupota); *estrada* (gościńiec); *faro* (reflektor); *sitio* (siedzenie, miejsce); *boka* (*boca* — usta); *carretera* (szosa); *linterna* (latarnia); *sentencja* (*sentencia* — wiadomość, słowo); *mierda* (gówno); *permiso* (pozwolenie); *municipio* (magistrat); *komedor* (*comedor* — jadalnia, jedzenie); *amigowie* (*amigo* — przyjaciel); *importancia* (ważność); *eukalipta* (*eucalipto* — drzewo eukaliptusowe); *tinta* (farba, barwa); *kwadra* (*cuadra* — blok domów); *konfiterija* (*confiteria* — cukiernia); *kolaborator* (*colaborador* — kolaborant, współpracownik); *zapaty* (*zapato* — but); *kontra i rekontra* (*contra i recontra*).

Da się bez trudu zauważyć, że Straszewicz używa chętnie rzeczowników, które polskiemu czytelnikowi nie nastroją trudności i rozumie je natychmiast (*fiesta*, *patio*, *linterna*, *amigo*), ale przy innych nie zawaha się posłużyć ich hiszpańską postacią: „pod tego eukalipta” bo po hiszpańsku jest *eucalipto*. Powie kolaborator, bo po hiszpańsku brzmi to słowo *colaborador*; akcydent zamiast „wypadek”, bo po hiszpańsku jest *accidente*. Rzeczowniki te odmienia śmiało po polsku: „amigowie”, „zapaty” (buty), „seniorutki”, „fary” — reflektory (*faro* — światło samochodowe, reflektor); „na kawesę” (na głowę *cabeza*), „do almacenu” — do sklepu (*almacen*); „w boliczu” (w kramie, barze — *boliche*), „o amorze”. Posługuje się też kalkami, dosłownym przekładem. Tytuł noweli brzmi *Katedra sandwiczów* bo po hiszpańsku to *Catedral de los sandwiches*. Podobnie napisze „w sekcji” zamiast „na policji” bo *sección*, powie „Zdrowie publiczne” na *Salud*



*pública*. Zdarza się, że użyje rzeczownika, który po polsku znaczy co innego, ale można się domyślić jego innego znaczenia: molestowanie (*molestar*) to przeszkadzanie lub granie na nerwach.

Znajdziemy ponadto w polskim tekście częste wtręty hiszpańskie, zazwyczaj pojedyncze słowa takie jak *mira* (popatrz, spójrz); *novia mia* (moja dziewczyno, kobieto); *enseguida* (natychmiast, już); *pero* (ale); *seguro* (pewnie, oczywiście); *si* (owszem, tak); *claro* (jasne); *si, señor* (tak jest); *caracoles* (do licha); *vamos* (ejże); *Caramba* (do diabła, a niech to); *te digo* (mówię ci) lub całe zwroty: *keryda, komo te wa* (*querida, como te va* — kochanie, jak ci się wiedzie); *diviertese bien* (powinno być *diviértase bien* — życzę dobrej zabawy); *dejate de joder, chancho sucio* (przestań pierdolić, nieczysty wieprzu); *que vayan a la mierda* (niech idą do diabła). Znalazł się w noweli nawet dłuższy cytat po hiszpańsku, zwrotka popularnej piosenki.

Czasowników hiszpańskich Straszewicz używa oszczędniej. Bohater noweli umie powiedzieć swojej kochance *te gusta* czyli „poda ci się”. Czasowniki na ogół pochodzą jednak z żelaznego repertuaru słów emigrantów pod każdą szerokością geograficzną, którym po czasie łatwiej na język przychodzi lokalne słowo, które wprzegają w znane sobie gramatyczne struktury. Jeżeli *aprovechar* znaczy w języku hiszpańskim tyle co „używać, korzystać z czegoś” to w ustach Polaka staje się czasownikiem aproweczować i odmienia się bez trudu po polsku. Tokuje od tokować pochodzi od hiszpańskiego *tocar* czyli „dotykać”. Podobnie *buscar* (szukać) przeobrazi się w „buskałem i znalazłem” w ustach polskich w Urugwaju. Jeśli *manejar* to prowadzić samochód, to w pierwszej osobie polski emigrant powie manehuję. Znajdziemy też skobruje od *cobrar* (brać zapłatę, zarobić) z polskim przedrostkiem *s*, by zaznaczyć czas dokonany. Dlatego czytamy też „jeśli szef sfrakasuje” (*fracasar* — przegrać, nie udać się, nie wyjść, nawalić). W jednym miejscu zauważamy typową dla języka hiszpańskiego składnię, kiedy zamiast powtórzenia tego samego czasownika, używa się słowa „tak” — *si*. „Nikt w Punta Chata o Strupie nie pamiętał, ale o jego fortunie tak” — zamiast „o jego fortunie owszem, pamiętano”.

Zdarzają się u Straszewicza przymiotniki urabiane od rzeczowników hiszpańskich na polską modłę. Skoro jest mierda (gówno) to mamy i mierzowaty. Od miejscowości Punta Chata powstała czateńska ziemia, od *criollo* — mamy krijożowskich cudów, od *quiniela* — kinielowa karteczka. Rozpoznawalnego słowa *principal* dało się łatwo użyć w wyrażeniu pryncypalne mercada. Spotykamy przysłówkowe odezwania się jak *enseguida* (już się robi, zaraz), *entonces* (wtedy, w takim razie), *adelante* (naprzód, rusz się) czy no aj kaso (*no hay caso* — nie szkodzi, nie ma sprawy, to drobnostka).

Bardzo efektowne są makaroniczne zdania: „*Que te vayas, cholera, a la mierda!* Czy *pareha* była jak w cinie, *pero...*”; „*Que Dios los ayuda, rycerscy Polacy*” (poprawniej: *les ayude...*); „Czy ty, *vos*, coś z tego rozumiesz?”; „*Andante* — Wiesio się wściekł idź won, *chancho sucio!*” W tej wenie powstałaby także zapowiedziana powieść, której rozdział ukazał się w „Kulturze” (93/94, 1955). Straszewicz swoisty język polsko-hiszpański utrzymał i zamierzał dalej eksperymentować. Czytamy dla przykładu „Carballo był puci syn”. Polski przymiotnik puci od hiszpańskiego rzeczownika *puta* (kurwa) daje polonijną wersję niezbywalnego rodzimego epitetu.

„Straszewicz zamierzał pisać książkę o Ameryce Południowej językiem, który sam tworzył, swego rodzaju volapukiem polsko-hiszpańskim. Ten język mnie zafascynował”, pisał Jerzy Giedroyc.

Książki tej Straszewicz w końcu nie zdążył napisać, choć ukazał się drukiem ów właśnie fragment prozy świadczący o pracy nad większą całością. Czy coś pozostało w rękopisie, nie wiadomo. Należy żałować, że autorowi nie udało się napisać więcej, ale to, co stworzył, zaliczyć trzeba do jego udanych, znakomitych i niezapomnianych dokonań językowych i stylistycznych.



KORESPONDENCJE – DOKUMENTY – ROZMOWY

---

# MICHAŁ CHMIELOWIEC DO HENRYKA ELZENBERGA – KORESPONDENCJA

Michał WORONIECKI (Gdańsk)

Publikowana korespondencja Henryka Elzenberga (i Heleny Wirskiej) z Michałem Chmielowcem obejmuje okres od 5 IV 1965 do 31 VII 1967 r. (ostatnie listy Chmielowca pisane były już po śmierci Profesora). Autorzy listów nigdy się nie poznali osobiście, widać jednak, że spotkały się dusze sobie bliskie, i że obie są z tego spotkania uradowane. Była to jak gdyby ostatnia przyjaźń Elzenberga.

Znajomość nawiązała się z inicjatywy Chmielowca, który przysłał Profesorowi maszynopis swojej recenzji *Kłopotu z istnieniem*. Elzenberg był już wówczas poważnie chory (nowotwór szpiku kostnego) — częściej niż w Toruniu przebywał bądź w szpitalach warszawskich, bądź w domu wdowy po swoim przyrodnim bracie, Pani Heleny Wirskiej, która przez te lata stworzyła mu w swoim mieszkaniu na Marszałkowskiej atmosferę rodzinnego domu.

Korespondencja, z wyjątkiem listu pierwszego, który znajduje się wraz z maszynopisem recenzji w warszawskim Archiwum PAN, pochodzi ze zbiorów Biblioteki UMK w Toruniu, którego Elzenberg był profesorem od 1945 r. Listy H. Elzenberga i H. Wirskiej znajdują się w archiwum „Wiadomości” oraz archiwum Michała Chmielowca (oba w Archiwum Emigracji); listy M. Chmielowca przechowywane są zarówno w papierach Elzenberga (Rps 1864/III) jak i Wirskiej (Rps 2975/IV).

W zespole jest 9 listów Elzenberga, 14 listów Chmielowca oraz 2 listy Wirskiej do Chmielowca (z 21 VI i 17 VII 1967 r.), należące tu logicznie. Jak się zdaje, publikacja przedstawia całość korespondencji, jaka między nimi miała miejsce.

## LISTY

---

1.

Michał Chmielowiec  
4, Airedale Avenue,  
London W. 4

5 kwietnia [19]65

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Do wysłania załączonego artykułu<sup>1</sup> zachęcił mnie onegdaj Józef Czapski. Robię to z pewnym wahaniem, bo nie jestem z tego szkicu zadowolony. Książka Pana wywarła na mnie wielkie wrażenie, nie umiałem jednak — w nawale różnych robót — omówić jej tak wnikliwie jak na to zasługuje. Spisałem swe wrażenia zbyt pośpiesznie, toteż niejedyn sąd kuleje. Może jednak i taki ślad zainteresowania nie będzie Panu przykry...

Pierwotny tytuł<sup>2</sup> wydał się Grydzewskiemu<sup>3</sup> zbyt złośliwy wobec Iwaszkiewicza — ostatecznie rzecz ukazała się (na „honorowej” pierwszej stronie w nrze z 28 marca) pod tytułem „Radość myślenia”. Za tę radość raz jeszcze, prywatnie, dziękuję i łączę wyrazy głębokiego poważania.

Michał Chmielowiec

---

Maszynopis, w zbiorach Archiwum PAN w Warszawie, sygn. III-181, teczka 51, wraz z maszynopisem artykułu; nagłówek („Wielce Szanowny...”) i formuła aprekacyjna (od słów: „i łączę wyrazy...”), wraz z podpisem napisane ręcznie.

<sup>1</sup> Artykuł dotyczący *Kłopotu z istnieniem* ukazał się w londyńskich „Wiadomościach” w numerze 13 z 28 III 1965.

<sup>2</sup> Tytuł ten brzmiał: „O człowieku, który nie chciał mieć duszy Iwaszkiewicza”.

<sup>3</sup> Mieczysław Grydzewski (1894–1970), założyciel, wydawca i redaktor „Wiadomości” londyńskich (1946–1966); jego zastępcą i następcą był Michał Chmielowiec.

2.

Warszawa, 24 IV [19]65.

Wielce Szanowny Panie,

List Pański i maszynopis — odesłane mi z Lasek — zastały mnie w szpitalu, trapionego kilku różnymi chorobami i wyjątkowo nieruchawego. Fizycznie i, niestety, intelektualnie też. Muszę więc prosić o usprawiedliwienie, że mimo szczerzej chęci nie mogę

wszczynać tzw. dzisiaj „dialogu” i ograniczam się do bardzo, ale to bardzo serdecznego podziękowania. Poza merytorycznymi cechami artykułu ucieszył mnie również jego prawdziwie ludzki ton, dzięki któremu z punktu poczułem się z Panem w jak najpełniejszym kontakcie.

Na jednym tylko punkcie chciałbym się wdać w drobną dyskusję: chodziłoby mi o pewne wzięcie w obronę moich szanownych i zacnych wydawców katolickich w „Znaku”<sup>1</sup>. Ja osobiście doskonale rozumiem, że zarówno ze względu na czytelników jak i na hierarchię kościelną (z którą przecież nie mogą się nie liczyć) owo odgraniczenie się ode mnie (w jakże delikatnej formie podane!) było konieczne. Nie wydaje mi się również, żeby z tą właśnie grupą moje częściowe porozumienie miałyby być mniej łatwe niż z innymi: są to ludzie nie tylko wysoce „tolerancyjni”, ale prawdziwie otwarci na myśl cudzą, jeżeli tylko — przy dużych nawet różnicach — jakieś głębsze pokrewieństwo istnieje. Prawda, że niektórzy panowie bliscy tej grupie — popularnie i bałamutnie nazwani dziś „neopozytywistami” — mocno mi swymi koncepcjami dają<sup>2</sup> na nerwy, — ale z nimi się nie stykałem i nie ich tu mam na myśli.

Ten list, jakkolwiek krótki, już zdążył niezgorzej mnie zmęczyć, kończę więc, dziękując raz jeszcze i załączając uścisk dłoni; jaki? serdeczny oczywiście, ale chyba więcej: b r a t e r s k i. Panu Mieczysławowi<sup>3</sup>, który nie lubił długich cytatów, proszę przekazać moje najlepsze pozdrowienia.

Henryk Elzenberg

Adres dla ewentualnej korespondencji: Warszawa, Marszałkowska 15 a, m. 5.

---

List pisany ręcznie.

<sup>1</sup> Chmielowiec napisał bowiem: *Bezpartyjna, nieprzynależna, niepodległa dusza — jak to dziś rzadkie i jak cenne! W przedmowie katolickiego wydawcy czytam, że „Kłopot z istnieniem» na pewno nie jest [książką] katolicką”, że „poglądy autora... są od katolicyzmu dalekie...” Drażni mnie trochę to odcinanie się i gęste tłumaczenie się z wydania, z którego „Znak” powinien się tylko chlubić. To prawda, że można tu i ówdzie znaleźć u Elzenberga myśli, których ani rusz nie można pogodzić z katolicyzmem, jak np. dwukrotną pochwałę samobójstwa, ale już taka krytyka katolicyzmu, jaką mamy na str. 376, mogłaby wyjść i spod pióra katolika. Wielkość katolicyzmu na tym właśnie polega, że jest w nim miejsce i dla pesymistów, i dla optymistów, i dla idealistów, i dla realistów filozoficznych, dla tomistów i augustynistów (choć ci tamci są ciągle milej widziani). Od tego typu katolicyzmu, który reprezentuje grupa „Znaku” Elzenberg jest istotnie dość daleki, ale katolicyzmowi szerzej pojętemu — bardzo bliski. Cytuję według wspomnianego w liście pierwszym maszynopisu.*

<sup>2</sup> Tak w rękopisie.

<sup>3</sup> Grydzewskiemu.

3.

4, Airedale Avenue,  
London W.4,  
Anglia  
30.4. [19]65

Czcigodny Panie Profesorze!

Proszę się nie obawiać, że będę się naprzykrzał listami. Jestem listopisem wprost chorobliwie nieskwapliwym. Tym razem jednak nie mogę się oprzeć chęci bardzo gorącego podziękowania za list. Pisanie po polsku za granicą coraz bardziej przypomina rzu-

canie monet w bezdennej studni — toteż serdeczny oddźwięk Pana Profesora (który był nie tylko przedmiotem mego artykułu, ale jednym z tych — jakże tu nielicznych — czytelników, dla których warto pisać) dodał mi wielkiej otuchy, był naprawdę w y d a - r z e n i e m umilającym i s t n i e n i e, żeby nie rzec: bytowanie czy wegetowanie.

Ciekawym zbiegiem okoliczności miałem właśnie inne z Panem „spotkanie”. W pośmiertnie wydanym (bardzo się to wydawcom chwali, że się zdobyli na tak cenne wydawnictwo) tomie artykułów i recenzji pt. *Wśród poetów*<sup>1</sup> Karola Wiktora Zawodzińskiego nieomal „o miedzę”<sup>2</sup> sąsiadujemy w „indeksie osób”. Czytam teraz tę książkę i będę o niej pisał. O Panu jest mowa na str. 29, gdzie Zawodziński omawiając tom M. Brauna<sup>3</sup> pisze:

„...poeta składa hołd obowiązkowemu dla pewnych kół literackich pacyfizmowi, brzydkiemu i prostackiemu, którego poziomość etyczną wykrył i napiętnował w j e d - n y m z e s w y c h r z a d k i c h a z a w s z e g ł ę b o k i c h wystąpieniu Henryk Elzenberg (w „Przeglądzie Warszawskim”, pisząc o którymś powieściopisarzu francuskim [tj. o Romain Rollandzie — *Piotr i Lucja*]), jak informuje przypisek wydawcy”<sup>4</sup>.

Wzmianki o mnie dotyczą młodzieńczych (szczenięcych) polemicznych bojów, jakie wiodłem przed laty krusząc kopie za tzw. „awangardę”. Byłem wtedy wiernym uczniem Peipera (podobno bardzo chory?) i Przybosia, z którym — jak widzę z *Kłopotu* — był Pan w styczności. Trochę mnie dziwiło, że rzadko wspomina Pan Irzykowskiego<sup>5</sup> — to jeszcze jeden mistrz mojej młodości a Panu pod niektórymi względami bliski (myśl jako przewyciężenie swej antytezy...).

Istotnie trochę zbyt zgryźliwie potraktowałem „Znak” jako wydawców. Ta grupa ludzi jest mi pod wieloma względami również bardzo bliska (jedyne raz wystąpiłem w druku w powojennej Polsce właśnie w „Tyg[odniku] Powsz[ecznym]”. Tylko że wierzęgam zawsze na wszelkie objawy układowej ortodoksji, za dużo jej dzisiaj wszędzie w różnych wiarach, niewiarach i psiwariach.

Pora kończyć. Czym? Przede wszystkim najlepszymi życzeniami możliwie znośnego zdrowia (więcej byłoby niestety tanim optymizmem) i powtórna podzięką za pokrzepienie.

Z wyrazami głębokiego poważania.

Michał Chmielowiec

---

Maszynopis; nagłówek oraz formuła aprekacyjna dopisane ręcznie.

<sup>1</sup> K.W. Zawodziński, *Z Pism. Wśród poetów*. Oprac. Wanda Achremowiczowa. Kraków 1964. Tytuł ręcznie dopisany na marginesie.

<sup>2</sup> Wyrażenie w cudzysłowie ręcznie dopisane na marginesie.

<sup>3</sup> M. Braun, *Rzemiosła*. Warszawa 1926.

<sup>4</sup> *Przegląd Warszawski*, R. 2: 1922 t. 4 nr 15, s. 404–415.

<sup>5</sup> Brzmi to nieco eufemistycznie: Irzykowski przywołany jest w *Kłopotcie*... tylko raz — w notatce z 31 VIII 1936 r.

4.

Ożarów pod Warszawą, 10 VI [19]65.

Drogi Panie Michale (pozwoli Pan może tak do siebie pisać z racji mojej sędziwości i wielosłownej między nami nieprzeciętnej zgody), — zwlekałem z odezwaniami się do

Pana, czekając z początku na wyjście ze szpitala i otrząśnięcie się z jego nastrojów, a potem na pewną wiadomość dla mnie ważną, a którą się z Panem chciałem podzielić. Wiadomość miała dotyczyć zatwierdzenia przez Akademię planu wydawniczego Towarzystwa Naukowego w Toruniu, w którym to planie figuruje tom moich rozpraw filozoficznych rozsianych po czasopiśmie<sup>1</sup>, mocno pożądanym jako uzupełnienie z innej strony moich wypowiedzi aforystycznie swobodnych. Ale Akademii się nie spieszy; według przepisów ma czas do końca miesiąca, a mnie korci, iż Panu nie podziękowałem. Decyduję się więc to uczynić już teraz, korzystając z błęgiego spokoju i względnie dobrego nastroju w tutejszym dworze, obarczonym co prawda gorzkim historycznym wspomnieniem z czasów powstania<sup>2</sup>, ale nie mniej przez to miłym dla odpoczywającego w nim dzisiaj.

Nie zaskoczyły mnie, ale przecież zmartwiły Pańskie uwagi o warunkach, w jakich „tam u was” znaleźli się polscy pisarze i o tym, jak sam Pan się w nich czuje. Dla przeciwwagi poniekąd sięgnąłem po ów tom Zawodzińskiego o poetach i, kierując się indeksem, przeczytałem, to co autor w nim mówi o Pańskich wyczynach młodzieńczych; — ale nie, chyba nie o „wyczynach”, tylko o wystąpieniach raczej właśnie statecznych i świadczących o szybkim dojrzewaniu wewnętrznym. — Z Pańskich dawnych mistrzów widziałem (sam nie dając się poznać) Przybosia na jego wieczorze literackim w Toruniu<sup>3</sup> parę lat temu; wiersze były dobre, choć sporo rzeczy — czasem mocno wbrew pierwszemu wrażeniu słuchaczy — wyjaśniał dopiero komentarz; teoria natomiast słaba, cała skonstruowana na przeciwstawieniu poezji „dawnej” (czy od Homera?) i „nowej” (od 1925? 1930?), przy czym tę dawną charakteryzowało się *en bloc*, i to najfalszywiej. (Stara zresztą metoda przy każdym kolejnym przewrocie w sztuce.) — Peiper<sup>4</sup> rzeczywiście choruje i na umyśle też jest starczo zachwiany, ale o nim słyszę tylko od znajomych; nigdy się z nim nie poznałem.

Ja sam z głową jeszcze jako tako, chociaż męczę się szybko, i do ostrego wysiłku *l o g i c z n e g o* nie jestem już zdolny; fizycznie nie jest dobrze: lekarze coś tylko koło mnie dębą bez przekonania. Wczoraj od kolegów gimnazjalnych w Genewie<sup>5</sup> otrzymałem zaproszenie na *s z e ś ć d z i e s i ę c i o l e c i e* naszej matury! (Nawiasem mówiąc, to jest niecodzienne: przez 60 lat stałe i systematyczne podtrzymywanie stosunków.)

Dłoń Pańską ściskam serdecznie. Adres w dalszym ciągu warszawski (choć chciałbym w ciągu lata znaleźć się na czas jakiś w Toruniu). — Henryk Elzenberg.

P.S. — Miałem tu ostatnio dwie recenzje równie tępe jak Pańska była bystra i pełna życia. Tylko „Przekrój” mnie popiera namiętnie!

---

List pisany ręcznie; „P.S.” dopisano na marginesie.

<sup>1</sup> Mowa o tomie *Wartość i człowiek*, który ukazał się w roku następnym.

<sup>2</sup> Elzenberg był zaprzyjaźniony z p. Anielą Urbanowicz, która w dworze ożarowskim prowadziła wówczas szkołę (Inf. od p. Heleny Wirskiej); w dworze tym podpisana została kapitulacja Powstania Warszawskiego.

<sup>3</sup> W kwietniu 1962 roku Julian Przyboś wziął udział w bydgoskiej „Wiosnie poetyckiej”. Miał też spotkanie w Toruniu.

<sup>4</sup> Tadeusz Peiper (1891–1969), pisarz, poeta, teoretyk awangardy poetyckiej.

<sup>5</sup> Maturę uzyskał Elzenberg 10 VII 1905.

5.

4, Airedale Avenue  
London W.4

6-go — już lipca! — 1965

Drogi Panie Profesorze!

Gorzko mi wstyd, że dopiero dziś się z tym listem wygramoliłem. Jakaś mnie ostatnimi czasy acedia napadła i odtrąciła mnie od maszyny („wytrąciła mi pióro” napisałbym, gdyby nie to, że pióra używam tylko do podpisu — takie to maszynowe już moje pokolenie) jak wściekłego psa od wody.

Od czasu gdy Ojciec mój zmarł przed kilku laty w Krakowie, nie miałem z kraju równie drogiego mi listu jak te od Pana Profesora. Tym czarniejsza niewdzięczność, że dopiero dziś dziękuję.

Niecierpliwie czekam wieści, czy tryby planowania przepuszczą ów tom rozpraw, który jakże chciałbym przeczytać! I nie ja jeden. Ciekaw jestem, jaka będzie jego objętość, pewno większa niż można by sądzić po znanej powściągliwości Pana w publikowaniu. Tu wyszła teraz bibliografia dotychczasowego dorobku Audena<sup>1</sup>. Poeta, gdy ją zobaczył, wykrzyknął: „Czyż to możliwe, że ja t y l e napisałem!” I mnie — *toutes proportions gardées*<sup>2</sup> — nachodzi czasem zdziwienie, ile wygryzmołem w swej krótkiej przecie „karierze” (od r. 1937 z kilkuletnią przerwą wojenną, kiedy nic nie pisałem)<sup>3</sup>. Przygotowałem właśnie niedawno do wydania zbiorek kilku opowiadań i kilkunastu essayów. Został przyjęty przez tutejszego (polskiego) wydawcę, ale Bóg raczy wiedzieć, kiedy doczeka się swego miejsca w „planie wydawniczym”<sup>4</sup>. Oj, te plany!

Recenzje z *Kłopotu*, jakie się ukazały w kraju, bardzo bym chciał przeczytać, nawet jeśli są tępawę. Rzadko bywam w tutejszej bibliotece polskiej (która ma dobrze zaopatrzone działy czasopism krajowych), na nic dotąd nie natrafiłem. Może pamięta Pan, w jakich pismach i numerach coś się o *Kłopotcie* ukazało — ułatwiłoby mi to ich odszukanie? Bardzo lubię czytać cudze zdania na temat, na który sam się wypowiadałem — taka konfrontacja jest ciekawa i pouczająca. Ciekawi mnie zwłaszcza co było w „Przekroju” — ten leciutki magazyn jest wyjątkowo dobrze redagowany.

Na odczycie prof. Swieżawskiego (z KUL)<sup>5</sup> spotkałem Pana b[yla] uczennicę, panią Romanę Winnicką, która prosiła mnie o przekazanie Panu najserdeczniejszych wyrazów. Uczył ją Pan propedeutyki filozofii w gimnazjum im. Konopnickiej<sup>6</sup>, lat temu — ile?! Z p. Winnicką znamy się od lat kilkunastu, mieszkamy w tym samym olbrzymim mieście, widzujemy się raz na kilka lat. Wiem że pozostała wierna młodzieńczym, a raczej dziewczęcym zainteresowaniom filozoficznym. Swieżawski dobre zrobił na mnie wrażenie. Spodziewałem się tomistycznego dogmatyka, tymczasem nacisk jaki położył na wolność myślenia — choćby prowadziło do herezji — przypadł mi do serca.

Czy nie pożąda Pan Profesor jakichś książek (angielskich, francuskich)? Mnie samego nie byłoby stać na ich kupienie, ale mam pewne „chody”, może by mi się udało kogoś nakłonić do ich zafundowania.

Wyrazy głębokiego poważania i serdeczny uścisk dłoni łączy

Michał Ch[mielowiec].

---

List Pisany na maszynie, jedynie nagłówki i formuła aprekacyjna dopisane ręcznie.



---

<sup>1</sup> Chodzi najpewniej o pracę R. Gogarta *W. H. Auden* (New ed.), London 1962 48 s.

<sup>2</sup> *toutes proportions...* (fr.) — w odpowiedniej proporcji; odpowiednio.

<sup>3</sup> Kompletną bibliografię twórczości M. Chmielowca zawiera praca magisterska Rafała Moczkodana „Życie i twórczość Michała Chmielowca — zarys monograficzny” obroniona w 1998 roku na UMK w Toruniu (maszynopis w zbiorach Archiwum Emigracji).

<sup>4</sup> Dot. zbioru *Bajki, prawdy, moralności...*, wydane w 1968 roku przez PFK w Londynie.

<sup>5</sup> Stefan Swieżawski (1907–), filozof, prof. KUL, autor m.in. *Dziejów filozofii europejskiej w XV w.* (t. 1–8).

<sup>6</sup> H. Elzenberg był nauczycielem etatowym w Gimnazjum Państwowym im. Marii Konopnickiej w Warszawie, w latach 1922–1936. Przedmioty: propedeutyka filozofii, język francuski, łacina.

6.

Toruń, 26 VII [19]65.

Drogi Panie Michale,

List Pański z 6 b.m. odesłano mi już do Torunia; jestem tu już od czterech tygodni. Na pytanie Pańskie zaraz odpowiem; przede wszystkim jednak sam zapytuję: czy po szczęśliwym druku swej książki<sup>1</sup> będzie Pan miał możliwość przysłania mi egzemplarza? Bardzo bym pragnął! choć — najbardziej rzeczowo mówiąc — do tego czasu więcej jest szans, iż będę spacerował po polach asfodelowych niż po alejach Torunia. Choroby się mnożą i zaostwiają.

Zatwierdzenie z Akademii dla moich rozpraw, po czterech czy pięciu miesiącach, jeszcze nie przyszło. Formalnie są niby obowiązani odpowiedzieć po trzech, ale tego nie przestrzegają. Toruńskie Tow[arzystwo] Naukowe — bo ono to wydaje — jest dobrej myśli i przemyśliwa już nawet o ...obwołucie. Ja mniej, ale oczywiście nic nie przesadzam. Tom miał być nieduży, — dwanaście arkuszy<sup>2</sup>. Miesiąc temu podpisałem drugą umowę — tym razem z Krakowem — o wybór esejów i studiów z krytyki literackiej; właśnie to kończę przygotowywać (zacząłem już dawno). Objętość ta sama. Są to wybo-ry; mnóstwo rzeczy pozostawiłem na boku<sup>3</sup>.

W „Przekroju” to była tylko notatka, niesłychanie życzliwa i w tonie pewnego szczególnego szacunku; ale potem wpadli na pomysł — by mnie „zbliżyć do publiczności” — cytowania mnie raz na tydzień w rubryce „myśli ludzi wielkich i małych tudzież psa Fafika”; wybierali zresztą i wykrawali zgoła nieudolnie. Po trzech takich numerach musieli przestać, bo zaprotestowałem gorąco, próbując im wytłumaczyć, że mnie ośmieszają.

Recenzji tutejszych znam pięć. W „Tygodniku Powszechnym”, w numerze wielkocnym 1964<sup>4</sup>, duża i o dużych zaletach; krótsza, ale też dobra, w „Więzi” z czerwca czy lipca tegoż roku<sup>5</sup>. W warszawskiej „Kulturze” Hamilton (czyli młody Słoniewski<sup>6</sup>) ogłosił swój artykuł już z końcem stycznia<sup>7</sup>, ale to właściwie nie jest recenzja, tylko polemika na jednym jedynym punkcie (taktycznie, jeżeli chodziło o „położenie” książki, świetnie wybranym). Potem, w marcu bodaj tego roku, pisał w „Nowych Książkach” niejaki Sadowski<sup>8</sup>, związany najwidoczniej ze szkołą filozoficzną warszawską, gromiąc mnie za przednaukowość i anachroniczność myślenia. Najgorzej się spisał Kijowski w „Twórczości” z kwietnia<sup>9</sup>, książki nie przeczytał, wygłasza o jej treści zdania jawnie fałszywe, coś wyłowił, i tonem protekcyjnym jedno chwali, drugiemu przygania, kubek w kubek jak ów ekonom, o którym we wstępie wierszowanym do *Tadeusza* pisze Mickiewicz. — Aha! był jeszcze w jednym z głębszych prowincjonalnych „magazynów” artykuł o

fascynującym tytule: „Tołstoj, Boy, Elzenberg”<sup>10</sup>. Ja tego nie widziałem, ale z trzech pań, które czytały, żadna mi nie potrafiła powtórzyć, co tam właściwie jest powiedziane. Natomiast żona i synowie mojego współlokatora (profesora matematyki)<sup>11</sup> dopiero po tym artykule uwierzyli, że prof. E. jest „kimś”, a jeden z chłopców nawet się martwił, że za długo marudził w łazience, gdy ten „ktoś” chciał się tam umyć.

Miałem też obszerny list od Andrzeja Nowickiego, redaktora kwartalnika religioznawczego „Euhemer”; jest to wojujący ateusz, autor książki o Giordanie Brunie; bojowy, ale i erudyta. Na szereg moich poglądów się zgodził, ale raczej na mniej istotne. List zresztą doskonale kurtuazyjny.

Panią Winnicką<sup>12</sup> znam z druku, ale to chyba jej nazwisko jako mężatki, bo uczennicy Winnickiej nigdy nie miałem.

Pyta mnie Pan jeszcze, czy by mi się przydała jaka książka angielska. Otóż chwilowo na nic z rzeczy nowszych nie reflektuję, chyba na coś b a r d z o poważnego o Wittgensteinie (nie Hartnacka<sup>13</sup>, broń Boże). Wzrok mi się psuje, a potrzebuję go do czytania własnych tekstów i ich poprawiania i przerabiania, więc poza tym czytam minimalnie. Ale na jedną rzecz k l a s y c z n ą miałbym ochotę: na Newmana, na *Apologię (pro vita sua)*<sup>14</sup>. Naszło mi to w szpitalu, gdy u Stracheya<sup>15</sup> znalazł o nim dużo szczegółów dla mnie nowych i moim ludzkim zainteresowaniom bliskich. Więc gdyby się Pan w tej sprawie chciał potrudzić, to z wdzięcznością skorzystam.

A teraz życzę przede wszystkim przezwyciężenia acedii (dobrze znam te nastroje); dalej, żeby ów plan wydawniczy zafunkcjonował na Pańską korzyść; dalej wreszcie najpiękniej dziękuję za list i pozdrowienia bardzo serdeczne przesyłam. Do Warszawy — jeśli dożyję — nie wybiorę się chyba wcześniej niż w ciągu września; na razie więc można pisać do Torunia, Grudziądzka 37. Zresztą, zawsze gdy wyjeżdżam na dłużej niż tydzień lub dziesięć dni, korespondencję mi odsyłają.

H. Elzenberg

---

Rękopis.

<sup>1</sup> Prawdopodobnie idzie o książkę *Bajki, prawdy, moralności*, która ukazała się w Londynie dopiero w roku 1968.

<sup>2</sup> Vide przypis 1 do listu 4.

<sup>3</sup> Mowa o tomie *Próby kontaktu* wydanym w „Znaku” w roku następnym.

<sup>4</sup> I. Sławińska, L. Kuc, *Kłopoty klerka doskonałego*, Tygodnik Powszechny 1964 nr 13, s. 6–7.

<sup>5</sup> A. Siemianowski (rec.), *Więź* 1964 nr 6, s. 111–113.

<sup>6</sup> Właśc. Słojewski Jan Zbigniew.

<sup>7</sup> Hamilton, *Samobójstwo*, Kultura (Warszawa) 1964 nr 4, s. 12.

<sup>8</sup> W. Sadkowski, *Dziennik intelektualny prof. Elzenberga*, Nowe Książki 1965 nr 1, s. 21–22.

<sup>9</sup> A. Kijowski, *Uczony i filozof*, Twórczość 1965 nr 3, s. 126–127.

<sup>10</sup> Nie udało mi się znaleźć tej pozycji.

<sup>11</sup> W swoich wspomnieniach pisze prof. Maria Prüfferowa: *W życiu Elzenberga nie można pominąć faktu, iż od roku 1952 do końca życia mieszkał wspólnie z niezwykle rodziną prof. Leona Jeśmanowicza, matematyka, i jego żony Sabiny, psycholog, oraz dzieci. Elzenberg był traktowany jak członek rodziny. Brał udział w Wigili Bożego Narodzenia, Wielkanocy i w uroczystościach związanych z dziećmi.* (Maszynopis, w moich zbiorach — M.W.) W latach 80. odwiedziłem prof. Jaśmanowicza; mówił mi wówczas o Elzenbergu, który np. w kuchni pomagał przy obieraniu kartofli.

<sup>12</sup> Patrz list poprzedni.

<sup>13</sup> Zapewne — J. Hartnack, *Wittgenstein und die moderne Philosophie*. Stuttgart 1962; tłumaczenie angielskie New York 1965.

<sup>14</sup> J.H. Newman, *Apologia pro vita sua*. Tłum. i wstęp S. Gąsiorowski, Kraków 1948.

<sup>15</sup> Zapewne — G.L. Strachey (1880–1932), angielski biograf i eseista, autor m.in. *Eminent Victorians* (London 1918) oraz ponad 20 książek biograficznych.

7.

H. Elzenberg, Toruń (Poland)  
Grudziądzka 37  
12 VIII [19]65

Drogi Panie Michale, piękne dzięki za *Apologię* [...] <sup>1</sup> bardzo przyjemnie wydana! Na dziś ograniczam się do tych słów kilku; myślę, że w ślad za książką przyjdzie jakiś znak życia od Pana. U mnie jak po grudzie. Ale jakoś to idzie, tzn. że wszystko co ja mogłem zrobić i co mogę zrobić obu wydawnictwom (w Krakowie i tutaj), to się zrobiło albo robi sumiennie; ale niepewność trwa, mniejsza już może dla *Rozpraw filozoficznych*, większa i dla *Esejów*. Serdeczny uścisk dłoni zasylałam.

H. Elzenberg

---

Widokówka, rękopis.

<sup>1</sup> Dwa słowa nieczytelne.

8.

[Southbourne] 12.8.[19]65.

Drogi Panie Profesorze!

Króciutko tylko dziękuję za miły list, bo nie mam tu maszyny i nie chcę czasu Pana zajmować swoimi gryzmołami. Odwykłem od pisania piórem. Wyjechałem na tydzień nad morze z dwiema córeczkami. Dzielę tu swój czas między Córy a... Arthura Koestlera, którego duże dzieło (i rozmiarami, i ważnością) *The Act of Creation* zabrałem ze sobą jako wakacyjną lekturę. Jestem pod silnym wrażeniem tej książki, w dziedzinie psychologii twórczości (artystycznej i naukowej) dawno już nie czytałem niczego równie odkrywczego, a przy tym tak bardzo zazębiającego się z moimi dyletanckimi przemyśleniami. Szkoda, że tomisko (ok. 600 stron) jest kosztowne, tak że muszę korzystać z egzemplarza pożyczonego z biblioteki publicznej.

*Apologia* jest już w drodze do Pana — w „kieszonkowym”, ale pełnym wydaniu.

Przed dwoma laty wydałem w Londynie mały zbiorek wierszy i prozy poetyckiej pt. *Chwile*, pod pseudonimem Michał Sambor. Przeszedł prawie bez echa — jeśli pominąć życzliwą recenzję J[ózefa] Wittlina i młodego, wykształconego już za granicą, poety i krytyka Adama Czerniawskiego<sup>1</sup>. Czy zechciałby Pan mieć ten tomik? Może przedjdzie przez wiadome ucho igielne, jest całkowicie apolityczny.

Wiele najlepszych wyrazów przesyłam.

Michał Chmielowiec

P.S. Tuż przed wyjazdem nad morze udało mi się wyszukać niektóre z wymienionych przez Pana recenzji.

Dialog p. Sławińskiej z ks. Kucem ciekawy, choć trochę rozchwiany, robi wrażenie rozmowy przepisanej z taśmy magnetofonowej<sup>2</sup>. Wot, technika! — jak mawiają Rosjanie. Osobiście wolę bardziej „formalne”, wykończone, platońskie dialogi. Ucieszyło mnie, że ks. Kuc podkreśla „moją” r a d o ś ć m y ś l e n i a. W ogóle jak na polski kler, ten ksiądz b. inteligentny, to nie Kuc, to Bucyfał!

Siemianowski w „Więzi” też niezły — inna rzecz, że zarówno katolicy jak marksiści przyczepili się nad miarę tej myśli o samobójstwie. Hamilton jej chyba przy tym nie pojął. Nie wiedziałem, kto się kryje pod tym pseudonimem. Czytam go często, nie zgadzam się z reguły, ale lubię, bo umysł dialektyczny, tzn. prowadzący rozmowę sam ze sobą, spór obu połówek (ang. *lobes* — jak to po polsku?) mózgu, jak to nazywał Renan<sup>3</sup>.

M.Chm[ielowiec]

---

List pisany ręcznie na papierze firmowym Radwan Hotel w Southbourne, Bournemouth.

<sup>1</sup> Czerniawski Adam (ur. 1934), poeta grupy „Kontynenty”, autor opowiadań i wielu przekładów na angielski; od 1970 r. wykładowca filozofii i literatury współczesnej w Rochester.

<sup>2</sup> Por. list 6. przypis 4. i następne.

<sup>3</sup> E. Renan (1823–1892), fr. historyk, filozof i filolog, aut. m.in. *Życie Jezusa*.

9.

Toruń, 3 IX [19]65

Drogi Panie Michale, — list Pański minął się z moim podziękowaniem (na kartce) za *Apologię*. Czytam ją wolno (miałem i częściowo jeszcze mam, dla odmiany kłopoty ze wzrokiem), jestem na str. 122; dopiero teraz czuję pierwsze powiewy szeroko sławionej *high spirituality* Newmana; dotychczas była najpierw polemika, potem teologia, miejscami pomieszana z czystą fantazją.

Pański tomik wierszy szczerze by mnie ucieszył. Staram się — mimo rewolucyjnych przemian, które tu zaszły — zachować choć trochę kontaktu z poezją najbardziej współczesną. Praktycznie było go najwięcej z Herbertem, z którym miałem okres zbliżenia<sup>1</sup>; trochę też poprzez Różewicza; sporadycznie przez innych, Grochowiaka, Białoszewskiego. Bardzo bym był ciekaw, jakie formy przybiera to u Pana, i czy bardzo różne od tych, które uprawia się tutaj.

Sześćsetstronicowej książki Koestlera chyba już nie przeczytałem; ile tylko czasu pozostawia mi troska o wszechstronnie nadwyrężony organizm, poświęcam na prace redakcyjne nad rzeczami własnymi, lekturę dawkując jak konfitury. Wyszła ostatnio książka Schaffa o „marksizmie i jednostce ludzkiej”<sup>2</sup>, zainteresowałem się nią i zamówiłem z Warszawy, ale właśnie dowiaduję się, że to jest praca raczej historyczna, o m ł o - d y m Marksie, z lekka tylko zabarwiona aktualnością. Poważna jakoby ma być książka Baczki o Rusie (podtytuł: *Samotność i wspólnota*)<sup>3</sup>, ale ta znowuż jest, jak mi mówią, gwałtownie zaktualizowana, a mnie jak na złość, Rousseau interesuje raczej poza wszelką aktualnością<sup>4</sup>. Tak że w tej chwili trzymam się swojego Newmana.

Niezbyt obszerny list i świadczący jakoby o pewnym półśnie intelektualnym autora. Faktycznie tak źle może nie jest, i mimo chorób sił mi od chwili powrotu do Torunia

raczej przybyło niż ubyło. Gasząco wpływa, że los moich rozprawek filozoficznych wciąż jest w zawieszeniu, a ostatnie „przecieki” raczej niedobre.

Z serdecznym uściskiem dłoni  
H. Elzenberg.

P.S. O Hamiltonie myślę raczej gorzej niż Pan; ale trochę w tym może i niezadowolenia osobistego?

---

Rękopis.

<sup>1</sup> Por. A. Supruniuk, *Pochwała dymu, kurzu, niedbałości...*, Z listów Zbigniewa Herberta do Henryka Elzenberga, *Głos Uczelni* 1998, nr 9.

<sup>2</sup> A. Schaff, *Marksizm a jednostka ludzka. Przyczynek do marksistowskiej filozofii człowieka*. Warszawa 1965.

<sup>3</sup> B. Baczek, *Rousseau. Samotność i wspólnota*. Warszawa 1964.

<sup>4</sup> Elzenberg przełożył i opracował *Trzy rozprawy filozofii społecznej* J.J. Rousseau (PWN 1956); pracował nad tym w roku 1954.

10.

Boże Narodzenie 1965

4, Airedale Avenue,  
London W.4

Przesyłając Drogiemu Panu Profesorowi moc serdecznych życzeń kajam się za niecne milczenie. Przerwałem je co prawda przed jakimiś dwoma miesiącami, wysyłając Panu zapowiadany kiedyś tomik, niestety chyba nie dotarł.

Zaniedbałem się ostatnio bardzo w śledzeniu krajowego ruchu wydawniczego — nie wiem nawet, czy szkice Pana wyszły lub bodaj są zapowiadane. Na Gwiazdkę dostałem z Wrocławia przemiły dla mnie prezent — zbiorczy tom literacko-artystycznych wspomnień krakowskich pt. *Cyganeria i polityka z lat 1918–39* (Wyd. „Czytelnik”, 1964). Znalazłem tam nawet swoją podobiznę i kilka wzmianek o sobie spod pióra starych przyjaciół — Kornela Filipowicza między nimi.

Wczoraj wieczorem byłem na „Tangu” Mrożka, wystawionym, bardzo dobrze przez nasz polski londyński teatrzyk w reżyserii Leopolda Kielanowskiego, którego chyba pamięta Pan z wileńskich czasów? Sztuka ciekawa — trochę z Gombrowicza, trochę z Wyspiańskiego, trochę z lekkiej komedii obyczajowej — zestrojone to wszystko nader zgrabnie, a tu i ówdzie prześwieca niekłamana głębia. Zważywszy młodość autora, myślę, że wiele jeszcze po nim można się spodziewać. „Tango” ma być — bodajże jeszcze w tym sezonie — wystawiane też po angielsku w czołowym teatrze londyńskim w reżyserii modnego, ale dobrego, Peter Halla.

Gdyby kiedyś skreślenie kilku słów do mnie nie zmęczyło zbytnio Drogiego Pana Profesora, cieszyłbym się bardzo!

Najlepsze wyrazy łączę  
Michał Chmielowiec

---

Widokówka, rękopis. Na kopercie odręczna notatka Elzenberga: „Do zachowania (Michał Chmielowiec).”

11.

H. Elzenberg,  
Warszawa,  
Marszałkowska 15 a, m. 5.

Warszawa, 19 XII [1965]

Drogi Panie Michale, —

urwały się nasze kontakty (choć ja pisałem), w szczególności nie dostałem książki, którą Pan miał ochotę mi przysłać. Korzystam ze świąt, by choć w formie życzeń świątecznych i noworocznych znowu się jakoś odezwać. Jestem zresztą w b. złym stanie fizycznym, i na same Świąta czekają mnie perypetie badawczo-lecznicze, dość ryzykowne, ale m o ż e się jeszcze coś da zrobić. Moje *Rozprawy filozoficzne*<sup>1</sup> są szczęśliwie w drukarni i korektę (pierwszą) obiecują mi w czasie najbliższym. — No więc niech by ta biedniutka [? — MW] książka spełniła swoją funkcję.

Dłoń pańską ściskam serdecznie. H. Elzenberg.

---

Widokówka, rękopis.

<sup>1</sup> Por. przypis 4 do listu 5.

12.

Michał Chmielowiec,  
4, Airedale Avenue,  
London W.4

21 lutego 1966

Drogi Panie Profesorze!

Boże, jak ten czas ucieka! Z przerażeniem widzę, że miła kartka od Pana Profesora nosi datę jeszcze zeszłoroczną: 19 grudnia. W tym samym mniej więcej czasie i ja wysłałem Panu swe życzenia, również na widokówce. Czy doszły, czy też podzieliły los książeczki moich wierszy, która musiała się chyba zawieruszyć?

Może już tymczasem ukazały się Pana szkice filozoficzne, znów bardzo dawno nie sprawdzałem krajowych nowości. Uradowało mnie, że w kartce Pana była już mowa o korekcie.

Pod koniec roku mają wyjść tu moje szkice (szkice tylko, bez recenzji, z dodatkiem kilku trochę humorystycznych, trochę fantastycznych opowiadań i nowelek, ot, taka zbieranina) — chciałbym je Panu wysłać.

Czytam teraz wielkie tomisko Leszka Kołakowskiego *Świadomość religijna i więź kościelna*<sup>1</sup>, erudycja imponująca, ton szlachetny, ale przy tym wszystkim jest trochę śle-

py-o-kolorach. Zacząłem od wyszukania w indeksie wzmianek o dwu ludziach (bliskich opisywanej epoce): św. Franciszku Salezycznym i Fénelonie, których lektura na mój stosunek do religii wywarła kiedyś ogromny wpływ (o Salezycznym popełniłem nawet książkę, w kraju niestety nie znaną)<sup>2</sup> i z przyjemnością stwierdziłem, że obaj potraktowani są ze znajomością rzeczy.

O wrażeniu, jakie na mnie zrobiło „Tango” Mrożka pisałem zdaje mi się już w karcie. Czekamy tu teraz na przyjazd Teatru Popularnego, który ma m.in. wystawić w Londynie „Wesele”. Ciekaw jestem, jak teraz będę patrzył na ten kiedyś ulubiony przeze mnie utwór. No i co z tego zrozumieją Anglicy (sztuka będzie grana po polsku, ale równocześnie tłumaczona przez mikrofony — publiczność dostaje w garderobie odpowiednie słuchawki).

Jestem w tej chwili pod wrażeniem wiadomości o zgonie St. Mackiewicza<sup>3</sup>. Nigdy z nim się osobiście nie zetknąłem, mimo dość długiego wspólnego przebywania nad Tamiżą, ale w owych latach ja byłem początkujący, a on gwiazdą publicystyki emigracyjnej. Dziwny to był człowiek, i pisarz — czasami wprost niemożliwy, czasami niemal genialny. Czy wiadomo w kraju, że młodszy brat jego wyrósł tymczasem na bardzo tęgiego powieściopisarza, tłumaczonego na obce języki etc.<sup>4</sup>

Rozmawiając niezbyt dawno z Kottem<sup>5</sup> zgorszony byłem, że nie słyszał on wcale o śp. Tadeuszu Sułkowskim<sup>6</sup> (mimo że „Twórczość” dała jego sylwetkę w zeszłym roku) — to był najciekawszy poeta polski nie tylko nad Tamiżą, ale i nad innymi zagranicznymi rzekami. Wiersze jego były tylko w pismach, a tom wyszedł pośmiertnie. Przygotowuje się książka pamiątkowa o nim, w której będzie też głos Marii Dąbrowskiej (znali się jeszcze w Polsce)<sup>7</sup>.

Bardzo bym się cieszył, gdyby Panu sił, czasu i ochoty nie zabrakło na skreślenie znów do mnie kilku słów.

Wiele najlepszych wyrazów łączę  
Michał Chmielowiec

---

Maszynopis; nagłówek i formuła aprekacyjna dopisane ręcznie.

<sup>1</sup> L. Kołakowski, *Świadomość religijna i więź kościelna. Studia nad chrześcijaństwem bezwyznaniowym siedemnastego wieku*. Warszawa 1965.

<sup>2</sup> Franciszek Salezy, *Łabędź Sabaudii. Wybór pism Świętego i o nim*. Przełożył i zestawiał M. Sambor. Londyn 1958.

<sup>3</sup> Stanisław „Cat” Mackiewicz zmarł 18 II 1966 r. w Warszawie.

<sup>4</sup> Mowa o Józefie Mackiewicz (1902–1985), pisarzu i publicyście, autorze m.in. *Lewa wolna*.

<sup>5</sup> Janem; od 1966 na emigracji.

<sup>6</sup> Tadeusz Sułkowski (1907–1960), poeta, weteran kampanii wrześniowej, od 1946 r. w Wielkiej Brytanii.

<sup>7</sup> *O Tadeuszu Sułkowskim*. Londyn 1967.

Drogi Panie Michale, — list Pański z 21 ub.m. zastał mnie znowu w szpitalu, ale od dziś wróciłem na Marszałkowską. K a r t k i świątecznej od Pana nie otrzymałem, natomiast był l i s t, w którym m.in. wspominał Pan o m a j ą c y m s i ę odbyć przed-

stawieniu Mrożka; tak więc Pańskich wrażeń z j u ż o d b y t e g o nie mam, a byłbym akurat ciekaw.

Jak Pańskie szkice mają wyjść dopiero „pod koniec roku”, to moje dwa tomiki otrzyma Pan na pewno dużo wcześniej. Jeden — rozprawy filozoficzne — może już niewiele dni po niniejszym bileciku; rozsyła wydawnictwo, bo m n i e byłoby trudno, więc książka będzie bez dedykacji, ale w myślach układam bardzo serdeczną. Tomik drugi — studia krytyczno-literackie, eseje — jest oddany do druku; jest też już okładka i obwoluta, tak że rzecz nie powinna się zbytnio przeciągnąć. I obawiam się, że to będzie koniec. W chwili wybuchu choroby w jej ostatniej fazie miałem na warsztacie jedną rozprawę dość zasadniczą, która dość wolno szła, ale teraz nie wydaje mi się, bym dał radę z wykończeniem; „d o l e g l i w o ś c i” (co za miły łagodzący termin!) są zbyt duże, by pozwolić na ostre logiczne myślenie. Bardzo mi tego szkoda, jak i paru innych rzeczy, które przy jakim-takim zdrowiu byłbym mógł jeszcze opracować według posiadanych brulionów.

Ostatnio jednak obserwuję u siebie b. wyraźne zjawisko przesunięcia się zainteresowań od spraw ludzkich ku sprawom kosmicznym, i to z pewnym przechyleniem [? — MW] w stronę fizyki i kosmografii (nie metafizyki). Jest to niewątpliwa i świadoma próba depersonalizacji, by zapomnieć wszystko o swoim „ja”, wszystko o swoich prelekcjach, sympatiach i antypatiach, istnieć w czymś absolutnie obiektywnym. Czy w tej postawie wytrwam, nie wiem (za mało jestem intelektualnie); ale byłoby dobrze. Na tej krótkiej refleksji kończę, poza tym przesyłając już tylko wiele bardzo serdecznych pozdrowień.

H. Elzenberg

---

Rękopis, słabo czytelny.

14.

Warszawa, 17 V [19]66

Słówko, Panie Michale, tylko króciutkie. W spisie osób, które podałem Tow[arzystwu] Naukowemu w Toruniu<sup>1</sup> celem rozesłania im egzemplarzy autorskich mojej książki, umieściłem oczywiście i Pana (także Halinę Taborską). Mam powody do przypuszczenia, że podany przeze mnie spis nie został uwzględniony w całości i że ofiarą padła grupa ostatnia: odbiorcy zagraniczni. Proszę, niech Pan będzie tak dobry i zawiadomi mnie możliwie szybko, jaka jest sytuacja w razie czego starałbym się wysłać ponownie, we własnym zarządzie.

Jestem znowu w szpitalu, na dalszym etapie swojej opadającej w dół drogi; nie mam w tej chwili warunków do pisania.

Dłoń Pańską ściskam serdecznie.

H. Elzenberg.

Adres warszawski jak zwykle.

---

Rękopis.



---

<sup>1</sup> Zachowało się pismo Towarzystwa Naukowego w Toruniu datowane na 30 maja 1966 r. dołączone do przesyłanej Chmielowcowi książki: „Z polecenia autora profesora Henryka Elzenberga przesyłamy egzemplarz Jego pracy pt. *Wartość i człowiek* z prośbą o przyjęcie. Dyrektor Administracyjny TNT mgr A. Kirstein”.

15.

List 18.5. dostałem dzisiaj.

4, Airedale Avenue,  
London W.4  
25.5.[19]66

Drogi Panie Profesorze!

Dziękuję serdecznie i w zawstydzeniu (jako że dawno powinienem był znów napisać) za słówko, skreślone, niestety, w szpitalu. Do tej pory szkice Pana (jakże się cieszę, że wreszcie wyszły!) do mnie nie dotarły. Myślę jednak, że na razie to niczego jeszcze nie dowodzi. Poczta między Polską a Anglią jest nierychliwa, zresztą i w samej Anglii schodzi trochę na psy. Niedawno wyczytałem gdzieś, że przed pół wiekiem roznoszono listy w Londynie 12 razy dziennie. Dziś ledwo — dwa razy. Postęp.

Gdy tylko tom nadejdzie, natychmiast zań podziękuję, choćby karteczką. Będę się też dowiadywał, czy jakiś egzemplarz dotarł do tutejszej biblioteki polskiej, która wszystkie wartościowe nowości krajowe systematycznie sprowadza. Oczywiście, o wiele przyjemniej będzie korzystać z egzemplarza łaskawie dla mnie przewidzianego i mam nadzieję, że w końcu się go doczekam. Proszę tylko jednak bardzo nie zadawać sobie nadmiernego trudu z tą wysyłką.

Od dawna już łaknę jakiejś lektury, która by mnie znów poruszyła, jak swego czasu *Kłopot z istnieniem*, obudziła drzemiącą „radość myślenia” i radość dzielenia się myślami z innymi. Ciągłe pisać sporo na różne tematy, ostatnio jakoś bez smaku, z przymusem. Chyba niedożywienie lekturami. Trzeba by sięgnąć do klasyków, ciągle jednak od tych zamiarów odciągają mnie nowości. Mieliśmy tu ostatnio dwa ciekawe debiuty powieściowe<sup>1</sup> polskie, ciekawe, ale jednak nie porywające, sporo poprawnych lub więcej niż poprawnych, ale — że tak powiem — niekoniecznych książek i książeczek. Z zagranicznych nowości przeczytałem najnowszą powieść Greene’a. Rzemiosło imponujące, ale niewiele ponadto. Ostatnie silniejsze wrażenia, to nowa niby-powieść autora *Ferdydurke* (wyszła właśnie też po francusku i ma we Francji dobrą prasę)<sup>2</sup> i *L’Histoire de Jésus-Christ* dominikanina o Bruckberger, coś jakby odpowiedź Renanowi, po stu latach.

Zasmuciła mnie śmierć Leca, choć wyznam szczerze, że niewiele już więcej po nim oczekiwałem. Aforyzmy, to forma, którą po osiągnięciu doskonałości (a był jej czasami bardzo blisko) należy prędko rzucić. Ale dużo z nich zostanie.

Widziałem tu warszawski Teatr Powszechny, a raczej tylko „Zbrodnię i karę”. Nie znoszę przeróbek powieści, a ta, zwłaszcza na początku, była nieudolna — potem się poprawiło, gra bardzo dobra. Nie mogę patrzeć na rosyjskie sztuki w wykonaniu angielskim (rzecz dziwna, szaleją tu za Czechowem, grając go bardzo źle) — przepaść kultur i temperamentów nie do zasypania. My, Polacy jednak o tyle bliżsi jesteśmy swym wschodnim sąsiadom, choć wielu — co mnie i złości, i śmieszy za nic się do tego nie przyzna, tacy „zachodni”!

Jutro wybieram się na „Tango” w wykonaniu czołowego teatru angielskiego. Ma iść dwa tygodnie. Oby się podobało.

Czy ma Pan jakiś życzenia książkowe? Miło by mi było taką drobną przysługę oddać. Bardzo serdeczne pozdrowienia!

Michał Chmielowiec

---

Maszynopis; nagłówek i formuła aprekacyjna — dopisane ręcznie.

<sup>1</sup> Słowo „powieściowe” dopisane ręcznie na marginesie. Nie wiem, o czym mowa.

<sup>2</sup> Sądzę, że idzie o gombrowiczowski *Kosmos*.

16.

4, Airedale Avenue,  
London W.4

16.6.[19]66

Drogi Panie Profesorze!

Spieszę podzielić się miłą wiadomością, że nareszcie dziś rano listonosz przyniósł mi *Wartość i człowieka*. Książka nadana 30 maja, przyszła dziś jako przesyłka polecona. Przekartkowawszy ją widzę, że dotyczy zagadnień jak najbardziej mnie interesujących. Ocenic jej jako książki naukowej oczywiście nie potrafię, ale myślę że warto będzie napisać po prostu wrażenia z lektury. Ostatecznie książek naukowych nie pisze się tylko dla naukowców, dla autora więc i dla innych czytelników-dyletantów może być ciekawe, co w tych rozprawach przeczytał inny dyletant z przyjemnością, ciekawością, może z zachwytem, może z pożytkiem dla siebie...

Okropnie jestem zavalony różnymi zobowiązaniami i w ogóle jestem neurastenicznie ciężki i gnuśny. Załączam wycinek z kroniki którą prowadzę u p. Mieczysława<sup>1</sup>. Maluje on doskonale nędzny stan mojej gotowości pisarskiej.

Tym niemniej z wielką ochotą zabieram się do lektury i na liście swoich zobowiązań recenzenckich stawiam książkę Drogiego Pana Profesora tak wysoko jak tylko na to elementarna sprawiedliwość wobec innych czekających na recenzje książek pozwala.

Raz jeszcze serdecznie dziękuję  
i wiele serdecznych pozdrowień łączę  
Michał Chmielowiec

---

List pisany na maszynie, jedynie nagłówek i formuła aprekacyjna dopisane ręcznie.

<sup>1</sup> Dot. rubryki „W oczach Zachodu”, podpisywanej — Następca, którą Chmielowiec redagował w „Wiadomościach” Mieczysława Grydzewskiego w latach 1962–1973.

17.

4, Airedale Avenue, London W.4  
22.8.[19]66

Drogi Panie Profesorze! Dziś rano z wdzięcznością otrzymałem *Próby kontaktu*. Już je czytam, raz po raz mocno Panu przytakując. I w ogóle — odczuwając jakąś podnoszącą

przyjemność z od razu nawiązanego kontaktu. O obu książkach napiszę chyba łącznie<sup>1</sup> — byłem się tylko wygrzebał z prześladowającego mnie pióro-wstrętu. Wiele serdecznych wyrazów łączę!

Michał Chmielowiec

---

Widokówka, rękopis.

<sup>1</sup> Recenzja, jak widać zresztą z listów następnych, najpewniej nie powstała.

18.

Warszawa, dn. 29 XI [19]66 r.

Drogi Panie Michale — nie reagowałem na Pańską ostatnią kartę, ale teraz wie Pan z pewnością o gorszym obrocie, jaki przyjęła moja choroba, mogę więc na ten temat pisać spokojnie.

Przyznam się szczerze, że chętnie bym widział jakiś zewnętrzny wyraz tej pozytywnej opinii, którą Pan swego czasu wypowiedział w związku z moją ostatnią w kolejności książeczką o charakterze literackim<sup>1</sup> — to jest trochę zabawne upominanie się autora u krytyka, ale Pan z pewnością zrozumie moje motywy. Wiele serdeczności.

Henryk Elzenberg<sup>2</sup>

---

Maszynopis; podpis osobisty.

<sup>1</sup> H. Elzenberg, *Próby kontaktu. Eseje i studia krytyczne*. Kraków 1966.

<sup>2</sup> Dołączony tekst następujący: „Szanowny Panie, — ten list pisałam pod dyktando szwagra, nie zrobiłam żadnych zmian. Ostatnio stan zdrowia profesora pogorszył się bardzo, tak, że w pewnym momencie wydawało się, że lekarzom nie uda się już go uratować. W tej chwili nastąpiła poprawa, ale nie w takim stopniu aby mógł sam napisać normalny list. Wiem z rozmów jak bardzo ceni sobie Pana zdanie i opinię o swoich pracach; w profesora sytuacji jest to jedyny jeszcze interesujący temat. Łączę wyrazy szacunku — Helena Wirska”.

19.

4, Airedale Avenue,  
London, W.4  
5 grudnia 1966

Drogi Panie Profesorze!

Wiedziałem o złym stanie zdrowia Pana, nie wiedziałem o pogorszeniu. Bardzo nad tym boleję i życzę poprawy.

Ogromnie mi żal, że tak długo nie mogę się zdobyć na napisanie o cennych książkach Pana Profesora. Proszę mi wierzyć, że w grę naprawdę wchodzi *vis maior*. Zarówno stan zdrowia jak i niezmiernie ciężkie, by nie powiedzieć tragiczne przeżycia osobiste w ostatnim okresie uczyniły mnie przejściowo niezdolnym do żadnej pracy poza łatwą rutyną<sup>1</sup>. W ten sposób dzieł Pana ani nie chcę, ani nie mogę traktować, zdawkowa z nich

recenzja byłaby krzywdą nie tylko dla nich, ale dla głębokiego przeżycia mego własnego, jakim było i jest nawiązanie kontaktu z Pana myślą. Byłaby nieuczciwością.

Proszę wybaczyć smutny ton i lakoniczność tego listu. W Bogu nadzieja, że się do-koła mnie rozpogodzi. Nie muszę chyba dodawać, że od Pana książek rozpocznę normalne funkcjonowanie. Szwagierce swej proszę przekazać moje ukłony i gorące podziękowanie za pomoc w korespondencji wraz z prośbą, by zechciała mi od czasu do czasu donosić o stanie Pana Profesora. Proszę bez najmniejszego wahania napisać, czy i jakie leki zagraniczne należy posłać, albo książki, albo cokolwiek.

Zrobię co w mojej mocy.

Łączę serdeczne wyrazy.

M. Chmielowiec

---

Maszynopis; nagłówek i formuła aprekacyjna — napisane ręcznie.

<sup>1</sup> Opisany stan ducha dotyczy najpewniej nagłej śmierci syna M. Chmielowca i samobójstwa narzeczonej syna.

20.

Michał Chmielowiec  
4, Airedale Avenue,  
London W.6 (*sic!* — M.W.)  
Zielone Świąta 1967

Drogi Panie Profesorze!

Bardzo mi przykro, że się tak długo nie odzywałem i że nie dotrzymałem przyrzeczenia i nie napisałem o jednej bodaj z książek Pana.

Niestety, w ostatnich miesiącach zaszły u mnie wielkie zmiany, które wytrąciły mi pióro z ręki. W grudniu ub. r. p. Mieczysław miał udar mózgowy i do dziś dnia przebywa w klinice. Stracił władzę w lewej połowie ciała, poza tym jednak dość dobrze oparł się chorobie: zachował jasność umysłu, pamięć, mowę. Wątpliwe jest jednak, aby w tym wieku (73 lata) mógł już wrócić do swej ukochanej pracy na pełnych obrotach. Mnie przypadła teraz rola zastępowania Go, co pochłania mój cały czas i — że tak powiem — z wielkim deficytem, bo nawet tych obowiązków zastępcy nie jestem w stanie spełniać całkiem zadowalająco. O pisaniu niestety nie ma teraz mowy.

Z *Prób kontaktu* miałbym wielką ochotę przedrukować oba szkice o Gandhim (mnie osobiście najbardziej poruszyły) żeby choć w ten sposób — z braku recenzji — zwrócić uwagę naszych czytelników na Pana książkę. Czy wolno?<sup>1</sup>

Ostatnie wiadomości, jakie miałem o zdrowiu Pana nie były pocieszające. Jak jest teraz? Cieszyłbym się choć z kilku słów.

Raz jeszcze przepraszając za zawód łączę wiele serdecznych pozdrowień.

Michał Chmielowiec

---

Maszynopis; nagłówek i formuła aprekacyjna — dopisane ręcznie. Na kopercie data: 15 V 1967.

<sup>1</sup> Oba eseje ukazały się w londyńskich „Wiadomościach” (27 [1109] z 2 VII 1967 r.) — idzie o teksty: „Ahimsa i pacyfizm. Rzecz o gandyzmie” oraz „Gandhi w perspektywie dziejowej”. (Oba teksty w tomie *Próby kontaktu*, Kraków 1966.)

## SUPLEMENT

---

1.

Warszawa, dn. 21 V [19]67 r.

Szanowny Panie!

List do mego szwagra, prof. Elzenberga, który dotarł do mnie, przyspieszył moją informację, którą zamierzałam przekazać do Pana rąk.

Profesor zmarł 6 kwietnia, przesyłam nekrologi i wzmiankę, która ukazała się w „Życiu Warszawy”. Publikacje poświęcone pamięci profesora w pismach specjalnych (jak np. w „Ruchu Filozoficznym”) ukażą się w najbliższym czasie. Pisać będą: — prof. Wallis, prof. Czeżowski, prof. Prüfferowa<sup>1</sup>.

Jestem w posiadaniu całego archiwum mojego szwagra i gdyby Pana interesowały w dalszym ciągu Jego prace i to wszystko, co o Nim ukaże się w naszych pismach — to proszę do mnie napisać.

Wiem jak bardzo profesor cenił Pana pióro i jak zmartwiła go wiadomość o kłopotach, o których pisał Pan jeszcze w poprzednim liście.

Wracając do Pana koncepcji — przedrukowania obu szkiców o Gandhim, sądzę, że będę wyrazicielką opinii Profesora, który pomysł ten zaakceptowałby z prawdziwą radością.

Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Helena Wirska

---

Maszynopis z własnoręcznym podpisem.

<sup>1</sup> M. Wallis, *Henryk Elzenberg. (Wspomnienie pośmiertne)*, Ruch Filozoficzny, R. 26: 1967 nr 2, s. 97–108; T. Czeżowski, *Henryk Elzenberg (1887–1967) (nekr.)*, Studia Filozoficzne 1967 nr 3, s. 283–285. O ile mi wiadomo wspomnienie prof. Prüfferowej wówczas się nie ukazało. Najpewniejszą, jak dotychczas, bibliografię prac Elzenberga i o Elzenbergu opublikował Jan Zubelewicz: Studia Filozoficzne 1986 nr 12, s. 145–165.

2.

Michał Chmielowiec  
4, Airedale Avenue,  
London W.4  
England.

28 maja 1967

Szanowna Pani!

Śmierć Profesora Elzenberga, głębokiego myśliciela, świetnego pisarza i pięknego, dobrego człowieka była równie nierozgłośna jak Jego życie i praca, tak że — zaniedbawszy się w lekturze prasy krajowej — dopiero z listu Pani dowiedziałem się o tej bolesnej

dla naszej kultury i dla mnie osobiście stracie. Proszę przyjąć wyrazy mego najszczerzego współczucia w żałobie.

Ciężkim wyrzutem sumienia — mimo poważnych okoliczności łagodzących — pozostanie dla mnie, że nie zdążyłem napisać o ostatnich książkach Profesora. Bardzo jestem Pani wdzięczny za łaskawą zgodę w sprawie szkiców o Gandhim i — za jej wzruszające sformułowanie<sup>1</sup>.

Będę bardzo wdzięczny za przesłanie mi wspomnień o Zmarłym z prasy naukowej. Czym mógłbym się odwdzińczyć?

Ogromnie mnie również interesuje spuścizna pisarska Profesora i uważałbym sobie za wielki zaszczyt, gdybym mógł coś z niej ogłosić. O ile pamiętam, do *Kłopotu z istnieniem* weszła tylko część Jego zapisków, wybór z pozostałych nie powinien zbyt długo czekać na ogłoszenie.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania  
Michał Chmielowiec

---

List pisany na maszynie, jedynie nagłówek i formuła aprekacyjna dopisane ręcznie.

<sup>1</sup> Chodzi o zgodę na przedruk H. Elzenberga wspomnianych dwóch tekstów „Wiadomości” 1967 nr 27 (por. przypis 1 do listu 20).

3.

22 czerwca 1967

Szanowna Pani!

Przesyłając wycinek z przedrukiem dwu szkiców ś.p. Profesora Elzenberga<sup>1</sup>

łączę wyrazy głębokiego poważania  
Michał Chmielowiec

---

List napisany odręcznie.

<sup>1</sup> Do listu dołączone są wycinki: nekrolog H. Elzenberga z „Wiadomości”, podpisany Redakcja „Wiadomości”; tekst M. Chmielowca *Spojrzenie ku... dwu szkicom o Gandhim*, *Wiadomości* 1967 nr 27; H. Elzenberg, *Dwa szkice o Gandhim*, *Wiadomości* 1967 nr 27.

4.

Warszawa, 17 VII [19]67

Wielce Szanowny Panie.

Z całego serca pragnę podziękować za tak piękne i gorące słowa jakimi Pan pożegnał mego nieodżałowanej pamięci Szwagra.

Proszę również o przekazanie Redakcji podziękowania za umieszczenie nekrologu i esseyów — to wywarło duże wrażenie u nas w kraju<sup>1</sup>.

Proszę mi wybaczyć, że list ten piszę dopiero teraz, ale w tym okresie miałam poważne kłopoty osobiste i rodzinne.

Pragnęłabym osobiście aby kontakt nawiązany z Panem w tak smutnych okolicznościach mógł trwać i nadal.

Łączę wyrazy szacunku.

Helena Wirska

---

Maszynopis; z własnoręcznym podpisem.

<sup>1</sup> W numerze 27 (1109) z 2 VII 1967 r. londyńskich „Wiadomości” Chmielowiec przedrukował oba eseje Elzenberga o gandyzmie (por. przypis 1 do listu 20); zajmują one dwie pierwsze strony sześciostronicowego tygodnika o formacie A-3. Na ostatniej stronie poświęconego niejako Elzenbergowi numeru Chmielowiec zamieścił swój tekst wspomnieniowy, którego fragment końcowy warto chyba przedrukować:

*W prasie krajowej, przeważnie naukowej, pojawiła się garść wspomnień pośmiertnych o tym wybitnym myślicielu i pisarzu. Sławy i rzesz czytelników nie miał nigdy i nigdy o to nie zabiegał. Miał jednak krąg oddanych sobie przyjaciół i uczniów. Pożegnali go serdecznie, choć nie rozgłosznie. Może kiedyś, w bardziej sprzyjających warunkach wydzwigną jego twórczość na należne jej miejsce.*

*Do tych wspomnień trzeba dodać coś, czego w Polsce napisać nie było można. Wśród polskich uczonych i pisarzy Henryk Elzenberg był jednym z nielicznych, którzy nigdy nie poszli na najmniejszy kompromis z tym wszystkim — że użyję jego własnych słów — „co nieprzekupnemu myśleniu każe w organizacji państwowej widzieć raczej tylko przykrą konieczność”, tym bardziej przykrą — dodam — gdy tym państwem jest PRL. Wolał się skazać na wieloletnie milczenie, i to w okresie pełni sił twórczych, który u pisarzy jego pokroju przychodzi w późnych latach, niż napisać choćby jedno słowo bez pokrycia w najgłębszym przekonaniu.*

5.

4, Airedale Avenue,  
London W.4  
dn. 31 lipca 1967.

Wielce Szanowna Pani!

Bardzo dziękuję za list z 17 lipca i raz jeszcze żałuję, że tylko w ten sposób mogłem uczcić pamięć Pani Szwagra, niestety jednak nawet obowiązków nie pozwalał mi nawet marzyć o studium, na jakie twórczość jego zasługuje i którego na pewno się kiedyś doczeka. Miło mi było niedawno w osobie najświetniejszego chyba współczesnego poety polskiego spotkać ucznia prof. Elzenberga<sup>1</sup>. Mówił mi, że będzie o nim pisał w „Tygodniku Powszechnym”. Bardzo bym pragnął — jeśli to możliwe — zapoznać się z nieogłoszonymi rękopisami, które mogły pozostać po zmarłym.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Michał Chmielowiec

---

List pisany na maszynie, jedynie podpis odręcznie.

<sup>1</sup> Chodzi o Zbigniewa Herberta, który w latach 1949–1952 studiował w Toruniu, najpierw prawo, a potem filozofię. Por. A. Supruniuk, *Pochwała kurzu, dymu, niedbałości*.....

## MICHAŁ CHMIELOWIEC

Nazwisko Michała Chmielowca (znanego też pod pseudonimem Michał Sambor<sup>1</sup>) najczęściej jest kojarzone z „Wiadomościami”, które redagował on w latach 1966–1974, kontynuując dzieło ich założyciela Mieczysława Grydzewskiego (w tym okresie współpracę z pismem podjęli m.in. Witold Gombrowicz, Jerzy Kosiński, Henryk Grynberg). Okres ten (zakończony śmiercią 19 maja) i poprzedzające go kilkanaście lat (przybył do Londynu 22 lipca 1950 roku) jest najlepiej udokumentowany i stanowi najbardziej interesujący fragment biografii pisarza, gdyż wtedy też powstały najświetniejsze płody jego pióra. Jednakże i w odniesieniu do wcześniejszych etapów jego życia pozostała dokumentacja pozwala na dość wierne ich zrekonstruowanie<sup>2</sup>.

Michał Chmielowiec urodził się 19 października 1918 roku w Samborze nad Strwiążem i Dniestrem. Naukę w szkole powszechnej rozpoczął w Białej koło Bielska, a następnie kontynuował ją w tamtejszym Gimnazjum im. Adama Asnyka. W jakiś czas później przeniósł się z rodzicami do Krakowa i podjął dalszą naukę w Gimnazjum im. Jana III Sobieskiego. Tu też zdał maturę w 1936 roku i wstąpił na Uniwersytet Jagielloński. Studiował filologię polską i nauki filozoficzne<sup>3</sup>. Debiutował w 1937 roku artykułem „Obrona poety Peipera”<sup>4</sup>. W latach 1937–1939 współredagował lewicowy miesięcznik „Nasz Wyraz” — awangardowy organ Koła Polonistów UJ.

W listopadzie 1939 roku został aresztowany przez NKWD i skazany bez procesu na pięć lat sowieckich obozów pracy. Wywieziono go w głąb ZSRR i osadzono w łagrach w okolicach Peczory i Workuty, gdzie stracił zdrowie. Zwolniony w 1941 roku we wrześniu wstąpił do Armii Polskiej generała Andersa, z którą został w sierpniu 1942 roku ewakuowany do Persji. W grudniu oddelegowano go na stanowisko kierownika referatu kulturalno-oświatowego obozów dla uchodźców polskich i pełnił tę funkcję kolejno w Iranie i Indiach.

1 października 1943 roku został zatrudniony w Delegaturze M.P. i O.S. RP na wygnaniu i z jej ramienia oddelegowany do Bombaju w celu redagowania pisma „Polak w Indiach”. 10 kwietnia 1944 roku w Panchgani (górska miejscowość w okolicach Bombaju) wziął ślub z Ireną Świątkowską (znaną z publikacji prasowych jako Irena Hradyska). 31 października 1945 roku został zwolniony z M.P. i O.S., jednak w dalszym ciągu

<sup>1</sup> Pseudonim pochodzący z *Wiatru od morza* Żeromskiego, drugim był Michael Borsam.

<sup>2</sup> Archiwum pisarskie Michała Chmielowca znajduje się w Archiwum Emigracji Biblioteki UMK w Toruniu i obejmuje 115 jednostek archiwalnych z rękopisami i maszynopisami, dokumentami, zdjęciami i korespondencją.

<sup>3</sup> Por. I. Chmielowcowa, *Michał Chmielowiec* (biogram), [in:] „Wiadomości” i okolice. *Szkiecy i wspomnienia*. Red. M.A. Supruniuk. [T. 1]. Toruń 1995, s. 245.

<sup>4</sup> M. Chmielowiec, *Obrona poety Peipera*, *Sygnaly* (Lwów) 1938 nr 33. Publikował także w „Czasie”, „Kulturze”, „Kurierze Wileńskim”, „Kurierze Wieczornym”, „Pionie” i „Piórze”.



redagował „Polaka w Indiach” (do 1948), z tym że wówczas czasopismo to było już finansowane z funduszy UNRRA. W tym okresie rozpoczął współpracę z „Dziennikiem Polskim i Dziennikiem Żołnierza”, aby w następnych latach rozszerzać listę pism, w których zamieszczał swe artykuły<sup>5</sup>. 25 czerwca 1946 roku Sambor został członkiem rzeczywistym Związku Dziennikarzy RP. W kwietniu 1948 urodził się jego syn — Marek, a już w maju Chmielowiec wraz z rodziną przeniósł się do Libanu w Bejrucie, gdzie podjął pracę (do zimy 1949) w Biurze Opieki Społecznej.

W kwietniu 1950 roku otrzymał wyróżnienie w konkursie pod hasłem: „Czym jest radio w moim życiu” zorganizowanym przez Sekcję Polską Radia Francuskiego. 22 lipca 1950 roku Chmielowcowie przeprowadzili się do Londynu. Wtedy Sambor podjął współpracę z paryską „Kulturą”, nawiązał ściślejszą współpracę z „Wiadomościami” i został członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

W latach 1950–1951 (przez niecały rok) pracował jako urzędnik w magistracie w City. Równocześnie czynił starania o ukończenie studiów lub zdobycie stypendium<sup>6</sup> oraz podjął pracę (1951) w dziale wydawniczym polskiego Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” (był redaktorem tej sekcji do 1955 roku).

W 1952 roku otrzymał Nagrodę Literacką tegoż „Veritasu”, która była przyznawana „za twórczość «zgodną z zasadami wiary i obyczajów katolickich»”<sup>7</sup>, za złożony w rękopisie tom prozy poetyckiej *Na kolanach* i całokształt twórczości krytycznej. W sierpniu tego samego roku urodziła się pierwsza córka państwa Chmielowców — Iwona. W 1953 roku Sambor został powołany na członka jury nagrody ZPPnO i pozostał w nim do 1956 roku. Od 1953 roku uczęszczał na kurs sekretarzy spółek akcyjnych, a w maju zdobył pierwszą nagrodę w konkursie Radia Wolna Europa na temat: „Co Zachód może przeciwstawić komunizmowi?” W 1955 roku opuścił Londyn i przeniósł się do Monachium, gdzie w okresie od 23 marca 1955 do 30 września 1958 roku pracował w redakcji polskiej radia „Głos Ameryki”.

W styczniu 1955 roku zdobył pierwszą nagrodę w Konkursie Radia Wolna Europa „Głos Wolnej Ameryki” na słuchowisko za utwór „Łódź, w której była jeszcze litość”. W 1956 roku Sambor doczekał się drugiej córki — Joanny. W tym okresie Chmielowiec czynił też starania o powrót do Londynu. Niestety nie udało mu się tego zrobić i przez kolejne dwa lata (1958–1960) pracował w Radio Wolna Europa (prowadził tam m.in. program dla młodzieży).

W roku 1959 został powołany na członka Komisji Rewizyjnej ZPPnO. W lutym tego roku został przyjęty do The American Newspaper Guild in New York, a w październiku Newspaper Guild Press Club of New York.

Jesienią 1961 powrócił z Niemiec (gdzie przebywał także przez pewien czas w sanatorium — problemy z płucami) do Londynu i podjął współpracę z sekcją polskiej BBC (w charakterze niezależnego dziennikarza) oraz publikował w dalszym ciągu w czasopiśmie emigracyjnych. W latach 1961–1962 zaangażował się w publiczną obronę Józefa Mackiewicza oskarżanego o kolaborację z okupantem niemieckim w czasie II wojny światowej<sup>8</sup>. Pod koniec 1962 roku Chmielowiec zrezygnował z posługiwania się pseudonimem Michał Sambor i powrócił do własnego nazwiska.

<sup>5</sup> Były to m.in.: „Kontynenty”, „Gazeta Niedzielną”, „Wiadomości”, „Życie”, „Na antenie”, „Kultura” i „Związkowiec”.

<sup>6</sup> W działaniach tych wspierał go Jerzy Giedroyc, który zabiegał o przyjęcie Chmielowca na tworzący się w Strassbourgu Uniwersytet Wolnej Europy (College de l'Europe Libre), bądź to w charakterze studenta, bądź też na stanowisko wykładowcy. Niestety zabiegi te nie przyniosły oczekiwanych rezultatów.

<sup>7</sup> W. Tarnawski, *Nagrody literackie „Veritasu”*, Kultura (Paryż) 1952 nr 7/8 (57/58), s. 107.

<sup>8</sup> W liście z 5 I 1962 roku do J. Mackiewicza Chmielowiec wytłumaczył się ze swego postępowania: „Literat [...] mniejszego kalibru, taki jak ja, trochę krytyk literacki, a więc i zadatek na historyka literatury — może

W 1964 roku ponownie został członkiem jury nagrody ZPPnO. W tym samym roku przestał pracować w BBC, a także został uhonorowany III nagrodą w konkursie literackim Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego im. S. Gruszki w Sydney (Australia). W roku 1965 został członkiem jury Nagrody „Wiadomości” w miejsce zmarłego Jana Białatowicza. Zajął też drugie miejsce (równorzędnie z Andrzejem Chciukiem) w konkursie literackim im. Czesława Straszewicza — złożył tam opowiadanie pt. *Pożegnanie*.

Podczas choroby Mieczysława Grydzewskiego (od grudnia 1966 do stycznia 1970 roku) podjął funkcję zastępcy redaktora „Wiadomości”. Posługiwał się wtedy pseudonimem Zastępca, który po śmierci Grydzewskiego został przemianowany na Następcę (wcześniej używał ich przy redagowaniu rubryki *W oczach Zachodu*).

W 1968 roku Chmielowiec był członkiem jury Nagrody im. Anny Godlewskiej (Szwajcaria). Na przełomie lat 60-tych i 70-tych brał udział w sympozjach w Lindenfels koło Darmstadt, na których spotykali się literaci polscy i niemieccy w celu wymiany doświadczeń.

W latach 1969–1974 ze względu na zły stan zdrowia (w 1972 roku potwierdzają się obawy dotyczące raka płuc) Sambor redagował „Wiadomości” wspólnie ze Stefanią Kossowską. W 1971 roku ukazała się opracowana i zredagowana przez niego *Książka o Grydzewskim. Szkice i wspomnienia* poświęcona pamięci założyciela „Wiadomości”. W tym samym roku Chmielowcowi przyznano nagrodę im. Anny Godlewskiej (na rok 1972) za twórczość w dziedzinie eseju, krytyki literackiej i za redagowanie „Wiadomości”. W 1973 roku przebywał w sanatorium w szwajcarskiej miejscowości Arosa — postępująca choroba sprawiła, że pod koniec życia mógł już mówić tylko szeptem.

Wiosną 1974 roku spędził pewien czas na Majorce, gdzie regenerował siły. Zmarł 19 maja 1974 roku w Hospicjum św. Krzysztofa w Londynie. Został pochowany na New Chiswick Cemetery w Londynie.

Dorobek pisarski Michała Chmielowca obejmuje ponad trzysta pozycji<sup>9</sup>. Jest on przy tym bardzo zróżnicowany pod względem gatunkowo-tematycznym. Listę jego dzieł otwierają trzy książki: tom poezji *Chwile* (Londyn 1962), zbiór szkiców, esejów, aforyzmów i prozy *Bajki, prawdy, morały...* (Londyn 1968) oraz *Łabędź Sabaudii — wybór pism św. Franciszka Salezego i o nim* (Londyn 1958) — jest to opatrzone komentarzem przekład wybranych pism tego świętego.

Pozostałe pozycje to artykuły rozproszone w pismach krajowych (przedwojenne) i emigracyjnych. Wśród nich poczesne miejsce zajmuje krytyka literacka — zarówno szkice teoretyczne, jak i recenzje. Autorzy omawianych dzieł i nieliczni badacze zajmujący się tą twórczością zwracali uwagę na bardzo wysoki poziom tych prac podkreślając kompetencje krytyka.

Jeżeli chodzi o poezję, to mamy tu do czynienia zaledwie z trzydziestu ośmioma utworami, z których dwadzieścia siedem weszło w skład tomu *Chwile*. W znakomitej większości są to liryki o charakterze religijnym wyrastające z ducha katolicyzmu. Równocześnie autor wyraźnie odżegnuje się od wszelkiej formy dewocji czy fanatyzmu na rzecz ekumenizmu i postawy dialogu. Od strony formalnej utwory te przyjmują klasyczną formę sonetu czy wiersza stroficzno-regularnego, a część z nich należy raczej do prozy poetyckiej, niż do poezji.

W wypadku prozy mamy do czynienia z ośmioma opowiadaniem i pięcioma fragmentami większych całości (głównie powieści), które nigdy nie zostały zrealizowane. Najbardziej interesujące jest opowiadanie *Sen*, w którym autor, odwołując się do szcze-

---

się podjąć zadania wyjaśnienia problemu, który z uwagi na Pana pozycję nie jest obojętny dla historii literatury polskiej”.

<sup>9</sup> Obok tego życie M. Chmielowca i jego dorobek dokumentuje ok. stu pozycji — wzmianki, nawiązania, wspomnienia etc.

gółów z własnej biografii, prowadzi subtelną grę z czytelnikiem zacierając różnice między snem a jawą.

W wypadku tłumaczeń w większości mamy do czynienia z przekładami aforyzmów i niewielkich artykułów. Z innych typów piśmiennictwa uprawianych przez Chmielowca na uwagę zasługuje publicystyka, w której można wyróżnić trzy podstawowe kręgi tematyczne — politykę, religię i literaturę. Tu — podobnie do słuchowisk i audycji radiowych — spotkać się można z oryginalnymi zabiegami formalnymi (np. imitowanie autentyczności przytaczanej wypowiedzi) służącymi podkreśleniu wagi przekazywanych treści.

Znaczna część publikacji Sambora to rubryki prasowe (umieszczane głównie w „Wiadomościach”) z najsłynniejszą „W oczach Zachodu” na czele — autor *Chwil* zajmował się w niej wszystkimi zagadnieniami, które wydawały mu się istotne dla życia emigracji polskiej lub mogłyby zainteresować czytelnika. I tak pojawiły się tu omówienia artykułów politycznych, recenzje książek i wydarzeń kulturalnych aż po wzmianki na temat zabawek.

Cechą charakterystyczną twórczości Chmielowca jest jasność i precyzja w wyrażaniu myśli. Autor prowadzi czytelnika w znakomitej większości swych wypowiedzi prostą drogą prezentując mu przemyślenia i wnioski w przejrzysty sposób. Utwory czy artykuły, które stwarzają pewne problemy w odbiorze, opierają się na ogół na zasadzie prowadzenia sygnalizowanej już swoistej gry z odbiorcą — polega ona na tym, iż nie jest on w stanie w początkowej fazie zaznajamiania się z tekstem odkryć prawideł nim rządzących i dotrzeć do istoty wypowiedzi, i dopiero kolejne partie tekstu rozwiewają tę wątpliwość, ukazując przy tym zasadność zastosowania danego zabiegu artystycznego.

Drugą cechą tej twórczości — zwłaszcza oryginalnej (w znaczeniu twórczej) — jest pomysłowość i nowatorstwo w zakresie korzystania ze wzorców i norm gatunkowych oraz konwencji literackich. Znajduje to swój wyraz w synkretyzmie gatunkowym. Można u Chmielowca znaleźć wiele utworów i artykułów, które łączą w sobie liczne cechy dwóch odrębnych rodzajów literackich czy paraliterackich — felietonów prasowych z opowiadaniem, recenzji z dyskusjami lub słuchowiskami, słuchowisk z artykułami prasowymi, wymieszeniem form oryginalnych z relacjonującymi, wypowiedziami stającymi gdzieś między esejem a wypowiedzią publicystyczną itp.

Trzecia charakterystyczna cecha tej twórczości, to bardzo wyraźne nasycenie jej humorem czy wręcz komizmem. Sambor odznacza się umiejętnością trafnego rozpoznawania indywidualnych sytuacji komunikacyjnych i — w zależności od ich charakteru — dostosowywania do nich swoich wypowiedzi. Gdy powaga tematu wymaga zachowania odpowiedniego tonu, Chmielowiec nigdy nie pozwala sobie na uchybienia w tym względzie. Równocześnie doskonale wie, kiedy może sobie pozwolić na niewinny żart czy zrobienie „oka” do czytelnika — nigdy nie zdarza się, aby przekroczył delikatną granicę oddzielającą dowcip od kpiny, choć niejednokrotnie niebezpiecznie się do niej zbliża. Sambor posiadał tę rzadką umiejętność śmiania się z samego siebie — był w tym przekorny, krytyczny, czasem ironiczny i zapraszając czytelnika do wspólnej zabawy nierzadko zmuszał go do spojrzenia w lustro.

I wreszcie czwarta — być może najważniejsza — cecha tej twórczości, a w każdym bądź razie znakomitej jej części. Chmielowiec często zdradzał predyspozycje do — zapewne nie do końca zawsze uświadamianego, a niekiedy wyraziście celowego — pisania aforyzmami. Potwierdzenie tego faktu można znaleźć w niejednym artykule czy utworze Sambora — on sam zdawał sobie doskonale sprawę z takiego stanu rzeczy, czemu dał wyraz w *Bajkach, prawdach, moralach...* gdzie zawarł garść swych wypowiedzi o nacechowaniu aforystycznym.

Dorobek literacki Michała Chmielowca nie jest znany szerszemu kręgowi odbiorców. Z jednej strony jest to uwarunkowane jego niedostępnością (dotyczy to np. rzadkich czasopism typu „Polak w Indiach”), a z drugiej tym, że artykuły i utwory tego autora nie doczekały się jeszcze wydania w większym zbiorze, omówienia czy choćby przedruków w Polsce<sup>10</sup>.

Rafał Moczko (Toruń)

---

<sup>10</sup> Do 1989 roku przedrukowano w kraju zaledwie trzy fraszki Sambora (Tygodnik Powszechny 1963, nr 33), po zmianie ustrojowej i zniesieniu cenzury sytuacja nie zmieniła się w sposób radykalny — por. Michał Chmielowiec, *Piękno i smutek tych wszystkich rzeczy...*, [in:] *Antologia polskiej krytyki literackiej na emigracji 1945–1985*. Wybór, wstęp i biogramy J. Dąbala, Lublin 1992, s. 251–262; A. Pospieszalski, *Wspomnienie o Michale Chmielowcu*, [in:] „*Wiadomości*” i okolice. *Szkice i wspomnienia*. Red. M.A. Supruniuk. [T. 2]. Toruń 1996, s. 259–266.

# JERZY KOSIŃSKI DO JÓZEFA CHAŁASIŃSKIEGO — LISTY

Janusz KRYSZAK (Toruń)

Prezentowany tu zbiór listów i dokumentów obejmuje okres szczególnie ważny w biografii przyszłego autora *Malowanego ptaka*, bo czas starań o wyjazd na stypendium naukowe do USA i pierwsze lata pobytu na nowym kontynencie. Może więc stanowić interesujący przyczynek do losów pisarza, zwłaszcza że przez długi czas okoliczności owego wyjazdu wydawały się niejasne i bywały źródłem różnego rodzaju spekulacji i plotek zarówno w kraju, jak i w Stanach Zjednoczonych. Wspomina o tym w swej książce biograf pisarza James Park Sloan. On też zebrał i udokumentował, na podstawie informacji zaczerpniętych z archiwum Imigracji i Naturalizacji oraz relacji osób przyjaźniących się wówczas z Kosińskim, liczne szczegóły z pierwszego okresu pobytu w Stanach Zjednoczonych (zob. James P. Sloan, *Jerzy Kosiński. Biografia*. Wyd. Da Capo Warszawa 1997). Publikowane teraz listy i dokumenty ten szczegółowy obraz mogą jeszcze dodatkowo wzbogacić.

Jerzy Kosiński wyjeżdżał z Polski w grudniu 1957 roku (wyleciał z Warszawy 20 grudnia) jako aspirant Zakładu Socjologii i Kultury PAN, by podjąć badania nad wpływem telewizji na życie rodzinne, co miało być przedmiotem jego rozprawy doktorskiej. Za sobą miał studia na Uniwersytecie Łódzkim (1950–1955), prawie dwa lata aspirantury w Polskiej Akademii Nauk, pierwsze publiczne odczyty naukowe na temat amerykańskiego życia rodzinnego i... sukcesy fotograficzne (był członkiem Photographic Society of America i The Royal Photographic Society of Great Britain od 1956 roku, a potem też Polskiego Towarzystwa Fotograficznego w Warszawie). Bezpośrednim opiekunem naukowym, a zarazem promotorem wyjazdu Kosińskiego na staż naukowy do USA był ówczesny rektor Uniwersytetu Łódzkiego i kierownik Zakładu Socjologii i Historii Kultury PAN, wybitny uczony, prof. Józef Chałasiński (1904–1979).

Józef Chałasiński zaliczał Kosińskiego do swych szczególnie zdolnych i wyróżniających się uczniów, a publikowane tu listy poświadczają dobitnie, jak dalece zapobiegliwy był w tym, by wychowankom swym i współpracownikom zapewnić najodpowiedniejsze

warunki rozwoju intelektualnego. Wykorzystując szerokie kontakty naukowe i osobiste w zachodnim świecie słał listy polecające do badaczy, którzy mogliby zapewnić młodemu aspirantowi socjologii właściwy start w obcym środowisku, interweniował w instytucjach krajowych itd. Dla Jerzego Kosińskiego zaś autor *Młodego pokolenia chłopów* cały czas pozostawał niekwestionowanym autorytetem naukowym i powiernikiem. Jak napisze w jednym z listów, uosabiał on dlań „cały sens narodowej tradycji, kultury i nauki”, a składając gratulacje i życzenia Profesorowi w 65. rocznicę urodzin wyzna, że to właśnie on, obok rodziców, nadał kierunek jego życiu. Z tą samą atencją mówić też będzie o swym nauczycielu po latach w rozmowach z Czesławem Czaplińskim, podkreślając szczególnie osobistą dlań wagę takich prac Chałasińskiego, jak *Genealogia inteligencji polskiej* czy *Kultura amerykańska* (zob. Cz. Czapliński, *Pasje Jerzego Kosińskiego*, BGW Warszawa 1993, s. 120–122). Miał też Kosiński szczególne powody do wdzięczności, bo to dzięki pomocy profesora Chałasińskiego został przyjęty na studia, on też jako rektor Uniwersytetu Łódzkiego interweniował skutecznie, gdy Kosińskiego zamierzano relegować z uczelni, wreszcie umożliwił mu studia doktoranckie w PAN, i on też ukierunkował zainteresowania badawcze adepta socjologii w stronę problematyki amerykańskiej.

Po przyjeździe do USA podjął Kosiński studia doktoranckie na Columbia University w Nowym Jorku pod kierunkiem prof. Paula Lazersfelda, który swą karierę naukową rozpoczynał przed wojną we Wiedniu, a po wojnie zasłynął jako rzecznik badań statystyczno-psychologicznych w socjologii i założyciel Biura Stosowanych Badań Społecznych. Ten światowej sławy uczony chętnie współpracował z socjologami polskimi, pomagał w uzyskaniu stypendiów, przyjeżdżał do Polski i, jak świadczy zamieszczona tu korespondencja, wysoko oceniał możliwości naukowe Kosińskiego. W marcu 1959 roku otworzył mu przewód doktorski na Wydziale Socjologii (był jego dziekanem) Uniwersytetu Columbia. Niestety nie zachowała się w archiwum Józefa Chałasińskiego korespondencja mówiąca o dalszych postępach badań naukowych Jerzego Kosińskiego, choć wiadomo, że formalnie kontynuował swe studia socjologiczne do 1963 roku także w The New School for Social Research w Nowym Jorku, a wcześniej, w 1960 roku, wydał swój pierwszy zbiór esejów o psychologii społeczeństwa zamkniętego (pod pseudonimem Joseph Novak) pt. *The Future Is Ours, Comrade*.

Dwa ostatnie zamieszczone tu listy pochodzą już z lat późniejszych (1965, 1969), gdy Jerzy Kosiński przyjmuje obywatelstwo amerykańskie i zdobywa rozgłos jako prozaik. Ale czytelnicy prozy tej doskonale wiedzą, jak silne na niej piętno wywarły pasje socjologiczne Kosińskiego. Nie bez powodu mawiał pisarz, że kolekcjonuje sytuacje międzyludzkie, jak inni kolekcjonują obrazy.

Do swych pierwszych dni i tygodni amerykańskich wróci Kosiński w wydanej w 1968 roku powieści *Kroki (Steps)*. W sposób nader sugestywny, ale też w zgodzie z zasadami fikcji powieściowej przekaże obraz pierwszego spotkania z Ameryką. Obraz złożony z epizodów realności, ale i znamienych dla jego prozy „autofikcji” w funkcji metaforyczno-symbolicznej. Pamiętna scena, gdy bohater ubrany we wspaniałe futro z syberyjskich wilków, po wyjściu z samolotu staje na ziemi amerykańskiej w strugach ulewnego deszczu, który sprawia, że to co miało budzić podziw i respekt, zmienia się w zmatowiały kołtun, otwiera ciąg zdarzeń, które obcego mają wprowadzić w nowy świat. Dopiero, gdy chroniące go przed światem futro rozpadnie się, a on pozostanie nagi, będzie mógł powiedzieć, że oto minął czas zawieszenia i niepewności, i musi odtąd „stwarzać” siebie raz jeszcze, od początku. Tak jak stworzył siebie Kosiński, decydując się na pisanie powieści i na wybór języka angielskiego jako tworzywa powieściowych autofikcji.

Publikowany tu zbiór listów i dokumentów pochodzi z Archiwum Instytutu Socjologii UMK w Toruniu (Archiwum domowe Józefa i Krystyny Chałasińskich sygn.

II/11.1/B Korespondencja z Jerzym Kosińskim). Redakcja wyraża serdeczne podziękowanie opiekunowi Archiwum Panu prof. dr hab. Włodzimierzowi Winławskiemu za udostępnienie zbioru do publikacji i pomoc w ustaleniu niezbędnych faktów i informacji koniecznych przy opracowaniu korespondencji do druku.

## LISTY

---

1.

Warszawa, dn. 29 marca 1957 r.

AMBASADA AMERYKAŃSKA  
Wydział Wiz Nieimigracyjnych  
W A R S Z A W A

Zakład Socjologii i Historii Kultury PAN popiera prośbę Pana mgr Jerzego Kosińskiego, aspiranta PAN, o otrzymanie wizy do USA. Wyjazd Pana mgr Jerzego Kosińskiego do USA ma na celu przeprowadzenie badań naukowych związanych z przygotowywaną pracą doktorską. Na okres planowanego pobytu w USA Pan mgr Jerzy Kosiński zostanie zwolniony z pracy w Zakładzie.

KIEROWNIK ZAKŁADU  
Prof. Dr Józef Chałasiński

---

Kopia bez odrębnego podpisu wystawiającego dokument, w lewym górnym rogu zaznaczono L.dz. ale nie wpisano liczby dziennika.

2.

Łódź, dn. 20 maja 1957 r.

Szanowny Panie Rektorze,

Moja rozmowa z Sekretarzem Ambasady miała miejsce i pozwałam sobie zakomunikować o jej wyniku.

Zdaniem Ambasady wszelkie przedstawione przeze mnie dokumenty wystarczają do otrzymania wizy na pobyt czasowy w U.S.A. pod warunkiem — niezbędnym w tym konkretnym wypadku — załączenia jeszcze zaproszenia na studia do U.S.A. wydanego przez jakąś amerykańską instytucję naukową i adresowanego na moje nazwisko jako aspiranta P.A.N.

Sekretarz Ambasady stwierdził, że skoro posiadam:

1. *Affidavit of Support*<sup>1</sup> od amerykańskiego obywatela (brata ojca), który gwarantuje moje utrzymanie i powrót do Polski,
2. Otwarte konto 500 dolarów w *The Chase Manhattan Bank* przeznaczone w y - ł ą c z n i e na studia socjologiczne w U.S.A. anonimowej fundacji, (na np. 5 miesięcy studiów),
3. Poparcie Polskiej Akademii Nauk określającej wyraźnie cele mojego wyjazdu do U.S.A. w związku z pracą naukową z problematyki amerykańskiej, nie powinienem mieć trudności w uzyskaniu od jakiejś socjologicznej instytucji naukowo-badawczej takiego zaproszenia na studia względnie na praktykę naukową w interesującej mnie dziedzinie.

Ambasada natomiast wymaga takiego zaproszenia gdyż „...ubiegający się o wizę nie-imigracyjną winien dokładnie określić cel podróży do Stanów oraz... udowodnić, że nie stanie się po wjeździe do U.S.A. ciężarem publicznym”.

Dlatego to chciałbym pozwolić sobie prosić Pana Rektora o łaskawe spowodowanie — jeśli to możliwe — uzyskania przeze mnie takiego zaproszenia (w 3 egzempl.) w którym określono by dokładnie ewentualny okres pobytu — np. 5 miesięcy — i zaznaczono, że dana instytucja popiera moją prośbę o wizę do U.S.A. na ten okres.

Załączam odpis pisma *The Chase Manhattan Bank* oraz główne dane *Affidavit of Support*, które mogą być potrzebne instytucji wystawiającej zaproszenie.

Sekretarz Ambasady sugerował także, że byłoby dobrze, gdyby w zaproszeniu do U.S.A. podano prośbę o „możliwie szybkie wydanie wizy w związku z np. rozpoczynającymi się badaniami” lub czymś w tym rodzaju.

Łącząc wiele serdecznych pozdrowień i ukłonów  
pozostaję z poważaniem

Jerzy Kosiński

[Załącznik:]

- I. Jerzy Kosiński  
The aspirant of The Polish Academy of Sciences  
Strzelczyka 4  
Ł ó d ź — 7, POLAND  
  
Place and Date of Birth: Łódź, Poland, 14, June, 1933  
Sex: Male  
  
Thesis: “Contemporary Family Research in the U.S.A.”
- II. *Affidavit of Support* for Jerzy Kosiński, nephew  
Name: PAUL LEWINKOFF, residing at: 56 East 59<sup>th</sup> Street, New York, N.Y.22,  
U.S.A.  
natural.a citizen of the U.S.A. on April 26 1928 at Washington D.C. by the District Court, Certificate No: 2773990  
Signature of Deponent: Louis J. Geller  
Notary Public, State of New York,  
No. 4164844300  
Affid.of.Support — U.S.A. — The Cunard Steam–Ship Co. LTD
- III. Special Credit in the amount of \$500.00 — The Chase Manhattan Bank, New York, February 14, 1957 — expires December 31, 1957



---

List i Załącznik pisane na maszynie, zwrot grzecznościowy „pozostaję z poważaniem” i podpis dopisane odręcznie czarnym atramentem.

<sup>1</sup> Dokument ów (Affidavit of Support) będący deklaracją pomocy przekazał brat ojca pisarza, Mieczysław Kosiński (zmarł 19.01.1962), P a u l L e w i n k o f f, mieszkający od kilkudziesięciu lat w USA. Nieco inną wersję rodowego nazwiska Kosińskich podaje pisarz w rozmowach z Czesławem Czaplińskim: „Gdybym po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych zmienił nazwisko, czy powrócił do nazwiska Lewinkopf, a matka była z domu Weinreich — otworzyłyby mi to wiele dróg w Nowym Jorku” (Cz. Czapliński, *Pasje Jerzego Kosińskiego*, Warszawa 1993, s. 169).

3.

28.X.[1957]

SCH – Z – Nr 45/57

WOJEWÓDZKA KOMENDA MILICJI OBYWATELSKIEJ  
m. Łodzi  
Łódź  
ul. Wólczańska 36

W związku z koniecznością odbioru zezwolenia na wyjazd do Stanów Zjednoczonych A.P. (USA) przez Ob. mgr JERZEGO KOSIŃSKIEGO aspiranta Polskiej Akademii Nauk, zam. w Łodzi, ul. Strzelczyka 4 (Senatorska) Polska Akademia Nauk (Zakład Socjologii i Historii Kultury) stwierdza niniejszym, że na okres swego pobytu na studiach w USA Ob. mgr Jerzy Kosiński otrzyma zwolnienie (urlop) od pracy w Polskiej Akademii Nauk.

Koszta podróży do USA na studia (Nowy Jork) Ob. mgr Jerzy Kosiński pokrywa w złotych polskich — stosownie do istniejących przepisów dla pracowników naukowych udających się na zagraniczne studia w związku z przyznaniem stypendium — za pośrednictwem PBP „Orbis”.

K i e r o w n i k Z a k ł a d u  
(Prof. Dr Józef Chałasiński)

---

Kopia bez odręcznego podpisu.

4.

[przed XII 1957]

Dear Prof. Herring<sup>1</sup>

Zwracam się do Pana z następującą prośbą. Mój młody *assistant* Jerzy Kosiński *master in sociology* może wyjechać do USA na kilka miesięcy na jakiś *summer [...] course in sociology or modern civilization* na koszt swojej rodziny w Ameryce. Jerzy należy do moich zdolnych i wyróżniających się uczniów i zasługuje na to, aby mu w tym pomóc. Ambasada Amerykańska poinformowała go, że może wydać wizę tylko na zaproszenie jakiejś amerykańskiej instytucji naukowej. Co należy zrobić, aby mógł wyje-

chać? Piszę o tym, gdyż przy okazji widzenia się z Panem chciałbym aby mi Pan w tym poradził.

Very sincerely yours  
Józef Chałasiński

---

Brudnopis listu pisany czarnym atramentem z licznymi poprawkami i skreśleniami, brak daty.

<sup>1</sup> (Edward) Pendleton Herring, prof. filozofii, w latach 1948–1966 dyrektor Social Science Research Council, członek Am. Philos. Society, konsultant Fundacji Forda, autor m.in.: *The Politics of Democracy* (1940).

5.

[przed XII 1957]

Prof. [Edward Pendleton] Herring Phd  
Social Science Research Council  
New York City

Dear Prof. Herring

Mr Jerzy Kosiński, który się zgłosi do Pana jest mgr socjologii U.Ł., Poland. Studiował socjologię pod moim kierunkiem. Obecnie chciałby zapoznać się w USA z badaniami nad wpływem telewizji na życie rodzinne. Byłbym Panu b.wdzięczny, za skierowanie go do któregoś z profesorów w New Yorku który mógłby i chciałby pokierować jego studiami w USA.

Kilku młodych socjologów z którymi Pan był w kontakcie w czasie swej wizyty w Polsce już wyjechało do USA. Inni przygotowują się do wyjazdu.

Sam będę w New Yorku w początku marca.

Sincerely Yours

---

Brudnopis listu pisany czarnym ołówkiem z licznymi skreśleniami i poprawkami, brak daty i podpisu.

6.

[między IV a XII 57]

Dr J[ohn] M[ichael] Montias<sup>1</sup>  
Polish Institute of Arts and Sciences<sup>2</sup>  
145 East 53  
New York C. 22, NY.

Szanowny Panie Doktorze,

Mgr Jerzy Kosiński, który studiował na U.Ł. socjologię, pod moim kierunkiem, spędził kilka miesięcy w USA. Chciałbym, aby mógł z tego pobytu wynieść jak największe korzyści naukowe. Interesuje się wpływem telewizji na życie rodzinne w USA. Będę

Panu b.wdzięczny, jeżeli Pan mu pomoże znaleźć środowisko socjologiczne odpowiadające jego zainteresowaniom.

Z zainteresowaniem przeczytałem Pana artykuł w „Foreign Affaiars” April 1957<sup>3</sup>. Wysłałam Panu nowe numery „Kultury i Społeczeństwa”.

Najlepsze pozdrowienia

---

Brodnopis listu pisany czarnym atramentem, brak daty i podpisu.

<sup>1</sup> John Michael Montias, prof. ekonomii w Mid-European Studies Center na Harvard University, w latach 1956/1957 stypendysta fundacji Forda w Polsce, autor m.in.: *Central Planning in Poland* (1962).

<sup>2</sup> Polski Instytut Naukowy w Ameryce (Polish Institute of Arts and Sciences) powstał w 1942 roku z inicjatywy profesorów, członków Polskiej Akademii Umiejętności, którzy znaleźli się w czasie wojny w Ameryce (m.in. Oskar Halecki, Jan Kucharzewski, Wacław Lednicki, Bronisław Malinowski i Rafał Taubenschlag). Pierwszym prezesem Instytutu został Bronisław Malinowski, a po jego śmierci (16.05.1942) Jan Kucharzewski. W czasie, gdy do USA przyjechał J. Kosiński prezesem Instytutu był Oskar Halecki.

<sup>3</sup> J.M. Montias, *Unbinding the Polish Economy*, Foreign Affairs (New York) 1957 April, s. 470–484.

7.

copy

Columbia University in the City of New York  
New York 27. N.Y.  
Office of the Foreign Student Adviser

December 3, 1957

Dear Mr. Kosinski:

We are happy to inform you that you have been accepted for admission to Columbia University to begin your studies on February 1, 1958.

You have been accepted as a regular graduate student in the Department of Sociology. Your academic status is explained in the enclosed letter. (Hr 33).

We hope that the experience of studying at Columbia will enrich your life and be a lasting tie between your country and ours.

We enclose with this letter credentials which will enable you to obtain a visa. If for some reason you are unable to accept this admission, please let us know immediately.

You should report to the Office of the Foreign Student Adviser one week in advance of the above date to take care of all matters relating to housing and registration. If you accept this admission and will be able to come, let us know immediately so we can advise you regarding living accommodations in the Campus area.

Your appearance at Columbia University will constitute acceptance of the conditions listed on the following page. Please pay special note to these conditions, as they may greatly affect the studies you undertake here.

Once again, we would like to thank you for applying to Columbia University, and congratulate you on being accepted. May we take this opportunity to wish you success in your chosen course of studies. If there is any way we can assist you, please do not hesitate to write us.

Very truly yours,  
/-/ Lois Dickson  
Foreign Student Adviser

[Szanowny Panie,

Z przyjemnością zawiadamiamy, że od 1.02.1958 r. został Pan doktorantem na studiach dziennych Wydziału Socjologii Uniwersytetu Columbia. Pański status akademicki wyjaśniono w załączonym liście. (Hr 33). Mamy nadzieję, że doświadczenia wyniesione ze studiów na Uniwersytecie Columbia wzbogacą Pańskie życie i będzie to podstawa trwałej więzi między naszymi krajami. W załączeniu przesyłamy listy uwierzytelniające, które umożliwią Panu otrzymanie wize. Jeżeli istnieje jakaś przyczyna będąca przeszkodą w podjęciu przez Pana studiów proszę nas niezwłocznie o tym zawiadomić. Powinien Pan zgłosić się do *Office of the Foreign Student Adviser* tydzień przed wskazanym wyżej terminem, aby dopilnować formalności związanych z zakwaterowaniem i zapisaniem na Uniwersytet. W wypadku zaakceptowania naszej oferty oraz Pańskiego przyjazdu proszę nas także niezwłocznie zawiadomić, a będziemy mogli udzielić Panu wskazówek dotyczących zakwaterowania w miasteczku uniwersyteckim. Pańskie stawienie się na Uniwersytecie Columbia będzie oznaczało zaakceptowanie warunków wymienionych na następnej stronie. Prosimy zwrócić na nie uwagę, ponieważ warunki te mogą mieć duży wpływ na podjęte przez Pana studia. Jeszcze raz chcielibyśmy podziękować za to, że ubiegał się Pan o przyjęcie na Uniwersytet Columbia i gratulujemy zaakceptowania Pańskiej kandydatury. Chcielibyśmy życzyć Panu powodzenia w studiowaniu wybranych kierunków. Jeżeli w jakikolwiek sposób możemy okazać się pomocni to proszę do nas napisać bez wahania.

Z poważaniem]

8.

Warszawa, dnia 16 XII 1957 r.

[POLSKA AKADEMIA NAUK  
PAŁAC KULTURY I NAUKI im. J.STALINA]

Zaświadczenie

Zakład Socjologii i Historii Kultury Polskiej Akademii Nauk stwierdza niniejszym, że mgr Jerzy Kosiński, aspirant Polskiej Akademii Nauk, zam. w Łodzi przy ul. Strzelczyka 4 m 3a, Nr paszportu zagran. CA-0079050 udał się na okres czasowy do U.S.A. w związku z przygotowaniem swojej pracy doktorskiej.

Zaświadczenie wydaje się celem przedstawienia zainteresowanym.

Kierownik Zakładu  
/Prof. Dr Józef Chałasiński/

---

Kopia dokumentu na papierze firmowym Polskiej Akademii Nauk, bez odrębnego podpisu i liczby dziennika.

9.

Warszawa, dn. 16 XII 1957 r.

Mgr Jerzy Kosiński, aspirant PAN, Leg. 327/55  
Zakład Socjologii i Historii Kultury PAN  
zam: Łódź, ul Strzelczyka 4 m 3a

Rada Naukowa Wydziału I  
Polskiej Akademii Nauk  
W a r s z a w a

W związku z zawieszeniem wypłacania mi przysługującego mi stypendium aspiranckiego PAN w trakcie trwania drugiego roku mojej aspirantury w Zakładzie Socjologii i Historii Kultury PAN, co stosownie do p. 11 obowiązującego mnie Regulaminu Studiów Aspiranckich oznacza pozbawienie podstawowego uprawnienia aspiranta PAN uprzejmie proszę o p o w t ó r n e rozpatrzenie faktycznego stanu rzeczy w mojej sprawie.

Pozwalam sobie zwrócić uwagę, że:

- 1) mój wyjazd do USA nie przerywa moich studiów socjologicznych a wręcz przeciwnie stanowi warunek nieodzowny dla terminowego ukończenia i przygotowania pracy kandydackiej w ramach aspirantury PAN z wybranej dziedziny i ustalonego tematu;
- 2) temat mojej pracy którą przygotowuję jako aspirant PAN oparty jest o prowadzone w USA socjologiczne badania nad wpływem telewizji na życie rodzinne i z a k ł a d a poznanie na miejscu metod i wyników tych badań;
- 3) w związku z tym, że PAN nie może w chwili obecnej zapewnić mi pobytu w USA wykorzystałem w tym celu otrzymane przez The Chase Manhattan Bank stypendium na studia socjologiczne w USA przyznane mi jako aspirantowi PAN;
- 4) z Kierownictwem mego Zakładu uzgodniłem kierunek i formy mej pracy naukowej w USA całkowicie zgodne z Regulaminem Studiów Aspiranckich i podstawowym planem moich studiów aspiranckich. Otrzymana przeze mnie studencka wiza Form I-20 zakłada dopełnienia uprzednio wszelkich niezbędnych formalności związanych z rodzajem i miejscem pracy naukowej w USA;
- 5) zawieszenie mi stypendium nastąpiło w wyniku mej prośby skierowanej do Wydziału I i popartej przez Kierownika Zakładu prof. dr Józefa Chałasińskiego o „...wypłacanie mi stypendium za pośrednictwem mego ojca” aż do czasu mego powrotu z USA. W odpowiedzi Wydział I nie ustosunkował się do tej prośby wysuwając do Biura Prezydyjnego PAN wnioski o z w r o t poniesionych przeze mnie kosztów podróży do USA i z powrotem całkowicie uzasadniony w świetle całości tej sprawy i dotychczasowego postępowania PAN w analogicznych wypadkach, znanych zresztą niżej podpisanemu;
- 6) Wniosek Wydziału I o zwrot kosztów podróży został odrzucony przez Dyr. Biura Prezydyjnego PAN pismem Oddz.Zagr BP-2-Zagr 6005/57 z dn. 10 b.m. Pismo to stwierdza, że „...Wyjazd Ob. Kosińskiego był załatwiany w MSW p r y w a t n i e (podkr. moje — JK) z z a z n a c z e n i e m, że z a i n t e r e s o w a n y pokrywa wszystkie koszty sam. N a t e j p o d -

s t a w i e o t r z y m a ł Ob. Kosiński zgodę na wydanie paszportu. W związku z powyższym pokrycie kosztów podróży w/w nie może nastąpić”.

Cytowane fragmenty pisma Dyrektora Biura Prezydialnego nie znajdują jednak potwierdzenia w faktach gdyż:

- a) Moje starania o otrzymanie w MSW paszportu do USA były w p e ł n i poparte przez Biuro Prezydialne pismami Dyrektora tego biura nr
- BP-Zagr – 2 – 2467/5 z dn. 24 czerwca 1957 (odpis w załączeniu)
  - BP-Zagr 598/57 z dn. 26 lutego 1957 (odpis w załączeniu)
  - BP-Zagr 4334/57 z dn. 28 października 1957 (odpis w załączeniu)
- skierowanymi do MSW — w Łodzi oraz pisma Nr BP-2-Zagr 4391/57 do Wydz. Dewizowego NBP w Warszawie o zakup biletu do Nowego Jorku i z powrotem. Były to wszystkie pisma wysłane przez Biura Prezyd. w tej sprawie i wszystkie one wszędzie zaznaczają, że jest to wyjazd na studia w r a m a c h przygotowania pracy kandydackiej jako aspiranta PAN.

Jednocześnie wszystkie te pisma n i g d z i e nie zaznaczają, że mój wyjazd celem wykorzystania stypendium na studia socjologiczne w USA miałby być wyjazdem na koszt niżej podpisanego. Niżej podpisany nigdy i nigdzie takich oświadczeń nie składał, zwłaszcza, że nikt ich nie wymagał.

Wobec przytoczonych faktów odmowa zwrotu kosztów podróży jest nieuzasadniona i może być uważana za wynik wysoce krzywdzącego mnie postępowania.

W związku z tym, że Polska Akademia Nauk nie pozbawiła mnie tytułu aspiranta przy Zakładzie Socjologii i Historii Kultury, cofnięcie mi stypendium jest żalonym nieporozumieniem, które — mam nadzieję zostanie niezwłocznie wyjaśnione.

Jerzy Kosiński

Załączniki:

- 1) Kopia pisma THE CHASE MANHATTAN BANK z dn. 14 lutego 1957
- 2) Uwierzytelniony przez PAN odpis pisma Biura Prezydialnego PAN L.dz.BP-2-Zagr 598/57 z dn. 26 lutego 1957
- 3) Uwierzytelniony przez PAN odpis pisma Biura Prezydialnego PAN L.dz. BP-2-Zagr-2467/57 z dn. 24 czerwca 1957
- 4) Uwierzytelniony przez PAN odpis pisma Biura Prezydialnego PAN L.dz. BP-Zagr-2-4334/1957 z dn. 28 październ. 1957

---

Kopia pisma z odręcznym podpisem Jerzego Kosińskiego. W prawym górnym rogu dopisek czarnym atramentem: „materiały + oryginał zabrał p. Rektor”.

10.

[Zespół Administr.-Finansowy Placówek Terenowych; Wydz. I PAN; Warszawa-Pałac Kultury; tel. 24-11, ptr. 10. pok. 1024]  
AF/58

Warszawa, dnia 11 kwietnia 1958

Ob. Mieczysław Kosiński  
Łódź 7  
Strzelczyka 4 m. 3a

Uprzejmie zawiadamiamy, że pieniądze za stypendium za m-c kwiecień Ob. mgr. Jerzego Kosińskiego wysłaliśmy dnia 10 kwietnia br. przekazem pocztowym na Pana adres.

Stypendium za styczeń, luty i marzec po zł 1.465,60 miesięcznie co stanowi razem kwotę zł. 4.396,80 prześlemy Panu również przekazem pocztowym w dniu 12 kwietnia br.

Jednocześnie wyjaśniamy, że opóźnienie przesyłki pieniężnej nastąpiło z przyczyn od nas niezależnych.

[Kierownik Administracyjny  
Ryszard Milewski]

Do wiadomości  
Zakład Socjologii i Historii Kultury

Kopia pisma do ojca Jerzego Kosińskiego. W lewym górnym rogu pieczętka, podpis oryginalny.

11.

Waszyngton, 22 sierpnia 1958 r.

Wielce Szanowni Państwo,

Dla odmiany po rojnym i męczącym Nowym Yorku odpoczywam w Waszyngtonie. Miasto urocze: skrzyżowanie Moskwy z Warszawą i prawdopodobnie z San Francisco, ale to mógłby ocenić Pan Rektor.

Biała architektura — trochę *fin de siecle*'u, trochę 18-o wieku i trochę autentycznego amerykańskiego 20-o wiecznego konstruktywizmu. Dostatnie miasto miliona urzędników, czystych, zazielenionych ulic, zakwieconych parków, białych pałacyków otoczonych basenami wykładanymi kolorowym marmurem; plastikowe altany i śpiące w hamakach małżonki biurokratów z potężnych biurowców rozstawionych naokoło, potęgują trochę nierealny charakter całości.

Imponujące Świątynie Masonów, niekończący się Pentagon (35.000 pracowników!) śnieżnobiały U.S. Capitol pełen wieżyczek i tarasów, szpikulcowy 555 stopowy Washington Monument, mnóstwo bajecznie wyposażonych Muzeów i wystaw — jest co zwiedzać.

Oczywiście jest i upał, większy niż w N.Y., bardziej jakiś tropikalny z biało-żółtym, roztopionym i odbitym od jasnych ścian słońcem wypełniającym wszystkie zakamarki od

wczesnego rana do siódmej-ósmej po południu. Na Potomacu pływają luksusowe jachty i kolorowe motorówki, plutokratyczne kluby obstawione kortami tenisowymi, Cadillacami, Jaguarami i — prywatnymi helikopterami i awionetkami. Po jednolitym społeczeństwie Nowym Yorku Waszyngton robi zupełnie inne wrażenie; bogactwo jest tu krzyczące i wystawione na pokaz.

Takie pierwsze wrażenie ze stolicy USA. Mr. G-ski dał mi dla Pana Rektora fotografię z Panią Znaniecką<sup>1</sup>, którą załączam przy niniejszym i — jak sądzę — którą warto zreprodukować i powiększyć. Pan Rektor, jak zwykle: dostoyny i lekko-uśmiechnięty.

Profesora Nowakowskiego<sup>2</sup> nie udało mi się zobaczyć przed wyjazdem, a po powrocie już Go chyba nie zastanę w N.Y. Moja letnia sesja wypadła nadszpodziewanie dobrze, zdałem i zaliczyłem wszystko to, co wziąłem. Narazie więc jestem w zgodzie „z normą”.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień i ukłonów,  
szczerze oddany [Jerzy Kosiński]

---

List pisany na maszynie z odręcznym podpisem.

<sup>1</sup> Eileen Markley-Znaniecka (1886–1976), z pochodzenia Irlandka, socjolog, druga żona Floriana Znanieckiego.

<sup>2</sup> Stefan Nowakowski (1912–1989), socjolog, uczeń Jana S. Bystronia, profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

12.

ZAKŁAD SOCJOLOGII I HISTORII KULTURY  
SCh-Z-74a/58

18.X.[1958]

Do  
Ob. Sekretarza Wydziału I  
Prof. dr Stanisława Arnolda<sup>1</sup>  
w miejscu

Stawiam wniosek o przedłużenie aspirantury Ob. Mgr Jerzemu Kosińskiemu o dalsze 9 miesięcy t.j. od października 1958 r. do czerwca 1959 r. Mgr Kosiński jako aspirant Zakładu studiuje już od roku na Columbia University (New York) pod opieką naukową Prof. P. Lazarsfelda<sup>2</sup>. W czasie pobytu Prof. Lazarsfelda we wrześniu b.r. rozmawiałem z nim o postępach Mgr Kosińskiego. Opinia Prof. Lazarsfelda wypadła bardzo pozytywnie.

Koszta pobytu Mgr Kosińskiego w USA pokrywa Fundacja Forda<sup>3</sup>. Stypendium jego nie wystarcza jednak na pomaganie starym rodzicom. W związku z tym, kwoty aspiranczkie Mgr Kosińskiego były wypłacane jego rodzicom. To jest również uzasadnienie przedłużenia jego aspirantury do czerwca 1959 r.

KIEROWNIK ZAKŁADU  
/Prof. dr Józef Chałasiński/

---

Kopia listu z odręcznym podpisem Józefa Chałasińskiego.

<sup>1</sup> Stanisław Arnold (1895–1973), historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, członek PAN.



---

<sup>2</sup> Paul F. Lazarsfeld (1901–1976), socjolog amerykański pochodzenia żydowskiego (do 1939 we Wiedniu), dziekan Wydziału Socjologii na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

<sup>3</sup> Stypendium Fundacji Forda otrzymał Jerzy Kosiński wiosną 1958 roku za pośrednictwem Instytutu Edukacji Międzynarodowej i obejmowało ono pełne pokrycie kosztów nauki i opłat na Uniwersytecie Columbia (230 dolarów na utrzymanie + 200 dolarów na podręczniki + 100 dolarów na podróże).

13.

Nowy York, 22 października 1958 r.

Wielce Szanowny Panie Rektorze:

Pozwalam sobie zwrócić się do Pana z prośbą. Otóż piszą mi Rodzice, że Akademia przestała wypłacać moje aspiranckie stypendium, gdyż ponoć nie wypełniam moich aspiranckich obowiązków oraz upłynął już okres mojej aspirantury w PAN.

Tymczasem sprawy te wyglądają zupełnie inaczej. Formalnie mój wyjazd do USA związany był z moją aspiranturą PAN i stanowił jej przedłużenie, dlatego właśnie Akademia wyjazd ten popierała. Jest to uwidocznione we wszystkich pismach Akademii związanych z tym wyjazdem.

Dyrektor Pomianowski na własną rękę odmówił mi zwrotu kosztów za podróż. (Ford Foundation nie zwraca mi także, gdyż w oparciu o posiadane przeze mnie poparcia Akademii uważa, że należy to do Akademii, która w szeregu innych podobnych wypadków kosztą te pokrywała i nadal pokrywa.)

W tym samym czasie wstrzymał mi wypłacanie stypendium. W wyniku moich wystąpień zdecydował nadal przyznawać mi stypendium jako ekwiwalent poniesionych kosztów podróży. Obie te decyzje były wtedy — i nadal są — całkowicie bezprawne. Stypendium przysługiwało mi jako aspirantowi — wszystkie moje obowiązki aspiranta PAN były — jak i są nadal — całkowicie wypełniane, i nie było żadnych prawnych podstaw by mi je wtedy odbierać. Przysługiwał mi także zwrot kosztów podróży, tak jak przysługiwał innym aspirantom PAN, którym w analogicznych wypadkach kosztą podróży zwracano. Dyrektor Pomianowski bezprawnie i całkowicie na własną rękę „wymienił” mi zwrot kosztów podróży na przysługujące mi stypendium. Tyle, że „wymiany” tej dokonał wbrew przepisom Akademii — i moim kosztem.

Obecnie wielu aspirantów PAN otrzymuje nadal swoje aspiranckie stypendia będąc jednocześnie na pełnych etatach w Akademii, tylko dlatego, że ich praca pomaga w realizowaniu ich obowiązków aspiranckich. Czy mój pobyt na Columbia University temu nie pomaga? Wg. danych Ford Foundation jestem jedynym stypendystą, który bierze maksymalną ilość zajęć uniwersyteckich. W czasie letniej sesji na dozwolone 6 pkt brałem 9 (wszystkie z egzaminami), w czasie obecnej sesji — na 12 biorę 18 — także z egzaminami i z *advanced seminarium* Prof. Lazarsfelda, który jest w USA moim formalnym opiekunem i zatwierdza mój plan do Ph.D. włącznie.

PT. Urzędnicy z Akademii nadal uważają, że jedynym wskaźnikiem pracy naukowej są plany i sprawozdania. Duchy lat 1950–1955 pozostały w Akademii nadal i straszą aspirantów — nawet tych w USA.

Jest mi bardzo przykro, że absorbuje Pana Rektora takimi sprawami. Gdyby szło tu zresztą o mnie być może ustąpiłbym Akademii w tym wypadku, ale za to raz jeszcze kategorycznie zażądał zwrotu poniesionych przeze mnie kosztów podróży. Jednakże ta decyzja dotyczy bardziej moich Rodziców. Ojciec w ramach redukcji stracił pracę,

otrzymując w zamian rentę. Matka pracuje, choć jest to ponad jej siły. Brat<sup>1</sup> ma 18 lat i jest na drugim roku medycyny. Moje stypendium Forda (\$230.00) nie pozwala na żadną pomoc Rodzicom, a pracować mi tu nie wolno — nie miałbym nawet na to czasu. Spór o zwroćenie mi kosztów podróży będzie trwał zbyt długo, podczas gdy sprawa dalszego przyznawania mi stypendium jest zupełnie oczywista i nie wymaga wskrzeszenia dyrektora Pomianowskiego.

Raz jeszcze bardzo przepraszam — i serdecznie dziękuję.

Był tu u mnie Gostkowski<sup>2</sup> — gdy wszedł (bez uprzedzenia) w pierwszej chwili nie wiedziałem, kto to jest. Obejrzał sobie Nowy York, lekko się zamerykanizował zewnętrznie, rozmawiał z Lazarsfeldem — i pojechał pod Waszyngton. Chciałbym bardzo zobaczyć już Pana Docenta Lutyńskiego<sup>3</sup> — ale i on nie zagrzeje miejsca w NY.

Łączę wiele ukłonów i pozdrowień dla Pana Rektora, a także wszystkich w Zakładzie. Uściski dla „małej grupy rodzinnej” i *leader’a* Grzesia<sup>4</sup>.

Z wysokim szacunkiem  
[Jerzy Kosiński]

---

List pisany na maszynie z odręcznym podpisem nadawcy.

<sup>1</sup> Brat pisarza, Henryk Kosiński, adoptowany przez Mieczysława i Elżbietę Kosińskich.

<sup>2</sup> Zygmunt Gostkowski, socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, uczeń prof. Chałasińskiego.

<sup>3</sup> Jan Lutyński (1921–1988), socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, uczeń prof. Chałasińskiego.

<sup>4</sup> Grzegorz Chałasiński, syn z drugiego małżeństwa J. Chałasińskiego z Krystyną Duda-Dziewierz (1911–1983), profesor chemii fizycznej na Uniwersytecie Warszawskim.

14.

New York, dn. 14 listopada 1958 r.

Wielce Szanowni i Drodzy Państwo,

Dziękuję za miły list z 5 bm. Jestem naprawdę serdecznie wdzięczny za łaskawą interwencję stypendialną i przykro mi jedynie że moimi sprawami sprawiam Państwu kłopoty.

„Rebels and Gentlemen”<sup>1</sup> zostały już zamówione w wydawnictwie i gdy tylko otrzymam wysłę za pośrednictwem Polish Institute gdyż oni mają najszybsze przesyłki książkowe z Europą.

U mnie bez zmiany. Mam sporo pracy na Columbia. Amerykański system studiów nie pozwala w zasadzie na zbyt wielką ilość punktów to też moje 18 (6 egzaminów, 6 „paperów” itp.) sprawia mi sporo kłopotu. Ale chcę się jak najszybciej z tym uporać i zacząć przygotowania do *orals* i do wykończenia pracy, której obrona nie jest już najtrudniejsza.

Artykuł Pana Rektora „Kultura bez intelektualistów”<sup>2</sup> będę referował zdaje się za dwa tygodnie na seminarium na Columbia. Jest to przede wszystkim kapitalna analiza socjologiczna, do tego rodzaj ujęcia, lekki ciekawy i dalekowzroczny, który tutaj, na Amerykanach robi zawsze wielkie wrażenie. Mówią, że jest to „european approach”.

W ostatnich dniach Pan Redaktor Strzetelski<sup>3</sup> i ja wystąpiliśmy z propozycją ewentualnego wydania w USA po polsku niewielkiej książki o amerykańskiej współczesnej socjologii<sup>4</sup>. Artykuł wstępny napisałby Lazarsfeld, pozostałe byłyby skondensowanymi założeniami współczesnych teorii, dokonanyymi przez samych autorów. Gdy wspomina-

łem o tym Lazarsfeldowi jako o możliwości, bardzo się zapalił i natychmiast był gotów zabrać się do swojej części z uwzględnieniem wielkich postępów i horyzontów polskiej współczesnej socjologii.

Bardzo prosiłbym o zdanie Pana Rektora w tej sprawie. Fundusze na taką książkę udałoby się tu wydostać i byłoby to bardzo staranne wydanie — podarek noworoczny dla studentów socjologii w Polsce. Wydawcą byłby Polish Institute of Arts and Sciences.

Osobiście staram się tu także o fundusze na analogiczną książkę po angielsku o polskiej socjologii<sup>5</sup>. Miałaby ona szansę ukazania się dopiero w lecie przyszłego roku i może nawet wydałaby ją jakaś naukowa firma wydawnicza tu w N.Y. Oczywiście, gdyby „idea” ta zasługiwała na uwagę, chodziłoby tylko o to, by Pan Rektor zechciał takiemu czemuś patronować swoją częścią i głównym artykułem. Przy rozwijających się stosunkach polsko-amerykańskich w socjologii byłaby to pożyteczna wymiana — i informacja dla amerykańców, którzy ciągle jeszcze skłonni są mylić filozofię Shafa [!]<sup>6</sup> i artykuły Kołakowskiego<sup>7</sup> z socjologią. Pozostałe artykuły takiej książki mogłyby także stanowić skondensowane wyjątki, lub też mogłyby być napisane przez wskazanych przez Pana Rektora „polskich współczesnych”.

Lazarsfeld przyjechał z Polski oczarowany — i zazdrosny trochę, że sam nie może w tym rozwoju brać udziału. Na seminarium na którym ferował [!] „polskie sprawy” wykazał zresztą bardzo poprawną orientację we wszystkim w Polsce i nawet nauczył się błędnie wymawiać trudne nazwy i nazwiska.

Teraz trochę plotek. Na jednym przyjęciu w U.N. Mission odbyła się mała, choć przy wszystkich, dyskusja na temat socjologii w Polsce między min. Rapackim<sup>8</sup> a mną, zaranżowana przez p. Zientarową-Michałowską<sup>9</sup>. Szanowny oponent powiedział że „...wszystko to co robi czy stara się robić socjologia w Polsce mogłaby zrobić dobrze zorganizowana ekonomia polityczna lub pedagogika... A przy tym nie byłoby bariery w humanistyce między nauką polską a radziecką, powodowaną głównie przez socjologię i jej amerykańskie koneksje...” Byli przy tym: Zientarowa, Kętrzyński (obecnie poseł w Canadzie)<sup>10</sup>, Korotyński<sup>11</sup>, v-min. Winiewicz<sup>12</sup> oraz trochę innych osób. Odpowiedziałem m.inn. że okres próby „dobrze zorganizowanej ekonomii politycznej” mamy już za sobą, podobnie jak i jego źle zorganizowane skutki...

Tak czy owak znamienne statement...

W Nowym Yorku jesień — i to śliczna. Central Park wygląda jak wielokolorowa impresjonistyczna paleta. Między kolorami złota, miedzi i brązu przelatują kolorowe samochody i gdy siedzi się na którejś z wysoko położonych ławek wszystko razem wygląda jak specjalnie pomalowane „przez zespół artystów-plastyków”. Na wystawach króluje nowa moda, wypuszczone serie bajecznych materiałów kobiecych: syntetyków, ale fantastycznych. Są np. imitacje nurków, karakułów itp. do złudzenia przypominające oryginały. Ceny idą szybko w dół bo nadchodzi największy sezon sprzedaży — X-mas. Gdybym mógł się na coś w tym okresie zakupów Państwu przydać — bardzo proszę pamiętać, że uwielbiam kupowanie i że jest to dla mnie prawdziwa i żywołowa nieomalże przyjemność.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień. Raz jeszcze za wszystko bardzo dziękuję i przepraszam za kłopoty.

Grzegorz niech śmiało robi fotografie. Postaram się wysłać mu nowy transport błon na święta.

Szczerze oddany  
[Jurek Kosiński]

---

List pisany na maszynie bez interlinii, podpis oryginalny.

---

<sup>1</sup> Prawdopodobnie chodzi o książkę Carla Bridenbaugh'a *Rebels and Gentlemen: Philadelphia in the age of Franklin* (New York 1942).

<sup>2</sup> *Kultura bez intelektualistów. New York — San Francisco — Texas*. *Kultura i Społeczeństwo* 1958 nr 3, s. 9–32.

<sup>3</sup> Stanisław Strzetelski (1895–1969), dziennikarz, od 1951 kierownik zespołu redakcyjnego RWE w Nowym Jorku, potem (od 1955) dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, członek komitetu redakcyjnego „The Polish Review”.

<sup>4</sup> Jerzy Kosiński opracował antologię tekstów socjologów Amerykańskich pt. *Socjologia amerykańska. Wybór prac*. New York 1963.

<sup>5</sup> Książki takiej Kosiński nie przygotował.

<sup>6</sup> Adam Schaff (ur. 1913), filozof, działacz komunistyczny, propagator marksizmu w nauce polskiej.

<sup>7</sup> Leszek Kołakowski (ur. 1927), filozof, usunięty z Uniwersytetu Warszawskiego w 1968, profesor w Oksfordzie.

<sup>8</sup> Adam Rapacki (1909–1970), polityk, w l. 1956–1968 minister spraw zagranicznych PRL.

<sup>9</sup> Mira Zientara-Michałowska, żona Jerzego Michałowskiego, pracownika misji PRL w ONZ.

<sup>10</sup> inf. brak.

<sup>11</sup> Henryk Korotyński (1913–1986), dziennikarz, w l. 1951–1972 red. nac. „Życia Warszawy”.

<sup>12</sup> Józef Winiewicz (1905–1984), dyplomata, w l. 1957–1972 wiceminister spraw zagranicznych PRL.

15.

Nowy York, 20 stycznia 1959 roku;

Wielce Szanowny i Drogi Panie Rektorze,

Proszę wybaczyć, że dość długo nie dawałem znaku życia; ostatnie miesiące płynęły mi tutaj w prawdziwie nowojorskim tempie.

Chciałbym przede wszystkim podziękować Panu jak najbardziej serdecznie za dopomożenie w przedłużeniu mego aspiranckiego stypendium. Dla Rodziców to wielka pomoc i wszyscy jesteśmy głęboko Panu Rektorowi wdzięczni.

Od Pani Rektorowej otrzymałem bardzo miły list. W międzyczasie jednak przydarzył mi się mały wypadek. Otóż zupełnie przez nieuwagę czy też raczej może odruchowo, włożyłem prawą rękę do garnka, w którym moja staruszka gospodyni przygotowywała sobie jakiś olej; był to już wrzątek... Tak to stałem się na długi czas kaleką — w tej chwili, choć upłynęło już wiele czasu mam jedynie „czynne” kciuk i palec wskazujący, pozostałe palce wyglądają jeszcze nie najlepiej, a jednemu (trzeci) grozi amputacja. Było sporo bólu, kłopotów ze spaniem etc. etc. — nie mogłem także pisać listów i dlatego o tym wspominam (moi Rodzice nic nie wiedzą). W najbliższym czasie pozwolę sobie te zaległości nadrobić.

„Odebrałem” tu Janka Lutyńskiego. Znalazłem go w doskonałej formie, pełnego optymizmu i energii. Niestety po kilku dniach pojechał dalej — i zobaczymy się dopiero chyba w lecie. Gostkowski zagubiony zupełnie na drugim końcu Stanów.

U mnie bez specjalnych zmian. Mam bardzo dużo pracy na Columbia, a idący semestr wiosenny będzie chyba najtrudniejszy: egzaminy językowe i szereg egzaminów kwalifikujących: metodologia, teoria i statystyka. Narazie jednak posuwam się szybko; Lazarsfeld uważa nawet, że nieco za szybko — przynajmniej w sensie ilości branych zajęć. Ale chcę bardzo zrobić wszystko w możliwie minimalnym czasie — do końca 1959, może kilka tygodni dłużej na obronę mojej pracy — i wracać „do szeregu”. Jestem trochę zmęczony: może to wina tego tempa, może studiów, a może i braku jakiejś małej choćby przerwy w tym tutejszym kołowrotku.

Załączam przy niniejszym moje „Sprawozdanie” aspiranckie, które posyłam także do Działu Kształcenia Kadr Naukowych PAN, oraz dodatkowe kopie moich sprawozdań dla *Institute of International Education* (Miss Jane Adams). Lazarsfeld wystąpił teraz o przedłużenie mi stypendium, które przyznano mi na Ph.D. co wg. columbijskich regulaminów wymaga nieco więcej czasu niż 8 miesięcy. Myślę, że jest on zadowolony z mojej pracy. Miss Adams powiedziała mi niedawno, że z wszystkich polskich stypendystów, jacy dotąd byli w USA ja wybrałem sobie najbardziej pracowity sposób pobytu: doktorat. Brzeski<sup>1</sup> planuje podobno pobyt tutaj do 1962 roku! Ku utrapieniu wszystkich swych opiekunów oczywiście...

Instytut Red. Strzetelskiego ma zamiar wydać niedługo w języku polskim zbiór różnych współczesnych artykułów socjologicznych; będzie to rodzaj digestu. Lazarsfeld pomógł zrobić wybór i myślę, że będzie to w Polsce bardzo przydatna rzecz dla zorientowania studentów, nad czym — i w jaki sposób — pracują amerykańscy socjologowie.

Gdy tylko matryca będzie gotowa pozwolę sobie przesłać to Panu Rektorowi z prośbą o uwagi.

I tak płynnie amerykańskie życie. Nowy York wkracza z jednej fazy ruchu w inną: po absolutnym szale grudniowo-noworocznym nadchodzi teraz okres masowych wyprzedaczy. Już niedługo idzie okres wiosenny... I tak *da capo*. Tęsknię za Polską i Zakopane śni mi się po nocach, póki mnie moja prawica nie przywoła do rzeczywistości.

Raz jeszcze dziękuję. Proszę łaskawie pamiętać, Panie Rektorze, że jako nowojorski przedstawiciel naszego Instytutu z największą chęcią przyjmuję wszelkie dezyderaty „delegatury krajowej”. Tym bardziej, że pozostali przedstawiciele, Lutyński i Gostkowski przebywają na prowincji: bo cóż to takie małe Chicago znaczy przy Nowym Yorku. Nie mówię już o Seattle: nawet Amerykanie myślą, że leży to już w ZSRR — tak daleko. Radbym także usłyszeć, co nowego w Łodzi i Warszawie.

Pozdrowienia, uściski i ukłony dla Wszystkich. Gdy tylko moja ręka wróci do normy będę się korespondencyjnie rehabilitował.

Z wysokim szacunkiem  
[Jerzy Kosiński]

---

List pisany na maszynie z odręcznym podpisem nadawcy.

<sup>1</sup> Andrzej Brzeski, ekonomista, politolog, od 1968 roku w USA.

16.

309 West 104<sup>th</sup> Street, Apt. 3-C  
New York 25, N.Y.

10 marca 1959 r.

Wielce Szanowny Panie Rektorze,

Nadrabiam teraz wszystkie zaległości spowodowane poparzeniem palców: egzaminy, papyry, sprawozdania itd. Nowy semestr już w pełnym toku a ja ciągle jeszcze doganiam stary.

Rodzice zerwali nieomal ze mną wszystkie dyplomatyczne stosunki, nie bardzo rozumiejąc, czemu tak mało piszę, do tego — chyba dla żartu — naopowiadał im dr Korzec<sup>1</sup>, że ja prowadzę tu iście „kapitalistyczny żywot z samochodem i pięciopokojowym mieszkaniem” [?].

Nie wiem skąd takie wersje, ale dla starszych i samotnych ludzi takie „rewelacje” o jedy-  
naku przyjemne nie są. Ale jak wiadomo o nieobecnych... itp. itp.

Tymczasem żywot płynie tu trochę monotony, mam znów 15 punktów na semestr, co przypomina prawie socjalistyczną dyscyplinę studiów ilością godzin na tydzień oraz pisaniem referatów. Dwa dni temu Rada Wydziału otworzyła mi tu przewód doktorski — bardzo jestem dumny, że po tak krótkim czasie — i w ten sposób jestem już w połowie drogi, a może nawet mniej zostało do końca.

Co słyhać u Państwa? Odgłosy dyskusji docierają tutaj, ale z czasopismami gorzej, do tego żadnego Korca z rewelacjami znaleźć nie można. Mam nadzieję, że wszyscy zdrowi i że wszystko tak jak trzeba. Lutyński wraca do New Yorku — napiszemy wtedy więcej razem.

Serdecznie pozdrawiam, ukłony dla Pani Rektorowej, uściski dla młodych.

Szczerze oddany  
[Jerzy Kosiński]

P.S. Do akt załączam zawiadomienie Lazarsfelda o mojej akceptacji na Ph.D. (kopia)

---

<sup>1</sup> Dr Korzec — inf. brak.

17.

[Columbia University  
in the City of New York  
New York 27. N.Y.  
Department of Sociology]

March 8, 1959

Mr. Jerzy N. Kosiński  
110 Morningside Drive  
Apartment 53  
New York 27, New York

Dear Mr. Kosiński:

It gives me great pleasure to inform you that you have been accepted as a Ph.D. candidate in our Department.

With best wishes for your further success in your work.

Sincerely,  
[Paul F. Lazarsfeld]  
Executive Officer

[Szanowny Panie,

Z przyjemnością zawiadamiamy, że Pana kandydatura na doktoranta naszego Wydziału została zaakceptowana. Życzymy Panu sukcesów w dalszej pracy.

Z poważaniem]

18.

[71 East 71<sup>st</sup> Street  
New York City 21]

2 sierpnia 1965 r.

Szanowni i Kochani Państwo,

Kartkę Państwa wysłaną z Rzymu 16 lipca czytałem z prawdziwym wzruszeniem. Przez krótką chwilę wydawało mi się, że jesteście Państwo w drodze do NY i że będziemy Was mieli „dla siebie” — na razie jednak nic z tego! Cieszę się za to, że wakacje Państwa ruchliwe i ciekawe — miejmy nadzieję, że z czasem zobaczymy Was tutaj.

Straciliśmy ze sobą kontakt: — żelazne, a może i bardziej papierowe kurtyny skutecznie przeciwdziałają korespondencji. Jest to szczególnie bolesne gdy człowiek nie jest w stanie pisać do tych których tak bardzo podziwia — i którym tak wiele zawdzięcza.

Biurokraci PRL, już po moim małżeństwie nagle odmówili mi przedłużenia paszportu. Wg nich moja żona i ja (ona urodzona Amerykanka nie mówiąca po polsku)<sup>1</sup> winniśmy „wrócić” na Strzelczyka 4 w Łodzi, gdzie moja biedna Mama, (po trzech operacjach raka), mój brat, kobieta opiekująca się Matką, oraz kilkanaście niespowinowacanych ze sobą lokatorów korzystają z tej samej kuchni, łazienki, i prawa zatrucia sobie nawzajem życia.

Moja prośba o przedłużenie paszportu lub o jego konsularną wersję została kategorycznie odrzucona. Uzasadnienie: żadne. Odwołania do obywateli ministrów — to samo. (Czas na powrót: — kilka tygodni — nawet gdybyśmy zdecydowali się na dodatkowe zatłoczenie mieszkania na Strzelczyka nie byłoby czasu na spakowanie się tutaj!)

I tak to jakiś kolektyw urzędniczy zdecydował: moje formalne prawo do tradycji kulturalnej, do lat studiów, do kontaktu z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi zostało zakwestionowane. Nie przekraczając granicy „w terminie” postawiłem się — sam! po drugiej stronie socjalistycznego prawa.

Zostałem obywatelem U.S.A.<sup>2</sup>

Nie jestem pewien czy list niniejszy zostanie Państwu doręczony na Zachodzie czy też przesłany do W-wy. Chciałbym podzielić się z Państwem wieloma sprawami i wydarzeniami. Przez siedem lat mego pobytu tutaj została we mnie bardzo silna „potrzeba Chałasińskich”. Od tej Instytucji, uosabiającej dla mnie cały sens narodowej tradycji, kultury i nauki, żaden biurokrata nie będzie w stanie mnie oddzielić.

Bardzo proszę o kilka słów. Czy jest nadzieja na Państwa przyjazd do Stanów? I kiedy?

Raz jeszcze: gdybym się mógł na coś przydać bardzo proszę o nas pamiętać.

Zmieniamy adres: od 1 5 w r z e ś n i a nowy adres

25 Sutton Place  
New York City 10022

Ściskam bardzo, bardzo mocno. Żona, która wiele o Państwu słyszała, śle *best wishes and warmest regards*.

[Jerzy Kosiński]

---

List pisany na maszynie bez polskich znaków diakrytycznych, poprawki czarnym atramentem, podpis odręczny.

<sup>1</sup> Jerzy Kosiński ożenił się w 1962 roku z Mary Hayward Weir, wdową po twórcy koncernu National Steel Corp. Mary H. Weir zmarła w 1968 roku.

<sup>2</sup> Obywatelstwo amerykańskie uzyskał pisarz w 1965 roku.

19.

[Wesleyan University. Middletown. Connecticut 06457  
Center for Advanced Studies]

pro-tem: 26 rue Racine  
Paris 6<sup>e</sup>

Paryż, 14 czerwca 1969 roku

Szanowny i Drogi Panie Profesorze,

pozwalam sobie przesłać Panu i Pani Profesorowej najszczęśliwsze życzenia powodzenia, zdrowia i pomyślności.

Żałuję bardzo, że warunki nie pozwalają mi być dzisiaj wśród tych wszystkich zebranych w Pałacu Kazimierzowskim, którzy tak jak ja zawdzięczają Panu Profesorowi więcej niż potrafiały wyrazić<sup>1</sup>. W trudnych latach studiów uniwersyteckich stworzył Pan dla mnie i bardzo wielu innych warunki normalnej pracy naukowej, których zapewnienia od nikogo innego nie mogliśmy wtedy oczekiwać.

Na równi z moimi Rodzicami nadał Pan kierunek memu życiu. Trudno o tym pisać, trudno by było mówić. Byłem i zawsze pozostanę Panu i Pani Profesorowej dożywotnie wdzięczny.

Mocno ściskam,

z wysokim szacunkiem,  
[Jerzy Kosiński]

---

List pisany na papierze firmowym Wesleyan University, gdzie w l. 1968–1969 Jerzy Kosiński był wykładowcą języka i literatury angielskiej (w 1970 roku otrzymał profesurę literatury i dramaturgii angielskiej na Yale University w School of Drama).

<sup>1</sup> W dniach 10–14 czerwca 1969 odbyły się na Uniwersytecie Warszawskim specjalne uroczystości z okazji 65. rocznicy urodzin i 40. lecia pracy naukowej Józefa Chałasińskiego.



# ROZMOWA Z JÓZEFEM CZAPSKIM DLA RADIA WOLNA EUROPA

ROZMAWIAŁ MAREK ŁATYŃSKI,  
dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE

**Józef CZAPSKI (Francja)**

*Rozmowa nagrana w Maisons-Laffitte w lutym 1988 roku, została wyemitowana w programie Rozgłośni Polskiej RWE w kilku odcinkach<sup>1</sup>.*

**Marek Łatyński:** *Urodziłeś się w wieku XIX. Czy pamiętasz coś z wieku XIX?*

**Józef Czapski:** Ani trochę. Miałem 4 lata, czy 3 i coś, i pamiętam tylko, że moja siostra, która była o 2 lata starsza ode mnie, i z którą potem całe życie właściwie przeżyłem wspólnie nasze różne sprawy, ogromnie zazdrościła mojej najmłodszej siostrze Rózi, że się urodziła już w XX wieku. Byłem za mały i jeżeli teraz mogę o tych czasach opowiedzieć to prędzej to, co mi mówiła moja siostra Maria.

*Ale wiek XIX jak mówią skończył się w 1914 roku.*

Maria już w początku XX wieku była przekonana, że to będzie wiek szczęśliwy. To było tak optymistyczne spojrzenie, że przez naukę, przez wiedzę, przez to wszystko co się stało będziemy mieli szczęśliwe życie.

---

<sup>1</sup> Rozmowa nagrywana była podczas dwóch sesji w lutym 1988. Okoliczności nagrania patrz: M. Łatyński, *Ogród Angielski 1. Wspomnienia z Radia Wolna Europa*. Lublin 1997, s. 146–147.

*Nie było uczucia niepokoju?*

Czteroletnie dziecko miało tylko wrażenie, że wszystko jest wspaniałe i że będzie jeszcze lepiej.

*Gdy miałeś lat kilkanaście, czy czułeś się bezpiecznie w tym swoim świecie?*

Najzupełniej. Byliśmy ogromną rodziną, było nas siedmioro. Byliśmy obstawieni nauczycielkami i nauczycielami. Mieliśmy Niemkę, która nas uczyła niemieckiego i muzyki, Francuzkę, która uczyła nas francuskiego i zawsze Polki naturalnie, które jedna za drugą, bo się zmieniały, brały udział w naszym życiu. Moja matka umarła bardzo szybko, kiedy miałem 7 lat. Tak, że to jest też bardzo zatarte wspomnienie i prędzej pamiętam duży majątek, masę dzieci, guwernantki, które się między sobą kłóciły i my z nimi. I zupełnie żyliśmy, byliśmy Polakami: „Kto ty jesteś? Polak mały”. Pieśni śpiewaliśmy. I jeszcze pamiętam, jak moja matka akompaniowała i myśmy śpiewali polskie i czeskie pieśni narodowe, dlatego że moja matka była Austriaczką. Ale z Czech, z Pragi.

*Tu jest pewna sprzeczność, pewien paradoks. Mówisz: naturalnie byliśmy Polakami, mówiliśmy „Kto ty jesteś? Polak mały”, a przecież twoja matka, jak powiedziałaś po chwili, nie była Polką tylko była z rodziny bardzo starej Thun-Hohenstein z Tyrolu. Jak to się stało, że była Polką i was wychowywała na Polaków?*

Moja matka jak miała 14 lat powiedziała, że chce wyjść za Polaka, bo to jest nieszczęśliwy naród. Tak, że już miała takie idee. Nie pamiętam jednego słowa niemieckiego, które by do nas mówiła. Mówiła zawsze i wyłącznie po polsku. Tak, że jeżeli jestem Polakiem to pierwszą zasługą tego jest moja matka. I to jest tym dziwniejsze, że Polakiem był naturalnie mój ojciec, ale mój ojciec był wychowywany w Petersburgu, w szkołach rosyjskich. Jego matka znowu była Niemką bałtycką, baronówną Meyendorff tak, że w domu mówiono po angielsku i po francusku, w rodzinie, w dzieciństwie mojego ojca. To wszystko była szalona mieszanina narodowa, a myśmy byli wychowywani zupełnie jako Polacy. Ale Polacy właśnie typowi, żadnych problemów Brzozowskiego nie było. Był duży majątek, gdzie byli Polacy i ziemianie, i żyliśmy przeciętnie tak jak żyli ziemianie w Polsce na Kresach.

*Rodzina kiedyś z Pomorza, która trafiła tam, gdzie dziś jest Białoruś. Jak to było, jak tam żyli kiedyś Polacy?*

Chodzi o to, że myśmy byli Czapscy. To pochodzi nie od czapki ale od Czapli. Bo mieliśmy majątek Czaple. I to „I” zgubiło się po drodze. A potem, kiedy Niemcy zajęli te tereny, tę całą część, to nagleśmy sobie dodali jeszcze Hutten-Czapski, ale to znowu jest długa historia. Była wtedy moda na dwa nazwiska. Żadnego pochodzenia od Huttenów nie było, ale snobistyczni Czapscy uczepili się tego, że jesteśmy pochodzenia niby od Huttenów niemieckich co jest zupełnie nieprawdą. I to się utrzymywało bo Huttenowie to była bardzo wielka rodzina niemiecka, a Czapscy byli zwyczajną szlachecką rodziną z Polski, z Prus Królewskich.

*Zwyczajną rodziną, która jednak wydała kilkunastu senatorów.*

Ale naturalnie. Swoją rolę odegraliśmy w historii Polski, ale żadnych bardzo wybitnych ludzi zdaje się tam nie mieliśmy. I jeżeliśmy przeszli potem na wschód, to dlatego, że jeden z Czapskich ożenił się z Radziwiłówną, a Radziwiłłowie mieli kolosalne bogactwa wtedy w XVIII wieku i to odegrało rolę, żeśmy się wtedy przenieśli na Litwę. W spadku po Radziwiłłównie mieliśmy jakiś tam majątek, ale nigdyśmy prawdziwego spadku nie otrzymali. I to się tylko tak mówiło. Niemniej jednak już ja się urodziłem jako Polak na Kresach.

*I na tych Kresach dawnych, w tych latach, przełom wieku, początek tego wieku, Polacy to byli tylko wielcy właściciele ziemscy?*

Chyba tak. Nie wielcy — właściciele ziemscy. Umówmy się — Polacy szalenie nie lubią tego wspominać — przecież te Kresy to były kolonie. Myśmy kolonizowali te kraje włącznie z Ukrainą.

*Ale to wiesz teraz, czy wiedziałeś to już wtedy?*

Ach nie, wtedy nic nie wiedziałem o tym. Wtedy wiedziałem, że jestem Polakiem i że jestem w Polsce. Żądasz żebym był genialny. Miałem cztery lata, może sześć, zagadnienie narodowe było dla mnie bardzo proste, właśnie tak jak nas okrutnie określił Brzozowski: „Krwawy Rejtan bronił pełnych spiżarni”.

*I mówisz, że Polacy czuli się bezpieczni w pierwszych latach tego wieku. Polacy z tego twojego środowiska na Białorusi. Te okolice nie stały się częścią Polski po 1918 roku...*

To była nasza tragedia. Dopóki one były w Rosji dopóty my, dzieci i młodzież z tego środowiska mojego, nie widziała żadnych niepokojów, a problem walki o niepodległość Polski jeszcze był bardzo daleko. Była walka o polską szkołę w Rosji. Wiele rzeczy się wtedy robiło dla Polski przyszłej, dla niepodległości Polski. Tegośmy jakoś zupełnie nie przeżywali.

*A 1905 rok?*

Byłem w domu. Wiedziałem, że się coś dzieje, że są zaburzenia antyrosyjskie. Nie przejmowało mnie to.

*Jeździłeś do miasta jako dziecko. Jechało się powozem zapewne z Przyłuk do stacji kolejowej?*

Nie, nie do stacji, do Mińska. Byliśmy o 16 wiorst od miasta... Jechało się przynajmniej dobrą godzinę. Co dzień wyjeżdżał furman z dorożką, by przywieźć pocztę, bo tak dochodziła do nas poczta, i by zrobić drobne zakupy, które były potrzebne.

*A Mińsk? Co to było za miasto?*

Mińsk to było stutysięczne miasto. To było bardzo duże miasto, w którym bardzo dużą rolę odegrał brat mojego ojca, Karol, który był naczelnikiem miasta, czy coś takiego i zaczął robić reformę rolną, do tego stopnia, że zrobił tego rodzaju fakty, których nie było jeszcze w Warszawie. Gdyby jeszcze żył parę miesięcy to by zupełnie zbankrutował, bo wszystko włożył w Mińsk.

*Gdzieś była jakaś żyłka działalności społecznej w twojej rodzinie.*

Jak najbardziej. U mego stryja jak najbardziej. Mój ojciec był bardzo temu wszystkiemu najprościej obojętny. Był ziemianinem, zajmował się dużym majątkiem i kupą dzieci.

*Więc to nie była zapadła wieś — Przyłuki? Twój ojciec wyjeżdżał za granicę zapewne często wtedy?*

Za granicę nie, bardzo często wyjeżdżał w interesach do Petersburga. Jakies miał ogromne projekty finansowe, które naturalnie skończyły się z wielkim trzaskiem.

*Dlaczego naturalnie?*

Dlatego, że bogaci ziemianie zawsze znajdowali jakąś ciemną figurę, która do nich podjeżdżała i mawiała, że jeżeli oni włożą na to i na to, to będą ogromne dochody. Mój oj-

ciec, wiem tylko jedno, że stracił pół miliona rubli, co było wtedy niemało. I wtedy porzucił te swoje projekty finansowe.

*W końcu i ty pojechałeś do Petersburga?*

Chodziłem do szkoły w Petersburgu, ale to już było o wiele później.

*Wcześniej byli nauczyciele w domu?*

Nauczyciele w domu. Ja mam wielką gorycz do mojego nauczyciela, który był nadzwyczaj przyzwoitym człowiekiem i który walczył o swoją absolutną nad nami władzę. Właściwie jego ambicją było żebyśmy byli zdrowi, przyzwoicie ubrani i żebyśmy mieli dobre stopnie. Ale żadnego głębiej kulturalnego wpływu on nie miał. Tylko hamował to wszystko, dlatego szalenie późno się rozwinąłem.

*Co to znaczy późno?*

Już jak byłem w Rosji, kiedy miałem 15, 16, 17 lat i kiedy zacząłem zaczytywać się w Żeromskim... Naturalnie książki wiele znaczyły... z początku *Ogniem i mieczem*, cała *Trylogia*, którą nam ojciec czytał, i którą się pasjonowaliśmy. Ale ja nigdy namiętnie w nią nie wszedłem jak np. mój brat, a potem zaczęło się odkrywanie Żeromskiego. I Żeromski odegrał ogromną rolę w ogóle w całej naszej warstwie, ja mam wrażenie w tych czasach. To było przebudzenie bólu społecznego. Odkrycie nędzy, odkrycie krzywdy świata, odkrycie naszego uprzywilejowania. I tu się zaczęła robota. Moja siostra siedemnastoletnia założyła tajną szkołkę dla naszych współpracowników i robotników, gdzie uczyła ich „Wisło, Wisło, rzeko nasza”. I o tym, że były różnice białorusko-polskie, które potem się tak silnie rozwinęły, nie bardzo mieliśmy pojęcia.

*Po jakimu się rozmawiało w takiej szkółce? Po polsku czy po białorusku?*

Po polsku, myśmy nie mówili po białorusku.

*Służba cała mówiła po polsku?*

Służba mówiła po polsku i przez moją matkę i jej skrajny katolicyzm było tak, że nawet folwark, wszyscy robotnicy, którzy pracowali u nas, wszyscy byli katolikami. Wtedy, kiedy otoczenie było prawosławne, tzn. wsi prawosławnych, unickich, które Katarzyna Wielka uznała za prawosławne. Mieliśmy kościół prawosławny o jakieś półtora kilometra od nas, który z okien się widziało, ale w życiu nam do głowy nie przyszło pójść tam zobaczyć, jakie tam jest życie. Nie było stosunków z tamtymi ludźmi, tylko z naszą grupą i z naszym katolickim majątkiem. Tu zagadnienie katolicyzmu grało ogromną rolę. Właściwie więcej niż narodowe.

*Katolik znaczyło Polak. To było zdobywanie dla Polski tych ludzi?*

Tak jest. Zdobywanie dla Polski. Mówisz to takimi słowami, których się wtedy nie używało, ale tak było.

*A jak było później w szkole, jak pojechałeś do Petersburga?*

Jeżeli wysłano nas, mnie i mojego brata do szkoły do Petersburga to dlatego, że w szkołach w pobliżu, które były rosyjskie, było bardzo dużo prześladowania Polaków. Chcę ci to nawet troszkę wyjaśnić. Późniejszy rektor w Wilnie, Marian Zdziechowski, który był naszym dalekim sąsiadem, opowiadał, że oni jeszcze otrzymywali teksty Mickiewicza, poezje z Paryża i chowali je w dziuplach drzew, bo nie wolno było tych książek mieć i był obowiązek mówienia po rosyjsku. Tak, że naturalnie mój ojciec nie chciał żebyśmy wpadli w ten wir i wysłał nas do Petersburga, dlatego, że w tej szkole, zresztą to było

trzeciorzędne gimnazjum w Petersburgu, było znane, że oni nie są zupełnie antypolscy, i ja żadnych antypolskich prześladowań, nawet szpilek antypolskich nie odczuwałem.

*Bo w szkole było międzynarodowe towarzystwo?*

Nie. Byli sami Rosjanie, synowie stróżów, z różnych warstw ludzie i paru Polaków, którzy się tam uczyli dlatego, że tam nie było prześladowania polskiego.

*W tym akurat gimnazjum?*

W tym akurat gimnazjum.

*Mieszkałeś na stacji, czy z rodziną?*

Wyjechałem z bratem i z nauczycielem i dołączyło do nas paru Polaków: Wołowicz i Eugeniusz Lubomirski, i jeszcze moi dwaj kuzyni Czapscy ze Stękowa tzn. dzieci mojego stryja. Mieliśmy mieszkanie, tak że mieszkaliśmy w takim polskim ośrodku kierowanym przez pana Iwanowskiego, tego nauczyciela, na którego tyle już wygadałem, choć nas nadzwyczajnie kochał i nadzwyczajnie się o nas troszczył, bo chodziło mu o moje zdrowie i stopnie przede wszystkim. Musiał przedstawić ojcu pierwszorzędne stopnie. Jeżeli miałem czwórkę nie piątkę to była tragedia i z tego powodu ogłupił mnie najprościej.

*To musiała być wielka zmiana przyjechać z Przyłuk do Petersburga. To było pierwsze wielkie miasto w twoim życiu. Czy tam czuło się potęgę ówczesnej Rosji? Czy to się mogło wydawać kruche?*

Mój Boże, to wszystko zanadto... Jedyny człowiek, któremu jestem głęboko wdzięczny i który mnie jakieś horyzonty dał, to był administrator naszego majątku pan Hoffmann, który jak ja wyjeżdżałem sprowadził mnie do siebie i powiedział: uważaj jedziesz do Petersburga, możesz być olśniony potęgą Rosji Carskiej, ale to jest wielkolud o glinianych nogach. On runie. To były pierwsze takie pojęcia dość dziwne dla mnie, ale które przyjąłem jako prawdę. Nie przejmowałem się tym zbytnio, ale to była pierwsza reakcja polityczna szeroka, którą odczułem w sobie, i która potem we mnie kiełkowała.

*Wracaliście na wakacje do Przyłuk? Opisz może dom.*

To się nazywało pałac, ale dzisiaj mówi się pałac, jak się widzi pałace we Francji; to był bardzo duży dom. Ładnie zbudowany w stylu, takim niby angielskim gotyku. Taka wtedy była moda. I to był majątek zakupiony przez mojego dziadka dla mego ojca. Tak że to nie był majątek Czapskich od paru pokoleń, ale mieliśmy tam ogromny komfort i właściwie szczęśliwe życie. Szczęśliwe życie. Jedynie dramaty to były kłótnie nauczyciela i nauczycielki między sobą o Alzację i Lotaryngię, bo Niemka sąsiadowała przez jedne drzwi z Francuzką i wtedy one się po prostu za pazury brały.

*Wciągając ciebie i twoje rodzeństwo w te spory?*

Nie, nie, nas to nudziło strasznie, jak widzieliśmy te dramaty. A przy tym to były nadzwyczajne kobiety, których dzisiaj... ja takich nie znam. One tak namiętnie dbały o nasze lekcje i to była cała kombinacja siedmioro dzieci uczyć, tych wszystkich języków. Ale one do tego stopnia, że kiedy mój ojciec jednego dnia rozporządził, że nauczycielka będzie miała o pół godziny mniej, to ta biegała po pokoju i mówiła: *Wenn wir einen Revolver hätten*<sup>2</sup>. Staruszka wściekła się, że pół godziny jej odebrali lekcji. I Francuzka tak samo, szarpała się o te swoje lekcje. Bardzo jestem im wdzięczny, przecież nauczy-

---

<sup>2</sup> (niem.) Gdybyśmy miały rewolwer.

łem się w dzieciństwie mówić po niemiecku, źle ale nauczyłem się, a i po francusku też nauczyłem się biegle, choć też źle.

*Samochód był w Przylukach?*

Ale gdzie. Pierwszy samochód był, gdy jedna z naszych wspólnych ciotek przyjechała, jak miałem 15 czy 16 lat, z Warszawy i to był wielki ewenement. Taki ewenement, że konie, które się pasły, spacerowały na łące obok, jak myśmy przyjeżdżali to zrywały ten sznur, który ich przy ziemi łączył kołkiem, z przerażenia.

*Kiedy wybuchła wojna, pierwsza wojna światowa w 1914 roku miałeś 17, 18 lat i byłeś na studiach już, prawda?*

Byłem już na studiach i to mnie wzruszyło. Widziałem ludzi idących na front i ja chciałem gwałtownie wtedy iść jako pielęgniarz na front.

*Skąd to się wzięło? Wiele razy o tym mówiłeś, o wpływie Tołstoja, możesz powiedzieć parę słów?*

No mogę ci najprościej powiedzieć, że pierwsza moja lektura była polska naturalnie, był Żeromski, który już ten ból społeczny, jakoś obudził we mnie. I potem był Tołstoj. Zanurzyłem się w literaturze rosyjskiej. Mówię Tołstoj, naturalnie byli wszyscy inni. Był Dostojewski, który dotychczas jest, którego uważam za jednego z największych pisarzy, jakich znałem w życiu, których czytałem w życiu. Ale Tołstoja czytałem z pasją, to rozumiałe. *Annę Kareninę* przeczytałem dwa razy z rzędu. Ale pod jego wpływem wpadłem w niesprzeciwianie się złu złem. I tak się zaczęło moje ideowe życie. Byłem namiętnym pacyfistą. Zupełnie przekonany, że nigdy w życiu nie będę do nikogo strzelał. Ale to moje przekonanie pacyfistyczne najgłębiej ukrywałem. W ogóle całej mojej wewnętrznej ewolucji z nikim nie dzieliłem.

*Dlaczego? Nie miałeś przyjaciół, z którymi mogłeś rozmawiać na te tematy, czy bałeś się?*

Nie, to było tajne. To było moje przeżycie. Przede wszystkim, czym pacyfizm był wtedy? Przecież cała masa ludzi siedziała po więzieniach za pacyfizm, młodych, którzy nie chcieli się bić podczas wojny. Ale tylko wstydliwie mogę o tym mówić, dlatego, że to były tylko *Dichtung und Wahrheit*<sup>3</sup>, właśnie to jest tylko moje *Dichtung*, moje marzenie, że ja coś jeszcze kiedyś zrobię jako pacyfista, ale zasadniczo wszedłem w życie nie tylko w mózgu i w książkach, i w sobie samym, ale w życie konkretne, kiedy nadeszła chwila, gdy trzeba było iść do wojska polskiego.

*A wojsko rosyjskie ci nie groziło?*

Wojsko rosyjskie mi groziło, ale już się wszystko rozwalało, to było przed samym 1917 rokiem. W ogóle ludzie czuli, że wojna się już, już kończy. Wojnę widziałem na stacjach, ludzie jechali na front, płakali i ich rodziny żegnały, i to był ten oścień, który już tkwił we mnie i zrobił ze mnie teoretyka pacyfizmu nawet. Wszystko co mogłem w tej dziedzinie... Tołstoja czytałem, bo Tołstoj był genialnym pisarzem. Ja go czytałem z nabożeństwem i to był mój przełom pierwszy...

*...który znalazł później praktyczny wyraz w tym co robiłeś w 1917, 1918, 1919 roku?*

Tak jest. Było tak, że już byłem na brzegu tego, że musiałem iść na front, ale jeszcze przebyłem rok uniwersytetu, Wydziału Prawnego w Petersburgu, gdzie już doskonale

<sup>3</sup> (niem.) zmyślenie i prawda — wg tytułu dzieła Goethego *Aus meinem Leben. Dichtung und Wahrheit*.

wiedziałem co się dzieje. I mój ojciec mnie wtedy wpakował do Korpusu Paziów, który się po rewolucji nazwał szkoła praporszczyków, szkoła podporuczników. I tam przebyłem całą tę szkołę, aż do tego, że dostałem pagony i zostałem oficerem. I byłem w tej szkole bredząc zupełnie w głowie, a z kolegami żyjąc bardzo grzecznie, bo byli sympatyczni przeważnie. Byli tacy, co przychodzili pijani do szkoły, ale to nie było takie straszne. Ale to nie było moje środowisko, zupełnie. Tak, że byłem bardzo sam. Bardzo sam. I dopiero wtedy, jak skończyłem szkołę oficerską, każdy z nas musiał do swojego wybranego pułku dotrzeć jako oficer. I wtedy już zaczęła się tworzyć polska armia. Jeszcze Polska nie była niepodległa, ale wszystkie pułki, które miały Polaków spotykały się, z tym, że Polacy wiali i przyjeżdżali do tego ośrodka, który wtedy był w okolicach Mińska.

*Dowodził generał Dowbór-Muśnicki.*

Generał Muśnicki. Ale to już było wysoko nade mną. I ja się zgłosiłem do 1 Pułku Krechowieckiego, bo to był najwspanialszy pułk polski kawaleryjski.

*Ale nie chciałeś tam strzelać.*

Wstydę się o tym opowiedzieć, to tak wszystko wyglądało bzdurnie. Przedstawiłem się dowódcy szwadronu, do którego mnie przydzielili, Podhorskiemu, któregośmy dobrze znali i powiedziałem mu, że jestem pacyfistą, przeciwnikiem wojny, ale z tchórzostwa wstępuję do wojska. On naturalnie tego wszystkiego nie zrozumiał, powiedział: zobaczysz jakie wojsko polskie jest wspaniałe i było wspaniałe. To wojsko, to wszystko, to cię przekona. Nie mógł nawet ogarnąć tego problemu. Wtedy w wojsku spotkałem braci Marylskich, opowiedziałem im moje przekonania i ich absolutnie tym zaraziłem. I wszyscyśmy poszli zameldować, że wychodzimy z wojska bo jesteśmy pacyfiści. I tu uważam, ja dbam o to żeby to opowiedzieć, to charakteryzuje rodzaj tego wojska... No więc ja poszedłem, zameldowałem, że występuję z wojska, bo nie chcę się bić. A tam miałem przyjaciela, którego podziwiałem i bardzo kochałem, Romera, który potem zginął bardzo szybko. I właściwie mnie powiedziano: wyjeżdżaj jak najprędzej... a powinni byli mnie rozstrzelać.

*Szalenie szedłeś pod prąd.*

I wszystko mi wybaczone. A moi koledzy, właśnie zrobili to samo. Zgłosili się do swojego dowódcy szwadronu, który był potem dowódcą pułku naszego i zginął jako dowódca pułku, który ich przyjął i mając łzy w oczach powiedział: chcecie tworzyć nowe życie, ja w waszym wieku miałem takie same pragnienie. Idźcie i róbcie co chcecie. Żadne wojsko tak by nie zareagowało.

*Nie wyobrażam sobie tego w wojsku pruskim albo carskim.*

No, bylibyśmy przynajmniej po mordzie nabici i zamknięci do więzienia, albo rozstrzelani. I wyobraź sobie moje wychowanie, ja jeszcze nie widziałem nawet, żeby człowiek człowieka mógł uderzyć. Bo żyłem w tak spokojnym i szczęśliwym naszym majątku, gdzie i ze służbą, i z robotnikami były bliskie stosunki, i zupełnie nie było myśli o tym. I przejeżdżając, już ubrany jak kawalerzysta, już na koniu wraz z całym oddziałem polskim spod Mińska pod Bobrujsk, przez wieś białoruską, a tam było pełno wtedy uciekinierów z wojska, żołnierzy, którzy wracali do swoich wsi, bo to już się wszystko rozwalało... widziałem jednego chłopca rosyjskiego z narzuconym takim starym szynem wojskowym, który z niesłuchaniem ponurą i niechętną twarzą patrzył na to świetne wojsko polskie, bo mieliśmy doskonale wykarmione i wyczyszczone konie, świetnych ułanów i oni mieli wszędzie punkty zaczepienia w naszych dworach polskich. I on na nas tak niechętnie patrzył. I na to jeden z moich podwładnych, młody chłopak, nie wytrzymał wy-

szedł z rzędu, zeskoczył z konia i dał w pysk temu człowiekowi. Nic złego tamten nam nie zrobił. Tylko tyle, że widać było, że to wojsko panów było dla niego wrogiem. Oni na coś czekali? Na rewolucję, a ta rewolucja miała im przynieść ziemię. I wtedy nagle, w życiu moim to jest częste, że ja się szalenie długo do pewnych decyzji przygotowuję w sobie wewnętrznie, jestem z natury tchórzem, nie lubię takich rzeczy... i wtedy, w tej samej chwili jak zobaczyłem, jak tego człowieka uderzyli, natychmiast pojechałem do dowódcy szwadronu mojego i powiedziałem mu, że występuję z wojska. Ten myślał, że zwariowałem. Mówił: może idziesz do klasztoru. Ja: nie idę do klasztoru, tylko nie będę strzelał. No i wtedy właściwie zrobiono to, że myśmy z dnia na dzień wyjechali z tych oddziałów. Powiedziano nam: wyjeżdżajcie, żebyście nam nie zdemoralizowali wojska. Dojechaliśmy aż do Przyłuk i wtedy...

*...widziałeś swój dom rodzinny ostatni raz.*

Widziałem jeszcze potem, kiedy już był zupełnie pusty, jeszcze raz zdążyłem go zobaczyć. Ale naturalnie moje siostry najbardziej entuzjastycznie przyłączyły się do naszych przekonań. Pamiętam, że Karla Przewłocka później napisała do mnie list: idziesz i może cię zabiją, gdybyś to zrobił dla Chrystusa to bym była szczęśliwa, a tak jestem nieszczęśliwa. To była taka bardzo silna religijnie kobieta. Tak, że ja z tymi dwoma chłopcami, zresztą przemiłymi, przyjechaliśmy do Przyłuk na parę dni to one się natychmiast przyłączyły do tych naszych przekonań i zdecydowaliśmy zrobić falanster pacyfistyczny, który naturalnie w przyszłości uwolni cały świat od wojen. Myśmy daleko sięgali. Polska to była mała rzecz. Kiedy w wojsku dyskutowałem z moimi przyjaciółmi i przede wszystkim z Romerem, który był człowiekiem nadzwyczajnym i mądrym. Postawił mi pytanie: czy może istnieć Polska bez wojska, bardzo rzeczowe pytanie, pomyślałem: Boże, jaki on jest zacofany, no przecież wchodzimy w inny świat, gdzie już wojska nie będzie.

*To było w którym momencie?*

To było już po rewolucji marcowej, ale jeszcze przed Leninem, za czasów rządów Kiereńskiego. I wtedy bracia Marylscy, moje dwie siostry i ja pojechaliśmy do Petersburga. Skończyło się na tym, że cholernie głodowaliśmy, bo naprawdę wtedy nigdzie nic nie było można dostać. Pustych mieszkań było ile chcesz, bo ludzie wszyscy z Petersburga wyjechali.

*Z czego żyliście? Mielście pieniądze jakiegokolwiek z domu?*

Nie, żadnych pieniędzy. No pewno coś mieliśmy z początku, ale potem poznaliśmy Karola Jaroszyńskiego, o którym właściwie za mało ludzie wiedzą. To był fenomen. Przecież to był człowiek, który był uważany za najbogatszego człowieka w Rosji, dlatego, że on skupywał wszystkie akcje z wszystkich banków, które spadały na łeb na szyję wtedy, jak już były rządy rewolucyjne. Ale on wierzył, że będzie powrót dawnego, starego reżymu. I wtedy on będzie miał połowę wszystkich akcji banków rosyjskich.

*Przeliczył się nieco.*

Nieco. Ładne słowo. Przeliczył się całkowicie. Ale to było możliwe. To dzisiaj się wydaje niemożliwe. Ale myśmy jeszcze nawet nie wyobrażali sobie, żeby komunizm był taką bardzo straszną rzeczą.

*Nie było takiego poczucia, że tu się wali coś, że wszystko jest stracone?*

Ależ nie, ten falanster trwał bardzo krótko. Właściwie miałem bardzo dziwne pojęcie, nawet zdecydowałem się pójść do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie był Czi-czerin, który był kuzynem mego ojca.



*Powiedz o tej koneksji rodzinnej.*

Koneksja była bardzo prosta. To wszystko byli Meyendorffowie i jedna z córek wyszła za mąż za Cziczierina, który był bardzo poważnym ziemianinem. Jego syn, który potem doszedł do władzy, był wybitnej inteligencji, wcześniej mieszkał w Krakowie u mojej babki i wszyscy razem czytali po angielsku historyczne dzieła o sytuacji na świecie. Został ściągnięty do Rosji przez Lenina, który go znał z emigracji, bo obaj żyli na emigracji. Ja go nawet nie znałem. Wybrałem się do niego z propozycją, że my zorganizujemy szpital dla ludzi, którzy siedzą po więzieniach, naturalnie wszystko antykomunistów. I naturalnie mnie nie przyjął, nawet rozmawiać nie chciał. I ja się bardzo obraziłem, że mnie tak niepoważnie potraktował, ja się czułem twórcą nowej religii prawie. Ja tutaj ironicznie mówię. Niemniej jednak ta nasza wyprawa była bardzo interesująca... i skończyła się na niczym.

*A skąd ludzie tacy jak Cziczierin, z takiego środowiska mogli trafić do partii bolszewickiej?*

To była intelektualnie bardzo wysoko stojąca wtedy rodzina. Mój wuj Meyendorff był dwukrotnie członkiem Dumy, a jego matka żyła za granicą, bo uważała, że Rosja jest dzika, niekulturalna i kochała się w Liszcie, do śmierci troszczyła się o Liszta. I siedziała w Weimarze, a jej synowie wychowywali się w niemieckich szkołach w Weimarze. I jeden z nich pragnął koniecznie, był bardzo zdolny malarsko, studiować w Akademii. Matka się nie zgodziła żeby szedł do Paryża, bo to jest rozpustne miasto, dla młodego człowieka niebezpieczne i wysłała tych dwóch chłopców do Petersburga. Mój wuj — twarz mu się zmieniała, gdy opowiadał, jak ze szczęśliwego Weimaru, gdzie spokojnie żyli nagle przyjeżdża do Petersburga, gdzie była taka nędza — mówił, że się nie widziało na ulicach ludzi w całych butach. I oni przyjechali do tego uniwersytetu, na te warunki, mój stryj natychmiast się zajął jakimiś dobroczynnymi sprawami, a tamten się zastrzelił. Ten właśnie najbardziej zdolny, zostawił tylko mały karteluszek: *Je demande pardon à maman...*<sup>4</sup> Nic więcej. Tak, że nikt nie wiedział w czym rzecz i mówiło się, że niby on był w jakiejś tajnej organizacji i kazali mu zrobić coś czego jego sumienie mu nie pozwalało, ale to już jest zdaje się legenda. Fakt jest, że nie wytrzymał tej atmosfery. A to jest cała duża historia moich stosunków z wujem Meyendorffem, który odegrał decydującą rolę w moim życiu, najprościej zainteresował się mną i starał jakoś utrzymać mnie na jakimś poziomie.

*W jakim sensie odegrał taką wielką rolę w twoim życiu.*

Po pierwsze miał pierwszorzędną bibliotekę, w której odkryłem Amiela i Romain Rollanda. Może słyszałeś? Teraz się o nim zapomniało, ale wtedy mówiło się o nim jak o drugim Tołstoj. Ten, co napisał *Jean-Christophe*. Szalenie się tym przejmowałem, bo on także bronił pacyfizmu. I nawet z siostrą napisaliśmy do niego list z Rosji. Ja w sklepie w sekrecie dostawałem jego książki, które były surowo zakazane. Tak, że to się łączyło z naszym kultem Tołstoja.

*Wracamy chyba do lat rewolucji?*

Chciałbym szerzej tę rzecz potraktować, bo jak teraz na to patrzę, to jestem pod wrażeniem, że nie tylko ja byłem taki naiwny, że wierzyłem, że przychodzi nowy świat, lepszy, ale to było ogólne. Przecież, kiedy rozmawiałem z premierem, pierwszym premierem rewolucyjnego rządu księciem Lwowem, który mnie nawet wezwał do siebie, dlatego bo znał bardzo dobrze Meyendorffa i spotkałem go u ojca jednego z moich kolegów, który

---

<sup>4</sup> (fr.) Proszę mamę o przebaczenie.

prosił żebym mu pewne rzeczy przekazał, to on mówił: proszę pana — najspokojniej mówił — rewolucja się już skończyła. A to był 3 czerwiec 1917 roku, gdy on ustąpił swoje miejsce Kiereńskiemu, bo uważał, że rewolucja się już skończyła i idziemy do spokojnej pracy rosyjskiego chłopca. Ten rosyjski chłopca był wtedy wyrósł jako potęga pacyfistyczna świata i to była pierwsza rewolucja na świecie, która się odbyła bez kropli krwi. I on uważał, że już wchodzimy w normalną, demokratyczną Rosję, która będzie. A tu się nawet nie zaczęła rewolucja. Więc on był absolutnie optymistyczny i myśmy byli naturalnie optymistyczni.

*Dlatego że byliście młodzi, mieliście te ideały?*

Dlatego, że byliśmy młodzi i wierzyliśmy, że świat zmienimy, że to jest drobnostka, a my wszystko możemy. Później wróciliśmy do Polski z siostrami. Wróciłem do kraju właściwie jako dezertor, bo już raz wystąpiłem z wojska, a tutaj naraz stanął problem wojska. Spotkałem w Petersburgu Mereżkowskiego i tę grupę liberałów i pisarzy rosyjskich, którzy mnie zupełnie odkręcili. Mereżkowski przyjął mnie, ja już się wtedy dusiłem, wszyscy chcieli działać, a ja byłem bierny.

*Poszedłeś po radę do niego?*

Poszedłem, najprościej, tyle że go nie znałem, czytałem tylko. Przyjął mnie tak, jak byś ty mnie przyjął, rozumiesz, jak starego znajomego. I powiedział: ja zupełnie twoje przekonania szanuję, naturalnie jest grzech zabijać jeżeli jesteś chrześcijaninem, ale w takiej chwili powinieneś działać jak inni. Opowiedział mi taką legendę: Było dwóch ludzi, którzy szli do nieba, jeden szedł w najczystszych szatach brzegiem drogi, wyobrażasz sobie jakie wtedy drogi były błotniste strasznie, i spotkał chłopca, któremu koło w wozie się złamało i nie mógł z tego błota swego wozu wyciągnąć. Chłopca poprosił go żeby mu pomógł, ale on powiedział: ja nie pomogę bo ja mam szaty czyste i idę do nieba. A zaraz potem szedł drugi święty, który na wezwanie zapomniał o szatach i wszedł po kolana w błoto, i chłopca wóz uratował. I poszli razem do nieba. Ten pierwszy był naturalnie przez świętego Piotra przyjęty natychmiast, bo miał czyste szaty, a tego utyłanego w błocie nie mógł przyjąć więc zaprowadził go do Boga... I Pan Bóg przyjął tego ubrudzonego, i powiedział, że pierwszy, za to, że ma czyste szaty będzie świętowany co cztery lata, a drugi dlatego, że zapomniał swoje szaty żeby uratować człowieka, będzie świętowany cztery razy do roku. I to poczucie, że trzeba się pożegnać z szatami czystymi, jeżeli chodzi o sprawy zmiany świata na lepsze zupełnie mnie przekonało, że moja teoria pacyfistyczna jest błędna. I wróciwszy do Polski zdecydowałem znowu iść do wojska. Jako dezertor. Ja to mówię, bo to jest dla mnie szalenie znaczące.

*Sposób w jaki cię potraktowano?*

Sposób w jaki mnie potraktowano. Jako dezertor nie chciałem iść do mojego pułku i poszedłem jako zwyczajny żołnierz do pociągu pancernego „Śmiały”, który prowadzili dwaj bracia, szwagrowie Wańkowicza — pisarza, wspaniałe chłopaki. Ten pociąg pancerny był już osławiony, bo podczas wojny polsko-ukraińskiej pod Lwowem się świetnie popisał. Pierwszego dnia po moim przyjeździe zabili dowódcę, miesiąc potem zabili jego brata. I ten cały pociąg pancerny, potem zrobił się karykaturą tego co było przedtem. Ja jednak tam wytrwałem prawie rok. I dopiero po roku służby zwyczajnego żołnierza zgłosiłem się do mojego Pułku Krechowieckiego, czy by mnie przyjął z powrotem i pułk mnie natychmiast przyjął. Trafiłem z powrotem do pułku mojego, rodzinnego, o którym mam najmilsze wspomnienia i dzięki niemu mogłem jeszcze przeżyć ostatnie miesiące na froncie, rzeczywistym do końca wojny. Więc właśnie to się skończyło w 1920 roku.

*I wyszedłeś wtedy od razu z wojska?*

Nie, nie, byłem w wojsku, działałem w wojsku zupełnie jak inni. Miałem najlepszych kolegów. Widziałem dowódców, którzy po kolei ginęli, kolegów, którzy umierali. I dopiero wtedy właściwie zobaczyłem rzeczywistości życia, a nie rzeczywistości ideologii, które miałem w głowie. I wtedy się zrobiłem naprawdę Polakiem.

*Zrozumiałeś, że są rzeczy, dla których warto polec na froncie?*

Absolutnie, nie tylko warto, ale trzeba. O 180° moje przekonania się zmieniły. Ja się tak wysuszyłem przez ten pryncypialny pacyfizm, który nie spotykał nigdzie stronników, poza braćmi Marylskimi, nawet wśród młodych.

*I jak wojna się skończyła wyszedłeś z wojska. Kiedy zacząłeś malować?*

Wyszedłem z wojska. Zawsze miałem na myśli malarstwo, a Przyłuki były już... nasz dom rodzinny był już za granicą.

*To był wielki cios? Czy rozumiałeś to jako konieczność historyczną?*

To był wielki cios. To było wielkie rozdarcie, ale i uwolnienie, niezależność zupełna. Mój ojciec czuł się upokorzony, że nie może nas materialnie utrzymać. Ale jakże on mógł, kiedy mu wszystko zabrali? I wtedy mieliśmy zupełną wolność tego co będziemy robić. I moja siostra poszła natychmiast na Uniwersytet do Krakowa, a ja poszedłem do Akademii.

*Kiedy pomyślałeś, żeby pójść do Akademii, kiedy cię zaczęło malarstwo interesować?*

Już zawsze, od młodości myślałem, że będę malarzem. Też nie wiadomo dlaczego. Rysunki, które robiłem były okropne. Dziecinne rysunki są często bardzo piękne. A moją pasją prawdziwą nie była wtedy ani polityka, ani malarstwo, ale muzyka. Siedziałem w dni mojej matury do pięciu godzin dziennie, pracowałem na fortepianie. Tak, że myślałem, że może będę wirtuozem i namiętnie byłem muzykiem.

*Co grałeś? Skriabina?*

Rachmaninowa i już Skriabina. Widziałem Skriabina ostatni koncert, po którym umarł. I już próbowałem. To było szalenie trudne, zwłaszcza jego niektóre preludia. Ale naturalnie grałem też Schuberta, Schumanna. Kochałem Schuberta, kochałem Schumanna, słuchałem, chodziłem na koncerty Beethovenowskie. Klasyczne i banalne to było.

*A jak odbyło się przejście od muzyki do malarstwa?*

Straciłem fortepian. Jakże mogłem się uczyć muzyki jak nie miałem fortepianu? I przy tych czasach i przy tych warunkach, tylko mogłem marzyć o fortepianie. Trafiłem do Krakowa i tu zdecydowałem przy pierwszej sposobności pójść do malarstwa, bo to malarstwo we mnie tkwiło, też jakoś abstrakcyjnie jeszcze. I tu się zaczyna moja nowa faza i nowa historia.

*Czy to przypadek rządzi życiem ludzkim?*

Największy przypadek w moim życiu to był ten dentysta, u którego znalazłem Brzozowskiego *Legendę Młodej Polski*, którą mam zawsze ze sobą.

*I co się wtedy z tobą stało?*

To był cios. To był piorun. Nagle zrozumiałem, że nie ma żadnej ludzkości, do żadnej ludzkości nie dojdę, to jest abstrakcja, jeżeli nie przejdę przez jakiś kraj. Jeden kraj, swój

kraj, polski kraj. Odkryłem Polskę, odkryłem sens Polski i konieczność istnienia tej Polski, konieczność jej służenia.

*Ale przedtem już walczyłeś za Polskę?*

No walczyłem, walczyłem. Bo wszyscy walczyli, bo trzeba było walczyć, ale to było... nie w pełni uświadomione. Nie. Ale naturalnie ta rozmowa, to odkrycie Brzozowskiego było przed moim całkowitym wyjściem z wojska i z wojny. To było przeżycie prywatne, entuzjastyczne, które mnie zupełnie zwróciło od pacyfizmu w kierunku wejścia do wojska, żeby bronić Polski, żeby walczyć o Polskę. Tak, że już wtedy byłem zupełnie Polakiem. Ale tylko Brzozowski, który był niesłychanie ostry w stosunku do mojej klasy. Rozumiesz. Ziemiańskich, którzy mieli Rejtana, obrońcę swych spizarni.

*Czy to ci ułatwiło pogodzenie się z losem, zagładą tej klasy ziemiańskiej, właśnie na Kresach.*

Ach, najzupełniej, najzupełniej. Cała moja rodzina dramatycznie przeżywała stratę naszego domu rodzinnego. Moja siostra Maria i ja staraliśmy się nawet fotografii nie chować tej przeszłości. Bo trzeba nowe życie budować, nowe polskie życie... Wtedy ona poszła do Janusza Korczaka i zajęła się dziećmi bezdomnymi. To jeszcze wszystko było przed wejściem moim do Akademii i siostry mojej na Uniwersytet. Wtedy zaczęliśmy oboje nowy etap naszego życia, który już był skrajnie polski.

*Zaczęłeś studiować na Akademii w Krakowie w roku 1921?*

W roku 1921, zaraz po wojnie.

*I niedługo potem zaraz postanowiliście jednak z przyjaciółmi, że ta Akademia jest do niczego, trzeba jechać do Paryża?*

Tak jest, ale to nie zaraz potem, to były cztery lata.

*Pojechaliście do Paryża.*

W 1924 tak jakoś założyliśmy ten Komitet Paryski, na miejscu na Akademii. I wtedy właśnie ta nasza wariacka zupełnie wyprawa, bo nas było kilkunastu, nie mieliśmy w ogóle pieniędzy. Ja jeden mówiłem biegle po francusku, dosłownie, tamci prawie nic. Wszystko byli malarze i ich żony, które też były malarkami przeważnie. No i to był naprawdę do tego stopnia nowy etap, że bardzo trudno mi przeskoczyć teraz we wspomnieniach jak to się działo. Nie byliśmy tak zupełnie nędzni, dlatego bo miałem dwie siostry, które powychodziły za mąż za ludzi, którzy mieli majątki.

*Pomagali ci?*

Pomagali mi. Przewłoccy i Łubieńscy. Najstarsza moja siostra miała majątek. Też stracili wszystko na wschodzie, ale mieli majątek niedaleko granicy dawnej austriackiej, nie było więc mowy żebyśmy my zginęli z głodu w Paryżu, bo byliśmy zawsze uprzywilejowani.

*Ale życie było cygańskie.*

Ale życie było nie tylko cygańskie, ale było niebezpieczeństwo głodu, śmierci głodowej dosłownie moich kolegów. Tych których wyprowadziłem — z domu niewoli — wyprowadziłem do tego Paryża, marzenia naszego życia, nie mojego, ale Waliszewskiego, którego żeśmy uważali za genialnego i uważam go dotychczas za takiego, Cybisa, którego też w najwyższym stopniu cenię. To byli ludzie, którzy tworzyli ośrodek kapistów ideowych. Ja, jak zawsze byłem konieczny, ale od strony przyziemnej. Bo ja miałem trochę stosunków w Paryżu i mogłem od tego, czy od tamtego coś wyciągnąć i potem

organizowałem jakieś idiotyczne bale na korzyść malarzy, różne imprezy. Z początku, jeszcze w Krakowie, żeby zebrać pieniądze na wyjazd zorganizowaliśmy loterię obrazów, za które pieniądze szły na fundusz tego naszego wyjazdu. A ta loteria była zebrana od wszystkich naszych profesorów, każdego prosiliśmy o jakiś rysunek czy obrazek.

*I dawali chętnie? Chociaż uciekaliście od nich?*

Uciekaliśmy. Uważaliśmy ich przeważnie za idiotów, ale wszyscy dawali. I jeszcze pamiętam Cybis nazywał mnie Bibbiena. Nie wiem nawet, czy wiesz kto to był. Ja już też nie bardzo pamiętam, jakiś kardynał, przyjaciel Rafaela. Tak, że ja właśnie byłem przyjacielem tego Rafaela, a Rafaelem był on. Pomagałem im wyżyć i moje przyziemne pomoce były naprawdę bardzo ważne. Ale ja jeszcze prawie nie malowałem, bo przez pierwsze dwa lata w Paryżu tylko i wyłącznie chodziło o utrzymanie się. I jak teraz widzę młodych malarzy, którzy przyjeżdżają do Paryża, to ja im to umyślnie opowiadam żeby powiedzieć, że przejście do Paryża to nie jest przejście do jakiejś Golkondy szczęśliwej. Że to jest bardzo trudne.

*Poznałeś tu bardzo wielu ludzi, także nie Polaków, z jakichś sfer artystycznych, intelektualnych francuskich. Ówczesnej elity francuskiej?*

Bardzo niewielu. Żyliśmy w naszej paczce i w kulcie do ówczesnego malarstwa, do wielkich malarzy, do których nie próbowaliśmy nawet dotrzeć. Próbowaliśmy malować bez względu na warunki, wszędzie... Moi koledzy już wtedy spokojnie malowali, chociaż nie mieli z czego żyć.

*A sprzedawali te obrazy?*

Ale gdzie! Kto sprzedawał? A w ogóle to jest bajka to sprzedawanie obrazów. Sprzedaje się obrazy jak się jest van Goghem i się umarło sto lat wcześniej. Teraz myślę, że tak zwani kapiści, Komitet Paryski, to była najtrudniejsza epoka w moim życiu. I kiedy spotkałem na jakimś przyjęciu w Ameryce kogoś kto zaczął mi mówić straszności bolszewizmu, mnie to zirytowało i powiedziałem: przyznam panu, że te moje cztery lata Paryża były dla mnie o wiele cięższe niż cztery lata Rosji. I wtedy ten pan, on był ambasadorem de Gaulle'a w Chinach, powiedział: *Est-ce que vous êtes venu ici pour defendre ou pour attaquer le bolshevisme?*<sup>5</sup> To ja na to: ani jedno, ani drugie. Powiedziałem prawdę, ale to i tak było gorszące, bo powiedziałem, że w Paryżu było mi gorzej.

*Tak, ale gorzej z twojego własnego wyboru.*

No, naturalnie, z mojego własnego wyboru. Byłem szczęśliwy, pomimo, że było gorzej, bo byłem w moim zespole, wśród w moich kolegów malarzy, z których paru uważałem za genialnych. Wiedziałem dlaczego żyję.

*Na czym polegała, jak dziś patrzysz na to, nowość tego, co żeście robili w porównaniu z tradycyjnym malarstwem polskim? Na czym polegała ta różnica, która wam kazała wyjechać z Krakowa? Coście zrobili nowego?*

Po pierwsze, to był świetny okres malarstwa francuskiego. Żyli najwięksi malarze, którzy tworzyli. To był właściwie, można powiedzieć, okres postimpresjonizmu. Wszyscy przeżyli wstrząs impresjonizmu i człowiekiem, który nas wprowadził w ten świat był nasz profesor Pankiewicz. Był jednym z pierwszych, który odkrył nam był Moneta, Maneta, no i cały ten świat. I dla nas polskie malarstwo zdawało się wyłącznie malarstwem tematycznym, przeważnie dramatycznie tematycznym, które opowiada, ale opowiada nie

<sup>5</sup> (fr.) Czy Pan tu przybył aby bronić, czy aby atakować bolszewizm?

narzędziami malarskimi. Uważaliśmy to za złe malarstwo, które chce lansować dobre sprawy. I dlatego żeśmy się od nich tak szalenie oddzielili, bo uważaliśmy, że po pierwsze musimy się nauczyć malować i wiedzieliśmy, że nie umiemy malować, i że tylko w Paryżu możemy naprawdę zdobyć tę wiedzę.

*Przez oglądanie innych obrazów, bo przecież nie chodziliście do żadnej Ecole des Beaux-Arts.*

Przez oglądanie i chodzenie. Były różne możliwości... ja chodziłem np. przez pewien czas do takiej Akademii, nieoficjalnej zupełnie. Każdy z nas malował, tam na miejscu malował. I przez malarstwo i oglądanie tych wielkich mistrzów zrobiliśmy się wszyscy malarzami. Tu bardzo trudno mówić „my”. Ja, jako że byłem zajęty tymi przyziemnymi sprawami jak wyżyć, przez dwa pierwsze lata prawie zupełnie nie malowałem. Tak, że to były dla mnie malarsko stracone czasy, ale też wspaniałe, bo miałem stałe obcowanie z ludźmi, których dzisiaj uważam za wielkich malarzy.

*Wymień ich proszę.*

Przede wszystkim Waliszewski, Cybis, a grubo później Potworowski, który rozwijał się troszkę tym tempem jak ja, bo też musiał zarabiać i jego wybuch, jego odkrycie przypadło o wiele później. Ale musisz pamiętać, że jeszcze do tego ten nasz geniusz Waliszewski zachorował na straszną chorobę, na paraliż nóg. Był cztery, czy pięć razy amputowany. Nieustannie malował. Mieszkaliśmy z nim, żyliśmy z nim i ratowanie tego człowieka zmusiło mnie do chodzenia do różnych ludzi. Żyłem zawsze między tymi dwiema skrajnościami, obok bogatych — nędzarze. Ludzie, którzy mnie natychmiast przyjęli jak rodzinę, chociaż to była rodzina bardzo daleka to byli Radziwiłłowie. Do nich zawsze mogłem zachodzić. Oni mieli ogromne fortuny i wtedy bardzo...

*Pomagali?*

Pomagali... nie, wcale nie, ale przez nich trafialiśmy do różnych ludzi. Troszkę pomagali, ale nigdy bardzo bogaci bardzo nie pomagają. Pomagają biedni.

*Czy to łączyło się w jakiś sposób z twoim zainteresowaniem Proustem?*

Zastanawiam się. Ja odkryłem Prousta w parę lat po jego śmierci. Już w 1926 czy 1927 zdaje się. Zachorowałem na ciężki tyfus i gdy już wychodziłem z tego wyjechałem do mojego wuja Meyendorffa, który wtedy był profesorem w King's College w Londynie. Mieszkał z żoną, która była urocza. Wyjechałem do Londynu i tam leżakowałem w ogródku wuja Meyendorffa i trafiłem po raz drugi na Prousta, bo pierwszy raz pomyślałem, co mnie ci markizowie francuscy obchodzą, i nie zanurzyłem się. A tam otworzyłem *Albertine disparue*, no i wsiąknęłem.

*Czytałeś masę całe życie.*

Naturalnie, masę czytałem, ale wtedy miałem tylko literaturę francuską, w którą się zanurzyłem, wiesz Stendhal, Balzac. Balzaca nigdy bardzo nie kochałem, uważałem zawsze, że jest wielki, genialny nawet, ale ten jego język superlatywny drażnił mnie. Stendhal przeciwnie, był dla mnie wzorem.

*Chłodniejszy? Bardziej klasyczny?*

Nie, lepszy. No i trafiłem na Prousta, który mnie prawie wyłącznie zaczął interesować. Przeczytałem go całego do 1939 roku. Także w mojej pracowni w Polsce, bo przecież wróciliśmy później do Polski, Proust był zawsze otwarty. Gdy czytam dzisiaj Prousta, a

na ten temat wydali teraz w Szwajcarii wspaniale moje wspomnienie o Prouście<sup>6</sup>, to widzę, że już tego francuskiego nie rozumiem, że źle mówię po francusku, wpadłem w *vocabulaire* moich guwernantek z młodości. A ten prawdziwy francuski wielkiej klasy... już go opanować nie mogę, nie potrafiłbym dzisiaj napisać tego co wtedy napisałem. To było wielkie moje wydarzenie literackie.

*A jak dziś myślisz o tym okresie paryskim? Ile to lat było w sumie?*

Dużo. Sześć, siedem lat. W 1924 roku wyjechaliśmy do Paryża. I ja właściwie byłem w Paryżu najdłużej, byłem do 1932 roku, ale tylko ja. Moi koledzy byli po sześć lat, w 1930 roku już zaczęli wracać. Waliszewski najwcześniej wyjechał. To było jedno z może najistotniejszych spotkań malarskich, które miałem, to jest obcowanie z nim do śmierci. Potem, już z amputowanymi nogami znalazł wspaniałą kobietę z którą się ożenił. Umarł na szczęście na atak serca, nie mając 40 lat, ale malował do ostatniej chwili. Paraliż nóg mógł się przerzucić na ręce albo na serce. Na szczęście dotknęło to serce i on umarł nagle, malując. Ale tak był przygotowany do tego, że nawet żonie powiedział: jeżeli to mi się teraz rzuci na lewą rękę to musisz stolik specjalny wymyślić, gdzie by mogła być moja paleta, a jeżeli rzuci się na prawą to mnie otrujesz. On nie widział innego życia, to było jego życie. O nim chętnie mówię, bo uważam że to był jeden z paru najwybitniejszych ludzi, których znałem. Nieznośny. Kochał nas i nienawidził nas. Raz po raz rzucał się, mówił, że wyjedzie, potem znowu wracał... A potem żonie przed śmiercią powiedział: pamiętaj, że jeżeli będę umierał, chcę żeby Józio i Marynia byli ze mną, bo to jest moje rodzeństwo. Kochaliśmy go niezmiernie.

*Paryż miał być w zamierzeniu tylko etapem.*

No, w zamierzeniu to były studia. Ale gdy wyjechałem miałem już paru ludzi, którzy się mną interesowali, którzy mieli możliwości finansowe i coś kupili. Ale przecież mnie nigdy o Francję nie chodziło. Mnie chodziło o malarstwo francuskie. Wierzyłem, że my przemienimy malarstwo polskie. Byliśmy zresztą bardzo niesprawiedliwi, bo jest wielu różnych malarzy polskich bardzo wartościowych, ale wierzyliśmy, że Francja nie może być ciągle na pierwszym miejscu i tak 300 lat jest na czele malarstwa światowego, wierzyliśmy, że ten przyszły punkt to będzie Polska i to my stworzymy to w Polsce.

*Po powrocie zamieszkałeś w Warszawie?*

W Krakowie był Waliszewski i jemu się życie jakoś wtedy najlepiej ułożyło, pomimo że był kaleką, bo miał jakąś pensję od prezydenta, czy coś takiego, coś co pomogło mu żyć. No i malował, już sprzedawał, już istniał. Ja się zatrzymałem w Warszawie...

*Czy dlatego, że tu była twoja rodzina?*

Nie, zupełnie nie. To było centrum. Wynająłem duży pokój u jakiegoś bardzo sympatycznego człowieka z rodziną i to było moje atelier. Tu dużą rolę odegrał człowiek, o którym już zdaje się teraz zapomniano, to jest Karol Stryjeński. Może słyszałeś, bardzo znany architekt, który pół Krakowa zbudował.

*Naturalnie.*

Ten Stryjeński, który w całym szeregu imprez artystycznych dotyczących Polski odegrał ogromną rolę, dojechał do Paryża i wprost z wściekłością kazał nam wracać do Polski: Zobaczysz, jak zostaniesz tu, będziesz siedział, prosił o 3 franki, o kawę w kawiarni. Wrócić musisz do Polski teraz. Ja już zdecydowałem wracać, tak że tej namowy nie po-

---

<sup>6</sup> J. Czapski, *Proust contre la déchéance: conférences au camp de Griaizowitz*. Lausanne 1987.

trzebowałem, ale gdy przyjechałem, natychmiast wciągnął mnie do Instytutu Propagandy Sztuki. Natychmiast wciągnął w życie artystyczne.

*Pisałeś wtedy dużo o malarstwie.*

Dużo. Wszystko to co pisałem o malarstwie to było przeważnie do „Wiadomości Literackich”. Byłem bardzo mile widziany. Lubiano to co pisałem i miałem potrzebę pisania. To jest znowu moje zboczenie, że ja zawsze pisałem. Nie mogłem w ogóle żyć bez pisania, uważając siebie tylko za malarza.

*Te twoje legendarne kilkadziesiąt tomów dziennika...*

Tak, legendarne, ale wolę, żeby ludzie się zaczęli w tym grzebać jak ja umrę. Dlatego, bo dziennik to jest przecież zawsze intymne. I tylko jak jest intymne to jest dobre.

*Kiedy zacząłeś to pisać?*

Te które mam tutaj...? tyle mi zginęło w 1939 roku bo zawsze pisałem, a te co mam tutaj, jakieś dwieście kilkadziesiąt tomów, to od obozu...

*Jak wyszedłeś z obozu w Rosji?*

Nie, nie jak wyszedłem, jak byłem. Od tego czasu bez przerwy. Bez przerwy. I jak zaczęto drukować kawałki mojego dziennika, to mi to bardzo popsło pisanie. Bo miałem wrażenie, że pisząc obserwuje mnie jakieś trzecie oko. Że już ktoś myśli jak to wydrukować i pomieścić... już, już czułem, że dziennik przestaje być dziennikiem. Na szczęście przezwyciężyłem to uczucie. I teraz znowu mam wielką potrzebę pisania. Ale piszę... i nikt nie może mnie przeczytać i ja siebie nie mogę przeczytać. A zapisać muszę. Jeżeli mi się nie chce malować rano to zapisuję, że mi się nie chce malować. I moja sekretarka, przemiła, chciała to odczytać, powiedziała z lekkim uśmiechem: ale pan będzie musiał dużo rzeczy wykreślić, bo ja już kilkanaście razy czytałam, obudziłem się o 7 rano.

*Nie dałeś tego do przeczytania nikomu w całości?*

No nie, któż mógłby to przeczytać. Nikt tego nie czytał. Ale ten dziennik jest przecież ciekawy, dlatego że niektóre teksty wyszły i w „Kulturze”, i w „Zeszytach Literackich”. To były czysto przepisane dzienniki... bez żadnego retuszu. W ogóle bardzo się wystrzegam wszelkich retuszy. Ale jak piszę artykuły to retusze i retusze. Już teraz jednak nie piszę.

*A jeszcze jest twoja korespondencja ogromna. Jesteś sławnym korespondentem. Pisałeś do wielu ludzi. Wielu ludzi pisało do ciebie.*

Ależ nie. Jedyne co jest ważne, skarby korespondencji do mnie, to około 1000 listów Zygmunta Mycielskiego.

*Tysiąc listów Zygmunta Mycielskiego? To jest twój znajomy z bardzo dawnych lat.*

Najbliżsi ludzie dla mnie to byli Kot Jeleński, o którym słyszałeś i znałeś go może i Zygmunt Mycielski. Oni obaj umarli jeden za drugim bardzo szybko.

*Kot Jeleński to jest znajomość z powojennego Paryża...*

To już z powojennego.

*Natomiast Zygmunt Mycielski, to lata przedwojenne?*

Nie, Zygmunta Mycielskiego wtedy znałem dość powierzchownie, ale byłem nawet u niego na wsi, znałem jego matkę, jego rodzinę, choć żadnych nawet najmniejszych po-



krewniostw między nami nie było. A potem jak on był w Paryżu spotykałem go też rzadko. Nie miałem żadnych z nim stosunków tylko wielką sympatię. A dopiero jak już tu się znalazłem... po wojnie, a on wrócił do Polski.

*W 1946 czy 1947 roku?*

Coś takiego. Może wtedy. On raz do roku wyjeżdżał do Monte Carlo, bo był w jury muzycznym...

*...Nagrody księcia Rainiera.*

Właśnie, właśnie i to mu dawało możliwość przyjechania dwa razy do Paryża i wtedy zawsze jak jechał i jak wracał spędzaliśmy parę dni...

*Wtedy się zbliżyliście.*

Wtedy się bardzo zbliżyliśmy. On był już zupełnie w muzyce, a ja zupełnie w malarstwie. Ale listy jego były, są wspaniałe.

*Na czym polegał urok, wielkość tego człowieka, który jako kompozytor nie wyszedł przecież nigdy na pierwszy plan?*

Podobno ostatnia rzecz jest wspaniała, według Kisiela, który jego kochał, przyjaźnił się z nim i kłócił się z nim.

*Ale znał się na rzeczy.*

Kisiel był namiętny nowator, a Zygmunt mówił: nie doszedłem do tego, ale na szczęście doszedłem do Bacha. Tak, że on był cały też zupełnie nowoczesny. Ale najbliższej włączony do wielkich klasyków, gdy Kisiel był ciągłym odkrywcą.

*Nigdy Mycielski nie zrobił wielkiej kariery muzycznej...*

Nigdy.

*...ale wielu ludzi z polskiej elity intelektualnej, artystycznej szalenie odczuło jego śmierć. Tak wysoko jego ceniło.*

Tak, to był niezwykle człowiek.

*Na czym to polegało?*

Po pierwsze był niezdolny propagować siebie. Jego muzyka to był jego świat.

*Nie umiał się sprzedać, czy nie chciał się sprzedać?*

Nie mógł się sprzedać, nie robił jednego gestu w tym kierunku póki on miał z czego żyć i komponować, o to mu chodziło. On cierpiał nad tym, że właściwie nie był znany. A był może pierwszy nowoczesny. Ja ci nie mogę niestety o tym nic powiedzieć, bo ja w czasie kiedy się z nim przyjaźniłem tak odszedłem od muzyki, że nigdy na koncerty nie chodziłem. Potem znowu oślepiłem, nic nie czytałem. Tak, że nasza korespondencja była bardzo dziwna. Bo ani nie było sensacji intymnych, ani nic poza muzyką i malarstwem. Poza naszym stosunkiem do naszej roboty.

*A mimo to był jednym z najbliższych ci ludzi.*

Był niewątpliwie jednym z najbliższych. Ja po śmierci tych dwóch ludzi miałem wrażenie jakbym był w domu gdzie mi dach urwano. I wszelki deszcz, wszelka burza na mnie padała. Ja miałem zawsze tych dwóch ludzi, którzy absolutnie we mnie wierzyli i ja im

absolutnie wierzyłem także w ocenach tego co robię. I właściwie tak przykro to powiedzieć miałem upiększoną wizję samego siebie.

*Dlaczego?*

No dlatego, że oni mnie bardzo kochali...

*Pochlebiali ci?*

Nie pochlebiali, oni w ogóle nie umieli pochlebiać, ale byli naprawdę przyjaciółmi i wierzyli mi zupełnie. Tak jak ja im wierzyłem zupełnie.

*O Konstantym Jeleńskim pisałeś już po jego śmierci. Może powiesz coś jeszcze.*

Jak on umarł to nie chciałem o nim pisać. W ogóle te nadgrobnne recenzje błyskawiczne są zawsze bardzo trudne do napisania, żeby nie wpaść w kliszę. Kiedy wyszedł numer „Kultury” poświęcony Jeleńskiemu mojego artykułu tam nie było. Może dzięki Wojtkowi Karpińskiemu po paru tygodniach napisałem to, co wyszło w „Zeszytach Literackich”. Ty chciałybyś bym więcej opowiedział... Kota poznałem dopiero po przyjeździe do Paryża, do Maisons-Laffitte po drugiej wojnie światowej. Wydaje mi się właśnie, że najtrudniej jest pisać o ludziach takich jak on, takich jak Mycielski. Chociaż oni byli zupełnie różni. Mycielski był to człowiek właściwie bardzo zamknięty, prywatny najzupełniej. Albo, jeżeli społeczny to już rzeczowo społeczny. Wydawał pisma...

*...był prezesem Związku Kompozytorów...*

...który został wylany z dnia na dzień dlatego, że napisał po historii czechosłowackiej list do Czechów i Słowaków, który go zgubił w oczach partyjniaków. Niemniej jednak swoje miejsce zachował do śmierci. Jeleński był odwrotny. Jeleński był inny, był niezmiernie zdolny. Według Wojtka był nawet wielkim pisarzem. Tegośmy nie zauważali, chodziło tylko, że nie było sprawy polskiej, w której by nie było Kota. Jak było ciężko to zawsześmy się zwracali do niego. To był jedyny Polak, który miał naprawdę stosunki z Francuzami.

*Ale ty je miałeś także.*

W dawnych czasach. Teraz nie mam żadnych.

*Ale, powiedzmy, po wojnie w latach 40-tych, 50-tych twoje stosunki przecież pomagały „Kulturze” w jakiejś stabilizacji, w jakimś spokoju.*

No tak, przy naszym osiedzeniu tutaj, jeszcze przed przybyciem Jerzego Giedroycia, i później, gdy ja tutaj robiłem rzeczy związane z „Kulturą” np. moje dwukrotne wyjazdy do Ameryki, żeby tam wydestakować pieniądze dla „Kultury”. I miałem takie objazdy Ameryki z odczytami przeważnie o Rosji, przeważnie o moich przeżyciach rosyjskich. To była moja robota społeczna, która znowu mnie wyrzuciła z malarstwa na przynajmniej dwa lata. Tak, że ja masę czasu straciłem malarsko przez społeczne rzeczy, które mnie pasjonowały. Natychmiast poznałem klasę Giedroycia i szalenie popierałem powstanie „Kultury”. Tak jak mogłem. Ale już jeżeli chodzi o ogólne życie tutaj paryskie Polaków to Kot Jeleński był nie do zastąpienia. On miał rzeczywiście stosunki z Francuzami, artystami, pisarzami. Jeżeli było trzeba pomóc, żeby ktoś dostał stypendium, czy ktoś dostał pracę... Albo napisać coś, to zawsze porzucał inne zajęcia po to aby pomóc. I to nie dlatego, że z filantropii, bronił się, bo myśmy ciągle go besztali, że za mało pisze. On mówił: cóż zrobić, mnie nie książki tak interesują jak życie. Ja kocham żyć. I rzeczywiście, ja nie znam prawie Polaka, który by jego w taki czy inny sposób nie wykorzystał. Nie wykorzystywał.

*Tylko on chętnie, jak mówisz, dawał się wykorzystywać.*

Tak, dawał się wykorzystywać. Jego życie było na tyłu różnych poziomach, ale dla mnie naturalnie dużą rolę odgrywał stosunek jego do malarstwa. On był przez lata związany z Leonor Fini, malarką której nie lubiłem osobiście. Dla mnie to były takie młodopolskie rzeczy, ten okres secesji, który na nią niezmiernie podziałał, a ja byłem już zupełnie w innym kwartale. Ale jego sąd był niechybny, błyskawiczny.

*Jeżeli on ci mówił, że to co namalowałeś jest dobre, a to drugie jest mniej dobre to mu wierzyłeś?*

Ja wierzyłem, że jest dobre. Ja mu wierzyłem bardzo ostrożnie, bo nigdy wyraźnie nie mówił, ale jego sąd bardzo mi pomógł. Bardzo mi pomógł.

*Przez wszystkie te lata powojenne miałeś bliski kontakt z ludźmi przyjeżdżającymi z Polski, czego przyjaciół z Zygmuntem Mycielskim jest przykładem. Ale ciebie wystawiano tylko dwa razy w Polsce po wojnie. W 1957 i teraz ostatnio przed paru laty.*

Tak, teraz ostatnio<sup>7</sup>. I to było dla mnie duże wydarzenie, bo właściwie o to mi chodziło. Bardzo mi o to chodziło. I dziś największą nagrodą mojego życia, mogę powiedzieć, jest korespondencja z zupełnie nieznanymi ludźmi z zatraconych jakiś miasteczek polskich, którzy czytali albo mają *Na nieludzkiej ziemi*, albo różne moje artykuły...

*„Na nieludzkiej ziemi” miała rezonans kolosalny w Polsce.*

No tak, ale jest to niezależne ode mnie, najprościej, to jest świadectwo. Ludzie wiedzą, że tam nie ma literatury. Jest sprawozdanie z tego co widziałem i co przeżyłem. W porównaniu *Inny świat* Gustawa [Herlinga-Grudzińskiego] jest o wiele groźniejszy, straszniejszy... Bo on straszne rzeczy przeżył, których ja nie przeżyłem. Udawało mi się jakoś wymknąć. Byłem w obozie. Obóz to nie jest straszna rzecz. Obóz wszędzie jest taki sam. To był jeszcze obóz wojskowy. Przecież Rosjanie długo nie wiedzieli czy nie będą musieli nas odesłać do Niemiec. Bo myśmy przecież jeszcze nie wystrzelili ani jednej kuli przeciw Rosjanom. A potem zdecydowali, że jest lepiej nas wszystkich wyrzucić.

*Wracając do malarstwa. Ta ostatnia twoja wystawa w Polsce, skąd mieli twoje obrazy? Z Francji czy ze zbiorów prywatnych?*

Było dość dużo zbiorów prywatnych, zdaje się także z Muzeum Narodowego.

*Przedwojenne twoje rzeczy?*

Nie, nie, powojenne też trafiały do muzeów. Ale, naturalnie, to co możliwe było przywiezione stąd. Jest taki ksiądz, ksiądz Przekaziński, który jest naprawdę entuzjastą malarstwa, i który też pościagał te obrazy. U Jacka Woźniakowskiego było dość dużo, bo on zawsze tu dojeżdżał i czasami mu coś ofiarowywałem. Pamiętaj, że ja szalenie dużo malowałem. Przecież to jest 60 lat malarstwa.

*I gdzie jest najwięcej twoich rzeczy?*

Tylko Szwajcaria.

*Wiem, że w Lozannie gdzie masz tak często swoje wernisaże, jest ośrodek twoich wielbicieli.*

---

<sup>7</sup> 6 maja–28 czerwca 1986 roku — wystawa obrazów i rysunków w warszawskim Muzeum Archidiecezjalnym.

Tak. Tam jest taki marszand<sup>8</sup>, trudno mi powiedzieć, że to jest tylko marszand, to jest przyjaciel, któremu zawsze wszystko daję... Nie mogę ci tutaj nic pokazać, bo parę dni temu wszystko co zrobiłem ostatnio wysłałem do Szwajcarii, bo będę miał wystawę w końcu maja, czy w czerwcu... Ja uważam i co jest zabawne, także moi przyjaciele uważają, że one są najlepsze. Że jakbym do tego doszedł, rozumiesz, przez te długie lata pracy. Bo ja nie byłem zdolny.

*W takim razie jak doszedłeś do tego jeżeli nie byłeś zdolny?*

Namiętnie byłem przywiązany do malowania, bo to było moje życie, ale życie, z którego ciągle byłem wrywany, albo przez takie społeczne rzeczy jak chociażby kapiści i potem „Kultura”, i obóz, i lata w Rosji. Masę miałem dziur w moim życiu.

*Ale malarstwo było w nim sprawą najważniejszą?*

Więc właśnie. Właściwie tylko Wojtek Karpiński odkrył, że ja jestem pisarzem.

*Myślę że miałeś wiernych czytelników zawsze przez dziesiątki lat...*

To listy, listy. Nie brałem tego zupełnie na serio.

*Ale „Na nieludzkiej ziemi”...*

*Na nieludzkiej ziemi* to było sprawozdanie.

*Tylko sprawozdanie?*

Ja jestem strasznym przeciwnikiem *la vie romancée*, która była tak modna przez jakiś czas... Albo piszesz fakty i wtedy nie dodajesz nic, albo piszesz romans. A ludzie, którzy robią niby wspomnienia dodają do tego całą górę literatury, która fałszuje postać człowieka. To jest szalenie częste. I to Francja wprowadziła w pewnym momencie. Wtedy, kiedy moja siostra napisała *La vie de Mickiewicz* po francusku, to był okres kiedy się nieustannie pisało o różnych wielkich ludziach i autorzy sobie pozwalali na fantazje. W moich książkach piszę o Malraux z wielkim uznaniem, bo uważam, że *Les voix du silence* to jest ogromna książka, która uwolniła ludzi od dogmatu Winckelmanna, rozumiesz, klasycznego malarstwa, że głowa musi być ósmą częścią ciała i wszystko teoretycznie musi być ustawione. Nagle przyszły te wpływy różne, z różnych stron, był Picasso, którego rola była bardzo znaczna. I w ogóle zrozumieliśmy, że nie ma jednego ideału malarzkiego ale tysiąc ideałów malarzskich..., a książd, profesor historyk sztuki...

*Janusz Pasierb?*

...napisał, że ze wszystkim się zgadza co Czapski pisze za wyjątkiem tego, że popiera blagiera Malraux. Otóż ja uważam, że dla historyka to jest negatywna referencja jeżeli tak pisze o sztuce. Malraux może był blagierem, bo był powieściopisarzem. No i w tej dziedzinie on robił czasami niemożliwe gafy. Ale to był człowiek genialnego wyczucia i *Les voix du silence* jest książką, która zostanie, która już zrobiła ogromne wrażenie.

*Malraux znałeś osobiście?*

Tak.

*Czy on pomógł w jakimś stopniu „Kulturze”?*

Tak, bezwarunkowo.

---

<sup>8</sup> Richard Aeschlimann, właściciel i dyrektor Galerie Plexus w Chexbres.

### *Dlatego, że był blisko de Gaulle'a?*

Tylko w tym sensie... najprościej. Jak przyjechałem tu po wojnie, to poszedłem prosto do niego. Zaledwie go znałem, ale w tym środowisku żyłem i on o mnie już słyszał, i to jest właśnie rzecz, która u niego była wspianiała, przyjął mnie tak jakby mnie znał zawsze. On miał błysk jakiś zaufania. I ilość ludzi, którym pomógł jednym słowem, jedną wskazówką... ogromna. A jednocześnie robił rzeczy niemożliwie głupie. W jednej swojej powieści<sup>9</sup> — dwa grube tomy zdaje się i na ostatnich rozdziałach jest: *Mon ami Joseph Czapski m'a raconté*<sup>10</sup> — pisze, że był obóz polskich oficerów na Syberii, którzy głodowali, ale o 10 kilometrów od nich mieszkaly ich żony. Ty widzisz te żony mieszkające w Syberii o 10 kilometrów od obozu? I one, żeby podkarmić tych nieszczęśliwych ludzi, brały mąkę i obsmarowywały się mąką, i tak przychodziły do tego obozu. Tam one się rozbierały i mężczyźni zdrapywali tę mąkę... i lepieszki sobie z tego robili. Ginał zupełnie seksualizm kobiet, które wyglądały jak wzory greckie.

### *Jakaś taka nonszalancja dla faktów.*

Myślę, że wiem o co chodzi. Co ja takiego mogłem mu powiedzieć, co go zmyliło. Gustaw mi opowiadał, że był w obozie razem z Rosjaninem, uczonym skazanym wraz z żoną, też nie wiadomo dlaczego, z którym on się bardzo zaprzyjaźnił, i który dosłownie przymierał głodem, dlatego, że nie mógł wypełnić normy pracy, bo już był za słaby. A jego żona miała prawo wychodzenia z gmachu. Gustaw, który był siłacz, silny młody chłopak, był używany do przewożenia mięsa, mięsa tam wiele nie było, i mąki ze stacji do gmachu. I jak się bierze mąkę, jasna rzecz, masa zostaje tej mąki na ziemi i on chusteczką zbierał tę mąkę, i tę chusteczkę z mąką wchodząc do obozu wsuwał żonie swojego przyjaciela, która miała prawo wychodzić, ale naturalnie nic wynosić, nic wnosić. I ona tę chusteczkę przemycała do umierającego męża, który rzeczywiście robił z niej lepieszki i jadł. Rozumiesz, jeden człowiek, wypadek. I zrobić żeby to setki oficerów, kobiety rozbierały się *comme des nues au bain*<sup>11</sup>, nagie... zdrapywanie. To jest tak okropne... i wiesz, że ja nawet nie napisałem jemu i nie miałem pretensji. Bo wiedziałem, że on takie rzeczy już robił i mówił mi: *l'ecrivain a le droit à la fantaisie*<sup>12</sup>. Ale zdaje się, że ja trafiłem do de Gaulle'a właśnie przez niego, prawie na pewno. Najprościej. Miałem książkę Andersa o Rosji zadedykowaną de Gaulle'owi, którą Anders prosił mnie żeby wręczyć de Gaulle'owi. I tak go poznałem, to była jedyna właściwie okazja i istotne z nim spotkanie, i zaraz go zobaczyłem jako *personnalité* i jako pierwszorzędnego człowieka. A potem, po jego podróży do Moskwy, Anders chciał żeby on bezpośrednio opowiedział swoją obserwację. I byłem z Rublem, takim dziennikarzem polskim, który był bardzo blisko Andersa. I to, wydaje mi się, też mi Malraux zorganizował. Siedziałem jakieś trzy kwadransy i de Gaulle opowiadał, opowiadał dosłownie to wszystko, co jest napisane, nic absolutnie nowego.

### *Powiedziałeś mi masę już.*

Ale rozumiesz, zdaje się że Słonimski w „Wiadomościach Literackich” świetnie wykpił starych malarzy, pisarzy, którzy już jakieś stanowisko zajmowali i gdy ich pytano o dzieciństwo, opowiadali jacy to oni byli przemili chłopaczkowie, kradli czekoladki mamusi. Czasem mam taką niechęć do siebie, że tyle gadam... Zresztą napisałem artykuł o sobie, który się nazywa „Ja”. Adolf Bocheński, wiesz ten, który zginął na froncie, który był moim wielkim przyjacielem, i którego podziwiałem. To była świetna inteligencja, a przy

<sup>9</sup> A. Malraux, *Antimémoires*. Paris 1967, s. 596.

<sup>10</sup> (fr.) Opowiedział mi mój przyjaciel Józef Czapski.

<sup>11</sup> (fr.) nagie jak do kąpieli.

<sup>12</sup> (fr.) pisarz ma prawo zmyślać.

tym namiętność, żeby być pierwszorzędnym wojskowym, skoro był wojskowym. Więc właśnie on przeczytał moje wspomnienia, napisane tak z pamięci o Prouście i złożył mi ogromne powinszowania... On lubił chwalić i mnie bardzo pochwalił, i potem, żeby mi tak wyróżnić w ostatniej chwili mówi: dlaczego ty mówisz o sobie? Dlaczego ty napisałeś, że „ty” miałeś, że „ty” byłeś chory na tyfus? Kogo to interesuje, że byłeś chory na tyfus? Ja troszkę zbaraniałem i powiedziałem, że tylko dzięki tyfusowi poznałem Prousta. Później opowiedziałem to staremu Danielowi Halévy, który był naszym protektorem w Paryżu, i dla którego miałem największe przywiązanie, i cześć wprost. A on był znany nie tylko jako pisarz, ale jako znawca literatury, jemu młodzi pisarze przynosili swoje teksty... I on powiedział: *Ce n'est pas si simple. Les gents s'intéressent beaucoup avec qui vous avez en affaire? Qui vous-êtes?*<sup>13</sup> I napisałem „Ja”, cały artykuł o tych dwóch różnych ocenach.

*Jeszcze coś o twoich związkach z Polską, o zainteresowaniu w Polsce twoim malarstwem i o tych niewielu wystawach twoich rzeczy, które były w Polsce po wojnie. Pierwsza w 1957 bodajże, następna dopiero w ostatnich latach.*

Tak. Stosunków malarskich nie miałem prawie żadnych, dlatego, że nie wystawiałem ale przez cały czas „Kultury”, prawie w każdym numerze pisałem i pisałem przeważnie o malarstwie, o malarstwie współczesnym, które było wtedy we Francji. Dawałem tym ludziom w Polsce, którzy „Kulturę” czytali, informację o malarstwie i myślenie o malarstwie i to stworzyło moją książkę, która się nazywa *Oko*. I to była jedyna moja funkcja. Potem zaczęło przyjeżdżać coraz więcej ludzi, no i wśród młodych malarzy mam bardzo wielu bliskich przyjaciół, których nawet nie znam osobiście. I to mi się wydaje najważniejsze, co mogłem zrobić.

*Sprawia ci to satysfakcję, że rzeczy twoje są znane w Polsce?*

Dzisiaj daje mi to kolosalną satysfakcję, gdy mam z jakichś zupełnie nieznanymi miast polskimi listy, na przykład z miasta, które się nazywa Okoniek, na wybrzeżu. Ktoś pyta mnie, co by mógł mi ofiarować z kolekcji artystycznych, z tomów artystycznych, które w Polsce wyszły, czy Witkacego, czy Brzozowskiego, takiego malarza z Zakopanego.

*Tadeusza Brzozowskiego.*

Właśnie. Najprościej, z wdzięczności, bo tak mu cenne są moje książki. *Na nieludzkiej ziemi* miała niewątpliwie wielki odgłos w Polsce. I to nie z powodu mojego talentu czy braku talentu, ale najprościej, że mówiłem o Rosji, w której połowa Polaków straciła kogoś z rodziny.

*To jest już klasyk dzisiaj literatury tych strasznych lat.*

Tak, tak. To jest klasyk. To tylko można porównać z *Innym światem* Gustawa Grudzińskiego. Tylko, że *Inny świat* to jest o wiele groźniejsza i straszniejsza książka, bo Gustaw przeżył o wiele więcej niż ja. On siedział w prawdziwych strasznych więzieniach rosyjskich. I on te rzeczy opowiada z jego talentem i brutalnością. Uważam to za bardzo wielką książkę. Moja jest prawie słodka w porównaniu z tamtym, ale swoją rolę odegrała i odgrywa.

Opracowanie M.A.Supruniuk

---

<sup>13</sup> (fr.) To nie jest takie proste. Ludzi interesuje, z kim miałeś do czynienia. Kim jesteś?

# ROZMOWA Z JANEM NOWAKIEM JEZIORAŃSKIM ZAŁOŻYCIELEM ROZGŁOŚNI POLSKIEJ RWE

ROZMAWIAŁA ALINA GRABOWSKA

**Jan NOWAK JEZIORAŃSKI (USA)**

*Rozmowa odbyła się w maju 1997 roku w Warszawie w studiu Polskiego Radia.*

**Alina Grabowska:** *Panie dyrektorze, były trzy rozdziały w Pańskim życiu: wojenny, radiowy i waszyngtoński. Który Pan ocenia jako najważniejszy?*

**Jan Nowak Jeziorański:** Nie mam żadnej wątpliwości, że rozdział radiowy był ważniejszy niż wojenny. Rozdział wojenny był wielką i zarazem tragiczną przygodą wojenną. Byłem świadkiem historii, który oglądał jakby obie strony księżyca. Polskę z perspektywy Warszawy i z perspektywy Londynu. Ale byłem tylko świadkiem. Złożyło się tak jednak, że w czasie wojny żadnego wpływu na bieg wydarzeń nie wywarłem. Może bym wywarł, gdybym znalazł się w Warszawie przed Powstaniem na tydzień wcześniej. Tak twierdził Bór-Komorowski. Gdy dotarłem z moją oceną sytuacji, już było za późno, żeby cokolwiek zmienić, bo decyzje podjęcia walki były powzięte i wszystko było w biegu. Natomiast jeśli chodzi o Radio to nabrałem przekonania, nie od razu, ale po kilku latach naszej działalności, że wywieramy bardzo poważny wpływ na to co się dzieje w kraju. Być może gdyby nie nasza radiostacja, wydarzenia potoczyłyby się inaczej. Gdyby nie było audycji Światło, gdybyśmy nie usiłowali wywierać wpływu powściągniętego na społeczeństwo w 1956 roku, być może Polska przeżyłaby to, co spotkało Węgry, ale w daleko gorszym rozmiarze. Tak, więc i z taką oceną spotykam się w Polsce, że Radio wywarło bardzo duży wpływ na bieg wydarzeń.

*Ogromny. I za chwileczkę do tego przejdziemy, ale chciałabym jeszcze wrócić na samym początku do Pana obecnej działalności waszyngtońskiej.*

No więc właśnie. Z pewnym wahaniem to mówię, bo nie chciałem, żeby to brzmiało jako autoreklama, ale trudno mi powiedzieć, który z tych rozdziałów był ważniejszy: radiowy czy waszyngtoński. Bo jednak fakt, że byłem znany Amerykanom z mojej działalności radiowej otworzył mi drzwi do bardzo wielu decydentów, jak się to mówi. Olbrzymią pomocą był dla mnie Zbigniew Brzeziński. I w rezultacie znalazłem się w tej sytuacji, że jednak wywierałem wpływ na politykę supermocarstwa wobec Polski. Niechętnie to mówię bo jak powiadam, nie chcę podkreślać swoich zasług, ale muszę obiektywnie to stwierdzić, że moja obecność w kilku wypadkach zaważyła. Były różne fazy. Był okres KOR-u i pomocy dla Radia, bo Radio było zagrożone. Był problem Obrony Praw Człowieka. Później kwestia wspierania Solidarności zarówno w sensie politycznym jak i materialnym. I wreszcie stan wojenny. Problem sankcji. A ostatnio sprawa rozszerzenia NATO. W miarę upływu czasu znajdowałem coraz większy posłuch. Po prostu dlatego, że nie prosiłem o żadne stanowisko, ani o pieniądze i nauczono się tego, że moje rady, moje oceny mają pewną wartość. Dlatego dzisiaj mogą być przyjęte i przez dyrektora Państwowej Rady Bezpieczeństwa i przez zastępcę Sekretarza Stanu, i przez panią Madelaine Albright, z którą przyjaźnię się od 1978 roku. Więc wahałbym się, który z tych dwóch rozdziałów był ważniejszy. Czy rozdział radiowy, czy waszyngtoński.

*Ten radiowy, miał wielki wpływ na Pana pozycję.  
Niewątpliwie.*

*Zresztą dowodem tego jest przyznanie Panu przez prezydenta Clintona najwyższego cywilnego odznaczenia amerykańskiego, Prezydenckiego Medalu Wolności.*

Tak. To uznanie wynikało ze zbieżności interesów Stanów Zjednoczonych i Polski. Stany Zjednoczone wspierały nasze dążenia do demokracji i odzyskania niezależności, następnie do konsolidowania tej demokracji. Dlatego służba Polsce w latach zimnej wojny i później była jednocześnie służbą Stanom Zjednoczonym. To odznaczenie w pewnym sensie było dla mnie właśnie symbolem zbieżności interesów i celów Stanów Zjednoczonych i Polski.

*Panie dyrektorze, teraz wróćmy do samego początku. Jest rok 1950–1951, 1952. Jaką Pan miał koncepcję przy tworzeniu Rozgłośni Polskiej RWE? Dobierania personelu?*

To są dwa pytania różne. Jeśli chodzi o dobór personelu, uważałem że zasadniczym kryterium musi być talent. Miałem z czego wybierać. Żołnierska emigracja była wtedy niezwykle bogata w talenty. Bo przecież to była emigracja po wrześniu 1939 roku i po roku 1945. A więc miała w swoich szeregach wielu ludzi o niezwykłych kwalifikacjach. Zarówno wśród dziennikarzy jak pisarzy i artystów. Chciałem jednak połączyć te kryterium zawodowe z pewną równowagą polityczną. Zależało mi na tym, żeby to była jak gdyby koalicja jedności narodowej. I rzeczywiście tak się stało. Mieliśmy w zespole przedstawicieli wszystkich politycznych kierunków. Tadeusz Celt (Chciuk) reprezentował Mikołajczyka i PSL, Wiktor Trościanko — Stronictwo Narodowe, Michał Gamarnikow czy Włodzimierz Sznarbachowski — PPS. Operuję prawdziwymi nazwiskami. Słuchacze pamiętają Gamarnikowa jako Góreckiego. Władysław Wolski czyli Tański był z PPS. Taki dobór zapewniał pewną równowagę w naszych programach. Wydaje mi się, że udało mi się dobrać zespół, który zdecydował o sukcesie. Bo nawet najlepszy kierownik, czy naczelny redaktor niczego nie dokona, jeżeli nie ma pierwszorzędno garnitur ludzkiego. Ale drugie pytanie...



*Chodzi o koncepcję Rozgłośni. Mam na myśli koncepcję programową przede wszystkim. Otóż proszę pani, ja przeszedłem przez szkołę BBC. I odkryłem w tej radiostacji pewną zasadniczą słabość. Mianowicie to, że myśmy tam byli w gruncie rzeczy tłumaczami a programy redagowali Anglicy, którzy się nie umieli dostosować do zainteresowań polskich, polskiej tradycji. I te programy poza dziennikami radiowymi nie były dostosowane do mentalności polskiej. Otóż moja koncepcja polegała na tym, że RWE musi być namiastką polskiego radia. Inaczej mówiąc, musi być to radio, w którym będzie wszystko dla wszystkich tak, jak w sklepie samoobsługowym. Ale jednocześnie to musi być naprawdę radio polskie, które będzie niejako zastępowało wolne polskie radio, takie jakie ono by było, gdyby nadawało w Polsce wolnej i niepodległej. Zasadnicza różnica między BBC a Wolną Europą polegała na tym, że myśmy mieli autonomię redakcyjną w bardzo obszernych granicach. I dzięki temu można było dostosowywać nasz program do zainteresowań słuchaczy, rozwinąć swobodnie twórczą inicjatywę zespołu i poszczególnych ludzi i przemawiać przede wszystkim jak Polacy do Polaków. Tego nie da się symulować. Słuchacz wyczuwał, że mówią do niego Polacy, którzy kierują się troską o jego kraj a nie Amerykanie, którzy się ukrywają za Polakami. Moje pierwsze pytanie do Amerykanów było: czy to ma być głos Ameryki, czy głos Polaków, czy też ma to być głos Ameryki udający głos Polaków? I na samym początku mi powiedziano: to ma być głos Polski.*

*Tak, ja rozumiem to. Pytam Pana wszakże dlatego, bo choć sama pracowałam w Radiu przez ponad dwadzieścia lat, ale przyszłam do tej pracy w 1972 roku, czyli dwadzieścia lat po tym kiedy Pan zainicjował Rozgłośnię. I chciałam teraz zapytać, w tym czasie kiedy Pan kierował Rozgłośnią, czyli do 1975 roku, co Pana zdaniem... w których miejscach Rozgłośnia największy historyczny wpływ wywarła na sprawy polskie?*

Wymienię kilka. Powszechnie znaną jest ta prawda, że bez audycji Światło nie byłoby polskiego Października. To był punkt przełomowy. Oczywiście było kwestią szczęścia, że człowiek najlepiej poinformowany o tym co dzieje się w partii i o wszystkich jej zbrodniach, uciekł na Zachód. Ale faktem jest, że te audycje, a była ich ponad setka, wywarły olbrzymi wpływ. Były trzęsieniem ziemi i spowodowały te wszystkie przemiany i zmiany, które doprowadziły do polskiego Października, a w dalszej kolejności do rewolucji węgierskiej. To był punkt pierwszy. Druga rzecz: 1956 rok. Niewątpliwie wywarliśmy duży, powściągający wpływ, przede wszystkim na najbardziej skrajnych antykomunistów, na najbardziej zapalny element. I że wówczas nasza decyzja, niełatwa, bo byliśmy sami zaciekłymi antykomunistami, żeby w sposób dyskretny, ale zdecydowany wesprzeć Gomułkę, wywarła moim zdaniem duży wpływ powstrzymujący jakiś fatalny w skutkach zryw rewolucyjny.

*Zresztą prymas Wyszyński uczynił to samo.*

Oczywiście to nie tylko Wolna Europa, ale także prymas Wyszyński i różni ludzie w kraju oddziaływali w tym samym duchu. Panowała całkowita zbieżność stanowiska naszego zespołu oraz emigracji i elity patriotycznej w Polsce; trzeba robić wszystko, żeby nie dopuścić do powtórzenia się powstania warszawskiego. Żył w nas syndrom powstania. Mnie się wydaje, że na tle tego co się stało na Węgrzech, właśnie Październik podkreśla naszą samodzielność. Węgrzy działali zupełnie inaczej niż Polacy. Bo jedni i drudzy mieli w gruncie rzeczy swobodę. Amerykańskie wytyczne szły za nami. One powtarzały to, co myśmy robili a nie odwrotnie. I moim zdaniem, gdyby Węgrzy poparli Nagya zamiast go niszczyć i atakować, to być może i na Węgrzech doszłoby do jakiegoś kompromisu. Niestety, ich błąd polegał na tym, że oni uwierzyli na skutek pewnych symptomów chwiejności ze strony Moskwy, że mogą się pozbyć komunizmu całkowicie i że

Nagy jest przeszkodą na tej drodze. Na tym polegała zasadnicza różnica, że myśmy takich złudzeń nie mieli.

*Moczar. 1968.*

Nie, przed tym jeszcze powrót Polaków z Rosji.

*O, tak!*

Który dla mnie był źródłem wielkiej satysfakcji. Nie wolno było pisać o nich w ogóle. To było tak jak Katyń. Nie wolno było wspomnieć, że milion ludzi wegetuje w różnych gułagach i na zsyłce. W sposób bardzo wytrwały, bo to była kampania, doprowadziliśmy do tego, że reżim nie miał innego wyjścia, musiał ratować swoją pozycję i podjąć zabiegi o repatriację Polaków z Rosji. Już w okresie fali październikowej włączyło się w tę kampanię całe społeczeństwo. We własnej mojej świadomości jestem więc przekonany, że myśmy w sposób zasadniczy przyczynili się do powrotu tych biedaków. Następna rzecz, jak Pani powiedziała, to był Moczar. Rozmawiałem tu z kimś, kto należał do partii. I który powiedział, że Gomułka albo słuchał, albo czytał nasłuchy naszych audycji. I że pod wpływem niesłuchanie wytrwałej kampanii antymoczarowskiej zaczął w końcu podejrzewać Moczara, że chciałby on zająć jego miejsce. Myślę, że to było bardzo ważne, bo on był rzeczywiście na drodze do zdobycia władzy. I chciał sięgnąć po nią. Cokolwiek by powiedzieć o Gomułce, nie był on kryminalistą. Nie był zbrodniarzem tak jak Bierut. Moczar był zbrodniarzem. Mówi o tym jego przeszłość, zwłaszcza ten okres kiedy był szefem bezpieki w Łodzi. Słuchaliśmy opowiadań ludzi, którzy byli tam torturowani. To był typowy *godfather*, jak to się mówi po angielsku. Czyli szef mafii. Szef gangu. Zbrodniczego gangu. I jeśli by tę władzę zagarnął, to oznaczałoby to powrót do rządów stalinowskich, a więc do systemu, w którym szef policji jest jednocześnie szefem partii. I który zmusza tę partię do uległości terrorem i czystkami. Zdawałem sobie wtedy sprawę z tego olbrzymiego niebezpieczeństwa, ale napotykałem na pewne sprzeciwy w łonie samego zespołu, ze strony ludzi, którzy dopatrywali się w Moczarze polskiego nacjonalisty. Było to zupełnie fałszywe. Moczar tylko udawał nacjonalistę. Zaczynał karierę jako agitator w referendum na...

*W Białymstoku.*

W Białymstoku za przyłączeniem naszych ziem wschodnich do Rosji.

*Oczywiście.*

Nie był więc żadnym patriotą. Był bezwzględny człowiekiem, dążącym do władzy dla samej władzy. I niewątpliwie miał w sobie cechy zbrodnicze. Więc moim zdaniem, myśmy się przyczynili do zdemaskowania go w oczach społeczeństwa, a także do obudzenia podejrzliwości wobec Moczara, naprzód ze strony Gomułki a później Gierka. Skończyło się na tym, że Gierek go usunął.

*Panie dyrektorze, ja jeszcze chciałam...*

Nie powiedziałem o jednej rzeczy, moim zdaniem, szalenie ważnej. Kampania w obronie kościoła. Otóż ja uważam, że największym zagrożeniem dla kościoła był PAX. Dywersja PAX-u, który odgrywał wobec kościoła rolę „konia trojańskiego”. I który miał pokazywać, że można być jednocześnie katolikiem i walczyć z kościołem od wewnątrz. Największym niebezpieczeństwem było właśnie rozbicie kościoła od wewnątrz. Myśmy przy udziale niezżyjącego już księdza Józefa Bocheńskiego, bo on się do tego bardzo przyczynił, myśmy w sposób bardzo zdecydowany prowadzili kampanię przeciwko Piaseckiemu. Światło nam w tym pomógł, bo poinformował nas w jaki sposób PAX był zmontowany

przez NKWD. Moim zdaniem zdyskredytowanie PAX-u, odebranie mu wpływu, miało duże znaczenie. Podobnie jak nasza konsekwentna obrona prymasa, który był niestety atakowany także przez niektórych katolików *bona fide*. Obrona kardynała Wyszyńskiego pomogła kościołowi w przetrwaniu. Moją największą nagrodą było to, że kiedy byłem w Rzymie zaproszony przez Ojca Świętego Jana Pawła II na *lunch* w Castel Gandolfo, papież powiedział: nie wiem jak my byśmy sobie dali radę bez tej Wolnej Europy. I żegnając się bardzo serdecznie mnie uściskał i pocałował w oba policzki. Dla mnie, jako katolika była to wielka nagroda. Te kilka słów — „nie wiem jak byśmy sobie bez was dali radę”. Najważniejsza była ta codzienna, żmudna praca na rzecz uwalniania umysłów.

*Jeszcze coś tutaj bym dodała. Otóż mnie się zdaje, że Radio odegrało od pierwszej chwili ogromną rolę dla emigracji niepodległościowej na świecie. W Ameryce, w Londynie, we Francji. Przecież dzięki nam ta emigracja pisarze, działacze, politycy mogli mówić do kraju.*

Zgadzam się. To nie jest tak, że Wolna Europa była załogą ludzi, którzy pracowali w Monachium. Myśmy włączyli do audycji całe polskie zaplecze. Przede wszystkim ludzi tej miary co Wierzyński, Lechoń, Wittlin, Zygmunt Nowakowski, Baliński — setki innych. Także i przeciętnych zwykłych ludzi. Radio stało się dorobkiem całej emigracji.

*Tak, absolutnie.*

Staliśmy się dla emigracji lampą projekcyjną na kraj, cokolwiek by mówić o politycznej stronie emigracji, która w moim przekonaniu ograniczyła się do roli pewnego symbolu, miała ona olbrzymie zasługi w sensie swojej twórczości kulturalnej. Jeżeli chodzi o ilość ludzi, to był jeden powiat. A jednak ileż ta emigracja stworzyła udanych pozycji wydawniczych, które promieniowały na kraj. Zarówno przez nas, jak i przez Instytut Kultury w Paryżu, a także przez tak zwaną Polonia Press, którą prowadził Andrzej Stypułkowski a po nim Chodakowski, o której się teraz bardzo mało pisze i mówi, a odegrała przecież ogromną rolę w przrzucaniu drukowanego słowa. Niejako produktem ubocznym naszej działalności było wspomaganie właśnie kultury na emigracji. Udało mi się przekonać Amerykanów, że bez zaplecza takiego jak Biblioteka Polska w Paryżu, Biblioteka Polska w Londynie, Studium Polski Podziemnej, takich instytucji jak tygodnik „Wiadomości”, nie będziemy mogli spełniać swego zadania i popłynęły jednak spore pieniądze.

*Na ten cel, tak?*

Bez których nie byłoby powiedzmy Studium Polski Podziemnej, Instytutu Sikorskiego. Przede wszystkim Biblioteka Polska w Paryżu żyła tylko z tej dotacji miesięcznej, którą otrzymywała od RWE. Poszczególni pisarze dostali tak zwane stypendia.

*Stypendia RWE.*

Stypendia Komitetu Wolnej Europy.

*Bo w RWE też były stypendia.*

A, były, ale przede wszystkim było źródło zarobku. Taki Lechoń czy Wierzyński żyli dzięki temu, że mogli u nas zarabiać. To też była ważna funkcja. Podtrzymywanie kultury na emigracji i promieniowanie emigracji nie w sensie politycznym, ale kulturalnym na kraj.

*Aczkolwiek muszę powiedzieć, że te polityczne aspekty, fakt że w naszych archiwach, w naszej rozgłośni przechowały się wypowiedzi, orędzia, przemówienia wszystkich wielkich polskich polityków emigracyjnych to jest ogromny dorobek.*

Staliśmy się, jak gdyby, wolną trybuną dla takich ludzi jak na przykład generał Anders, czy Tadeusz Bielecki, przywódca Stronnictwa Narodowego, czy Stanisław Mikołajczyk, czy wreszcie Adam Ciołkosz. Było to potrzebne dla podtrzymania tradycji politycznych wielkich, demokratycznych polskich stronnictw. Wszyscy właściwie przywódcy emigracji, zarówno wojskowi jak i polityczni zabierali u nas głos.

*Tak. Panie dyrektorze, żeby zakończyć rozmowę na ten temat, jedno pytanie. Jaką chwilę w ciągu tych dwudziestu pięciu lat radiowych osobiście uważa Pan za najszcześniejszą, najbardziej udaną, najbardziej pamiętną dla Pana?*

Dwa były najszcześniejsze dni w moim długim życiu. Jedno to inauguracja Radia, 3 maja 1952 roku, a druga to 29 sierpień 1989 roku kiedy wróciłem do Polski. To były dni najszcześniejsze. Jak i to, że szczęście i tę euforię inauguracji RWE przeżywał cały zespół. Był to nastrój, którego nie zdołałem oddać w słowach. Myśmy zawsze mieli uczucie, że w jakimś sensie powracamy do Polski. Że my tam będziemy, że nasze głosy będą obecne we wszystkich polskich domostwach, jak Polska długa i szeroka. Zarówno w gospodarstwach wiejskich jak i w mieszkaniach ludzi w Warszawie, czy we Wrocławiu. To była niewątpliwie najszcześniejsza chwila.

*I zresztą sprawdza się Panie dyrektorze, po tylu latach mamy okazję ze sobą porozmawiać w studiu Polskiego Radia i przygotowujemy audycję dla programu I Polskiego Radia. To jest wzruszająca chwila.*

To jest wzruszające. Czy myśmy mogli sobie wyobrazić...

*Że to będzie miało miejsce.*

Że będziemy siedzieli tu w studio Polskiego Radia i mówili o Wolnej Europie. To jest spełnienie marzeń, które wydawały się snem.

*Musiał Pan prowadzić walkę na kilku frontach będąc kierownikiem tej rozgłośni. Z reżimem komunistycznym, a także w pewnym sensie z Amerykanami. Mam tutaj na myśli kierownictwo radia, względnie odpowiednie czynniki w Waszyngtonie. I z przeciwnikami na emigracji, miał Pan ich również. Może zaczniemy od Amerykanów. Skąd się właściwie brały konflikty kierownictwa Rozgłośni Polskiej z dyrekcjami amerykańskimi Radia Wolna Europa? Czy były w ogóle takie konflikty?*

Proszę Pani, był wspólny cel Amerykanów i Polaków: liberalizacja stosunków w Polsce, dążenie do wolności i uniezależnienia się. Ale to nie znaczy, że interesy amerykańskie i polskie były identyczne. I że oceny amerykańskie były zawsze zbieżne z naszymi. Problemem na samym wstępie była w Polsce tzw. polityka wyzwolenia, którą my, ludzie ulegający syndromowi powstania warszawskiego, traktowaliśmy z niepokojem. Uważaliśmy, że już w samym hasle „polityka wyzwolenia” jest możliwość budzenia niebezpiecznych nadziei. Bo zdawaliśmy sobie sprawę, zwłaszcza po rozruchach berlińskich, że za tym hasłem nie stoi gotowość przyjęcia z pomocą wojskową w wypadku gdyby w Polsce doszło do jakiegoś gwałtownego odruchu. Po drugie polityka wyzwolenia była niesłychanie dwuznaczna. Nigdy właściwie do końca nam nie powiedziano, czy ma ona polegać na wspieraniu przez Radio dążeń do samowyzwolenia, co w naszym przekonaniu musiałyby doprowadzić do katastrofy, bo takiej szansy nie było. Czy miała być zapowiedzią interwencji zbrojnej na rzecz wyzwolenia, czy też jakimś blefem? Nie wiadomo było. I na tym tle dochodziło do pewnych starć. Zwłaszcza po wydarzeniach berlińskich kiedy istniała tendencja do tego, żeby, zwłaszcza w audycjach do Czechów, wzywać ludność do bardziej aktywnego oporu, co prawie równało się wezwaniom do naśladowania rozruchów berlińskich. To był jeden punkt starcia, ale tu muszę powiedzieć, że w tej

sprawie napotykałem po prostu na ludzkie zrozumienie, że Polak, który przeżył powstanie warszawskie i pamięta wezwania Radiostacji Kościuszki ma moralne racje żeby być ostrożnym. Drugim problemem, dużo trudniejszym była sprawa granicy z Niemcami.

*O! Tak.*

Bo ostatecznie nadawaliśmy z Monachium, które było kiedyś gniazdem hitleryzmu i było siedzibą najbardziej szowinistycznych elementów niemieckich wysiedlonych z Sudetów i z naszego Śląska. I istniała obawa, że Niemcy mogą po prostu wyrzucić nas z Niemiec. A tylko z terytorium Niemiec mogliśmy nadawać, bo radio powstało kiedy Amerykanie jeszcze sprawowali suwerenną władzę nad swoją strefą okupacyjną w Niemczech. Postawili Niemców wobec faktu dokonanego. Zbudowali w Monachium nasze Radio. Niemniej jednak z chwilą, kiedy Niemcy stały się suwerenne, mogły w każdej chwili wycofać naszą licencję. Otóż na tym tle miałem bardzo dramatyczne starcia z Amerykanami, którymi kierowała nie tyle niechęć do samego uznania granicy na Odrze i Nysie ile obawa przed konfliktem z Niemcami. Musiałem tłumaczyć, że utracimy wszelką wiarygodność, jeżeli będziemy pomijali problem, który jest dla Polaków sprawą życia i śmierci. Gdyby nam odebrano te ziemie odzyskane to stalibyśmy się państwem kadłubowym, niezdolnym w ogóle do samodzielnego bytu. Na tym tle dochodziło do bardzo ostrych konfliktów i do walki o każde słowo. Bo w tym jednym wypadku Amerykanie żądali kontroli audycji przed ich nadaniem. Miałem kłopoty, bo układ polegał na tym, że my nie komentujemy sprawy granic, ale mają prawo mówić na ten temat przywódcy na emigracji. Niektórzy z nich, uważali że to jest świetna okazja, żeby wypróbować jak daleko można się posunąć. I niektórzy mówili o tych rzeczach w sposób naprawdę prowokacyjny. Byłem wtedy stawiany w bardzo trudnej sytuacji.

*Z obu stron jakby.*

No tak, bo musiałem także kierować się poczuciem odpowiedzialności za tę radiostację. No, nie mogłem dopuścić do zagrożenia samej radiostacji.

*Ale to jest wielka zasługa, bo rozgłoszła od pierwszej chwili opowiadała się za trwałością naszych obecnych granic.*

Jestem przekonany, że to wywarło wpływ na politykę amerykańską. Myśmy byli probierzem. Oto grupa antykomunistów, która jest w tej sprawie absolutnie solidarna. Tam nie ma ani jednego Polaka, który by zgodził się na ustępstwa w sprawie granicy z Niemcami. Tłumaczyliśmy nieustannie Amerykanom, że jeżeli będą w swojej polityce przeciwko naszej granicy, to wepchną największy naród w Europie Wschodniej w objęcia Sowietów. Po prostu będzie to działanie na korzyść przeciwnika. I Amerykanie to zrozumieli. Myśmy byli tymi, którzy na co dzień im to mówili. I te codzienne sprawozdania z rannych posiedzeń, które Amerykanie wysyłali dalekopisami do Nowego Jorku, a później do Waszyngtonu trafiały do najwyższych czynników. I ta nasza postawa, która zresztą nie miała charakteru szowinistycznego, wywarła jednak duży wpływ.

*Na pewno.*

To był jeden z ubocznych wyników naszego stanowiska. Później mieliśmy ogromny konflikt z amerykańską dyplomacją po Październiku. Kiedy myśmy uznali, że Gomułka prowadzi odwrót od Października i usiłuje likwidować wszystkie ustępstwa na rzecz społeczeństwa. Uważaliśmy, że my musimy mobilizować presję społeczną przeciwko temu. A ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie i Departament Stanu uważał, że Gomułka jest narodowym socjalistą na podobieństwo marszałka Tito.

*Gomułka?*

Tak. To jest polski Tito. A Wolna Europa przecież nie nadaje do Jugosławii, bo Ameryka nie chce przeszkadzać Ticie, wobec czego Radio jest niepotrzebne, a jeżeli już ma nadać, to nie ma prawa krytykować Gomułki. Była wielka batalia o to. Bo przecież ambasador Jack Beam publicznie zażądał, żeby zamknąć Rozgłośnię Polską Radia Wolna Europa.

*Wobec nowej jego zdaniem sytuacji w Polsce.*

Tak jest. Byliśmy o włos od zamknięcia radiostacji. Na dodatek po rewolucji węgierskiej myśmy stali się kozłami ofiarnymi. Amerykanie uznali, że pozostawili za dużo samodzielności Węgrom, co było nieprawdą, bo Amerykanie popierali linię węgierską. Po szkodziu doszli do wniosku, że trzeba wprowadzić cenzurę prewencyjną, żeby to się nie powtórzyło. Myśmy cenzurę odrzucili i zagroziliśmy strajkiem. Zarysowała się tu solidarność wszystkich zespołów redakcyjnych. Ale zespół polski prowadził tę akcję.

*Tak.*

Krótko mówiąc mieliśmy bardzo dużo konfliktów. Były także konflikty natury administracyjnej. Na przykład...

*Pieniądzy brakowało stale przecież.*

Pieniądzy, albo jakieś pomysły reorganizacyjne, które były zupełnie od rzeczy.

*Ale Panie dyrektorze...*

Była to właściwie codzienna walka.

*Oczywiście. Tylko wydaje mi się, że w tych sprawach, o których Pan mówił, była jednogłośnie i było niewątpliwie poparcie polskiego zespołu jeśli chodzi o sprawę granic na Odrze i Nysie, czy w sprawie Gomułki, późniejszego traceniu zdobycy Października. Ale były najrozmaitsze konflikty również i w samym zespole i ze środowiskami emigracyjnymi.*

Zacznijmy od emigracji.

*Tak.*

Te konflikty były na początku. Po Jałcie panowała ogromna nieufność wobec Amerykanów. I był element zazdrości ludzkiej. Bo nasz zespół znalazł się w sytuacji ogromnie uprzywilejowanej. Otwarcie Radia Wolna Europa spotkało się z falą ataków prasy emigracyjnej. Przy czym szczególnie szkodliwe i dotkliwe były dla nas ataki paryskiej „Kultury”, która przedostawała się do kraju. Inne ataki także były dla nas bardzo niebezpieczne, bo stanowiły broń w rękach propagandy przeciwnika. Słuchacz albo czytelnik nie wierzył temu co mówił reżim, ale cytowane organa emigracyjne miały większą dużo wiarygodność. Szczególnie Klaudiusz Hrabek specjalizował się w atakach na nas. A później się okazało, że był od początku agentem reżimu. Po jakimś czasie ataki prasy emigracyjnej ucichły. Ponieważ ja stosowałem politykę „otwartych drzwi” wobec emigracji, miałem z nią w gruncie rzeczy coraz mniej kłopotów i coraz więcej poparcia. Nie mogę więc powiedzieć, że bym na tym odcinku napotykał coraz większe trudności. Wręcz odwrotnie. Największe kłopoty miałem z „Kulturą” paryską, która nie słuchała naszych audycji ale być może widziała w nas rywala, którym nie byliśmy. Myśmy nadawali przeglądy i wyjątki z każdego numeru „Kultury”. Raz na miesiąc było 10 minut poświęcone przeglądowi najnowszego numeru „Kultury”. Aczkolwiek miałem trudności z Jerzym Giedroyciem, ale nigdy się one nie przerodziły w antagonizm osobisty. Pomimo tych

trudności, utrzymywałem z nim kontakt. On był dwa razy u nas, a ja ile razy byłem w Paryżu, zawsze z nim się spotykałem. Ale muszę powiedzieć, że te ataki w „Kulturze” były dla nas poważnym problemem. Wydaje mi się, służyły one panu Jerzemu, za dowód, że jest niezależny od Amerykanów.

*Tak, tak. Całkowicie suwerenny.*

Jest niezależny od Amerykanów, bo atakuje instytucję sponsorowaną przez Amerykanów.

*Tak.*

Problem zespołu...

*Właśnie, tu chciałam Pana zapytać, czy to chodziło o jakieś takie, tak zwane cechy narodowe Polaków, czyli zawiść, kłótniwość, czy też może i Pana cechy charakteru przyczyniły się do powstania pewnych konfliktów?*

Proszę Pani, w początkowym okresie nie było tych konfliktów. Byli oczywiście ludzie, którzy mnie nie lubili, ale panował nastrój tak ideowy, ja sobie mówiłem, że to jest nieprawda, że Polacy są anarchiczni. Bo właściwie rządzenie nimi jest łatwe. Miałem problemy na przykład wtedy, kiedy chodziło o nadawanie Światły. Bo byli ludzie, którzy się buntowali, mówili to jest zbrodniarz, ma ręce unurzane we krwi, on był jednym z przestawców a teraz on ma obok nas występować, na naszej antenie.

*To różnica taktyki jakby.*

Nie, to była różnica zasad. Że my... że Światło był wrogiem i zbrodniarzem, którego nie wolno rehabilitować dopuszczając do mikrofonu. Odpowiadałem na to, że w sądzie prokurator przyprowadza jako świadków także zbrodniarzy prosto z więzień. Od początku zdawałem sobie z tego sprawę, że Światło to straszna okazja, której nie wolno zmarnować. I w tym wypadku rzeczywiście użyłem swoich uprawnień, że tak powiem, dyktatorskich i zadecydowałem, że bez względu na opozycję wewnętrzną w Radiu audycje Światły będziemy nadawali.

Miałem 38 lat jak zostałem dyrektorem nie miałem tego doświadczenia, które mam dziś. Starałem się być wobec ludzi życzliwy. Ale jednocześnie... wziąłem te lekcje od Adama Ciołkosza, który mówił: niech pan nie zmienia redakcji w parlamencie. Bo jeżeli pan zrobi ze swojej redakcji polski sejmik, to wyzwoli pan z Polaków przerosty indywidualności, które uniemożliwią egzekwowanie decyzji. Mówił mi Ciołkosz: jestem demokratą, byłem posłem do Sejmu, więźniem Brzeskim. Ale byłem także redaktorem „Robotnika” i byłem żołnierzem, dowódcą kompanii. A dowódca kompanii musi wydawać rozkazy. Żołnierze nie mogą rządzić kompanią. I to samo jest w redakcji. Kolegializm w redakcji jego zdaniem nie popłaca. I doradzał: niech pan ludzi stara się przekonywać, ale niech pan podejmuje własne decyzje. I ja się do tego zastosowałem. Aczkolwiek, rozumiałem, że są pewne granice narzucania innym swojej woli, że gdy nastrój zespołu jest w jakiejś sprawie zdecydowanie przeciwny, nie mogę wiecznym swego poglądu narzucać. Natomiast, mając bardzo dużo do roboty, byłem bardzo niecierpliwy wobec ludzi. I jeżeli ktoś przychodził mi głowę zawracać, to spotykał się z bardzo ostrą reakcją. A po drugie, nie wyrzucałem ludzi z pracy, chociaż mogłem. W pierwszym okresie wystarczyło zadzwonić do wydziału personalnego i powiedzieć: proszę go zwolnić. I Amerykanie bez pytania zwalniali. Ja tej władzy nie nadużywałem. Ilość ludzi, których ja usunąłem w ciągu 25 lat, to było około 6. Biorąc pod uwagę, że przesunęło ich się co najmniej 200 w ciągu takiego długiego czasu, to nie było wielu. Natomiast utrzymywałem dyscyplinę tym, że krzyczałem.

*To jest prawda, potwierdzam!*

Tak. Otóż krzyczałem na ludzi. Byłem niecierpliwy i po prostu czasami komuś nadepnałem na odcisk. Dzisiaj już bym postępował inaczej, inną stosował metodę. Ale mówiąc szczerze niewiele mam sobie do wyrzucenia, dlatego że jak przychodziło do choroby, czy jakiejś niedoli, czy faktu, że powiedzmy ni stąd, ni zowąd Amerykanie odmawiają wizy emigracyjnej, bo jego brat akurat schwytyany był kiedyś na jakiejś współpracy w wywiadem PRL, to ja wtedy rzucałem wszystko i walczyłem o tego danego człowieka. Więc rzeczywiście gdyby mnie ktoś zapytał: jaki pan błąd popełnił? Odpowiedziałbym, że było nim zbyt ostre traktowanie ludzi. Ale dzięki temu, że ludzie mnie się jednak bali, mogłem nie wyrzucać. Bo nie było właściwie sytuacji takiej, w której nie ma innego wyjścia, jak tylko wyrzucić. Wystarczyła świadomość wśród ludzi, że ja mogę ich usunąć, żeby utrzymać dyscyplinę. Później to się bardzo zmieniło.

*No właśnie.*

Front wewnętrzny stał się najtrudniejszy w ostatnim okresie. O ile w pierwszym miałem bardzo mało kłopotów ze swoim własnym zespołem i uważałem, że nie ma łatwiejszego materiału ludzkiego do kierowania niż Polacy, o tyle później niestety musiałem zmienić zdanie. Bo zmieniły się już uwarunkowania.

*Może chce Pan teraz powiedzieć coś bliższego...*

Tak. Dopóki panował duch ideowy, który cechuje rewolucjonistów nie było problemów. Kto to jest rewolucjonista? Rewolucjonista to jest człowiek tak oddany swojej idei, że zupełnie nie dba o siebie. Zapomina o swoich potrzebach. Zapomina o pieniądzach. Zapomina o wygodach. O używaniu życia. Czerpie swoje szczęście z realizowania swojej idei. Takimi byli nie tylko pierwsi chrześcijanie, ale także powiedzmy bolszewicy. Takim człowiekiem był Lenin, w pierwszym okresie. To był człowiek całkowicie oddany swojej idei. Otóż ten duch panował w zespole polskim przez pierwsze lata. Było niesłychanie wzruszające jak ludzie pracowali dla idei. Prowadziłem pierwsze rozmowy z kandydatami do pracy w obecności Amerykanów. Później już nie. Mówili mi oni: wie pan, to co nas zdumiewa, że oni nie pytają ile będą mieli pensji. Pytają tylko czy będzie dość, żeby utrzymać rodzinę i dzieci, żeby były w szkołach i tak dalej. Ale nie pytali, ile oni dostaną na rękę. Otóż ten duch, bardzo ideowy, ludzi którzy znajdowali szczęście w tym, że mogą swemu krajowi służyć, że to jest ważny instrument, że oni mają wpływ na to, co się dzieje w Polsce, znajdują ujście dla swoich zdolności. I ten okres wspominam ze wzruszeniem. Rewolucjoniści nie mogą zakładać związku zawodowego. I gdy mnie pytano, czy będę się przeciwstawiał założeniu związku zawodowego, powiedziałem — nie. A dopiero później zrozumiałem, że związek zawodowy jest konieczny w fabryce, w zakładzie pracy ale ludzie którzy pracują dla idei, nie mogą tworzyć związku zawodowego. Bo jak się okazało, związek zawodowy kompletnie zabija ideowość pracy. Wszystko przedstawione jest na tory walki o to, żeby mieć większą pensję, wyższe emerytury, dłuższe wakacje i mniej pracować. Kiedy rodzi się postulat ograniczania godzin pracy powstaje konflikt z głównym celem. Tymczasem prawo niemieckie i związki zawodowe zapewniają pracownikowi kompletny immunitet. I jego zwierzchnik traci możliwość jakiegokolwiek sankcji. I w tym momencie od razu się odezwała polska anarchia. Wtedy dopiero zrozumiałem, co to jest ta cecha polskiego charakteru, która niszczy autorytet zwierzchnika lub przywódcy, w której się wyładowuje polska skłonność, że każdy wie lepiej, i w której jak powiadam rządzenie staje się rzeczą trudną. W ostatnim okresie, tego rodzaju nastawienie uniemożliwiało mi zupełnie utrzymanie nie tylko pewnego minimum dyscypliny, ale także sprawiedliwości w rozkładzie pracy. Bo byli ludzie, którzy nie robili nic i nie można było nic im zrobić. I byli ludzie, którzy ciężko pracowali z własnej woli. Cze-



sto przychodzili do mnie i mówili: jestem takim samym pracownikiem jak ten człowiek, który pisze kilkanaście wierszy na tydzień. Czy to jest sprawiedliwe? niesprawiedliwe, ale nic nie mogłem zrobić. Nawet wysłanie listu z reprimendą wymagało zgody związku zawodowego, który prawie z reguły jej odmawiał.

*Panie dyrektorze, tak, ja muszę powiedzieć, że nie w pełni podzielam Pana poglądy, mam do tego prawo. Nie w pełni podzielam, bo osobiście sądzę, że ta rola związków zawodowych jest niezbędna w społeczeństwie demokratycznym.*  
Jest niezbędna.

*Także w redakcji. Natomiast potwierdzam w pełni, że ten system jaki panował w Radiu prowadził do tego, że część osób pracowała rzeczywiście z wielkim wysiłkiem, część nie robiła nic. To jest prawda. Bo nie było żadnych finansowych, czy jakichkolwiek innych nagród związanych z ilością pracy.*  
Tak.

*To był system, pensji stałych i trwałych.*

Jestem przekonany, że gdyby nie było związku zawodowego, to zespół byłby wykorzystywany w sensie wynagrodzeń. To jest prawda. Ale faktem jest, jeżeli tworzy się zespół, który walczy o jakąś ideę i chce się jej bez zastrzeżeń poświęcić, tej idei, nie wolno mu zakładać związku zawodowego. Bo wtedy celem staje się pensja, emerytura, krótkie godziny pracy, długie urlopy. I niestety rola związku zawodowego w Wolnej Europie stała się niszczycielska. Dzięki temu Radio musiało się przenieść do Pragi, bo funkcjonowanie w Monachium wobec niemieckiego prawa pracy stało się niemożliwe.

*Koszty bardzo wysokie?*

Nie, nie tylko. Zespół ludzi był zbyt wielki, bo nie można było usunąć tych, którzy stanowili martwe drzewo.

*Niemniej, kiedy ja rozpoczęłam pracę w Radiu na początku lat siedemdziesiątych, to rzeczywiście wielka część zespołu, duża część zespołu była Panu nieprzychylna. To fakt.*  
Proszę Pani, niewątpliwie tak. Do tego przyczyniła się przede wszystkim dywersja, którą prowadziły wtyczki Bezpieki jakie tam były w tym zespole, które świadomie mobilizowały zespół przeciwko mnie. I ja mam na to dowody.

*Mówił o tym generał Szlachcic.*

Wywiad rzeka. Nie wiem z kim ten wywiad prowadził. Powiedział: naszym celem było rzucanie kłód pod nogi Nowakowi. Otóż ja tego doświadczyłem. I to było możliwe dzięki temu, że wtyczki znalazły się w związku zawodowym. I wykorzystywały prerogatywy związku zawodowego, żeby mi uniemożliwić kierowanie zespołem.

*Żeby naciskać.*

A po drugie nieustannie mobilizować niechęci wobec kierownika zespołu. Ja szczerze mówiąc miałem ten arbitralny sposób rządzenia, bo wiedziałem, że zamienienie się tego zespołu w sejmik, to byłby koniec.

*Tak.*

Ale moi następcy mieli te same trudności co ja, niestety.

*Tak. Panie dyrektorze, minęły lata i osobiście byłam świadkiem jak się zmieniło nastawienie bardzo wielu pracowników. Ja mówię o tych ludziach, że tak powiem, porządnym, którzy byli omamieni czymś. I potem pod koniec istnienia Radia, stosunek do Pana u tych ludzi bardzo się zmienił na korzyść. W pełni zaczęli uznawać Pana gigantyczną rolę jako twórcy rozgłośni. I to było widać podczas rozmaitych spotkań koleżeńskich. Pan przyjeżdżał do Monachium w końcu lat osiemdziesiątych. I potem się spotykaliśmy z okazji 40-lecia Rozgłośni. Przecież to nastawienie się niebywale zmieniło. Więc jak by powiedzieć? Pana polityka — Pana polityka wygrała w końcu!*

Nawet Tadeusz Nowakowski, który był jednym z tych moich krytyków powiedział w końcu nie mnie, tylko innym, że potrzebna była żelazna ręka Jana Nowaka. To się teraz okazało.

*Radio Wolna Europa nawet w przyjaznych sformułowaniach występuje czasem jako cytuję „ośrodek dywersji”. Na przykład, jakiś czas temu w „Gazecie Wyborczej” były szef Urzędu Ochrony Państwa, Gromosław Czempiński, tak to powiedział. Określił Radio Wolna Europa słowami, że był to ośrodek dywersji ideologicznej. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to określenie zdziwiło. I oczywiście propagandziści PRL nieustannie prezentowali nas jako jadowity ośrodek CIA, jako ośrodek szpiegowski. A może teraz Pana poproszę o kilka słów na temat rzeczywistej roli CIA w prowadzeniu Radia. Jakie było nasze uzależnienie od CIA i jakie było nasze uzależnienie od wywiadu amerykańskiego?*

Otóż muszę powiedzieć, że to oświadczenie Czempińskiego mnie zaskoczyło i zmartwiło. Wydawało mi się, że to jest jeden z tych ludzi, którzy zerwali z ideologią, jaka panowała w czasach PZPR i którzy zrozumieli, że Polska była wasalnym państwem, któremu system i rząd został narzucony przemocą. I że Wolna Europa, zaprezentowała walkę o niepodległość a nie ideologiczną. Miałem kiedyś ostrą debatę z byłym podsekretarzem obrony USA, który właśnie to powiedział: przecież właśnie ci ludzie, którzy byli kiedyś narzędziami KGB, w dalszym ciągu tkwią w rządzie. Czy my możemy dopuszczać Polskę do NATO, wiedząc że cały jej aparat policyjny jest obsadzony przez tych samych ludzi? Bardzo ostro mu wtedy odpowiedziałem. A z tego widzę, że to on miał rację a nie ja. Świadczy o tym człowiek który wciąż uważa, że Wolna Europa to była dywersja.

*To nie jest oświadczenie, on tak mimochodem...*

Wszystko jedno, ale to jest tak zwany nawyk. To co powiedział Giedroyc o Oleksym. On „działał z nawyku”. Z nawyku biesiadował z przedstawicielem KGB na Polskę. I w dalszym ciągu jak się okazuje, taki Czempiński, który do niedawna był podsekretarzem, był wiceministrem...

*Był szefem UOP-u.*

No tak. Okazuje się, że on także ulega temu nawykowi.

*Otóż to. Proszę słowo może, na ile nieuzasadnione jest posądzanie Radia Wolna Europa o to, że było ośrodkiem dywersji.*

Proszę Pani, czy to w ogóle zasługuje na jakąś odpowiedź?

*Ma Pan rację, może tak.*

Czy w ogóle należy odpierać tego rodzaju oświadczenia?

*Parę tylko programów zachowało się w archiwach telewizji. W tym na przykład z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych jest troszeczkę, ale bardzo mało. Ze stanu wojennego prawie w ogóle nie ma. Jest parę audycji z udziałem Czechowicza i parę dyskusji o Radiu*

*Wolna Europa. Proszę powiedzieć ile jest prawdy w twierdzeniu, że Czechowicz nie był jedyną wtyczką безпеki a zespół był kompletnie spenetrowany. Chcę powiedzieć, że w okresie III Rzeczypospolitej zaczęły się ukazywać rozmaite pamiętniki, jakieś wspomnienia, książki, opracowania byłych pracowników SB i MSW. I wywiady. W tych tekstach Radio się prezentuje jako całkowicie przeżarte agentami. Na przykład taki Henryk Piecuch, jeszcze nie tak dawno, bo 10–12 lat temu wydawał książeczki w MON-ie o tym jak CIA i Radio Wolna Europa angażują szpiegów w Polsce. Teraz odwrotnie, wydaje książki, z których wynika, że Rozgłośnia była wypchana agentami polskich służb bezpieczeństwa.*

Służby bezpieczeństwa bardzo lubią chwalić się swoimi sukcesami i wyolbrzymiają je. Albo wręcz stwarzają legendy, które żadnych podstaw nie miały. Bezpieka chciała, żeby ją uznawano na instytucję wszechmocną i wszechobecną. Trzeba odróżnić pewne okresy jeśli chodzi o Wolną Europę. Próby wprowadzenia wtyczek istniały od początku i kończyły się za każdym razem katastrofą. Po prostu dlatego, że agenci byli wykrywani na samym początku. Po drugie, mieliśmy sporo pewnej intuicji. Pamiętam jakiegoś uchodźcę, który do nas przyjechał dzieląc się informacjami o Polsce. W pewnym momencie zacząłem go podejrzewać, zwróciłem na niego uwagę naszej służby bezpieczeństwa, która zaczęła go obserwować i zauważyli, że on nadał jakiś telegram.

*Z poczty?*

Z poczty. Oczywiście okazało się, że telegram był wysłany na skrzynkę znaną już kontrwywiadowi amerykańskiemu jako skrzynka wywiadu polskiego. Ten pan Brydak, którego ja nie przyjąłem do RWE dostał się jednak do Głosu Ameryki, ale został aresztowany. Niestety wypuszczono go i wywedrował do Polski. Był taki inny agent, który się nazywał Jabłoński, pamiętam, który także został zdekonspirowany. Otóż w tym pierwszym okresie jednak przedostanie się do naszego wnętrza było bardzo trudne, a to co pisała o nas prasa było pełne bzdur, które zdradzały po prostu kompletną ignorancję. Co do ludzi, pamiętam jak pewien pan, który jest teraz awansowany na dyplomatę?

*Pan Daniel Passent.*

Pamiętam jak pan Passent, który obecnie zajął... ma reprezentować Polskę...

*Jako ambasador.*

Napisał w „Polityce”, że Jan Nowak to przedwojenny pułkownik Wojska Polskiego, który został w 1929 roku wyrzucony z wojska za homoseksualizm.

*Tak, tak napisał.*

Otóż ja w 1929 roku miałem lat 15. Więc w żadnym razie pułkownikiem Wojska Polskiego być nie mogłem. Dla mnie ta bzdura była bardzo pocieszająca, bo stanowiła dowód, że przeciwnik nic o nas nie wie.

*Otóż to!*

To się zmieniło w chwili kiedy powstała Misja Polska.

*W Berlinie.*

W Berlinie i we Frankfurcie. I kiedy powstała ambasada po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Jak również pod wpływem nastrojów w kierownictwie partyjnym, które zwalczanie Wolnej Europy zamieniło w historię. To było tak, jakby w ogóle istnienie Polski Ludowej zależało od tego, czy reżym zdoła rozprawić się skutecznie z Wolną Europą, czy nie.

*No, może troszkę zależało.*

I wtedy pan Stefan Olszowski, który był członkiem i Biura Politycznego i sekretarzem KC, właściwie stworzył z tego jakąś *priority*, jakieś główne zadanie.

*Walka z Wolną Europą?*

Tak jest. I wtedy rzeczywiście zaczęła się penetracja i moim zdaniem... to nie moje zdanie, powiedział to Franciszek Szlachcic, że Bezpieka miała trzech agentów operacyjnych, w naszym zespole. Ale to był już okres po roku 1971. I ja wierzę w to, że było co najmniej trzech agentów operacyjnych. Co znaczy agent operacyjny? To nie jest ten, który zbiera i przekazuje informacje. To jest ten, który ma określone zadania do wykonania w zespole. Tym określonym zadaniem było, przede wszystkim zniszczenie mnie. Bo przesadnie sobie wyobrażano, że jeśli ja odejdę, to Radio straci skuteczność. Nieprawda. Było dalej skuteczne, mimo że mnie nie było.

*Proszę Pana, ja rozumiem, że działalność w zamierzeniu agenturalna na terenie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, działalność agenturalna komunistów była jednoznacznie skierowana przeciwko Panu. Natomiast nie doprowadziła do wykrycia jakiś kontaktów naszych, nikt nie poniósł straty, żaden nasz człowiek, z którym mieliśmy kontakty w Polsce żadnych szkód nigdy nie poniósł.*

Dwie są przyczyny. Pierwsza rzecz, że wszystkie kontakty moje, mojego zastępcy i moich kolegów były skutecznie otaczane tajemnicą. Niektórzy z rozmówców byli na samym szczycie. Sprawozdania z tych rozmów były trzymane w kasie pancernej w specjalnej piwnicy, która także była kasą pancerną. I żaden z ludzi, z którymi ja rozmawiałem, a rozmawiałem z... mogę powiedzieć teraz już, z nieboszczykiem ministrem Rapackim, który był moim starszym kolegą szkolnym. Spotkałem się z nim w Wiedniu. Rozmawiałem z Oskarem Lange, który był przewodniczącym Rady Państwa. I dla każdego z tych ludzi, jakakolwiek moja niedyskrecja oznaczała koniec kariery. I nikt z nich nie ucierpiał. Nikt z ludzi, z którymi utrzymywałem regularne kontakty nigdy nie ucierpiał.

*To potwierdził również Władysław Bartoszewski, z którym przecież Pan także utrzymywał wieloletnią przyjaźń, on potwierdził panów kontakty. Po prostu UB o tym nie wiedziało.*

Nie wiedziało. Ja mógłbym wymienić cały szereg ludzi, profesorów uniwersytetu, reżyserów teatralnych. Taki Bogdan Korzeniewski był w bardzo bliskim kontakcie z nami. Nikt z nich nigdy nie ucierpiał.

*I to jest najważniejsze może. To jest najważniejsze w tej sprawie. A proszę powiedzieć, może teraz po latach, czy my jakieś zdobyte informacje przekazywaliśmy wywiadowi amerykańskiemu?*

Nigdy! Nasze informacje lądowały wszystkie na moim biurku. I były przeznaczone do prasowego rozpowszechniania. Tak jak normalnie w każdej redakcji. Szły do Nowego Jorku i każdy miał do nich dostęp. Dziennikarz, urzędnik departamentu stanu i także urzędnik CIA. To były wiadomości, z wyjątkiem źródeł i z wyjątkiem rozmów szczególnie strzeżonych, otwarte dla wszystkich. Decydowałem o utajnieniu, albo nagłośnieniu wiadomości głównie na dwóch podstawach. Po pierwsze, czy wiadomość jest wiarygodna, a po drugie, czy ja kogoś nie narażę, nadając ją. I to były moje jedyne kryteria. Pierwsze: wiarygodność a drugie, czy przypadkiem ktoś na tym nie ucierpi. I na tym się kończyło. Byliśmy więc czysto dziennikarską redakcją.

*Ja nie przypominam sobie w ciągu lat mojej pracy w Rozgłośni, żeby ktokolwiek, kiedykolwiek wpadł na pomysł, żeby mi dać jakiekolwiek zadanie wywiadowcze. Zadaniem naszym było prezentowanie wiarygodnych informacji i komentowanie ich.*

Mówiąc szczerze, ja wtedy kiedy pisałem różne oceny, albo kiedy uważałem, że rozmowa jakaś była szczególnie ważna, w duchu miałem nadzieję, że to dotrze na bardzo wysoki szczebel. Bo to był sposób oddziaływania na politykę amerykańską. Ocenę sytuacji w Polsce. Więc miałem nadzieję, ale nigdy nie miałem żadnej wskazówki czy to dotrze, kto to będzie czytał i tak dalej.

*Panie dyrektorze, Pan przeszedł na emeryturę po 25 latach pracy w Rozgłośni. Pamiętam ten dzień kiedy Pan odchodził. Czy Pan odszedł z własnej inicjatywy?*

Absolutnie z własnej inicjatywy. Nawet muszę powiedzieć, że mój zamiar z początku spotkał się z dużą niechęcią ówczesnego dyrektora Ralpa Waltera. Moim motywem było to, że sekretarz stanu Henry Kissinger patronował wyraźnej polityce rozbiórki Radia. I ja miałem być tym wykonawcą, który miał zwalniać ludzi, prowadzić stopniowe redukcje personalne i budżetowe, które musiały doprowadzić do zatargu ze związkami zawodowymi. Musiały wpłatać Radio w Bóg wie ile konfliktów prowadzących do katastrofy. I wtedy kiedy ja się dowiedziałem, że Kissinger nie pozwolił odnowić licencji Hiszpanii dla anten Radia Swoboda...

*Przekaznik?*

Przekaznik. Czyli wiedziałem, że intencja jest, żeby Radio zamknąć. Zapobiegł temu amerykański Polak, Zabłocki, kongresman, który był wtedy albo zastępcą przewodniczącego komisji spraw zagranicznych Kongresu, albo przewodniczącym. Nabrałem pewności, że Radio jest w stanie rozbiórki i że przypadła mi rola tego demontażu. Nie chciałem się tej roli podejmować. To było jedno. A po drugie, kierowanie zespołem stawało się coraz trudniejsze. I to były dwa elementy, które mnie skłoniły do przejścia na emeryturę. Pierwsza ocena okazała się błędna, bo nie mogłem przewidzieć, że mój osobisty przyjaciel Zbigniew Brzeziński stanie się dyrektorem Państwowej Rady Bezpieczeństwa i Radio uratuje. Chociaż moje przewidywania nie sprawdziły się, nie żałuję mojej decyzji. Jest bardzo ważną rzeczą by człowiek, który znajduje się na jakimś wysokim stanowisku wiedział kiedy odejść. 25 lat dyrektorowania to jest bardzo długi okres. A ja byłem tylko na skromnym stanowisku dyrektora. Czułem się bardzo zmęczony. I ludzie byli zmęczeni moją osobą. Nie złożyłem rezygnacji, ani o dzień za wcześnie, ani o dzień za późno. Miałem dwa lata przerwy, w czasie której napisałem *Kuriera z Warszawy*. A później miałem okres waszyngtoński, który okazał się bardzo produktywny. Dobrze zrobiłem, że odszedłem. I będąc w Waszyngtonie bardziej mogłem pomóc Radiu, aniżeli w Monachium.

*A jak Pan ocenia wobec tego Rozgłosnię po pana odejściu? Pan przekazał tego dnia kiedy się rozstawaliśmy, pamiętam tę scenę w naszym dużym studiu, Pan przekazał paczkę panu Zygmuntovi Michałowskiemu. Potem Radio istniało jeszcze prawie 20 lat. Jak pan ocenia działalność Rozgłośni?*

Była to jedna z moich najlepszych decyzji. Ja byłem tym, który desygnował Zygmunta Michałowskiego. I naprawdę sam sobie tego gratuluję. Bo to był człowiek, który zaczynał skromnie jako nasz korespondent, najpierw w Berlinie później w Paryżu, a później stał się jednym z moich zastępców. Człowiek o wybitnych uzdolnieniach, o ogromnym instynkcie politycznym i wielkiej uczciwości. Człowiek, który pracował cicho, bez rozgłosu, ale był niesłychanie wydajny, obowiązkowy i miał ogromne poczucie odpowie-

działności za słowo. To ostatnie kazało mi go desygnować. Ja odszedłem a on przyszedł w momencie niesłychanie krytycznym. Rok 1976. Radom. Ursus.

*Powstanie KOR-u.*

Powstanie KOR-u, następne cztery lata, powstanie Solidarności, ogłoszenie stanu wojennego. W tym czasie Radio miało szefa, który działał z wielką ostrożnością, ale odważnie. I Radio w tym czasie odegrało rolę głośnika, amplifikatora opozycji, było jego obrońcą. Przede wszystkim było komunikacyjnym pasem transmisyjnym między tą niewielką garstką KOR-u i całym krajem. I to było wszystko prowadzone przez Michałowskiego. Nie zrobiłbym sam niczego inaczej niż on. To był człowiek niezwykle uczciwy, który wobec mnie samego, wiedząc że zajmie moje stanowisko, do końca zachował wzorową lojalność. Nigdy nie uległ jakiegokolwiek pokusie — no, jeżeli mi się uda wysadzić Nowaka z siodła to sam zajmę jego stanowisko. Nigdy. To jest mój przyjaciel, człowiek, dla którego mam najwyższe uznanie i szacunek.

*Prócz niego, w takim niezwykle gorącym okresie kierował Radiem inny bardzo dobry dyrektor, Marek Łatyński.*

Tak jest.

*To pana współpracownik.*

I nie tylko, on też był tym, którego ja desygnowałem.

*No właśnie. Lata 1987–1989.*

Tak jest. Marka Łatyńskiego także bardzo wysoko cenię. To był jeden z moich najwybitniejszych współpracowników. Człowiek, który się odznaczał subtelną i wybitną inteligencją. Umiał świetnie pisać i miał ogromny instynkt polityczny. Był to człowiek z charakterem, który umiał się stawiać. Tymczasem miał szefa amerykańskiego, który uznawał tylko tych, którzy mu czapkowali. I popadł z nim w zatarg, który się skończył tym, że bardzo szybko odszedł. Uważam, że to był bardzo dobry dyrektor...

*Świetny! Proszę Pana, on otworzył Radio dla bezpośrednich kontaktów, dla rozmów telefonicznych...*

Tak jest.

*Z Monachium do Polski. Myśmy przecież brali aktywny udział jakby w tworzeniu Okrągłego Stołu, w wyborach, które zadecydowały o kształcie Polski na następne lata.*

Tak jest. I moim zdaniem Łatyński był jednym z moich najzdolniejszych, a także najbardziej ideowych pracowników.

*Bezsprzecznie. Zanim przejdziemy do ostatniego pytania, jeszcze chciałam o coś zapytać. A co się nie udało za pana dyrekcji?*

Tak. Jeśli chodzi o sprawy programowe, to może jedno. W tym pierwszym okresie przyszedł do pracy zespół, który był emocjonalnie antykomunistyczny. Miał świeżo w pamięci Jałtę, zbrodnie stalinowskie, to wszystko co się w Polsce działo w tym najgorszym okresie. I który te swoje emocje wyładowywał w programach, w których za dużo było przymiotników, za dużo agresji. I ja będąc człowiekiem wychowanym przez BBC, wiedziałem że to jest błąd. Ale wiedziałem też, że są granice, których nie mogę przekroczyć, jeżeli nie chcę utracić poparcia zespołu. Starałem się hamować nadmiernie propagandowy ton audycji, ale nie mogłem tego wyhamować na 100%. Później redaktorzy sami się tego nauczyli. I później wyzbyliśmy się języka propagandy, który jest zawsze szkodliwy.

*Populistyczny.*

Inna rzecz, że on pasował do ówczesnych nastrojów. Chodzi o to, że dzisiaj jak się czyta, czy słyszy na przykład naszą audycję inauguracyjną, to się mówi: Boże, jaki to patos! Tak. Ale trzeba zrozumieć, że ten patos był w innych czasach, w innym klimacie, w innych nastrojach społecznych. To były najgorsze czasy stalinizmu. To był okres największego mroku. I wtedy ten patos pasował do nastroju w Polsce. Uczciwie mówiąc, nie mogę sobie przypomnieć jakiegoś zasadniczego błędu w linii politycznej...

*Politycznego, koncepcyjnego nie było. Udawało się ich unikać.*

Tak.

*Dzięki, powiedziałabym, ogromnej trosce o wiarygodność informacji, sprawdzanie tych informacji wielokrotnie. I przekonanie, że ta działalność informacyjna to jest jakby nasze główne zadanie.*

Główne zadanie. Jednak nie tylko działalność informacyjna. Także polemiczna.

*Za pana czasów na pewno.*

Za moich czasów. Więc polemizowaliśmy, wyjaśnialiśmy, ale to było całkowicie odzielone od informacji. Informacja musiała być absolutnie obiektywna i rzetelna.

*Tak. Panie dyrektorze, już tylko na koniec chciałam zapytać Pana teraz o te uczucia, kiedy Pan po tylu latach nieobecności w Polsce w 1989 roku znalazł się na lotnisku w Warszawie, my mamy zresztą nagranie radiowe z tego momentu. A ja widziałam to w telewizji. I powiem szczerze, że płakałam przed telewizorem. I pamiętam tę scenę. To było chyba ukoronowanie pańskiej działalności.*

Absolutnie! To był szczytowy dzień mojego życia. Całego mojego życia. Nie wiem czy Pani pamięta moje pożegnalne przemówienie do zespołu. Mówiłem, że marzę o tej chwili kiedy staniemy się wszyscy niepotrzebni. Żałuję, że już nie będę wtedy Waszym szefem, bo wyobrażałem sobie, co by to było, gdybyśmy w pewnym momencie sami zamknęli to Radio, pojechali razem na lotnisko, wsiedli do samolotu, i wylądowali na Okęciu.

*Zawsze Pan to mówił.*

Mówiłem to, ale nie wyobrażałem sobie, że ja tego dożyję. Nabrałem pewności, że ten ustrój musi się załamać na skutek jego sprzeczności wewnętrznych i swojej niewydajności. I że to co się stało kolejno w Warszawie w 1956 roku, na Węgrzech a później w Czechosłowacji, zdarzy się także któregoś dnia w Moskwie. Tylko nie wyobrażałem sobie, że ja tego dożyję. Leciąłem sobie do Polski jako prywatny człowiek linią PanamERICAN, wracałem po 45 latach do mojego kraju i do mojego rodzinnego miasta. I pamiętam ten moment, kiedy samolot dotknął ziemi. I zobaczyłem dworzec lotniczy z napisem Warszawa. Bardzo wielkie wzruszenie. Ale nagle zobaczyłem, że na balkonie jest tłum ludzi. I że tam za płotem siatkowym są tłumy ludzi. Myślę sobie, co to jest? Wtorek, dzień powszedni, czy oni przychodzą samoloty oglądać czy co? Zbliżyłem się do wyjścia, dwóch Amerykanów za mną mówi: o, musi być VIP na pokładzie, jakaś bardzo ważna osobistość, bo grupa ludzi czeka przed samolotem. A to Marek Łatyński kazał nadać wiadomość kiedy ja przylatuję, jakim samolotem. Całe kierownictwo Solidarności czekało tam na mnie. I to był moment naprawdę niezwykłego wzruszenia. Ten tłum przyszedł, żeby się ze mną witać. Przez płot wyciągali książkę *Kurier w Warszawie*, żeby im podpisywał...

*Podziemne wydanie?*

Tak. Ponieważ byłem zaprzyjaźniony z ówczesnym ambasadorem Johnem Davisem i jego żoną Helen, więc zabrali mnie do rezydencji ambasadora. Przenocowałem tam. Następnego dnia Helen Davis proponuje: ja zabiorę cię teraz samochodem do Śródmieścia. Ja mówię — nie. To jest moje miasto, ja się tu urodziłem, ja się tu wychowałem, ja tu spędziłem wojnę, ja chcę zobaczyć Warszawę sam na sam. O, to będziesz miał kłopoty z taksówką. Bo tutaj, wiesz, taksówki się nie zatrzymują. Tu musisz dojść do postoju taksówek, a to może być bardzo daleko. A ja mówię: dam sobie radę, nie spieszę się. Wychodzę na Puławską. Jedzie taksówka. Zatrzymał się. Wskoczyłem a on mówi: o, ja doskonale wiem kto pan jest, bo pana widziałem wczoraj w telewizji. Kazałem się zawieźć do kościoła Zbawiciela, bo to był kościół mojego dzieciństwa, więc chciałem zacząć ten powrót w dawne miejsca od kościoła. Dojeżdżamy i jest na liczniku dwa tysiące siedemset złotych. To odpowiadało wtedy sumie 27 centów. Mówię sobie, ja nie mogę temu przyjemnemu człowiekowi dać 27 centów. Wyciągam dolara, a on mówi, schowaj pan sobie tego dolara. A ja mówię, za mało? A ile? A on mówi — nic. Dlaczego nic? Panie, ja pana słuchałem za darmo tyle lat, to mogę panu raz zaofiarować jeden kurs za darmo. Ja mówię, niech pan jednak sobie weźmie tego dolara. Nie wezmę! I ten jeden dolar, który został mi w rękę znaczyl dla mnie więcej, niż wszystkie odznaczenia jakie dostałem. To była moja nagroda.

*Bo była od tłumy, od ludzi, od słuchaczy.*

No tak. Ale muszę powiedzieć, że trzy lata później przyjechałem do Warszawy, wychodzę z hotelu do taksówki, a szofer mówi: panie, pan nas tu wszystkich tak urządził, niech pan sobie innego taksówkarza poszuka...

*No tak, bo oczywiście dużo by można było mówić jak zmieniły się nastroje społeczne. Z każdą rewolucją przychodzi okres oczekiwań a później rozczarowań.*

*To jest jasne.*

Normalne. Wcale się nie rozłościłem na niego, następny wziął mnie z przyjemnością.

*Tak. Ale wydaje mi się, że ogromna część społeczeństwa polskiego w pełni docenia rolę, jaką odegrała Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa w przywróceniu Polsce wolności.*

Na każdym kroku to się spotyka...

*Niepodległości, suwerenności. I to jest najważniejsze. I Pana zasługa jest tu ogromna. A proszę powiedzieć, jakie Pan społeczne funkcje w tej chwili w Polsce pełni? Jest Pan kuratorem Ossolineum.*

No więc właściwie z oficjalnych to tylko jestem kuratorem Ossolineum.

*Członkiem Kapituły Orła Białego.*

Należę do Kapituły Orła Białego i ja żadnych innych stanowisk nie oczekuję i nie chcę. Wie Pani, jak ktoś przekroczy osiemdziesiątkę, znajduje się w tak zwanym wieku przedpogrzebowym. Jest to bardzo wygodna sytuacja, w której już nie ma sensu o nic się ubiegać. Ani o stanowisko, ani o pieniądze, ani o ordery. Widzę dziś dla siebie dwie funkcje. Oddziaływanie na elitę polityczną Stanów Zjednoczonych w duchu interesów Polski i oddziaływanie na opinie w Polsce. Dlatego zostałem w Waszyngtonie, że ja jestem poza układami w kraju. Daje mi to większą wiarygodność. Co dwa tygodnie wygłaszam pogadanki w Polskim Radio, dość często pojawiają się moje artykuły w gazetach.



*Czy mógłby Pan zamknąć swoją wypowiedź o Rozgłośni, o roli Radia, jednym krótkim zdaniem?*

Radio wyzwalało umysły zniewolone i nie dopuszczało do zniewolenia tych umysłów, które pozostały wolne. Jeżeli społeczeństwo jest wolne w swoich myślach, to prędzej czy później wolność odzyska. Różnica pomiędzy Polską i Rosją Sowiecką polegała na tym, że przez dwadzieścia lat co najmniej, Rosja była społeczeństwem całkowicie zamkniętym. Tylko w warunkach izolacji monopol propagandy i edukacji mógł zniewolić dusze i umysły ludzkie. W Polsce to nie było możliwe, bo takie instytucje jak Wolna Europa, czy „Kultura”, która zresztą ograniczała się tylko do elity, przebijały bariery i pozbawiały środki masowego przekazu monopolu. Wystarczyło gałkę przekręcić, by się dowiedzieć tego, co cenzura ukrywała. I dlatego cenzura przestała być skuteczną. I w moim przekonaniu, ważne było również to, że staliśmy się namiastką opozycji i namiastką wolnego radia. Na tym polegała nasza rola.



# **„...SPADŁO NA MNIE ZAPROSZENIE FUNDACJI FORDA”**

ROZMOWA JANA WINCZAKIEWICZA  
Z WITOLDEM GOMBROWICZEM  
W PARYSKIM STUDIO RFI, 3 MAJA 1963 ROKU<sup>1</sup>.

**Witold GOMBROWICZ (FRANCJA)**

Nieznany i niepublikowany wywiad z Witoldem Gombrowiczem, który zamieszczamy poniżej, jest najprawdopodobniej pierwszym wywiadem pisarza, jakiego udzielił w Europie po przyjeździe w końcu kwietnia 1963 roku. I z tego głównie względu wywiad ten ma wartość szczególną, pokazuje bowiem Gombrowicza w nowej dla niego sytuacji, w przededniu wyjazdu do Berlina, gdzie spotka się z pisarzami równie jak on niezależnymi i równie jak on pewnymi siebie. Gombrowicz mówi tu przede wszystkim o planach i przyszłości, i to jest najważniejszy atut tego wywiadu.

Rozmowę przeprowadził Jan Winczakiewicz dla polskiej sekcji Radia France International w Paryżu, najpewniej 3 maja 1963 roku. Zachowane nagranie znajduje się w archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu. Zostało przeegrane przez Andrzeja S. Kowalczyka i udostępnione nam za zgodą Jana Winczakiewicza i red. Jerzego Giedroycia.

M.A.S.

---

<sup>1</sup> Witold Gombrowicz przyплыł do Francji (Cannes) 23 kwietnia. Następnego dnia przyjechał pociągiem do Paryża i zamieszkał w hotelu Helder, przy ulicy Helder pod numerem 16, niedaleko Opery. Przebywał w Paryżu od 23 kwietnia do 16 maja. Nagranie nie jest datowane. Ponieważ Gombrowicz nie zna jeszcze nazwisk innych stypendystów Fundacji Forda, należy przypuszczać, że wywiad miał miejsce w pierwszych dniach po przyjeździe. Prawdopodobnie 3 maja, skoro w końcowej części wywiadu Gombrowicz mówi, że jest tu „zaledwie 10 dni”.

## ROZMOWA

**Jan Winczakiewicz:** *Mamy dzisiaj w studio bardzo miłego i nieoczekiwanego gościa, gościa z dalekich stron. Jest to Pan Witold Gombrowicz, który jak wiadomo jest autorem takich powieści jak „Ferdynand”, „Trans-Atlantyk”, „Pornografia”, autorem dwóch tomów swojego dziennika i sztuk teatralnych: „Ślub” i „Iwona”. Proszę Pana, wszyscy wiemy, że Pan od wielu lat, zdaje się, że od wojny, mieszka stale w Argentynie, no i chcielibyśmy wiedzieć co Pana sprowadziło tutaj do Paryża?*

**Witold Gombrowicz:** To się stało zupełnie niespodziewanie. Ja się zaszyłem w lasach urugwajskich, nad oceanem, żeby pracować nad moją powieścią *Kosmos*, którą piszę teraz. I ni stąd, ni zowąd spadło na mnie zaproszenie Fundacji Forda na rok do Berlina. Jest zwyczaj w Stanach, że się skupia artystów na rezydencję w jakimś mieście, nic się od nich nie wymaga, tylko, po prostu oni mieszkają w tym mieście czas dłuższy żeby się oswoić z miastem, wejść w kontakt z miastem i ożywić życie danej miejscowości.

*Jakie miasto wybrano?*

Nas zaproszono do Berlina. Mówię nas, to znaczy: pisarza francuskiego Michael Butor...

*Bardzo znany pisarz.*

...który jedzie wraz ze mną ale dopiero na jesieni, i mnie, jako literata. Poza tym zaproszono dwóch malarzy, to jest [Oskar] Kokoschka i [Andre] Masson z Francji, i zaprosili jeszcze dwóch kompozytorów, których nazwiska nie znam w tej chwili. W sumie sześć osób.

*No i Pan teraz jedzie do Berlina. Na jak długo?*

Ja jadę do Berlina na rok.

*Do Berlina Zachodniego oczywiście.*

Do Berlina Zachodniego.

*No i Pana to cieszy? Ten wyjazd do Berlina? To jest dosyć dziwne miasto.*

No więc z jednej strony jest to dosyć ciekawe i podniecające nawet być w Berlinie przez rok. Ale z drugiej strony są pewne minusy. Mianowicie, ja po niemiecku mówię dosyć źle. Musiałbym sobie przypomnieć dopiero dzisiaj. No i cóż, ja tam będę troszeczkę odosobniony, przynajmniej na początku. Dlatego, że zanim człowiek wejdzie w klimat miasta i w otoczenie to musi upłynąć trochę czasu.

*No tak, ale z Berlina do Paryża nie jest tak daleko, zwłaszcza samolotem, i mamy nadzieję, że będziemy tu Pana często widywać.*

Tym bardziej, że jak człowiek się nudzi to więcej pisze, no więc ja przypuszczam, że będę tam miał doskonałe warunki do pisania.

*A z Argentyny do Europy Pan przyleciał samolotem czy przyjechał jakimś trans-atlantykiem?*

Nie, trans-atlantykiem, i nie bardzo fortunnie, dlatego że akurat jak wsiadałem na statek, okradli mnie z moich kieszonkowych pieniędzy. To znaczy miałem przy sobie jakieś 200 dolarów na wydatki na statku już, i jak mnie zaczęli ścisnąć i całować przyjaciele, tak nie wiem, który z tych „przyjaciół” i kogo o to posądzać, ale dość powiedzieć o tym, że te

pieniądze się ulotniły. No i rezultat był taki, że ja całą tę drogę tj. dwa tygodnie musiałem przepłynąć bez grosza, dosłownie podpisując rachunki, z tym że nie byłem wcale pewny jak ja to zapłacić.

*Do jakiego portu tu Pan dołynął?*

Dopłynąłem do Cannes. Więc ja telegrafowałem tutaj do moich przyjaciół paryskich, żeby mi przysłali pieniądze na statek. No i otrzymałem depeszę, że mi przyślą. Tymczasem zaszły jakieś komplikacje i dopiero w Cannes dostałem te pieniądze. Żeby nie to, że jakaś pani bardzo bogata, tam przypadkiem jechała i nad moim losem się ulitowała i pożyczyła mi trochę grosza, nie wiem jak to by się skończyło, bo miałem do płacenia dosyć poważne rachunki i bez grosza byłem zupełnie.

*Teraz chciałbym zmienić temat. Mianowicie chciałem Pana zapytać o Pańskie książki, które ostatnio, w ostatnich latach zostały wydane w języku francuskim. O ile wiem, o ile pamiętam to wydano „Pornografię” po francusku, potem „Ferdurdyrke” i w końcu „Ślub”.*

Naprzód *Fedrydurke* potem *Pornografię* i teraz dopiero idą następne książki. To znaczy za kilka miesięcy ma się ukazać mój *Dziennik* w tłumaczeniu francuskim.

*Oba tomy?*

Pierwszy tom.

*Czy na przykład w „Dzienniku” Pan wprowadza jakieś skróty, czy Pan daje całą wersję?*  
Bardzo mało. Tylko zmieniłem troszkę wstęp o egzystencjalizmie. Ze względu na to, że o to prosił mnie mój wydawca niemiecki [Günter] Neske, który jest osobistym przyjacielem Heideggera. Oni to omawiali i wystąpili do mnie z prośbą żeby to troszkę zmienić. Więc ja musiałem się do tego skłonić. Zresztą zdawało mi się, że jest to bardzo słuszne.

*A na przykład sprawy polskie daje Pan w pełnej wersji? Nie bojąc się o to, że Francuzi może zbyt mało zrozumienia wykażą?*

W pełnej, mój wydawca francuski twierdzi, że ponieważ te rzeczy są traktowane z punktu widzenia ogólnoludzkiego więc powinny Francuzów zainteresować. Co najwyżej usuniemy rozdział o Sienkiewiczu.

*Tak, jednak Sienkiewicz.*

To jest jedyna rzecz, która prawdopodobnie zostanie usunięta.

*Poza tym bez skrótów. Proszę Pana, poprzednie książki, które były wydane, wiem że spotkały się z bardzo dobrą oceną w kołach literackich i w prasie paryskiej. Czy Pan, jako autor uważa, że czytelnik francuski, dziennikarz francuski, recenzent francuski przeniknął w Pański świat, rozumie Pana, czy też przeciwnie, może istnieje jakiś mur pewien między Panem a czytelnikiem?*

Nie, muru nie ma na pewno, ze względu powiedzmy na jakieś różnice, bo ja wiem, narodowe. Natomiast zawsze się zdarzają ludzie, którzy rozumieją lepiej i inni, którzy rozumieją gorzej. To samo zdarza się we Francji. Zresztą muszę powiedzieć, że uważam, że poziom krytyki francuskiej nie jest wcale lepszy od krytyki polskiej.

*Nie jest lepszy?*

Nie, dzisiaj nie.

*A jeśli chodzi o losy Pana sztuki teatralnej pt. „Ślub”, to dowiedziałem się, że niedługo będzie wystawiona w Paryżu. Prawda?*

Ona ma być wystawiona na tak zwanym konkursie Młodych Zespołów — Concours de Jeunes Compagnies. To jest konkurs dla młodych zespołów teatralnych.

*Ale zawodowych jednak.*

Zawodowych. To jest bardzo zdolny reżyser, Argentyńczyk<sup>2</sup>, który przygotował „Ślub” i wygrał konkurs, w tym sensie, że tam z 30 sztuk, zdaje się siedem zostało przeznaczonych do wystawienia, między innymi „Ślub”. Natomiast to będzie oczywiście przedstawienie jeszcze w warunkach troszkę zredukowanych. To nie będzie normalne przedstawienie teatralne — no więc ja się tego troszkę obawiam — ale przypuszczam, że nawet gdyby się nie udało to mi to dużo nie zaszkodzi. Natomiast jeśli się uda to może zainteresować, może to utorować drogę „Ślubowi” na inne tereny.

*Proszę Pana a teraz ogólne wrażenia z Europy, z Paryża, z tej matki Europy, której Pan nie widział ile lat?*

No, ja tu byłem, ściśle 35 lat temu. To znaczy w Roku Pańskim 1928. I muszę powiedzieć, że jest to trochę przerażające, dlatego że moja podróż jest właściwie bardziej podróżą w czasie niż podróżą w przestrzeni. Ja zlikwidowałem moje sprawy w Argentynie, przyjechałem tutaj, ale co mnie gnębi, to jest nie tyle to, że w przestrzeni się przesunąłem ile to, że czas mi się daje z niesłychaną siłą we znaki. Jak sobie przypominam ten Paryż z mojej młodości, no to się pojawia oczywiście jakaś zmora senna. Dziś już jestem człowiekiem bliskim sześćdziesiątki, czuję te lata, czuję że mi się życie wykańcza, no i ta przeszłość, z którą się konfrontuję dzisiaj, oczywiście musi mnie troszkę osłabiać wewnętrznie. I to jest pewien problem, który przezwyciężyć muszę w najbliższym czasie. Jak się troszkę przyzwyczaję i ustalę niby tutaj w Europie.

*A pomijając ten subiektywny aspekt Europy, czy patrząc na Paryż Pan widzi jakieś niespodzianki i zmiany? Czy coś Pana zaskoczyło?*

No, są na pewno. Takie są zmiany na gorsze z mojego punktu widzenia. Jak ja tu byłem w roku 1928, to wtedy czuć było wiosnę, wielką wiosnę europejską, niby tę całą zmianę, która nastąpiła po wojnie. Nowe prądy w sztuce, w muzyce, w literaturze. Zmiany obyczajów, całkowite, zmiana mody. Wszystkie te rzeczy, były niesłychanie elektryzujące. Paryż był wtedy bardzo podniecający i czuło się, że to jest ta stolica świata, w której te rzeczy się rodzą. Natomiast dzisiaj, muszę powiedzieć — co prawda niedługo tu jestem, dlatego że zaledwie 10 dni — ale raczej mam wrażenie, że jest zupełnie inny nastrój, że jest pewnego rodzaju, bo ja wiem jak to nazwać...

*Może stagnacja?*

...stagnacja i brak rozmachu, brak rozpędu, nie ma tej elektryczności w powietrzu, którą się czuło dawniej.

*Na początku tej rozmowy Pan wspominał o swojej nowej powieści, którą Pan pisze pt. „Kosmos”. Można coś na ten temat zapytać Pana?*

Więc to jest bardzo trudne, dlatego że każdy czytelnik moich powieści wie, że jest to niesłychanie trudne własnymi słowami opowiedzieć coś o nich.

---

<sup>2</sup> Chodzi o Jorge Lavellego, młodego reżysera argentyńskiego. Spektakl przygotowany przez niego otrzymał w czerwcu 1963 roku nagrodę Młodych Zespołów i był wystawiany w Théâtre Recamier w Paryżu w styczniu 1964 roku. Por. Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie 1963–1969*. Kraków 1993, s. 13. Ten sam reżyser przygotował w 1965 roku w Paryżu adaptację *Iwony, córki Burgunda*, a w 1989 *Operetki*.

*Tak. Ale temat?*

Temat też jest niesłychanie trudno opowiedzieć, to jest skonstruowanie świata z pewnych elementów bardzo od siebie oddalonych. Więc powiedzmy, weźmy powieszony wróbel, patyk na drucie, usta, które zostały zdeformowane wskutek wypadku. Kombinowanie z tych wszystkich elementów pewnej rzeczywistości, pewnej formy, właśnie pewnego kosmosu. To jest książka trudna, która ma troszkę aspekt zresztą powieści kryminalnej, dlatego że polega na tym, że się szuka pewnych śladów i się opracowuje na tej podstawie pewną wizję rzeczywistości. I jestem już bliski finału, który jest bardzo trudny i właśnie zupełnie ta podróż mnie wytrąciła z równowagi, dlatego że jak byłem w trakcie opracowywania tego bardzo trudnego finału, kiedy musiałem wszystko rzucić. I w tej chwili oczywiście jestem zupełnie o 100 mil od tej sprawy.

*Wróci Pan do tej powieści w Berlinie?*

No więc przypuszczam, że wrócę. Na pewno prawie, bo już mi niewiele zresztą brakuje. Przypuszczam, że to będzie po polsku ogłoszone za jakieś sześć, osiem może miesięcy.

*Oczywiście w „Kulturze” w Paryżu?*

W „Kulturze” w Paryżu<sup>3</sup>. No a potem będzie tłumaczone po francusku<sup>4</sup>.

*Bardzo Panu dziękuję.*

---

<sup>3</sup> *Kosmos* ukazał się w „Bibliotece «Kultury»” w 1965 roku, jako tom 112.

<sup>4</sup> Wydanie francuskie w tłumaczeniu G. Sedira ukazało się w 1966 roku.





## WSPOMNIENIA – BIOGRAFIE – NOTY

---

### LITANIA ZA POETĘ

ZDZISŁAW BRONCEL (1909–1998)

W kwietniu 1999 roku ukończyłby 90 lat; zabrakło niespełna pół roku, ale też ostatnie lata naznaczone były coraz bardziej heroiczną, coraz trudniejszą do podejmowania walką z leukemią, słabością i bólem. Żył we własnych wspomnieniach i rzadkich męczących, lecz przez to bardziej wyczekiwanych, rozmowach ze starymi i nowymi przyjaciółmi, z których wielu dane mu było przeżyć, czekając na reedycję wydanych w 1943 roku wierszy. Ostatni raz wystąpił z własnym tekstem w książce zbiorowej poświęconej 50-leciu Biblioteki Polskiej w Londynie w 1995 roku; na udział w książce „*Wiadomości*” i *okolice*, dedykowanej pamięci Mieczysława Grydzewskiego, do której bardzo namawiałem, nie miał już sił...

Dzieląc losy wielu innych pisarzy, dziennikarzy i publicystów polskich zesłanych do łagrów syberyjskich, zawdzięczał ocalenie powstaniu Armii Polskiej gen. Andersa w 1942 roku. Wraz z nią opuścił Rosję Sowiecką ewakuowany na Bliski Wschód, z wojskiem znalazł się w Ziemi Świętej, gdzie pracował w Centrum Informacji Rządu RP i w Radiu. Bardzo szybko znalazł się obok Broniewskiego i Wiktora Weintrauba w redakcji czasopisma „*W drodze*” (1943–1945) — wydawanego w Jerozolimie i finansowanego przez Rząd RP — zostając na koniec jego redaktorem naczelnym. Publikował też w „*Orle Białym*”, „*Gazecie Polskiej*” i „*Ku wolnej Polsce*”. W Jerozolimie ukazała się w 1943 roku pierwsza i jedyna wydana za życia książka poetycka Broncla — *Łaska nocy*.

Koniec wojny, likwidacja pisma i ewakuacja 2. Korpusu do Anglii rzuciły Zdzisława Bronclę (używał też formy nazwiska: Broncell) w 1947 roku do Londynu. Zamieszkał w Domu Pisarza, przy 312 Finchley Road, który stanowił w tamtych powojennych latach ośrodek nieoficjalnych dyskusji literackich i politycznych. W „*Finchleju*” mieszkali wówczas Irena i Jan Bielatowiczowie, Lidia i Adam Ciołkoszowie, Bronisław Przyłuski, Tadeusz Nowakowski, Kazimierz Sowiński, Krystyna i Czesław Bednarczykowie, Krystyna i Gustaw Herling-Grudzińscy, Wacław Zbyszewski, Tadeusz Sułkowski i wielu innych. Wspominał Bednarczyk w *W podmostowej arkadzie*: „Każdy z mieszkańców był na swój sposób ciekawy i oryginalny. I każdy troszeczkę śmieszny. Ale każdy szlachetny w globalnym ujęciu. Zdzisław Broncell np. wyróżniał się ubiorem w stylu angielskiego dżentelmena i pierwszy w Domu kupił sobie parasol”.

Mieszkający w Domu Pisarza czekali na uśmiech losu, na wydawców, na wolne etaty w radio, w redakcjach czasopism, w drukarniach... Pierwsze utwory dramatyczne Broncel ogłaszał w „*Poradniku Kulturalno-Oświatowym*” w początkach lat 50. Napisał m.in. własną wersję brakującego 5 aktu *Grzechu* Stefana Żeromskiego, graną w 1951 roku w Londynie w Teatrze Polskim ZASP.

W początkach lat 50. związał się również z polską sekcją BBC jako autor sztuk i adaptacji radiowych. Pracował tam do późnych lat 70. realizując dziesiątki audycji literackich, wywiadów i rozmów oraz słuchowisk i adaptacji teatralnych, w tym własne słuchowiska *Polonez*, *W imieniu króla*, *Ucieczka do Egiptu* oraz *Wół i osioł*, których maszynopisy trafiły wraz z całym archiwum pisarza do Archiwum Emigracji Biblioteki UMK w Toruniu.

W 1956 roku zaprotestował jako jeden z nielicznych w środowisku angielskim przeciwko decyzji Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie o niepublikowaniu w Polsce (wystąpił też na długie lata ze Związku, wracając doń dopiero w 1986 roku), popierając znacznie bardziej liberalne stanowisko paryskiej „Kultury”, z którą był związany jako autor głównie recenzji teatralnych, muzycznych, literackich i filmowych, z rzadka pisząc też relacje o sytuacji w Polsce i duże eseje. W 1956 roku (nr 4) opublikował tam znakomity obszerny szkic pt. *Marginesy emigracji*, w którym wnikliwie i krytycznie opisał życie literackie i organizacyjne pisarzy polskich na emigracji.

W dziesiątkach artykułów w prasie londyńskiej, w książkach zbiorowych pisywał o Mickiewiczu, Towiańskim, Wyspiańskim, Conradzie; jako tłumacz współpracował z amerykańskimi „Tematami” Pawła Mayewskiego, jako „młody” i niezależny myśliciel z londyńskimi „Kontynentami” i „Wiadomościami”. Był jednym z założycieli Klubu „Piątego Koła”, skupiającego literatów wyobcowanych z „głównego” środowiska literackiego, do którego należeli m.in.: pisarze — Zbigniew Grabowski, Bogumił Andrzejewski i Lew Sapieha, znakomity socjolog i współpracownik „Encounter” — Leopold Łabędź, malarze — Stanisław Frenkiel i Aleksander Werner i inni. Klub nie miał żadnej organizacji — działał poprzez odczyty, prelekcje, sympozja i dyskusje, ale był ważnym fermentem w „polskim” Londynie...

\*

Elegancko i oszczędnie wydany w nakładzie 300 egz. tom Zdzisława Broncla *Wiersze dawne i nowe* (z szatą graficzną i ilustracjami Danuty Laskowskiej) ukazał się nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej jesienią 1998 roku tuż po śmierci poety. Poprzedzony wstępami: Niny Taylor-Terleckiej do *Sonetów uralskich* i Zdzisława Wałaszewskiego do *Litani Loretańskiej*, tom zawiera wszystkie utwory wojenne przedrukowane z jedyne opublikowanego zbioru *Łaska nocy* (Jerozolim 1943) oraz późniejsze, rozproszone po nielicznych czasopismach i odnalezione przez żonę Hannę w rękopisach.

Obok utworów opisujących utraconą ojczyznę, tragiczny los Polaków w łagrach i uczucia rzesz żołnierzy walczących na Bliskim Wschodzie, najpełniej ukazane w *Litanii Loretańskiej*, w książce znalazły się utwory zupełnie odmienne jak choćby zamykający całość wiersz *Chagall*:

*Zielony ptak po skrzypcach skacze  
I kogut kwitnie na weselu,  
Cztery uliczki w cztery strony  
Tańczą w szabasu noc zadumy  
    Koń na biegunach z narzeczonym  
    Wyfruwa w świecach w ślubne niebo,  
    Szczęśliwe suknie i welony  
    Dzielią się z gośćmi wspólną biedą.  
Kolory śmierci, kolory biedy z barwą życia  
Razem się wiążą i całują  
I zakochani w sen wtuleni  
Szukają szczęścia poza ziemią.*

Mirosław Adam Supruniuk (Toruń)

## HAUBENSTOCKOWIE

JANINA KOPRUCKA-HAUBENSTOCK (1915–1998)  
JÓZEF HAUBENSTOCK (1913–1984)

### Pomniki i pomniczki

„Pamięci dra Józefa Haubenstocka oraz Janinie Haubenstock — dzięki ofiarności których książka ta mogła się ukazać — tę wersję *Odczytania Popiołów* — dedykuje autor.”  
Dedykacja na luksusowym dwujęzycznym, polsko-hebrajskim wydaniu tomu poezji Jerzego Ficowskiego z ilustracjami Marc Chagalla, Tel-Awiv 1985.

\*

„Dedication to the memory of Dr. Józef Haubenstock — długa dedykacja Haliny Nelken na Oxfordzkim wydaniu albumu *Images of a Lost World — Jewish Motifs in Polish Paintings 1770–1945* kończy się: *Dr. Haubenstock's generosity resulted in the first ever exhibition (of photographs) Jewish Motifs in Polish Art at Brandeis University in 1986. Without the continued support of his widow Janina, this publication would not have been possible.*”  
Dłuższa nota biograficzna i fotografia dra J. Haubenstocka uzupełniają tę dedykację.

\*

„Pamięci dra Józefa Haubenstocka, mecenasa i filantropa, którego entuzjazm i przyjaźń dopingowały mnie do spisania i opublikowania tych wspomnień — N.G.”  
Dedykacja na tomie *Kim pan jest, panie Grymek?* N. Grossa, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991.

\*

„Książka ta ukazała się dzięki ofiarności bł.p dra Józefa Haubenstocka.”  
Hebrajska dedykacja na tomie przełożonych z polskiego wierszy Henryka Grynberga *Achar hatchija [Po zmartwychwstaniu]* — Ekked, Israel 1984.

„Książkę tę dedykuję pamięci mojego nieodżałowanego mecenasa dr. Józefa Haubenstocka.”  
Henryk Grynberg *Pomnik nad Potomakiem* — Londyn 1989.

Cały szereg książek Henryka Grynberga zadedykowany jest pamięci dra J. Haubenstocka i Janinie Haubenstock, jak np.:

„Autor i wydawcy serdecznie dziękują pani Janinie Haubenstock, za pomoc finansową, dzięki której mogła się ukazać ta książka.”  
Henryk Grynberg *Rysuje w pamięci* Poznań 1995.

\*

„Pragniemy w tym miejscu wyrazić koleżance Janinie głęboką wdzięczność i szacunek za to co dla nas zrobiła a przede wszystkim za serdeczną więź z Polską i z nami. W jednym ze swych listów napisała: «myślę, że my wszystkie jesteśmy jedną wielką, zgodną rodziną, zawsze gotową do wzajemnej pomocy».”

Z książki *Pochylone nad człowiekiem — z dziejów warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa (1921–1945)*, Warszawa 1991.

\*

„Książka ta ukazuje się dzięki subsydiom udzielonemu przez Janinę Haubenstock w intencji uczczenia pamięci jej męża Józefa Haubenstocka.”

*Żydzi w Polsce — antologia literacka.* — opracował Henryk Markiewicz, Kraków 1997.

\*

Cały szereg książek wydanych przez Związek Krakowian w Izraelu sygnowano: „Komitet Wydawniczy im. dra Józefa Haubenstocka.”

To jest drobna część małych „pomniczków” — dedykacji rozsianych po licznych książkach, których wydanie było możliwe dzięki poparciu Józefa i Janiny Haubenstock, pary emigrantów z Polski zamieszkałych we Frankfurcie nad Menem. Na niektórych wymieniono tylko nazwisko dra Józefa Haubenstocka — choć książka ukazała się w kilka lat po jego śmierci — bo takie było życzenie wdowy, Janiny, która resztę swojego życia poświęciła upamiętnianiu nazwiska ukochanego męża: swoją permanentną działalność filantropijną widziała jako kontynuowanie jego zamysłów i planów, powiedzmy, nawet pośmiertnych. Bo wierzyła w życie po śmierci.

Wspomniane „pomniczki”, to być może marginesowa część wielkich rozmiarami, serca i dotacji, pomników na imię Haubenstocków znajdujących się głównie w Polsce i w Izraelu, jak Fundacja imieniem J.J. Haubenstocków dla Kliniki Psychiatrii Collegium Medicum U.J. (z której korzystają pracownicy naukowcy wszystkich stopni w postaci stypendiów, dotacji badawczych, wydawniczych oraz do pokrycia kosztów wieloosobowych delegacji na kongresy, stypendia, sympozja i konferencje naukowe), szczodry udział w sponsorowaniu najnowocześniejszej w kraju Kliniki Kardiologicznej *Cor Aegrum* w Krakowie, Kliniki Hematologicznej dla dzieci chorych na białaczkę w Krakowie, czy katedry dla badań Historii Żydów Polskich na Uniwersytecie Jerozolimskim. Wymienię jeszcze w dalszym ciągu długi szereg tego rodzaju darów, dotacji, fundacji etc. A zacząłem od tych małych „pomniczków” bo przywiązuję do nich nie mniejszą wagę dla uwiecznienia pamięci donatorów niż te — zdaniem niektórych *aere perennius* — trwalsze od spiżu. Bo choć tabliczka pamiątkowa na ufundowanym ku pamięci Tomka pokoju w klinice okulistyki szpitala Tel-Haszomer zwróci uwagę wszystkich, którzy tam będą czekali na operację czy odwiedzających ich członków rodziny i przyjaciół — i ktoś o niej pomyśli, a którzy to Haubenstockowie? — to książki, którym niewielkie stosunkowo dotacje pomogły wyjść na światło dzienne rozchodzą się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i figurują w katalogach oraz zbiorach wszystkich bibliotek uniwersyteckich.

### **Małe dotacje i wielkie serca**

Ja tę „groszową” filantropię wspomagającą dziesiątki autorów, malarzy, studentów, twórców wszelkiego rodzaju, czy zwykłych potrzebujących pomocy ludzi, z polecenia znajomych, przyjaciół, bez względu na narodowość, religię, ludzi nie znanych osobiście filantropom (nie lubię tego słowa — ale dla wygody używam) cenię sobie szczególnie, niezależnie od ich wielkich dotacji dla instytucji o wielkim zasięgu i znaczeniu.

Nie raz, nie dwa, szukałem u wielkich, majątnych filantropów wręcz „groszowego” poparcia dla wydawnictw, które wydawały mi się ważne — ale ci „wielcy panowie”, którzy ciężkie tysiące kładli nieraz pod fundamenty państwowych instytucji — a towarzyszyły tym fundacjom odpowiednio wystawne obiady z zaproszonymi premierami, ministrami, światowej sławy aktorami etc., a potem jakiś uroczysty „kamień węgielny”, akademia na cześć wspaniałomyślnego donatora — ci milionerzy nie chcą sobie zaprzętać głowy prośbą o 2–3 tysiące dolarów na wydanie tomu poezji czy jakiejś pracy naukowej — nawet nie odpowiadają na listy (przez sekretarza, oczywiście).

Nie, nie lekceważę ich działalności filantropijnej, którą ogłosi wielkimi literami nazwa Auditorium im. Fryderyka Manna — szkoda tylko, że ludzie, o których mówię, mają dużą kieszeń ale małe serce, wystarczające na kochanie „siebie samego”.

Janina Haubenstein, która dysponowała stosunkowo dużym majątkiem, pozostawionym przez jej męża, umiała „kochać bliźniego” i starczyło jej serca na dary dla Zamku Królewskiego w Warszawie — porcelany, obrazy, perskie dywany — na zapis cennych obrazów z prywatnej kolekcji (a dr Haubenstein był „mecenase”, kolekcjonerem dzieł sztuki) na rzecz Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak i poparcie Fundacji Sztuki Osób Niepełnosprawnych, Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu, Fundacji dla Chorych na Aids, Funduszu Pomocy Artystom (z siedzibą w Krakowie) celem gromadzenia zbiorów współczesnego malarstwa itd., a przy tym na intensywną, nie przerwana pomoc indywidualną poszczególnym artystom, pisarzom, i „zwykłym śmiertelnikom”, którzy nie mieli na węgiel na zimę lub opłacenie mieszkania. Była to działalność charytatywna unikająca rozgłosu. Choć — gdy nie było można odżegnać się od tego — dbała by uwiecznione było imię jej bł.p. męża — nie jej. Oczywiście wyrazów wdzięczności instytucji czy ludzi, którzy „znaleźli się na liście” nie mogła wyretuszować zupełnie z serdecznych dedykacji — i tak imiona Janiny i Józefa Haubensteinów przechowa pamięć ludzka „póki my żyjemy” i pamięć historii dobrego serca nawet gdy my już przeniesiemy się do lepszego świata.

### Droga Janiny

Wiosną 1998 — na parę miesięcy przed zgonem Janiny Haubenstein, grupa jej przyjaciół wszczęła kroki o ukoronowanie tej pięknej działalności społeczno filantropijnej przez Rząd Polski i w związku z tym jedna z jej najbliższych przyjaciółek, Lidia Ziółkowska zredagowała notę informacyjną, którą wręczono Ambasadzie R.P. w Kolonii. Nota ta zawiera dane o drodze życiowej Janiny:

„Janina urodziła się w 1915 r. w Warszawie, lecz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości rodzina przeprowadziła się do Puław z powodu nominacji ojca na dyrektora Banku Polskiego. Tu spędziła lata szkolne aż do wczesnej młodości. W jej wspomnieniach ten czas jest okresem przeżywania i poznawania życia licznej wówczas grupy Żydów, która nadawała Puławom swoisty charakter miasteczka żydowskiego. Janina jako dziecko, na co dzień, z wyboru miała kontakt z tzw. biedotą żydowską. W połowie lat 30-tych przeniosła się do Warszawy w związku z nauką w Rockefellerowskiej Szkole Pielęgniarskiej. Była studentką ostatniego kursu, a zamiast uroczystego wręczenia dyplomów otrzymała kartę powołania do szpitala wojskowego w Warszawie, gdzie pracowała do czerwca 1944. W szpitalu tym ukrywali się Żydzi, na których okrutny los nie była obojętna, pomagała, a pomoc wtedy znaczyła ratunek. Za takie czyny nie-Żydzi otrzymują odznaczenie «Sprawiedliwi wśród Narodów Świata». Lecz dla Janiny to było samo przez się zrozumiałe, nie mogłaby się inaczej zachowywać (mimo kilkakrotnych nalegań nie zgodziła się na przyjęcie odznaczenia). W tych strasznych czasach związała swe życie z jednym z tych prześladowanych i maltretowanych ludzi, gdy okazało się, że był to człowiek wart jej miłości.”

Informację powyższą uzupełnia fragment z książki *Pochylone nad człowiekiem — z dziejów Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa (1921–1945)*:

„Szczególny związek łączy nas z Janiną Koprucką-Haubenstein zamieszkałą w Niemczech, absolwentką kursu XXXII. W szkole była wspanią koleżanką. Wrażliwa i otwarta na cierpienia ludzkie, pragnęła zawsze pomagać innym. Być może, ukształtowały ją w ten sposób warunki życiowe, gdyż w młodym wieku, przed wstąpieniem do szkoły, musiała sama walczyć o swój byt. Dzięki otrzymanemu z ZUS stypendium za wzorowo pełnione obowiązki na kursie Sióstr PCK, prowadzonym w latach powojennych w Centrum Wyszkozenia Sanitarnego, mogła dostać się do WSP. Zaprzyjaźnione pielęgniarki z Centrum pomogły jej skompletować wymaganą i nietanią «wyprawkę» do Szkoły.

Po otrzymaniu dyplomu w dniu 2 września 1939 r., została zmobilizowana do Szpitala Ujazdowskiego, gdzie przez całą okupację opiekowała się rannymi i chorymi. Los rodziny sprawił, że parę lat po wojnie musiała opuścić Polskę. Przebywając na obczyźnie (RFN) ona i jej mąż postanowili pomagać finansowo instytucjom i indywidualnie ludziom w Polsce. Po śmierci męża w 1984 r., Janina nadal wspierała finansowo m.in. Zakład Ociemniałych w Laskach, Międzynarodo-

we Towarzystwo im. Korczaka w Polsce, Towarzystwo im. Korczaka w RFN, Komitet Ochrony Zabytków m. Krakowa, Klinikę Psychiatryczną w Krakowie, a także osoby prywatne.

Od początku założenia Koła interesuje się naszą działalnością i wspomaga wydatnie finansowo. Dzięki temu komisja społeczna może udzielać od 1983 r. pomocy pieniężnej naszym samotnym koleżankom znajdującym się w ciężkich warunkach bytowych, a także pokryć częściowo koszty związane z wydaniem niniejszej książki.”

Człowiekiem, który był wart jej miłości, był właściciel (a może współwłaściciel) znanego sklepu przyborów sportowych w Krakowie Antoni Weindling. Nazwisko jego uwieczniła Janina na tablicy, którą ku pamięci ich syna Tomasza odsłoniłem (pod nieobecność fundatorów) przy wejściu do pokoju ufundowanego przez Haubenstocków na oddziale ocznym szpitala w Tel-Haszomer w Izraelu. Janina, która opiekowała się chorym Antonim w Szpitalu Ujazdowskim, a potem ukrywała go przed oczyma wizytujących szpital Niemców, wyszła za niego za mąż po wojnie. Zamieszkali w Toruniu, gdzie w lutym 1946 urodził im się syn „Tomczyś”, z którym wkrótce wyjechali na emigrację, najpierw do Berlina i przez Paryż do Frankfurtu w 1948 r. Nie wiem w jakich okolicznościach opuścili Polskę — być może pod wrażeniem pogromu w Kielcach albo powikłań rodzinnych — o których oględnie wspominają redaktorki książki *Pochylone nad człowiekiem*. Być może, Antoni Weindling wybrał Frankfurt pod wpływem swojego przyjaciela dra Józefa Haubenstocka, który tam osiadł po odbyciu większej rundy życiowej w Rosji, a potem u Andersa w służbie londyńskiego rządu. A. Weidling niedługo cieszył się szczęściem rodzinnym. Ciężko ranny w katastrofie samochodowej zdążył pożegnać się z żoną i zaprzysiął na łożu śmierci swego przyjaciela Józka Haubenstocka, że zaopiekuje się Janką i synkiem. Józek wiernie wypełnił zobowiązanie, a z biegiem czasu patronat nad Janiną i Tomczysiem, przemienił się w prawdziwą miłość — i pani Koprucka-Weindling przyjęła nazwisko Haubenstock. To był jej los. I jego.

### Jeden rok z Józefem Haubenstockiem

Moja znajomość z adwokatem krakowskim drem Józefem Haubenstockiem zaczęła się w r. 1983, a skończyła rok później, jego przedwczesną śmiercią. Ten jeden rok był dla mnie — i myślę, że dla nas obu — niezwykle (a potem przyszło jeszcze 15 lat przyjaźni z jego małżonką Janiną). Zdumiewające było to, że nie ja szukałem Józka, o którego istnieniu w ogóle nie wiedziałem, ale on „znalazł” mnie, wyszukał, wybrał mnie niejako spośród tłumu nieznanomych. Czytając moje felietony i wspomnienia w polskiej gazecie ukazującej się w Izraelu postanowił nawiązać ze mną kontakt na odległość Frankfurt–Tel-Awiv. Sam zapałony miłośnik rodzinnego Krakowa wyczuł we mnie dziwnym instynktem „wspólnika”, partnera do „interesów”, o których nigdy nie myślałem...

Filantrop to na ogół człowiek zasobny, którego ludzie szukają, kierują do niego prośbę i propozycje poparcia większych lub mniejszych projektów, wymykających się możliwościom budżetowym ministerstw kultury, rad miejskich, muzeów etc. — szukają „sponsora”... Charakterystyczną cechą dra Józefa Haubenstocka było, że to on szukał sobie obiektów do poparcia. Nie czekał aż zwrócą się do niego, sam podejmował inicjatywę. I nie czekał z rozdawaniem majątku na czas testamentu. Chciał dawać ciepłą ręką — a nie zimną. Takim mi się objawił, gdy po raz pierwszy usłyszałem jego głos w telefonie. Numer mój w Givataim podał mu starszy kolega, raczej jego niż mój, do którego Józek zwrócił się z prośbą o nawiązanie ze mną kontaktu. W półgodzinnej pierwszej, zaskakującej dla mnie rozmowie telefonicznej oświadczył mi, że chciałby coś zrobić dla Związku Krakowian w Izraelu i czuje, że razem możemy c o ś zrobić, ale co?... Otóż to... Nie idzie o wsparcie potrzebujących ani o charytatywną, społeczną działalność Związku — na to ma innych, dobrze mi znanych, kolegów, choćby przewodniczącego organizacji izraelskich Krakowian, dra Wolfa — może jakąś wyjątkową akcję kulturalną?... Wspomniałem, że niedawno ogłosiliśmy konkurs na wspomnienia krakowskie i przeznaczylismy fundusz w wysokości 5 tysięcy szekli na nagrody... Nie trzeba było więcej drowi Haubenstockowi, podchwytował myśli w powietrzu i tak suma nagród urosła z miejsca trzykrotnie... Ale to mu nie wystarczyło: pomyślmy o jeszcze jakimś konkursie, może malarstwa?... Tym razem i mnie nie trzeba było dwa razy powtarzać... Haubenstock, jak przystało na krakowskiego adwokata, był mecenasem sztuki — a ja do sztuk pięknych mam też stosunek nieobojętny...

Krótko mówiąc — a czas był krótki, więc nie rozwodziliśmy się wiele — z tych rozmów telefonicznych Frankfurt–Tel-Awiv narodziły się różne inicjatywy — i wszystkie doczekały się wykonania. Konkurs na wspomnienia krakowskie zaowocował pięknym plonem — a wszystkie nagrodzone z Funduszu Haubenstocka prace ukazały się drukiem. Potem, dwa razy jeszcze ponawialiśmy ten konkurs. A tuż przed śmiercią ostatnim listem do mnie zainicjował dr Haubenstock większą sumą pieniężną Fundusz Wydawniczy Związku Krakowian, który uczciliśmy pośmiertnie jego nazwiskiem.

Z wspomnianej wyżej inicjatywy „plastycznej” narodził się konkurs malarzy izraelskich pochodzących z Krakowa, lub uczniów Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, który zaowocował bogatą wystawą — pokonkursową — „Kraków”, w prestiżowych salach Z.O.A.–House w Tel-Awivie — 30-tki malarzy, przeszło 60 prac malarskich i plastycznych na bardzo dobrym poziomie. Było to w marcu 1984 — na parę miesięcy przed Jego zgonem.

W ciągu roku 1983–1984 narodziło się i zrealizowało kilka projektów — nie wszystkie z mojej inicjatywy! Nie roszczę sobie „praw autorskich” na filantropię dra Haubenstocka! W tym czasie kiedy przez moje ręce przechodziły mniejszego kalibru projekty wydawnicze — których część doprowadziła do końca po śmierci męża dzielna Janina — wydzielił stałą dotację na Jesziwę Podgóorską w Kfar Ono, przekazał 120 tys. dolarów na założenie Krakowskiej Katedry na Uniwersytecie Jerozolimskim — a równocześnie ufundował autobus dla Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w Krakowie, żeby dzieci mogły wyjeżdżać na świeże powietrze, przyrządy lecznicze, elektrokardiogram etc., dla szpitala w Krakowie — to znów ufundował salę szpitalną na wydziale ocznym szpitala w Tel-Haszomer (o czym wspomniałem powyżej) itd.

### Zakochany w Krakowie

Józef Haubenstock urodził się w Krakowie. Tu kończył gimnazjum, tu studiował prawo na U.J. tu zadeklarował się ideowo jako młody student w Związku Młodzieży Socjalistycznej, tu zaczął praktykować jako koncypient u adwokata, póki wojna nie wyгнаła go z rodzinnego miasta i nie skazała na tułaczkę w przepastnych przestrzeniach Związku Radzieckiego. Opowiadał mi w długich rozmowach telefonicznych o swoich — i nie tylko o swoich — przygodach wojennych, o exodusie z Armią Andersa i powiązaniach z towarzyszami z PPS z posłem Stańczykiem, a potem Ciołkoszem na emigracji. Wkrótce po opuszczeniu Związku Sowieckiego zaktywizował się w ramach emigracyjnego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej — posłali go z misją do Indii, a potem do Afryki Północnej. Przez Paryż Londyn, wrócił po wojnie do Krakowa, by postawić rodzicom i rodzinie zamordowanej przez Niemców pomnik na cmentarzu żydowskim, ale długo w Polsce nie zabawił. Znowu przy pomocy byłych towarzyszy z PPS-u, którzy siedzieli teraz w Warszawie na wysokich stołkach, udało mu się wrócić na Zachód, choć Cyrankiewicz obiecywał mu w Polsce złote góry. Ale Józef Haubenstock nie szukał kariery i wolał kolportować „Robotnika” w Europie.

Oczywiście Krakowa i swoich przyjaciół w Polsce nie zapomniał. Po jego zgonie ukazały się w prasie krakowskiej wielkie nekrologi — od przyjaciół, którzy boleśnie odczuli jego odejście, od zespołu Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży.

W ogóle miał szczególnie uczulone serce na szpitale. Może dlatego, że jego przybrany syn Tomek zmarł w młodzieńczym wieku na leukemię. Chłopiec, którego wychowywał od maleństwa, zadbał o jego wykształcenie, był dumny z jego osiągnięć na Uniwersytecie w USA — zgasł nagle, przeżywszy 20 lat. Tą wielką miłość dzielił z Janką, matką „Tomczysia”, którą poślubił adoptując jej syna. Co by bez niej robił? Była mu żoną, matką, pielęgniarką. Kiedy go telefonicznie poznałem był już bardzo chory: oczy, serce. Lekarz zabronił mu wszelkiej działalności, wszelkiego podniecenia — ale co mógł lekarz poradzić na ten motor, który nie przestawał pracować? Nie raz, po półgodzinnej gadaninie telefonicznej (mniej nie mógł...) nagle przerywał rozmowę: „Muszę kończyć — Janek idzie”. „Janek” — tak mówił o swojej żonie. Wykorzystywał czas kiedy Janka szła na zakupy, czy do apteki, by kontynuować swe plany — telefonicznie.

Jak się rzekło, był dr Haubenstock zakochany w Krakowie i tę miłość zaszczepił w sercu swojej ukochanej Janki, która wiele osobistego wysiłku włożyła w „administracyjną” stronę jego poczynań i opiekę nad schorowanym, ale bardzo dynamicznym małżonkiem. Pilnowała go „jak

oczka w głowie” — ale wymknął się spod tej opieki i przeskoczył do lepszego świata — jakże przedwcześnie!

Jednym z ostatnich, popieranych przez dra Haubenstocka projektów był, bliski jego sercu, album *Żydzi w malarstwie polskim* w opracowaniu historyka sztuki prof. Haliny Nelken. W pierwszym etapie zafundował jej (zamieszkałej w amerykańskim Cambridge) podróż dokumentacyjną do Polski — na miesiąc studiów i zebranie materiału — 10 tys. dolarów. Po drodze do Polski postanowiła Halina wstąpić do Frankfurtu, by zapoznać się z drem Haubenstockiem i zaznajomić go bliżej z projektem, ale Józek wolał spotkać Halinę w jej drodze powrotnej z Polski — i zaznaczył w swoim kalendarzu kóteczkiem dzień przewidzianej wizyty — 29 lipca. Gdy Halina przyjechała w wyznaczonym terminie z wielkim łupem — 800 reprodukcjami zdobytych w polskich muzeach — do Frankfurtu — zastała tylko Janinę. Dr Józef Haubenstock zmarł dwa dni wcześniej.

#### Dialog Polsko-Żydowski — ostatni list

Potrwało trochę, aż Janina otrząsnęła się po tym ciężkim przeżyciu jakie zgotował jej los. *De facto*, nigdy tego rozstania nie odsunęła ze swojej pamięci i serca — przeżywała je dzień po dniu do końca życia — ale, sama schorowana, wzięła się w garść i zdołała doprowadzić do jakiegoś porządku pozostawione po bł.p. mężu sprawy — które przecież nie były jej obce — i prowadziła nadal, rozbudowała, jego imperium hojnej ręki i wielkiego serca. Kraków — ukochane rodzinne miasto Józia — zaadoptowała jako centrum swej charytatywnej działalności — a krakowskie szpitale, kościoły, instytucje społeczne — zaadoptowały ją jako dobrą wróżkę i patronkę. Nie zapominała też o Jerozolimie i konsekwentnie popierała zaczęte przez Józia projekty. Zresztą jej serce i szczodra ręka znane są w Warszawie, Puławach, Gdańsku i wielu innych miejscowościach w Polsce, a także w Niemczech itd.

W osiemdziesięciolecie urodzin Janiny ukazała się w wydawnictwie ZNAK książeczka (185 stron) *Miłość* z dodatkiem hebrajskimi literami wypisanym słowem *Chesed*<sup>\*</sup>: hołd złożony jubilatce w podziękę za jej wielkie serce. 30-tu autorów, literatów, naukowców, ludzi związanych z medycyną i szpitalnictwem złożyło się na ten tom esejów, wierszy i opowiadań, które są niejako upominkiem dla Janiny — ale nie odnoszą się do niej bezpośrednio, nie o niej piszą. Są to „prace powstałe z myślą o niej w poruszeniu z jej przyjaźnią lub takie, o których myślimy, że dotyczą spraw dla Niej ważnych” — pisze we wstępie redaktor książki prof. Jacek Bomba z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego — „Nie mogliśmy pisać o niej samej. Wiemy, że sobie tego nie życzy. Wiemy stąd, że kiedy Henryk Grynberg napisał opowiadanie inspirowane jej życiem nalegała by go nie publikował”. I żałuje szczerze prof. Bomba, że nie może, choć bardzo chce, „opowiedzieć o osobie fascynującej hartem ducha i odwagą, wrażliwością i subtelnością refleksji, otwartością i szlachetnym dystansem”.

Teraz, gdy jej nie ma — już można. Ja, który wymieniałem z nią listy, myśli i plany przez 14 lat i raz jedyne odwiedziłem ją we Frankfurcie, też chciałbym przyczynić się choć małą cząstką do nakreślenia jej portretu, który bardziej ode mnie kompetentni, zawdzięczający jej szerokiemu sercu więcej niż materialne wartości, bo uczucie prawdziwej przyjaźni, powinni wymalować dla wiecznej pamięci o rzadkim Człowieku.

Janka nosiła na sercu dwa złote medaliki: chrześcijański Krzyż i żydowski Magen David. Widziała swoją misję w dialogu chrześcijańsko-żydowskim, w zbliżeniu polsko żydowskim. Dom jej był zawsze otwarty dla przyjaciół Polaków i Żydów. Związała swój los, swoje życie z obu narodami, które dla niej były jednym na ziemi polskiej. Była wierzącą, głęboko, praktykującą katoliczką, co nie przeszkadzało jej brać żywy emocjonalny udział w odrodzeniu narodu żydowskiego w Izraelu czy uczuciowym zaangażowaniu w świąteczne tradycje żydowskie.

Gdy w Krakowie otwarto Klinikę Kardiologiczną *Cor Aegrum* — sam papież ją poświęcił w czerwcu 1997 roku — Janka złożyła na ten cel większą sumę, prosząc by na pamiątkowej tablicy figurowało obok jej także imię i nazwisko dra Józefa Haubenstocka. „Gdzie mogę, staram się uczcić to Żydowskie (jej podkreślenie) nazwisko. Mnie nie zależy na moim nazwisku, tylko na pamięci Józia”. Cieszyła się bardzo, gdy otrzymała listy od kilku przyjaciół, którzy w holu kliniki

---

<sup>\*</sup> *Miłość* — (*Chesed*). Opracowanie redakcyjne Jacek Bomba. Kraków 1995.



widzieli dużą tablicę „a na niej w drugim rzędzie nasze nazwisko. Jak długo świat będzie istniał — tak długo będzie wszędzie nazwisko Józia”.

Gdy odwiedziłem ją w 1994 roku we Frankfurcie nie mogła siedzieć i nie mogła leżeć — kręgosłup walczył o lepsze — albo o gorsze — z sercem. „Profesor powiedział, że gdybym była młodsza (dzięki Bogu, że nie jestem młoda w dzisiejszych czasach) należałoby mnie operować...” Czas między szpitalem i kościołem i synagogą — spędzała na podejmowaniu licznych gości z zagranicy — najczęściej z Krakowa, profesorów, poetów, działaczy społecznych. Czytała dużo, w każdym liście składała mi relacje z innej książki, którą mi polecała, nie raz posyłała. Zachwycała się wierszami Gebirtiga i chciała mi pomóc w wydaniu książki o tym żydowskim poecie — „on zasługuje na to. Bardzo lubię jego wiersze... *W polu o świcie* — Jaki to piękny wiersz. Och, jak ja tęsknię za polską wsią, jak w tym wierszu — „w polu o świcie...”

Innym razem pisała mi: „Czytałam wspaniałą książkę Czapskiego *Tumult i widmo*. Siebie tam znalazłam: «urządzona emigrantka». Jakim kosztem? W duszy niepokój, smutek, tęsknota — za tym co już nie wróci — i tego nic nie zagłuszy”.

Abonowała „Tygodnik Powszechny” i izraelski tygodnik „Nowiny — Kurier”. Otrzymywała też almanach izraelskiego Związku Piszących po Polsku w Izraelu „Kontury”.

W ostatnim liście, który otrzymałem od niej na tydzień przed jej odejściem pisała:

....«Kontury», jak zwykle ciekawe. Nie gniewaj się, że nie piszę, ale bardzo źle się czuję — serce! Moja choroba postępuje, nogi opuchnięte, często krótki oddech, spać nie mogę, sił coraz mniej, a do tego okropna pogoda, taka zmienna, serce tego nie lubi. Śmierci się nie boję, nie wpadam w panikę. Przyjmuję wszystko z pokorą. «Nowiny» oczywiście prenumeruję i czytam. Moje oczy coraz gorsze, nie czytam tyle co przedtem, nie piszę tyle listów co przedtem, ale martwię się czy ty odczytasz moje bazgroły. Czytałam w «NK» — *200 świec płonących* — żydowski koncert w kościele w Brodach pod Poznaniem. Jestem w kontakcie z Tową Ben Zwi, chcemy tutaj w naszym kościele polskim taki koncert urządzić...”

Mowa tu o koncercie, który odbył się w drewnianym parafialnym kościele w podpoznańskich Brodach przed 300-osobową publicznością. Koncert, który dała urodzona w Łodzi izraelska śpiewaczka Towa Ben-Zwi, wykonując pieśni żydowskie, hebrajskie i sefardyjskie — w ladino. Przed prezbiterium ułożono na podłodze prostokąt z dwustu płonących świec. Koncert, który zrobił wielkie wrażenie na publiczności, przybyłej tu z różnych stron, był jakimś wyrazem dialogu między światem chrześcijan i Żydów — dialogu tak bliskiego sercu Janki, która żyła intensywnie i prawdziwie tymi dwoma światami.

Nie wiem czy inicjatywa, o której wspomina w liście doszła, czy dojdzie do skutku. Byłoby to piękne *requiem* dla szlachetnej duszy.

We wspomnianej wyżej książeczce *Miłość* w rozdziale „Ktoś o mnie myśli” napisałem, że nauką, którą wybrałem sobie za motto mojego życia i postępowania były słowa Eklezjasty — Koheleta — „Posyłaj swój chleb na oblicze wód a znajdziesz go po dniach wielu”. Dla mnie, tym chlebem, który wrócił do mnie z powrotem — była Janka. Może nie tylko moim. Może wrócił do mnie chleb rzucony na fale przez innych. Nie wiem. Wiem tylko, że jest to chleb święty.

I jeszcze coś, czego nauczyli mnie mędrcy: Co pozostaje po człowieku, to nie to co zebrał, tylko to co rozdał, co dał z siebie.

Natan Gross (Izrael)

## PAN ALEKSANDER

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI (1908–1974)

„Trzeba więcej niż jednej pary oczu pour  
suporter le spectacle du monde.”  
(A. Janta *Duch Niespokojny*)

### I

Pana Aleksandra poznałam dwadzieścia lat temu. Przyjechał do Detroit w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Może azylu dla zbiegłego właśnie ze statku polskiego marynarza, któremu trzeba było opłacić adwokata i bronić przed deportacją. Może arrasów wawelskich, które niszczały w Kanadzie. Może w sprawie nagłej pomocy zamieszkałemu w Londynie pisarzowi, który tracił wzrok a nie miał z czego żyć. Może zabiegał o fundusze na wydanie książki bardzo ważnej dla Polonii amerykańskiej, a może na nagrobek dla Cypriana Norwida. Dzisiaj już nie jest istotne, którą z tych spraw właśnie załatwiał. Ważne natomiast, że załatwiał stale coś dla kogoś, z poczucia obowiązku ludzkiego i społecznego. Był mężem opatrnościowym, instytucją do której można się było zwracać w potrzebie i na której można było bezgranicznie polegać.

Napisałam, że poznałam Pana Aleksandra, ale właściwie to on poznał mnie. Wezwana wcześniej telefonem, „mam dla pani pozdrowienia od Kazimierza Wierzyńskiego, który surowo mi przykazał się z panią zobaczyć. A pani, wysłuchać tego, co mam jej do powiedzenia”, weszłam do wypełnionej po brzegi sali Domu Związku Narodowego Polskiego. Byłam spóźniona. Odczyt zaczął się o szóstej, a ja o siódmej kończyłam pracę. Pan Aleksander przerwał tok wywodów, przeprosił słuchaczy i przecisnął się w stronę drzwi.

„Pani jest Róża Nowotarska — podał mi rękę — Tak sobie właśnie panią wyobrażałem. Cieszę się, że pani przyszła.”

Następnie wrócił na podium i mówił dalej, kierując od czasu do czasu uważne spojrzenie w moją stronę. Po prelekcji otoczono go ze wszystkich stron i zarzucano pytaniami, na które cierpliwie, uprzejmie odpowiadał. A potem, już przy kawie i ciastkach, gdy nareszcie mogliśmy usiąść i swobodnie porozmawiać, powiedział:

„Wiem o pani bardzo dużo od Kazia. Tacy ludzie jak pani są bardzo potrzebni. Czy mi pani pomoże...”

W czym konkretnie miałam pomagać, dowiadywałam się później z listów, w które włączone były uprzejme polecenia. Czasem poza miłym nagłówkiem i serdecznościami przy podpisie nie było w nich nic, poza poleceniem.

13.7.57

„Droga Pani: Za radą Kazimierza Wierzyńskiego piszę do Pani z prośbą o dowiedzenie się co stało się z rzeczami Karoli Zagórskiej, która podobno umarła w Detroit przed dwoma laty. Czy ją pani znała? Czy zna pani kogoś, kto z nią był blisko? Znalazłem przed paru tygodniami w Uniwersytecie Yale fotografię jej z Conradem — przygotowuję obecnie studium o pamiątkach Conradowskich w Ameryce, zależało by mi bardzo na dowiedzeniu się co stało się z tymi jakie miała Karola i czy były między nimi listy Conrada. Będę Pani bardzo wdzięczny za pomoc, radę oraz wskazówki co zrobić aby trafić na ślad tych rzeczy, a także dowiedzieć się o okolicznościach życia i śmierci Karoli. Łączę pozdrowienia...”

7.7.58

„Pani Różyczko: Czy przyszło Pani kiedyś do głowy aby zrobić akcję «szukajmy na strychach»? Jestem przekonany że wyniki byłyby zaskakujące. Piszę o tym na marginesie odkrycia zrobionego w starym domu, w którym znalazła Pani białe kruki. Pod stertą starych gratów nikomu niepotrzebnych. Czy widzi Pani sposób aby takiemu marnotrawstwu zaradzić? Tyle bezcennych

rzeczy zginęło w wojnie i tyle ich ginie tutaj, w pokoju... Proszę koniecznie przyjechać do Nowego Jorku, może wspólnymi siłami coś wymyślimy? Szczerze oddany..."

6.2.60

„Droga Pani: Czy nawiązała Pani Kontakt z Kalinówną, względnie *vice versa*? Jakie perspektywy jej występu? Właśnie załatwiłem dla niej Toronto gdzie wystąpi... Przesyłam Pani program wieczoru z którego właśnie wracam — gdyby można było coś podobnego urządzić w Detroit ale na gruncie wyłącznie amerykańskim? Serdeczne pozdrowienie..."

6.12.61

„Droga Pani: Doszła mnie wieść o śmierci... Podobno miał wspaniały zbiór polskiego malarstwa. Na miłość Boską, niech Pani coś zrobi aby ten zbiór nie przypadł lub nie dostał się w niepowołane ręce. Czy zostawił kogoś, kto się tym interesuje, zabezpieczy, doceni wartość? Rozpacz mnie ogarnia gdy myślę, że Kossaki, Fałaty czy Mehofferzy wylądują na strychu albo gorzej, bo na śmietniku... Przesyłam serdeczności, oddany..."

5.11.63

„Droga Pani: Otrzymałem apel w sprawie Stefana Wicika. Widzę, że potężne siły pracują nad zapewnieniem mu powodzenia u publiczności w Nowym Jorku. O tyle lepiej tenorom, niż pisarzom. Zrobi się oczywiście co się da. Wróciłem właśnie z drugiego pobytu w Buffalo (wieczór autorski) i zbieram, a raczej podsumowuję rezultaty kampanii na *Flet i Apokalipsę*, przedłużoną zresztą do końca roku aby wszyscy zdążyli. Łączę serdeczne pozdrowienia i do zobaczenia, może tutaj?..."

Tak więc w listach i rozmowach telefonicznych, we wzajemnej pomocy i w nieczęstych — niestety — spotkaniach, rozwijała się nasza znajomość, która z czasem przerodziła się w przyjaźń.

\*

Był też Pan Aleksander dobrym, serdecznym przyjacielem w potrzebie. Kiedy moje osobiste życie przechodziło wstrząsy przy równoczesnym dość trudnym okresie przystosowania się do pracy w urzędzie federalnym jakim był „Głos Ameryki”, w którym szukałam sobie właściwego miejsca — nie udzielał mi zbawiennych rad ani nie dawał moralnych pouczeń. Nie zalecał przemyślenia jeszcze raz od początku sprawy, którą przemyślałam już wiele razy przedtem. Telefonował natomiast przynajmniej raz w tygodniu, pytając jak sobie radzę i czy mi czegoś nie potrzeba. Wyrażał też za każdym razem niezachwianą wiarę w moją siłę psychiczną i zdolność przystosowania się do nowych warunków — osobistych i zawodowych.

W tym też okresie przyjechał do Waszyngtonu do Michała Kwapiszewskiego w jakiejś pilnej, książkowej sprawie, nie omieszkując przy okazji zapoznać mnie z sędziwym dyplomatą. Odwożąc mnie taksówką ze spotkania do mego nowego domu powiedział: „Proszę pamiętać, że bywają tragedie w przebraniu. Taki jest pani przypadek. Niedługo, pozorną przegraną zamieni pani w wygraną. Jest w pani siła i upór przetrwania, nie mówiąc o talentach... proszę je teraz rozwinąć! A w chwilach samotności, niech się pani wybierze do Michała i namówi go na nagranie na kasety wspomnień — jest chodzącą kroniką dyplomacji polskiej. Miała by pani znakomity materiał do pisania. Proszę wypełnić sobie każdą wolną godzinę pozytywnym zajęciem — to najlepsze lekarstwo, eliminujące żale i smutki!”

Po jakimś czasie, gdy życie się uładziło i wróciło do normy, w jednej z rozmów telefonicznych usłyszałam: „Wygrała pani swoją niezależność — a to było przecież najważniejsze! Proszę tę niezależność dobrze wykorzystać! niech pani nareszcie zacznie pisać do «Wiadomości»! Tam jest pani miejsce. A Grydzewski bardzo się ucieszy... No i warto może pomyśleć o jakiejś książce..."

## II

W pierwszych latach spotykaliśmy się na zjazdach Polsko-Amerykańskich Klubów Kulturalnych, Polskiego Związku Akademików, Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Polskiej lub przy innych okazjach. Były to lata pięćdziesiąte i początek sześćdziesiątych. Na marginesie codziennych zajęć zarobkowych zaangażowani byliśmy w pracę społeczno-kulturalną. W pewnym okresie Pan Aleksander był prezesem buffalowskiego Klubu Artystycznego i w ramach działalności tego klubu urządził odczyty lub wieczory autorskie ciekawszych prelegentów i pisarzy. Gościł u siebie Józefa

Czapskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Melchiora Wańkowicza, Arthura Pruddena Colemana, Zygmunta Haupta, żeby wymienić kilka nazwisk. Na innych wieczorach sam opowiadał to o rysunkach Feliksa Topolskiego, to o drzeworytach Stefana Mrożewskiego ilustrując swe wywody bogatymi zestawami oryginałów i reprodukcji. Starał się też stworzyć polski teatr amatorski, co mu się po jakimś czasie i na bardzo krótki czas udało.

Jak wspominałam spotykaliśmy się z Panem Aleksandrem na zjazdach, na których albo był mówcą, albo otrzymywał za pracę społeczno-kulturalną lub osiągnięcia literackie, już nie wiadomo którą nagrodę, dyplom uznania, odznaczenie.

Nie zdobywał ich łatwo. Jego postawa, jego poglądy odrębne od ustalonych, wzbudzały nieufność wielu ludzi ze starej, osiadłej tu od kilkudziesięciu lat Polonii, wiernej swym przeważnie starym tradycjom. Wyczuwali w nim inność, której nie umieli zdefiniować. Pan Aleksander był obcą im formacją psychiczną, miał inne zaplecze kulturowe. Był kimś nowym, wobec kogo należało być ostrożnym i czujnym. Był reformatorem wzbudzającym niepokój. A on wiedział dlaczego chciał reformować. Oto co pisał na ten temat w książce *Nowe odkrycie Ameryki* (Libella, Paryż 1973).

„Odkąd nastąpiłem do Buffalo, miejscowi i zamiejscowi rzeczoznawcy od spraw Polonii w tym mieście twierdzili jednogłośnie, że co jak co — na gruncie kulturalnym nie ma żadnych szans i szkoda czasu gdyby kto próbował coś zrobić. A już tym bardziej, jeśli usiłował by zmienić cokolwiek w zastalych i zasiedziały obyczajach organizacyjnych. Utwierdzały ludzi w tym zastaniu się i zasiedzeniu parafie, z natury rzeczy konserwatywne i poprzez szkółki parafialne odrabiające obowiązki wobec polskość, ucząc dzieci parafian języka na tyle aby mogły się modlić i słuchać kazania. Reszta polskość to były już tylko polki tańczone z zapałem i pokrzykiwaniem, działalność chórów, zrzeseń i towarzystw zwolujących co jakiś czas posiedzenia nudne i długie, urządzających pozatem oplatki i święconki, akademie, bankiety z podszewką patriotyczno-religijną, o programach trwających po kilka godzin, mowach licznych i długich, występach artystycznych działwy szkolnej, popisach dorastających albo dorosłych osób, z których każda lubi produkować się pieśnią, odegraniem muzycznego kawałku lub deklamacją. Robi się z tego dość uciążliwy przekładaniec, mało który z występów posiada artystyczną wartość, publiczność jest na ogół cierpliwa i niewybredna, oklaskuje każdego po równi, a wychodzi po paru godzinach z poczuciem odrobienia ciężkiej służby na rzecz dalekiej Polski, znudzona, i zmęczona do ostateczności, ale zawsze gotowa się poświęcić od nowa — następnym razem.

Uogólniam i przejawiam może, ale podsumowuję tym opisem wrażenie z dziesiątek imprez na których przypadło mi być, a czasem zabierać głos jako jednemu z pięciu, siedmiu, a było nawet, że dziesięciu mówców.” (str. 170–171)

Nowa, powojenna emigracja bardzo często uważała niektóre przekonania Pana Aleksandra za zdradę. Zalecał na przykład gorąco wyjazdy do Polski, nie dlatego, że można tam było dostać na czarnym rynku sto złotych za dolara, zaimponować wystawną kolacją w Bristolu i doskonale się za te czarnorynkowe złote zabawić, ale dlatego, że — jego zdaniem — nie należało tracić kontaktu z krajem pochodzenia. Był też pierwszym propagatorem wymiany między Polonią a Polską. Zakładał, że dla obu stron coś pozytywnego z tej wymiany wyniknie. Uważał też, że przede wszystkim ludzie piszący z tej i z tamtej strony powinni, jedni odwiedzać Polskę, a drudzy Amerykę, aby mieć szersze spojrzenie — jedni na kraj, drudzy na świat. Tego przekonania, któremu dawał wyraz już od 1949-go roku, nie zmienił do końca.

Przeglądam notatki zrobione po spotkaniu z Panem Aleksandrem na zjeździe w Detroit, w roku 1959-tym. Oto kilka zdań z tej rozmowy:

„Jakże korzystna byłaby konfrontacja pisarzy żyjących poza Polską, z nową rzeczywistością, różną od tej z przed 1939-go roku. A polskich, przykręcanych śrubą soc-realizmu z światem, który oddycha wolno. Ale odnoszę wrażenie, że się czegoś bardzo boimy, że coś nas w tej koncepcji przeraża. Czy wynika to z braku przekonania i wiary w naszą słuszność? Z niepewności? Nie wiem, muszę nad tym pomyśleć.”

Wyraz tych przemyśleń znajdujemy w odpowiedzi na ankietę londyńskich „Wiadomości”, w sprawie podziału literatury polskiej na „krajową” i „emigracyjną”. Przytoczył ją w przedmowie do *Fletu i Apokalipsy* (1964).

„Gdy idzie o klasyfikację pisarzy, (podział) nie pokrywa się z geograficznym rozróżnieniem kraju od emigracji. Ideowo jest sprawą nie tylko prywatnych podnieceń, branych często za przeko-

niania, nie tylko stosunku do tej lub innej rzeczywistości politycznej, ale stosunku samego pisarza do pracy, zadań i obowiązków, jakie sobie postawił.

Jest dla mnie nie od dzisiaj bardzo istotną sprawą poczucie pewności, że pisarz, jeśli nawet dostaje się nieraz z natury swej publicznej działalności na pierwszą linię rozgrywek politycznych lub ideologicznych swojego czasu, musi sobie stanowczo rezerwować prawo stanięcia ponad nimi. Czas to zresztą załatwia zwykle za tych, którym wydawało się, że nie mogli się na to zdobyć. W świetle perspektywy dziejowej wydaje się mimo wszystko nieaktualne a nawet do pewnego stopnia groteskowe pytanie, czy Mickiewicza albo Norwida zaliczać do literatury krajowej, czy emigracyjnej?

Jeśli jednak przyjąć istnienie podziału literackiego na «kraj» i «emigrację», ich wzajemny stosunek jest z natury rzeczy i warunków uzupełniający.”

Ciekawe światło na jego rozumienie tego związku, tej zależności, a jednocześnie na samookreślenie się jako pisarza rzuca następujące zdarzenie, o którym pisze w *Nowym odkryciu Ameryki*. Otóż podczas jednego z pobytów w Polsce, zaproszono go do wystąpienia w programie telewizyjnym jako „przedstawiciela Polonii”. Pan Aleksander, jak sam zaznacza nigdy się do takiego przedstawicielstwa nie poczuwał. Odmówił więc wystąpienia w nie swojej roli. Zapraszająca go na ten występ pani z telewizji bardzo się zdziwiła:

„A w takim razie kim pan jest?” — zapytała.

„Pisarzem polskim, mieszkającym poza Polską.” — odpowiedział Pan Aleksander, dodając, że istnieją w historii precedensy takiej sytuacji.

Pani z telewizji zgodziła się z nim całkowicie, że owszem, istnieją. Ale zaproszenia nie podtrzymała.

Jak podkreślam, stara Polonia nie rozumiała na ogół Pana Aleksandra, a dla powojennej był zbyt awangardowy, zbyt śmiały w poglądach na „niepopularne” tematy. Nagrody, dyplomy i odznaczenia otrzymał dopiero wtedy, gdy do głosu doszli młodzi, wykształceni Amerykanie polskiego pochodzenia i młodzi powojenni emigranci, którzy nie przyjmowali ani za obrazę, ani za zdradę ideałów takich słów, jak te, które zanotowałam na zjeździe w Detroit:

„Nie jest specjalnie ważne aby Amerykanin polskiego pochodzenia umiał mówić po polsku. Dużo ważniejsze jest aby — obojętnie w jakim języku miał coś do powiedzenia albo w interesie Polski, albo na jej temat. Nie kładźmy tak wielkiego nacisku na naukę języka polskiego, a raczej na wiedzę o Polsce. Zyskamy na tym i my i Polska.”

Tę myśl powtórzył potem i rozwinął w książce *Nowe odkrycie Ameryki*.

Spotykałam się nieraz z zarzutem, że publicystyka Pana Aleksandra w przeciwieństwie do jego poezji i prozy literackiej, jest jakby chaotyczna, niedopracowana. Wynika to chyba stąd, że w książki swe włączał czasem teksty wypowiedzi czy wystąpień dyskusyjnych, których niejednokrotnie nie miał czasu zredagować powtórnie, tak by odpowiadały wymaganiom słowa pisanego. Warto o tym pamiętać, bo wiadomo, że przemówienia czy odczyty wymagają częstokroć zupełnie innego podejścia niż książka czy artykuł. To co brzmi doskonale powiedziane na żywo, traci czasem po publikacji i odwrotnie.

A był Pan Aleksander mówcą świetnym, mądrym, porywającym. Chociaż nie używał wielkich słów, patriotycznych haseł i nie wołał, że nie oddamy, nie pozwolimy, nie odstąpimy. To znaczy właśnie to mówił, ale inaczej, apelując do intelektu, do rozumu, a nie jedynie do emocji. Mówił o zadaniach kulturalnych Polonii, o obowiązkach wpływających z dostępu do bogactwa dwóch kultur. Zalecał czytanie książek o Polsce, zapoznanie się z jej najnowszą historią. Nawoływał do urządzania wystaw sztuki polskiej, do zakładania prywatnych zbiorów, kolekcjonowania poloników. Woził zresztą ze sobą stare mapy, rękopisy, foliały, które chętnie pokazywał, objaśniał, tłumaczył. Apelowal o urządzenie odczytów, wieczorów literackich, zabiegał o jakieś obiady czwartkowe, które stałyby się okazją do wymiany myśli i poglądów. Lansował też, bezskutecznie, pomysł utworzenia międzynarodowego Klubu Książki Polskiej.

### III

Na zjeździe Związku Akademików w Buffalo w roku 1963-cim w świetnym przemówieniu, którego fragmenty zanotowałam, mówił z pasją, niemal z gniewem:

„Obowiązkiem każdego kulturalnego człowieka jest czytać książki. Nie byle jakie książki, a dobre, bardzo dobre. Obowiązkiem Polaka jest znać literaturę polską i wiedzieć o swym kraju tak dużo, jak to tylko możliwe. Ale na tym się nasze obowiązki nie kończą. Zadajmy sobie pytanie: o ile wzbogaciliśmy naszą wiedzę? Mając wolny dostęp do literatury światowej, czyśmy z tej możliwości skorzystali? Gdybym wam teraz zadał pytanie! Ileście przeczytali, coż byście odpowiedzieli? Zalecam wam gorąco, skoroście mnie tu na mówcę poprosili, macie czytać, czytać, czytać...”

I już przy akompaniamencie oklasków powstałej z miejsc młodej publiczności dokończył cytatem ze Słonimskiego:

„Świat nie jest piłką footballową, świat się podbija głową...”

Pan Aleksander był zwolennikiem i propagatorem pozytywnego myślenia i pozytywnego działania. Niezwykle rzutki, czynny, zapobiegliwy, nie rozumiał ludzi, którzy nic nie robili, zajmując się jedynie krytykowaniem cudzych poczynań. A nie znosił tych, którzy w każdej inicjatywie społecznej dopatrywali się prywaty. Miał też bardzo surowy sąd o luminarzach z wielkimi hasłami na ustach.

W jednym z listów skarżyłam się na słaby oddźwięk na apel o przedpłatę na książkę Ferdynanda Goetla *Anakonda*. Pamiętam, że użyłam tam sformułowania: luminarze żywią się własnym światłem wewnętrznym i nie mają 5 dolarów na nową polską książkę.

A oto co odpisał mi Pan Aleksander:

23.3.60

„Cóż to za luminarze życia polskiego, krzyczący o Polsce, o walkę o Polskę, o wierność Polsce, których nazwisk nie widziałem jeszcze ani na jednej liście subskrybentów, na żadnej liście ofiarodawców na utrzymanie «Wiadomości» czy «Kultury»... Podejrzewam, że nie prenumerują żadnego polskiego pisma. Uważają, że z racji „stanowiska luminarza” wszystko im się należy za darmo. Przyczynić się mają inni, nie oni. Im tylko chwała i sława. Za nic.”

W roku 1964-tym Pan Aleksander zadał sobie niemały trud obliczenia ile osób przeciętnie zamawia książkę w przedpłacie. Wiem, że konsultował się z innymi pisarzami. Okazało się, że doświadczenia w tej dziedzinie były bardzo podobne. Ilość nazwisk wahała się od czterystu do sześćuset. Wyniki tej prywatnej ankiety omówił w książce *Przyjemnie zapoznać* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972):

„Społeczeństwo polskie poza krajem, chętnie przez swoich rzeczników i przedstawicieli różnego autoramentu szcycące się wysoką pozycją kultury polskiej i jej osiągnięć, traktuje współczesnych, żyjących wśród niego pisarzy w najlepszym wypadku jak odświętny luksus, a czyta ich od biedy na szpaltach dwóch czasopism, które dla okrętu emigracji są jak żagle, dające jakiś podniecający myśli łopot i dyskusyjny albo koncepcyjny napęd w szarżyźnie codziennego zarobkowania.

Jeżeli mimo to mówić można o wcale znacznym, kto wie czy nie czołowym w perspektywie historycznej dokonaniu emigracji polskiej po drugiej wojnie, o jej dorobkach naukowych i literackich, to jest to skutek heroicznego niemal uporu i ambicji niewielkiej stosunkowo garstki ludzi, wspomaganiej i podtrzymywanej przez nieznaczny tylko odłam społeczności. Ten nieznaczny odłam odnotowany jest na kartach niektórych książek polskich, wydanych na zachodzie pod postacią «spisu przedpłacicieli».

Przekonany jestem, że owe «spisy» studiowane będą z czasem jako dokumenty przynoszące zaszczyt udziałowcom w tych trudnych przedsięwzięciach, ale wystawiające smutne świadectwo ogółowi polskiemu na Zachodzie. Wynika z nich bowiem niewspółmierna z głoszoną postawą obojętność wobec zjawiska, które na daleką metę może się okazać wkładem najtrwalszym.” (str. 308)

Te dość bolesne ujawnienia prawd, o których wolano by nie pamiętać, nie zjednywały mu przyjaciół. W niektórych kręgach uważano go za aroganta, za człowieka chępliwego i zarozumiałego. Ale bliscy przyjaciele i ludzie, którzy dobrze go znali, uważali go za wielkiego pana. Za arystokratę ducha. Był troskliwy, życzliwy, a przy tym pozbawiony sentymentalnej wylewności. Był też doskonałym obserwatorem. Miał wizjonerski niemal dar oceniania prawdziwego charakteru ludzi na pierwszy rzut oka. Później, nieraz po wielu latach, wielokrotnie miałam okazję przekonać się, że czasami rzucona zdawkowo uwaga, którą zbagatelizowałam, albo uważałam za przesadnie złośliwą, okazywała się niesłychanie trafna. Wyrozumiały dla drobnych słabości i śmiesznośtek, nie miał usprawiedliwienia dla rozgrywek za plecami, dla odgrywania się w podstępny sposób.

W związku z pewną „akcją podziemną” prowadzoną przeciwko mojemu *Tryptykowi wojennemu* powiedział mi:

„Jeśli chcę kogoś uderzyć, zakładam bokierskie rękawice i wychodzę na ring a nie przypinam sobie skrzydeł i nie udaję anioła. Osoba, która działa przeciwko Pani, na pewno się do Pani — jak ja ją znam — uśmiecha...”

Poglądy Pana Aleksandra różniły się przeważnie od ogólnie przyjętych. Brano mu to często za złe, tym bardziej, że nie zmieniał ich, aby się komuś przypodobać. Albo by wskutek ich zmiany coś dla siebie uzyskać. Wolał mieć raczej wszystkich przeciwko sobie, tracić posadę, pozostawać bez środków do życia aniżeli zrezygnować z przyjętej postawy, jeśli tę właśnie uważał za słuszną.

#### IV

Tak więc jego amerykańskie lata, szczególnie pierwsze po wojnie, nie należały do najłatwiejszych. Zaczynał tutaj, jak wielu innych, od zajęć dalekich od pisarstwa i dziennikarstwa. Zbierał ogłoszenia handlowe w Pittsburgu. Handlował pierogami w Buffalo. Chwytał się różnych dorywczych prac, aby tylko utrzymać się na powierzchni, od nikogo nie być zależnym. Potem nareszcie dostał posadę w dziale miejskim buffalowskiego „Dziennika dla Wszystkich”. Posadę tę potraktował jako zaczepienie i nowe pole do działania, gdyż poziom literacki dziennika był delikatnie mówiąc, mierny. Mając za sobą przeszło dwudziestoletnie doświadczenie dziennikarskie myślał, że powoli zdoła wprowadzić zmiany, które by się odbiły korzystnie na poziomie pisma o, jakby nie było, szerokim zasięgu. Ale bardzo prędko przekonał się, że w „Dzienniku dla Wszystkich” na podciągnięciu pisma wzwyż nikomu nie zależało. A już najmniej naczelnemu redaktorowi, który obawiał się, że jedyny w zespole fachowiec mógłby zagrozić jego pozycji. Z drobnych powodów wywoływał nieporozumienia, dochodziło do małostkowych konfliktów. Panu Aleksandrowi chodziło o dobro pisma, które reklamowało się jako ostoja kultury polskiej, serce Polonii i największe pismo polskie w Stanach Zjednoczonych walczące ofiarnie o utrzymanie polskości — naczelnemu redaktorowi chodziło o własny prestiż i o posadę, której nawiasem mówiąc, Pan Aleksander wcale nie zagrażał.

Odmienność postaw redaktora naczelnego i Pana Aleksandra, a jednocześnie różnica ich formatu moralno-politycznego uwidoczniła się najwyraźniej w sytuacji, w której w grę wchodziła wolność, a być może nawet i życie innego człowieka — Polaka, nowoprzybyłego uchodźcy, który znalazł się w sytuacji tragicznej, co wymagało natychmiastowej interwencji władz miejskich, czy też imigracyjnych. Ale aby tę interwencję uzyskać, trzeba było sprawie nadać jak najszybciej, jak największy rozgłos. Pan Aleksander napisał obszerny artykuł, będąc pewnym, że ze względu na konieczny pośpiech artykuł ten pójdzie w następnym numerze. Na pół godziny przed zamknięciem numeru zauważył, że nie przysłano mu korekty. Na pytanie co z korektą, usłyszał odpowiedź, że to nie takie ważne... że artykułu w ogóle nie złożono. Domagał się odpowiedzi na pytanie kto zdecydował o tej sprawie — otrzymał wykrętne, ogólnikowe odpowiedzi. Wiedział, że nikt się nie przyzna i nikogo nie wskaże. I wtedy Pan Aleksander powiedział co myśli o kierownictwie pisma i obyczajach w nich panujących. Po tym zajściu posada w dziale miejskim skończyła się natychmiast.

To tak bywa bardzo często w starciu oportunisty dysponującego pewnym zakresem władzy, z człowiekiem, który może przeciwstawić mu tylko wartości nie liczące się z punktu widzenia biurokraty — to jest rozumu i serca.

Doświadczenie z „Dziennika dla Wszystkich” uświadomiło Panu Aleksandrowi, że tylko całkowite niezależnienie się pozwoli mu na pionierską pracę społeczną i kulturalną. Dziś słowa te brzmią może nieaktualnie, ale od lat pięćdziesiątych bardzo dużo się zmieniło, właśnie po linii reformatorskich, niepopularnych kiedyś zaleceń Pana Aleksandra. Ilu ludzi dziś o tym pamięta?

Wystarczy popatrzeć na dzisiejszą akcję wymiany studentów i naukowców prowadzoną przez Fundację Kościuszkowską, na nagrody Fundacji Jurzykowskiego przyznawane pisarzom i naukowcom emigracyjnym, ale także pisarzom i naukowcom z Polski, przysłuchać się ciągłym apelom o podniesienie poziomu prasy polskiej w Ameryce, aby przyznać ile słuszności było w nawoływaniach i napomnieniach, za które wówczas go potępiano.

O swych różnych niepowodzeniach i nienajlepszych doświadczeniach Pan Aleksander mówił i pisał otwarcie. Ta szczerość powodowała, że łatwo i bez skrępowania można było z nim rozmawiać

o własnych pomyłkach. Zwierać się z naiwnych czasem planów. Niezyciowych, a nawet jak się czasem zdawało, śmiesznych zamierzeń. Najdziwniejszy, najbardziej nieprawdopodobny pomysł rozpatrywał poważnie, doszukiwał się punktu, z którego można by startować i coś pozytywnego osiągnąć. Szukał dróg realizacji każdego marzenia.

Gdy przyjeżdżał do Waszyngtonu, zawsze dawał mi znać, że jest w mieście. Tematem naszych rozmów były przede wszystkim sprawy wydawnicze, książkowe. Bo one stanowiły główny punkt jego zainteresowań i jego główną troskę. Potrafił drobiazgowo, w najmniejszych szczegółach, omawiać koszt papieru, druku, składu. Obliczać koszt znaczków pocztowych, kopert, zawiadomień i to nie swojej książki. Udzielał cennych rad jak trafić do czytelnika. Wskazywał do kogo warto apelować, a kogo należy pomijać. Wymieniliśmy spisy potencjalnych nabywców, subskrybentów. Słuchał uważnie moich doświadczeń w tej dziedzinie, nie lekceważył żadnej najbliższej nawet rady. Był dobrym towarzyszem w sprawach pisarskich, bez zazdrości i zawiści. Pamiętam jak się ucieszył gdy mu kiedyś powiedziałam, że mam listę co najmniej pięćset nazwisk. „Dobrych” nazwisk.

„Niech pani tę listę prześle Tomaszewskim... może im się przyda. Właśnie ogłaszają przedpłatę...”

Pan Aleksander polecał, protegował, torował drogę. A gdy wyczuwał, że nie może pomóc, albo że jego osoba byłaby przeszkodą w jakimś przedsięwzięciu literackim zalecał: „niech się pani zwróci z tym do Tymona Terleckiego. To opoka, na której można się oprzeć. I jest bezinteresownie życzliwy...”

Ukazanie się nowej, dobrej polskiej książki witał zawsze z zadowoleniem i radością, że w trudnych warunkach emigracyjnych udało się pisarzowi znaleźć subskrybenta, wydawcę, nabywcę, czytelnika.

Pan Aleksander był wielkim wyznawcą Norwida i propagatorem jego poezji. Kiedyś, w odpowiedzi na mój list, w którym dzieliłam się z nim projektami wieczorów autorskich kilku poetów emigracyjnych odpisał:

„Bardzo wartościowe te pani zamierzenia. Ale niech pani kiedyś pomyśli o Norwidzie. Przyjeżdża tu Dora Kalinówna. Cudownie mówi Norwida (...) W dzisiejszych czasach potrzeba nam poezji intelektualnej. Z niej mamy czerpać mądrość. Nie jest to poeta łatwy, o czym pani wie, ale też nie o łatwość pani chodzi...”

Jak Norwid w poezji, tak Józef Conrad Korzeniowski w prozie wydawał mu się najgodniejszy poznania i zalecał gorąco aby tych dwóch pisarzy prezentować Polonii. Gdy kiedyś zgłosiłam gotowość urzędzenia wieczoru autorskiego jemu, Aleksandrowi Jancie, odpowiedział kartką:

„Pierwszeństwo Norwidowi i Conradowi, a po nich dopiero ma prawo zjawić się Janta...”

W ostatnich latach tematem listów Pana Aleksandra była bardziej moja, jak jego praca literacka. Entuzjazmował się pomysłem przekładów liryki Roda McKuena. Gdy napisałam jakim sposobem mam zamiar wydać zbiorki wierszy i dotrzeć z nimi do czytelnika, nie tylko chwalił pomysł ale gorąco mnie do realizacji tego pomysłu zachęcał. Patronował niemal temu ryzykownemu przedsięwzięciu, podrzucając mi coraz to czyjeś nazwisko i adres.

„Nawet najbliżsi myślą, że zwariowałam. Są tacy, którzy nie tylko nie wierzą w powodzenie mojej akcji, ale uważają takie wpraszenie się na siłę za poniżające...”

„Poniża człowieka tylko niegodne postępowanie. A pisarza czy tłumacza, zła robota. Niech pani idzie wybraną drogą na nikogo się nie ogląda i nikogo nie słucha.”

Gdy w parę lat potem prof. Tymon Terlecki nazwał mnie „domokrażcą poezji”, o czym wszystko wiedzący Pan Aleksander zaraz się dowiedział, przesłał mi pocztówkę ze słowami:

„Brawo! Tymon obdarzył panią najpiękniejszym komplementem. I jakże trafnym. Że też mnie to nie przyszło do głowy...”

Nie mogę myśleć bez wzruszenia, że każde moje opowiadanie w „Wiadomościach” kwitował listem lub telefonem. Nie zawsze były to słowa pochwały. Krytykował niedociągnięcia, pośpiech, płytkość ujęcia. Ale obok krytyki była też i zachęta do dalszej pracy. A czasami nagana, że się lenię. Pewnego dnia otrzymałam kartkę z krótkim pytaniem:

„Kiedy książka *Kraków na złość* obiecana z okazji «Kurtyny»?”

Gdy telefonicznie tłumaczyłam się, że cierpię na chroniczny brak czasu, wcale nie kurtuazyjnie, z wyraźnym zniecierpliwieniem powiedział:



„Niech się pani nie wykręca sianem, tylko wstaje o godzinę wcześniej rano. Wtedy umysł jest świeży. Jak pani książkę obiecała, to proszę mi teraz słowa dotrzymać...”

Bo Pan Aleksander zawsze słowa dotrzymywał. Ciężko chory, już ledwie władający piórem, dowiadywał się czy aby zamówiona w przedpłacie książka *Nowe odkrycie Ameryki* dotarła do mnie, bo mu się wydawało, że coś pomylił, czegoś nie dopatrzył.

Po ukazaniu się mojego *Tryptyku wojennego* obiecał, że się podzieli wrażeniami z lektury. Pewnego dnia zadzwonił telefon i usłyszałam znajome słowa: „Tu mówi Aleksander”. Głos był zmieniony, suchy, nie miał już znanego mi, ciepłego tonu. „Chcę pani coś powiedzieć, bo obiecałem obszernie omówienie, ale wiem, że już nic nie napiszę... Właśnie skończyłem czytać *Tryptyk*”.

Rozmawialiśmy długo. O zadaniach pisarza i jego obowiązkach wobec czytelnika i siebie. „Niech się pani nie prześlizguje po temacie — pogłębi to, co dotyczy konspiracji, okupacji. Niech pani tej książce poświęci jeszcze raz dużo pracy, rozbuduje ją. Uczyni z niej dokument swoich czasów. Bo taka, jak jest teraz, pozostawia niedosyt. Niech pani ten błąd naprawi, a potem doprowadzi do drugiego, poszerzonego, uzupełnionego wydania... Ja już do pani pewnie nigdy nic nie napiszę ani się na Long Island nie spotkamy. Sytuacja jest podbramkowa. Ja po prostu umieram, pani Rózo... Więc proszę pamiętać, książkę rozpracować. To jest moje ostatnie dla pani zalecenie. Mocno panią ściskam i dużo czułości przesyłam... i niech pani na miłość Boską nie płacze!”

Otwieram na chybił trafił *Ducha niespokojnego*:

„A ja nie wiem, jak sobie poradzić z przyływem nagłego wzruszenia, niby człowiek, który po raz pierwszy zrozumiał wszystko. Życie i śmierć.”

Zmarł wielki pan. Pan Aleksander.

(Poprawiona wersja tekstu drukowanego w: „Gwiazda Polarna”, Stevens Point, USA, X–XI 1977.)

\*

## PISANY POMNIK DLA ALEKSANDRA JANTY (Wywiad telefoniczny z prof. Tymonem Terleckim)

Z Aleksandrem Jantą łączyła mnie bliska przyjaźń. W kilkunastu latach, od chwili poznania interesował się szczerze wszystkimi moimi poczynaniami zarówno literackimi, dziennikarskimi jak i kulturalno-społecznymi. Toteż gdy zwrócono się do mnie o napisanie wspomnienia o Panu Aleksandrze do zbiorowej książki, propozycję przyjąłem skwapliwie. Wiązanka serdecznych słów, zamiast wiązanki kwiatów. Cegiełki zdań, zamiast cegiełek na budowę pomnika.

Z osobistych spotkań i z listów dowiadywałam się o postępie prac nad książką, o trudnościach spowodowanych strajkiem poczty w Kanadzie, o opóźnieniach (także: *mea culpa!*) w nadsyłaniu prac przez współautorów i o benedyktyńskiej pracy redaktorskiej nad zebrany materiałem.

Umówiliśmy się z prof. Terleckim późną jesienią 1975 roku, że zatelefonuję na wiosnę. Co właśnie zrobiłam. Oto wynik tego telefonu:

**Róża Nowotarska:** *Chciałam porozmawiać z panem profesorem o książce zbiorowej, poświęconej Aleksandrowi Jancie.*

**Tymon Terlecki:** Dobrze pani trafiła, bo właśnie zamknąłem mozolną pracę adiustowania materiału i w formie gotowej do druku przesłałem na ręce Wali Jantowej w Nowym Jorku. Mogę w tej chwili odpowiedzieć na wszystko co panią interesuje.

*Od kogo wyszedł projekt książki?*

Po śmierci Janty wielu jego kolegów i przyjaciół miało poczucie, że jego bogate, bardzo czynne i wielostronne życie wymaga pełniejszego podsumowania, niż to jakie było możliwe w istniejących

warunkach czasopiśmienniczych. Alternatywa wydawnictwa zbiorowego narzuciła się sama. Podjąłem się redakcji, zapraszając do pomocy Adama Tomaszewskiego z Toronto, co w praktyce oznaczało współdziałanie obojga państwa Tomaszewskich. Stanowią oni dwu-osobowy *team* pisarski i wiązała ich z Jantą nie tak dawna jak mnie, ale chyba również zażyła przyjaźń.

*Kiedy rozpoczęły się prace na książką?*

Późną wiosną minionego roku. Natężyły się one po wakacjach. Ostatnie półrocze poświęciłem wyłącznie temu przedsięwzięciu, odłożywszy na bok wszystkie inne roboty pisarskie i naukowe. Rzecz okazała się trudniejsza z rozmaitych względów, bardziej czasochłonna, niż to pierwotnie przypuszczałem, ale przygotowania redakcyjne są wreszcie zakończone.

*Ile prac udało się zgromadzić?*

Mickiewiczowską liczbę 44 („a imię jego czterdzieści i cztery”). Oczywiście jest to przypadek, nie świadoma intencja.

*Z ilu krajów pochodzą prace składające się na książkę?*

Zaraz... Liczmy: Polska, Stany Zjednoczone, Anglia, Austria, Włochy, Francja, Kanada.

*Siedem! Już to samo obrazuje zakres związków osobistych i korespondencyjnych Janty. Wspomniał pan profesor o krajowych współpracownikach książki mu poświęconej...*

Nie jest tajemnicą, że Janta utrzymywał bliskie stosunki z pisarzami żyjącymi w kraju, interesował się ich działalnością, pomagał im na wszystkie dostępne sposoby, gościł w swoim domu na Elmhurst. Kilkoro z nich samorzutnie zgłosiło chęć udziału w wydawnictwie, o którym rozmawiamy. Są to: znakomita uczona, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, laureatka nagrody im. Jurzykowskiego, *doctor honoris causa* The University of Chicago Maria Dłuska, dr Stefan Papee nauczyciel Janty jeszcze w poznańskim gimnazjum, poeci i dramatopisarze, prozaicy i krytycy: Tymoteusz Karpowicz, Artur Miedzyrzecki, Leszek Elektorowicz, Zbigniew Siatkowski oraz młody bibliograf Wojciech Chojnacki. Mała, ale doborowa reprezentacja.

*To współuczestnictwo ludzi z kraju wydaje mi się odrębnością książki. Ma jakąś symboliczną wymowę. Wymienieni autorzy należą do świata pisarskiego. Czy to samo dotyczy współpracowników emigracyjnych? Czy będzie to tylko książka pisarzy o pisarzu?*

Duży nacisk jest położony na wielostronną działalność literacką Janty, ale byłoby zubożeniem, może nawet sfałszowaniem jego osobowości, gdyby się pominęło jego rozliczne działania praktyczne, jego inicjatywy społeczno-kulturalne, chęć i zdolność wpływania na konkretną aktualną rzeczywistość. Sama pani w swoich wspomnieniach mocno podkreśliła tę stronę zjawiska, któremu na imię Aleksander Janta.

*Tak, uważam go za niesłychanie dynamicznego pisarza, lecz równie dynamicznego działacza kulturalno-społecznego. Ale jak się panu profesorowi udało ogarnąć tak wielki zakres?*

Staralem się o uwzględnienie wszystkich aspektów i o skomponowanie książki, o stworzenie z niej możliwie uporządkowanej całości. *Książka o Grydzewskim*, założycielu i redaktorze potrójnych „Wiadomości” — „Literackich” w Warszawie, „Polskich” w Paryżu i Londynie i „Wiadomości” (beprzymiotnikowych) wychodzących do dzisiaj — jest ułożona alfabetycznie według nazwisk autorów. Książka o Jancie składa się z sześciu działów rzeczowych.

*Może pan profesor przynajmniej ogólnie je opisze — telefon wytrzyma, a ja chciałabym wiedzieć i przekazać Czytelnikom jak najwięcej.*

W pierwszej części są zgromadzone prace o zakroju syntetycznym, kuszące się o określenie całości zjawiska lub o wydobywie jakiegoś jednego rysu górującego nad innymi, jak to próbowali zrobić Miłosz i Kott. Druga część obejmuje materiały biograficzne. Ich zgromadzenie nasunęło mi najwięcej trudności. Na kilkaset listów, które napisałem, w tym zakresie było najwięcej strzałów w próżnię, ścigania mylących tropów. Bardzo wybitny i zaprzyjaźniony ze mną pisarz poznański podjął na moją prośbę rozległą i daremną kwerendę. To pośrednio wskazuje na potrzebę i ważność takich usiłowań jak książka o Jancie, ważność podejmowania ich jak najwcześniej. Mimo trudności

udało się zebrać w tym dziale osiem pozycji, które fragmentarycznie oświetlają rozmaite epizody życia, jak okres japoński w ujęciu amb. Tadeusza Romera lub utrwalają pojedyncze, ale ważne szczegóły, jak wspomnienie z lat szkolnych znakomitego „cancerologa” Dr. Michała Laskowskiego z Buffalo.

*A dalsze partie książki?*

Trzecia jest próbą opisowego i krytycznego ujęcia wielopostaciowej twórczości literackiej Janty — poety, reportażysty, prozaika, eseisty, publicysty, krytyka, tłumacza, wydawcy dokumentów etc. Jest to oczywiście pierwsza wstępna próba otwierająca drogę dalszym, bardziej szczegółowym i pogłębionym badaniom. Następna część jest poświęcona działaczowi. Wydaje mi się ona najbardziej rewelacyjna i fascynująca. Odkrycie przez Jantę fenomenalnego tancerza hinduskiego Rama Gopala ukazane jest z dwu stron, także w oryginalnych, napisanych specjalnie dla książki jego wspomnieniach. Znakomici dziennikarze dwu pokoleń: red. Ignacy Morawski i red. Bolesław Wierzbiański oceniają indywidualność i ewokują profil duchowy Janty. Cztery szkice dotyczą pionierskiego okresu Janty w Buffalo. Jest wśród nich wzruszające wspomnienie mezzosopranistki w europejskiej skali Geni Las (z domu Jakubczak) rodem z tego miasta, mieszkającej obecnie w Mediolanie. Dwa artykuły ukazują Jantę we współpracy z drukarzami-artystami (Girseem i Gliwą). Dr Aleksander Hertz opisuje jego „przygodę księgarską”. Nie pominięto nawet zainteresowania Janty młodzieżą polsko-amerykańską.

*Już bym chciała to wszystko czytać...*

Obawiam się, że musi Pani na to poczekać, a przede wszystkim wysłuchać mnie do końca. W przedostatniej (piątej) części zgromadziłem wspomnienia ściśle osobiste: prof. Richarda Angella (jest to drugie obok Normana Cousin’a, redaktora „Saturday Review” wspomnienie Amerykanina i jedna z pięciu prac w języku angielskim), wybitnej malarki polskiej z San Francisco „Kali” (Weynerowskiej), Gordona, Duszy, Łyska i mego ucznia Wojciecha Juszcza, którego po studiach w University of Chicago „przekazałem pod opiekę” Janty. I wreszcie...

*Jeszcze coś?*

...już koniec. Książkę zamykają trzy pozycje zupełnie innego rodzaju: kalendarium dat życia, bibliografia książek Janty opracowana przez wybitnego bibliografa emigracyjnego z Kalifornii Jana Kowalika i zestawienie prac rozproszonych po czasopiśmie (ponad siedemset numerów) dokonane przez wspomnianego już bibliografa krajowego Chojnickiego-syna.

*Nie będę składała gratulacji, wołała „hip, hip, hurra”, bo teraz musimy już kończyć. Jeszcze jedno pytanie: Czy będzie rozpisana przedpłata na tę książkę, może jedyną w swoim rodzaju?*

Przedpłata musi być rozpisana — to jest jedyny sposób jej wydania.

*To może przedwczesne pytanie: Czy książka będzie ilustrowana? Janta był sam zamiłowanym fotografem. W jego archiwum, które — jak słyszę — ma być złożone w jednym z czołowych uniwersytetów amerykańskich, na pewno znajdują się fotografie z rozmaitych okresów. Czy nie warto tego dołączyć do tyłu zgromadzonych przez pana profesora tekstów?*

Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Jan XXIII miał przy jakiejś sposobności powiedzieć: *Io sono solamente il papa* (Jestem tylko papieżem). Jeśli wolno strawestować to powiedzenie, ja jestem tylko redaktorem i współautorem. Spełniłem swoje zadanie, jak umiałem. Reszta zależy nie ode mnie, ale od wydawców, od przedpłacicieli, od potencjalnych czytelników, od przyjaciół Janty rozsianych po całym świecie. I — od pani. Do usłyszenia, ale nie prędko i... na krócej.

(Pierwodruk: „Dziennik Polski”, Detroit, 26.05.1976.)

Róża Nowotarska (Stany Zjednoczone)

## WSPOMNIENIE W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

KONSTANTY JELEŃSKI (1922–1987)

To nieprawda, że nie ma ludzi niezastąpionych. Każdy z nas jest unikalny i może na tym polegać cała wielkość i tragizm istnienia. Unikalny, a przecież ulotny, przemijający, skazany na znikomość i zniknięcie. Nawet ci najwięksi, ci, którzy są dumą i ozdobą rodu ludzkiego. I może dlatego właśnie śmierć nadaje życiu najwyższą cenę. To ona, jak mówi Czesław Miłosz, „nas kształta na wieki spełni”. Im piękniejsze życie, tym piękniejszy, tym bardziej nieśmiertelny będzie ten kształt...

A jednak są śmierci, z którymi nie sposób się pogodzić. Nie sposób nawet w nie uwierzyć. Tak było ze śmiercią Witolda Gombrowicza, o którym nazajutrz po jego zgonie Konstanty Puzyra napisał w „Polityce”: „Nigdy mi nie przyszło do głowy, że mógł umrzeć”. Czyż nie to samo dokładnie można było powiedzieć o Konstantym Jeleńskim?

Dla młodej elity intelektualnej w Kraju, ostatnich trzech a nawet czterech pokoleń Polaków, był postacią legendarną. Każdy chciał go spotkać, zobaczyć chociaż, każdy chciał go usłyszeć, nasycić się światłem jego olśniewającej, przenikliwej inteligencji, wdziękiem jego wykwintnego, a zarazem niezmiernie naturalnego sposobu bycia, jego unikalnej serdeczności i czułości w obcowaniu z ludźmi, jego nieskazitelnej prostoty i skromności, która cechuje prawdziwych arystokratów, jego subtelnego humoru, jego dobroci i wyrozumiałości. Każda rozmowa z Kotem, jak go nazywano w środowisku międzynarodowej elity intelektualno-artystycznej Paryża, która go wciąż szczerze opłakuje (choć w ciągu ostatnich lat odeszło także wielu jego przyjaciół), to było jakby oddychanie górskim powietrzem, atmosferą szczytów. Bo ten piękny mężczyzna, o nieodpartym uroku i niezapomnianej, aksamitnej barwie głosu, był przede wszystkim Mędrce i autentycznym demokratą-liberałem, występującym w obronie wszystkich tych, którzy padli ofiarą wszelkich prześladowań i totalitaryzmów, czy to z lewa, czy to z prawa. To był prawdziwy „głos wolny wolność ubezpieczający” i więcej jeszcze — innych wolnością hojnie obdarzający. „Całe jego życie — jak podkreślił śp. ks. Zenon Modzelewski w pięknym kazaniu w czasie mszy na jego intencję — było poszukiwaniem piękna, dobra i prawdy.” I w tym, Konstanty Jeleński, choć agnostyk, jakże był bliski ideałom chrześcijaństwa. To prawda, że jego głęboki racjonalizm kazał mu wystrzegać się zarówno utopii komunizmu jak i transcendencji religii. Jednakże, bez względu na to jak by przebiegła jego ewolucja światopoglądowa (przypomnijmy przypadek Jastruna, Kijowskiego, Kamieńskiej, Wirpży, a we Francji nawet Malraux i Sartre’a — ten ostatni, według świadectwa Jeana Guittona, w jednym z ostatnich wywiadów przed śmiercią, ukrytym przez Simone de Beauvoir, przyznał się do całkowitej porażki i oświadczył, iż wierzy w Boga), Jeleński, podkreślmy to raz jeszcze, należał do tych agnostyków, z którymi chrześcijanie najłatwiej znajdują wspólny język.

I nieprzypadkowo w ciągu ostatnich dziewięciu lat przed śmiercią zbliżył się do Kościoła. „Nigdy nie przypuszczałem w młodości, że przyjdzie dzień, gdy będę się czuł tak bliski Kościoła polskiego” zwierzył się poecie i krytykowi, prezesowi francuskiego PEN-Clubu, René Taverniera. „Głos Jana Pawła II poruszył go tak jak wszystkich Polaków, wszystkich chrześcijan, a raczej wszystkich tych, dla których bycie człowiekiem wymaga obecności i godności” pisał tenże na łamach „France Catholique” (nr 2106 z 15 maja 1987) w pięknym wspomnieniu o zmarłym przyjaciole. Świadectwem tego zbliżenia, a właściwie pojednania (przypomnijmy wszakże, iż w swojej znakomitej skądinąd *Anthologie de la poésie polonaise* — I wyd. Seuil 1965; II wyd. rozszerzone, L’Age d’Homme 1981 — Jeleński pominął niemal polską lirykę religijną i mistyczną), stał się jego świetny przekład tomu poezji Papieża dokonany wspólnie z Pierrem Emmanuelem i Anną Turowiczową.

Konstanty Jeleński był wielkim Polakiem, dalekim jednak od rozmaitych polskich nacjonalizmów, Polakiem o rzadkiej szerokości horyzontów, a zarazem zupełnie pozbawionym słynnych polskich kompleksów. Bo ten najlepszy ambasador, a zarazem duch opiekuńczy, jakiego kultura

polska miała po wojnie na Zachodzie, rozmawiał zawsze z Europą jak równy z równymi, Może dlatego, że był jednocześnie wielkim Europejczykiem (oby nie jednym z ostatnich!) spadkobiercą tych wszystkich wartości, jakie Europa gromadziła od stuleci, a które zwą się humanizmem i decydują o godności człowieka. Ten humanizm był dla Konstantego Jeleńskiego czymś naturalnym jak powietrze, którym się oddycha. Cały był wypełniony duchem braterstwa i altruizmu wobec bliźnich, niesienia pomocy ludziom dobrej woli, bez względu na ich pochodzenie, narodowość, wyznanie, kolor skóry. Jakże trafnie i pięknie określił go jednym tylko zdaniem śp. Józef Czapski w czasie tej samej mszy żałobnej: „On był nie tylko naszym przyjacielem, on był bratem nas wszystkich”.

Przy całej swojej wyjątkowości, znakomitym talencie pisarskim (pięćdziesięcioletnim! — bo pisał także po francusku, włosku, angielsku i niemiecku), który stawia go w rzędzie największych eselistów polskich drugiej połowy tego stulecia (część jego dorobku zebrana została w tomie pt. *Zbiegi okoliczności*, Paryż 1982, Instytut Literacki), wyrafinowanym smaku i znanstwie, które zapewniły mu miejsce pośród wybitnych współczesnych krytyków sztuki na Zachodzie, Konstanty Jeleński należał jednak do wcale nierzadkich, charakterystycznych niemal przedstawicieli pokolenia urodzonego i wychowanego w Polsce Niepodległej, tego pokolenia, o którym Józef Piłsudski powiedział proroczo, że „stworzy nową treść życia Polski. Będzie solidne, ideowe, patriotyczne. Będzie miało poczucie honoru i obowiązku. Odznaczać się będzie szlachetnością. Polski tknąć nie da”. (Rozmowy z Arturem Śliwińskim w 1931 r.), tragicznego i wspaniałego pokolenia Kolumbów, zmiażdżonego, unicestwionego przez tryby Historii, a które przecież przez tę samą Historię zostało uświęcone, przeszło do legendy, zdobyło nieśmiertelność. Takie pokolenie zdarza się chyba raz na kilkaset lat! Choć miało ono, nieprzypadkowo, wiele wspólnego z innym równie wyjątkowym — pokoleniem Niepodległościowców. Bowiem to pierwsze wywalczyło odrodzoną Polskę, a to drugie Jej broniło... Jeleński uczęszczał przecież do tej samej klasy w słynnym gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie razem z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim, Tadeuszem Zawadzkiem („Zośką” z Szarych Szeregów), Jankiem Bytnarem („Czarnym”), Maciejem Dawidowskim („Alkiem”)... Różnił się od nich jednak swoim skrajnym indywidualizmem, co go tak bardzo zbliżało do Witolda Gombrowicza, którego dzieło wylansował później, po wojnie, w Europie. Być może dlatego został oszczędzony, życie jego potoczyło się inaczej, los wyznaczył mu inną misję do spełnienia.

Bo w przeciwieństwie do swoich kolegów z ławy szkolnej, Konstanty Jeleński był dzieckiem szczęścia. Wychował się w środowisku zamożnej i niezmiernie światłej inteligencji szlacheckiej. Jego ojciec, Konstanty, był dyplomata na placówkach w Madrycie, Bukareszcie, Wiedniu, Królewcu i Monachium. Do kuzynów jego matki należeli Karol Szymanowski i antropolog Stefan Czarnowski, a do przyjaciół Józef Beck, Artur Rubinstein, Paweł Kochoński, Stanisław Ignacy Witkiewicz, poeci Skamandra, Bolesław Wieniawa-Długoszowski... Jeszcze jako całkiem młody człowiek (Polskę opuścił z matką w grudniu 1939 dzięki pomocy włoskich przyjaciół), w czasie pobytu w Anglii, gdzie odbył błyskotliwe studia, stykał się najpierw z elitą intelektualną angielską. Potem, po odbyciu kampanii wojennej w Normandii, Belgii i Holandii z Pierwszą Dywizją Pancerną (za co otrzymał Krzyż Walecznych, dwukrotny Medal Wojska i Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami), osiedlił się we Włoszech, gdzie pracował w Międzynarodowej Organizacji do Spraw Uchodźców (I.R.O.), a następnie w departamencie ekonomicznym ONZ dla Spraw Żywności i Rolnictwa (FAO). Zaprzyjaźniony z Józefem Czapskim (obaj reprezentują moim zdaniem to, co było najpiękniejszego i najcenniejszego w kulturze Polski szlacheckiej zarówno w płaszczyźnie psychiki jak i języka i kultury) rozpoczął w 1950 roku regularną współpracę z paryską „Kulturą”. Serdeczne więzy łączyły go z rodziną Benedetta Crocego, Albertem Moravia i jego żoną Elszą Morante, Ignaziem Silone. Jego działalność, od czasu osiedlenia się w Paryżu w 1951 roku, dokąd sprowadziła go Leonor Fini, jedna z wielkich malarek współczesnych (zmarła w styczniu 1996), która stała się jego towarzyszką aż do śmierci, zasługiwałby z pewnością na osobną monografię: praca w Sekretariacie Generalnym Kongresu Wolności Kultury i redagowanie słynnego miesięcznika „Preuves”, organizacja seminariów międzynarodowych, pomoc dla intelektualistów Krajów Europy Wschodniej w ramach „Komitetu pisarzy i wydawców dla europejskiej samopomocy” a później Fundacji Europejskiej dla Samopomocy Intelektualnej, a od 1973 dyrekcja Centre Royaumont pour une Science de l’Homme i wreszcie od 1976 aż do śmierci praca w Institut National de l’Audiovisuel. W międzyczasie bogata publicystyka na łamach prasy francuskiej, angielskiej, amerykańskiej,

włoskiej i niemieckiej i oczywiście polskiej („Kultura”), dziesięć wydanych książek, owoc niezmiernie szerokich zainteresowań Kota: polityka, ekonomia, socjologia, nauka, literatura, teatr, malarstwo, poezja... Tak, to była iście renesansowa osobowość i umysłowość. I jak Gombrowicz, zawsze młodzieńcza, tryskająca życiem i ciekawa życia w każdej postaci. Mało jest Polaków, którzy mieli tak barwną, bogatą i pasjonującą egzystencję: iluz czołowych pisarzy, artystów i filozofów Europy i obu Ameryk zaliczało się do grona jego przyjaciół!

Niech mi będzie wolno przytoczyć kilka wspomnień natury osobistej rzucających, jak sądzę, dodatkowe światło na tego niezwykłego, niezapomnianego Człowieka, którego tak pięknie ewokowali po Jego śmierci śp. Józef Czapski, Czesław Miłosz, Gustaw Herling-Grudziński, Krzysztof Pomian i inni. Poznałem Kota w 1966 roku, kiedy przyjechałem do Paryża z zamiarem zbadania możliwości opracowania francuskiego wyboru pism Cypriana Norwida. Byłem pod wrażeniem przekładów jego wierszy zamieszczonych w słynnej antologii poezji polskiej opracowanej przez Kota przy współudziale grupy wybitnych poetów francuskich. Norwid po raz pierwszy zabrzmiał w nich jak wielki poeta europejski. Miałem już za sobą szereg prób tłumaczenia jego poezji, których dokonałem przy współpracy kolejnych kierowników Centre de Civilisation Française przy UW. Niektóre z nich drukowane były na łamach „Perspectives Polonaises”. Nigdy nie zapomnę tego spotkania. Przybyłem z kraju, w którym nie było już czym oddychać (był to okres „reakcji gomułkowskiej” i wzrostu wpływów „czerwonego faszyzmu” gen. Moczara), kraju, który był mi obcy, w którym nigdy nie czułem się jak u siebie w domu. Żyłem tam wychylony w przeszłość, w mityczną i wyidealizowaną sferę Dwudziestolecia. To był mój utracony Eden, którego czułem się jednym z ostatnich wygnańców (urodziłem się na cztery miesiące przed wybuchem wojny!). A przecież w osobie Kota cały ten świat ożył, zmartwychwstał, i to w swoim najlepszym wydaniu! On stał się dla mnie uosobieniem Polski Niepodległej, jak Krzysztof Kamil Baczyński, jak Jerzy Iwanow-Szajnowicz, jak pokolenie Kolumbów... To było tak, jakbym odnalazł starszego brata, który gdzieś się w świecie zagubił w wichurze dziejowej, a teraz z nieskończoną tkliwością, wydobywał mnie z otchłani samotności. Józef Czapski określił Kota mianem „hojności błyskawicznej”. Ileż w tym prawdy! Ale była to także błyskawiczna czułość, błyskawiczne braterstwo, błyskawiczna przyjaźń. Bo ten człowiek był niezmiernie rzadkim przypadkiem połączenia nader lotnej inteligencji z równie przenikliwą intuicją prześwietlającą niemal osobę, z którą miał do czynienia. Bo przyjaźń tak jak miłość, winna „chwycić” od pierwszego wejrzenia. To jakby przeskok nagłej iskry, objawienie jakiejś tajemnej wspólnoty, powinowactwo duchowe... A nikt nie potrafił równać się z Kotem w sztuce przyjaźni... Był w niej absolutnie wierny... I zawsze gotów do wsparcia i pomocy. Zawsze otwarty dla innych. Było w nim coś jakby z idealnego harcerza... A Witold Gombrowicz kojarzył Kota z „proletariacką prostotą żołnierza”.

Umówiliśmy się w siedzibie Congrès pour la Liberté de la Culture, instytucji, w której Kot działał u boku Pierre Emmanuel, wybitnego poety i humanisty katolickiego. Po krótkiej chwili rozmowy, moja wrodzona nieśmiałość i rezerwa zostały rozbrojone, lody przysły. Miałem wrażenie, że znamy się od lat, że jesteśmy na tej samej długości fal. Pamiętam jego komplement, który wypełnił mnie szczególną satysfakcją: „Ma Pan piękną, zupełnie przedwojenną polszczyznę” powiedział do mnie. Zdumiał mnie swoim czytaniem. Znał wszystkie moje publikacje przekładowe (drukowałem wówczas w Polsce teksty wielu poetów francuskich i hispanoamerykańskich) i oczywiście tłumaczenia Norwida. „Zakończyłem już moje prace nad tym poetą i z radością przekażę Panu «pałeczkę norwidowską». Przedstawię Pana moim współpracownikom, poetom francuskim.” I zrobił to niebawem. Dzięki niemu nawiązałem szereg cennych kontaktów literackich. Tu muszę podkreślić jego niezwykłą słowność i sumiennosc. Zawsze dotrzymywał swoich obietnic. O nikim nie zapomniał. Kiedy ten człowiek, zawsze niezwykle zajęty i zapracowany, w nieustannym pośpiechu, znajdował na to czas?

Widywaliśmy się potem od czasu do czasu, a każde z tych spotkań było dla mnie świętem. Pewnego dnia spytał mnie, czy chcę, by mnie przedstawił... Gombrowiczowi, który akurat, wiosną 1967 roku bawił w Paryżu. Zatkano mnie, tego się nie spodziewałem. Bo trzeba zdać sobie sprawę, kim był dla nas w kraju, w owych okropnych czasach, Gombrowicz. Każda niemal strona jego dzieł była dla nas objawieniem. Urastał niemal do rangi wieszczka, proroka, wyzwoliciela. Był tchnieniem wolnego ducha. Można było o nim powiedzieć dokładnie to samo, co powiedział Kraśński o Mickiewiczu: „On był dla ludzi mego pokolenia mlekiem i miodem, żółcią i krwią ser-

deczną, my z niego wszyscy...” Stchórzyłem, zmieszałem się, powiedziałem: „Boże, on zrobił się taki wielki...” Do dziś żałuję... A rok później, nie było go już pośród żywych...

Kolejne nasze spotkanie miało miejsce dopiero w listopadzie 1970 roku (do Polski wróciłem w maju 1967). W międzyczasie przeżyliśmy w kraju jeden z najczarniejszych okresów: marzec 1968, faszycyzacja prasy i mediów, antysemityzm, podział i dezorientacja społeczeństwa, agonia zniechęconego reżymu Gomułki — wiele osób z elity intelektualnej, w tym szereg moich przyjaciół, wyjechało na emigrację. Mnie udało się uzyskać ośmiomiesięczne stypendium rządu francuskiego, które, jak się potem okazało, było podświadomym odruchem wyzwolenia się z krajowego koszmaru. Co mnie uderzyło wtedy w rozmowach z Kotem, to jego postawa zupełnie wyzbyta nienawiści i manicheizmu, spojrzenie jakby z góry na sprawy i ludzi tego świata, spojrzenie pełne wyrozumiałości i współczucia dla ich słabości, daleko idąca tolerancja, pojmowanie rzeczywistości jako nieustannego ruchu i przemiany, a więc także zła w dobro, choć również i na odwrót. Pamiętam dobrze moje spotkanie z Kotem przypadkowo na wyspie św. Ludwika, latem 1980 roku, po moim półtorarocznym pobycie z rodziną na Filipinach. Ucieszyliśmy się bardzo i od razu zaczęliśmy mówić na temat tego, co się działo w kraju. „To przecież początek końca komunizmu” powiedział do mnie. Innym razem, kilka miesięcy przed śmiercią, chyba w rozmowie telefonicznej, komentując wydarzenia krajowe, zauważył proroczo: „nie żałuję komunizmu, ale przerażeniem wypełnia mnie to, co pojawia się na jego miejsce”. Bo jednej rzeczy nie znosił: fałszu i obłudy, wszelkiego fanatyzmu i zaślepienia, sekciarstwa, zaskorupiania się w samouwiełbieniu, postawy wrogiej, wzgardliwej wobec tego, co odmienne, wszelkiej formy tyranii.

Jak wiele Jemu zawdzięczam. To właśnie dzięki Kotowi wszedłem do grona tłumaczy literatury polskiej we Francji: kiedy w 1974 roku wydawnictwo Denoël poszukiwało tłumacza do następnego tomu *Dziennika 1957–1960* Gombrowicza (tom z lat 1953–1956 przełożył Allan Kosko, ale zrezygnował z dalszych), Kot polecił mnie. Wyczuł z pewnością we mnie zapalonego „ferdydurkiście”. Zdawał sobie doskonale sprawę, że niezwykle ważnym elementem w sztuce tłumaczenia jest stosunek uczuciowy tłumacza do autora. Lubił też cytować pewnego krytyka angielskiego, który ślicznie się wyraził, że „dobry przekład powinien zachowywać zapach języka oryginału”. I postawił chyba na dobrego konia, bo mój przekład *Dziennika 1961–1969* dokonany wspólnie z Dominique Autrand (przejąłem właściwie jego metodę tłumaczenia na cztery ręce) otrzymał nagrodę za najlepszą książkę roku 1981. Tą samą metodą przełożyłem potem inne książki Gombrowicza: *Wspomnienia polskie, Ja i mój sobowtór* (pierwsza wersja początku *Ferdydurke*), *Varia II*, a w dalszej kolejności: szereg tomów Kuśniewicza, Schulza, Andrzejewskiego, Miłosa. Wielokrotnie z radością znajdowałem w jego świetnych recenzjach, które zawsze mi przysyłał, słowa wysokiej oceny dla mojej pracy.

Miałem dwukrotnie okazję i szczęście współpracować z Kotem: w 1983 zaprosił mnie do współpracy przy wyborze poezji Czesława Miłosa, wydanym rok później przez Luneau-Ascota (*Poèmes 1934–1982*). Przełożyłem do tego tomu 31 utworów m.in. wspólnie z moim znakomitym współpracownikiem i naszym wspólnym przyjacielem, François Xavier Jaujardem (1947–1996), tłumaczem i wydawcą, którego zasługi i oddanie literaturze polskiej godnie byłyby osobnego artykułu. Tłumaczyliśmy razem Norwida, Kuśniewicza, Andrzejewskiego, Miłosa, Baczyńskiego... Śmierć Kota zaskoczyła nas przy pracy nad przekładem *Nieobjętej ziemi* Miłosa (Fayard 1988). Z głębokim wzruszeniem zadedykowaliśmy ten tom świetlanej pamięci Konstantego.

„Spotkaliśmy się” po raz drugi z Kotem przy okazji Norwida. Na stulecie jego śmierci w 1983 roku przygotowałem wybór jego 45 wierszy do specjalnego numeru kwartalnika „Obsidiane”. I tu nastąpiła zabawna historia. Redaktor tego pisma, poeta François Boddart (który odkrył Norwida dzięki antologii poezji polskiej Jeleńskiego), jak to się często zdarza Francuzom, którzy zupełnie nie zwracają uwagi na nazwiska obce, pomylił mnie z Kotem! (Konstantego zawsze bawiło to, że mieliśmy nawet ten sam monogram: K.A.J. — Konstanty Aleksander Jeleński i Krzysztof Andrzej Jeżewski.) Ten odpisał mi jak zwykle z wdziękiem i dowcipem, że „dokonując aliażu nas obu, stworzył dwugłowego norwidystę”. I z właściwą sobie lojalnością i *fair-play*’em odesłał go do mnie zaznaczając, że „dokonałem dla Norwida wspaniałej pracy, pełnej abnegacji, sumiennosci i wrażliwości”. I dobrze się stało, bo cały wybór (dzięki sugestii Kota) został poprzedzony jego pięknym esejem o Norwidzie drukowanym w 1964 w „Mercure de France”, ja zaś dołączyłem do niego swoje posłowie. List Kota do Boddarta zawiera też ciekawy i charakterystyczny dla jego postawy *passus* („Obsidiane” chciał zwrócić się do ówczesnych władz polskich o pomoc w zorga-

nizowaniu polsko-francuskiego sympozjonu norwidowskiego w Sens); Jeleński pisze w nim, że „byłaby to obraza pamięci Norwida, tego nieprzejednanego wygnańca nie przestającego nigdy piętnować carskiej tyranii”, który, „skoro te same tragedie wieczyście powracają, stał się niejako symbolem oporu wobec faszystowsko-komunistycznej junty Jaruzelskiego”.

I jeszcze jeden przyczynek do charakteru Kota: niedługo potem moja sytuacja finansowa bardzo się pogorszyła, a miałem na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci. Na domiar złego nie zanośli się wcale na jakieś nowe tłumaczenie. Wysłałem więc do Kota rozpaczliwe S.O.S. I tu jeszcze raz wprowił mnie w zdumienie swoją wspaniałomyślnością: po prostu przekazał mi do tłumaczenia *Świadectwo poezji* Czesława Miłosza, na które miał już umowę z Presses Universitaires de France i nad którymi zaczynał pracować!

Nawiasem mówiąc, mieliśmy niemało wspólnego, poza naszym monogramem: miłość do poezji Norwida i Miłosza i do poezji polskiej w ogóle (pamiętam jak na prezentacji swojej antologii w Centre Pompidou w 1982 roku Kot powiedział: „Nie powiem, że poezja polska jest najpiękniejsza ze wszystkich, ale sądzę, że zajmuje miejsce zaraz po poezji francuskiej, angielskiej i niemieckiej”); uwielbienie dla pisarstwa Gombrowicza, dla malarstwa Leonor Fini (cóż to była za fascynująca kobieta!) i miłość do... kotów. W swoim pięknym mieszkaniu przy 8, rue de la Vrillière w Paryżu Leonor i Konstanty chowali kilkanaście kotów, które ta niezwykła artystka uwieczniała na swoich płótnach. Kot (ten przydomek nie był przypadkowy, bo miał on w sobie coś z elegancji i subtelności kociego rodu) oczywiście też się na nich pojawiał. Ciekawe, że malował go już, dwukrotnie, jeszcze jako dziecko, sam Stanisław Ignacy Witkiewicz... Przygotowuję obecnie antologię światowej poezji o kotach i wiem, że Leonor i Konstanty uśmiechają się do mnie z zaświatów...

Kiedy ukończyłem, po dwunastu latach pracy, mój tom wierszy *Muzyka* (jakby poemat, którego poszczególne ogniwa inspirowały dzieła muzyczne), krytyka uważa go zresztą za najważniejszy w moim dorobku, zaniósłem go oczywiście Kotowi. Reprezentuję rzadki w poezji polskiej nurt ezoteryczno-mistyczny i wiedziałem, że nie leżało to specjalnie w kręgu jego zainteresowania. Ale właśnie dlatego ciekaw byłem ogromnie Jego opinii. Był pod wyraźnym wrażeniem tej lektury; oddał mi maszynopis mówiąc: „No, Krzysztof, tego to jeszcze w poezji polskiej nie było. Zappełniłeś niemałą lukę...” A potem napisał krótką opinię o tym tomie, którą dołączyłem obok kilku innych do mojego zbioru. Jak trafnie ujął w niej przy okazji moją osobowość i działalność, jak pięknie się wyraził o „całkowitym zaufaniu”, jakie ma do mnie „zarówno w dziedzinie słowa jak w tej gdzie «grają niezmiennie sfery niebios i planety»”. Nieprzypadkowo chyba zacytował tu słowa z wiersza *Mistrz* Czesława Miłosza, naszego ulubionego poety. Wyobrażam sobie jego radość, gdyby mógł przeczytać liczne doskonałe artykuły w prasie polskiej, które, po latach bojkotu mojej poezji, ukazały się na temat *Muzyki* w Polsce.

Podobna sytuacja powtórzyła się (było to już kilka miesięcy przed Jego śmiercią), kiedy pokazałem mu projekt mojej wielkiej Kroniki poetyckiej życia Józefa Piłsudskiego *W blasku legendy* (Editions Spotkania, Paryż 1988), obejmującej 350 tekstów 160 autorów, w tym zarówno teksty panegiryczne jak krytyczne. Uznał pomysł za kapitalny i serdecznie zachęcał mnie do jego realizacji, a przecież nie należał bynajmniej do bezkrytycznych wielbicieli Marszałka. W tym był cały Kot: dzięki genialnej intuicji potrafił ocenić nawet to, z czym się nie zgadzał, co było obce jego gustom i odczuwaniu. Jak mało ludzi zdolnych jest do takiej oceny!

Nie widywaliśmy się często. Wiadomo, w Paryżu nie ma się czasu nawet dla najbliższych przyjaciół. Pozostawał kontakt telefoniczny i listowny. Ale już sama świadomość, że był tu gdzieś niedaleko, że w każdej chwili mogłem na niego liczyć, napawała otuchą, dawała poczucie bezpieczeństwa. Bo prawdziwy przyjaciel jest jak słońce: nawet kiedy zachodzi, wiemy, że jest nieopodal, że czuwa, że na pewno powróci...

Na krótko przed śmiercią Kot przeszedł na emeryturę i wyraźnie nie czuł się dobrze w tej nowej sytuacji: on, tak aktywny, tak zawsze pełen życia i energii... Nie, to do niego nie pasowało. Miałem nadzieję, że dzięki temu będziemy mogli nareszcie częściej się widywać, że wciągnę go do współpracy nad przekładem wyboru dzieł Norwida. Zgodził się chętnie, ale zdążył przełożyć tylko jeden wiersz...

Zachęcał moją żonę, Filipinkę, do malowania. Wdrapał się nawet kiedyś do nas na szóste piętro (mieszkailiśmy wtedy z dziećmi w dwóch *chambres de bonne* koło Jardin de Luxembourg), by dokładnie zapoznać się z Jej obrazami. Toteż miał być gościem honorowym na jej pierwszym



paryskim wernisażu we Foyer Jean Paul II, w maju 1987 roku. Ostatnia nasza rozmowa telefoniczna to było zaproszenie na wystawę Mayi. Kot zmarł kilka dni przedtem. Ale na wernisażu wszyscy jakby chodzili na palcach, czuli Jego obecność... To był wierny duch Kota...

Nasza przyjaźń miała też wzruszający epilog. Kiedy w 1990 roku Instytut Literacki utworzył nagrodę im. Konstantego Jeleńskiego dla tłumaczy literatury polskiej, zostałem jej pierwszym laureatem (*ex aequo* z Thérèse Douchy). To Kot słał mi braterskie pozdrowienie zza grobu...

Kiedy dziś wspominam naszą przyjaźń, zastanawiam się nad tym, jak niezwykle są te tajemne „związki dusz” między pokoleniami. Bo Kot był dla mnie również ogniwem, które łączyło mnie nie tylko z tym cudownym pokoleniem, do którego należał, ale też z moim ukochanym poetą, Krzysztofem Kamilem Baczyńskim i z moim ulubionym pisarzem, Witoldem Gombrowiczem.

Jakże głęboką, smutną prawdę wyraził Czesław Miłosz w artykule na łamach „Le Monde” po jego śmierci: „Bez Kota Paryż nie jest już tym samym miastem”. Istotnie, coś jakby w nim pękło, coś zgasło... Tak jakby ubyło mu duszy...

Kończąc tę skromną garść wspomnień o Nim, chciałbym zacytować słowa Jego (naszego) ukochanego Norwida, z nekrologu Chopina. Jak pięknie pasują one do Konstantego:

„Cały prawie żywot (bo część główną) poza krajem spędził dla kraju.

To jest, co największego dopiąć może wychodząc (...)

Wszędzie jest — bo w Ojczyzny duchu mądrze przestawał — i w Ojczyźnie spoczął, bo jest wszędzie...”

Krzysztof Jezewski (Francja)

## ADWOKAT, POLITYK, PISARZ...

ZYGMUNT NAGÓRSKI (1884–1973)

Zygmunt Nagórski, jeden z wielkich adwokatów polskich w okresie międzywojennym, przeszedł przez szkoły i uniwersytety w całym szeregu uczelni europejskich. Skończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1905; następny rok spędził na Uniwersytecie Berlińskim studiując pod kierownictwem profesorów Józefa Kohlera, Franza Liszta i Teodora Kippa. Doktorat uzyskał na Uniwersytecie w Zurychu na podstawie tezy opublikowanej jednocześnie w Charkowie i Zurychu p.t.: *Stosunki między ojcem a nieślubnym dzieckiem według prawa niemieckiego i francuskiego*. Po doktoracie spędził jeszcze rok w Paryżu studiując kodeks Napoleona i całość francuskiego prawodawstwa.

Lista wydawnictw, druków, opracowań i książek napisanych i redagowanych przez adwokata Zygmunta Nagórskiego zabrałaby zbyt wiele miejsca. Wymienić tutaj można najważniejsze: *Wieś Bachotnica Kościelna pod względem ludnościowym* (wspólnie z prof. Marcelim Handelsmanem, 1910); *Emerytura Robotnicza we Francji* (1910); *Konwencja między Rosją a Bułgarią w kwestii wykonywania wyroków* (1913); *Reforma Rolna 1920 roku* (1921); *Prawo o ustroju sądów powszechnych* (1933); *Pakt Kellogga* (1929); *Kodyfikacja polskiego prawa cywilnego* (1945); *Ludzie mego czasu* (1964).

Oprócz tego Zygmunt Nagórski był redaktorem naczelnym, lub współredaktorem: „Themis Polska” (1913–1939), „Przegląd Prawa Prywatnego” (1937–1939), „Przegląd Polityczny”, wydawnictwo Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (1925–1930) i „Sprawy Narodowościowe” (1925–1939).

Wpisany na listę adwokatów w roku 1919, Zygmunt Nagórski był praktykującym adwokatem od momentu kiedy skończył lat 21; wojna i tworzenie się niepodległego państwa polskiego w latach powojennych przerwały ciągłość pracy prawniczej. Ale już od roku 1918 Nagórski wykładał na Uniwersytecie Warszawskim przedmiot, który go najbardziej pasjonował: prawo cywilne. Katedrę tę zatrzymał przez pięć lat, aż dopiero w roku 1923, na skutek presji pracy zawodowej, musiał z niej zrezygnować. W tym samym czasie i przez wiele lat później, Zygmunt Nagórski pracował jako członek Komisji Kodyfikacyjnej w podwójnym charakterze: jako wice-przewodniczący Podkomisji Prawa Własnościowego i jako przewodniczący Podkomisji Spraw Spadkowych. „Gdy wszedłem do Komisji Kodyfikacyjnej — wspominał Zygmunt Nagórski przy okazji uroczystości zorganizowanych przez Stowarzyszenie Prawników Polskich w Nowym Jorku na jego 75-lecie — całokształt zagadnień związanych z unifikacją prawa cywilnego rozszerzył znacznie zakres badań ustawodawczych i dał niezapomniane lata stałej niemal współpracy z najwybitniejszymi prawnikami polskimi. Tutaj nauka i teoria prawa stykały się z faktami i wymogami życia — prawo jako koncepcja i jako ideał z prawem żywym, praktykowanym przez sądy, administrację i społeczeństwo.”

W tymże samym przemówieniu Zygmunt Nagórski zakreślił inne okresy swej pracy i działalności: „Od lat bardzo młodych — mówił Nagórski — pociągało mnie prawo, a specjalnie adwokatura jako wówczas jedyna droga dla prawnika polskiego. Interesowało mnie urządzenie społeczeństwa i państwa oraz rządzenie nimi, interesowały stosunki i konflikty pomiędzy ludźmi i ich porządkowanie”. I dalej, patrząc wstecz na swoje lata adwokackie i pracy publicznej: „Adwokat albo nie ma klientów, albo nie ma czasu. Nigdy nie miałem czasu. Poza zagadnieniami natury publicznej czy indywidualnej, społecznej czy psychologicznej, są zawsze ludzie. Wielkie ilości przewinęły się przede mną. Moźni i małuczcy, hrabiowie i chłopci, księża i Żydzi, dziedzice i fornale, uczeni i analfabeci, przemysłowcy i kupcy, robotnicy, urzędnicy, pisarze i dziennikarze, politycy i mężowie stanu. Przeważali oczywiście Polacy, ale byli także Niemcy, Austriacy, Francuzi, Belgowie i Holendrzy, Włosi i Szwajcarzy, Szwedzi i Norwegowie, Anglicy i Amerykanie a nawet Egipcjanie. Cała galeria typów, ludzi żywych, zaaferowanych, zatroskanych, pełnych uczuć i namiętności,

walczących o coś dla nich ważnego, lub broniących swych własnych, cudzych lub społecznych praw i interesów”.

W pierwszym okresie niepodległości Polski, Nagórski powołany został do tego co nazywał „Chwytnie codziennego życia Polski na gorącym uczynku”. I tak ten okres wspomina: „Ustawodawstwo — nie w sensie uchwalania, lecz projektowania praw — przyszło do mnie samo, kiedy mój przyjaciel, Eugeniusz Śmiarowski, wówczas Wice-Minister Sprawiedliwości, zaproponował mi w roku 1918 wejście do Departamentu Ustawodawczego Ministerstwa. Później radcostwa prawne w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych i w Ministerstwie Skarbu, wice-prezesa Głównej Komisji Ziemskiej — pokazały mi problemy prawne od góry, ze stanowiska rządu, jego obowiązków, zadań i trudności. Pierwsze przygotowania do reformy rolnej, założenie Banku Polskiego, wprowadzenie waluty złotej — to były naczelné prace tego okresu”.

To były jednak tylko początki. Jako adwokat i prawnik, Zygmunt Nagórski był niezmiernie czynny zarówno w Polsce, jak w instytucjach międzynarodowych. W Polsce był obrońcą w dwóch wielkich procesach politycznych — Aleksandra Lednickiego przeciwko Zygmuntowi Wasilewskiemu o oszczerstwo, i występował jako jeden z obrońców oskarżonych w procesie Brzeskim, który scharakteryzował jako „owoc ciężkiego schorzenia organizmu politycznego i państwowego”.

W stowarzyszeniach zawodowych był także czynny. Wybrany jako wice-dziekan Rady Adwokackiej, potem jako członek Rady Naczelnej, przy wielkiej kampanii prowadzonej przeciwko niemu przez adwokatów pod sztandarem endecji, Nagórski wytrwał na tym trudnym, i dla niego niesłychanie ciężkim psychicznie stanowisku, aż do wybuchu wojny roku 1939-tego.

Na emigracji w Anglii był członkiem rządu polskiego w Londynie gdzie został mianowany zastępcą Prezesa Najwyższej Izby Kontroli. W dziedzinie międzynarodowej Zygmunt Nagórski stał się promotorem w Polsce Federacji Stowarzyszeń Ligi Narodów i prowadził walkę o pół-stałe miejsce dla Polski w samej Lidze. W Warszawie brał czynny udział w pracach Instytutu Spraw Międzynarodowych i Instytutu Badań Zagadnień Narodowościowych. W latach późniejszych wykładał przez kilka lat na wydziale prawa Uniwersytetu w Oxfordzie i był aktywnym członkiem Stowarzyszenia Prawa Międzynarodowego. W latach emigracyjnych wybrany został na dyrektora Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku i prezesem Polskiego Stowarzyszenia Prawniczego w Stanach Zjednoczonych.

Na zakończenie raz jeszcze oddać należy głos samemu Zygmuntowi Nagórskiemu, kiedy na swoim 75-leciu mówi tak o nauce: „Wyliczając różne drogi jakimi chodziłem, na ostatnim miejscu wymieniłem naukę. Ona bowiem, jako będąca na najwyższym szczeblu, jako świat czystego intelektu i beznamiętnego poszukiwania prawdy, zajmuje zupełnie odrębne, jedyne i niezaprzeczalne pierwsze miejsce. Nie mogła ona, niestety, odegrać w moim życiu tej roli jaka jej się należała... Pokolenie moje było — z dziejowego przeznaczenia — pokoleniem żołnierzy... Nauka jednak była od lat młodych dla mnie świątynią, do której raz po raz się chroniłem, w której usiłowałem składać niewielkie, nieważne ofiary na ołtarzu wiedzy prawniczej. Tutaj dopiero oddycha się czystym powietrzem bezstronnego badania, widzi się światło, przejaśniające drogi zawilego życia społeczeństw ludzkich. Szczęśliwi ci, którzy dzięki własnej sile charakteru, twardej pracy, osobistym talentom i sprzyjającym okolicznościom, mogą uprawiać naukę jako swoją pracę jedyną i główną.”

(Tekst na podstawie pamięci, danych opublikowanych szeroko i tekstu przemówienia Zmarłego wygłoszonego 6 lutego 1960 roku w Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku.)

Zygmunt Nagórski Jr (Stany Zjednoczone)

## UTARCZKA

ZYGMUNT NOWAKOWSKI (1891–1963)

Kiedy na cmentarzu Hampstead w Londynie chowaliśmy Kazimierza Wierzyńskiego opodal jego mogiły widać było wcześniejsze groby, poety Tadeusza Sułkowskiego oraz świetnego felietonisty, krytyka teatralnego i prozaika, Zygmunta Nowakowskiego.

Ten ostatni, wieloletni członek Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wielki miłośnik Krakowa ustawicznie obecny w naszych konwersacjach dzięki ciętym felietonom w londyńskim „Dzienniku Polskim”, popularny gawędziarz rozgłośni Radia Wolna Europa, dla młodych rzecznik sztywnej postawy emigracyjnej, był postacią malowniczą i kontrowersyjną. Grzmiącym dzwonem. Jego wypowiedzi w prasie i radiu brzmiały jak orędzie.

Przed młodymi zakryta była jego świetna przeszłość i twórczy dorobek. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, na przykład, że był również aktorem i kiedyś grał główną rolę w „Księciu Niezłomnym”. Oglądałem natomiast w Londynie jego sztukę „Gałązka rozmarynu”. Po bardzo udanym przedstawieniu autor skromnie stwierdził, że: „To święto nie jest moim świętem, ale świętem słowa, wolnego polskiego słowa, które ja, obok innych pisarzy, dziennikarzy czy aktorów, wedle innych, najlepszych intencji wyrażam”.

Tego słowa, rzadkiego talentu elokwencji, nieraz używał w zabiegach o wsparcie dla ulubionego tygodnika „Wiadomości” z różnym rezultatem u bogatych arystokratów i ludzi zamożnych.

Nowakowskiego nieraz ponosił temperament, a wtedy dopuszczał się kontrowersyjnych, emocjonalnych napaści i oskarżeń. Pisane językiem barwnym były dotkliwymi sztychami, trudno się było przed nimi obronić, a nieobcy młodzi, jeżeli już wchodzili z Nowakowskim w szranki, czuli się zmuszeni do używania broni równie rażącej w swej niezdarności i grotesce.

Tak było w 1957 roku, kiedy grupa początkujących pisarzy skupiona wokół miesięcznika młodych „Merkuriusz Polski” zaprosiła do Londynu Czesława Miłosza. Jego decyzja pozostania na Zachodzie wywołała niekończącą się dyskusję. Emigracyjne koła kierownicze spodziewały się jego pojawienia w Londynie w roli petenta przeproszającego za współpracę z PRL-em, a myśmy go zaprosili na wieczór autorski i do tego do Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. W. Sikorskiego.

Wieczór się odbył. Liczna publiczność tłoczyła się nawet na schodach prowadzących do sali. Zygmunt Nowakowski dał upust swojemu niezadowoleniu z takiego obrotu rzeczy. W felietonie zagrzmiał, że lokal, w którym odbył się wieczór Miłosza, należało wykadzić.

Jako organizatorzy spotkania zaprotestowaliśmy i wzięli w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym pisma napisałem do gazety list, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej, że „Uważamy, że Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnio-europejskie.

Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:

*Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,  
Za sobą mury polskie ciemnoprodu.*

Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego”.

Tę moją odpowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „Dziennik Polski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim: „odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać «pod sztandarami» w Instytucie

im. gen. Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego «wysłannikami reżymu»”. Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Ostre wymiany epitetów, na szczęście, nie oznaczały zerwania wszelkich stosunków i kontaktów. Pamiętam, jak kiedyś potem spotkałem Nowakowskiego na ulicy. Miał słaby wzrok i trudności z chodzeniem. Wziąłem go pod ramię i zaprowadziłem do banku. Nie omieszkalem przy okazji włożyć mu do kieszeni palta najnowszego numeru naszego czasopisma.

On nam nie pamiętał grubych określeń pisanych w afekcie i młodzieńczej nietolerancji. Trzy lata po incydencie z Miłoszem Nowakowski napisał felieton „Kula u nogi?” Był to jego błyskotliwy komentarz do dyskusji jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji język polski był dla nas najwłaściwszy, czy nie należało się od niego uwolnić i przyłgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani na moment nie wątpił, że jednak zwycięży język polski. Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu największych pochwał i zakończył tak: „I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być dla niego kulą u nogi?”

Mimo, że widział, że stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował — „Ona wyklucze się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozważliwej. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.” — Dodając: „A język, zamiast kula u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu”.

Czy myślę nieskromnie sądząc po latach, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły?

Florian Śmieja (Kanada)

**ŚP. ANIELA RACZYŃSKA**  
(1910–1998)

14 października zmarła w Londynie Aniela z Lilpopów Raczyńska, wdowa po zmarłym w roku 1993 w Londynie śp. prezydencie Edwardzie Raczyńskim, którego poślubiła w Londynie 18 maja 1991 r.

Urodziła się w Warszawie w roku 1910 jako trzecia córka znanego polskiego architekta Franciszka Lilpopa. Jej pierwszym mężem był Witold Mieczysławski, dyplomata (syn poety legionowego Jana Mieczysławskiego), który w 1939 był sekretarzem Ambasady RP w Bukareszcie. Ambasadorem RP był tam wówczas brat Edwarda, Roger Raczyński. Tam zastała państwa Mieczysławskich wojna. Z Bukaresztu wyjechali do Paryża, gdzie był już rząd polski. Witold Mieczysławski wstąpił do armii polskiej, a po upadku Francji pani Aniela udała się do Portugalii, a stamtąd do Stanów Zjednoczonych.

Lata wojny spędziła w Nowym Jorku. Od przyjazdu włączyła się aktywnie w pracę charytatywną w organizacjach polskich. Pracowała zarobkowo i jednocześnie poświęcała całą resztę swego czasu i energii działając w Polskim Czerwonym Krzyżu i innych organizacjach. Wysyłała paczki i lekarstwa różnymi drogami do Kraju, była czynną organizatorką wielu imprez na cele polskie w Nowym Jorku. Przez cały okres wojny jak i potem żyła i pracowała w samym centrum każdej polskiej inicjatywy, zarówno propagandowej jak i charytatywnej. Organizowała koncerty muzyków polskich (m.in. Artura Rubinsteina i swoich szwagrów, Jana Krance i Artura Rodzińskiego), odczyty polskich poetów i pisarzy (m.in. Jana Lechonia, Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Wittlina, Aleksandra Janty-Pończyńskiego) i wystawy polskich malarzy (m.in. Józefa Czapskiego, Zdzisława Czermańskiego) na cele polskie i prezentując ich społeczeństwu amerykańskiemu. W ten sposób tworzyła nie tylko możliwości zarobkowe dla polskich artystów, ale także amerykańską pomoc społeczną dla Kraju i dla Polaków na wychodźstwie.

Po zakończeniu wojny Aniela Raczyńska kontynuowała tę działalność. Była w Stanach Zjednoczonych głównym motorem akcji pomocy dla Zakładu dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą. Brała też czynny udział w organizacjach emigracyjnych, charytatywnych i niepodległościowych. Była współzałożycielką Polskiego Instytutu Naukowego i Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Długoletnia przyjaźń z Edwardem Raczyńskim przekształciła się w opiekę nad nim, kiedy po śmierci żony był parokrotnie operowany w Nowym Jorku. Kiedy już nie było mowy o uratowaniu wzroku, na jego prośbę, przyjechała do Londynu, stając się najbliższą i niezastąpioną opiekunką, a po śmierci jej pierwszego męża, żoną. Nie przerwała działalności społecznej i charytatywnej. Była w Londynie może najbardziej czynną i zapaloną orędowniczką organizowania poparcia finansowego na podtrzymanie i zabezpieczenie istnienia Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, Biblioteki Polskiej, Polskiej Macierzy Szkolnej, Medical Aid for Poland i innych wymagających ciągłego poparcia instytucji polskich. W dalszym ciągu też pomagała jak mogła bliskiemu jej sercu Zakładowi w Laskach. W ostatnich latach życia prezydenta Raczyńskiego była jego oczami. Opiece nad nim poświęciła te lata bez reszty.

W mieszkaniu państwa Raczyńskich w londyńskiej dzielnicy Kensington, na Lennox Gardens pod numerem 8, bywali niemal wszyscy wybitni przedstawiciele polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii i na świecie. Niejednokrotnie też działacze z Kraju: niektórzy jako emisariusze, inni szukający oparcia. Po roku 1989 bywali tu też wybitni mężowie stanu z wolnej Polski, a także dawni brytyjczyści i amerykańscy przyjaciele. Pani Aniela przyjmowała wszystkich z wrodzonym sobie talentem towarzyskim, ale też ze zrozumieniem roli człowieka, którego odwiedzali. Specjalny charakter miały dwie wizyty Lecha Wałęsy, pierwszy raz jako głowy „Solidarności”, a po raz drugi już jako prezydenta wolnej Polski.

W późnych latach dwudziestych i w pełni trzydziestych Aniela Raczyńska i jej trzy siostry żyły w wirze odradzającej się literatury i sztuki polskiej. Pani Aniela, o dużym temperamencie,

wielkim poczuciu humoru i talencie przyjaźni, a ceniąca także atrakcje życia towarzyskiego, otoczona była poetami „Skamandra”, pisarzami skupionymi wokół „Wiadomości Literackich”, malarzami i architektami. Słowem, obracała się w środowisku artystycznym.

W roku 1996, czyli w 20 lat po śmierci poety i pisarza Antoniego Słonimskiego, jednego z najbliższych, długoletnich przyjaciół siostr Lilpop z lat trzydziestych, „Biblioteka «Więzi»” w Warszawie wydała *Wspomnienia o Antonim Słonimskim*. Jest to praca zbiorowa. Dwie siostry, Felicja Krance i Aniela Mieczysławska (później Raczyńska) ogłosiły w niej swe wspomnienia nie tylko o Słonimskim, ale o całej plejadzie ówczesnych młodych talentów. (Pozostałe dwie siostry są też w nich wspomniane. Interesujące, że wszystkie cztery wyszły za mąż z tych samych artystycznych przyjaźni: Halina za Artura Rodzińskiego — słynnego dyrygenta, Felicja za Jana Krance — muzyka, Aniela jak wyżej, i wreszcie najmłodsza Maria za Zbigniewa Uniłowskiego — młodego pisarza.) Książka ta, może bardziej niż inne, ukazuje beztroską atmosferę Warszawy dwudziestolecia, epoki twórczej radości i snów o równie błyszczącej przyszłości. Aniela Raczyńska w rozmowach prywatnych odtwarzała z pamięci pełny kalendarz strat Polski, strat ludzkich, a nade wszystko strat przyjaciół. Energię swoją przeznaczyła na pomoc bieżącym sprawom polskim, tym samym nie pozwalając na zapomnienie spraw dawniejszych.

Krzysztof Muszkowski (Wielka Brytania)

**ANDRZEJ SYCZ**  
(1931–1995)

Andrzej Sycz przebywał w Izraelu stale od r. 1987 na prawach Polaka — Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata. Zdarzenia, które sprawiły, iż znalazł się pomiędzy uhonorowanymi wyrażającym wdzięczność Żydów tytułem, a następnie zamieszkał w Natanii, zrelacjonował w jednym z listów. Odnośnie własnych losów życiowych w listach i kontaktach osobistych zachowywał niezmienne postawę dyskretną i powściągliwą.

Otóż w r. 1942 „moja matka na prośbę pewnej znajomej zdecydowała się zabrać z getta 11-letnią dziewczynkę żydowską, która straciła właśnie rodziców. Z tego powodu musiała natychmiast wyjechać ze Lwowa — zostawiając tam męża — i starać się zameldować naszą «kuzynkę» gdzieś w małej miejscowości, gdzie problem żydowski był już «rozwiązany». Okazało się, że nie było to takie łatwe i że musieliśmy wszyscy przeżyć wiele niebezpiecznych sytuacji. Ponieważ my, troje dzieci, byliśmy w tym czasie zupełnie «dorośli» — jak na warunki wojenne — wiele trudnych spraw związanych z zachowaniem konspiracji, wyżywieniem itp. spadało na nas — to i nas włączono również do odznaczenia przyznanego przez Yad Vaszem matce. Główną bohaterką była jednak ona. (...) Dziewczynka, jako przyszywana «kuzynka», żyła całkiem jawnie przy naszej rodzinie przez całą okupację, choć z duszą na ramieniu i czasem o głodzie i chłódzie. Zdarzały się także sytuacje, że wpadali Niemcy z bronią w rękę, (...); zdarzało się, że głupie sąsiadki wołały przez płot na moją matkę: «ty żydowska ciotko!» Ale szczęśliwie, zmieniając mieszkania, udało nam się utrzymać tajemnicę do końca wojny. Potem po wojnie, dziewczynka mieszkała z nami jeszcze rok i chodziła do szkoły, a gdy odnalazła się jej ciotka w USA — wyjechała tam. Po 30-tu latach namówiła ciotkę — emerytowaną lekarzkę wówczas — na przeniesienie się do Izraela, gdzie mieszka do dziś... A ja mieszkam razem z nią w tym samym domu w Natanii...”

Już nie mieszka, to czas przeszły: Andrzej Sycz nie żyje. Ten zaś tekst jest próbą rekonstrukcji zdarzeń życia, w których objawiła się jego wielostronna aktywność. Był bowiem postacią wielowymiarową, intelektem dynamicznym; zarazem człowiekiem, który potrafił narzucić sobie dyscyplinę kreatywną w niezwykle trudnych, o mocno zachwianej perspektywie na przyszłość, chwilach. Fizyk i astronom; filozof, malarz i rysownik; poeta i tłumacz poezji. Te tak bardzo przeciwstawiane strefy dociekań i twórczości umiał pozhaczać o siebie — sprawność uzyskaną w jednej dyscyplinie przemieniał w narzędzia służące do penetrowania innej — i pozostawił liczne i liczące się znaki swojej w nich działalności.

Urodził się w Wierzbinku (kieleckie) w r. 1931. Po wojnie przybył — ze Skarżyska — do Krakowa, gdzie w latach 1950–1957 odbył w UJ studia z zakresu matematyki, chemii, astronomii (magisterium 1955) i fizyki (doktorat 1957). Przez dwa ostatnie lata studiów był pracownikiem naukowym macierzystego uniwersytetu, zajmował się obserwacjami astronomicznymi, potem przeniósł się do Gliwic i na tamtejszej politechnice wykładał fizykę i astronomię. Na jego dorobek piśmienniczy w tym okresie, oprócz prac ściśle naukowych, składają się publikacje popularne z pogranicza fizyki i filozofii, oraz bardzo poczytna książka o astronomii *Kosmos na piechotę* (1982). A w r. 1987 przeszedł Sycz na przedwczesną emeryturę — i znalazł się w Natanii.

W okolicy roku 1980 zainteresował się malarstwem. Pozostała po nim spora ilość obrazów i rysunków, które prezentował w Kanadzie oraz na dwóch wystawach w Gliwicach (1986 i 1987) i dwóch w Jerozolimie (1989 i 1990); był członkiem Izraelskiego Związku Malarzy i Rzeźbiarzy. Kilkanaście zeszytów wypisów i notatek świadczą o krystalizującym się w ostatnich latach zamiśle napisania dzieła z teorii sztuki.

Były to lata dla Sycza trudne; stawały się coraz trudniejsze. W r. 1991 dopadła go nieuleczalna właściwie choroba: rak krwi. „Historia się zamyka dość ciekawie: — pisał w jednym z listów — biedni niegdyś Żydzi, dzisiaj (...) — ratują biednego Polaka, zapewniając mu za darmo najdroższe leki i zabiegi kliniczne.”



Nie poddawał się. Nie mogąc malować, zmuszony do częstego przebywania w łóżku, zamyślił podjęcie trudu wprost niebywałego i najzupełniej dotąd obcego jego doświadczeniu: rozpoczął pracę nad nowym przekładem na język polski *Eugeniusza Oniegina* Puszkina. Istniały dotąd dwa pełne polskie tłumaczenia poematu: Leo Belmonta z r. 1902 i Adama Ważyka, pozostające w obiegu czytelnictwem w wielokrotnych edycjach począwszy od pierwszej w r. 1952; w r. 1993 — już w czasie zmagania się Sycza z Puszkiniowskim tekstem i własną chorobą — ukazało się tłumaczenie Feliksa Netza. Istniało zarazem sporo przekładów fragmentarycznych, a wśród nich i — Juliana Tuwima — dwóch pierwszych rozdziałów i urywki innych. Przekład Tuwima był przedmiotem głośnego niegdyś (1953) sporu — na licznych zebraniach i w prasie — z Ważykiem. Chodziło głównie o to, że odmiennie od wszystkich tłumaczy Tuwim stosował tutaj bardzo w języku polskim problematyczny — rym męski. I w tej właśnie konwencji — zdaniem wielu karkołomnej — postanowił tłumaczyć Sycz.

Największe trudności miał oczywiście z rozdziałami Tuwimowskimi. „Na szczęście przekład Tuwima jest tak kwiecisty i napisany z takim polotem, — zwierzał się w jednym z listów — że starcza przy nim jeszcze miejsca dla skromniejszego (z konieczności!) tłumacza — i jakoś udało mi się znajdować rozwiązania wierne oryginałowi a nie będące kopiowaniem Tuwima.” W innym jeszcze liście odślaniał dodatkowe aspekty swojego warsztatu translatorskiego: „Starałem się podejść naukowo, w stylu nauk matematycznych, (...); przeanalizowałem słowo po słowie poprzednie tłumaczenia (...) i myślę, że moje predyspozycje logiczno-matematyczne nie opuszczały mnie przy pracy, gdy wszystko to trzeba było porównywać, układać tę gigantyczną krzyżówkę (...). M.in. starałem się np. nie używać rymów «zajętych» już przez poprzedników...”

Dokonany przez Andrzeja Sycza w izraelskiej Natanii polski przekład rosyjskiego „romansu wierszem” — *Eugeniusza Oniegina* ukazał się jesienią 1995 w krakowskim wydawnictwie „Miniatura”. W ilości 1000 egzemplarzy książki pod każdym względem — drukarsko, introligatorsko — bardzo pięknej, wręcz wykwintnej, ozdobionej 12 całostronicowymi rysunkami wykonanymi piórkiem w czarnym tuszu przez samego tłumacza.

Pierwszą, obszerną i entuzjastyczną, recenzję tego dzieła był ogłosił Natan Gross — adresat większości cytowanych uprzednio listów w tygodniku izraelskim „Nowiny — Kurier” w piątek, 29 grudnia 1995. Andrzej Sycz zmarł nazajutrz, w sobotę 30 grudnia 1995 w szpitalu Tel Haszomer. Pochowany został w osobnej działce cmentarza telawińskiego Kirjat Szaul, przeznaczonej na wieczny spoczynek zamieszkałych w Izraelu chrześcijan — Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata.

Aleksander Puszkין  
EUGENIUSZ ONIEGIN

Andrzej Sycz  
PARODIA *EUGENIUSZA ONIEGINA*

Rozdział ósmy

Rozdział ósmy

**X**

Szczęśny, kto młodym był w młodości,  
I kto się w porę pozbył złud,  
Kto dosyć miał cierpliwości,  
By wytrzymać życia chłód;  
Kto snom się dziwnym nie oddawał,  
Od jaśnie państwa nie odstawał,  
Kto, przy dwudziestce jeszcze chwał,  
Żeniąc się — miał trzydzieści lat;  
Kto z pięćdziesiątką się wyzwolił  
Od długów, w które wcześniej wlał,  
Kto sławy, złota, rang i łask  
Umiał dosłużyć się powoli,  
O kim wciąż głosił zgodny chór:  
N.N. — obywatela wzór.

**X**

Szczęśny, kto starym był na starość,  
I kto się w porę pozbył złud,  
Kto swoich planów i zamiarów  
Nie pielęgnował, wierząc w cud,  
Kto każdy etap kochał szczerze,  
Kto nie chciał wiecznym być harcerzem,  
Kto z sześćdziesiątką jeszcze chwał,  
Działał spokojnie z biegiem lat,  
Kto, gdy chorobę ciężką złapał,  
Nie walczył więcej niżli mógł,  
A gdy go już zwała z nóg,  
Umiał do życia stracić zapal;  
O kim dziś powie młody wiek:  
N.N. to bardzo dziwny człek.

**XI**

Lecz smutno myśleć, że bez celu  
Dany nam był młodości czas,  
Że wciąż zdradzała ją tak wielu,  
Że ona oszukała nas,  
Że nasze jak najlepsze chęci,  
Marzenia, snute bez pamięci,  
Z latami spotkał taki los  
Jak w zgniłą jesień liści stos;  
To straszne, widzieć w perspektywie  
Tylko obiadów długi rząd,  
Żyć rytuałem wiecznych świąt,  
Za tłumem ważnych iść leniwie,  
Nie dzielając nigdy z nim  
Myśli ni uczuć w sercu swym.

Przekład z rosyjskiego: Andrzej Sycz

**XI**

Lecz smutno myśleć, że daremnie  
Dano nam starość pełną kras,  
Że nam współczują tak nikczemnie,  
Bo nie potrafią pojąć nas;  
Że filozofia oraz sztuka  
Są pośmiewiskiem dla nieuka  
(I damy na to nie chcą iść,  
Wciąż pod figowy patrząc liść).  
To straszne: widzieć w perspektywie  
Nowych artystów długi rząd,  
Czuć ich pomysłów nudny swąd,  
Za światem mody iść leniwie,  
Nie dzielając nigdy z nim  
Myśli i uczuć w sercu swym

Ryszard Löw (Izrael)

## LOTNIK — EMIGRANT — NAUKOWIEC

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ (1909–1986)

Witold Sylwestrowicz był jednym z tysięcy Polaków, walczących na wielu frontach II wojny światowej. Po zakończeniu wojny, mimo, iż tego pragnął, nie powrócił do Polski. Nie chciał dzielić losu innych oficerów, doznających represji albo spychanych na margines życia społeczno-zawodowego.

Urodził się w Tyflisie, na Kaukazie. Jego matką była Greczynka — Anastazja Mauropulo; ojciec — Bolesław Sylwestrowicz, po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, powrócił z rodziną do Polski i zajął odpowiedzialne stanowisko w Warszawskiej Izbie Kontroli.

Witold Sylwestrowicz, już jako młody chłopiec był zafascynowany lotnictwem i wszystkim, co się z tym wiąże. Będąc uczniem gimnazjalnym zapisał się do Akademickiego Aeroklubu w Warszawie. Tutaj słuchał wykładów z zakresu aerodynamiki i budowy samolotów. Tutaj też brał udział w montażu pierwszych samolotów Coudron G III, należących do Aeroklubu. Marzył o pilotażu. Długo jednak przyszło mu czekać na realizację tych planów. Osiągnął je dopiero w roku 1941, kiedy w warunkach wojennych został radionawigatorem w 307 Dywizjonie Nocnych Myśliwców w Anglii. Istotną przeszkodą we wcześniejszym zdobyciu celu była wielokrotna kontrola wzroku, związana z używaniem okularów.

Wcześnie dające o sobie znać zainteresowania lotnictwem, znalazły swój wyraz w ukończeniu studiów na Wydziale Mechanicznym Sekcji Lotnictwa Politechniki Warszawskiej. Dodatkowym obowiązkiem przedłużającym studia, było szkolenie wojskowe w Szkole Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie.

W początkach kariery zawodowej Witold Sylwestrowicz latał, jak to sam podał, na samolotach zaliczanych w dobie obecnej, do archaicznych. Były to m.in.: Henriot z rotacyjnym silnikiem La Rhone, Brandenburg, który pojawił się na mokotowskim lotnisku, bombowiec Farman-Goliath, Fokkery oraz Karasie, z którymi się zetknął w 1939 roku w Lidzie.

Jeszcze podczas studiów zaczął pracować w Państwowych Zakładach Lotnictwa na Okęciu, a następnie, tuż przed wojną, w Instytucie Technicznym Lotnictwa. W tych przedsiębiorstwach dojrzewała polska myśl techniczna i konstruktorska — powstawały projekty prototypowe, wdrażane do produkcji pierwszych polskich samolotów. Pracę w tym zakresie przerwała wojna ze wszystkimi skutkami, jakie z sobą niosła dla kraju i wszystkich formacji wojskowych, pragnących odeprzeć niemiecką agresję.

W sytuacji totalnego zaskoczenia i chaosu, Witold Sylwestrowicz nie uniknął drogi żołnierza — tułacza, nie obcej niejednemu Polakowi. Po daremnych usiłowaniach włączenia się w walkę, po wielu perypetiach i internowaniu na Łotwie, skierował swe kroki ku Anglii, do której dotarł przez Szwecję i Norwegię. Wcześniej jednak, przez pół roku (styczeń–czerwiec 1940) przebywał we Francji, gdzie odczuwano niezbyt przychylny stosunek do Polaków. Oczekując na zmianę biegu zdarzeń, początkowo w Paryżu, a później w Lyonie, przystąpił do pisania listów. Pisał je do żony Hanny, pozostającej w przymusowej rozłące z powodu nie udzielenia zezwolenia na wyjazd, przez ówczesne peerelowskie władze. (Wyjechała dopiero po kilku latach rozterki i usilnych starań.)

Witold Sylwestrowicz, pisząc listy, miał przeświadczenie, że będą podlegały cenzurze i z tych właśnie powodów, nie wysyłał ich nigdy do kraju.

W pierwszych listach, pisanych we Francji, (później pisał je w Anglii) w kilka miesięcy po wybuchu wojny 1939 roku, wracał pamięcią do tamtych dni, przytaczając szereg faktów i okoliczności im towarzyszących. M.in. zwrócił uwagę na technikę niemieckich bombardowań, przynoszących niepowetowane straty oraz pełne poświęcenie kolejarzy, pełniących służbę w czasie padających bomb. Opisał też szereg innych wydarzeń. Wydaje się, że wobec niezbyt odległej w czasie 60-tej rocznicy Września, odnośne listy Sylwestrowicza, w pełni zasługują na ponowne przypomnienie.

Od drugiej połowy 1940 roku, Witold Sylwestrowicz sygnował listy z Anglii. Początkowo z Blackpool, gdzie stacjonowali polscy lotnicy, podlegający dowództwu RAF-u. Tutaj zanotował pierwsze wrażenia dotyczące Anglików: „...są może zbyt flegmatyczni, ale u nich jest porządek i niewątpliwie ich lotnictwo przedstawia wielką siłę. Stale i bez przerwy bombardują niemieckie ośrodki, pomimo strat, jakie przy tym odnoszą”.

Nie mógł tego napisać o postawie Francuzów, którzy jak stwierdził „wojnę przegrali przede wszystkim przez niesamowity bałagan i tchórzostwo. W eskadrach prawie zupełnie nie latano, pomimo że był sprzęt”.

W tym samym czasie, o czym powszechnie wiadomo, polscy lotnicy i inne walczące formacje, były cenione i spotykały się wszędzie z prawdziwym uznaniem. W listach Sylwestrowicza, pisanych w Anglii, nie zabrakło oceny ówczesnej sytuacji politycznej, relacji z prowadzonych walk na różnych frontach oraz na tym tle refleksji, dotyczących przyszłych losów Polski.

*Listy niewysłane* Witolda Sylwestrowicza, nigdy nie wysłane do niesuwerennej ojczyzny, doczekały się opublikowania na obczyźnie, w dwa lata po jego śmierci. Wydane przez Instytut Literacki w Paryżu (1988), stanowią cenny zapis historyczny — rodzaj pamiętnika albo, jak podano „dziennika z lat 1939–1945”. Noszące taki charakter *Listy* dokumentują nie tylko zaistniałe fakty i sytuacje, lecz są także odbiciem odwagi bojowej, gruntownej wiedzy lotniczej i wielu zainteresowań naukowych autora.

Kilkanaście listów dotyczących życia dywizjonowego, napisał Sylwestrowicz z różnych miejsc zgrupowania sił RAF-u, zmienianych zależnie od planów strategicznych. Były to, żeby wymienić kilka: Acklington, Ouston, Fairwood Common, Exeter, Drem i Lasham. W sumie walcząc z Niemcami, Witold Sylwestrowicz uczestniczył w: 317 Dywizjonie Myśliwskim, 307 Dywizjonie Nocnych Myśliwców oraz w 305 Dywizjonie Bombowym. Dokonał też wielokrotnych lotów zwiadowczych nad Biskajami. Pod koniec wojny odnotował z właściwą sobie precyzją: „Oficjalnie wylatałem w dzień: 429 godzin, 55 minut, z tego operacyjnie 94 godz. 5 min. W nocy 227 godz. z tego operacyjnie 178 godz. 30 min. Do tego trzeba dodać sporo wylatanych godzin na Beaufighterze jako instruktor radioobserwatorów”.

W *Listach niewysłanych* często można spotkać nazwiska lotników, którzy wyszli cało z różnego rodzaju bojowych opresji. Ale również często spotyka się nazwiska tych bohaterów, którzy zostali zestrzeleni w czasie walki. Sam Sylwestrowicz, będąc niejednokrotnie o krok od katastrofy, swoje ocalenie przypisywał zrzuceniu Opatrzności. W uznaniu za osiągnięte wyniki w 305 Dywizjonie Bombowym, otrzymał srebrny Krzyż Zasługi.

W roku 1944, wobec bliskiej perspektywy zakończenia wojny, powrócił do zainteresowań naukowych. Podjął pracę w Cavendish Laboratory Cambridge National Laboratory, Teddington. Zgodnie z wymaganiami zdał ponownie egzamin dyplomowy, z wynikiem bardzo dobrym. Zakres egzaminu obejmował metaloznawstwo, ze szczególnym uwzględnieniem stali.

W roku 1951 wyjechał z żoną z Anglii, do Stanów Zjednoczonych. Tu kontynuował badania w dziedzinie fizyki metali w Brown University, a przez następne 18 lat w Bell Laboratories. Opublikował 26 prac naukowych. Po osiągnięciu wieku emerytalnego, wykładał w Farleigh Dickinson University. Zmarł w 1986 roku w Bernardsville, NJ, USA.

Witold Sylwestrowicz był jednym z Polaków, któremu po II wojnie światowej, zatrzęsnięto drzwi do własnej ojczyzny. Dlatego swoją wiedzę i twórcze siły pozostawił obcym, zamiast przekazać je młodej, polskiej generacji.

Zachowane i wydane na emigracji — zapomniane dzisiaj *Listy niewysłane* Witolda Sylwestrowicza, pisane nienaganną polszczyzną w formie i treści, daleko odbiegają od typowej epistolografii. Niewiele można w nich znaleźć wątków osobistych, na korzyść przytoczonych faktów i zaistniałych sytuacji. Pod względem autentyzmu zapisów i zwięzłości stylu, można je przyrównać w pewnej mierze, do wojennych raportów. Z tych też powodów, trzeba je zaliczyć do cennych przyczynków historycznych, mogących zainteresować nie tylko historyków, badających ten okres.

Hanna i Witold Sylwestrowiczowie, pozostając na obczyźnie, nie zapominali o polskim dziedzictwie kulturowym. Stworzyli kolekcję nowoczesnej sztuki polskiej i zgromadzili kolekcję oryginalnych map Wielkiego Księstwa Litewskiego XVI–XVIII wieku.

Krystyna Łopuszyńska (Warszawa)

## KRONIKARSKI OBOWIĄZEK

TADEUSZ WITTLIN (1909–1998)

Przygotowując szkic na temat kilkunastomiesięcznego, i niemal zupełnie pomijanego w biografii Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, emigracyjnego epizodu lat 1945–1946, trafiłem na drukowany w „Paradzie” w 1945 roku tekst Tadeusza Wittlina pt. „Ildefons redivivus”, który był powodem długiej korespondencji ze zmarłym w październiku 1998 roku znakomitym prozaikiem, dramatopisarzem i dziennikarzem. Korespondencja pozwoliła nie tylko uzupełnić i wyjaśnić zanotowane w literaturze przekłamania, m.in. upewniła, że Gałczyński — wbrew opinii biografów — nie dotarł do Rzymu w 1945 roku, ale przede wszystkim ukazała ogromną wiedzę, erudycję i znakomitą pamięć niemal 90-letniego już wówczas Tadeusza Wittlina.

Nie były to jednak pierwsze listy między nami; zaczęło się jeszcze w 1994 roku od propozycji wzięcia udziału w książce „*Wiadomości*” i *okolice*, dedykowanej twórcom i redaktorom londyńskich „*Wiadomości*”. Szkic wspomnieniowy Tadeusza Wittlina zatytułowany „O Grydzewskim słów kilkoro” dotarł do nas, niestety, już po oddaniu książki do druku, był jednak głównym powodem decyzji o przygotowaniu tomu drugiego wspomnień, w którym znalazł się obok kilkunastu innych szkiców, w tym Czesława Miłosza, Jana Nowaka Jeziorańskiego, Tymona Terleckiego, Olgi Scherer, Jadwigi Maurer czy Józefa Bujnowskiego.

Książkę, a także kolejne prace toruńskiego Archiwum Emigracji, o których na jego prośbę szczegółowo pisałem do Waszyngtonu, musiał uznać za ważne i potrzebne, skoro kilka miesięcy później zdecydował powierzyć nam swoje literackie i prywatne archiwum. Trafiło ono do Torunia na przełomie 1996 i 1997 roku...

Archiwum zawiera przede wszystkim dokumentację pracy nad kolejnymi książkami Wittlina, w tym korespondencje z bohaterami i rodzinami bohaterów jego książek, teczki notatek i wycinków biobibliograficznych, fotografie i korespondencje z archiwami, bibliotekami i wydawcami. Najcenniejsze są jednak maszynopisy niemal wszystkich książek Tadeusza Wittlina, również tłumaczeń i skryptów sztuk scenicznych, które nie ukazały się drukiem od napisanego w 1942 roku po polsku *Westerplatte*, przez adaptacje sztuk Gorkiego i Czechowa dla potrzeb teatrów amerykańskich, po *A night in Paris, Rape, Poker-game* oraz komedię *Kiki de Montparnasse*.

Emigracyjna biografia urodzonego w 1909 roku Tadeusza Wittlina zaczęła się w chwili, gdy po piekle syberyjskim znalazł się w szeregach armii generała Andersa i wraz z nią dotarł do Ziemi Świętej. Dzielać losy innych pisarzy, m.in.: Józefa Bujnowskiego, Teodozji Lisiewicz, Zdzisława Broncla, Janusza Wedowa czy Artura Międzyrzeckiego współpracował z wojskowym teatrem, z czasopismami i wydawnictwami 2. Korpusu: „Orłem Białym”, „Paradą”, „Zewem” oraz cywilną prasą polską ukazującą się w Jerozolimie (m.in. „W drodze”) i Rzymie.

Koniec wojny zastał go we Włoszech, zdemobilizowany przebywał na przemian w Londynie i Paryżu, gdzie pracował w polskiej sekcji Radio France Internationale, by w 1952 roku wyjechać do Stanów Zjednoczonych. W 1958 roku zamieszkał w Waszyngtonie. Pisywał do prasy emigracyjnej w Stanach Zjednoczonych oraz londyńskich „*Wiadomości*”, współpracował z Głosem Ameryki i RWE, dla których przygotowywał audycje literackie. W początkach lat 60. został redaktorem miesięcznika „*Ameryka*”, które wydawane przez Ambasadę USA w Polsce, docierało do bibliotek i czytelników nad Wisłą, i wykładowcą literatury polskiej na uniwersytecie w Waszyngtonie... Udało mu się też wystawić własną sztukę *An evening with Anton Chekhov and Maxim Gorky* w Sanctuary Theatre w Waszyngtonie.

Opublikował przed wojną pięć książek, w tym trzy powieści, jednak dopiero wydane po wojnie opowiadania *Radosne dni* (Rzym 1946), głośny, tłumaczony na kilka języków tom *Diabeł w raj* (Londyn 1951) oraz przede wszystkim powieść biograficzna *Modigliani* (Londyn 1965) ugruntowały jego pozycję w literaturze polskiej. Wydane po angielsku *Time stopped at 6:30 — The Katyn forest massacre* — najważniejsza książka o Katyniu wydana w Stanach Zjednoczonych —

oraz *Commissar*, studium o Ławrentim Berii, tłumaczone na kilka języków, pozwoliło mu zaistnieć również w literaturze angielskiej, a obszerne studium o Dagny Przybyszewskiej (*Eine Klage für Dagny Juel-Przybyszewska*, 1997) dało satysfakcję i szansę na powrót do Europy... W papierach pozostała obszerna anglojęzyczna biografia Gorkiego oraz studium o teatrze Czechowa.

Opublikował też, wspomnienia z lat międzywojennych (*Ostatnia cyganeria*, 1974) oraz kilka bardzo prywatnych, osobistych biografii przyjaciół: Hanki Ordonówny (*Pieśniarka Warszawy*, 1985), Stefana Wiecheckiego-Wiecha (*Nad szarej Wisły brzegiem...*, 1990) i Wieniawy-Długoszowskiego (*Szabla i koń*, 1997).

Nie czuł się historykiem, choć droga do każdej książki wiodła przez długoletnie badania, poszukiwania źródłowe i ogromną, gromadzoną z pietyzmem korespondencję z rodziną i przyjaciółmi bohaterów jego książek. Każdy fakt był wielokrotnie sprawdzany, a opinie formułowane bardzo ostrożnie. Miał wielki i uzasadniony żal do recenzentów swoich książek, że całą pasję poświęcając poszukiwaniu zawartych w nich nieścisłości i opuszczeń, nie dostrzegając języka i nie czując atmosfery oddanej z niemal kronikarską dokładnością. Był właśnie bardzo osobistym, bardzo spóźnionym kronikarzem przedwojennej Warszawy i ludzi, którzy świadczyli o jej wyjątkowości. W Warszawie zmarł, 4 października 1998 roku...

Odpowiadając na jeden z listów dotyczących Gałczyńskiego, Tadeusz Wittlin przysłał mi swój szkic pt. „Kostek i Tadek” wcześniej nie publikowany oraz rękopis wiersza autora „Zaczarowanej drożki”.

Mirosław Adam Supruniuk (Toruń)

\*

## KOSTEK I TADEK

Niedawno, gdy w Warszawie miało ukazać się krajowe wydanie mojej książki *Diabeł w raju*, wspomnień z więzień sowieckich i obozu przymusowej pracy na Syberii, które to szkice z przedmową generała Andersa opublikowałem kiedyś w Londynie, mój nowy wydawca zwrócił się do mnie z prośbą o zdjęcie na okładkę, lecz z czasów gdy służyłem w Drugim Korpusie.

Nie mogłem odmówić. Tym bardziej, że wydanie tej mojej książki miało być oficjalne, po podziemnym poza cenzurą.

Z kufra pełnego papierów wydobylem starą książeczkę wojskową, a wyblakłe zdjęcie zaniosłem do fotografa w Waszyngtonie, by mi zrobiono znośną odbitkę. Gdy po kilku dniach odbierałem zamówienie fotograf spoglądając to na mnie, to na moje zdjęcie w mundurze z pasem koalicyjnym przez ramię, spytał:

— To pana syn. Prawda?

— Nie — odrzekłem poważnie. — Wnuk.

— A no tak — przyznał. — Ale pewne podobieństwo istnieje.

— Dziękuję — powiedziałem cicho.

Zapłaciłem i wyszedłem z lekka zasmucony.

Idąc ulicą pomyślałem, że istotnie mógłbym mieć wnuka w wojskowym mundurze, gdyż wypadki wojenne, w których brałem udział, były tak dawno, iż minęły od nich co najmniej dwa pokolenia czasu.

W okresie drugiej wojny światowej, gdy my, ludzie cudem wyrwani śmierci z sowieckiego zesłania i chociaż jeszcze w Rosji, lecz już nosiliśmy polskie mundury z orzełkiem w koronie, w barakach wojska generała Andersa otrzymywaliśmy wiadomości ze świata z gazetki „Polska”. Wówczas w artykule *Straty kultury polskiej*, poświęconym zmarłym artystom wyczytałem wśród wielu innych nazwisko Gałczyńskiego.

Konstanty Ildefons Gałczyński, jeden z założycieli poetyckiej grupy „Kwadryga”, autor poematu buffo *Koniec świata*, surrealistycznej powieści *Porfirion Osielek* i mnóstwa najprzedniejszych wierszy, stanowił klasę sam dla siebie. Jego liryki, podobnie jak fraszki i satyry były oryginalne w formie i niespodziane w poincie, a takie wiersze jak *Muzeum Chopina*, *Skumbrie w tomacie*, czy *Serwus Madonna*, ta ostatnia strofą:

*Nie gardź wiankiem poety, lotra i łobuza;  
Znają mnie redaktorzy, zna policja konna,  
A tyś jest matka moja, kochanka i muza —  
Serwus, Madonna!*

nie miały pierwowzoru w poezji polskiej. W artykule wychodzącego w Kujbyszewie tygodnika Ambasady R.P. „Polska” pochowano Gałczyńskiego wówczas we wspólnym grobie rodzinnym poetów, malarzy i aktorów. Dopiero znacznie później Zygmunt Nowakowski w „Wiadomościach Polskich” obwieścił z Londynu, że Gałczyński żyje, znajduje się jednak w osławionym obozie koncentracyjnym Dachau. Wzmianka ta, chociaż prostująca pogłoskę o śmierci autora *Porfiriona Osielka*, była wystarczająco ponura. Dachau bowiem, gdzie zmarły tysiące Polaków, był to obóz bez wyjścia, w którym pobyt równy powolnemu konaniu był gorszy od śmiercionośnej kuli wroga na froncie. No, trudno. Trzeba było się z tym pogodzić.

Pewnego dnia w kasynie przy bufecie natknąłem się na szczupłego faceta, popularną niegdyś w Warszawie posturkę na literackich zebraniach, wieczorach autorskich i innych tym podobnych artystycznych popijawach. Olaf, gdyż takie właśnie imię nosił, a może nadało mu jego otoczenie, był niegdyś kompozytorem muzyki do tekstów kilku ballad Konstantego Ildefonsa. Teraz Olaf również nie miał wątpliwości, że biedny Gałczyński podzielił los ofiar niemieckiego obozu bez powrotu. Cóż robić? Wypiliśmy wspólnie na pamiątkę Konstantego, wspomnieliśmy kilka jego nieodpowiedzialnych wyczynów prawdziwych i rzekomo prawdziwych, i półgłosem odśpiewaliśmy jego *Balladę o trąbiącym poecie* do muzyki tegoż właśnie Olafa rozpoczynającą się od słów:

*Mówią, że była panienka,  
Co miała na imię Ina,  
Gdy chciała powiedzieć: „kocham”,  
Mówiła: „kokaina”.*

*Miała niebieską wstążkę  
i niebieskiego kota.  
Kot wąchał „kokainę”,  
A Ina wąchała kota...*

I tak dalej i dalej. A kiedy pożegnałem Olafa i wszedłem do mego baraku pomyślałem, że powinienem napisać literackie wspomnienie o biednym Gałczyńskim. Jeszcze tegoż dnia skreśliłem opowieść o tym, jak to pierwszy raz spotkałem się z Konstantym w redakcji satyrycznego tygodnika „Cyrulik Warszawski”. Gałczyński zwrócił się wtedy do mnie ze słowami:

— Ma pan ponurą minę jak właściciel zakładu pogrzebowego na Pradze, albo jak tak zwany wytwornie: moczomorda. Czy posiada pan zakład pogrzebowy na Pradze?

— Nie — zaprzeczyłem, co zresztą było prawdą.

— W takim razie chodźmy na wódkę — zaproponował Gałczyński.

Wkrótce znaleźliśmy się w barze u Wróbla na ulicy Mazowieckiej, gdzie przy bigosie i wódce rozmawialiśmy na tematy górne i chmurne o kwartalniku „Kwadrygi” z Pegazem na okładce, o księgarni poetyckiej Hoesicka pod kierunkiem nieocenionego Mariana Steinsberga, który poetom udzielał pożyczek na wieczne nieoddanie i zaliczek na książki nigdy nie napisane, ale że był mężem wielkiej aktorki Mieczysławy Ćwiklińskiej, więc duszę miał artystyczną. Mądrzyliśmy się też na temat skamandrytów, wykpiwaliśmy niektórych znajomków i oczywiście wypiliśmy bruder-szaft. Również wtedy Konstanty zadeklamował jeden ze swych wierszy skandując go po pijanemu nieco zbyt głośno, gdyż wokoło przy innych stolikach zaległa makiem zasiana cisza. Wszyscy włącznie z zastygłymi przy ścianach kelnerami słuchali gdy Konstanty recytował:

*Włóż spodnie czarne, cementarne  
I pójdę w siną dal  
I nic nie zostanie tu po mnie,  
Jeno ten cichy żal.*

*Jeno te białe modrzewie,  
Jeno ten czarny frasunek  
I gdzieś tam w knajpie za miastem  
Niezapłacony rachunek.*

*Gdy skonam, o moi najdrożsi,  
A skonam wieczorem niebieskim...*

Kiedy wymawiał te słowa, miał łzy w oczach i w głosie.

Nie wiedząc czy zamknięty w koszmarnym obozie zagłady Gałczyński skołał wieczorem niebieskim, czy przed szarym ponurym świtem, napisałem moje epitafium jak umiałem najlepiej i pod tytułem *Konstanty po raz pierwszy* zamieściłem je w dwutygodniku wojskowym „Parada”.

Czasopismo było dla żołnierzy Drugiego Korpusu we Włoszech. Wydanie z moim esejem o Gałczyńskim szybko rozeszło się jak zwykle po oddziałach, a ja zapomniałem o moim literackim wyczynie. Aż pewnego dnia na adres redakcji otrzymałem list. Ktoś donosił, że gdy w październiku 1944-go roku po upadku Powstania Warszawskiego dostał się do niewoli niemieckiej, zamknięty został w obozie Stalag XI A, Allengrabow w pobliżu Magdeburga. Tam spotkał się z Gałczyńskim, który jako jeńiec z kampanii wrześniowej 1939 był tam w stopniu szeregowca i pełnił funkcję tłumacza w obozowym szpitalu *Lagerlazarett A*. Później jednak został stamtąd usunięty i skierowany do tak zwanej *Arbeitskommando* za ostry list protestujący przeciwko odsyłaniu polskich żołnierzy na przymusowe roboty. Słowem, mimo wszystko z Konstantym nie jest tak źle.

List ten pokazałem Olafowi. Z radości wypiliśmy za zdrowie tego, który powrócił cało z drugiej strony cienia, ja zaś uważałem za swój święty obowiązek napisanie o tym odpowiedniego eseju. Tym razem mój felieton w „Paradzie” zatytułowałem *Ildefons Redivivus*.

Upłynęło sporo czasu. Było to już w roku 1945-tym po zakończeniu działań wojennych, lecz jeszcze przed demobilizacją, a w jaki sposób numer „Parady” z moim radosnym sprostowaniem *Ildefons Redivivus* ze słonecznej Italii trafił daleko zagranicę, doprawdy nie mam pojęcia. W każdym razie pewnego dnia nadeszła do mnie z Niemiec nie lichy wypchana koperta zaadresowana zielonym atramentem. Oto co zawierała napisane z rozmachem na grubym, szarym pakowym papierze:

*Ildefons Redivivus Tadeuszowi Wittlinowi i „Paradzie” — pozdrowienie.*

#### BALLADA O SZKLARZACH

*Byli szklarze. Tu punkt kładę:  
Jeden Kostek, drugi Tadek.*

*Tu przecinek, albo średnik.  
Więc ci szklarze byli biedni,*

*bo, gdy przyszła wojna zła,  
to nagle zabrakło szkła,*

*a po wojnie były nici,  
czyli nie było czym szkląć i*



szklarzy dwóch jak jeden mąż  
drapało się w głowę wciąż.

A mroziak był jak cholera,  
cholera poniżej zera,

papierosów n-i-ma, aż  
klął ze szklarzy każdy szklarz,

więc już chcieli robić bunt,  
ale... tego. Tutaj punkt.<sup>✘</sup>

A właściwie o to szło,  
jakby piasek stopić w szkło,

żeby nie marzył Waciu, Miciu,  
żeby ciepło było dzieciom,

żonom, mężom, z dziećmi pannom,  
uciekiniom, ewakuantom,

żeby, słowem, jasny gwint!  
nie zczeczł das polnische Kind.

Właśnie szedł pod ścianą gość  
z gębą jakby połknął ość,

z nerką w dole, z głową w ziemi,  
pół filozof i pół chemik.

Krzyknie Tadek: Panie pan,  
umiesz pan pocierać chrzan?

Nie, niestety. CHRZAN PRZEMINIE...  
Jam jest TrApalski, inżynier.

Ach, inżynier? No, to lu!  
Właśnie ma się sprawa ku

szkła do okien, szkła w oborze.  
Do roboty, profesorze.

Zatrzymali jeszcze trzech,  
jeszcze pięciu, Kostek w śmiech

z tej radości, że tak szło,  
że powstanie polskie szkło

bez tych cudów, bez hałasu,  
bez annaszu, sasu-lasu,

bez kajfaszu, bez pieczęci,  
wprost: jak lepią garnki święci.

A gdy już pod wiosnę szło,  
walcowali polskie szkło

Tadek z Kostkiem, Kostek z Tadekiem  
szkło im wychodziło gładkie,

bo i oni byli mili.  
No, i szklili, szklili, szklili

Szkłem takim szklanym i czystym  
i diamentem promienistym.

A, że chodzili w pokorze,  
(Widzisz serca szklarzu, Boże)

to się okazało, że  
jakiś sekret był w ich szkłe:

Świat przez nie jak proste dziwy  
wesoły był i uczciwy

i niebogaty, lecz nasz,  
jak Kostek szklarz, Tadek szklarz.

Tylko złośliwi mówili:  
Mszą... Matkę Boską... kupili...

stąd... przez szyby... pawie pióra...  
korony i inna bzdura.

Jać tam ich lubię. I marzę:  
Tadek i Kostek. Dwaj szklarze.

<sup>✘</sup> Bez kopii, panno Lusi. Nie warto. Aut.

Mityczna panna Lusia, prawdopodobnie maszynistka\*, wyraźnie nie posłuchała prośby Autora i wykonała co najmniej kilka kopii, gdyż po latach, dokładnie w roku 1957, w jednym z tomów Dzieł Zebranych Gałczyńskiego znalazłem balladę o Kostku i Tadku z przypisem: „Wiersz powstał również za granicą. Pierwodruk «Przekrój», r. 1946, nr 56”.

*Balladę o szklarzach* zamieszczono w Dziełach nieco inaczej niż ją Kostek napisał, gdyż bez podziału na strofy, bez odnośnika do panny Lusi, bez poprawek na rękopisie, no i oczywiście bez dedykacji dla mnie i bez narysowanego krzyżyka, który Ildefons zrobił przy swym nazwisku u góry pierwszej strony manuskryptu.

Do wiersza Konstanty dołączył do mnie list z niemieckiego obozu przejściowego w Höxter. Pisał mi, że wraca do Warszawy nareszcie wolnej, oswobodzonej przez serdecznego ojca Polski i Polaków: wielkiego i ukochanego Józefa Wissarionowicza Stalina i nie wątpi, że wkrótce tam się ze mną spotka.

Nie pamiętam, czy czytając te brednie pisane po wykryciu masowych grobów w Katyniu, o czym Konstanty musiał przecież wiedzieć, przecierałem oczy ze zdumienia, czy nie. Bo powinienem. W każdym razie doszedłem do wniosku, że Gałczyński pragnie wrócić jak najprędzej do żony i córki, które kochał, a brednie na temat bratniej sowieckiej armii, o której teraz również wspominał, on niegdyś skądinąd skrajny prawicowiec i superendek, napisał dla kpiny.

Odpowiedziałem mu więc listem, w którym dziękując za świetną balladę wyraziłem obawę, iż w tej chwili jeszcze nie wybieram się, by składać hołd Stalinowi i dołączyłem napisaną przeze mnie na tę intencję fraszkę pod tytułem *Zaczekam, pozostaję*. Nie wątpiłem, że Kostek odpisze mi dowcipnie, tym bardziej, że w liście z Niemiec pod okupacją narodów sprzymierzonych mógł sobie na to pozwolić. Ale nic podobnego. Pismo jakie od niego otrzymałem, chociaż również jak poprzednie skreślone zamazyście zielonym atramentem, roilo się od wymysłów. Nazywając mnie głupim faszystą, któremu łązi po głowie, że kiedykolwiek wjadę do Polski z moim Andersem z czarnym podniebieniem na białym koniu. Gałczyński wypowiedział mi przyjaźń i znajomość raz na zawsze. Szkoda. I szkoda, że w przystępie złości zniszczyłem ten list pełen inwektyw i ordynarnych wyrazów. Jakby nie było Konstanty jest autorem wiersza *Pieśń o fladze*, który napisał w czasie wojny, gdy był zamknięty w obozie jenieckim w Altengrabow, a w wierszu tym, jednym z najpiękniejszych w poezji polskiej zwracając się do flagi wołał:

*...Nie zmożę Cię bombą, ni złotem  
I na zawsze zachowasz swą cnotę.  
I nigdy nie będziesz biała  
I nigdy nie będziesz czerwona,  
Zostaniesz biało-czerwona  
Jak wielka zorza szalona,  
Czerwona jak puchar wina,  
Biała jak śnieżna lawina,  
Biało-czerwona...*

Za ten wspaniały poemat można Ildefonsowi wybaczyć niejedno.

Tadeusz Wittlin (Stany Zjednoczone)

---

\* Najpewniej Lucyna Wolanowska, bigamiczna żona K.I.G. [przypis red.]

## WSPOMNIENIA

---

### KŁOPOTY PISARZY W AUSTRALII

#### Przygodna gawęda

Pisarz zamieszkały w Polsce jest otoczony tysiącami nazw miejscowych czy geograficznych, które naturalnie odmienia według zasad gramatyki języka polskiego. Zapewne rzadko przychodzi mu do głowy, że może być inaczej. Nazwy geograficzne w Europie nie sprawiają żadnego problemu. Były one przez stulecia początkowo łacynizowane, a potem polonizowane, jak Akwizgran, Antwerpia, Bruksela, Gandawa. Kilonia, Kolonia, Monachium, Moguncja. Ratyzbona, czy Turyn. Proces był długi, gdy niepiśmienni woje piastowscy posłyszawszy nazwę Roma, przekreślali ją kolejno na Rom, Rym i wreszcie Rzym.

Gdy znalazłem się w Australii, w roku 1948, od pierwszego dnia nasuwało się ciągle pytanie jak pisać? Okazało się wkrótce, że jesteśmy otoczeni tysiącami nazw, których nie da się odmieniać. Bo jak odmienić takie nazwy jak Ulurlu, Yass, Gundagai, Murrumbidgee, Campbelltown, Mona Vale, Woolloomooloo, Wagga Wagga, Cairns, Alice Spring, Port Moresby, Ord, Fly, Narrabri, Baccus Marsh, Broome, Oakleigh, Kalgoorlie, Coolgardie, Bathurst, czy Bendigo? Zdobycie słownika wyrazów obcych, czy w ogóle jakiegokolwiek większego polskiego słownika było przez długie lata tzw. marzeniem ściętej głowy. Nie było też polskich słowników na uniwersytetach australijskich, ani w największych księgozbiorach stanowych. Pisarze i dziennikarze piszący po polsku byli zdani na własną intuicję.

W latach 1950-tych śp. Roman Gronowski, kolejny redaktor „Wiadomości Polskich” (Sydney), „Tygodnika Katolickiego” i „Tygodnika Polskiego” (Melbourne), poświęcał z wielkim zapalem wiele miejsca na lansowanie polszczenia nazw australijskich, proponując pisownię Melburn, zamiast Melbourne, Kanbera (Canberra), lub Kwinslandia (Queensland). Pomagał mu w tym, z równie entuzjastycznym zapalem, świetny redaktor i felietonista, Bolesław Korpowski (1910–1983), w czasie II wojny światowej znakomity pilot polskiego lotnictwa bombowego w Anglii.

Lucjan Wolanowski, autor dziewięciu książek o Australii i najlepszy nad Wisłą znawca tej części świata, wspominał Korpowskiego w swym tomie *Początek do Nigdy-Nigdy* (Czytelnik 1968). W tej książce dziesiątków reportaży, zespolonych w barwnie mozaikowy obraz Australii z lat 1960-tych, jest również dużo kart poświęconych tamtejszym Polakom. Na stronach 269–270, Wolanowski zanotował: „Pan Bolesław napisał gniewny list do wydawcy tej książki, wytykając mi pisownię nazw w moich reportażach z Australii. Powiada mianowicie, że ja uporczywie piszę «Melbourne» a tamtejsze gazety polskie — Melburn, że ja używam zwrotu «w Sydney», kiedy prasa polonijna — «w Sydneyju». (...) Argument pana Korpowskiego, który fanatycznie strzeże czystości języka, sprowadza się do tego, że obecnie, kiedy polska grupa narodowościowa w Australii jest tak liczna, doszło do spolszczenia dawnych, tradycyjnych nazw. (...) Przekazując tę

argumentację muszę jednak zauważyć, że korekta «Czytelnika» obowiązana jest do przestrzegania zasad pisowni obowiązującej w Polsce i że ja na to nic nie poradzę. Usiłowałem, drogi panie Bolesławie, sprowokować do wypowiedzi na ten temat nasze autorytety językowe, ale to mi się powiodło...”

Osobiście byłem przeciwny tworzeniu podwójnej pisowni i polonizowaniu nazw. Uważałem, że wprowadziłoby to ogólne zamieszanie i weszlibyśmy w bezkresną dżunglę. Pytałem prywatnie projektodawców kto miałby decydować, które nazwy mamy polonizować i jakie miałyby być granice tego polonizowania. Ostatecznie projekty Gronowskiego i Korpowskiego na ogół nie przyjęły się, chociaż można czasami zauważyć pisownię Kanbera i Kwinslandia. Wpłynął też na to może fakt, na który zwrócił mi uwagę, jeszcze w roku 1948, mój śp. kuzyn Stanisław Bronisław Tarczyński (1913–1993), urodzony w Melbourne, że odmienianie nazw australijskich odstrasza młodzież polskiego pochodzenia od nauki języka ich ojców. A cóż jest ważniejszego od przekazania języka? Synowie, córki i wnukowie, gdy tracą język, przestają być dziedzicami tradycji rodzinnej i kultury narodowej.

Tak więc na ogół nie mówimy ani nie piszemy w Melbourne, Sydney, Hobarcie, Brisbane czy też w Percie. Czasami zdarzają się wypadki, gdy Polacy przyzwyczajeni do odmiany wszystkich nazw geograficznych w kraju, po przyjeździe do Australii próbują dalej odmieniać. Widziałem trzy takie próby w odmianie nazwy stolicy Zachodniej Australii Perth: w Percie, w Percie i nawet w Perth’cie. Inną sprawą jest nazwa stolicy Południowej Australii, Adelaide, ponieważ jest podobna i jednoznaczna z polskim imieniem Adelajda, więc często była polonizowana i odmieniana. Jestem zdania, że skoro nie odmieniamy nazw innych stolic stanowych, to nie widzę powodu abyśmy robili wyjątek dla Adelaide. Sprawa ta nigdy nie została uzgodniona wśród Polonii i np. był wydawany biuletyn, a potem dodatek do „Tygodnika Polskiego” pod tytułem „Polak w Adelajdzie”, a jednocześnie ukazywał się też „Głos Domu Polskiego w Adelaide”.

Zajrzałem do *Opowieści emigranckiej* (Londyn 1975), Andrzeja Chciuka, zapewne najbardziej znanego w Polsce pisarza tworzącego w Australii. Fabuła książki zaczyna się w nadmorskiej dzielnicy Melbourne — St. Kilda. Na początku, strona 7, mamy tę nazwę w formie nieodmiennej „w St. Kilda”, na s. 21 odmienioną „na St. Kildę”, na s. 36 ponownie nieodmiennie „z St. Kilda”, a na s. 58 „ci z St. Kildy”. Dalej, aż do końca książki nazwa jest odmieniana. Polonizował Chciuk nazwę stanu Victoria na Wiktorię oraz Adelaide na Adelajdę. Nazwa federalnej stolicy Australii, Canberra, przysparza pisarzom wiele kłopotu. Chciuk zaskakuje na s. 227, nie odmieniając tej nazwy, „do Canberra”, a na s. 278 „do Sydney i Canberra”. Na s. 233 znajdujemy inną nazwę odmienioną „nad Queensland’em”.

Porównałem dalszy ciąg tej opowieści *Trzysta miesięcy*, wydany w Kanadzie (Toronto 1983) i znowu pewne niespodzianki. Nie odmieniał Chciuk nazw Wodonga, Ballarat, Sydney, Brisbane, Melbourne, Townsville, Geelong, ale odmienił Adelajdę i St. Kildę. Natomiast raz pisywał „do Sydney i Canberra” (s. 180), a na s. 235 „w Canberze”. Gdy w poprzedniej książce odmienił Queensland to w tym tomie zostawił formę nieodmienną „w Queensland”.

Sprawdziłem, jak do tych spraw ustosunkowywał się mój guru i mistrz, purysta językowy, redaktor „Wiadomości”, Mieczysław Grydzewski. Od samego początku mojej współpracy z „Wiadomościami” przyjąłem zasadę nie odmieniania nazw australijskich, włącznie z Adelaide. Grydzewski tolerował to podejście i nic nie poprawiał, nawet zostawiał moje „do Singapore”. Mój pierwszy reportaż morski w „Wiadomościach” (nr 426) zatytułowałem „W Tasmanii”. Zauważyłem później, że niektórzy rodacy używali uparcie zwrotu „na Tasmanii”, bo to niby wyspa. Istotnie jest to wyspa, ale dużych rozmiarów, równa powierzchnią Łotwie. Uważałem, że ten ostatni zwrot jakby pomniejszył Tasmanię, która dla mnie jest pojęciem sporego kraju, mającego swój własny rząd, parlament i gubernatora, a nawet do roku 1912, wydawano tam osobne znaczki pocztowe. Co do innych wysp, to mówimy w Irlandii, w Grenlandii, w Nowej Zelandii, chociaż z drugiej strony na Ceylonie, na Kubie i na Madagaskarze. Tadeusz Kempa, autor kilku tomów, drukowanych w Australii, wydał w roku 1974 swoją pierwszą książkę, w Hobart, *Polacy w Tasmanii 1947–1972*, ale w tekstach używał obu zwrotów, również „na Tasmanii”. Drugi kronikarz grupy żołnierzy polskich, którzy osiedlili się na tej wyspie, Andrzej Racięski używał zwrotu „w Tasmanii” w swej książce *Nasze drogi w Australii 1947–1977*. Nie odmieniał nazwy Canberra, ale Adelaide czasami odmieniał.

Pisząc drugi reportaż morski do „Wiadomości” (nr 477) utworzyłem przymiotnik „melbournski”, który Grydzewski akceptował. Michał Chmielowiec objął redakcję „Wiadomości” w drugiej połowie roku 1967, po zachorowaniu Grydzewskiego i ogłosił na łamach tego tygodnika moje trzy szkice z cyklu „Conrad w portach Australii”, zachowując używaną przeze mnie pisownię, włącznie z przymiotnikiem „melbournski”. W roku 1997 ukazała się w Lublinie, nakładem Norbertinum, *Zielona zima: antologia poezji i prozy polskiej w Australii*. Inicjatorka i redaktorka tej książki, Ludwika Amber, przydzieliła mi na jej kartach cztery rozdziały, wybierając między innymi wyżej wspomniany cykl. Zrobiłem dwie korekty, zachowując oryginalną pisownię „Wiadomości”, a więc na stronie 304 powoływałem się na „dzienniki melbournskie”, a również na stronie 309. Po otrzymaniu już wydrukowanej książki znalazłem na tej ostatniej stronie zmianę na „dzienniki melbourneńskie”. W tym wypadku poprawił albo składacz, albo redaktor w Lublinie i na dwóch stronach znalazły się inaczej pisane przymiotniki. Pytanie czy należy zmienić pisownię pisma emigracyjnego z roku 1967, jeśli to jest przedruk? W dodatku zatwierdzoną przez redaktora o takiej renomie jak Grydzewski.

Inna sprawa, że przymiotnik „melbourneński” zrobił większą karierę niż mój. Nie wiem kto i kiedy go wprowadził? Nasuwa się też pytanie co ma być podstawą tworzenia przymiotnika, wymowa czy pisownia? W nazwie Melbourne Australijczycy drugiego „e” nie wymawiają, jest ono nieme. Gdy w roku 1949 zaczęły zwać się do Australii masowe transporty tzw. dipisów, litewskiej, polskiej czy ukraińskiej narodowości, często ludzi bez wykształcenia, słyszało się ciągle: Melborne! Melborne! z akcentem na „o” i wymawianiem wszystkich liter z końcowym „e”. Australijska wymowa brzmi raczej Melbörn.

Zajrzałem jeszcze do książki profesora Wiesława Olszewskiego *Historia Australii*, wydana przez Ossolineum w roku 1997. Zdziwiła mnie w wstępie (s. 10) „Cieśnina Bass”, występująca również na mapach tej książki, gdy autor wspomina Georga Bassa na s. 98. Dalej w treści i na mapach znajdujemy „Cieśninę Torresa”. Zarówno Bass jak i Torres byli żeglarzami i odkrywcami, więc jeśli Torresa to i Bassa, albo „Bass Strait”. Na stronie 31 przeczytałem „pomiędzy Darwin a Adelaide” i zaraz w następnym zdaniu „pomiędzy Darwinem i Jawą”. Profesor nie odmieniał Adelaide i innych stolic stanowych, ale mamy na s. 176 „budowa Canberry” (przez dwa „r”), a na następnej stronie „w Canberze” (przez jedno „r”). Jeśli mamy odmieniać Canberra to dlaczego nie odmieniać innych nazw o podobnych końcówkach, albo kończących się na literę „a”? Oto zaledwie kilkanaście przykładów z tysięcy: Biregurra, Branburra, Gunnawarra, Illawarra, Katungra, Kilara, Killawarra, Korumburra, Maffra, Moondarra, Nyora, Pera Pera, Tarangulla, Taripta, Tatura, Tulgara, Woollahra. Osobiście wolę pisać „mieszkam w stolicy Canberra”, „jadę do miasta Canberra”. Podobnie wolę wyrazić się „spotkamy się w miasteczku Korumburra”, niż „w Korumburze”.

Olszewski odmienia Queensland, „do Queenslandu”, „w Queenslandzie” i też nazwę miasta Ballarat, ale „w Ballaracie” brzmi dla człowieka dawno mieszkającego w Australii okropnie.

Profesor Olszewski w swojej *Historii Australii* tłumaczy na polski nazwy stanów jak Nowa Południowa Walia, Australia Południowa, Australia Zachodnia, Terytorium Północne, ale najczęściej używa skrótów od nazw w brzmieniu angielskim, NSW (New South Wales), SA (South Australia), WA (Western Australia), NT (Northern Territory). To tłumaczenie na polski jest czasami niezgrabne, a nawet niebezpieczne, gdyż wymaga nie tylko znajomości angielskiego, ale również historii. Np. o ile ujdzie tłumaczenie Shark Bay na Zatoka Rekina, to Christmas Island w postaci Wyspa Bożego Narodzenia rozwleka się aż na trzy wyrazy. Nie jestem zwolennikiem polonizowania tego rodzaju nazw geograficznych w Australii. Uderzający błąd znajduje się na mapie (s. 12–13), gdzie przetłumaczono King Island na Wyspa Króla. Poprawnie należałoby napisać Wyspa Kinga, gdyż została nazwana na cześć gubernatora o nazwisku Philip Gidley King, a nie jakiegoś króla. W tym wypadku zawiodła autora znajomość historii Australii, gdyż w indeksie jest gubernator King, co prawda z błędem w imieniu które pisał przez jedno „l”. Przez dwa „l” pisał się syn gubernatora, kapitan, potem admirał, Phillip Parker King. Na te same mapie znajdujemy nazwę Wyspa Flinders. Jeżeli autor pisał Cieśnina Torresa i Wyspa Króla, to powinien napisać Wyspa Flindersa, gdyż nadana została ta nazwa na cześć porucznika Matthew Flindersa, który jest w indeksie *Historii Australii*. Abstrahując od Australianów, zadziwia, że profesor Olszewski pisze historyczne nazwisko rodu Zamoyskich jako „Zamojski”, a redaktor i korektorzy wydawnictwa Ossolineum, utrwalają taką pisownię w indeksie.

Wiele nazw aborygeńskich ma końcówkę –ong, np. Dandenong, Geelong, Kooyong Orrong, Wollongong. W polskim języku są takie słowa jak gong czy bumerang, które się odmienia. Słyszałem w rozmowie Polaków niedawno przybyłych do Australii, wyrażenie „za Dandenongiem”, zapewne jest to zgodne z odmianą słowa gong, ale dla ucha człowieka dawno osiadłego czy urodzonego wśród antypodów brzmi to dziwacznie i nawet paskudnie.

Zaczynając z innej beczki, nie mogę przeboleć utraty krótkiego i ładnego przymiotnika „australski”. O „australskich” kopalniach złota pisał Seweryn Korzeliński w swoim *Opisie podróży do Australii*. Tadeusz Bobrowski namawiał swego siostrzeńca, marynarza Józefa Korzeniowskiego, by wysłał do Warszawy artykuł o „australskiej” podróży. O „australskich” Murzynach wspominał Sygurd Wiśniowski w swojej książce *Dziesięć lat w Australii*. Podobnie Kazimierz Chłędowaki w swoim zbiorze portretów literackich *Album fotograficzne* (sic!) szkicował „Pana Australskiego”. Nawet Stanisław Witkiewicz senior w swoich listach do syna wspominał, jeszcze w roku 1915, „australską” markę pocztową. Tak więc nie ulega wątpliwości, że w ubiegłym stuleciu wszyscy pisarze polscy używali przymiotnika „australski”, a mieszkańców Australii nazywali „Australczykami”.

Skąd się wziął i kiedy przymiotnik australijski? Słowo australijski uformowane zostało chyba od nazwy Australija, a przecież tak się nie mówiło, ani nie pisało. Australija brzmi nawet trochę ludowo, jak i Maryja, chociaż dla mnie mała z tego pociecha. Zgrabny i krótki przymiotnik „australski” zgubiono pewnie po I wojnie światowej, ale dlaczego? Zajrzałem przy tej okazji do *Słownika poprawnej polszczyzny* Stanisława Szobera (PWN 1969, wydanie siódme). Znalazłem tam przymiotnik australijski, ale w nawiasie [*nie*: australski]. Szober powołuje się przy tym na autorytet Romana Zawilińskiego i prof. Witolda Doroszewskiego, *vide Poradnik językowy*, tom I, Kraków, 1901. Jest tam też hasło Australijczyk lub Australczyk, powołujące się na autorytet prof. Jana Łosia i jego *Zasady ortografii polskiej* (Książnica Atlas, 1925, Lwów–Warszawa, wydanie czwarte). Przyznam, że byłem zaskoczony, iż nie wolno używać przymiotnika „australski”, ale wolno pisać „Australczyk”. Gdzie logika czcigodnych językoznawców? Z dużym zadowoleniem znalazłem, we wspomnianej poprzednio książce-reportażu Lucjana Wolanowskiego *Poczta do Nigdy-Nigdy* (1968), wspomnianych na stronie 479 „czarnych Australczyków”.

Zmienia się nie tylko pisownia, ale i znaczenie słów. Weźmy takie słowo jak „Antypody”. W *Podręcznej Encyklopedii Powszechnej*, dra Stanisława Lama (Księgarnia Polska w Paryżu, 1954) jest hasło — Antypoda, mieszkaniec przeciwległych punktów kuli ziemskiej. *Mała Encyklopedia Powszechna* PWN (Warszawa 1959), ma hasło — Antypody, ludzie żyjący na diametralnie przeciwległych punktach kuli ziemskiej. *Wielki Słownik Polsko-Angielski* Jana Stanisławskiego (Wiedza Powszechna, Warszawa, 1969) podaje słowo — antypoda, antypodzi, antypody (*osoba*), person living on the opposite side of the globe; 2. antypody *geogr.* i *przen.* antipodes. Tak więc z pojęcia ludzi chodzących „do góry nogami”, słowo antypody staje się pojęciem coraz bardziej geograficznym, oznaczającym lądy i morza leżące w dole globusa (*down under*). Jeśli napiszemy „wśród antypodów” to może znaczyć jedno i drugie razem. Widuję jednak coraz częściej wyrażenie „na Antypodach” z wyraźnym znaczeniem geograficznym i zapomnieniem, że słowo to oznaczało co innego.

Po pięćdziesięciu latach w Australii radziłbym jak najmniej polonizować i jak najmniej odmieniać, ale jeśli moje rozważania są mylne, to będę wdzięczny za wyprowadzenie mnie na właściwą drogę.

Melbourne, 28 lutego 1998

Lech Paszkowski (Australia)

### 33 LATA MOJEJ PRACY W SEKCJI POLSKIEJ RADIA FRANCUSKIEGO

W roku 1996 Sekcja Polska Radia Francuskiego obchodziła swoją pięćdziesiątą rocznicę istnienia. Ja przestąpiłam jej progi w kwietniu 1946 roku. Dowiedziałam się, że jest wolne miejsce sekretarki. Zgłosiłam się nie umiejąc ani dobrze pisać na maszynie, ani nie znając się zupełnie na zawiłych arkanach administracji. Przeżyłam okres dość trudny wszyscy na mnie narzekali, na szczęście, siłą woli raczej, niż umiejętnościami, dosyć szybko otrzymałam status dziennikarki.

Redaktorem naczelnym był uroczy Tadeusz Święcicki, pracowali: Rega Lanoix, Anna Winczakiewicz, Barbara Maliszewska, Eliza Gonkiewicz i Roman Kowaliczko, który zajmował się audycjami dla górników nadawanymi przez rozgłośnię w Lille. Były to różne słuchowiska, piosenki, koncerty życzeń, ale też apele w sprawie poszukiwania rodzin. Oprócz audycji w Lille mieliśmy audycje na falach krótkich, przeznaczone głównie dla słuchaczy w Polsce, które w tych czasach pionierskich były bardzo ważne. Mieliśmy świadomość, że jest obowiązkiem przekazywanie do Polski jak najwięcej wiadomości politycznych, kulturalnych, aby Polacy nie czuli się zupełnie izolowani od świata zachodniego. Wyjazdy z Polski w tym czasie były bardzo utrudniane i Polacy psychicznie odczuwali olbrzymi kontrast między życiem w Polsce, a życiem np. w Paryżu. Wyjazd za granicę był dla każdego Polaka czymś wymarzoną. Sekcja Polska była łącznikiem między dwoma światami. Pamiętam jak zamawiałam kiedyś na nagranie pączki u Bliklego, miał je przysłać samolotem. Blikle spytał mnie czy zgodzę się porozmawiać z jedną z jego pracownic. „Naturalnie” — odpowiedziałam. W telefonie usłyszałam drżący, zdenerwowany głos: „Pani naprawdę mówi z Paryża, jak tam jest, jak tam się żyje? Proszę powiedzieć”.

W Sekcji Polskiej zaczęłam pracować w 1946 roku, a więc pierwszym roku po wojnie. Większość z nas zaczynała swój żywot na emigracji w pokojach na poddaszach. Mieliśmy tylko maszynę do pisania i to kupioną okazyjnie. Nie posiadaliśmy nic oprócz entuzjazmu i wiary, że to nowe życie na emigracji będzie szczęśliwe. To były inne czasy, pod każdym względem. Bywało, że pracowałam od dziewiętnastej do północy. Spokojnie wracałam metrem do domu nie bojąc się, że ktoś ukradnie mi torebkę. Życie towarzyskie w tym czasie było bardzo ożywione. Wódkę robiło się ze spirytusu kupionego w aptece, dodawało się skórkę cytrynową. Kanapki robiło się ze śledziem, który często był nie namoczony, bo żadna z nas nie znała się na kuchni. Miało się parę szklanek od musztardy i jedną łyżeczkę do mieszania herbaty, ale było wesoło! Na wycieczki jeździliśmy okazijnymi samochodami, które ciągle się psuły. Byliśmy z moim mężem zapracowani, a równocześnie zadowoleni. Kostek był tak zajęty, że sama musiałam sobie kupić bukiet ślubny. Ten entuzjazm, który posiadaliśmy wpływał ogromnie na naszą pracę. Nie mieliśmy w Radio kontraktów, zarabialiśmy słabo, co pewien czas głośzono nam hiobową wiadomość, że prawdopodobnie Sekcja przestanie istnieć. Nie było budżetu, a mimo to ciągle coś się działo. Nasza praca nagradzana była, wielką liczbą listów jakie dostawaliśmy: cztery tysiące miesięcznie w latach pięćdziesiątych.

Moi koledzy zajmowali się głównie polityką. Siłą faktu musieli długo przebywać w biurze. Ja chciałam mieć kontakt z życiem Paryża.

Kierownikiem naszej Sekcji był André Moosmann. Rozumiał on, że praca w radio to nie tylko „siedziogodziny” w biurze ale też zdobywanie wiadomości, kontaktów z zewnątrz.

Na falach „Lille” przez sześć lat szedł mój humorystyczny *sketch* „Moja żona”. Każdy *sketch* kończył się piosenką, moje były słowa a muzykę komponował Alfred Cher, który napisał muzykę do znanych piosenek takich, jak *Dwanaście godzin* czy *Gdy wrócisz*, również skomponował muzykę do cyklu moich piosenek pod tytułem *20 obliczy Paryża*.

Wiedząc, że na północy Francji istnieją kluby filatelistyczne, że wielu słuchaczy zbiera znaczki, założyłam kącik filatelistyczny. Prowadziłam go z Romanem Nowakowskim, rasowym filatelistą. Co tydzień rozmawialiśmy o filatelistyce. Po paru latach miałam 1000 słuchaczy, którym organizowałam wymianę znaczków. Czesław Słania, największy grawer znaczków na świecie, przyjeżdżał czasem ze Szwecji do Paryża. Robiłam wtedy z nim wywiady na temat jego pracy — grawerował on znaczki i graweruje nadal dla wszystkich koronowanych głów, a wykonał już ich prawie

tysiąc. Dużą zdobyczą filatelistów polskich na północy Francji było to, że dzięki ich staraniom poczta francuska wydała znaczek o tematyce polskiej, upamiętniający emigrację polską we Francji w latach 20. Ogłosiłam w Radio konkurs filatelistyczny: „Wykazać znaczkami więzi kulturalne między Polską, a Francją i wykonać obraz posługując się znaczkami”. W holu Domu Radia urządziłam wielką wystawę nadesłanych prac. Na wernisażu była telewizja, wiele znanych osobistości między innymi ambasador Polski Kajetan Morawski.

Roman Nowakowski przyjechał z Kanady w roku 1954, był filatelistą, ale ważne było to, że był Lwowiakiem. Zaproponowałam mu wspólny *sketch* pod tytułem „Michaś Lwowiak”. Napisałam ich ponad tysiąc, a szedł on na antenie dwadzieścia pięć lat! Te rozmowy z Michasiem miały ogromne powodzenie. Michaś stał się dla słuchaczy istotą realną, prawdziwą, przyjacielem, do którego często pisali. Kiedyś jedna ze słuchaczek z północy Francji napisała, że to dzięki rozmowom z Michasiem ona i jej rówieśniczki nauczyły się języka polskiego.

Z górnikami na północy Francji i w Belgii mieliśmy żywy kontakt. Pojechaliśmy kiedyś do Roubaix z jednym z dyrektorów francuskich aby zrobić szereg reportaży. Na ulicy przechodnie mówili po polsku, na szyldach sklepów nazwiska polskie, policjanci Polacy. Zdziwiony dyrektor zawołał *c'est l'occupation polonaise* — „To okupacja polska”.

Konkurs wdzięku i dowcipu, też miał powodzenie. Konkurs polegał na tym, że trzeba było w sposób zabawny opisać imaginacyjny pobyt w Paryżu i przysłać swoją fotografię. Przyszło 150 odpowiedzi i fotografii, głównie dziewczyn i to bardzo ładnych, to też członkowie jury mieli wybieki na twarzy oglądając zdjęcia pięknych dziewcząt. Laureatką została Zosia Herich. Przyjechała do Paryża i, z Michasiem i parą wspaniałych artystów, Oleńską i Ref Renem, autorem pieśni *Czerwone maki na Monte Cassino*, mieliśmy pojechać z występami na północ Francji do różnych miasteczek. Niestety, Ref Renowie nie mogli pojechać, ogarnęła nas panika bo przyjazd nasz był już zapowiedziany. Michaś wpadł na pomysł aby pójść do sklepu gdzie sprzedają różne sztuki i nauczyć się prestidigitatorstwa. W rezultacie Michaś tak dobrze się spisał, że przez dwie godziny bawił publiczność, która bez przerwy się śmiała. Michaś czyli Roman Nowakowski był osobą, dla której nie było rzeczy niemożliwych. Szłam kiedyś z Romanem do Petit Palais na wystawę Tutanchamona. Ogonek był ogromny. Pokazałam swoją kartę dziennikarską i pomyślałam sobie „biedny Roman nie zobaczy wystawy”. W tej chwili słyszę jego zdecydowany głos: *Je suis le chauffeur de Madame*. Bez słowa woźny wpuścił go do środka.

Ogłosiliśmy kiedyś konkurs pocztówek świątecznych i pokazaliśmy różne ciekawostki, między innymi koperty dziwnie adresowane „Vague Lille” — dosłowne tłumaczenie ze słownika — fala — *vague*. Albo zamiast Sekcja Polska, „Sexe Polonais” itd.

W roku 1960 przeniesiliśmy się do tak zwanego okrągłaka — Domu Radia. Obwód każdego piętra 500 metrów. Żałowaliśmy wszyscy, że musimy opuścić Pola Elizejskie.

Po śmierci redaktora Tadeusza Świąćckiego szefem Sekcji został Edward Borowski — Kawaler Maltański, erudyta w dziedzinie heraldyki i historii. André Moosmanna mianowano szefem wszystkich sekcji zagranicznych. Redaktorami byli wtedy: Jan Winczakiewicz, Witold Nowosad, Totuś Parczewski, Janusz Laskowski, Jan Grużewski, Leszek Talko, który później został szefem Sekcji Polskiej, a po nim Kazimierz Piekarec... no i ja.

Mieliśmy sporo tak zwanych „pigistów” czyli osób, które współpracowały z nami dorywczo: Ludwik Lille, znakomity artysta malarz, który co tydzień miał pogadankę; historyk Pobóg Malinowski, Roman Fajans, ksiądz Kiedrowski. Co tydzień, humorystyczny monolog miał Warszawiak Zielonka. Redaktorem sportowym był Mieczysław Józwiak. Z Polski przyjeżdżali między innymi Aleksander Jackiewicz, wykładał on w Łodzi w szkole filmowej. Jego uczniami byli Munk, Polański, Wajda i wielu innych. Przyjeżdżał Iwaszkiewicz, Brzechwa, Konwicki, Szablowski, dyrektor Wawelu. Odwiedzał nas również Roman Polański ze swoją żoną Basią Kwiatkowską, już zaczynał swą błyskotliwą zagraniczną karierę. Otrzymał nagrodę za film krótkometrażowy „Dwaj ludzie z szafą” na festiwalu filmowym w Tours.

Urządzaliśmy co pewien czas nagrania publiczne, zapraszając znane osobistości: gastronomo Pomiana Pozerskiego, sławnego fryzjera Antoine, Lolę Prusak, która miała dom mody, malarzy, kompozytorów, na czele z Panufnikiem, Spisakiem czy Palestrem, inżynierów... Wszyscy opowiadali o swych zawodowych osiągnięciach.



Założyłam klub optymistów. Miałam sporo członków i to ciekawych ludzi. Kiedyś w dyskusji przed mikrofonem na temat optymizmu redaktor Totuś Parczewski przejęczył się i powiedział: „Pesymista to jest człowiek, który nosi pasek i szelki, a optymista nie nosi ani paska ani spodni!”

Moja praca była bardzo kolorowa, byłam dwadzieścia razy na festiwalu w Cannes, codziennie miałam pogadankę czy magazyn na inny temat, gastronomia, moda, film, wydarzenia kulturalne, wywiady z ciekawymi osobistościami.

Piosenka odgrywała dużą rolę. W koncercie życzeń codziennie nadawaliśmy różne polskie piosenki. Śpiewała wtedy Krystyna Paczewska, Weronika Bell, która występowała w Folies-Bergère, Ref-Ren i Oleńska, i Viera Gran jedna z najbardziej znanych piosenkarek polskich okresu przedwojennego.

Jak mówiłam, pracowaliśmy z zapałem, wiedząc jak ważne są nasze audycje dla słuchaczy w Polsce, czego były dowodem ilości listów jakie dostawaliśmy. Cieszyliśmy się życiem, w wolnych chwilach zbieraliśmy się w Mazurce, nocnym lokalu Kasi Przedpeńskiej. Tam na czele ze Zbyszkiem Cybulskim, Sartrem, spotykali się przyjeżdżający z Polski artyści, malarze, poeci. Teraz wszyscy gdzieś gonią i wszyscy są zmęczeni! Wierzyliśmy w przyszłość. Pieniądz nie odgrywał takiej roli jak obecnie. Pracowałam na pewno z dziesięć godzin dziennie lub nawet w nocy i nie przychodziło mi na myśl, że może powinni mi więcej płacić. Jestem szczęśliwa, że dane mi było pracować w Sekcji Polskiej Radia Francuskiego w okresie, gdy tak bardzo Polsce była potrzebna pomoc materialna i moralna.

Gniewa Wołosiewicz (Francja)

## **OŚWIATA W POLSKICH ODDZIAŁACH WARTOWNICZYCH PRZY ARMII AMERYKAŃSKIEJ NA TERENIE NIEMIEC I FRANCJI**

Przed lądowaniem Aliantów we Francji, rządy Stanów Zjednoczonych i R.P. na Wygnaniu podpisały w Londynie umowę, na podstawie której Armia Amerykańska miała prawo angażować uwolnionych polskich jeńców wojennych do służby pomocniczej. Przewidywalnie przez Kompanie Wartownicze przewinęło się około stu tysięcy osób.

VII Armia Stanów Zjednoczonych powołała przy swym dowództwie w Heidelbergu Polską Sekcję Łącznikową, której szefem został pułkownik Franciszek Sobolta, były adiutant Marszałka Piłsudskiego. Zastępcą Sobolty, odpowiedzialnym za wyszkolenie wojskowe i oświatę ogólną, został pułkownik dyplomowany Juliusz Filipkowski. W Mannheim założono obóz szkoleniowy, tzw. „Kościszkowo”, w którym przeszkolono 40 000 wartowników. Ludzie mieszkali opodal baz wojskowych, których strzegli całą dobę, w lasach pod namiotami, albo w uszkodzonych na skutek działań wojennych budynkach. Ciężkie warunki bytowe cierpliwie znosili, wiedząc że nie chcą wrócić do ujarzmionego kraju, świadomie wybierając emigrację.

Przez długi czas przyszłość Oddziałów Wartowniczych była niepewna. Rozpoczęto nawet reformowanie polskich Kompanii, na wyraźne żądanie strony sowieckiej. Dopiero wzrost napięcia międzynarodowego, sowiecka blokada Berlina i początek „zimnej wojny” powstrzymały ten proces. Zwolnionych Wartowników werbowano ponownie, zwłaszcza do służby przy załadunku samolotów obsługujących „most powietrzny”, którym dostarczano żywność do odciętego Berlina.

Niejako na przekór niepewnej sytuacji, Dowództwo Polskich Oddziałów Wartowniczych zadbało o działalność oświatową. Powołano Fundusz Oświatowo-Społeczny, na który żołnierze Kompanii Wartowniczych i innych dobrowolnie wpłacali pieniądze, godząc się na potrącenia przy każdej wypłacie. Zrozumienie potrzeby istnienia Funduszu było powszechne. Wśród Wartowników byli młodzi ludzie, którzy z powodu wybuchu wojny nie zdołali rozpocząć studiów, albo stracili możliwość dokończenia nauki. Nie brakowało zatem chętnych do studiowania na wyższych uczelniach na terenie Niemiec. Studentom zapewniono mieszkanie w koszarach, utrzymanie oraz dostosowanie czasu służby do trybu nauki. Oddziały Wartownicze dawały też pracę i podstawę bytu wielu wykształconym Polakom, przebywającym na terenie Niemiec. Na przykład lekarzy i dentyстів zatrudniano w przychodniach, a weterynarzy — do opieki nad psami służby wartowniczej.

Praca oświatowa koncentrowała się jednak w świetlicach. Oświata ogólna i techniczna w dużej mierze zależała od poszczególnych dowódców jednostek w terenie, zwłaszcza od ich umiejętności nawiązywania stosunków z dowódcami armii amerykańskiej i miejscową ludnością. W świetlicach czytano książki i prasę, słuchano radia i oglądano telewizję, tam też organizowano odczyty i wykłady. Dużą rolę odegrał Polski Uniwersytet na Obczyźnie (PUNO), który dostarczał materiały do pogadank opracowane przez wybitnych pedagogów i wykładowców wiedzy wojskowej. Ważną funkcję wychowawczą spełniały zbiórki pieniędzy na cele charytatywne. Wartownicy imponowali ofiarnością, co mogę stwierdzić na przykładzie kompanii 4086, którą dowodziłem bez mała dwanaście lat.

Po wybuchu wojny w Korei USA zaczęły budować bazy wojskowe we Francji. Do nowo utworzonych ośrodków postanowiono przenieść (w listopadzie 1950 r.) około 6 000 członków Labor Service z terenu Niemiec. By to uczynić, rząd USA podpisał umowę z rządem francuskim. Umowa ta nosi nazwę „Parodi — Bruce Agreement” (od nazwiska francuskiego ministra pracy i delegata Stanów Zjednoczonych) i, podobnie jak wiele innych umów, była „tajna”. Tak poważna liczba Wartowników mogła przekroczyć granicę Francji tylko w mundurach Armii USA. W Niemczech Wartownicy nosili mundury koloru stalowego i mieli status pracowników cywilnych, jak Niemcy, zatrudniani przez Główne Dowództwo Armii Amerykańskiej, które wraz z Ministerstwem Pracy w Bonn regulowało warunki zatrudnienia i płacy. Wartownicy byli opłacani w zależności od wykonywanej pracy i pełnionej funkcji, nie od stopnia wojskowego. Posiadali prawo do opieki socjalnej i ubezpieczenie. Podobno, w myśl wspomnianej umowy, po przeniesieniu do Francji

Wartownicy mieli te przywileje zachować. Na miejscu okazało się, że z dniem 1 listopada 1950 roku przzerwano nam i naszym rodzinom ubezpieczenia socjalne. Stan ten trwał aż do 31 marca 1967 roku, tj. do dnia wymarszu Armii Amerykańskiej i Labor Service z Francji do Niemiec, na skutek zarządzenia generała de Gaulle'a. Blaski i cienie okresu francuskiego opisałem w „Białej Księdze Polskich Wartowników przy Armii Amerykańskiej” oraz w „Na linii Zimnej Wojny” — wszystko poparte dokumentami. Zdjęcia w *Albumie pamiątkowym Kompanii 4086* utrwaliły widok okropnych warunków, w jakich przyszło pracować we Francji. — Teren podmokły, z powodu długo padających deszczów, mieszkanie pod namiotami, bez ogrzewania. Za całe wyposażenie socjalne — łóżko polowe bez materaca, dwa koce i karta mundurowa.

Nie obejmowała nas konwencja londyńska z 1954 roku, regulująca warunki pracy i płacy dla pracowników cywilnych, zatrudnianych przez armie alianckie i NATO w krajach ich zatrudnienia. W oczach Francuzów byliśmy żołnierzami Armii USA — nosiliśmy amerykańską broń i amerykańskie mundury. Zdaniem dowódców Armii Amerykańskiej byliśmy jednak pracownikami cywilnymi... Do końca 1955 roku polscy Wartownicy nie mieli prawa wstępu do sklepów przeznaczonych dla żołnierzy amerykańskich. Drobne artykuły toaletowe i papierosy zamawiano, sporządzając listę. Zakupy robił żołnierz lub oficer z Kompanii Nadzorczej US Army. Dopiero na przełomie lat 1956/1957 uzyskaliśmy prawo wstępu do *snack* barów i sklepów żołnierskich, dotąd zabronionych. Prawem tym nie objęto naszych rodzin. Rachunki za leczenie w szpitalach francuskich płacono z Funduszu Chorobowego, stworzonego przez 6953 Labor Service Center pod dowództwem pułkownika Michaela Grunberga. Wyплаты z tak zorganizowanego ubezpieczenia zasilają Skarb Stanów Zjednoczonych, nie zaś chorych i ich rodziny. Fundusz ten rozwiązano dopiero z początkiem 1957 roku, kiedy to Wartownicy nabyli prawo leczenia się w szpitalach Armii USA. Członkowie rodzin wartowniczych nie byli tym przywilejem objęci. W dramatycznych sytuacjach koleżdy Wartownicy robili zbiórki pieniężne, aby pomóc tym, których żony czy dzieci wymagały leczenia. Pomagał też wspomniany wcześniej Fundusz Oświatowo-Społeczny.

W czasie odpraw na szczeblu 6953 Labor Service Center w Saint Jean d'Angely, profesor prawa międzynarodowego major LS Jan Świda udzielał nam podstaw prawnej edukacji. Wspólnie z Profesorem głowiliśmy się, jak rozwiązać problem świadczeń socjalnych, których nam odmówiono. Szukaliśmy jakiejś podstawy prawnej dla naszych roszczeń. Bezcelowo. Uzasadniającą słuszność naszych żądań zapis tkwił w umowie „Parodi — Bruce Agreement”. Ta zaś była „tajna”, więc nie sposób było się na nią powoływać...

W tak trudnych warunkach, mimo wszelkich przeszkód, kiełkowała wiedza o Polsce. Krzepili nas kapelani Labor Service, wśród których płomiennymi kazaniami i naukami zasłynął ks. kapelan Franciszek Filip. Z czasem nawiązaliśmy kontakty z Polonią we Francji, z polskimi organizacjami w Paryżu, z księgarnią Libella, z Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie (PUNO) w Londynie. W oparciu o materiały otrzymywane z PUNO, opracowywaliśmy pogadanki, dające podstawę dyskusjom. Chętnie nawiązywaliśmy do spuścizny naszych poetów i pisarzy, czując wspólnie, jak niespodziewanie i mocno słowa sprzed wielu lat stają się aktualne w odniesieniu do nas, do naszego tułaczego losu. Jak modlitewne żale Norwida: „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba — Tęskno mi Panie”... Przeplataliśmy nasze pogadanki wierszami romantycznych poetów, jak czyni dziewoja, wijąca wianek zbożowy, gdy przeplata go chabrami, aby był piękniejszy... Rozrzucające wiersze pobudzały siły duchowe, dodawały otuchy.

Oficerowie na zmianę wygłaszali odczyty, stale przypominając o naszych obowiązkach wobec Ojczyzny. Wpajano tym żołnierzom wartowniczym, że muszą postępować godnie i zachowywać się przykładowo, albowiem są ambasadorami sprawy polskiej. Podtrzymywano w nich iskrę nadziei, by im towarzyszyła w trudnej drodze ku wolnej i niepodległej Polsce.

Na terenie Niemiec Wartowników przymusowo uczono języka angielskiego. We Francji tę naukę kontynuowano, doszła jednak konieczność przyswojenia języka francuskiego.

Dwa razy pełniłem obowiązki dowódcy wydzielonej jednostki 4230 „A” w Saint Sulpice koło Bordeaux, która współpracowała z jednostką francuską Guard Mobilé, a później z jednostką wydzieloną w Samur. Pełniłem obowiązki zastępcy dowódcy Kompanii 4230 Labor Service, stacjonującej w Capiteux-Poteau, koło Bordeaux, gdzie zastępowałem najpierw kapitana Władysława Choynowskiego, a po jego odejściu, jako zastępca Kapitana Władysława Wrzeszcza, dowódcy

Kompanii 4230 w Chinon. Byłem wysłany do Kompanii 4011 Labor Service. Kompania w Capiteux-Poteau, aby pomóc majorowi Kazimierzowi Rogozińskiemu w jego sporze przeciwko kapitanowi Luck, dowódcy Kompanii Nadzorczej. Na rozkaz władz nadzorczych amerykańskich major Kazimierz Rogoziński, z zachowaniem posiadanego stopnia, został przeniesiony do Bussac koło Bordeaux, jako Dowódca Kompanii 4088 LSCo. Odmówiłem objęcia stanowiska Dowódcy Kompanii, uważając, że spór pomiędzy kapitanem Luc'em i majorem Kazimierzem Rogozińskim nie był załatwiony należycie. Dowództwo objął kapitan Zdzisław Baraniecki. Stąd zostałem przeniesiony do Kompanii 4086 aby objąć dowództwo kompanii po kapitanie Antonim Szarejko. W drodze na odprawy dowódców kompanii na terenie Niemiec, miałem okazję widzieć Kompanie Wartownicze w północno-wschodniej Francji. Odwiedziłem również Center 6954 w Verdu. Ponieważ kilku oficerów było nauczycielami przed wojną, postanowili zorganizować Gimnazjum Wartownicze. Czas i wiek, wyjazdy oraz urządzanie się w cywilu przerzedzały szeregi tych jednostek wartowniczych.

W Kompanii 4086 w Jeumont, koło La Rochelle we Francji, jak wszędzie, oświata ogniskowała się w świetlicach, z tą tylko różnicą, że w tej kompanii świetlice jeszcze nie było. Kompania uboga!... Spenetrowałem teren i postanowiłem tą kompanię wydzwignąć. Przekonałem się, że był to teren podobny do żyły złotodajnej. Trzeba było zakasać rękawy i szczerze zabrać się do pracy do urobienia ugoru na niwę chlebobajną.

Oświata w kompaniach wymagała pieniędzy. Uzyskałem od Amerykanów pomieszczenie i założyłem klub kompanijny, oparty na przepisach Dowództwa, przy którym kompania pełniła służbę i dopiero wtedy uzyskaliśmy niezbędne fundusze. W latach 1956/1957, do świetlicy kompanijnej, którą założyliśmy w dodatkowym pomieszczeniu, prenumerowano następujące czasopisma:

Sodalis Marianum	1 egz.
Wiadomości	3 egz.
Horyzonty	3 egz.
Syrena i Orzeł Biały	3 egz.
Gazeta Niedzielną	2 egz.
Polska Wierna	50 egz. wsparcie prasy katolickiej
Polak	3 egz.
Narodowiec	10 egz.
Kultura	1 egz.
Przegląd Sportowy	3 egz.
Wiarus	2 egz.
Echo Ameryki	1 egz.
Paris Match	1 egz.
Days de France	1 egz.
Stars and Stripes	1 egz.

Izby żołnierskie mieściły się w pięknych barakach, nowo zbudowanych dla armii. Dwa razy w tygodniu robiono zakupy ilustrowanych pism w języku angielskim i francuskim do świetlicy. Z dochodów klubowych zakupiono: telewizor, radio i aparat do odtwarzania płyt gramofonowych. Amerykański Special Service dostarczył nam: bilard, stół pingpongowy do klubu kompanijnego i świetlicy, kanapy, fotele, krzesła. W roku 1966 Biblioteka Kompanijna liczyła 1500 woluminów. Zakupy robiono w Księgarni Libella w Paryżu. Każdy członek kompanii przeglądał katalog i wybierał książki, które kupowano partiami. Dawało to gwarancję, że kupiona książka będzie czytana.

#### Kaplica

Urządzenie kaplicy w osobnym baraku wykonali sami Wartownicy. Byli wśród nich malarze i artyści, a to co zrobili (fotografie są w *Albumie Pamiątkowym Kompanii 4086*), jest dziełem sztuki. Kompanijni stolarze wykonali ławki do kaplicy, a pani M. Łysiak, w czasie pobytu w Lourdes zakupiła statuetkę Matki Boskiej z Lourdes.

### Szkoła ogólna dla żołnierzy Armii Amerykańskiej

W koszarach Armii Amerykańskiej w Laleu działała szkoła dla żołnierzy Armii Amerykańskiej, w której zajęciach uczestniczyła grupa Wartowników. Sam uczyłem się na organizowane tam kursy i otrzymałem świadectwo ukończenia.

### Wyświetlanie filmów

Przy głównym dowództwie Armii Amerykańskiej w Aufredi, La Rochelle mieściły się: Biblioteka książek i filmów. Filmy, z braku kinooperatorów, wyświetlono jednak rzadko. Poprosiłem o wyszkolenie dwóch członków mojej kompanii i na kurs wysłani zostali: starszy sierżant Henryk Grzelak i sierżant Alfred Dyrda. Po ich powrocie z dyplomami natychmiast zamówiłem aparat do wyświetlania filmów w kompanii. Odtąd wyświetlano czasami po trzy filmy dziennie, głównie filmy wojskowe z bitew na terenie Europy i Azji, które najbardziej interesowały członków kompanii.

Z biblioteki Armii Amerykańskiej korzystało również kilka osób. Nauka obcych języków w świetlicy kompanijnej była obowiązkowa. Wykładowcy amerykańscy uczyli nas jednak prócz tego, ale już bez obowiązku, także hiszpańskiego i francuskiego.

### Studia w University of Maryland

Przy naczelnym dowództwie Armii Amerykańskiej w La Rochelle, istniał wydział tej Uczelni, dla studentów, którzy zostali powołani do służby w Armii. Aby nie tracić czasu, w wolnym czasie od zajęć, kompletowali wiedzę studiując korespondencyjnie i biorąc udział w wykładach. Członkowie mojej Kompanii, oczywiście tylko znający język angielski, mogli brać udział w tych zajęciach, choć wielu kępowała obecność wśród studentów amerykańskich oficerów. W wykładach brali udział: kapitan Stanisław Łysiak, sierżant Józef Brzeziański i sierżant Mirosław Cafourek.

Znacznie większym powodzeniem cieszyło się, również dostępne dla wszystkich Wartowników, szkolenie zawodowe w zakładach Armii Amerykańskiej. Batalion Transportowy Armii Amerykańskiej w Laleu, prowadził kursy:

- jazda samochodowa od jeepa do ciężarówek włącznie,
- wyszkolono pięciu kierowców autobusów wojskowych,
- chętnych nauki mechaniki samochodowej dopuszczono do garaży, gdzie w czasie wolnym od pracy uczyli się mechaniki,
- obsługa pługów i spycharek.

Ponadto, Zakłady Inżynieryjne Armii Amerykańskiej w Bertrand, koło La Rochelle, wyraziły zgodę, aby Wartownicy w wolnym czasie uczyli się:

- Spawanie
- Instalacje elektryczne
- Stolarka.

### Śpiew chórally

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia dowództwo Armii Amerykańskiej we współpracy z Urzędem Miejskim zorganizowali imprezę dla publiczności francusko-amerykańskiej w mieście La Rochelle. Zaproszono tutejszą kompanię do wzięcia udziału. A więc śpiewały zespoły: francuski, amerykański i polski z Labor Service. Publiczność po raz pierwszy usłyszała melodię polskich kołęd. A oto skład Zespołu: sierżant Jan Maczuba, sierżant Jan Maliskiewicz, sierżant Leopold Sobik, sierżant Stefan Grzesiński, sierżant Józef Brzeziański, sierżant Bogdan Woynilowicz, kapral Wasyl Babiuch.

Wspaniałą list uznania dla Zespołu umieszczono w *Albumie Pamiątkowym Kompanii*.

### Zespół muzyczny

W Kompanii było trzech graczy. Grywali indywidualnie — poznawali się. Udało się przekonać ich, aby zaczęli grać zespołowo. Udało się! A oto nasi gracze-muzycy: sierżant Antonii Porębiński — akordeon, sierżant Stefan Grzesiński — saksofon, kapral Jan Zajac — perkusja. Wspomagał ich Francuz, który grywał także na saksofonie. Grali dobrze i zabawiali towarzystwo w klubie kompanijnym. A z okazji świąt narodowych, w świetlicy kompanijnej, przeplatano: śpiew i muzykę. Jak tylko nadarzała się okazja, trzeba było wykorzystać każdą sposobność!

### Zespół siatkarzy pod nazwą „Syrena”

Dzięki poparciu profesora Aleksandra Bluma, major dyplomowany wojsk polskich i major Labor Service, udało mi się wychwycić i założyć świetną drużynę. Major Blum jako oficer z krwi i kości miał podejście do ludzi i odwrotnie szacunek tych ludzi do siebie. Po odejściu z Polskich Oddziałów Wartowniczych i objęciu Katedry na Uniwersytecie (PUNO) tęsknił za nami, nie szczędząc wysiłków własnych i jego kolegów, aby darzyć nas pięknymi materiałami do pogadank — do wykładów. O ludziach takiej miary nie zapomina się. Aż do jego zgonu, pozostałem z nim w kontakcie przyjacielskim.

A oto zespół drużyny „Syrena”: sierżant Jan Maczuba, sierżant Jan Maliskiewicz, sierżant Antoni Porębiński, sierżant Marian Rauze, kapral Janusz Nowakowski, kapral Jerzy Miller, kapral Mieczysław Drozdziel.

Co roku odbywał się turniej siatkówki, między drużynami z terenu Niemiec i Francji i zawsze wygrywała „Syrena”. Na terenie La Rochelle i okolicy, grywali z mniejszymi zespołami. Ich przewaga techniczna odbijała się echem coraz dalej. To też zespół „Syrena” przemierzył Francję w szerz i wzdłuż. I dla dobrych stosunków „Syrena” grała pod barwami prowincji Poitou-Charente. Zdobyła liczne puchary, między innymi i puchar miasta Paryża. W czasie jednego, większego turnieju we Francji, pan Herzog, minister sportu i wychowania fizycznego Francji, nadaje drużynie „Syrena” — Medal Brązowy.

### Cele charytatywno-społeczne

W czasie wypłaty Wartownicy widzieli różne cele, jedne ubywały drugie przybywały. Zorientujemy się z tej tabeli. Na przykład w roku 1956 przestano zbierać składki na Fundusz Chorobowy Center. W roku 1956 Wartownicy mieli prawo korzystać z leczenia w szpitalach Armii Amerykańskiej. Niestety, żony i dzieci pracowników Labor Service, nie miały tego prawa. Odtąd, z braku opieki socjalnej dla rodzin wartowniczych na terenie Francji, Fundusz Oświatowy i Społeczny obejmie to charytatywnie. W roku 1966 Wartownicy, już poza służbą, utworzyli stowarzyszenie pod nazwą Amicale du Labor Service i po kilku latach nierównych zmaganiach wygrali sprawę, usuwając w ten sposób plamę na honorze Armii Amerykańskiej i niedołęstwie niektórych dowódców na wyższym szczeblu odpowiedzialnych za los swoich podkomendnych.

Dane statystyczne zebrane na wychodzących w Mannheim „Ostatnich Wiadomości” (1956/1957):

Polskie Gimnazjum w Les Ageux	1.500 frs.
Polska szkołka „Marianum” w Kaiserslautern, Niemcy	650 frs.
Fundusz Oświatowo-Społeczny	600 frs.
Fundusz Prasowy 6953 Labor Service Center, gazetka „Na Posterunku”	550 frs.
Lekarstwa dla chorych w Kraju	640 frs.
Tydzień Miłosierdzia	189 frs.
Na powodzian w Kraju	1.450 frs.
Stypendium dla studenta — Stanisław Tymkow na studiach w Madrycie	600 frs.
Konserwacja grobów wartowniczych	400 frs.
Polscy inwalidzi we Francji	820 frs.
Polski Uniwersytet na Obczyźnie (PUNO)	400 frs.
Polacy repatriowani z Rosji	1.800 frs.

Płacono również na Skarb Narodowy w Londynie, ale z braku dokumentu, nie można ustalić sumy.

### Samopomoc Kompanii 4086 w La Rochelle

Zarząd Klubu Kompanijnego, po uzgodnieniu z dowódcą Kompanii 4086 ustalił wysokość darów-dywidend:

- Każdy nowożeniec, po przedstawieniu dokumentu zawarcia ślubu otrzymywał sumę 100 dolarów.
- Za każde nowo narodzone dziecko rodziny otrzymywały 50 dolarów.

– Okresowo, co trzy miesiące płacono dywidendę 10 dolarów każdemu członkowi Kompanii. Ta pomoc zależała od dochodów klubowych — nie była obowiązkowa.

#### Kwestia dobrego sąsiedztwa

Po objęciu dowództwa Kompanii 4086 w Jeumont/La Rochelle, wprowadziłem zwyczaj zapraszania kompanii transportowej amerykańskiej na wieczerzę wigilijną. Zobacz zdjęcia w *Albumie Pamiątkowym Kompanii 4086*.

Uzgodniłem z dowództwem Armii, aby ich żołnierze zastąpili moich wartowników na jedną zmianę, dając im możliwość spotkać się przy jednym stole. Nie było z tym problemu. Ten zwyczaj ponawiano z roku na rok.

Z okazji pasterki, która odprawiana była w godzinach zajęć z uwagi na to, że kapelan miał kilka kompanii w terenie. Zapraszałem dowódcę instalacji z małżonką na to nabożeństwo. Po mszy świętej kapelan dzielił się opłatkiem z dowódcą i jego małżonką, tłumacząc zwyczaj opłatka w polskim społeczeństwie. Dzielił się także ze wszystkimi, którzy byli obecni na nabożeństwie.

Policja wojskowa Armii Amerykańskiej też chciała aby choć raz w roku złuzowano wszystkich żołnierzy policji wojskowej aby spotkali się przy jednym stole, z jakiejś ich uroczystości czy imprezy. A więc tym razem żołnierze naszej Kompanii obejmowali wszystkie posterunki Policji wojskowej (MP).

Nie będzie od rzeczy, jeśli nadmienię w tym miejscu, że Święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok i Wielkanoc, były najcięższe pod względem uczuciowym. W towarzystwie kierowcy udawałem się do oddalonych posterunków, by tam złożyć życzenia żołnierzowi na posterunku.

Żołnierze i oficerowie, o których pisze ten raport, widzę ich przed sobą — jak na jawie. Ci żołnierze, mało znanej armii od 1945 do 1989, pełnili nadzwyczaj ważną pracę. Poświęciłem tym żołnierzom i *Białą Księgę Polskich Oddziałów Wartowniczych* i drugą pracę, po francusku: *Sur la ligne de la guerre froide (Na linii zimnej wojny)*. Wierzyli, że dojdą do polski wolnej! Wielu z nich padło, tak jak te słowa w wierszu Marii Konopnickiej. Tak jak tamci spod Monte Cassino, na płycie wypisali: „Przechodniu powiedz, żeśmy tu legli w służbie dla Ojczyzny”. Wielu Wartowników legło w służbie wolności i demokracji. A ci, co przetrwali, gdziekolwiek by nie byli, mogą się cieszyć, że komunizm, który sprawił im tyle trudności w życiu, runął na ich oczach!

Niech mi będzie wolno w tym miejscu raz jeszcze pomyśleć o moich przetożonych i żołnierzach Labor Service i rzec: „Cześć Waszej Pamięci!...”

#### *List Uznania.*

*Headquarters, United States Army, Europe, Labor Service Division, Office of the Polish Director, Heidelberg, Niemcy.*

*Dowódca 4086 Labor Service Company, Jeumont/La Rochelle*

6 marca 1957

*W dniu dzisiejszym otrzymałem pięknie opracowany „Album Pamiątkowy Kompanii” pozostającej pod pańskim dowództwem.*

*Dziękuję za tak miły dowód pamięci, pragnę wyrazić me szczere uznanie dla całokształtu pracy włożonej osobiście przez Pana Kapitana jak i podległych mu oficerów, podoficerów i wartowników celem postawienia zarówno wydajności służbowej jak i działalności społecznej, zwłaszcza w dziedzinie szkolenia zawodowego wartowników na najwyższym poziomie.*

*Franciszek Sobolta  
Liaison Director*

*P.S. To osiągnięcie w trudnych polowych warunkach, jeśli można by nazwać osiągnięcie, należałoby pomnożyć przez kilkadziesiąt jednostek tak na terenie Niemiec jak i Francji.*

Stanisław Łysiak (Francja)





## NOTY

---

### SEMINARIUM KULTURY I HISTORII POLSKI W UPPSALI

„Szwecja, w porównaniu z innymi krajami Europy jak Francja, Anglia czy Niemcy, nie była nigdy specjalnie dużym skupiskiem polskiej emigracji” — pisał w 1995 roku Andrzej Nils Ugglą\*. Mimo to znaczące i prestiżowe osiągnięcia polskich środowisk naukowych w Szwecji budzą zrozumiałe zainteresowanie tak wśród Polonii, jak w Polsce. Stąd szwedzki tom wychodzącego w Londynie „Pamiętnika Literackiego” (1992, tom XVII) oraz coraz ściślejsza współpraca szwedzkich slawistów z polskimi ośrodkami naukowymi.

W 1981 roku, z inicjatywy Józefa Lewandowskiego, historyka, powstało na Uniwersytecie w Uppsali przy Instytucie Historii Seminarium Współczesnej Historii Polski, które w 1993 roku zostało przeniesione do Centrum för Multietnisk Forskning i zmieniło Seminarium Kultury i Historii Polski, które jest placówką interdyscyplinarną i skupia naukowców oraz studentów różnych kierunków nauk humanistycznych i społecznych (głównie historii i literatury), dla których — jak napisano w ulotce informującej o pracach Seminarium — „historia i sprawy polskie są czynnikiem integrującym”. Kierownikiem Seminarium jest profesor Andrzej Nils Ugglą, literaturoznawca, historyk i tłumacz od 1966 roku na stałe mieszkający w Szwecji, od 1977 związany z Wydziałem Sławistyki Uniwersytetu w Uppsali, na którym doktoryzował się na podstawie rozprawy *Strindberg och den polska teatern 1890–1970* (Strindberg, a teatr polski — wyd. 1977). W jego dorobku, prócz ponad stu pięćdziesięciu artykułów naukowych i popularyzatorskich, opublikowanych głównie w Szwecji i Polsce znajdują się obszerne monografie, m.in.:

*Polen i svensk press under andra världskriget* (Polska w szwedzkiej prasie w latach II wojny światowej, bibliografia) 1986; *Den svenska Polenbilden och polsk prosa i Sverige 1939–1960* (Obraz Polski w Szwecji a recepcja polskiej prozy 1939–1960) 1986; *Sverige och polska skalders. Från Mickiewicz till Miłosz* (Szwecja a polscy poeci. Od Mickiewicza do Miłosza) 1990; *Polacy w Szwecji w latach II wojny światowej* (oraz rozszerzone tłum. szwedzkie pt. *I nordlig hamn*) 1996, 1997.

A.N. Ugglą był ponadto redaktorem szwedzkiego tomu londyńskiego „Pamiętnika Literackiego” oraz wydawcą i tłumaczem literatury polskiej w Szwecji. Jest też członkiem Komitetu Redakcyjnego edycji *Dzieł wybranych* Augusta Strindberga.

Seminarium jest częścią dużego Ośrodka Badań Wielokulturowych przy Uniwersytecie w Uppsali, a jego działalność nie polega na prowadzeniu regularnych zajęć dydaktycznych ze studentami, lecz na organizowaniu 6–10 seminariów w każdym semestrze dla około 50 słuchaczy, a także na organizowaniu wykładów dla naukowców szwedzkich i z innych krajów, w tym z polskich

---

\* A.N. Ugglą, *Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie z perspektywy szwedzkiej*, Pamiętnik Literacki (Londyn) 1995, T. XX, s. 40.

ośrodków naukowych. Seminarium współpracuje z podobnymi centrami badawczymi w Szwecji i na całym świecie. Najważniejszym obszarem badań Seminarium jest percepcja i obecność literatury polskiej w Szwecji. W latach 1981–1996 na Seminarium realizowane były cztery projekty badawcze:

Polska literatura i teatr w Szwecji 1939–1980; Obraz Polski w Szwecji a recepcja polskiej kultury 1939–1981; Polska kultura emigracyjna w Szwecji; Polska literatura emigracyjna w Szwecji.

Efektom rozwijanych badań i szerokiej współpracy ze środowiskiem szwedzkich polonistów i historyków było wydanie w 1993 roku, w Uppsali, z inicjatywy A.N. Uggli, pierwszego numeru czasopisma polsko-szwedzkiego „Acta Sueco-Polonica”, którego 6 zeszyt ukazał się w końcu 1998 roku. Każdy numer rocznika ma około 200 stron, a teksty ukazują się głównie po szwedzku (ze streszczeniem w j. polskim), polsku i angielsku. Obok Uggli, do Komitetu Redakcyjnego weszli: Michał Bron Jr, Janusz Korek, Józef Lewandowski i Nils Lundhul.

Rozpiętość tematyczna poszczególnych numerów jest duża. Od tekstów poświęconych polskim aspektom twórczości szwedzkich pisarzy, poetów czy dyplomatów, przez szkice o percepcji szwedzkiej literatury w Polsce i polskiej w Szwecji, losy Polaków w Szwecji po II wojnie światowej, biografie wybitnych Polaków w Skandynawii... po studia dotyczące literatury polskiej i dziejów polskiej emigracji. Dla badań nad emigracją szczególnie interesujące będą np.: A.N. Uggl, *Repatriacja Polaków ze Szwecji po II wojnie światowej* (1), J. Korek, „Przylegać do rzeczywistości”. *Stanowiska i spory polityczne w „Kulturze” 1968–1975* (1), *Bibliografia Józefa Lewandowskiego 1954–1993* (2), E. De Geer, *Polska grupa narodowościowa w Szwecji po II wojnie światowej* (3–4), Z. Barczyk, *Polak-Europejczyk. Wspomnienie o Norbercie Żabie 1907–1994* (3), Rozmowa z Miłozsem (3), A.N. Uggl, *Oświata i nauka polska w Szwecji w latach II wojny światowej* (4), A.N. Uggl, *Wspomnienie o Adamie Heymowskim* (4), Z. Bauman, *Kilka myśli o wygnaniu i myśleniu na wygnaniu* (6).

Od 1995 roku „Acta Sueco-Polonica” wydają również serię książkową, prezentującą polską literaturę i dokumenty źródłowe do badań społecznych i politycznych. W serii opublikowano:

- Nr 1. *Två polska dramatiker. Stanisław Wyspiański. Stanisław Ignacy Witkiewicz*. Red. A.N. Uggl i Dag Hedman. Uppsala 1995 [tłumaczenia: Wyspiański: Warszawianka, Sędziowie; Witkiewicz: Nowe wyzwolenie, W małym dworku];  
Nr 2. *Jews and Christians: Who is Your Neighbour after the Holocaust?* [Materiały z sesji]. Red. M. Bron Jr. Uppsala 1997;  
Nr 3. *Äldre polska dramer. Jan Kochanowski. Julian Ursyn Niemcewicz*. Tolkade och kommenterade av Lennart Kjellberg. Red. A.N. Uggl i D. Hedman. Uppsala 1998 [tłumaczenie: Kochanowski: Odprawa posłów greckich; Niemcewicz: Powrót posła].

W przygotowaniu są tłumaczenia dramatów J. Szaniawskiego (*Adwokat, Most* oraz *Dwa teatry*) i A. Fredry (*Damy i huzary* oraz *Zemsta*) oraz:

J. Lewandowski, *Węzeł Sztokholmski. Działania polskiego ruchu oporu w Szwecji w latach 1939–1942*;

H. Chojnacki, *Szwedzka literatura piękna w Polsce 1939–1996. Bibliografia*;

Materiały ze szwedzko-polskiej sesji „Twórczość S.I. Witkiewicza i jej recepcja w Szwecji”, która odbyła się w Sztokholmie we wrześniu 1995 r. (Red. A.N. Uggl i D. Hedman);

K. Albin-Abrahamson, *Recepcja filmów Andrzeja Wajdy w Szwecji*.

Z pracami prowadzonymi w Seminarium związane są również książki:

Józef Lewandowski, „*Szkoła bolesna, obraz dni...*” *Eseje nieprzedawnione*. Uppsala 1991;

Sven Grafström, *Polskie stronice. Dziennik od 5 lipca 1938 do 6 grudnia 1939*. Wybór, tłumaczenie i opracowanie J. Lewandowski i A.N. Uggl. Warszawa 1996;

Andrzej N. Uggl, *I nordlig hamn. Polacker i Sverige under andra världskriget*. Uppsala 1997 — Uppsala Multiethnic Papers 40;

Janusz Korek, *Paradoksy paryskiej „Kultury”. Ewolucja myśli politycznej w latach 1947–1980*. Stockholm 1998 — Stockholm Slavic Studies 27.

Seminarium Kultury i Historii Polski na Uniwersytecie w Uppsali jest jednym z najprężniej działających w Europie ośrodków slawistycznych, a jego prace i dorobek zasługują na pełniejsze poznanie.

Pracownicy Seminarium Kultury i Historii Polski w Uppsali w 1999 roku

Dr Michał Bron Jr (1949), historyk, socjolog. W latach 1989–1997 kierownik Działu Słowiańskiego Biblioteki Noblowskiej Akademii Szwedzkiej. Pracownik University College of South Stockholm. Współzałożyciel European Society for Research on Education for Adult. Zastępca red. nacz. „Acta Sueco-Polonica”. Redaktor kilku książek oraz autor kilkudziesięciu artykułów.

Dr Włodzimierz Gruszczyński (1953), filolog, adiunkt w Instytucie Dziennikarstwa UW. Opublikował m.in.: *Opowiadania polskie XIX i XX wieku (wybór tekstów dla studiujących język polski)*. Uppsala 1994; *Historia języka polskiego (zarys)*. Cz. I. Uppsala–Stockholm 1994 (skrypt); *Nomina Polonica & Svetica. En polsk-svensk paronymordlista i original och avskrift*. Acta Bibliothecae R. Universitatis Upsaliensis, XXXV, Uppsala 1998 (wspólnie z L. Larssonem).

Dr Janusz Korek (1955), historyk literatury, tłumacz. Na przełomie lat 70. i 80. założyciel podziemnego wydawnictwa „Oficyna Nieobecnych”. Współpracownik Szwedzkiego Radia, pracownik University College of South Stockholm. Opublikował m.in.: *Paradoksy paryskiej „Kultury”*. Stockholm 1998 oraz kilkadziesiąt artykułów na temat współczesnej literatury polskiej i szwedzkiej. Współredaktor „Acta Sueco-Polonica”.

Prof. Józef Lewandowski (ps. Marcin Wyziembło) (1923), historyk, eseista. Założyciel (1980) i kierownik Seminarium Historii Polski Uniwersytetu w Uppsali, współredaktor „Acta Sueco-Polonica”. Publikuje w „Kulturze”, „Zeszytach Historycznych”. Autor m.in.: *The Swedish Contribution to the Polish Resistance*. Uppsala 1979; *Szkoła bolesna, obraz dni*. Uppsala 1991; *Cztery dni w Atlantydzie*. Uppsala 1991.

Nils Lundahl (1936), skandynawista, tłumacz z serbsko-chorwackiego. Wykładowca w Instytucie Skandynawistyki Uniwersytetu w Uppsali. Członek redakcji „Acta Sueco-Polonica”. Opublikował m.in.: *Szwedzki dla ekonomistów*. Gdańsk 1983.

Prof. Andrzej Nils Uggla (1940), literaturoznawca, historyk, badacz kultury polskiej na emigracji, tłumacz, wydawca. Pracownik naukowy Ośrodka Badań Wielokulturowych przy Uniwersytecie w Uppsali, gdzie kieruje Seminarium Kultury i Historii Polski. Autor m.in.: *Sverige och polska skaldar. Från Mickiewicz till Miłosz* (Szwecja a polscy poeci. Od Mickiewicza do Miłosza) 1990, 1997; *I nordlig hamn. Polacker i Sverige under andra varldskrieg*. Uppsala 1997 oraz kilkadziesiąt artykułów, tłumaczeń i prac edytorskich.

Mirosław Adam Supruniuk (Toruń)

## NOTATNIK KANADYJSKI

**50 lat.** 3 listopada 1948 roku na pokładzie statku Empress of France wypłynął z Liverpool w rejs do Ottawy i Montrealu były żołnierz 1 Dywizji Pancernej gen. Maczka, Wacław Iwaniuk. Kilka miesięcy wcześniej, w połowie lipca 1948, na statku S/S Marine Shark w rejsie z Ludwigsburga do Halifaxu, przybił do brzegów Kanady były powstaniec warszawski, więzień obozów jenieckich w Sandbostel i Westertimke, ostatnio dipis w obozie Heilbronn, Adam Tomaszewski. Iwaniuk z Montrealu wyruszył do dalekiego Edmonton, by zamieszkać na krótko na farmie swego krewnego w miasteczku Thorsby, skąd widać było panoramę Gór Skalistych. Stamtąd przeniósł się po kilku tygodniach do Ottawy i ostatecznie, w 1949, do Toronto. Tomaszewski z Halifaxu udał się do ontaryjskiego miasteczka Oshawa, gdzie czekał go obowiązkowy kontrakt rocznej pracy na

farmie. Tak zaczęła się, trwająca dziś już pół wieku, emigracyjna odyseja dwóch wybitnych pisarzy, którzy zdecydować mieli o obliczu polskiego środowiska literackiego w Kanadzie. Przez kilkadziesiąt lat wydawali książki, pisma, organizowali życie artystyczne i intelektualne będąc strażnikami wartości uznanych za fundament ideowo-etyczny emigracji niepodległościowej. Przez kilkadziesiąt lat też za tę cenę nie byli obecni w oficjalnym życiu literackim kraju. Dopiero po roku 1989 książki ich mogły bez przeszkód trafić do czytelnika krajowego. Dziś nie można sobie wyobrazić obrazu poezji polskiej XX wieku bez tomów Wacława Iwaniuka; coraz większe uznanie zdobywa sobie proza wspomnieniowa i podróżnicza Adama Tomaszewskiego czego przykładem chociażby zbiór studiów poświęcony pisarzowi *Jesteś wszędzie, Itako* wydany pod redakcją Sergiusza Sterna-Wachowiaka w Poznaniu w 1997 roku. Niebawem też w tej samej serii wydawniczej (Wielkopolski Parnas Literacki) ukaże się najnowszy zbiór esejów kanadyjskich A. Tomaszewskiego pt. *Krzyk dzikiej gęsi*. Najnowsze wiersze Iwaniuka z lat 1993–1996 pt. *W ogrodzie mego ojca* ukazały się staraniem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie w Toruniu w roku 1998. Jak napisał w jednym z wierszy: „emigracyjne dusze wracają do kraju”.

**20 lat.** Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie obchodził w listopadzie 1998 roku jubileusz dwudziestolecia działalności. Idea powołania Funduszu (dotąd nie było w Kanadzie takiej instytucji) pojawiła się w 1976 roku na apel Wacława Iwaniuka, zatroskanego małą aktywnością wydawniczą polskich skupisk w Kanadzie. Wkrótce na apel odpowiedziały wsparciem najważniejsze organizacje emigracyjne i po licznych staraniach w listopadzie 1978 roku można było oficjalnie ogłosić powstanie Polskiego Funduszu Wydawniczego. Pierwszym prezesem został dr Stanisław Weisło, a w skład zarządu weszli m.in. Irena Habrowska-Jelaczyc, Wacław Iwaniuk, Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, Adam Tomaszewski. Nowa organizacja otrzymała statut instytucji społecznej (charter) zatwierdzony przez rząd federalny. Działalność PFW skupiała się na organizowaniu spotkań literackich, kiermaszy książki i sztuki polskiej, dni kultury polskiej, ale celem głównym było wydawanie książek pisarzy emigracyjnych i to nie tylko osiadłych w Kanadzie. Serię wydawniczą Funduszu zapoczątkował tom wspomnień wojennych Adama Tomaszewskiego *Gorzko pachną piotuny* (Toronto 1981) i w ciągu tych dwudziestu lat działalności PFW opublikował łącznie 30 książek, w tym m.in. poezje Wacława Iwaniuka, Józefa Łobodowskiego, Floriana Śmiei, powieść Andrzeja Chciuka *Trzysta miesięcy* czy cenną antologię *Seven Polish-Canadian Poets*. Z okazji swego jubileuszu Polski Fundusz Wydawniczy (wraz z Fundacją N.W. Turzańskich) zorganizował w dniach 20–26 listopada ubiegłego roku Tydzień Literatury Polskiej w Toronto, w którym uczestniczyli też pisarze i naukowcy specjalnie zaproszeni z kraju, jak Jacek Łukasiewicz, Jerzy Święch, Janusz Kryszak, Sergiusz Sterna-Wachowiak i Włodzimierz Odojewski.

**10 lat.** Fundacja Władysława i Nelly Turzańskich jest najmłodszą tego rodzaju instytucją polską w Kanadzie. Powstała w 1988 roku z zapisu testamentowego znanego społecznika, działacza niepodległościowego, współtwórcy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie, Władysława Grzymały-Turzańskiego. Założyciel Fundacji urodził się 3 lipca 1905 roku w Bokijówce na Podolu, jako 15 letni chłopiec wziął udział w wojnie 1920 roku walcząc w 29 Pułku Strzelców Kaniowskich. W czasie drugiej wojny światowej przeszedł szlak bojowy wraz z armią gen. Andersa. Do Kanady przybył z dużą grupą byłych żołnierzy w listopadzie 1946. Był jednym z założycieli Koła Kombatantów w Toronto, a w 1953 roku, wraz z gen. Przedzimirskim, zorganizował znakomicie funkcjonującą do dziś kombatancką kasę pożyczkowo-oszczędnościową Credit Union i przez 25 lat nieprzerwanie pełnił funkcję jej prezesa. Zmarł 1 lutego 1986. Były żołnierz i społecznik miał świadomość, że przechowanie polskiego dziedzictwa kulturowego na obczyźnie w jego niezafalszowanej postaci ma dla nas, zarówno w kraju jak i na emigracji, znaczenie decydujące. W tym celu postanowił powołać do życia Fundację, której zadaniem byłoby popieranie wydawnictw odkłamujących historię Polski i wspieranie wyróżniających się twórców polskiej kultury. W ciągu 10 lat swojej działalności Fundacja nagrodziła ponad 30 twórców, pisarzy i naukowców, ludzi sztuki, a także przyznawała dotacje zasłużonym dla kultury polskiej instytucjom. Nagrody Fundacji otrzymali m.in. Wacław Iwaniuk, Adam Tomaszewski, Marek Skwarnicki, Tadeusz Nowakowski, Janusz Krasieński, Danuta Mostwin, Ryszard Kapuściński, Stanisław Barańczak, Janusz Kryszak, Jacek Łukasiewicz, Włodzimierz Odojewski, Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, Jarosław Abramow-Newerly. Prezesem Fundacji jest wdowa po jej założycielu Nelly Turzańska-Szymborska. Z jej inicjatywy powołano także krajową edycję nagród Fundacji dla młodego twór-

cy. W roku ubiegłym nagrodę tę przyznano młodemu eseiście, Arkadiuszowi Pacholskiemu, za książkę *Pochwała stworzenia*. Tę nagrodę przyznaje jury krajowe pod przewodnictwem Janusza Kryszaka.

**Nowy Prąd.** W panoramie pism polskich wychodzących w Toronto (a ukazuje się ich z różną częstotliwością kilkanaście, nie licząc wszelkiego rodzaju biuletynów) pojawił się w styczniu 1988 roku nowy tytuł powołany z inicjatywy Polskiego Funduszu Wydawniczego. „Nowy Prąd” jest samodzielną wkładką do organu Związku Polaków w Kanadzie pt. „Związkowiec”, pisma o najdłuższej wśród polonii kanadyjskiej tradycji, gdyż wychodzi ono od 1933 roku. Nowy kwartalnik literacki redagują Edward Zyman, Diana Kuprel, Marek Kusiba przy współpracy Adama Tomaszewskiego i Henryka Wójcika. Tytułem swym pismo to nawiązuje bezpośrednio do wychodzącego w latach 1957–1969 znanego w środowisku kanadyjskim miesięcznika literackiego przy „Głosie Polskim” pt. „Prąd”. Dodatek ów był wówczas najważniejszym pismem literackim emigracji niepodległościowej w Kanadzie redagowanym kolejno przez Andrzeja Manteuffla, Marię Tukowską, Jadwigę Jurkszus-Tomaszewską i Zygmunta Rusinka. Łącznie ukazały się 73 numery miesięcznika. Do tradycji tej nawiązuje teraz „Nowy Prąd” redagowany przez przedstawicieli nowej generacji emigrantów, a łączność z minioną tradycją symbolizuje tu obecność w zespole redakcyjnym Adama Tomaszewskiego. Kwartalnik publikuje szkice literackie, poezje, recenzje i skupia się głównie na twórczości emigracyjnej. Z naszego punktu widzenia szczególnie interesujący jest stały dział Archiwum Emigracji, gdzie publikowane są, pochodzące ze zbiorów prywatnych, listy znanych postaci życia artystycznego emigracji. Kolumna ta przygotowana przez znanego i cenionego bibliofila i kolekcjonera poloników, Henryka Wójcika, przyniosła już listy Tymona Terleckiego, Stanisława Gliwy i w ostatnim numerze (listopad 1998) listy Zbigniewa Herberta do Wacława Iwaniuka. „Nowy Prąd”, to obok dwumiesięcznika „High Park” (wychodzi od 1992) i dodatku literackiego „Gazety” pt. „List Oceaniczny” (wychodzi od 1993) trzecie już pismo literackie polskiego środowiska artystycznego w Toronto, pismo najbliższe związane z problematyką emigracji.

Janusz Kryszak (Toruń)

## FUNDACJA ARCHIVUM HELVETO-POLONICUM

Szwajcaria to kraj, w którym zawsze znajdowało się miejsce dla uchodźców i prześladowanych. Choć może nie zawsze i nie w każdej epoce historycznej były to związki bezkonfliktowe, niemniej jednak zrozumienie trudnej sytuacji innych, sympatia, a z czasem i przyjaźń, zdecydowanie przeważają. W tej śródalpejskiej republice od wieków osiedlali się także Polacy. Mieli tam możliwość zdobywania wiedzy, wykonywania pracy. Tam też w sposób całkowicie swobodny i nieskrępowany mogli dyskutować o Polsce, jej kształcie, roli i miejscu w świecie.

Pierwsi wygnańcy docierający z naszego kraju do Helwecji, to konfederaci barscy. Po nich znaleźli się tam uczestnicy powstania kościuszkowskiego, legioniści Dąbrowskiego i żołnierze Napoleona, powstańcy listopadowi i bojownicy styczniowego zrywu. Warto przypomnieć, że w XIX wieku na terenie Szwajcarii zebrała się druga co do liczebności po francuskiej, emigracja polska. W czerwcu 1940 roku internowano na jej terytorium prawie 13 tysięcy 2 Dywizję Strzelców Pieszych gen. Prugara-Ketlinga, która po klęsce Francji, zdyscyplinowana, pod rozwiniętymi sztandarami, przeszła granicę. Ostatnia zaś fala, choć stosunkowo nieliczna, to tzw. emigracja posolidarnościowa.

W Szwajcarii przebywało, studiowało i pracowało wielu Polaków. Wystarczy, że wymienię najbardziej znanych: Mickiewicza, Słowackiego, T.T. Jeża, Ignacego Paderewskiego, Gabriela Narutowicza, Ignacego Mościckiego, Stefana Żeromskiego, Jerzego Stempowskiego, ojca Bocheńskiego. W 1936 roku, w Solurze, w mieszkaniu, które między 1815 a 1817 zajmował Tadeusz Kościuszko, stworzono istniejące do dziś, jemu poświęcone muzeum.

Nieprzypadkowo zapewne to w Szwajcarii właśnie, w Rapperswilu nad Jeziorem Zurychowskim, powstało w 1870 roku Muzeum Narodowe Polskie, które stało się nie tylko miejscem gromadzącym znaczące dla ojczystej kultury zbiory pamiątek narodowych, lecz także swoistym forum, miejscem spotkań i dyskusji na temat kształtu przyszłej, wolnej Polski. W muzeum gromadzono rękopisy, akta, korespondencję polityków, uczonych i poetów, m.in. Mickiewicza i Kościuszki. Olbrzymia biblioteka stworzyła możliwości studiów nad dziejami Polski, zwłaszcza wieku XIX-stego. Nie będzie chyba przesadą jeśli powiem, że w ten sposób stworzono szczególnie i bardzo bogaty warsztat naukowy, a jednocześnie ośrodek myśli politycznej o znaczącym oddziaływaniu. Zbiory, jako własność narodu polskiego, przywiezione w 1927 roku do Warszawy, we wrześniu 39-tego nieomal w całości uległy zagładzie. Muzeum jednak odradzało się jeszcze kilkakrotnie: utworzone w nowej formule w 1936 roku, w 1951 ponownie zabrano do Polski. W 1954 założono polsko-szwajcarskie Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu, które na początek urządziło i wypełniło ekspozycjami, kilka sal w rapperswilskim zamku. Następne, stworzone w 1975 roku wolą kilkutomowej wspólnoty polskiej w Szwajcarii, istnieje po dzień dzisiejszy, a nawet można powiedzieć, iż stale aktywizuje i rozszerza swą działalność.

Oczywiście choć funkcjonuje Muzeum w Rapperswilu, organizuje się od nowa istniejąca przy nim Biblioteka, w różnych miastach Szwajcarii działają kluby, stowarzyszenia i organizacje polskie, to jednak — o ile wiadomo — nikt nie pomyślał, że jakkolwiek próba opisania życia, pokazania aktywności i osiągnięć polskiej diaspory w Szwajcarii — wbrew pozorom wcale niemałym — zacząć się musi od ocalenia, wcześniej po prostu zgromadzenia, wszelkich istniejących dokumentów, prywatnych archiwów i zbiorów, zazwyczaj przecież, z natury niejako, rozproszonych. A trzeba i o tym pamiętać, że w wielu wypadkach bezcenne świadectwa kultury narodowej Polaków, Polaków wśród Szwajcarów, mogą zginąć bezpowrotnie. Nie zawsze potomkowie uchodźców czy osiedleńców chcą albo mogą wytrwać przy polskości. Nie zawsze także wiadomo jak rodzinne pamiątki służyć mogą dobru ogólnemu. Dlatego też z największą radością i zrozumieniem należy powitać jakże cenną inicjatywę powołania we Fryburgu do życia Fundacji „Archiwum Polsko-Szwajcarskiego”. Honorowy patronat nad nim objęły osobistości życia kulturalnego i naukowego ze Szwajcarii i Polski, m.in. Marek Andrzejewski, Bronisław Baczko, Peter Brang, Rolf Fieguth, Halina Florkowska-Francic, Augustin Macheret, Georges Nivat, German Ritz, Jean Starobinski, Edward Świdorski.

Już na wstępie swej działalności może się ono poszczycić wcale okazałymi zbiorami. Obejmuje bowiem około 30 000 książek, 3 000 tytułów czasopism, 10 000 listów i dokumentów, 2 000 zdjęć dotyczących polskiej obecności na terenie Szwajcarii od XIX wieku po współczesność.

Trzeba koniecznie podkreślić, iż stworzenie tak szczególnej i potrzebnej instytucji, to w głównej mierze starania i osobiste zaangażowanie kolekcjonera i bibliotekarza pana Jacka Sygnarskiego. Tak jak kiedyś Muzeum Rapperswilskie powstać mogło dzięki inicjatywie i woli Władysława Platera, tak i teraz „Archiwum Helveto-Polonicum” powstaje za przyczyną człowieka wielkiej energii i pełnego idei, który umie przy tym nadać im realny kształt.

Trzon obecnych zbiorów to wielkie archiwum prywatne zgromadzone przez Ludwikę i Jacka Sygnarskich. Z czasem doszły do nich przeróżne archiwa rodzinne, m.in. Estreicherów, Rakowskich, de Diesbach, Mucha, Kembal, Comte i innych, wzbogacając je w znaczący sposób.

Najistotniejszym zadaniem Fundacji jest zebranie oraz skatalogowanie, fachowe przechowanie i udostępnianie zainteresowanym badaczom, wszelkich świadectw bytności Polaków w kraju Helwetów.

Teraz po formalnym powołaniu do życia Archiwum, spełnieniu wymogów prawno-administracyjnych, trzeba jak najszybciej znaleźć siedzibę, lokal, w którym mogłyby pomieścić się wszystkie zbiory. Pozwoli to, oprócz podstawowego i statutowego zadania Fundacji, jakim jest ich gromadzenie i udostępnianie, na prowadzenie działalności popularyzatorskiej, a więc organizację wystaw, spotkań czy odczytów. Zaś póki co, warto wesprzeć tę formę aktywności Polaków w Szwajcarii choćby aprobatą i życzyć Archiwum, aby wytrwale realizowało swe statutowe założenia. To bez wątpienia nowy początek, albo lepiej: nowy przejaw polsko-szwajcarskiej współpracy, służący pielęgnowaniu starej i jakże chlubnej tradycji.

Tymczasowy kontakt z Fundacją „Archiwum Helveto-Polonicum”: Beau-Chemin 27, Ch-1722 Bourguillon.

Jan Wolski (Rzeszów)

RECENZJE — OMÓWIENIA — POLEMIKI

---

**Nowe książki o emigracji**

Wojciech Ligęza, *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*. Kraków: Wyd. Baran i Suszczyński, 1998, 288 s. (rec. Aleksander Fiut).

Marek Pytasz, *Wygnanie — emigracja — diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika*. Katowice: Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, 1998, 171 s. (rec. Edward Balcerzan).

Dwie ważne książki poświęcone problematyce emigracji literackiej ukazały się w ostatnich miesiącach minionego roku i choć różni je przyjęta metodologia, sposób lektury zjawisk, to przecież nietrudno też odsłonić wspólną im podstawę myślową. Obaj badacze zajmują się przede wszystkim poezją emigracyjną i łączy ich wyraźne staranie o maksymalne poszerzenie dotychczasowego pola obserwacji. Nie ograniczają zatem swej lektury do stosunkowo dobrze już znanych dzieł i autorów, ale przeciwnie wydobywają z czytelniczej niepamięci wieledziesiąt książek i pisarzy, o których czytelnik zgoła niewiele bądź nic nie umiałby powiedzieć. Oczywiście są to często autorzy o niewielkim dorobku, poeci *minorum gentium* budujący raczej podglebie literatury niż jej zbiór wysokoartystyczny, ale przecież już sama komentowana rejestracja zjawiska jest ważna z punktu widzenia konieczności porządkowania gospodarstwa współczesnej literatury. Poeci *minorum gentium* przenoszą w swej twórczości najbardziej jaskrawe i charakterystyczne cechy wyróżniające zjawisko emigracji, wiele tu bowiem mówi badaczowi stopień konwencjonalizacji języka, nawykowość wyobraźni, powtarzalność motywów, nastawienie na odbiorcę itp. A właśnie odnalezienie i opisanie możliwych cech autonomizujących obszar literatury emigracyjnej jest założonym celem autorów obu książek. Marek Pytasz szuka tej swoistości na drodze analizy sposobów istnienia dzieła, pisarza, instytucji, śledzi najważniejsze strategie pisarskie, natomiast Wojciech Ligęza poprzez wnikliwą lekturę wieluset tekstów szuka wspólnych różnym autorom zespołów wyobraźniowych. I tak obie te książki są względem siebie w jakiś sposób komplementarne, socjologiczne ramy ujęcia Pytasza można wypełnić egzegezą tekstów proponowaną przez Ligęzę.

Marek Pytasz dysponuje rozległą znajomością poetyckich zjawisk emigracji, meandrów życia literackiego i towarzyskiego (życie towarzyskie na emigracji jest ważnym aspektem życia artystycznego), funkcjonowania instytucji, co wzbudza zrozumiałe czytelniczy respekt i podziw. Jednocześnie każdy sąd badacza, formułowane przezeń tezy mają szerokie podstawy źródłowe, nie wspierają się li tylko na intuicji badawczej (ta jest też niezbędna), ale na rzeczywistej znajomości faktów pieczołowicie gromadzonych w toku wywodu. Jest to pisarstwo, które wzbudza zaufanie swym obiektywizmem i przywiązaniem do faktografii. A pamiętajmy, że faktografia tycząca emigracji jest w kraju nadal jeszcze mało znana i pełna luk, tego rodzaju prace więc mają, poza wszystkim, niebagatelny też walor informacyjny.

Autora interesuje nie tyle sama literatura jako taka, stąd między innymi unika wartościowania zjawisk, ale przede wszystkim, jak pisze, „społeczne konteksty funkcjonowania w diasporze, życie literackie, postawy krytyków i poetów”. Stąd zrozumiałe socjologiczne nachylenie rozprawy i trzeba od razu powiedzieć, że jest ona w tej mierze czymś zupełnie nowym w badaniach nad emigracją literacką; wprowadza perspektywę opisu zjawisk, jakiej żaden z badaczy tego obszaru literatury dotąd nie proponował. Rozdział pierwszy zawiera lapidarny zarys doświadczenia emigracji jako stałego elementu cywilizacji, charakterystykę pojęcia diaspora i wreszcie zasadniczą próbę odpowiedzi na pytanie: kto jest pisarzem emigracyjnym. Rozpoznanie autora są tu nader cenne, bo wychodząc od prostego z pozoru uświadomienia sobie (i czytelnikom) podwójności ról społecznych emigrant-pisarza, w precyzyjny sposób porządkuje także obszar literacki w zależności od tego, która z tych ról uzyskuje pozycję dominującą. We wnioskach formułuje autor słuszny postulat, by używając pojęcia „pisarz emigracyjny” każdorazowo rozstrzygać, czy konkretną wypowiedź sformułował konsekwentny pisarz-emigrant czy równie konsekwentny emigrant-pisarz, ma to bowiem ważkie znaczenie operacyjne dla sposobów analizowania i interpretowania wypowiedzi. To już wyraźny postulat metodologiczny, który może być nader przydatny przy opisie zjawisk literackich. W dalszej części pracy autor rozważa przede wszystkim zagadnienie utylitarne traktowania poezji jako wyrazu aktualności (nacisk autorytetów) oraz podstawy porozumienia środowisk literackich emigracji. Eksponując trzy zasadnicze elementy (wytrwać w kulturze europejskiej, ucieczka przed gettem, związek z krajem pochodzenia) pyta autor, na ile realna była możliwość konsolidacji i wskazuje na różnego rodzaju spory wewnątrzśrodowiskowe dzielące nieuchronnie poszczególne zespoły. W konkluzji autor stwierdza, że z latami „dojrzało polonocentryczne zamknięcie się legitymistycznej części środowiska londyńskiego (nieprzejednani czy niezłomni) i europocentryczne otwarcie się kręgu «Kultury», pewnej części pisarzy z drugiej generacji i członków grupy Kontynenty”. Ta teza jest dość powszechna i przyjmuje różny kształt w opiniach badaczy, sugerując w konsekwencji alternatywę „Wiadomości” — „Kultura”. Przyznam, że opis taki budzi moje wątpliwości. Ugruntował się on mocno w świadomości badaczy za sprawą Janusza Stradeckiego, który przed laty tak właśnie charakteryzował środowisko „Wiadomości” jako li tylko polonocentryczne i niemal gettowe. Ale czy nie jest to zbyt uproszczenie? Opinia ta ustataczeni obraz zjawiska, nie dostrzega, jak krąg „Wiadomości” ewoluował w czasie, bo nie można w ten sam sposób traktować pisma i ludzi z nim związanych za redakcji Mieczysława Grydzewskiego, a później za redakcji Michała Chmielowca i Stefani Kossowskiej. W latach 70. jest to środowisko otwarte zarówno na Europę (ilość tłumaczeń z literatur obcych!), jak i na kraj, w tym i na autorów krajowych. Uważna lektura kolejnych roczników pisma z pewnością by to potwierdziła. To problematyka, która wciąż jeszcze czeka na swego badacza, a przekazane do kraju niemal kompletne archiwum pisma z ogromnym zbiorem korespondencji i dokumentów, tym bardziej może być tu pomocne w podważeniu rozpowszechnionej opinii.

Zasadnicze miejsce w książce Pytasza zajmuje rozdział, w którym autor wprowadza problematykę tzw. ramy wydawniczej (wstępy, przedmowy, posłowania itp.) czyli wypowiedzi bezpośrednio skierowanych do czytelnika. Materiałem źródłowym jest tu prawie 300 (trzysta!) książek poetyckich wydanych na emigracji w latach 1940–1995. Pisze więc o rzeczach, na które zwykły czytelnik na ogół mało zwraca uwagi (np. funkcje subskrypcji), o sposobie organizacji prestiżu autora i wydawcy. Wiele tu ciekawych przykładów, drobiazgowo wnikliwych obserwacji, gdy omawia różne typy wypowiedzi eskortujących dzieło, moduły autoprezentacji i prezentacji. Wszystkie te uwagi, rozpoznania, kwalifikacje i podziały budowane przez Pytasza mają walor uzgodnień teoretycznych wychodzących daleko poza właściwą tematykę książki i choć ją obsługują jako zaplecze teoretyczne, to przecież też mogą funkcjonować samodzielnie jako pewna matryca teoretyczna służąca i innym materiałom źródłowym (nieemigracyjnym), co jest dodatkową zaletą rozprawy. Po raz pierwszy też badacz emigracji zwraca uwagę na rzecz dotąd nie postrzeganą, mianowicie na relacje między środowiskiem emigracyjnym a nowym światem medialnym, gdzie inwazja mediów elektronicznych jawi się jako potencjalne i realne zagrożenie pierwotnej jedności i spójności emigracji. Odsłania to nowe zagadnienia, nowy obszar problemowy, gdzie egzystencja emigranta prezentuje się jednocześnie w mozaikowym *hic et nunc* współczesnych mediów państwa osiedlenia i zarazem linearnym porządku przeszłości własnego rodowodu (zatrzymany w czasie obraz utraconej ojczyzny). To już kolejny fragment książki, który przynosi sporą dozę innowacyjnego podejścia do obszaru literatury emigracyjnej i zawiera zarazem wskaza-



nia inspirujące do dalszych poszukiwań. Natomiast w końcowych partiach swej książki autor, na podstawie wybranych źródeł emigracyjnych i krajowych (do roku 1989), próbuje ustalić ewentualny kanon pisarzy uznanych za istotnych w porządku literatury współczesnej; ostateczna lista obejmuje tu 84 autorów ujętych w 11 grupach. Lektura tej listy jest sama w sobie czymś inspirującym do dalszych rozważań chociażby przez zastanawiającą nieobecność niektórych pisarzy, jak na przykład Michała K. Pawlikowskiego, Adama Tomaszewskiego czy Czesława Straszewicza, o których trudno wszak byłoby powiedzieć, że dzieła ich lokują się na dalekim marginesie współczesnej literatury emigracyjnej.

Książka Wojciecha Ligęzy jest w wypadku jej autora przede wszystkim podsumowaniem wieloletnich studiów nad poezją emigracyjną, próbą zsyntetyzowania dotychczasowych cząstkowych rozpoznań, jakie autor sygnalizował już wcześniej w licznych artykułach i szkicach. Syntezy tej dokonuje poprzez wybór i analityczną interpretację jednego wprawdzie tylko aspektu, ale jego kluczowa rola w modelowaniu wyobraźni poetyckiej i języka artystycznego emigrantów trudna byłaby do przecenienia. Poezja emigracyjna bowiem przez wyrazistość wystawiania pewnej wspólnoty doświadczeń szczególnie chętnie porządkuje indywidualne losy wedle reguł powszechnych obrazów-symboli i mitów, co sprzyja takim lekcjom lektury, w których na plan pierwszy wysuwa się obserwowana powtarzalność i wariantowość motywów, toposów, powracających tematów. Ich ilościowy zasób jest ograniczony i możliwy do skatalogowania, co z kolei każe pytać o mechanizmy i jakości standaryzacji poetyki emigracyjnej. Ograniczony w gruncie rzeczy repertuar zachowań estetycznych odsłania niewalczący moment pisarstwa emigracyjnego, dotąd nie w pełni opisany i problematyzowany. A dodajmy, że i Marek Pytasz podkreśla w swej książce wagę tego zagadnienia, gdyż ujawnia się ono w całej pełni dopiero, gdy badacz dysponuje odpowiednio bogatym ilościowo materiałem źródłowym, a jak już powiedziałem, obaj badacze skompletowali do analizy pokaźny zbiór kilkuset tomów poetyckich. Już przed kilkunastu laty Tymoteusz Karpowicz zaproponował odczytanie bogatego dorobku poetyckiego emigracji przy użyciu kategorii tematycznej *homo viator*, dowodząc jak powszechnie zdominowała ona wyobraźnię poetyckie niezależnie od rodowodu artystycznego poszczególnych twórców, stylistek i preferencji estetycznych. Teraz książka Ligęzy wskazuje, że można dokonać podobnej systematyzacji materiału poetyckiego na podstawie rozpatrującej relacje człowiek — przestrzeń w aspekcie prób ponownego zakorzenienia w miejscu. Właśnie zakłócenie tej podstawowej dla człowieka relacji (nie da się wyabstrahować człowieka z przestrzeni) jest, jak wiadomo, szczególnie dotkliwym doświadczeniem emigranta. Przestrzeń emigrantów, podzielona między ojczyznę i obczyznę, dostarcza szczególnie dużo materiału problemowego zdolnego uchwycić *j e d n o c z e s n o ś ć* rozmaitych sfer ludzkiego doświadczenia, bo uczestniczą w tym jakości psychologiczne, socjologiczne, historyczne, polityczne, geograficzne, kulturowe itd. w złożeniu trudnym do cząstkowania. A ponieważ, jak pisze autor, emigracje XX wieku, to „zjawisko o charakterze zdecydowanie miejskim”, stąd właśnie poetyckie obrazy miast zajmują w relacjach człowieka z przestrzenią miejsce uprzywilejowane.

W. Ligęza, niewątpliwie świadom wspomnianej wyżej jednoczesności odsłaniania się różnych wymiarów emigracji (wygnania), zmuszony jest do znacznej elastyczności metodologicznych nastawień. Odwoływać się musi w toku interpretującej lektury i do różnych wyspecjalizowanych dyscyplin wiedzy (socjologia, psychologia, poleologia, geografia humanistyczna itp.), jak i do zróżnicowanych sposobów eksplikacji tekstów w zależności od narzucających się dominant ich poetyki. Autor zakreślił graniczne ramy obrazów miast szczególnie żywotnych w kulturze, miast-wzorców o biegunowym napięciu emocjonalnym, miast-symboli (Jerozolima i Babilon) ciągle gotowych inspirować poetyckie wyobraźnię, sytuując na tak zarysowanym podłożu bogaty, przez siebie wypreparowany z licznych tekstów, katalog różnych wariantów przedstawień, jak miasta heroiczne, miasta spopielone, miasta napowietrzne, miasta wszeteczne, miasta podwójne, miasta przejezdne, miasta bukoliczne itp. Katalog, w który wpisuje się nie tylko zmienność poetyckiej wizualizacji, stylów retorycznych, ale i złożona problematyka historyczna, egzystencjalna i estetyczna. Czyni zaś to autor, podobnie jak i Marek Pytasz, na bardzo obfitym materiale literackim, bo uwzględniającym niemal 100 poetów! Z perspektywy zasadniczych celów, jakie sobie postawił autor książki, owo wydatne poszerzenie katalogu nazwisk także o poetów *minorum gentium* pozwala uwypuklić szczególność sytuacji poety emigracyjnego w systemie kultury, dostrzec ponadartystyczną ciągłość zachowań, niezależną od skali indywidualnego talentu. Poeta emigracyjny bowiem znajduje się w polu przeciwstawnych napięć, gdzie troska o zachowanie i zabezpieczenie

komunikacji wewnątrz środowiska emigracyjnego uniemożliwia często innowacyjność zachowań poetyckich, jaka niezbędna jest przy próbach zrozumienia nowej przestrzeni. Stąd wzmożona wyrażnie presja stereotypów poezji nostalgicznej, wzorów mowy literackiej już sprawdzonych w kulturze (np. wzorzec romantyczny), co tłumaczy żywotność różnego rodzaju klisz, stylów retorycznych, przewagę ogólnikowości w wizualizacji miast, a czego konsekwencją jest duża przewidywalność możliwych zachowań artystycznych. Otwiera to intrygujące pole do rozważań nad zmiennością i stałością czynników sterujących wyobraźnią poetycką.

Rzecz jasna w książce swej W. Ligęza nie mógł zbyt szczegółowo eksplikować nasuwających się różnych problemów wpisanych w systematykę modeli emigracyjnej wyobraźni. Dla czytelnika nieźle już wprowadzonego w tajniki poezji emigracyjnej książka ta, to znakomicie przeprowadzony syntetyczny wykład projektów badawczych możliwych do rozwinięcia, a przez autora z konieczności ujawnianych tylko w lapidarnym zarysie, problemowym zawiązku. Byłoby na przykład rzeczą interesującą przyjrzenie się też artystycznym i świadomościowym konsekwencjom wynikłym ze zmiany sytuacji emigrantów po 1989 roku. W jaki sposób fizyczne powroty emigrantów do miast młodości wpłynęły na przemiany wizualizacji zmitologizowanych już zasobów pamięci. Przykłady choćby Miłosza czy Iwaniuka byłyby tu chyba pouczające; przestrzenie (miasta) na powrót odzyskane (czy rzeczywiście odzyskane?) — to intrygująca perspektywa badawcza. Rzeczą równie poznawczo płodną byłoby także postawienie pytania o źródła, kształt, sensory wynikające z ostentacyjnej niekiedy nieobecności wizualizacji miast nowej przestrzeni. Przypadek poezji Tadeusza Sułkowskiego byłby tu szczególnie interesujący, gdyż jest to poeta, który jakby z założenia uchyla w swej twórczości obecność obrazów Londynu (pojawiają się one szczątkowo), jak i tego, co do tej nowej przestrzeni poetę doprowadziło, by wskazać choćby na tematyczną nieobecność kategorii emigracji i doświadczenia wojennego. Ta ostentacja wyboru jest też znacząca i warta zastanowienia. Przykładów podobnych odnajdziemy zresztą więcej, zwłaszcza zaś u poetów niższego lotu.

Obie książki, co jest ich niewątpliwym walorem, nie tylko sumiennie opisują i analizują stan zastany poezji polskiej na emigracji, ale i projektują całą serię nowych pomysłów badawczych, których rozwinięcie może ułatwić istotnie rzetelne uporządkowanie ciągle jeszcze mało znanego obszaru współczesnej literatury.

Janusz Kryszak

### **„Kontynenty” — próba całościowego spojrzenia?**

*Poetycki krąg Kontynentów. Artykuły i szkice.* Pod red. Zbigniewa Andresa i Jana Wolskiego. Rzeszów: Wyd. WSP, 1997, 274 s. (opiniował Bolesław Faron).

O Kontynentach jako emigracyjnej grupie (generacji) literackiej napisano już sporo. Dwie antologie (obie z 1956 roku, emigracyjna — Adama Czerniawskiego i krajowa — Andrzeja Lama) utwierdziły kanon tej formacji, natomiast ich redaktorzy wyselekcjonowali z grona większego (około trzydziestoosobowego) grupę liderów (niespełna piętnastoosobową). Po — z okładem — czterech dziesiątkach lat należałoby dokonać dalej idących rozstrzygnięć i inaczej rozłożyć akcenty niż to czynili na początku uczestnicy pokoleniowych gier, lecz nawet pozostanie przy starych schematach opisu nie jest jakimś rażącym anachronizmem krytycznym. Można zatem powiedzieć, że Kontynenty względnie dobrze funkcjonują w krajowej świadomości polonistycznej.

Dobrze — nie znaczy: wystarczająco dobrze. Nie podjęto kompleksowych badań nad stosunkiem Kontynentów do emigracyjnej doktryny polrealistycznej; nie pokuszono się o nakreślenie ewidentnych związków z rówieśniczym w kraju „pokoleniem 56”; nie przeprowadzono elementarnej typologii poezji „młodych londyńczyków”, zadowolając się najprostszymi (pierwszymi, recenzenckimi) formułami interpretacyjnymi. Wykaz „tematów odsuniętych” jest znacznie dłuższy: brak monografii pisma (od „Życia Akademickiego” — przez „Merkurysza Polskiego” — do „Konty-

mentów–Nowego Merkuriusza” i „Kontynentów”), brak monografii ważniejszych autorów pokoleńniowych (za wyjątkiem Adama Czerniawskiego), brak określenia wpływu grupy na kształt liryki emigracyjnej od lat pięćdziesiątych poczynając, itd. Kontynenty i grupa jej autorów znani są głównie w definicyjnej wersji syntetycznych opracowań i podręczników, choć trzeba przyznać i to, że są to wersje niejednokrotnie pełne błędów faktograficznych i uproszczeń natury interpretacyjnej. Wydaje się zresztą, obserwując ostatnie syntezę półwiecza polskiej poezji, że w nowszych podręcznikach braknie za jakiś czas i tego.

*Poetycki krąg Kontynentów* — książka, jaką napisali rzeszowscy poloniści — wydaje się być tym samym na czasie. Jest próbą przypomnienia zjawiska jeszcze przed kilkunastoma laty głośnego, dzisiaj natomiast nieuchronnie pokrywającego się bibliotecznym kurzem. I chociaż poeci z Kontynentów wciąż piszą, wydają kolejne książki, co więcej: stanowią już grono emigracyjnych nestorów, mało który z polonistów chce powracać do tej grupy. Co jest przyczyną tego stanu — trudno wyrokować. Najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie jest takie, że skończyła się już moda na literaturę emigracyjną, zmieniły sposoby historycznoliterackich badań, uległa wypaleniu fascynacja odkrywania nie znanych dotąd narodowej świadomości kręgów literackich.

W stosunku do „poetów londyńskich” przyczyny są jednak bardziej skomplikowane i mówić o nich w tym miejscu — znaczyłoby powiedzieć po raz kolejny zestaw narzekań i pouczeń (zdaje się, że i to staje się dzisiaj swoistą manierą krytycznoliteracką i badawczą). Powiedzmy więc tylko o jeszcze jednej rzeczy: otóż poeci z Kontynentów nigdy nie stanowili ośrodka jakiegoś szczególnie zainteresowania krytyków krajowych. Podczas gdy o „pokoleniu 56” pisano (co z perspektywy krajowej jest zrozumiałe) względnie często, ono samo natomiast weszło osobnymi rozdziałami do podręczników literatury ostatniego półwiecza, o rówieśnikach na emigracji wypowiadano się zdawkowo lub (tak częściej) nie wypowiadano się w ogóle. Oczekiwać zatem, że sytuacja zmieni się dzisiaj radykalnie — znaczy ulegać fantazjom nazbyt ekstrawaganckim. Zbyt wiele jest tutaj zapóźnień (choćby materiałowych, takich jak dostępność pojedynczych książek), aby płonna wiara mogła zmienić się w oświetlający stos.

Książka rzeszowska ma prawdopodobnie ambicje syntetyczne, syntezą jednakże nie jest. To zestawienie — mniej lub bardziej dogłębnych — szkiców o niektórych członkach ruchu, dobranych starannie, lecz niekoniecznie z ustaloną na emigracji hierarchią wewnątrzgrupową. Nie czynię z tego zarzutu redaktorom pracy zbiorowej, choć arbitralność wyboru bywa tutaj niepokojąca. Żeby jednak powiedzieć i rzecz zamknąć: skoro znalazł się w *Poetyckim kręgu Kontynentów* artykuł o kilku (dosłownie!) wierszach Marii Badowicz, poetki ostatecznie (wbrew temu, co twierdził Jerzy Niemojowski) przeciętej, to dlaczego nie starczyło w książce miejsca na szkice o Mieczysławie Paszkiewicz czy Wojciechu Gniatczyńskim — autorach ważnych i dla Kontynentów, i dla emigracji. Nie mówię tu już o Ludwiku Florianie Buyno, bez którego początku grupy (bunt przeciwko polrealizmowi i w ogóle „starej” emigracji) są zupełnie nie do pomyślenia. Nie mówię też o arcyważnej publicystyce takich choćby autorów, jak: Jan M. Ciechanowski, Andrzej Malkiewicz czy Bolesław Sulik. Rzecz zamknięta.

Książkę rozpoczyna Zbigniew Andres syntetyczną próbą opisu grupy. Powiedzmy od razu: próbą bardzo dobrą, rzetelną, drobiazgową i faktograficznie udokumentowaną. Jest to jeden z niewielu w krajowym piśmiennictwie rys tego rodzaju, w którym biografia zespołowa Kontynentów ukazana została równocześnie w perspektywie tworzenia się ugrupowania i czasopisma literackiego. Szkoda, że opisując meandry sytuowania się merkuriuszowców w przestrzeni emigracyjnej — autor nie dotarł do dwóch artykułów analizujących to samo zjawisko w dwóch różnych płaszczyznach: publicystycznej (Pawła Kądzieli) i poetyckiej (mojego), bo mógłby swoje rozważania ewentualnie rozszerzyć lub polemicznie wyostrzyć. Jakkolwiek jest — Zbigniew Andres (a znam również jego interesujący tekst o reakcji poetów londyńskich na wydarzenia październikowe w Polsce) przedstawił w sposób gruntowny wizerunek niepokornej garstki młodych intelektualistów polskich, którzy dramatycznie próbowali znaleźć swoje miejsce w przestrzeni emigracyjnej. I to zarówno respektującej wartości londyńskie (te ich dusiły), jak też paryskie (te ich kusily).

Niestety nie można tego samego powiedzieć o kilku szkicach innych, poświęconych już konkretnym autorom. Najlepszy jest artykuł Magdaleny Rabizo-Birek o krytyce Adama Czerniawskiego, najgorszy — Anny Wal o skromniutkim dorobku Marii Badowiczówny; wszystkie inne teksty mieszczą się w tym przedziale — raz są rzeczowe i interpretacyjnie ciekawe, innym razem — pobieżne i niewiele wnoszące do istniejącego już stanu badań. Przymiotniki są tutaj zresztą zawod-

ne, bo bywa tak, że niezłe zaczynający się szkic Stanisława Dłuskiego o Bogdanie Czaykowskim nagle zaczyna się tracić w jakich dziwnych koleinach analiz i w końcu grzęźnie w błocie nie do końca jasnych koincydencji literackich i zupełnie absurdalnych definicji filozoficznych (w efekcie otrzymaliśmy szkic mierny). Ale bywa i tak, że niepotrzebnie brnący z początku w ustalenia socjologiczne szkic Janusza Pasterskiego o Andrzeju Buszy rozbłyśka nagle trafnością interpretacyjnych konstatacji i przenikliwością myśli (w końcu szkic okazał się bardzo ważny). Takich przypadków w tej książce jest kilka, wskazałem na skrajne.

Najciekawsze dla mnie okazały się w *Poetyckim kręgu Kontynentów* teksty poświęcone Adamowi Czerniawskiemu. Temu autorowi poświęciłem przed paru laty *quasi-monografię* (*U podstaw twórczości Adama Czerniawskiego*, 1991), trzy szkice o nim pomieściłem też w swoim zbiorze *Od Różewicza* (1999). W książce rzeszowskiej dorobek autora *Topografii wnętrza* opisują Mariusz Kalandyk, Kazimierz Maciąg i Magdalena Rabizo-Birek. Opisują — z mojego punktu widzenia — trafnie i w wielu miejscach przenikliwie. Dotyczy to zarówno estetycznych kontekstów tej twórczości, jak również jej aksjologicznych uwarunkowań i poznawczych ambicji. Czerniawski — bez wątplenia jeden z najważniejszych autorów w kręgu Kontynentów — zyskał w portretach rzeszowskich badaczy jeden bardzo szczególny rys (dotąd tak radykalnie tego raczej nie artykułowano): „metodologa” literatury lub „poetologa”. Choć ta myśl przewijała się w pracach wcześniejszych, tutaj została wyostrzona i przekonująco uargumentowana. Znakomicie to widać w wieloaspektowym studium Rabizo-Birek o krytyce autora *Liryki i druku*, bez wątplenia najlepszym ze wszystkich dotychczasowych prac krajowych i emigracyjnych.

Wydaje się, że podobny „wątek poetologiczny” daje się odnaleźć w twórczości Bolesława Taborskiego, niestety, Dorota Kawalec (pisząc o poezji autora *Czasów mijania*) i Anna Jamrozek-Sowa (pisząca o jego krytyce teatralnej) za wszelką cenę starają się pozbawić twórcę jakiegoś szerszego namysłu nad sztuką. Tymczasem, podkreślić to trzeba stanowczo, Taborski jest niezwykle świadomy reguł rządzących sztuką. Podobnie jak Czerniawski ciągle obraca się w kręgu korespondujących ze sobą sztuk. Poezja i teatr są dwoma odbiciami tej samej ekspresji słowa, u Taborskiego zresztą tak nierozdzielnymi, że można zasadnie postawić tezę o ich wzajemnej koegzystencji.

Niepełne dostrzeganie tego zjawiska prowadzi do uszczupień interpretacyjnych, a niejednokrotnie do błędnych wniosków i sprzecznych — jak w tym zdaniu Doroty Kawalec — stanowisk: „jego wiersze nie realizują konsekwentnie jakiegoś zamysłu egzystencjalno-filozoficznego, ale są odbiciem chwilowych nastrojów poety, wyrazem nieustannych poszukiwań”. To zdanie nie tyle wprowadza w błąd (wiersze mogą być przecież nastrojowe i filozoficzne i poszukujące; są to jednak każdorazowo inne wiersze), ale także uzurpuje sobie prawo do wydawania opinii, czym ma być poezja (a przecież poezja może być tym, czym chce być). Tego błędu nie popełniają Zbigniew Andres, piszący o Florianie Śmieci i Jan Wolski, dokonujący elementarnych rozróżnień w obrębie poezji Zygmunta Ławrynowicza. Szkice te traktują o zbliżonych sprawach, ale też obaj autorzy (rocznik 1925) wikłali się w podobne problemy egzystencjalne i polityczne na emigracji, obaj też penetrowali często ten sam — wspólny zresztą dla wielu poetów londyńskich — wątek „kraju lat dziecińczych” i nieprzystosowania do życia w warunkach emigracyjnych.

W *Poetyckim kręgu Kontynentów* znalazły się również — socjologiczny artykuł o drodze Jerzego S. Sity z „Merkuriuma Polskiego” do „Współczesności” (Gustawa Ostasza), studium wyobraźni poetyckiej Jana Darowskiego (Stanisława Ożoga; opis lepszy od poezji) i przegląd tematów liryki Janusza A. Ichnatowicza (Zenona Ożoga). Dopełniają one ogólny portret „poetów londyńskich”, wciąż niedokładnie — lub zgoła śladowo — istniejących w pamięci czytelnika krajowego.

Reasumując: książka autorów rzeszowskich w wielu momentach przynosi zajmujące szkice o „poetyckim kręgu Kontynentów”. Nie przynosi syntezy, lecz rozproszone spojrzenie na fenomen jedyne, zorganizowanego w warunkach emigracji, ugrupowania literackiego. Od czegoś jednak trzeba było zacząć. Można mieć nadzieję, że to dopiero początek drogi badawczej, w żadnym zaś wypadku — jej zakończenie. Tym bardziej, że przed interpretatorami tej formacji jest jeszcze wiele gór do pokonania i rzek do przepłynięcia.

Marian Kisiel

## Pożegnanie z emigracją?

Jerzy Jarzębski, *Pożegnanie z emigracją — o powojennej prozie polskiej*. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1998, s. 257. (brak recenzentów).

Książka Jerzego Jarzębskiego *Pożegnanie z emigracją* jest zbiorem szkiców, które pojedynczo, na przestrzeni lat 1988–1998, ukazały się w czasopiśmie i książkach zbiorowych. Tytuł publikacji wprowadza jednak w błąd. O ile prezentacja niektórych ze współczesnych zjawisk politycznych i socjologicznych zbiegać się może w konstatację o zanikaniu warunków motywujących istnienie „klasycznie” rozumianej literackiej emigracji, to przedstawione w książce Jarzębskiego szkice nie skupiają się w wątek wyraźnie wiodący do tego wniosku. Fakt podziału na literaturę krajową i emigracyjną nie z a w s z e stanowił najważniejszą rację istnienia, rodzaju i treści pisarstwa po każdej z tych stron, choć przyczyny tego podziału były dlań znaczące. Jerzy Jarzębski rozpatrując niektóre zjawiska i wątki literackie, chociaż od tych przyczyn z pewnością zależne (np. potencjalność profetyzmu *Małej Apokalipsy* w rozdziale „Konwinki: profecja i Apokalipsa”), po pełnia nadużycie wciągając je pod szyld użytego tytułu. Tak dzieje się, kiedy analizuje formy i sposoby w jakie transformuje się Bóg dla autorów takich jak Schulz, Gombrowicz i Lem (szkic *Bóg ateistów: Schulz, Gombrowicz, Lem* — skądinąd niejednokrotnie wcześniej publikowany choć nota biograficzna nie odnotowuje tego faktu...) albo, kiedy w części zatytułowanej „Krajobrazy przed zagładą” rozważa mechaniki utrwalania w pamięci znaczących osób, rzeczy, miejsc, czy charakteru nieobojętnych przestrzeni, które zmuszone są do gwałtownego odsunięcia w przeszłość. Podobnie poza kompetencje „emigracyjności” i intrygującego, aczkolwiek bez pokrycia, tytułu wykracza treść rozdziału „Socrealizm jako karykatura modernistycznych przełomów”. Nie mniej stanowi on szczególnie interesujące studium socrealizmu, dokonujące rozbioru tego zjawiska nie z perspektywy modnego, napastliwie potępiającego czy prześmiewczego politycznego koniunkturalizmu. Jarzębski dowodzi, iż socrealizm pozwala się odczytywać za pomocą tych samych narzędzi, jakie stosuje się do badania fenomenów literackich, uświadamia jego wewnętrzne skłócenie: deklarowaną awangardowość i jednoczesną wsteczność artystycznego kształtu, programową odwagę jako fasadę lęków i fobii rozbudzonych przez modernizm. Pierwodruk tego szkicu datuje się na rok 1996 i bodajże symptomatyczny jest jego charakter — daleki od wczesnych, możliwych wreszcie na ten temat, oficjalnych, gorączkowych wywodów, „dopalających” zjawiska z kręgu socrealizmu przede wszystkim jako przedmiotu łatwych kąśliwości i drwiących potępień.

Zaletą zbiorowej prezentacji artykułów, w typie książki Jerzego Jarzębskiego, które wcześniej oddzielnie drukowano jest to, iż stwarza ona dosyć szeroką, niejednolitą perspektywę dla oceny zjawiska. Tym cenniejszy jest fakt, iż perspektywa ta niejako stopniuje się, dzięki powtórnej publikacji jej „przybywa”: prawdy formułowane na etapie pierwodruku szkiców wzbogaciły się o stwierdzenia, które mógł wywołać tylko dopływ czasu, a w nim dalszy rozwój problemów. Ten „zysk” w dziedzinie perspektywy uwyrażnia artykuł publikowany w 1988 roku — a więc w czasie obowiązywania cenzuralnych ograniczeń, w „Odrze”. W książce pomieszczony został jako rozdział pt. „Rok 1988 — Eksplozja systemu”. Podsumowuje on stan literatury „kryzysowej” i status literackich instytucji: „Literatura powojenna przedstawiała się kulturalnemu odbiorcy jako coś nie najgorzej uporządkowanego, podzielonego na pokolenia, grupy poetyckie, «nurty»; szarże były rozdane, autorytety okupowały swoje — rzadko kwestionowane — pozycje, a szturmujący te szczyty młodzi pisarze wiedzieli przynajmniej, co szturmują. (...) istniały jeszcze w miarę wyraźne hierarchie, a po tych twórcach, którzy wybrali drugi obieg wydawniczy, pozostawały w życiu oficjalnym wyraziste puste miejsca”. (s. 8) W przyszłość zaś rzutuje prognozy i wysuwa pytania, których sprawdzalność i sens można już, po dziesięciu latach ocenić: „Kryzys poszczególnych autorytetów staje się kryzysem autorytetu — samej literatury. Odbiorcy przestają wierzyć proponowanym przez krytykę hierarchiom; zbyt są one z sobą wzajem sprzeczne, zbyt podejrzane o polityczne podteksty i manipulacje. Wzrasta w tych warunkach pozycja «starych mistrzów» — bo

ich wielkość pochodzi z lepszych czasów, została zweryfikowana przez lata i kolejne pokolenia, ale niezwykle trudno zaistnieć na społecznym forum literatom młodym. Na to nakłada się kariera innych mediów artystycznego przekazu, które literaturę spychają coraz bardziej na margines powszechnego zainteresowania.” (s. 20–21)

Nie wzbrania się Jarzębski poświęcić swojej uwagi kwestiom o znaczeniu nie tak globalnym, ale nie mniejszym. Z dużą dozą wdzięku maluje portret Konstantego Jeleńskiego („Urok Jeleńskiego”), nie wahając się, w posługiwaniu materia tak delikatną i niepochwytną, jak przeczucia na temat cudzej osobowości, odstąpić od formułowania konkretnego i precyzyjnego. Wkracza wtedy w specyficzny, niejednoznaczny, tym samym wiarygodny biografizm, który nim w odbiorze nie jest. Sylwetka Jeleńskiego wręcz się unosi, żegluje, rozsnuwa w powietrzu, gdzieś w przestrzeni poświęconego mu rozdziału. Wywołane przez Jarzębskiego wrażenie subtelności materializuje się w zamierzony przez niego cel: czytelnik przejął „tajny ładunek korsarskiego okrętu”, portret Jeleńskiego został tak sugestywnie namalowany, iż nie pozwoli się zapomnieć. Podobnie utrwała się w pamięci zaskakująca symetria w jakiej stawia autor Gombrowicza i Wittlina („Gombrowicz i Wittlin — dwaj spiskowcy”). Walczący o autentyczność i suwerenność jednostki (pierwszy) i niezgodny z istnieniem „statystycznego” człowieka (drugi) spotkali się we wspólnym pragnieniu wyrwania się dyktaturze grupy, idei zbiorowych. Emigracja zaś jako figura wyobcowana była jak gdyby *a priori* wpisana w ich los.

W świetle krytyki Jerzego Jarzębskiego interesująca wydaje się monografia Tomasa Venclovy scalająca literackie dokonania Aleksandra Wata (w rozdziale „Twarz poety”). Szczególnie waloryzowana jest klamrowość i spójność tego tekstu, niepowierzchnowa analiza epizodu z lat trzydziestych, kiedy w okresie pozornej pustki dokonywał się konstruktywny proces przemiany pisarza.

Odkrywcze poniekąd, choć w zasadzie oczywiste, jest przesłanie i jednocześnie tytuł jednego z ostatnich rozdziałów książki Jarzębskiego (szkic z roku 1991 — „Pisarze, dzielcie się!”). Wyostrzony delikatną ironią artykuł prezentuje sytuację z siedemnastego marca 1991 roku, kiedy w Warszawie, ogromnie fetowane, odbyło się Spotkanie Polskich Pisarzy z Kraju i Obczyzny. Wobec ówczesnej banalnej wzajemnej nieznajomości mniej „kanonicznych” nazwisk i środowisk, w jakich żyli ludzie je noszący, euforia „po raz pierwszy” i „bez precedensu” zyskała, znany skądinąd, wymiar absurdu, materializujący się w hasłach o jedności, nierozzerwalności, łączeniu, itp. literatur. Jednak niebezpieczeństwo „sumowania” literatur, czy też literackich świadomości, wobec postępującego przełamywania przeszkód w fizycznym komunikowaniu się, zostało uświadomione: „Tadeusz Nowakowski, najbarwniejsza postać warszawskiej imprezy, kpiarz z językiem ostrym jak brzytwa, (...) nie spieszyły się z wyciąganiem ręki. (...) — Pisarze, dzielcie się! Bądźcie różni! — wykrzyknął, odwracając symetrycznie hasło pozostałych przemówień. Dzielcie się, bo — to ciekawsze, bardziej płodne, bliższe rzeczywistości niż podejrzane ciepłotki bijące od tych zbyt rozdętych wspólnot, w których nic poza ogólnikowym «kochajmy się!» nie wiąże już uczestników”. (s. 231–232) Wydaje się jednak, iż nierealność tego niebezpieczeństwa zagwarantowana jest tak długo, jak istnieć mogła będzie „emigracja” inna, ze sfery ducha.

Książka Jarzębskiego (w podtytule: „O powojennej prozie polskiej”) ma ambicje syntetyzującej prezentacji: „Próbuję w niej opisać wybrane zjawiska i procesy nadające owej literaturze swoistość i czyniące z niej fenomen charakterystyczny dla swego miejsca i czasu”. (s. 6) Jednak struktura publikacji — zestawienie rozdziałów, pierwotnie pomyślanych i wydanych jako oddzielne artykuły, a więc jak najbardziej autonomiczne jakości — musi niweczyć zamysł przedstawienia ciągłego, konsekwentnego, sprzyjającego wytworzeniu u czytelnika rozległej i ogarniającej wizji współczesnej literatury. Przemieszczanie się pomiędzy kolejnymi szkicami Jarzębskiego przebiega karkołomnie: od szerokiej prezentacji do analizy pojedynczego wątku, od ujęcia ogólnego do interpretacji wąskiego zagadnienia. Niełatwo zanurzyć się w tym tekście. Stawia on opór swobodnej i płynnej jego lekturze, nie tylko przez wypomnianą „skokowość”. Przyczyna nie tkwi jedynie w różnicowaniu zagadnień prezentowanych w kolejnych rozdziałach i niejednolitej rozpiętości branych pod uwagę kwestii, ale, w zapewne niezamierzonej, aczkolwiek skutecznej, ...hermetyczności. Jarzębski broni dostępu do swoich, tak interesujących przecież, tekstów. Do użytku mniej obeznanego czytelnika pozostawia czasem tylko wąskie wejście niuanse, powściągliwe wprowadzenie, oszczędza charakterystykę, albo słowo-klucz. Zarzut taki sprowadzić może na jego autora posądzenie o chęć rozgrzeszenia niedostateczności odczytania i marnego zorientowania w przeszłej i bieżącej hierarchii i aksjologii „ogólnoliterackiej”, podczas gdy autor *Pożegnania*

z *emigracją* wymaga być może jedynie skoncentrowanej pracy pamięci. Jednak sam Jarzębski w pierwszym z pomieszczonych w książce szkiców („Rok 1988 — Eksplozja systemu”) dowodzi niemożliwości przeprowadzenia niektórych polemik: „...dyskutanci nie mogą się czasem porozumieć, bo c o i n n e g o c z y t a j ą, brak czegoś w rodzaju obowiązkowego «kanonu lektur» z dziedziny literatury najnowszej. Dlatego Błońskiemu, nie wykazującemu wszechstronnej erudycji w dziedzinie prozy z kręgu tzw. «rewolucji artystycznej», Maciej Chrzanowski zarzuca, iż «nic nie czyta». Zarzut ten w rzeczywistości świadczy o tym, że Chrzanowski nie czyta Błońskiego — i książek, które Błoński czyta”. (s. 20) Tak więc adwersarze (również czytelnicy) mogą znaleźć się w sytuacji, gdy każdy z nich czyta coś innego, albo c o i n n e g o w y s t a r c z a j ą c o w n i k l i w i e, aby, przy używaniu zaledwie sygnałów, pożyteczną rozmowę przeprowadzić (lub skutecznie percepuować). Niewiele trzeba jednak, aby udrażniając ten kanał komunikacyjny zyskać na opłacalnej dostępności.

Barbara Czarnecka

### Korespondencja Giedroyc — Stempowski

Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*. Cz. 1–2. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk. Warszawa: Czytelnik, 1998, 466, [3] + 502, [3] s. — Archiwum „Kultury” T. 5 (brak recenzentów).

Na dwa lata przed zgonem, „czując się bliski śmierci”, Jerzy Stempowski postanowił uporządkować domowe archiwum. Mimo że nie było ono obszerne, zajęło wszystkiego „45 kartonowych pudełek foliowego formatu”, nie dało się porządkować bez wzbudzenia wątpliwości i rozterek właściciela. Pojawiła się konieczność obrania jakichś kryteriów wyboru, wedle których można by zdecydować, jakie materiały ocalić, które zaś uznać za bezwartościowe dla potomności i wyeliminować. Cóż, na przykład, począć z listami od osób nie zapisanych trwale ani w historii, ani w pamięci zbiorowej, od ludzi, którzy dla przyszłych pokoleń będą jednostkami nic nie znaczącymi, doskonale anonimowymi i na pewno nie będą budzić zainteresowania swoim minionym istnieniem? — Pytanie tym bardziej dręczące, gdy listy takich „anonimów” nie są ciekawe, niczego z punktu widzenia zbiorowości ważnego nie dokumentują, wyczerpują się w tym, co prywatne i jednostkowe. Takim właśnie nadawcą listów do Hostowca (około stu) była Sigrid Fink, żydowska dziewczyna, siedemnasto, a może dziewiętnastoletnia. Przywieziona w wojennym czasie do Szwajcarii przez pewną szwedzką damę, „bardzo uroczą, ale mało odpowiedzialną”, została pozostawiona samej sobie bez pomocy i oparcia. Chora na gruźlicę, samotnie walcząca ze śmiercią i pozbawiona środków do życia, została wsparta przez Jerzego Stempowskiego, który (nie bez kłopotów) wyjednał dla niej jakiś niewielki zasiłek. Po latach, gdy Sigrid Fink od dawna już nie żyła, Stempowski uznał, że listy od niej nie są wartościowym materiałem archiwalnym. Nie zdecydował się jednak na ich zniszczenie. 10 grudnia 1967 roku pisał do Jerzego Giedroycia: „W swej samotnej walce ze śmiercią młoda dziewczyna uważała mnie za rodzaj deski ratunku, a obawiając się, żebym o niej nie zapomniał, pisała mi wciąż listy. Listy te nie są ciekawe, przyszło mi jednak na myśl, że są jedynym świadectwem jej egzystencji. Nikt nie wie, jak się naprawdę nazywała, nie zostało po niej nawet grobu. Jeżeli znikną jej listy, nie pozostanie po niej żadnego wspomnienia. Zatrzymałem więc połowę listów tego cienia.”

— Czytelnik tego fragmentu, zwłaszcza młody, który rzadko chwyta za pióro w celach korespondencyjnych, obficie korzystając z telefonu i internetu, zaduma się być może nad wyrażonym przez Jerzego Stempowskiego przekonaniem o trwałości czernionego papieru. Listy owego „cienia” mają być przecież, zdaniem Hostowca, trwałym świadectwem potwierdzającym, że ich nadawczyni była wśród żywych, myślała, czuła, istniała... Adresat czuje się zobowiązany do zachowania tego świadectwa, tak jak kulturalne społeczeństwa poczuwają się do obowiązku opieki nad zabytkami. Listów zniszczyć nie wolno, bo za nimi stoi człowiek, który innych śladów swej egzystencji nie

pozostawił. Jest w tym przekonaniu wiara w trwałość zapisanego papieru i szacunek dla słowa pisanego, jaki cechował dziewiętnastowieczną formację humanistyczną, wydawałoby się — bezpowrotnie minioną. Przecież jednak Stempowski wypowiada swój sąd w pełni dwudziestego wieku, nadto — licząc na zrozumienie motywacji swych działań przez Jerzego Giedroycia, adresata wyznania!

Zapewne wspólne obu korespondentom przekonanie o powadze słowa pisanego sprawia, że czytelnik wydanego przez Andrzeja Stanisława Kowalczyka wyboru listów Jerzego Giedroycia i Jerzego Stempowskiego ma wrażenie, że jest mu dane obcować z jednym z ważniejszych dwudziestowiecznych polskich archiwalnych korpusów korespondencji, może jednym z ostatnich tak ważnych? Czytelniczy respekt budzi też świadomość, że oto zaglądamy w listowną (więc w jakiejś mierze prywatną) wymianę myśli prawdziwych tuzów Drugiej Emigracji — szefa Instytutu Literackiego, redaktora paryskiej „Kultury” i klasyka polskiej eseistyki. Toteż omówienie tego zbioru wydaje się zadaniem zbyt trudnym, z góry skazanym na powierzchowność i nieudolną przyczynkowość. Wszak każda para listów przynosi materiał istotny, ważny i, zdaje się, najlepszym ich omówieniem byłaby ponowna reprodukcja całej korespondencji, właśnie wolna od omówień i komentarzy... Cóż jednak począć, gdy doniosły fakt wydawniczy zaistniał i nie sposób go przemilczeć lub kwitować zdawkowo? — Pozostaje wybrać niektóre zagadnienia czy tematyczne bloki, które kilkadziesiąt lat temu zaprzętały uwagę korespondentów, wspomnieć o nich, z konieczności przemilczając inne, zdając sobie sprawę z subiektywizmu dokonanego wyboru.

Niewątpliwie najważniejszym obszarem zagadnień skupiającym ciekawość obu uczestników tej listownej wymiany myśli jest tematyka krajowa. W liście z 23 czerwca 1955 roku Stempowski pisał m.in.: „[...] uświadomiłem sobie dziwny stosunek, w jakim wiadomości z kraju są podzielone wśród emigrantów. Czytając np. «Wiadomości», odnosi się wrażenie, że autorów i czytelników łączy pewien negatywny stosunek do całego *pays réel*, tj. do wszystkiego, co w kraju się dzieje z inicjatywy czy bez inicjatywy mieszkańców, i do tego, czym się kraj po 15 latach stał. [...] Kraj jest tam rozumiany zawsze w sensie przedwojennym, jest tym, czym niegdyś był i czym jest tylko w naszej pamięci. [...] Wiadomości i kontakt z krajem rzeczywistym stały się przywilejem osób, które w ten lub inny sposób z tego żyją. [...] Poza nami dwoma nie widzę wśród znajomych nikogo mającego jakieś bezinteresowne i nieużytkowe kontakty z krajem realnym. Być może są i inni, ale muszą być tak samo izolowani w masie emigrantów jak my.” — Jak każde uogólnienie, jest to, rzecz jasna, ocena nie we wszystkim sprawiedliwa. Wszak w kręgu „Wiadomości” prócz „wspominkarzy” zmieścili się także przenikliwi analitycy rzeczywistości krajowej, np. Adam Pragier, a także pisarze szczególnie (wg innych — skrajnie) uwarżliwieni na znaczenie przemian świadomości społeczeństwa poddanego komunistycznej władzy, jak Józef Mackiewicz czy Barbara Toporska. Niezależnie od tego, co w wypowiedzi Hostowca zaliczyć można do kosztów uogólnienia, a co wzbudza odruch sprzeciwu, wypada podkreślić znaczenie dokonanego tutaj podziału stosunku do kraju na bezinteresowny i interesowny, „użytkowy”. Ciekawością „użytkową” nowinek krajowych pałać mają ludzie zaangażowani (*engagés*). Stempowski celowo wprowadza określenie o przewrotnej dwoistości znaczenia. *Engagés* można przecie odczytać „zaangażowani w walkę”, ale też „zaangażowani przez kogoś”. To drugie znaczenie zdaje się ważniejszym, gdy nadawca listu powiada: „*Engagés*, mający swą organizację i szefów [...] zazdroszczą jednak tajnie wolnym, niosącym swój sceptycyzm i odkładającym decyzje”. Dlatego, z powodu tej zazdrości, „zaangażowani”, stanowiąc większość, izolują tych, których zainteresowanie dla spraw kraju nie jest użytkowe. Inaczej mówiąc — izolują ludzi wolnych, niezależnych. Jaskrawym przykładem „zaangażowanego” stosunku do kraju jest dla Stempowskiego działanie pracowników i współpracowników RWE.

Zainteresowanie dla spraw „kraju realnego”, połączone z pogardą dla postawy zaangażowania ma być tutaj fundamentem więzi epistolarniej, o czym pisze edytor w eseju wstępnym (s. 9). Lektura korespondencji każe jednak spojrzeć na rzecz inaczej. Zalecany dystans jest postulatem Stempowskiego, nie zaś uzgodnionym punktem porozumienia. Giedroyc odżegnuje się oczywiście od wspólnoty z którymkolwiek z emigracyjnych kolektywów, nie zamierza jednak patrzeć na kraj w sposób zdystansowany, przeciwnie, pragnie wykazać się zaangażowaniem w pierwszym słowa znaczeniu, wziąć udział w walce, mieć wpływ na bieg wydarzeń w kraju. Więż epistolarna ma tu wymiar wspólnoty ludzi wolnych, jednak na tej płaszczyźnie porozumienie się wyczerpuje, nie przenikając w rejony mniej abstrakcyjne. Jeśli pominąć kurtuazyjne znaki porozumienia, cała



korespondencja przynosi dokumentację ścierania się dwóch różnych postaw i różnych sposobów wnikania w zagadnienia współczesności krajowej. W największym uproszczeniu powiedzieć można, że listy dokumentują niemożność uzgodnienia programu działań wspólnego dla polityka (Giedroyc) i dla moralisty (Stempowski). Obszar pomiędzy tak zarysowanymi postawami jest teatrem wojny przeciwstawnych racji, odmiennie zakładanych celów działań, przeciwstawnych usiłowań. Jest też przestrzenią na której toczy się zmaganie o wpływ, o zjednanie adresata listu dla postawy reprezentowanej przez nadawcę. Czasem owo usiłowanie wpływu przybiera wręcz postać chęci przedmiotowego wykorzystania korespondenta. Bo jakże inaczej spojrzeć na namowy J. Giedroycia by Stempowski wyjechał na parę miesięcy do kraju, w roli swoistego emisariusza, w roku 1955, w celu „wszechstronnego wypróbowania trwałości odwilży”, (zob. listy z 13 i 19 czerwca 1955 r.)? Nb. na takie namowy Stempowski odpowiada nie wprost, grzecznie licząc na domyślność Giedroycia, co zresztą wzmaga stanowczość odmowy, gdy informuje, że przybysze z kraju zachęcali go do przyjazdu i że wygląda to „na pomysł bezpieki”, (list z 27 lipca 1955 r.). Ze swej strony Stempowski stale usiłuje wpłynąć na Giedroycia, by ten zaczął spoglądać na sprawy krajowe nie jak polityk — kierujący się chęcią uzyskania jak największej siły oddziaływań, ale jak ktoś, kto potrafi współczuć ze społeczeństwem krajowym, okazać takt w zetknięciu z cierpieniem ucieszonych, wczuć się w nastroje i kompleksy, w specyficzną wrażliwość (i drażliwość) psychiczną ludzi pozostających pod komunizmem. W związku z projektem wydania *Ciemności w południe* Koestlera, proszony przez J. Giedroycia o napisanie przedmowy, J. Stempowski, wiedząc że wydawnictwa „Kultury” docierają do kraju, wyrażał wątpliwość co do celowości edycji. „Nie wiem, czy książka ta posiada jakieś szczególne walory dla czytelnika polskiego. Ludzi żyjących już pod terrorem nie należy na ogół jeszcze straszyć, bo w ten sposób idzie się tylko na rękę bezpiece, która poszukuje właśnie tego efektu”, (list z 21 stycznia 1949). Tego rodzaju zastrzeżeń moralnych czy moralizatorskich, mających skłonić Redaktora do przemyślenia etycznej strony podejmowanych działań, zgłasza Hostowiec mnóstwo, nieustannie przypominając, że emigracja musi przede wszystkim zachować twarz, produkując i wysyłając do kraju wyłącznie myśl niezależną („niezależną”), możliwie najwyższej jakości. Tego rodzaju niezależnością i (potencjalnie) jakością może zaś wykazać się wyłącznie literatura piękna. Toteż niemal u początków korespondencji Stempowski wzywał Giedroycia do nienadawania „Kulturze” charakteru czasopisma politycznego. „Z pewną obawą dowiaduję się, że chciałby Pan zająć się polityką. [...] W kraju nikt od emigracji tego nie oczekuje. Niedługo natomiast literatura zostanie tam tak skrępowana, że książki emigrantów zaczną mieć pewne znaczenie. Na dłuższą metę literatura może okazać się na emigracji ważniejsza od polityki.” (List z 10 marca 1949 r.) Usiłowania oddziaływań politycznych na kraj oddziele Stempowski uważał za roszczenia moralnie naganne, a to ze względu na „niepowrotność oddalenia” emigracji od kraju, na inność „niereczywistego” czasu, w jakim żyją emigranci, od czasu bieżącego rzeczywistości krajowej. Z tych powodów był przekonany, że istotna obrona ciągłości kultury w Polsce może dokonywać się wyłącznie w kraju, dlatego wyznawał: „nie jestem pewien, czy moje miejsce nie było w kraju i czy, zostając na emigracji, dokonałem słusznego wyboru”, (zob. t. 1, s. 178). W listach Stempowskiego stale podkreślane są tego rodzaju moralne skrupuły, pod tekstem o sprawach mniejszej wagi zawsze skrywa się pytanie, czy wolno było odłączyć swój los od losu zbiorowości? Pytanie doniosłe pomimo podkreślanego przez piszącego nikłego stopnia integracji i identyfikacji z ową rodzimą społecznością. Widać w tym wrażliwość moralisty, którą Stempowski przez lata usiłuje zaszcześcić Giedroyciowi. A — warto dodać — czyni to przewrotnie, rzadko krytykując samego Redaktora. Przeważnie mówi o nagannym charakterze propozycji J. Mieroszewskiego, którego odezwania się są „bardzo nietaktowne” względem opinii krajowej, którego zaleca powściągać, choćby z tej przyczyny, że „Kultura” nie ma żadnego „mandatu” z kraju na wypowiedzi artykułowane niejako w imieniu całej polskiej społeczności. Na takie zastrzeżenia J. Giedroyc odpowiada gniewnie, że Hercen też nie miał mandatu, w czym widać rozbieżność trosk i celów obu korespondentów. Co ważne, Stempowski wiedział oczywiście, że polityczne propozycje Mieroszewskiego, głównego „politologa” „Kultury” mają akceptację Redaktora. Sam J. Giedroyc kilkakrotnie pouczał Hostowca w listach, że J. Mieroszewski nie tylko nie działa samodzielnie, ale jest wręcz „tubą”, przez którą Giedroyc rozgłasza swe polityczne koncepcje, (zob. np. listy z 26 kwietnia 1954 r. i z 14 kwietnia 1955 r.). Stempowski z wyraźnym uporem nie przyjmuje tych deklaracji do wiadomości, mnożąc uwagi krytyczne o tekstach „Londyńczyka”, jakby w przekonaniu, że w takiej „złagodzonej” formie znajdą one dostęp do umysłowości Redaktora.

Oczywiście, z dzisiejszej perspektywy widać dobrze, iż przemiany polityka w moralistę nie mógł Stempowski dokonać. Z opublikowanej wcześniej korespondencji J. Giedroycia z innymi pisarzami z kręgu „Kultury” można przecie wyczytać, jak silnym bywało w niektórych okresach redaktorskie poczucie skutecznego wpływu na bieg wypadków w kraju. Dość przypomnieć, co 22 lutego 1957 roku pisał Giedroyc do Andrzeja Bobkowskiego: „Dziś możemy regulować opinię krajową, a poprzez nią samego Gomułkę”. Rzecz jasna, człowieka przekonanego o takim wpływie na kraj zapewne nie interesowały skrupuły Stempowskiego, był też jak najdalszy od myśli od rezygnacji z politycznego charakteru redagowanego przez siebie pisma. Warto jednak dodać, że J. Giedroyc zdawał sobie sprawę z wrażliwości swego korespondenta i aby go nie urazić, a także nie zrazić do współpracy, nie zawsze pisał mu prawdę, najwyraźniej preparując jakąś wersję wydarzeń specjalnie dla Stempowskiego, tak aby ten został przekonany, że autorytety literackie emigracji, dotąd dalekie od „linii politycznej” „Kultury”, zabiegają o możliwość publikacji w Instytucie Literackim. W liście z 4 lipca 1960 roku donosił Hostowcowi: „Zdaje się, że w «Bibliotece „Kultury»» zaczynam realizować ideał świętej zgody narodowej, gdyż [...] Wierzyński zwrócił się z propozycją wydania tomiku jego wierszy”. Przypomnijmy, że o tej samej sprawie druku *Tkanki ziemi* Giedroyc pisał (6 września 1960) do Andrzeja Bobkowskiego w sposób następujący:

„Wierzyńskiego tomik będzie w końcu tygodnia. [...] Ma się rozumieć cała zmiana stosunku do nas to fakt, że p i e r w s z y (!) do niego zatelefonowałem i wydaję mu ten tomik. To biedny, skompleksiały facet. Mam do nich wszystkich dużo litości, ale żadnego szacunku.”

Na marginesie odnotujmy, że przewrotność Giedroycia — polityka i socjotechnika jest tak wielka, iż nie można wykluczyć, że żadna z przypominanych tu wersji zdarzenia nie jest prawdziwa. Ważne jest jednak, by zdać sobie sprawę, że Redaktor przykrawał swe poglądy pod gust korespondenta, tak aby zbudować złudę pełnego porozumienia i zgodności. W listach do Stempowskiego z wielką powściągliwością wypowiadał się np. o Marii Dąbrowskiej, której nie szczędził kąśliwych uwag pisząc do innych korespondentów. Rzecz jasna, wiedział o związkach Hostowca z pisarką, jak i o tym, że listy Dąbrowskiej są dla Stempowskiego głównym i miarodajnym źródłem informacji o rzeczywistości krajowej.

Czasami podczas lektury „Listów...” uderza powierzchowność, z jaką J. Giedroyc odbiera sądy J. Stempowskiego, nie starając się wnikać w ich sens głębszy i prawdziwie istotny. Dobrym przykładem może tu być wymiana myśli na temat Marka Hłaski i jego prac literackich.

„Już z okazji *Pierwszego kroku w chmurach* [przypominał Stempowski w liście z 28 marca 1958 r.] pisałem Panu, że Hłasko jest najbardziej zachodnim z współczesnych pisarzy polskich, najbliższym obecnym wzorów zachodnich. Od tego czasu Hłasko rozwinął się bardzo, wciąż w tym samym kierunku, zbliżając się jeszcze do wyjących na księżyc laureatów Nobla. [...] U Hłaski wszystko [...] stoi na samym tylko talencie. Autor jest jak człowiek idący po linie nad próżnią. Stwarza to dodatkowy czynnik napięcia. [...] Ktoś zręczny i odważny może chodzić po linie, ale jak długo? [...] Szczególna atmosfera strefy, w której zatrzymała się obecnie literatura, pociąga za sobą pewne konsekwencje dla rzemiosła pisarskiego. [...] Proces schematyzacji i występowania na pierwszy plan linearnych elementów kompozycji widać także u Hłaski. [...] Idąc tymi drogami, Hłasko znalazł się w samym środku aktualności literackiej Zachodu. [...] Nie wiem, czy taki miał zamiar, ani w jakim stopniu przemyślał drogi współczesnej literatury zachodniej, bo dojść do tego punktu można nawet od strony socrealizmu. [...] Faktem pozostaje, że gdyby Hłasko pisał po francusku, byłby już autorem pierwszej klasy, modnym i czytany, płynącym w głównym nurcie aktualności.”

Na te opinie J. Giedroyc reaguje entuzjastycznie, listem z 1 kwietnia 1958, którego „niepoważna” data dzienna wcale nie oznacza, że za słowami „Pana ostatni list o książce Hłaski jest tak świetny, że chcę Pana namówić na napisanie o niej recenzji do najbliższej «Kultury»” kryła się kpina czy żartobliwa intencja! Redaktor najzwyczajniej nie dostrzegł ironii w opiniach Stempowskiego, przyjmując je literalnie, co przyszło mu tym łatwiej, że sam miał w owym czasie jak najlepsze mniemanie o walorach pisarstwa Hłaski, z którego pojawieniem się w domu „Kultury” wiązał wielkie nadzieje. Niedostrzeżenie ironii w pozornie prostolinijnym tekście listu Stempowskiego można by od biedy zrozumieć. Cóż jednak powiedzieć o rzetelności czytania prezentowanej przez Redaktora, jeśli uświadomimy sobie, że w listach do niego Hostowiec bardzo często i bardzo krytycznie wypowiadał się na temat „aktualności literackiej Zachodu”, mówiąc wprost o zmierzchu kultury i literatury zachodniej. Często pisał o programowo „średniackim” charakterze produkcji

literackiej Zachodu, o tym że „Paryż spadł do rangi Berdyczowa”, wreszcie o tym, że pisarzom polskim (w tym i Hłasce) należałoby pokazać wzory literackie inne niż Hemingway i Faulkner. Mówiąc o współczesnym upadku kultury i literatury Zachodu, twierdził „że w dziedzinie kulturalnej bogaty Zachód zachowuje się jak żebrak”, dodając: „ja jeden w mojej mansardzie żyję jak milioner”. Dysponując takimi kontekstami, J. Giedroyc powinien był więc odkryć, że Stempowski nie podziela jego zachwyty dla literackich produkcji Marka Hłaski. Jeśli zaś nie odkrył, to wolno sądzić, że nie bardzo uważnie czytał wypowiedzi Stempowskiego na temat kultury współczesnej, łowiąc z jego listów tylko ustępy poświęcone sprawom żywej go obchodzącym, co stanowiłoby jeszcze jeden dowód istotnej rozbieżności zainteresowań i postaw korespondentów.

Rzecz ciekawa, wyraźny podział, wręcz rozstrzelenie postaw i ról obranych przez korespondentów, by zostać przy schematycznym określeniu, roli „polityka” i „moralisty”, wcale nie oznacza, że wypowiadając się na tematy polityczne „moralista” Stempowski z reguły miał mniej przenikliwości i racji niż „polityk” Giedroyc. Lektura „Listów...” uświadamia, że zastanawiająco często podział racji nie odpowiada podziałowi ról. Tak jest, na przykład, gdy w związku z wybuchem wojny w Korei, Stempowski tłumaczy Giedroycowi konieczność oddalenia „Kultury” od wszelkich politycznych działań amerykańskich, (w liście z 6 stycznia 1951 r.).

„Weszliśmy obecnie w zonę niebezpieczną, [...] Europa może być w każdej chwili okupowana niemal bez oporu. W razie wojny szanse naszej ucieczki są tak znikome, że lepiej trzeźwo uważać je za żadne i liczyć się z przymusowym czy dobrowolnym powrotem do kraju. Perspektywa ta jest tragiczna [...] i patrzeć jej w oczy możemy tylko tak długo, dopóki nie «stracimy twarzy» przed Polakami w kraju. [...] Zimna wojna — a także gorąca w Korei — toczy się dokoła linii demarkacyjnych i granic wytyczonych przez Stalina i Roosevelta bez pytania o zgodę ludów tymi granicami pociętych, a nawet z największą dla tych ludów pogardą. Amerykanie — jak dotąd — chcą tylko bronić tego *status quo* [...] Dopóki ten stan rzeczy trwa, trudno jest emigrantom wiązać się z polityką amerykańską, aprobować milcząco system haniebną i bez przyszłości. Najtrudniejsza jest sytuacja Polaków, którzy wiążąc się z Amerykanami, stwarzają pozory, że milcząco akceptują zredukowanie swego kraju do nowej Generalnej Guberni [...] Wejście na taką drogę i stworzenie takich pozorów równałoby się «utracie twarzy» przed krajem. [...] Wprzężona w amerykański system propagandy i dywersji «Kultura» zostałaby w ciągu kilku miesięcy zgrana do nitki i wyrzucona na śmietnik. [...] Pieniądze są potrzebne «Kulturze» tak długo, jak długo może zachować pewną niezależność. Jeżeli ją utraci, żadne pieniądze, nawet miliony Voice of America, nic jej nie pomogą i nie ocalą od «utruty twarzy».”

Odpowiedź J. Giedroycia (z 12 stycznia 1951 r.) wydaje się zbyt, jak na polityka, życzeniowo-optimistyczną. „Dziś jest tego rodzaju sytuacja [...] że każde wyjście, nawet koreańskie, będzie potraktowane jako wybawienie przed obecną rzeczywistością. Po raz pierwszy społeczeństwo poczuło, że jest zaduszane zimno i bezlitośnie.” — O ile pominąć powszechne w tamtym czasie w Europie przekonanie, że z konfliktu koreańskiego rozgorzeć może nowa wojna światowa, bo w tym wypadku właśnie powszechność tego rodzaju obaw uwalnia piszących od stawianego po latach zarzutu mało prawdopodobnego prognozowania rozwoju politycznej sytuacji, co najmniej zastanawiającym jest przekonanie J. Giedroycia, że społeczeństwo krajowe wolałoby wojnę w Europie od dalszego trwania w stanie zniewolenia. Jeżeli można rekonstruować ówczesną mentalność krajową, co nie jest zadaniem łatwym, lecz przeciwie możliwym do wykonania, to należałoby raczej uznać, iż „krajowcy” właśnie dlatego uznali potrzebę jakiegoś dostosowania się do trwania pod komunizmem, a komunistyczne panowanie postrzegali jako stan trwały, gdyż powszechnym było przekonanie, że wyzwalająca narody zony sowieckiej wojna musiałaby się toczyć na terytorium Polski, które zostałyby całkowicie wyniszczone. Przeświadczenie Giedroycia, że społeczność krajowa woli taką wojnę od trwania systemu wydaje się mało przytomne, zatem „moralista” okazuje się bardziej przenikliwym obserwatorem od „polityka”. Zresztą, także pogląd na metody śledzenia sytuacji w kraju różni korespondentów. Giedroyc jest dumny z „numerów krajowych” „Kultury”, podkreśla że żadne pismo na emigracji nie informowało dotąd np. o stanie ekonomicznym kraju. Stempowski zaś krzywił się, że są to wyciągi z oficjalnych dokumentów, rejestrów danych, które nie mówią niczego o codzienności krajowej. Dodawał, że ową codzienność lepiej potrafi ukazać literatura, a „bez opisu życia codziennego numery krajowe są jak gdyby dokumentem świadczącym, że o życiu kraju już nic bliższego nie wiemy, i drukowany dowód tego oderwania emigracji od kraju musi przerażać tych, którzy w swym pojęciu ten kraj rzekomo reprezentują”, (list z 5 lipca 1953 r.).

Przy tym wszystkim, rzecz fascynująca, Jerzy Giedroyc jawi się w „Listach...” jako prekursor wszystkich istotnych zmian politycznych w Polsce, które zaszły w latach 1980–1989, zaś Jerzy Stempowski — jako (potencjalnie) przeciwnik kierunku tych przemian. Wnioski, jakie Giedroyc wyciąga z przebiegu robotniczego protestu z czerwca 1956 roku w Poznaniu, właściwie stanowią coś w rodzaju instrukcji dla przyszłych działań rzeczywistych, są scenariuszem tego, co się w przyszłości wypełni.

„Społeczeństwo w odwilży właściwie nie brało udziału [w odróżnieniu od partii — dop. moje], zachowuje się biernie. Niemniej sytuacja gospodarcza Polski [...] staje się katastrofalna [...] Poznań [...] był wynikiem konfliktu i cichego strajku w Zakładach Cegielskiego. Pochód w czwartek był pochodem organizowanym przez rady załogowe [...] transparenty miały charakter wyłącznie socjalny. Nikt z naocznych świadków nie mógł mi przytoczyć transparentu politycznego. [...] Pozytywami Poznania jest dla mnie: likwidacja mitu o reakcyjnej Polsce, powstanie fermentu wśród klasy robotniczej i narastanie jej uświadomienia. [...] Sprawą najważniejszą jest: a. Niedopuszczenie, by były wyroki administracyjne. Musi być proces publiczny z udziałem przedstawicieli Zachodu; b. mnożenie wyrazów solidarności robotniczej międzynarodowej; c. szukanie form i sposobów, by krajowi przyjść z pomocą ekonomiczną bez zysku propagandowego reżymu [...]” — tyle w liście z 6 lipca 1956 roku, „granicznym”, bo odtąd coraz częściej Jerzy Giedroyc będzie mówił o konieczności oparcia dążeń politycznych na robotnikach, ruchu związkowym, nie zaś, jak dotąd, na inteligencji. Porzucenie inteligentów nie dotyczy jednak „rewizjonistów”, przeciwnie — mowa o „nacisku na problematykę rewizjonistyczną”. Całość składa się w niemal wizję proroczą, choć przecież nie z procektwem mamy tu do czynienia, bowiem nikt dziś nie odmówi J. Giedroycowi co najmniej współautorstwa dokonanych przemian politycznych. Koncepcje Giedroycia budziły sprzeciw Stempowskiego właśnie w kwestii „robotniczego” czy wręcz syndykalnego charakteru projektowanych dążeń. Z jednej strony podkreślał Hostowiec istnienie niebywałej przepaści pomiędzy inteligencją pod komunizmem a proletariatem, z drugiej dodawał, że „cokolwiek myślimy o krajowej inteligencji [...] Jest to nasza jedyna łączność [z krajem], nasz jedyny partner. Dlatego musimy starać się go rozumieć nawet w jego odach do Stalina i innych rzeczach, których chwalić nie możemy. Do sądenia go i strofowania brak nam tytułów [...]”, (list z 17 lipca 1956).

I chociaż stawiający na „masy robotnicze” Redaktor przypominał, że „ani jeden pisarz nie siedział [w Polsce] w więzieniu”, Stempowski upierał się, że jakiegokolwiek dążenia polityczne może emigracja projektować tylko w łączności z inteligencją krajową, bez względu na jej stan i położenie. Jak najdalszy od sądenia, częściowo usprawiedliwiał związki tej inteligencji z komunizmem, twierdząc że ewentualny upadek systemu postawiłby ją w obliczu erupcji „reakcji klerykalnej”, ludowego katolicyzmu i czarnoseciniego nacjonalizmu. Przekonaniem zawsze zgodnie przez korespondentów dzielonym jest natomiast często powtarzany przez Stempowskiego sąd o mentalnym cofaniu się polskości na Zachód, z „kręgu jagiellońskiego” w „piastowski”, rozumianym jako proces ciągły i nieodwracalny. Takie rozumowanie odpowiadało zaś wschodnim koncepcjom politycznym Giedroycia, zwłaszcza głoszonemu na łamach „Kultury” programowi „ULB”.

Jak zapowiadano, nie sposób w skrótowym omówieniu ogarnąć całości zawartości problemowej tego zbioru korespondencji. Chwała edytorowi, który rzecz tak istotną czytelnikowi udostępnił, imponując kompetencją komentarzy, zwłaszcza znawstwem zagadnień ukraińskich, często w listach poruszanych. W tym zakresie jest zresztą Andrzej St. Kowalczyk ekspertem. Warto też podkreślić ogrom pracy, jaki musiał zostać wykonany, by komentarz edytora mógł, jak to czyni, w formie krótkiej i treściwej rozjaśniać kwestie personalne, objaśniać sprawy, o których listy mówią tylko napomknięciem, ukazywać szczegółowo zagadnienia życia emigracyjnej społeczności. Przy wykonywaniu tak potężnego zadania niemal nie sposób ustrzec się kilku błędów, toteż wyliczenie niektórych z nich nie ma związku z oceną całościową pracy edytora, zdecydowanie dodatnią. Trzeba jednak, z recenzenckiego obowiązku, wskazać możliwości uzupełnień czy korekty. Gdy np. w liście z 26 września 1949 r. Stempowski nawiązuje do „sprawy Studnickiego”, zresztą z wyraźną odrazą do jej bohatera, to przypis edytora, informujący ogólnie, kto to taki Władysław Studnicki, wydaje się dalece niewystarczający. Potrzebna byłaby informacja o „sprawie”, o istocie konfliktu, który był powodem potępienia Studnickiego przez większość emigracyjnej społeczności. Podobnie, gdy J. Giedroyc (22 maja 1954) pisze o Bohdanie Łączkowskim, o jego aresztowaniu i domniemaniu szpiegostwa, rzecz ta także domagałaby się jakiegoś komentarza. Także, gdy Giedroyc powiada, że zamawia książkę Kasprzysia, chciałoby się wiedzieć, kto zacytował i o jaką książkę chodzi. Gdy

zaś J. Stempowski powiada, że Wańkowicz „ma obce obywatelstwo”, trzeba by chyba przypomnieć, że pisarz ten zrzekł się obywatelstwa amerykańskiego po powrocie do kraju, zaś Stanisław Mackiewicz — w tym samym liście wspomniany jako „obcy obywatel”, chyba nigdy obywatelstwa obcego nie miał? Puszkiniowski „narod biezmołwstwujeł” tłumaczy się natomiast: „lud milczy”, nie — „naród milczy”, jak w przypisie na s. 285 t. II. Gdy zaś J. Giedroyc mówi o powieści S. Rembeka *Józef Kłosa*, komentator winien jest czytelnikowi przypomnienie, że tytuł brzmiał *Wyrok na Franciszka Kłosa*. — Wszystko to są, jak powiedziano, uchybienia drobne, nie psujące ogólnego wrażenia rzetelności komentarza i ofiarnej pracowitości komentatora.

Osobne zagadnienie stanowią wady publikacji, spowodowane przyjętymi kryteriami wyboru listów. Nasuwa się pytanie — przyjętymi przez kogo? Przez edytora, czy przez Instytut Literacki, który materiały udostępniał? Nie sposób rozstrzygnąć bez dodatkowych informacji, których książka nie dostarcza. Warto zaznaczyć, że nie jest to problem nowy. Publikacje listów w serii „Archiwum «Kultury»” irytują tym, że są zawsze edycjami *p r a w i e* kompletnymi korpusów korespondencji — zawsze publikuje się tu większą część danego zasobu, a jakąś (mniejszą) pomija, nie wiadomo właściwie, dla jakich powodów. W efekcie powstaje przykre wrażenie ocenzurowania tego, co jest udostępniane, zwłaszcza że niektóre opuszczenia doprawdy irytują. By nie mnożyć, jeden tylko, jak się zdaje typowy przykład. — W liście z 22 maja 1954 Jerzy Giedroyc pisze do Stempowskiego m.in.: „Jeśli idzie o pieniądze amerykańskie, to też się z Panem nie zgadzam. Nie od dziś reprezentuję pogląd, że z Amerykanami należy współpracować [...] Można na FE patrzeć tak czy inaczej, ale współpraca z FE nie kompromituje.” — Znając mniej więcej z innych listów stosunek J. Stempowskiego do Free Europe i do korzystania z amerykańskich dotacji, czytelnik wie (także: mniej więcej), o co tu chodzi. Co nie zmienia faktu, że chciałby się dowiedzieć, jak Hostowiec sformułował zarzuty, na które Giedroyc odpowiada i czuje się nieszczególnie, gdy rozumie, że tej możliwości arbitralnie go pozbawiono. Okazji do takiego poczucia ma, niestety, nie wiem z czyjej winy, więcej. Psuje to radość obcowania z cenną i bardzo potrzebną książką. Psuje do tego stopnia, że czasem można się przyłapać na myśli, że lepiej może byłoby nie dostać niczego, niż dostać nie wszystko. Są to jednak myśli tak gorzkie jak i przelotne. Pomijając „ocenzurowanie”, czytelnik może być przecie wdzięczny za możliwość obcowania z utrwalonymi w listach przemysleniami ludzi nietuzinkowych, wybitnych, osobowością swą wnoszących ogromnie dużo do zasobu i kolorytu polskiej myśli współczesnej. Lektura tej korespondencji jest także nie do przecenienia pomocą w drodze ku pojęciu czegokolwiek istotnego z dziejów Drugiej Emigracji i z najnowszych dziejów Polski.

Wacław Lewandowski

## Karol Poznański w zarysie

Adam Sudoł, *Karol Poznański — ostatni konsul generalny II Rzeczypospolitej. Zarys ważniejszych dokonań*, Bydgoszcz–Toruń: Wyd. WSP, 1998, 386 s., [60] tabl. (rec. Karol Grünberg).

Nakładem Wydawnictwa Uczelnianego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy ukazała się praca Adama Sudoła poświęcona postaci Karola Poznańskiego. Sam wybór tematu uznać należy za trafny. Karol Poznański — dyplomata, konsul generalny w Paryżu w latach 1927–1934, a następnie w Londynie w okresie 1934–1945, wreszcie działacz emigracyjny — jest postacią niemalże zapomnianą. Jego działalność w okresie międzywojennym i w czasie drugiej wojny światowej, a także w kręgach emigracji polskiej na terenie Wielkiej Brytanii nie wzbudzała zainteresowania historyków, nie licząc biogramu opublikowanego przez Mieczysława Paszkiewicza<sup>1</sup>. Prezentowana pozycja ukazała się dzięki wsparciu finansowemu Komitetu Badań Naukowych.

<sup>1</sup> M. Paszkiewicz, *Poznański Karol (1893–1971)*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 28, Wrocław 1984, s. 297–299.

Cel, jaki postawił sobie Autor omawianej książki nie jest jasny dla czytelnika. Z jednej strony Adam Sudoł podkreśla bowiem w podtytule, że jest to „Zarys ważniejszych dokonań” bohatera książki, z drugiej zaś we wstępie stwierdza, iż nie ma „ambicji dokonania bilansu działalności Poznańskiego jako zawodowego konsula generalnego w Paryżu i w Londynie”, a jedynie zamierza „wydobyć z jego pracy zawodowej szczególnie te wątki, które świadczyły o postawie obywatelskiej i aktywności w działaniu na rzecz polskiej emigracji oraz uchodźstwa” (s. 10).

Wstęp zatytułowany „Do Czytelnika” ma zaiste specyficzny charakter. Brakuje w nim elementów istotnych, które ułatwiłyby czytelnikom lekturę omawianej pracy, są natomiast informacje zbędne lub też powtarzające się w innych miejscach książki. Autor prezentuje na przykład z dużą dokładnością jednostki archiwalne z zespołu Konsulatu Generalnego RP w Londynie przechowywanego w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, na które później powołuje się dosłownie tylko jeden raz, przedstawiając działalność Poznańskiego w stolicy Wielkiej Brytanii (s. 7–8). W innym miejscu wymienia cały szereg pozycji wykorzystanych w pracy z dokładnym opisem bibliograficznym, za to bez jakiegokolwiek analizy ich treści pod kątem przydatności do opracowania biografii Karola Poznańskiego (s. 11–14). Wszystkie te informacje czytelnik znajdzie ponownie w zamieszczonej na końcu pracy bibliografii. Zbędne wydaje się również umieszczenie we wstępie całego biogramu Andrzeja Karola Poznańskiego, bratanka konsula, łącznie z podaniem tytułów opublikowanych przez niego prac na temat... diagnostyki radiologicznej, które nie mają żadnego związku z problematyką omawianej książki. Autor nie przedstawił natomiast stanu badań, założeń konstrukcyjnych pracy czy wreszcie jej ram chronologicznych. Przy tym wszystkim poszczególne elementy wstępu wzajemnie się przeplatają, co potęguje u czytelnika wrażenie chaosu.

Autor przeprowadził kwerendę w Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (Prezydium Rady Ministrów, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Konsulat Generalny RP w Londynie), a także w dwóch zespołach przechowywanych w Archiwum Akt Nowych w Warszawie (Konsulat Generalny RP w Paryżu i Konsulat Generalny RP w Londynie). Na dokumenty z tych archiwów powołuje się jednak rzadko. Zdecydowaną większość wykorzystanych w pracy materiałów archiwalnych stanowią dokumenty pochodzące z Archiwum Prywatnego Rodziny Poznańskich w Montrealu uzupełnione relacjami i wspomnieniami ze zbiorów Autora. Szereg nowych ustaleń przyniosłaby bardziej wnikliwa kwerenda w Archiwum Akt Nowych. Przede wszystkim zabrakło dokumentacji z zespołu Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP 1918–1939 (zwłaszcza Gabinet Ministra i Departament Konsularny), a także materiałów znajdujących się w aktach Ambasady RP w Paryżu i Ambasady RP w Londynie. Konsul generalny przysyłał swoje raporty nie tylko do Centrali w Warszawie, ale także do kierowników placówek dyplomatycznych, którym zresztą formalnie podlegał. Tymczasem Autor nie wykorzystał w całej książce ani jednego raportu (sic!) Karola Poznańskiego z okresu jego pracy w Paryżu i Londynie, mimo że podkreślił ich wysoką wartość (s. 111). Ponadto dużo ciekawych informacji na temat akcji i zadań dyplomacji polskiej, w których uczestniczył również Poznański znaleźć można na przykład w podserii polskiej przechowywanej w Archives du Ministère des Affaires Étrangères w Paryżu.

Prezentowana praca składa się z pięciu rozdziałów. W pierwszym Autor przedstawił dzieciństwo, studia i początki działalności Poznańskiego jako dyplomaty u progu niepodległości państwa polskiego. Rozdział drugi został poświęcony dalszej działalności bohatera pracy w latach 1921–1926, a trzeci w okresie od zamachu majowego do opuszczenia Konsulatu Generalnego RP w Paryżu w 1934 r. W rozdziale czwartym Autor starał się opisać aktywność Poznańskiego jako konsula generalnego w Londynie aż do cofnięcia uznania przez władze brytyjskie rządowi emigracyjnemu w lipcu 1945 r. Ostatni rozdział dotyczy udziału Karola Poznańskiego w życiu politycznym i społecznym emigracji polskiej po drugiej wojnie światowej. W swoich rozważaniach Autor kilkakrotnie wykracza poza ramy chronologiczne rozdziałów.

Adamowi Sudołowi udało się ustalić tylko garstkę faktów dotyczących okresu dzieciństwa i młodości Karola Poznańskiego. Czytelnik na próżno szukać będzie informacji na temat samej rodziny Poznańskich, skądinąd niezwykle ciekawej, jej pochodzenia, wybitniejszych przedstawicieli i antenatów późniejszego konsula. Znajdzie zaledwie bardzo krótką wzmiankę o jego ojcu i nieco dłuższą o matce. Autor opisał za to mieszkanie rodziców Karola Poznańskiego, które „praktycznie było małym ogrodem zoobotanicznym — był jeden pies, 2–3 akwaria, dwieście kilkadziesiąt gatunków kaktusów, 2 papugi, kanarki i kot”. Niewiele dowiemy się także na temat edukacji Poznańskiego. Adam Sudoł dokładniej opisał natomiast rozprawę doktorską obronioną przez swo-

jego bohatera na Uniwersytecie we Fryburgu w Szwajcarii. W dalszej części pracy Autor przedstawił rozwój służby konsularnej Drugiej Rzeczypospolitej, wyciszając zaledwie kolejne funkcje i stanowiska Poznańskiego w latach 1919–1920. Brak jednak precyzyjnych ustaleń na temat wkładu przyszłego konsula w rozwój polskiej służby dyplomatycznej. Ten sposób przedstawiania sylwetki Poznańskiego dominuje niestety w dużych częściach omawianej książki. Dobrym przykładem będzie tutaj podrozdział zatytułowany „Rokowania pokojowe z Rosją radziecką” (s. 24–52). Na blisko 30 stronach książki Autor opisuje przebieg negocjacji w Rydze, powielając powszechnie znane informacje z prac Jerzego Kumanieckiego, Jana Dąbskiego, Wacława Jędrzejewicza i opublikowanej kilka lata temu *Historii dyplomacji polskiej*<sup>2</sup>. Cały podrozdział jest nie tyle przedstawieniem działalności Poznańskiego w Rydze, ile opisem konferencji pokojowej z zaznaczeniem w kilku zaledwie miejscach działań głównego bohatera. Karol Poznański widoczny jest jedynie w odległym tle. Przy tym wszystkim Autor formułuje opinie, które budzić mogą poważne zastrzeżenia. Podsumowując zakończenie rokowań pokojowych i podpisanie traktatu ryskiego w dniu 18 III 1921 r. pisze np. „Ustanowione pośrednictwo Wielkiej Brytanii w sprawach polskiej polityki zagranicznej straciło na znaczeniu” (s. 50). Z tak karkołomnego stwierdzenia wynika, że wszystkie działania dyplomacji polskiej przed podpisaniem traktatu ryskiego, w tym zawarcie sojuszu polsko-francuskiego (19 II 1921) i polsko-rumuńskiego (3 III 1921), były inspirowane przez Brytyjczyków i dokonały się za ich pośrednictwem. Tezy tej nie da się utrzymać nawet w odniesieniu do polityki wschodniej Drugiej Rzeczypospolitej w pierwszych latach niepodległości.

W podobny sposób Autor przedstawił przebieg konferencji geneńskiej wiosną 1922 r. Znów na kilku stronach (s. 59–64) szczegółowo opisał zabiegi dyplomacji polskiej w przededniu konferencji, potem jej przebieg i wreszcie rezultaty. O Karolu Poznańskim dowiadujemy się tylko tyle, że był sekretarzem delegacji polskiej w Genewie. Nie poznajemy jednak ani zakresu jego obowiązków, ani udziału w pertraktacjach, ani sposobu realizowania otrzymanych zadań. Odnosi się wrażenie, że ta część książki jest biografią ówczesnego ministra spraw zagranicznych Konstantego Skirmunta, w czym jeszcze bardziej mogą utwierdzić czytelnika dane biograficzne tego polityka i dyplomaty podane przez Autora na s. 64, łącznie z datą śmierci. Z kolei następny podrozdział (s. 64–76) w całości poświęcono Wandzie Dmowskiej, późniejszej żonie Karola Poznańskiego. Przy tym wszystkim Autor nie oszczędził czytelnikowi dokładnego opisu procesu Eligiusza Niewiadomskiego, którego stenografistką była Dmowska, wpisując do treści biogramy prezydenta Narutowicza i jego zabójcy. Te rozległe dywagacje Autora nie mają nic wspólnego nie tylko z Karolem Poznańskim, ale nawet z Wandą Dmowską. Zaledwie 6 wersów Adam Sudoł poświęcił na przedstawienie stosunku przyszłego konsula generalnego do zabójstwa i zabójcy Narutowicza (s. 75–76).

W podrozdziale „Udział Karola Poznańskiego w tworzeniu sieci konsulatów zawodowych i honorowych” (s. 76–78) Autor po prostu przedstawił rozwój polskiej służby konsularnej w pierwszych latach niepodległości, wykorzystując zwłaszcza opracowany przez Waldemara Michowicza rozdział w czwartym tomie *Historii dyplomacji polskiej*. Rola Poznańskiego ogranicza się do tego, że korzystano z wypracowanych przez niego wzorców umów konsularnych, co Autor ujmuje w dwóch zdaniach. Lepiej wypada kolejny podrozdział (s. 78–82), ponieważ Adam Sudoł wymienił w nim przynajmniej kolejne funkcje Poznańskiego, jednak bez pobieżnej nawet analizy jego działań.

Autor analizując postawę Karola Poznańskiego w maju 1926 r. niepotrzebnie na kilku stronach opisał przebieg zamachu stanu, cofając się aż do wydarzeń listopadowych 1925 r. Zagadnienia te są dobrze znane i poświęcanie im kolejnych stron pracy nie wnosi niczego nowego. Przy tym wszystkim Autor podkreślił na przykład, że Piłsudski poprzez „udział w zespole przyznającym order i odznaczenia wojskowe” [ma zapewne na myśli stanowisko kanclerza orderu *Virtuti Militari* — MW] „zapewnił sobie możliwość permanentnego utrzymywania kontaktów z szeroką grupą jego zwolenników” (s. 85), jakby nie dostrzegając faktu, że były także inne formy kontaktu, a piłsudczycy odwiedzali swojego Komendanta w Sulejówku, czego najlepszym dowodem była manifestacja oficerów w listopadzie 1925 r. W zupełności wystarczyłaby w tym podrozdziale prezentacja stanowiska Karola Poznańskiego do rządów przedmajowych, zamachu majowego, a

<sup>2</sup> P. Łossowski, *Kształtowanie się państwa polskiego i walka o granice (listopad 1918–czerwiec 1921)*, [w:] *Historia dyplomacji polskiej*, t. IV: 1918–1939, pod red. Piotra Łossowskiego, Warszawa 1995, s. 162–165 i 171–172.

wreszcie precyzyjniejsze określenie jego poglądów politycznych w tym kontekście. Tymczasem Adam Sudoł ograniczył się do stwierdzenia, że Poznański „był zwolennikiem Piłsudskiego” (s. 86). Autor nie szukał także odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób przejęcie władzy przez Józefa Piłsudskiego wpłynęło na dalszą karierę dyplomatyczną Poznańskiego, czy też nie miało na nią żadnego wpływu? A szkoda, bo jest to kwestia, którą należało w tej pracy podjąć.

Kolejny podrozdział (s. 96–97) znowu dotyczy kwestii ogólnych, mianowicie rozwoju polskiej służby konsularnej w latach 1924–1932. Do tematu pracy nie wnosi on nic poza informacjami zamieszczonymi w biogramie Karola Poznańskiego opublikowanym w *Polskim Słowniku Biograficznym*<sup>3</sup>. Autor nie ustalił nawet, którym z trzech Wydziałów — Ogólno-Konsularnym (K I), Prawno-Rewindykacyjnym (K II) czy Administracyjno-Konsularnym (K III) — kierował Karol Poznański od 1 stycznia do 31 marca 1927 r. (s. 96)<sup>4</sup>.

Przedstawiając działalność Poznańskiego na stanowisku konsula generalnego w Paryżu w latach 1927–1934 (s. 98–115) Autor po raz kolejny wraca do postaci Wandy Dmowskiej, żony bohatera pracy, wpisując cały jej biogram do treści podrozdziału i powtarzając kilka wątków poruszonych już wcześniej. W dalszej części podrozdziału Adam Sudoł opisał losy okrętów zwodowanych we Francji, których matką chrzestną była Wanda Poznańska, znowu wybiegając poza ramy określone w tytule omawianej książki (s. 103–106). Szkoda, że opisując ceremonię ekshumacji i sprowadzenia prochów Juliusza Słowackiego do Polski w 1927 r. Autor ograniczył się do opublikowanych na łamach londyńskich „Wiadomości” wspomnień samego Karola Poznańskiego (s. 100–101). Akcję dyplomatyczną prowadzoną w Paryżu w tej sprawie oraz właściwą rolę konsula generalnego, która ograniczała się do zadań technicznych, można odtworzyć po przeanalizowaniu dokumentacji archiwalnej przechowywanej w archiwum francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Quai d’Orsay<sup>5</sup>.

Poruszając zaledwie problem polskiej emigracji zarobkowej we Francji i opieki ze strony służby konsularnej, Adam Sudoł nie wykorzystał podstawowej literatury poświęconej temu bardzo istotnemu zagadnieniu<sup>6</sup>. A przecież ochrona polskich emigrantów należała do podstawowych obowiązków konsula generalnego i temu problemowi należało poświęcić dużo miejsca, zwłaszcza, że w latach pobytu Poznańskiego w Paryżu sytuacja półmilionowej Polonii we Francji uległa wyraźnemu pogorszeniu. Znowu zamiast tego problemu znaleźć możemy opis rozwoju polskiej służby konsularnej na wielu kontynentach, przy czym Autor przytacza znane z innych opracowań informacje (s. 109–111 i 114–115).

W kolejnym podrozdziale, dotyczącym działalności Karola Poznańskiego na stanowisku konsula generalnego w Londynie, Autor niemal pominął całe sześciolatecie (kwiecień 1934–czerwiec 1940), ograniczając się do 15 wersów tekstu na ten temat (s. 117–118). Ze szczegółami opisuje natomiast — znowu dobrze znane historykom dzięki badaniom innych autorów — problemy polskich władz emigracyjnych po klęsce Francji, rozgrywki personalne, konflikty w łonie emigracji, działania gen. Władysława Sikorskiego itd. (s. 118–125). Postać głównego bohatera pracy w ogóle ginie z pola widzenia czytelnika. Na zakończenie podrozdziału (s. 125) Autor stwierdza w jednym tylko zdaniu, że przybycie do Anglii polskich uchodźców wpłynęło na „znaczące zwiększenie obowiązków konsula Poznańskiego”. Z równym powodzeniem Adam Sudoł mógł przedstawić przebieg kampanii francusko-niemieckiej i francusko-włoskiej w 1940 r., analizując szczegółowo poszczególne bitwy i kończąc identycznym stwierdzeniem.

Prezentując działalność i aktywność Karola Poznańskiego w latach 1940–1945 Autor opisał działalność Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim oraz Przychodni Lekarskiej (s. 125–132). Adam Sudoł w większym stopniu skoncentrował się jednak na historii tych instytucji

<sup>3</sup> M. Paszkiewicz, *Poznański Karol*, s. 297.

<sup>4</sup> Zob. J. Łaptos, *Dyplomaci II RP w świetle raportów Quai d’Orsay*, Warszawa 1993, s. 21; W. Michowicz, *Organizacja polskiego aparatu dyplomatycznego w latach 1918–1939*, [w:] *Historia dyplomacji polskiej...*, s. 34–35.

<sup>5</sup> Archives du Ministère des Affaires Étrangères à Paris, Sèrie: Europe 1918–1940, Sous-sèrie: Pologne, vol. 136, pismo A. Chłapowskiego do A. Brianda z 22 V 1927, k. 17 i odpowiedź A. Brianda z 31 V 1927, k. 18 oraz raport J. Laroche’a do A. Brianda z 2 VII 1927, k. 22.

<sup>6</sup> W tym przypadku chodzi przede wszystkim o prace Haliny Janowskiej, a zwłaszcza wyniki badań historyka francuskiego Janine Ponty — H. Janowska, *Polska emigracja zarobkowa we Francji (1919–1939)*, Warszawa 1964; J. Ponty, *Polonais méconnus. Histoire des travailleurs immigrés en France dans l’entre-deux-guerres*, Paris 1988.



niż na ukazaniu udziału konsula generalnego w ich pracach. Ta sama uwaga dotyczy podrozdziału zatytułowanego „Komitet Obywatelski Uchodźcom Polskim po 5 lipca 1945 roku” (s. 136–164). Znow postać głównego bohatera książki, choć obecna, jest daleko w cieniu innych wydarzeń. Co ciekawe Autor kończy swoje rozważania na temat Komitetu na roku 1995 (sic!), a zatem 24 lata po śmierci Poznańskiego. W podobny sposób konstruuje kolejny podrozdział (s. 164–168), w którym przedstawia tzw. „Antokol”, czyli dom dla zasłużonych Polaków w Londynie. Tę samą zasadę przyjmuje w podrozdziale „Utworzenie Skarbu Narodowego” (s. 178–180), kończąc swoje rozważania na roku 1991, a udział Karola Poznańskiego zamykając w dwóch zdaniach. Wszystkie przytoczone w tym podrozdziale fakty Autor podaje za jedną pozycją opublikowaną w 1996 r. w Londynie<sup>7</sup>.

Na końcu swoich rozważań Adam Sudoł po raz kolejny poświęca cały podrozdział Wandzie Poznańskiej (s. 185–192), opisując jej wojenne przeżycia. Odnosi się wrażenie, że Autorowi zależało na umieszczeniu w pracy wszystkich informacji uzyskanych w trakcie rozmów z żoną konsula, niezależnie od tego czy dotyczą one Karola Poznańskiego i jego życiowej aktywności, czy też zupełnie innych problemów.

W ostatnim podrozdziale Autor opisuje polemikę, jaka toczyła się wokół sprawy źródeł finansowania Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim już po śmierci Karola Poznańskiego (s. 197–199). Adam Sudoł nie przedstawił jednak tezy Bohdana Brodzińskiego, który w swoich artykułach atakował konsula, stwierdzając, że była ona oparta na „przypuszczeniach, domysłach i domniemaniach, które nigdy potem nie zostały udowodnione”. W ten sposób czytelnik został pozbawiony możliwości zapoznania się z poglądami Brodzińskiego i dopiero po przeczytaniu aneksu nr 78 może się co najwyżej ich domyślać. Nawet jeżeli zarzuty te były bezpodstawne, co rzeczywiście zostało w trakcie dyskusji wykazane, i niezależnie od sympatii samego Autora, zadaniem historyka było rzeczowe i dokładne przedstawienie poglądów obu stron konfliktu zgodnie z zasadą *audiatur et altera pars*.

W pracy znaleźć można cały szereg drobnych błędów, które nie pozostają bez wpływu na lekturę książki:

- s. 26 i 40 — Autor nie jest konsekwentny i raz stosuje przymiotnik „radziecki”, innym razem „sowiecki”,
- s. 48 — nie jest prawdą jakoby Józef Piłsudski w trakcie pobytu nad Sekwaną podpisał „układ polsko-francuski” z 19 lutego 1921 r., ponieważ Naczelnik Państwa opuścił Francję w dniu 6 lutego, natomiast pod tekstem polsko-francuskiej umowy politycznej podpis złożył ze strony polskiej minister spraw zagranicznych Eustachy Sapięha, natomiast pod tekstem polsko-francuskiej konwencji wojskowej gen. Kazimierz Sosnkowski<sup>8</sup>,
- s. 48 — znany dyplomata i polityk łotewski nazywał się Zigfrids Meierovics, nie zaś „Mejerowicz”,
- s. 58 — spotkanie szefów rządów mocarstw zachodnich w dniu 25 lutym 1922 miało miejsce w Boulogne, nie zaś w „Boulogue”<sup>9</sup>,
- s. 81 (przypis 64) — zamiast „A. Skarzyński” powinno być A. Skrzyński,
- s. 124 — zamiast „Maria Hułas” powinno być Magdalena Hułas.

Adam Sudoł zamieścił w swojej pracy 81 aneksów, które zajmują łącznie 150 stron książki, a zatem niewiele mniej miejsca niż tekst zasadniczy. Można odnieść wrażenie, że Autor chciał wprowadzić do omawianej pozycji prawie wszystkie dokumenty otrzymane od Wandy Poznańskiej w czasie pobytu w Montrealu. W ten sposób objętość książki została wydatnie powiększona. Czy wprowadzenie do aneksów tak dużej liczby dokumentów było jednak uzasadnione? Wiele z nich zawiera dokładnie te same informacje, które czytelnik odnajdzie w tekście głównym. Poza tym, jaki był sens zamieszczania kopii oryginałów i odpisów tych samych dokumentów, które nie wnoszą nic nowego (aneks nr 11, 12 i 15)? Wśród dokumentów są także takie, które nie wiążą się z osobą Karola Poznańskiego (np. aneks nr 61, 80 i 81). Również w tytułach aneksów Autor popełnił błędy. Oto kilka z nich:

<sup>7</sup> *Kierownictwo obozu niepodległościowego na obczyźnie 1945–1990*, pod red. Andrzeja Szkuty, Londyn 1996.

<sup>8</sup> W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, t. II: 1921–1935, Kraków Oleandry 1988, s. 19; *Dokumenty z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918–1939*, t. I: 1918–1932, pod red. T. Jędruszcaka i M. Nowak-Kielbikowej, Warszawa 1989, s. 130 i 133.

<sup>9</sup> H. Bułhak, *Polska-Francja. Z dziejów sojuszu 1922–1939*, cz. I (1922–1932), Warszawa [1995], s. 25.

- s. 228 (aneks nr 5) — poza określonym w tytule aneksu biletem wejścia do sali posiedzeń na konferencję pokojową w Rydze dla Wandy Poznańskiej, znajduje się jeszcze reprodukcja podobnego biletu na międzynarodową konferencję ekonomiczną w Genui, o której nie ma ani słowa,
- s. 246 (aneks nr 18) — Autor, zapewne sugerując się określeniem użytym w dokumencie, użył przymiotnika „czeskosłowacka”, zamiast „czeskosłowacka”,
- s. 294 (aneks nr 58) — błędna datacja listu ambasadora Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego do Karola Poznańskiego. Wieniawa nie mógł napisać listu w Rzymie w dniu 12 listopada 1940 r., ponieważ w tym czasie przebywał już za oceanem w Stanach Zjednoczonych. Wynika to z logiki faktów. Wieniawa, reprezentujący we Włoszech od września 1939 r. polskie władze emigracyjne, w momencie rozpoczęcia wojny francusko-włoskiej i angielsko-włoskiej musiał wraz z całym personelem ambasady opuścić Italię. I faktycznie w dniu 12 czerwca 1940 r. wyjechał z Rzymu, do którego już nigdy nie powrócił, co poświadczają jego biografowie<sup>10</sup>. Nie ulega wątpliwości, że prawidłowa data dokumentu to dzień 12 lutego 1940 r.

W książce zamieszczono 75 fotografii w większości wcześniej nie publikowanych, z których kilkanaście przedstawia Wandę Poznańską.

Na podkreślenie zasługuje interesująca i bogata szata graficzna omawianej pracy, a zwłaszcza przyciągająca uwagę czytelnika pierwsza strona okładki.

W podsumowaniu należy stwierdzić, że obszernie recenzowanej pracy nie dotyczą tematu określonego w jej tytule. Autor niepotrzebnie podejmuje cały szereg wątków, które tylko pośrednio wiążą się z postacią i działalnością Karola Poznańskiego lub też nie mają nic wspólnego z bohaterem książki. W wielu przypadkach rozważania Adama Sudoła są niczym innym jak powtórzeniem wyników badań innych autorów, opublikowanych w powszechnie dostępnych pozycjach i nie poszerzają naszej wiedzy na tematy poruszone w omawianej pracy. Na ponad 200 stronach tekstu Autorowi udało się wyjść tylko nieznacznie — i to głównie w odniesieniu do lat drugiej wojny światowej i okresu emigracji — poza ustalenia zawarte w dwustronicowym biogramie Karola Poznańskiego zamieszczonym w *Polskim Słowniku Biograficznym*<sup>11</sup>.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Nie jest dla mnie do końca jasne dlaczego Wydawnictwo Uczelniane WSP w Bydgoszczy podało jako miejsce wydania omawianej pozycji nie tylko Bydgoszcz, ale także Toruń? Nasuwają mi się następujące przypuszczenia — albo niepostrzeżenie uszedł mojej uwadze fakt połączenia obu miast, chociaż mieszkam w Bydgoszczy i pracuję w Toruniu albo Wydawnictwo otworzyło swoją filię w grodzie Kopernika, o czym także na razie nic nie wiadomo.

Mariusz Wołos

## Recenzja czy paszkwil?

Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, *Kronika pięćdziesięciu lat. Życie kulturalne polskiej emigracji w Kanadzie 1940–1990*. Toronto: Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, 1995, 378 s. (brak recenzentów).

Z ogromnym zdziwieniem i uczuciem zażenowania przeczytałem w pierwszym zeszycie „Archiwum Emigracji” tekst prof. Floriana Śmieji zatytułowany „Kronika czy panorama?”. Rzecz poświęcona książce zmarłej w 1996 roku dr Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej *Kronika pięćdziesięciu lat. Życie kulturalne polskiej emigracji w Kanadzie* miała być zapewne w intencji autora recenzją, w rzeczywistości jest długą listą prywatnych nierządkiem pretensji, oskarżeń i pomówień. Naj-

<sup>10</sup> Zob. J. M. Majchrowski, *Ulubieniec Cezara Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Zarys biografii*, Wrocław 1990, s. 245–247; idem, *Pierwszy ulan Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993, s. 196–198; W. Dworzynski, *Wieniawa. Poeta-żołnierz-dyplomata*, Warszawa 1993, s. 340–342; por. także: H. Batowski, *Polska dyplomacja na obczyźnie 1939–1941*, Kraków 1991, s. 196–197.

<sup>11</sup> Zob. M. Paszkiewicz, *Poznański Karol*, s. 297–299.

ważniejsze z nich dotyczą stronniczości, niesumienności i kierowania się swoistymi „predylekcjami i kaprysami”. Te ostatnie polegać mają na pisaniu z pietyzmem o „bliskim kręgu znajomych”, preferowaniu swoich „faworytów” („każda ich aparycja jest odnotowana, materia wymieniona, tytuły cytowane”), podczas gdy inni „pojawiają się znacznie mniej obowiązu­jąco, przypadkowo, zbywa się ich ryczałtem, wielokropkiem, pomniejsza czy wręcz pomija”.

Postawiwszy tak jednoznacznie negatywną diagnozę podważającą kompetencje i kwalifikacje etyczne książki, prof. Śmieja pisze następnie o „dotkliwych brakach” opracowania, które wedle cytowanego przezeń w innym kontekście autora przedmowy dra Edwarda Sołtysa „w sposób systematyczny przedstawia bardzo ważny, a być może najważniejszy okres rozwoju kultury polskiej w Kanadzie”.

Książka Jurkszus-Tomaszewskiej jest przedsięwzięciem ogromnym. Do swej gigantycznej — jak się okazuje — niewdzięcznej pracy przystąpiła autorka zbyt późno, gdy wielu uczestników i świadków licznych wydarzeń odeszło. Każdy kto choćby raz podjął się jakiegokolwiek opracowania wymagającego dokumentacji ilustrującej wybrane przejawy działalności środowisk emigracyjnych wie, przed jakimi trudnościami stanąć musiała autorka. Wie o tym również Florian Śmieja, współtwórca i uczestnik miejscowych „salonów”, o których dziś wyraża się z takim przekąsem.

Jest sprawą oczywistą, że autorka *Kroniki* nie uniknęła pewnych błędów i pominięć. Ale nawet w kształcie istniejącym jej pionierska książka jest publikacją ważną, ukazującą głównie ogromny wysiłek pokolenia emigracji żołnierskiej choć nie tylko. I to „nie tylko” okazuje się powodem nie skrywanej idiosynkrazji recenzenta, który uważa, iż byłoby właściwie i lepiej, gdyby autorka poprzestała na opisie działań powojennej, żołnierskiej emigracji. Śmieja pisze wprost: „Sądzę, że właśnie ten okres zamknięty napływem innego typu emigrantów nadawał się bardziej do szczególnego potraktowania, bo wyróżniały go rzadkie cnoty patriotycznego zapału, ofiarności i bezinteresowność działania społecznego, dzięki którym powstały kościoły, ośrodki, domy i biblioteki”.

Nie sądzę, by ktoś o zdrowych zmysłach i elementarnej wiedzy o życiu polskiej emigracji w Kanadzie (i poza nią) mógł kwestionować dorobek emigracji żołnierskiej i jej ewidentne zasługi. Z drugiej strony kultura jest procesem ciągłym. Wartości zrodzone bądź zachowane w jednym pokoleniu, muszą — jeśli mają spełnić swe podstawowe funkcje — znaleźć kontynuatorów w pokoleniu następców. Florian Śmieja jest najwyraźniej odmiennego zdania. Pisze bowiem: „Magiczna cyfra 50 okazała się jednak bardziej nęcąca i spowodowała wtrącenie elementów mało spójnych z przeszłym okresem. Choćbyśmy sobie jak najbardziej życzyli kontynuacji profilu emigracji wojennej, nie sposób tego dokonać z ludźmi o innej przeszłości, odmiennych celach i potrzebach. Oni zaczną nową fazę czy epokę im bliższą i szczególną. Są innymi emigrantami, nie czują się na obczyźnie ale często w ziemi obiecanej. Myśmy chcieli wrócić do Polski, im udało się zrealizować marzenie, aby zamieszkać poza Polską. Czy tak odmiennie stanowiska mogą prowadzić do harmonijnego budowania życia kulturalnego?”

Nie czuję się na siłach polemizować z poglądami prof. Śmieji, w których dostrzegam przedziwny splot prawd pozornych, rozpoznań nad wyraz subiektywnych czy wręcz generacyjnych uprzedzeń. Na jego dramatyczne pytanie dotyczące możliwości harmonijnej współpracy różnych fal emigracyjnych dla dobra kultury polskiej na emigracji odpowiedzieć muszą jednak twierdząco: mogą! W znanym mi dobrze polskim środowisku w Kanadzie podobnych przykładów znaleźć można bez liku. Poprzestaną na kilku najbardziej charakterystycznych jakimi są: Polski Fundusz Wydawniczy, Fundacja im. Władysława i Nelli Turzańskich, Polsko-Kanadyjskie Towarzystwo Muzyczne, Centrum Kultury im. Jana Pawła II. W tych i im podobnych organizacjach i instytucjach przedstawiciele emigracji wojennej działają aktywnie obok emigrantów „o innej przeszłości, odmiennych celach i potrzebach”. Ci ostatni nie tylko zresztą starają się kontynuować dzieło swych poprzedników, często dzieło to w sposób istotny wzbogacają. Nie miejsce tu na wyliczanie konkretnych inicjatyw, wspomnę więc tylko, że udziałem i zasługą nowej emigracji są zarówno liczne instytucje i przedsięwzięcia służące polskiej kulturze (księgarnie, pisma, spektakle teatralne i kabaretowe, koncerty muzyki klasycznej, festiwale filmowe, audycje radiowe i telewizyjne, galerie, imprezy kulturalno-artystyczne o nie notowanej dotąd skali), jak i odczuwalna, choć z pewnością wciąż nie wystarczająca promocja polskich twórców.

Oczywiście nie brak w środowisku emigracyjnym różnego rodzaju waśni i sporów. Bywa, że są one ilustracją typowego konfliktu pokoleniowego, częściej jednak mają — jak wszędzie —

charakter personalny. Tak czy owak dostrzegalna gołym okiem w tekście prof. Śmieji skłonność do łatwych i niesprawiedliwych generalizacji zaskakuje i niepokoi.

Wróćmy jednakże do głównego przedmiotu sporu, jakim jest książka Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej. Stawia jej recenzent liczne i ciężkie zarzuty ubolewając, że tak niesolidna praca będzie „świadczyc o ludziach, którzy polską kulturę krzewili i tworzyli bezinteresownie, po prostu z obywatelskiej potrzeby, z patriotyzmu i etosu wyniesionych z domu i Polski międzywojennej”. Równocześnie nie przeszkadza mu to mniemać, że mimo wszystko: „Dla badaczy kanadyjskiej sceny politycznej, a szczególnie dla zainteresowanych życiem kulturalnym emigracji wojennej książka będzie cennym źródłem informacji”. I ja tak sądzę, choć zgoda w tej mierze nie implikuje w najmniejszym stopniu aprobaty dla pokrętej logiki i stylistyki recenzji.

Jakichże to karygodnych uchybień dopuściła się Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska? „Nie ma, dla przykładu, wiele — pisze prof. Śmieja — o wkładzie profesorów, którzy byli zazwyczaj bardzo aktywni.” Wiele bądź niewiele to określenie niezbyt precyzyjne. W książce znajdujemy często wymieniane nazwiska Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Teodora Domaradzkiego, Iwony Grabowskiej, Aleksandra Matejki, Edwarda Możejki, Florianą Śmieją, Jerzego Wojciechowskiego i innych. Przy okazji przypomnijmy, że — zgodnie z założeniem autorki — książka pomija sprawy związane ze szkolnictwem („Pragnęliśmy rozgraniczyć sprawy związane z kulturą w ścisłym słowa tego znaczeniu, a oświatą jako zagadnieniem społecznym.”). *Kronika* nie notuje również książek wydanych przez polskich pisarzy, pomija sukcesy polskich artystów w kanadyjskich galeriach sztuki czy na salach koncertowych, uważając że fakty te należą do indywidualnych biografów poszczególnych twórców”, podczas gdy autorka koncentrowała się „na wkładzie w życie zbiorowości polskiej”. Można oczywiście zastanawiać się, czy przyjęte przez nią kryteria i zasady były właściwe i słuszne, ale nie wypada ich ignorować.

„Brakuje — pisze recenzent — całej zachodniej Kanady”, czym daje dowód, że książkę czytał raczej pośpiesznie i niezbyt uważnie. Bo jak wytłumaczyć fakt, że czyniąc podobny zarzut nie dostrzegł licznych przywołań Vancouveru, Calgary, Edmontonu czy Winnipegu?

*Kronika* nie jest słownikiem bio-bibliograficznym poszczególnych twórców i dlatego dziwnie brzmi zarzut, że autorka *Kroniki* wymieniła tylko 20 programów telewizyjnych zrealizowanych przez prof. Śmieję, podczas gdy w rzeczywistości zrealizował on ich niemal 150. Przy okazji informacja ta (str. 166) dotyczyła roku 1974 (dokładnie ośmiu miesięcy tego roku), a nie jak pisze rozsierzony polemista — 1972. Gdyby przyjąć, że liczba 150 odnosi się do przytoczonego przez autorkę okresu, oznaczać by to musiało, że Florian Śmieja w ciągu kilku miesięcy co drugi dzień realizował jedną audycję, co wydaje się mało prawdopodobne. Zresztą nie chodzi o popełnioną przez autorkę nieścisłość, problem w stylistyce stawianych jej zarzutów. Wynika z niej, iż uczyniła to z rozmysłem starając się pomniejszyć zasługi recenzenta. Z tych samych zapewne powodów nie policzyła precyzyjnie jego wszystkich tekstów opublikowanych w cyklu „Spotkania z pisarzami”, nie mówiąc o nieścisłościach noty biograficznej, w której dokonała pomyłki myląc państwa, w których recenzent zdał maturę i odbywał studia.

Wspominałem o stylistyce. Pisze Śmieja cytując Tomaszewską: „*Kronika* wymienia to co się składa na atmosferę życia kulturalnego 50 lat”. I na tym kończy W *Kronice* przytoczone zdanie otwierające dział „Pozostaną po nas...” uzupełniają dwa inne: „Nieuchwytną, niepowtarzalną i minioną. Ale pozostał również i trwały dorobek”. Na ów dorobek zdaniem autorki składają się m.in.: Polski Instytut Naukowy w Kanadzie i Biblioteka Polska, Federacja Polek w Kanadzie, Fundacja im. Adama Mickiewicza, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Fundusz Wieczysty Milenium Polski Chrześcijańskiej, Fundacja im. Władysława Reymonta, Polski Fundusz Wydawniczy, Polska Fundacja Społeczno-Kulturalna i Fundacja im. Władysława i Nelli Turzańskich.

Osobliwie również brzmią pretensje o niedocenienie Benedykta Heydenkorna (cytowanego 19 razy), brak w biografii Renaty Bogdańskiej wzmianki, że była żoną generała Władysława Andersa, przeoczenie faktu, że Jan Żurawski był słynnym oblatywaczem, czy nieścisłości w biografach J. Jasińskiej i J. Domańskiej. Nie znaczy to bym fakty te lekceważył, trudno mi tylko przyjąć, że mają to być argumenty, które dezawuuują wartość omawianej pracy.

Dwa najpoważniejsze zarzuty dotyczące pominięcia międzynarodowej konferencji naukowej poświęconej historii imigracji polskiej w Ameryce Północnej i Festiwalu Muzyki i Tańca w London są słuszne tylko częściowo. Przynajmniej jedno z tych przedsięwzięć, zorganizowane przez władze i instytucje kanadyjskie, przeznaczone było przede wszystkim dla kanadyjskiego odbiorcy.

To że uczestniczyli w nich przedstawiciele nauki i kultury polskiej jest sprawą bezwzględnie ważną i znaczącą, ale z „wkładem z życia zbiorowości polskiej” ma związek dość luźny.

Zdecydowanie małoostkowe jest wytykanie autorce, że cytuje „własne wystąpienia na konferencji «Polonia Jutra» na trzy czwarte strony”. Zamykający książkę aneks informuje o konferencji zorganizowanej przez Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej w maju 1972 roku i mówi o obecności spraw polskiej kultury na tym ważnym forum polonijnym. Autorka omawia wystąpienia prof. Kazimierza Dąbrowskiego, Rudolfa Koglera, Kazimierza Stańczykowskiego, Ludwika Kos-Rabcewicza, Wacława Iwaniuka, Mary Schneider, Ireny Habrowskiej-Jellaczyc, Adama Tomaszewskiego i swoje własne. Trzeba wyjątkowej dozy złej woli, by tę rzeczową informację potraktować jako przejaw autoreklamy autorki.

Niezrozumiała jest również dla mnie uwaga dotycząca „słabych debiutów nowych, które łaskawie poszły w zapomnienie”, które recenzent przeciwstawia wierszom Stanisława Januszki, będącym „istotną lekturą wielu emigrantów”. W tym momencie nie chodzi już o to, że w początku owych „słabych debiutów nowych” miał prof. Florian Śmieja wraz z Wacławem Iwaniukiem i niżej podpisanym — jako członek komitetu redakcyjnego — swój poważny udział. Rzecz dotyczy spraw daleko poważniejszych: a mianowicie tego, co rozumiemy przez literaturę, poezję szczególnie. Tu rzeczywiście porozumieć się nam będzie trudno.

I ostatnia już uwaga. Autorka książki ze zrozumiałych powodów bronić się nie może. Już choćby ten wzgląd winien autorowi tekstu „Kronika czy panorama?” zwrócić uwagę na niestosowność przypisywania zmarłej pisarce intencji, które — jestem tego pewien — były jej całkiem obce. A także agresywność języka i poetykę wypowiedzi bliższą formule paszkwilu niż rzetelnej, krytycznej recenzji.

Edward Zyman